



**Gene Wolfe**

# CZARNOKSIĘŻNIK

II tom cyklu  
**RYCERZ CZARNOKSIĘŻNIK**

Wydawnictwo Dolnośląskie



# GENE WOLFE

# CZARNOKSIĘŻNIK

(Wizard Knight: The Wizard)

Rycerz czarnoksiężnik (tom: 2)

Przełożył: Paweł Kruk



2009

# SPIS TREŚCI

KARTA TYTUŁOWA

MOTTO

BEN, MIAŁEM NIE

POSTACIE

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

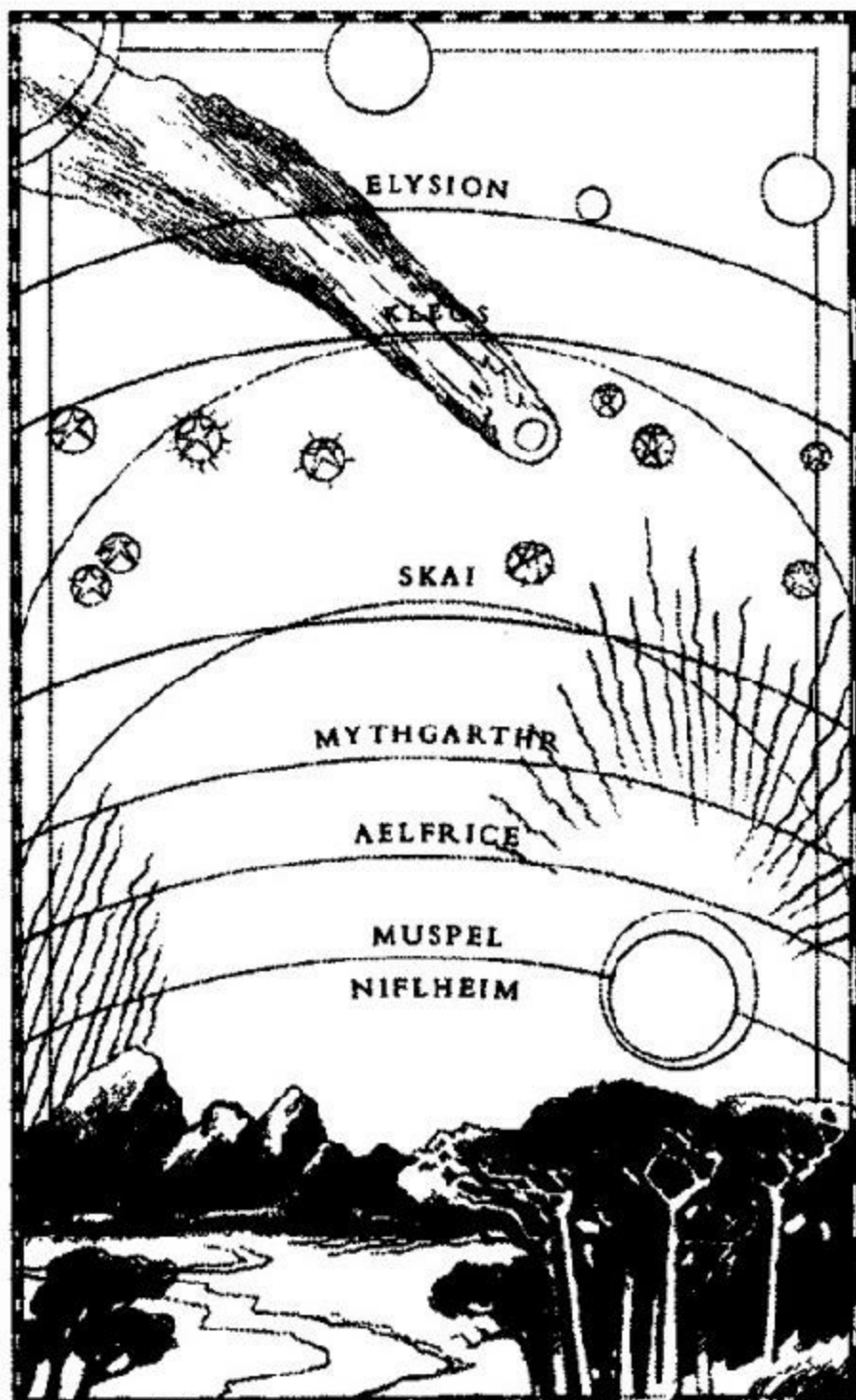
ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31  
ROZDZIAŁ 32  
ROZDZIAŁ 33  
ROZDZIAŁ 34  
ROZDZIAŁ 35  
ROZDZIAŁ 36  
ROZDZIAŁ 37  
ROZDZIAŁ 38  
ROZDZIAŁ 39  
ROZDZIAŁ 40



*Chciałeś zostać rycerzem, a nie ekspertem w sprawach rycerstwa. Dalsze ćwiczenia uczyniłyby z Ciebie uczonego zamiast wojaka. Tego, czego się jeszcze nie nauczyłeś, nauczysz się żyjąc i działając.*

Yves Maynard  
Księga rycerzy

**Ben, miałem nie** sporządzać kolejnej listy osób, ale pomyślałem sobie, że może nie dostałeś pierwszej. Tak więc przedstawiam inną. Jeśli czytałeś poprzednią, to z pewnością pamiętasz, kim jest Disiri, Bertold Śmiały i inni, ale na wszelki wypadek też ich umieściłem.

Nie ma tu wszystkich. Niektórych z pewnością pominąłem, inni zaś nie są ważni.

**ABLE** - Tak mnie tutaj nazywają. W rzeczywistości jest to imię brata Bertolda Śmiałego, którego Disiri zamieniła na mnie.

**AELFY** - Lud stworzony przez Kulili.

**AELFRICE** - Świat pod Mythgarthrem, w którym obecnie przebywam.

**AGR** - Marszałek Mardera.

**ALVIT** - Walkiria, która zaniósła mnie do Skai.

**AMABEL** - Kobieta, która uratowała Payna po śmierci jego matki.

**ANGRONICI** - Olbrzymy z kraju lodu (Jotunlandu).

**ARN** - Jeden z łuczników Garvaona.

**ARNTHOR** - Król. Jego ojciec był człowiekiem, a matka smokiem wodnym. Jego bratem był Setr.

**BAKI** - Aelficka dziewczyna, która uleczyła mnie swoją krwią.

**BEEL** - Ambasador, którego Arnthor posłał do Jotunlandu.

**BERGELMIR** - Część Ymira, która nie umarła. Od niego pochodzili królowie olbrzymów.

**BERTOLD** - Człowiek, który przyjął mnie pod swój dach, kiedy po raz pierwszy przybyłem do Mythgarthru.

**BORDA** - Kapitan straży przybocznej Idnn.

**BORGALMIR** - Prawa głowa jednego z przyjaciół Schildstarra.

**BYMIR** - Olbrzym, którego zabiłem szpikulcem.

**CHMURA** - Najlepszy rumak, jaki kiedykolwiek istniał.

**COLLE** - Celidoński baron, którego uwolniłem.

**CROL** - Herold, który mi pomógł, kiedy spotkałem Beela i jego ludzi.

**CZERWONY DWÓR** - Dwór, który należał kiedyś do Ravda.

**DANDUN** - Inny uwolniony przeze mnie baron z Celidonu.

**DISIRI** - Uwielbiana przeze mnie kobieta i dziewczyna, którą kocham. Obie kocham.

**EGR** - Jeden z ważniejszych sług Beela. Opiekował się taborem.

**ELYSION** - Świat, w którym mieszka Najwyższy Bóg. Znajduje się on ponad wszystkimi innymi światami.

**ERAC** - Jeden z rycerzy Arnthora.

**ESCAN** - Lord Marszałek.

**ETELA** - Młoda niewolnica należąca do kowala w Utgardzie.

**ETERNE** - Matka Mieczy.



**FARVAN** - Mój szczeniak.

**FEN KIK** - Najgorsza istota, jaką mogli wydać Olbrzymi Zimy i Stara Noc. Odgryzł ramię Overcynowi, którego dobrze znałem i bardzo lubiłem.

**FLATCH** - Strażnik w lochach pod Thortower.

**FOLKVANGER** - Dom Pani. Nie uwierzyłybyś, jaki jest duży i ładny.

**FORCETTI** - Miasto Mardcra położone niedaleko zamku Sheerwall.

**IRIGG** - Królowa Valfathera i matka Thunora. Kochana przez wszystkich piękna i łagodna dama.

**GALENE** - Żebraczka, którą spotkałem w Kingsdoom.

**GARSECG** - Imię, którego używał Setr, kiedy zamieniał się w Aelfa. Był dla mnie życzliwy.

**GARVAON** - Rycerz, który nauczył mnie walki mieczem.

**GED** - Strażnik w lochach pod Thortower.

**GERDA** - kobieta, którą kochał Bertold.

**GILLING** - Król jotunlandu.

**GRENGARM** - Smok, którego zabiłem. Widnieje na mojej tarczy.

**GYLF** - W rzeczywistości był jednym z psów Valfathera, lecz pozwolił mi się zatrzymać na jakiś czas.

**HAF** - Jeden z chłopców którzy próbowali mnie okraść.

**HALWEARD** - Zarządca, którego Marder wysłał do Czerwonego Dworu.

**HEIMIR** - Syn Gerdy. Człowiek, lecz trudno było o tym pamiętać.

**HELA** - Córka Gerdy. Powiedziała, że jest głupia, ponieważ była zbyt bystra, by przyznać, że jest mądra.

**HERN MYŚLIWY** - Ludzie nazywają tak czasem Valfathera, kiedy poluje ze sforą psów takich jak Gylf.

**HROLFR** - Leśniczy, który pracował dla ojca Escana.

**IDNN** - Córka Beela. Kobieta niezbyt duża i niezbyt silna, za to odważna jak mało który mężczyzna.

**IRONMOUTH** - Jeden z rycerzy Śmieszka. Doskonale włada mieczem i jest najlepszym zapaśnikiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

**IRRINGSMOUTH** - Północny port złupiony przez Osterlingów.

**JOTUNHUME** - Tajemnicza kraina Angronitek. Nigdy tam nie byłem.

**JOTUNLAND** - Kraj Angronitów położony na północ od gór.

**KEI** - Jeden z rycerzy Arnthora. Niezrównany w turniejach rycerskich.

**KINGSDOOM** - Stolica Celidonu.

**KLEOS** - Świat Michała, znajduje się między ElySION i Skai.

**KULILI** - Osoba, która utkała samą siebie z robactwa. Potrafi się rozpaść i rozproszyć, przez co trudno ją pochwycić.

**LAEMPHALT** - Imię, jakie Toug nadał białemu ogierowi, którego wcześniej podarował mi Beel.

**LEORT** - Rycerz herbu Lamparty.

**LER** - Overcyn. Był tego rodzaju przyjacielem, z którym nie trzeba rozmawiać. Niektórzy brali nas za braci.

**LIS** - Prababka Eteli.

**LLWCH** - Jeden z najtwardszych rycerzy Valfathera. Mówiono, że jego miecz skacze jak płomień ognia i rzeczywiście tak było.

**LOGI** - Kowal, który był właścicielem Eteli, Lynnet i Vila.

**LOTHUR** - Najmłodszy syn Valfathera. Nie sposób było go nie lubić, a jednocześnie miało się wrażenie, że nie można mu ufać.

**LOTHURLINGOWIE** - Lud mieszkający na zachód od morza.

**LYNNET** - Mama Eteli.

**MANASEN** - Jeden z rycerzy Arnthora.

**MANI** - Gadający kot, który poszedł za mną i Gylfem z opuszczonego domku. Był prawie tak przebiegły, jak mu się wydawało, że jest, i był całkiem dobrym przyjacielem.

**MARDER** - Jego księstwo obejmowało północną część Celidonu po tym, jak zlikwidowano księstwo Indigna.

**MIMIR** - Co bym nie powiedział i tak nazwiesz to magicznym źródłem. Pijąc z niego, przypominałeś sobie niektóre rzeczy, które zapomniałeś.

**MUSPEL** - Świat, z którego pochodzą smoki.

**MYTHGARTH** - Świat zamieszkały przez ludzi takich jak my. Oto wszystkie światy od najwyższego do najniższego: Elyson, Kleos, Skai, Mythgarthr, Aelfrice, Muspel. Niflheim.

**NERTHIS** - Overcynka, która mieszkała w Mythgarthrcie. Była królową dzikich zwierząt i to za jej sprawą rosły drzewa.

**NIFLHEIM** - Najniższy ze światów zamieszkały przez najniższego boga.

**NOTT** - jedna z miłszych olbrzymek Olbrzymów Zimy i Starej Nocy. Jej królestwem jest noc w Mythgarthrcie.

**ORG** - Był ogrem, być może ostatnim w Celidonie. Chciałbym powiedzieć, że był węzem w postaci człowieka, tyle tylko, że był gorący, a nie zimny, chociaż w rzeczywistości bardziej przypominał goryla.

**ORGALMIR** - Lewa głowa dwugłowego przyjaciela Schildstarra.

**PANI** - Jej ojcem był Valfather i trudno uwierzyć, że ktoś tak dobry może tyle wiedzieć i mieć tyle oblicz.

**PAPOUNCE** - Jeden z ważniejszych sług Beela.

**PARKA** - Kobieta z Kleos, która podarowała mi cięciwę do łuku.

**PAYN** - Główny urzędnik Lorda Marszałka.

**POUK** - Żeglarz wynajęty przeze mnie w Irringsmouth.

**QUT** - Dowódca ciężkozbrojnych jeźdźców w Czerwonym Dworze.

**RAVD** - Rycerz, który mi zapłacił, abym był jego przewodnikiem.

**SETR** - Był smokiem, choć w połowie człowiekiem. Prawie zawładnął Aelfrice, a jestem pewien, że tak naprawdę chciał zdobyć Mythgarthr.

**SIF** - Zona Thunora. Śliczna kobieta o pięknych włosach, których widoku nie dało się zapomnieć. Niewiarygodnie piękne.

**SKAI** - Świat Valfathera zamieszkały przez Overcynów.

**SKOLL** - Ostatni rycerz, który przede mną nosił miecz Eterne. Zabity przez Grengarma.

**STONEBOWL** - Jeden z ważniejszych ministrów Śmieszka.

**SVON** - Kiedy go spotkałem po raz pierwszy, był giermkim Ravda; potem został moim. Zostawiłem go w lesie, ponieważ bałem się, że go zabiję.

**ŚMIESZEK** - Tak nazywaliśmy Księcia Smoka. Smokiem był Grengarm, a jego lud to Lothurlingowie.

**THIAZI** - Minister Gillinga i czarnoksiężnik.

**THOPE** - Naczelny Wódz Mardera. Z tego, co się zorientowałem, był dobry, odważny, mądry i wytrzymały.

**THRYM** - Kapitan straży Gillinga. Był największym Synem Angr, jakiego kiedykolwiek widziano.

**THUNOR** - Najstarszy syn Valfathera, wzór rycerza. Kiedyś bardzo się cieszyłem, że jest po naszej stronie.

**THYR** - Pierwsza wiejska dziewczyna.

**TOUG** - Wiejski chłopak, którego zabrałem ze sobą do Aelfrice, usiłując uniknąć spotkania ze zbójcami.

**TYR** - Nawet Thunor twierdził, że jest najdzielniejszym z Overcynów.

**ULFA** - Siostra Touga, trochę starsza od niego.

**UNS** - Wiejski chłopak, który przygarnął Orga i pracował dla mnie.

**URI** - Dziewczyna Aelfów Ognia. Podobnie jak Baki, uczyniła się moją niewolnicą.

**UTGARD** - Zamek Gillinga. Otaczające go miasto także nosi tę nazwę.

**VAFTHRUDNIR** - Olbrzym znany ze swojej mądrości.

**VALFATHER** - Król Skai, wzór króla.

**VALT** - Giermek Leorta, dobry.

**VIL** - Niewidomy niewolnik, prawdopodobnie ojciec Eteli.

**VOLLERLAND** - W starych książkach imię to znaczy Jotunhome.

**WELAND** - Wykuł Eterne i został królem Aelfów Ognia.

**WIEŻA GLAS** - Wysoki jak wieżowiec pałac, który Setr zbudował w Aelfrice.

**WILIGA** - Kiedyś była kochanką Lorda Marszałka.

**WISTAN** - Giermek Garvaona.

**WODDET** - Jeden z niewielu przyjaciół, jakich miałem w Sheerwall.

**WOJENNY TRAKT** - Główna droga prowadząca z Celidonu do Jotunlandu.

**WSCHÓD KSIĘŻYCA** - Wierzchołek Svona.

**WYSPA GLAS** - W rzeczywistości jest to szczyt wieży zbudowanej przez Setra w Aelfrice. Rosną tam drzewa i trawa, także jest tam staw, który prowadzi do Aelfrice.

**YMIR** - Pierwszy olbrzym.

**YOND** - Giermek, który zakrył mnie swoim ciałem, kiedy próbowano mnie zabić.

**„ZACHODNI KUPIEC”** - Statek, na pokładzie którego odpłynąłem, kiedy spotkałem Garsecga.

**ZAMEK SANDHILL** - Położony daleko na południowej granicy Celidonu, należał do ojca Leorta.

**ZIO** - Overcyn, który pomógł Welandowi. Ma wiele imion.

## ROZDZIAŁ 1

# JESTEM RYCERZEM

Część z tego, o czym tu piszę, widziałem na własne oczy, Ben, ale niezbyt dużo. Większości dowiedziałem się od różnych ludzi. Nie będę się zatrzymywał, żeby ci powiedzieć, kto mi co powiedział, bo się sam zorientujesz, czytając. Najwięcej informacji zdobyłem od Touga.

\* \* \*

Uns, wiecznie zgięty, uklonił się jeszcze niżej przed Beelem.

- Ten tu Toug mówi, że pan nie żyje, wsza dowska mość. Ma konia, pana i psa. Pokaże wszej dowskiej mości, jeśli chce zobaczyć. Nie widzi mi się, co by co knuł, wsza dowska mość.

- Wierzysz mu? - zapytała Idnn.

- A bo ja wiem, pani...

- Śmiało, powiedz coś więcej - zwrócił się do Unsa Beel. - Mów. Nie spotka cię kara.

- On sam w to wiesz, wsza dowska mość, tyle tylko. Nie łże, jeśli wiesz, co mam na myśli, wsza dowska mość. Ale mosze wcale tak nie jest.

Mani, ujrawszy Gylfa wężącego za strażnikami, zeskoczył z kolan Idnn i pognał w jego stronę.

- Rozumiem. - Beel skinął głową. - Mów, chłopcze. Nie ukarzę cię bardziej niż tego biedaka, który cię tu przyprowadził.

I Toug opowiedział mu i Idnn wszystko; powtórzył to samo, co poprzedniego wieczoru wyznał Unsowi. Kiedy skończył, Beel westchnął.

- Widziałeś gryfa na własne oczy?

Toug wyprostował się najlepiej jak potrafił, przekonany, że ja zachowałbym się tak samo.

- Tak, sir, to znaczy, tak, Wasza Lordowska Mość. Grengarma też widziałem, tylko że nie z bliska. Ale widziałem.

- Czy sir Able powiedział, że możesz zatrzymać jego konia, jego psa, siodło i torby przy siodle?

- Nie, Wasza Lordowska Mość. On... on...

- Gadaj.

- On tylko powiedział, że kiedy zostanę rycerzem, będę miał tarczę, Wasza Lordowska Mość, taką z gryfem. Powiedział mi też, co trzeba zrobić, żeby zostać rycerzem, takim jak on.

Idnn uśmiechnęła się.

- I zrobisz to, Tougu?

Toug miał ochotę wzruszyć ramionami, lecz tego nie uczynił.

- Zrobię, Wasza Lordowska Mość. Wiem, że nie będzie łatwo.

- Ale i tak spróbujesz.

- Tak, Wasza Lordowska Mość. Ja... nie zawsze będę potrafił, Wasza Lordowska Mość, wiem o tym. Ale następnym razem bardziej się postaram, jeśli będzie następny raz.

Idnn uśmiechnęła się szerzej, a była prześliczna, kiedy się uśmiechała.

- Nie będziesz Able'em?

- Nie, Wasza Lordowska Mość.

- Ale spróbujesz. Już jesteś podobny do niego. Byłbyś jeszcze bardziej podobny, gdybyś zwracał się do nas „panie” i „pani”. Nie należysz do naszej świty, a przynajmniej jeszcze nie.

Beel chrząknął.

- Pragniesz zostać rycerzem?

- Tak, panie. Taki jest mój zamiar.

- Możliwe. Będziesz z nami walczył, kiedy dogonimy Angronitów, którzy nas obrabowali?

- Mówiłem mu o tym, wsza dowska mość - wtrącił Uns.

- Tak, panie. Tyle tylko, że nie za bardzo mam czym walczyć.

Beel skinął głową.

- Do tej pory powtarzałem, że potrzebujemy każdego mężczyzny i każdej kobiety, a teraz widzę, że potrzebny nam nawet każdy młodzieniec. Chcę, żebyś odnalazł sir Garvaona. On uczy strzelać z łuku. Powiedz mu, że kazałem cię uzbroić w miarę możliwości.

- Tak, Wasza Lordowska Mość! - Toug, rozpromieniony, odwrócił się, by odejść.

Idnn uśmiechnęła się.

- Zaczekaj, Toug. Nie kazaliśmy ci odejść.

Speszony, odwrócił się w ich stronę.

- Przepraszam, Wasza Lordowska Mość. Nie chciałem nikogo obrazić.

- Wiem, że nie - odpowiedziała Idnn wciąż uśmiechnięta. - Chciałam tylko powiedzieć, że teraz jesteśmy biedni, ojciec i ja.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Toug zachował roztropne milczenie.

- Widzisz, siedzimy pod drzewem. A przecież kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się z sir Able'em, siedzieliśmy w jedwabnym pawilonie. Sądzymy, że Angronici są w pobliżu. Liczymy na to, że ich dogonimy i zaatakujemy dzisiaj albo jutro, a jeśli ich pokonamy, to znowu będziemy bogaci. Nie chcę przez to powiedzieć, że przywłaszczymy sobie podarki, które ojciec wiozł dla króla Gillinga. Po prostu odzyskamy to, co nasze, a mieliśmy dużo ze sobą - konie, pieniądze, broń, klejnoty i tym podobne. Zostało nam niewiele broni. Nawet nie starczy dla każdego. Ale jeśli wygramy, to podaruję ci tarczę. Tarczę z gryfem, taki prezent ode mnie.

Niedługo potem Garvaon zwrócił się do Touga:

- Nic ci nie mogę dać. Każdy szpikulec rozdany. A ten garbus sir Able'a?

- Mam kij i siekierkę, co ją go ciachłem. - Uns pokazał oba przedmioty. - Starczy jak na mnie, sar.

- Nie to miałem na myśli. Czy możesz dać chłopakowi coś, czym mógłby walczyć?

Uns zastanawiał się przez chwilę.

- Kija mu ciachnę może.

- Zrób to. - Garvaon zwrócił się do Touga: - Nie mogę dać ci żadnej broni. Jeśli więc zdołasz sam sobie coś wymyślić, choćby taki drań, jak ma garbus sir Able'a, to musi ci wystarczyć.

Garvaon spojrzał na ciemniejące niebo.

- Kiedy już dojdzie do bitwy, niektórzy polegną. Inni być może porzucą broń i uciekną. Jeśli sam nie uciekniesz, to coś sobie znajdziesz.

- Znajdę.

Surowe oblicze sir Garvaona, męża w średnim wieku, złagodniało.

- Spróbuj nie dać się zabić. Znajdź łuk i strzały, o ile to będzie możliwe.

Toug skinął głową.

- I przygotuj się na wczesną pobudkę. Pojedziemy szybko, bo oni są już niedaleko. My, jeźdźcy, będziemy musieli ich zatrzymać do czasu, aż nadejdą ci, którzy idą pieszo, choć nie na wiele się zdadzą. Masz konia sir Able'a.

Toug skinął głową, Uns zaś powiedział:

- A ja muła.

- W takim razie pojedziesz z nami. Jeśli nie nadążysz, postaraj się popędzić piechurów. To głównie kobiety.

Toug postanowił, że spróbuje przegonić Garvaona, jeśli to będzie możliwe.

- Mamy sześćdziesięciu dwóch ludzi - mówił dalej Garvaon. - Straciliśmy kilku po drodze. Z tego czterdziestu to konni i nie najgorsi jeźdźcy. Do tego dwadzieścia siedem kobiet, nie wliczając lady Idnn, która je poprowadzi. Nasi zwiadowcy wypatrzyli Gigantów Mrozu i wygląda na to...

- Nieważne - przerwał mu Toug i odszedł szybko.

Zbliżała się już noc, kiedy obaj z Unsem wybrali młode drzewo z niewielkiego zagajnika tuż za smugą pary wyznaczającej wschodnią granicę obozu. Uns powalił je trzema silnymi cięciami, kierując się w równym stopniu wyczuciem co wzrokiem, a potem ociosali je z gałęzi.

Niedługo potem, kiedy Toug szykował sobie na ziemi legowisko z sosnowych igieł i koców, które wyjął z torby przy siodle, Gylf przyniósł drugą torbę. Toug otworzył ją i znalazł w jej wnętrzu nóż o pojedynczym ostrzu z prostą rękojeścią z czarnego korzenia pnącza. Nóż był owinięty w szmatę i obwiązany oddartymi z niej paskami. Toug przywiązał go mocno do swojego drąga.

\* \* \*

Obudzili się przed świtem. Podobnie jak Uns, Toug zjadł na śniadanie trochę twardego chleba, który popił wodą ze strumyka. Kiedy weszło słońce, kłusował już razem z innymi, drząc w porannym chłdzie, a jego krótka dzida spoczywała w podpórce na włócznię, podczas gdy z torby przy jego siodle wystawał do połowy kot Idnn.

Kot nie dawał mu spokoju. Wystawił łeb i przednie łapy, dopiero gdy wyprzedzili o dobrą milę Idnn i maszerujące kobiety. Tougowi wydawało się, że z jednej strony powinien odwieźć kota z powrotem, z drugiej strony zaś podejrzewał, że wszyscy - także on sam - pomyśleliby, że chce uniknąć walki.

Garvaon wysunął się do przodu na jakieś pół długiego strzału z łuku od



końca kolumny, gdzie jechali obok siebie Toug i Uns. Z pewnością by go nie zauważył, gdyby Toug zawrócił, ale ktoś inny by zobaczył i podniósł wrzawę.

Co może zdziałać kot w bitwie z olbrzymami? Zabiją go, a przecież to kot Idnn. Jego też zabiją. Bo co może zdziałać jeden chłopak? Nic.

Kiedyś chciał należeć do Wolnej Drużyny. Obaj z Hafem uznali samych siebie za rozbójników i zaczęli się, czekając na kogoś na tyle słabego, kogo dałoby się obrabować. Na ofiarę wybrali młodszego od nich chłopaka, który obił ich obu. Co w walce z olbrzymami może zdziałać chłopak, który nawet nie potrafił obrabować młodszego od siebie?

Tyle co kot.

Przygnębiony przypomniał sobie o swoim postanowieniu, że wyprzedzi Garvaona i pierwszy dotrze do wroga. Teraz zastanawiał się, czy w ogóle do niego dotrze. Czy aby się nie przestraszy i nie ucieknie już na sam widok gigantów?

Biały ogier, który wcześniej należał do mnie, zwolnił.

- Znosi się na kłopoty - powiedział Uns na tyle głośno, że usłyszałem go pomimo tętentu sześćdziesięciu koni.

- Co? - Toug rozejrzał się.

- Za bardzo się posuwamy. Ci pieszo dogonią nas, jak już będzie po szyskim.

Toug wzruszył ramionami.

- A co by z nich był za pożytek?

- A z nas? - Uns uśmiechnął się niemrawo. - Jak nic ubiję więcej gigantów niż ty.

- Boisz się - powiedział Toug i wiedział, że tak jest.

- Dzie tam!

- Boisz się. Do tego masz kiepskiego wierzchowca. Nie możesz walczyć na mule.

- Można popробować!

Toug pokręcił głową.

- Zabiją cię. Dam ci zadanie do wykonania, które cię uratuje. Widzisz tego kota?

- A on nie jest lady Idnn?

Toug skinął głową.

- Pewnie wlażł do mojej torby, żeby pospać i teraz mnie zabiją, jeśli on

tam zostanie. Zabierz go do niej.

Mani schował się do torby.

- Ani mi się! - oświadczył Uns.

- Rozkazuję ci.

- A ja nie twój człowiek.

Uns uderzył piętami w boki muła i wysforował się o połowę jego długości.

- Jestem rycerzem - powiedział Toug i sam się zdziwił swoimi słowami - i ci rozkazuję. Zabierz go do niej!

Uns pokręcił głową, unikając jego spojrzenia. Rozgniewany Toug ścisnął piętami boki swojego ogiera i smagnął go wozami po kłębach.

Wtedy ogier poniósł.

Tougowi wydawało się, jakby zwała mu się na głowę cała kolumna. Zanim odzyskał oddech, opuścili Wojenny Trakt i galopowali przez faliste wzgórza porośnięte brązową trawą; siedział przyklejony do grzbietu, trzymając się kurczowo łęku, podczas gdy koń pędził mocno wyciągnięty i spieniony, gryząc mocno wędzidło.

Mani spoczywał triumfalnie na jego plecach, wczepiony pazurami w koszulę i potargane gęste włosy.

Zatrzymali się dopiero wtedy, gdy ogier się zmęczył.

- No - powiedział Mani - oto mniej więcej chodziło.

Toug spojrzął na niego z rozdziawionymi ustami, tak jak ktoś mógłby spojrzeć na zwierzę uczone czyjejś głowy i pleców.

- Powinieneś - mówił dalej Mani - sam zabić wszystkich olbrzymów, zanim zjawią się pozostali. Wtedy usiadłbyś na kupie trupów i roześmiał się, kiedy by nadjechał sir Garvaon ze swoimi ludźmi.

- Potrafisz mówić!

- Pewnie. - By móc swobodniej rozmawiać, Mani zeskoczył z ramienia Touga na moje wojenne siodło, w niewielkiej tylko części zajęte przez Touga. - Tyle tylko, że nie z każdym chcę rozmawiać.

Toug pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Na przykład stara Muld, do której należałem. Już nie żyje, lecz ja wciąż z nią rozmawiam. I jeszcze sir Able, mój późniejszy właściciel. Jeśli powiem, że on też nie żyje, to czy znowu się rozpłaczesz?

Toug pokręcił głową przekonany, że postradał rozum.

- No i lady Idnn, moja obecna właścicielka. No, i teraz ty. Bałeś się, że

będzie się o mnie martwiła?

Biały ogier zatrzymał się, by poskubać trawę, lecz Toug ledwo zwracał na niego uwagę.

- Nie sądziłem, że zwierzęta potrafią mówić.

- Jesteś odpowiedzialny za własne błędy - rzekł Mani. - W tym życiu i w innych. To jedna z niezmiennych zasad. Ale nie musisz się martwić. Jeśli już o to chodzi, to lady Idnn kazała mi jechać razem z bagażami. Bała się o moje bezpieczeństwo, co dobrze o niej świadczy.

- Nie posłuchałeś jej - wydusił z siebie Toug.

- Nie posłuchałem. Bo widzisz, żaden rozkaz wydany kotu nie ma mocy prawnej. Według prawa każdy kot stanowi prawo dla samego siebie. To jedna z zasadniczych różnic między kotami a psami. Gdyby tak wydała podobny rozkaz psu - to znaczy, gdyby go miała. Rozumiesz?

- Nie - odparł Toug w przeświadczeniu, że jest szczerzy jak nigdy wcześniej.

- Oczywiście ona nie ma psa - powiedział Mani przeprasającym tonem. - Nigdy bym nie wiązał...

Przerwało mu szczeknięcie, nie tyle głośne, co ostre. Toug obrócił się w siodle i zobaczył Gylfa biegnącego przez wzgórze, z którego dopiero co zjechali galopem.

- Poza starym psem sir Able'a - dokończył gładko Mani - o czym miałem wspomnieć. Sir Able był szlachetnym rycerzem, a ja i Gylf ogłosiliśmy zawieszenie broni, jako że jesteśmy zagorzałymi wrogami. Ale wrogami, którzy często współpracują dla wspólnego dobra, choć on próbuje zwykle wziąć więcej, niż mu się należy.

- Nie rozumiem, jak to możliwe, że kot mówi - powiedział Toug.

- A ja nie rozumiem, dlaczego inni tego nie potrafią. - Wyraźnie zadowolony z siebie Mani wygładził łapą wąsy. - Gylf próbuje, lecz bez większych rezultatów, że tak powiem. Skorzystasz z mojej rady dotyczącej gigantów?

- Żeby ich zabić? Nie dałbym rady, a poza tym nawet nie wiem, gdzie oni są.

- Ja wiem. I Gylf też, jak sądzę.

Gylf skinął łbem i usiadł w długiej suchej trawie.

- Kiedy byliśmy na górze - Mani pokazał prawą łapą na szczyt wzgórza - widziałem na północy gospodarstwo. Dokoła kręcili się olbrzymi i było też

całkiem okazałe stado koni i mułów. Nie sądzisz, że to oni?

- Na to wygląda - przyznał Toug.

- W takim razie musisz tylko...

Przerwał mu tętent galopującego konia. Grzbietem wzgórza jechał młodzieniec w kolczudze i stalowej czapce.

## ROZDZIAŁ 2

### SZY TO KBOT?

- Czy to nie pies sir Able'a przy tobie?

- Czemu pytasz?

- Tak, to on. Wszędzie bym go poznał. Witaj, Gylf, stary przyjacielu! Pamiętasz mnie?

Gylf zawarczał.

- Lady Idnn powiedziała, że chłopak, który twierdzi, że widział, jak zmarł sir Able, ma jego konia i psa, ale to nie jest jego koń.

- Tego podarował mu jej ojciec - powiedział Toug.

- Aha! To wyjaśnia wszystko. A zatem ty jesteś tym chłopakiem.

- A ty jesteś mężczyzną!

- A jakże!

- Skoro tak to i ja nim jestem. - Przy pomocy pięt i wodzy Toug podprowadził kulejącego białego ogiera do czarnego wierzchowca przybysza.

- Chcesz walczyć pieszo czy konno?

- A ty chcesz walczyć? - powiedział obcy lekko drwiącym tonem. - Zginiesz.

- Konno czy pieszo?

- Konno - odpowiedział obcy z całkiem już wyczuwalną drwiną.

Grubszy koniec prowizorycznej lancy Touga trafił przybysza prosto w twarz, wyrzucając go z siodła. Gylf dopadł go w jednej chwili i przysunął kły do jego gardła, mimo iż młodzian bronił się obiema rękami.

- Nie - zawołał Toug. Gylf, który stawał się coraz większy i ciemniejszy, skurczył się i wycofał.

- Zięki. - Przybysz usiadł i splunął krwią, ta płynęła strużkami także z jego twarzy i szyi. - Poddaję się. I prozę, żebyś mi nie zabierał konia na tym pustkowiu. Bo już nie mam prawa do Wschodu Księżyca... - Znowu splunął krwią.

- Wstań i oddaj mi swój miecz - powiedział Toug.

Przybysz dźwignął się niezgrabnie na nogi i podał mu broń.

Toug oddał mu ją.

- Możesz zatrzymać konia, miecz i co tam jeszcze masz - powiedział i zaraz dodał ożywiony kolejną myślą: - Poza żywnością. Oddaj mi połowę.

Przybysz skinął głową. Z ręką na krwawiącym nosie otworzył torbę przy siodle i wyjął z niej wypieczony chleb, ser zawinięty w białe płótno, a także fasolę i suszone mięso. Potem rozwinął ser i sięgnął po pozłacany sztylet.

- Nie musisz go kroić - zwrócił się do niego Toug. - Zatrzymaj ser, a mniej daj mięso, połowę chleba i połowę fasoli.

Gdy już się podzielili, Toug schował zdobycz do torby, w której przedtem siedział Mani.

- A teraz powiedz mi, kim jesteś.

- Nazywam się Zwon. Jeźdem giermkim zer Able'a, a raczej byłem. On naprawdę nie żyje?

Toug skinął głową.

- Co tu robisz?

- Szukam go. - Przez chwilę wydawało się, że Svon chce powiedzieć coś jeszcze, lecz tylko splunął krwią.

Toug uznał, że nos Svona jest złamany.

- Dlaczego nie było cię przy nim, kiedy ja z nim byłem?

- Żałuję, że z nim nie byłem. Umarłbym z nim. Chciałem.

- Ale cię nie było. - Toug zsiadł z konia. - Usiądź. Mów, a ja cię opatrzę. Masz coś, co by się nadawało na opatrunek?

Svon podał mu swoją zapasową koszulę, którą pocięli na pasy.

- Opuścił mnie - powiedział Svon, podczas gdy Toug obwiązywał mu nos. - Był na mnie zły, ale nie winię go za to. Szam byłem na siebie zły.

- Uhu. - Toug próbował zawiązać ciasno prowizoryczny opatrunek.

- Powinien był mnie zbić, ale tego nie zrobił. Poszedł w las i zosztawił mnie ze swoimi służącymi. Sztraszny człowiek.

- Widziałeś mojego kota?

- Czo?

- Mojego kota - powtórzył Toug. - Właściwie to należy do lady Idnn, ale opiekuję się nim. Naprawdę wielki czarny kot z zielonymi oczami. Widziałeś go?

- Nie - odpowiedział Svon. - Nie wiziałem kota.

- Gylf będzie wiedział, dokąd poszedł kot? Wrócił do niej?

Pozostając poza zasięgiem spojrzenia Svona, Gylf skinął łbem.

- Sam poszedł do lasu? - zapytał Svona Toug. - Mam na myśli sir Able'a.

Svon skinął głową.

- Po prostu poszedł szobie i nasz zosztawił. - Jakby się zawahał na chwilę. - Znasz go dobrze?

Toug znieruchomiał na moment, zastanawiając się nad tym pytaniem, lecz ani ciemne niebo, ani szaro-brązowe pagórki niczego mu nie podpowiedziały. Wreszcie powiedział:

- Nie znałem go zbyt długo, ale mam wrażenie, że wiem o nim więcej niż o większości ludzi, których spotkałem. Kiedyś rozmawialiśmy i ścigali nas rozbójnicy, a przynajmniej tak mi się wydaje, że nas ścigali, zanim udaliśmy się do Aelfrice. I... i wiele innych rzeczy. Na jakiś czas straciłem mowę, ale on mi pomógł.

- Jeszt czarnoksiężnikiem. Wiesz o tym?

Toug wzruszy! ramionami.

- Moja siostra tak mówiła.

- Dobrze mówiła. Książę dał mnie do niego chyba za karę. W każdym razie zer Able przeklął mnie po tym, jak mnie zosztawił. To znaczy mnie i szwojego służącego. Jego Miloszcz dał mnie zer Able'owi, a zer Able dał mnie wizialnemu potforowi.

Toug po raz kolejny przestał rwać pasy z koszuli.

- Co?

- Wizialnemu potforowi. Jez tam, ale trudno go zobaczyć. Nie wierzysz mi?

- Nie - odparł krótko Toug.

- Prawdę mówię.

- Chcesz powiedzieć, że jest tu potwór, którego nie widzimy, a który nas słyszy?

Svon zamrugał, kiedy poczuł bandaż zaciśnięty na swojej szyi.

- Ten piesz chciał mnie zabić, tak? Guf, czy jak tam się nazywa. Piesz zer Able.

- Pewnie.

- Zamienia się w coś innego, kiedy to robi. Na pewno widziałeś.

Toug nic nie odpowiedział.

- Ź normalnym pszem, bym szobie chyba poradził. Nawet ż dużym. Ale on zaczął się zmieniać.

Svon czekał, aż Toug coś powie, lecz ten milczał.

- Chcesz wiedzieć, czy jeszt tu potwór? Odpowiedź brzmi tak. Ale to nie jeszt mój potwór. To jeszt potwór, którego dał mi zer Able. To twój potwór.

Toug popatrzył na Gylfa, a potem znowu odwrócił się do Svona.

- Chce usłyszeć coś o twoim. Dlaczego go tu nie ma?

- Bo jechałem żybko. A on nie może podróżować tak żybko jak koń. Ale jak się zatrzymuję gdzieś na dzień, to mnie znajduje. Próbowałem wrócić do domu, kiedy zer Able mnie zosztawił. Opowiadałem ci o tym?

- Chyba nie. - Toug sprawdzał opatrunek, wycierając dłonie w to, co zostało z koszuli.

- Jechaliśmy na północ - wyjaśnił Svon. - Zer Able miał się usztawić przy górskiej przełęczy. Kiedy mnie zosztawił, jego służący powiedział, że będzie jechał dalej i że zer Able na pewno wróci. Uznałem, że zer Able dał szobie sztym szpokój i tak było.

- Czy on miał na imię Pouk?

Svon obrócił się gwałtownie i spojrział na Touga.

- Szkaąd wiesz?

- Czy była z nim moja siostra? Moja siostra Ulfa?

Svon chciał potrząsnąć głową, jednak bolący nos wyraźnie mu to utrudnił.

- Boli.

- Pewnie, ale na to już nic nie poradzę. Była z nim?

- Nie. Tylko ja, zer Able i jego służący. No i potwór, i ten piesz. Myszałem, że zosztal ze służącym, czo by było dobrze, bo nie chciałem, żeby mi przypominał o zer Able'u. To nie ja go zosztawiłem, ale on mnie, więc z posztanowiłem wrócić do domu. Pomyślałem szobie, że poszłe po mnie, jak mnie będzie chciał.

Toug skinął głową.

- Niedługo potem zjawił się ten potwór. - Svon przełknął ślinę. - Raż go dotknąłem. Chyba ramię dotknąłem i to było jakbym dotknął największego węża w Mythgaszcie.

- Albo smoka - zasugerował Toug.

- Właśnie. Dokładnie tak. Gorący. I wtedy uznałem, że muszę wracać. Nie ociągałem się. Jechałem szybko, ale nie aż tak, żeby zmęczyć konia. Jechałem jakiś czas, ale potem wróciłem. Znaleźliśmy się w górach, a tam były wielkie gbury, takie czo mieszkają w jaskiniach. Na pewno je widziałeś.



Toug pokręcił głową.

- Masz na myśli olbrzymy? Nigdy ich nie widziałem.

- Angronici? Nie aż tak duzi. Po prostu bardzo duzi. Pomysłał o największym, jakiego widziałeś, człowieku, a ci byli jeszcze tyle więksi. - Odmierzył dłońmi jakiś łokieć.

- Rozumiem.

- Dałem im podarunki i zdobyłem ich przyjaźń. A przynajmniej tak myślałem. Potem jak zaszwieciły gwiazdy, pojawił się jeden przy moim obozie. Usłyszałem i zawołałem, żeby szobie poszedł. Wydawało się, że szobie poszedł, ale niedługo potem wrócił. Wtedy potwór go złapał i zabił. Słyszałem, jak się rzuca, jak umiera, a potem słyszałem chrzęst kości.

- I potem pojechałeś szybko.

Svon przytaknął, nieznacznie poruszając głową.

- Wształem jeszcze przed wschodem i ruszyłem. Wyprzedziłem lady Idnn, która prowadzi pieszych. Powiedziała mi, że jej ojciec jedzie z przodu ze zbrojnymi i że jest tam też chłopak - to znaczy mężczyzna. Mężczyzna, który był przy śmierci zer Able'a. Wyjaśniłem, że szukam zer Able'a. Nie spotkałem nigdzie barona i jego zbrojnych. Miałem jechać na skróty, tam gdzie droga skręca szerokim łukiem.

- Tak jak ja - powiedział Toug.

- Ale cię zobaczyłem i przyjechałem tutaj. To ciebie miała na myśli lady Idnn?

- Tak - odparł smętnie Toug. - Z pewnością mnie miała na myśli.

- Wiziałeś, jak umiera? Wiziałeś, jego ciało?

Toug pokręcił głową.

- Wpadł do morza.

- Tutaj? To niemożliwe!

- Nie wiesz, co jest możliwe. - Toug poszedł za swoim koniem, przytrzymał go i dosiadł. - Wydaje ci się, że wiesz. - Znowu powróciły gwałtownie wspomnienia o Disiri i gryfie. - Każdego dnia mają miejsce rzeczy, które wydają ci się niemożliwe. Czy lady Idnn powiedziała ci, że zamierzamy walczyć z olbrzymami?

- Tak. - Svon też wstał, lecz o wiele wolniej. - Na mnie chyba nie macie czo liczyć - jestem mocno osłabiony.

- Rób, co możesz. - Toug był pewny, że ja bym powiedział to samo. - Jadę im się przyjrzeć. A potem wrócę do sir Garvaona i lorda Beela i powiem im...

Urwał, gdyż w tej samej chwili zobaczył Maniego, który wyłonił się z wysokiej trawy i przyglądał mu się.

- Przepraszam - powiedział - ale muszę już iść.

- Czy to kot? - zapytał Svon, podczas gdy Mani wykonał długi skok i zaczepił pazurami o brzeg siodła Touga. - Lady Idnn mówiła, że zginął jej kot. Zawieszysz go do niej?

- Nie teraz. Upewnię się tylko, że nic mu nie jest. Ty możesz wracać na drogę. Rób zresztą jak chcesz.

Pozostawiony samemu sobie Svon wyjął z torby flaszkę z wodą i ponownie usiadł. Wypieczony chleb był twardy i suchy, ale zachował smak. Popijając, jadł go nawet z przyjemnością, a ser, który mu zostawił Toug, smakował jeszcze bardziej. Rany po zębach Gylfa piekły, ale bardziej dokuczał mu nos, z którego wciąż sączyła się krew. Tak więc zajęty jedzeniem i piciem mógł na chwilę zapomnieć o bólu.

Kiedy skończył, zdjął stalową czapkę i obejrzał swoją twarz w wypolerowanym metalu. Szlachetni panowie rzadko kiedy miewali złamane nosy, ale rycerzom się to zdarzało. To go tytko utwierdzało w przekonaniu, że nie będzie rościł pretensji do ojcowizny. Jako rycerz może otrzymać własne ziemie. Oczywiście nie rozległe, uśmiechnięte pola ojca ani nic, co by przypominało jego zamek. Może jakieś nieduże dobra lenne, na które będą pracować okoliczne gospodarstwa. Wołał nie być od nikogo zależnym. Mógłby ćwiczyć ciężkozbrojnych brata.

To nie siekiera, Olafr. (Jego własny głos przemawiał doń w umyśle.) Połóż tu kciuk równolegle do ostrza. Równolegle znaczy w tym samym kierunku. Nie, nie musisz tego pamiętać. To znaczy, powinieneś pamiętać o kciuku, a nie, co znaczy równolegle. Zapamiętaj, co ci powiedziałem o kciuku i pamiętaj, że nie wolno rąbać drewna mieczem. Dbaj o swój miecz, a on...

Dobra lenne byłyby lepsze. Znacznie lepsze.

Zamknął oczy z bólu. Tylko dzieci płaczą. Zdusił szloch, ale łzy i tak popłynęły po twarzy, zalewając coraz bardziej sine oczy.

Kiedyś uważał siebie za przystojnego, ale już nigdy nie będzie przystojny; chętnie pogodziłby się z brzydotą, gdyby tylko ustał ból.

Powinienem był zabrać wino, pomyślał. Po chwili przypomniał sobie, że je zabrał i już wypił. Wschód Księżyca, który skubał spokojnie trawę, uniósł łeb i postawił uszy.

Svon założył z powrotem hełm, wstał i poluźnił miecz w pochwie. Zadaj pchnięcie w krocze, żeby opuścił tarczę, a potem pchnij w twarz. Lecz pęd zbójców...

To tylko chłopak wrócił. Nowy służący sir Able'a, czy kim tam był, z nożem przywiązany do kija, kotem absurdalnie usadowionym na jego ramieniu, i tym koszmarnym psem, który biegł obok konia. Svon podbiegł do swojego wierzchowca i chwycił za wodze, lecz chłopak - Toug? - był już na ziemi.

- W tamtą stronę jest gospodarstwo. - Pokazał ręką. - Niedaleko. Olbrzymi tam się zatrzymali. Spróbuję się podkraść i wybadać, co się dzieje. Potem będziemy musieli odszukać sir Garvaona i lorda Beela i sprowadzić ich tutaj. Chcę, żebyś pilnował koni, kiedy mnie nie będzie.

- Nie - odparł Svon. - Możemy je spętać.

- Ale ja chcę...

- Idę. A gdybyś był rozsądny, to byś pojechał po jeźdźców, a mnie wysłał na przeszpiegi.

Później, kiedy widzieli już przysadziste zabudowania, Toug wyszeptał:

- Tam powinien być starzec. Ślepy przyjaciel, który szuka sir Able'a.

## ROZDZIAŁ 3

### ZIELONY RYCERZ ZE SKAI

- To jeszt Bertold, panie - powiedział do Beela Svon. - Ten tu Tuug go znalazł.

- Ty go znalazłeś - wtrącił Toug.

- Ty mi powiedziałaś, Tuug, że on tu jeszt. Gdybyś nie powiedział, to bym nie wiedział o nim ani czo z nim zrobić, kiedy go znalazłem.

- Co ci się stało w nos? - zapytał Beel.

Svon z trudem się uśmiechnął.

- Tuug mi go złamał. Mieliśmy szpeczkę i on wygrał.

- Svon wygrał drugą.

- Na słowa - wyjaśnił Svon. - Tuug wygrał w walczę, ale był szczodrym zwycięzcą.

Chwilę później odezwał się Bertold, po raz pierwszy odkąd zsiadli z koni.

- Niezły chłopak z tego Touga. Przypomina mi mojego brata. Dużo macie ludzi, sir?

- Mów mój panie - warknął Garvaon.

- Z sześćdziesięciu - odpowiedział Bertoldowi Beel.

Bertold wciągnął powietrze przez zęby, które mu jeszcze zostały.

- Może wystarczy. Potrafią walczyć?

- Będą musieli - odparł Beel z ponurą miną.

- Też bym stanął, ale nie widzę.

- Przysłużysz się nam bardziej językiem niż mieczem. Zamierzają zostać na noc? Wtedy piechurzy zdążyliby tu dotrzeć.

- Nie, sir. Przyszli ta i zobaczyli, że nie ma Bymira. Sir Able - Svon i Toug znają go - zabił go dla nas. Ale oni tego nie widzieli. Wyciągnęliśmy go sprzężajem i zakopaliśmy w miękkiej ziemi, a potem ustawiliśmy tam stóg siana. Kobiety się ukryły, a ja powiedziałem, że on gdzieś poszedł i kazał mi pilnować inwentarza. I powiedziałem, że nie mogę ich nakarmić bez jego zgody. Uwierzyli, sir, tak jak się spodziewałem. A kiedy jedli,

wysmyknąłem się i potem znalazł mnie ten tu Svon. Ale nie zostaną. Pójdą dalej.

Garvaon otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Beel powstrzymał go gestem dłoni i sam się odezwał:

- Skąd to wiesz, Bertoldzie?

- Bo by mi kazali rozładować muły i konie juczne. A nic o tym nie mówili, tylko straszili, że mnie zabijają, no to wtedy się wysmyknąłem i poszedłem szukać sir Able'a. Myślałem, że może jest gdzieś w pobliżu.

Beel spojrzał na Touga, lecz ten pokręcił głową.

- Jesteś jego przyjacielem?

- Tak! Miał nas stąd zabrać, mnie i Gerdę. To on zabił Bymira. Dlatego Gerda została ze mną, sir, bo sir Able miał nas zabrać w drodze powrotnej z ogromnego zamku na północy. Tylko że jak dotąd jeszcze nie przyszedł.

- My przyszedliśmy - rzucił Garvaon z pewnym zakłopotaniem - i być może to wystarczy.

- Mam nadzieję, sir.

Z oddali dobiegł okrzyk strażnika, a Garvaon mruknął:

- Idą. - Wskoczył na konia, zanim Toug zdążył zapytać, co to znaczy.

\* \* \*

Wydawało się, że najlepiej będzie, jak Angronici oddalą się nieco od gospodarstwa. Potem Garvaon ustawił jeźdźców w szerokim półkolu, wzmocnionym na obu końcach, tak by otoczyć olbrzymów, zostawiając im wąską drogę ucieczki na północ. Celem było (co Garvaon i Beel wyjaśniali trochę mętnie, zdaniem Touga) nie tyle zabicie Angronitów, co raczej oddzielenie ich od ich jucznych koni. Mieli nadzieję, że olbrzymi porzucą swoje zdobycze, kiedy się zorientują, że są niemal szczelnie otoczeni. Svon otrzymał pozycję na środku półksiężyca z Tougiem po swojej lewej ręce i Unsem po prawej. Toug zastanawiał się, czy Svon jest w ogóle zdolny do walki - domyślał się, że Garvaon umieścił go tam ze względu na jego kolczugę i hełm, licząc na to, że olbrzymi wezmą go za rycerza.

- Tuug, gdzie jest piesz zer Able'a? - Porywisty wiatr porwał słowa Svona.  
- Może być nam potrzebny.

Touga przyznał mu w duchu rację, lecz tylko wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Wiźnij na niego, możesz?

Toug zagwizdał głośno i przeciągle, lecz bez rezultatu.

Uns machnął ręką.

- Może tam gdzie tyn duży dom, w tyj dużej stodole. U widziałem tam kota pani. Na myszy polował pewnikiem.

Zagrała trąbka i ustawieni w półkole ludzie ruszyli do przodu, jedni zbyt szybko, inni za wolno.

- Zachować szyk! Zachować szyk! - zawołał Svon. Nieliczni go posłuchali - zdawali się wręcz rozumieć, co ma na myśli. Pocwałował, by powstrzymać tych zbyt porywczych i pogonić maruderów.

Ich nierówna szarża zdawała się trwać długie godziny. Toug kilkakrotnie dodawał sobie odwagi, a jego okresy gotowości do walki nigdy nie trwały dłużej niż trzy kroki białego ogiera. Aż wreszcie (o wiele za wcześniej) zobaczyli Angronitów. Trębacz dał sygnał do ataku. Toug opuścił lancę zrobioną z mojego noża i drąga i wsadził sobie pod pachę jej koniec, po czym ścisnął piętami boki konia.

Następne trzy lub cztery minuty stanowiły pandemonium kurzu, odgłosów i zamieszania. Obładowany muł zakończył szarżę; ogier wpadł na niego z impetem i oba zwierzęta runęły w zawieruchę wierzgających kopyt, w brzęku pucharów wielkości waz na zupę. Kiedy Toug gramolił się nieporadnie, nad jego głową błysnął miecz długi niczym wał tkacki i na szczęście już lśniący od czyjejś krwi.

Musiał znaleźć swoją lancę i złapać lejce, bo znowu dosiadał konia, posiniaczony i mocno otumaniony.

Dokoła rozlegały się ryki Angronitów, rżenie mułów i koni, a także krzyki, wrzaski i jęki. Tuż przed nim wyrósł olbrzym. Być może jechał mu na spotkanie; może zaatakował go swoją prowizoryczną lancą albo uciekał. A może jechał, zaatakował i uciekał. W jego umyśle pozostał tylko chaotyczny obraz.

W pewnym momencie zorientował się, że za nim w siodle siedzi jakiś służący. Wyjęto mu wodze z dłoni. Oddalali się od bitwy w towarzystwie jakichś dwudziestu albo trzydziestu ludzi; mój nóż wisiał na końcu kija Touga, przekrzywiony i ociekający czymś, czego kropla spadła mu na twarz, kiedy podniósł drąg. Jego ogier przeszedł w ciężki kłus.

Odwrócił się i chwycił za wodze, pragnąc powiedzieć, że uciekają, a

przecież nie powinni, i że muszą dalej walczyć i wygrać, lecz służący trzepnął go w ucho, pogrążając w nocy, w której nikt nie walczył.

Kiedy już był w stanie utrzymać się na nogach, zobaczył rozproszonych i przestraszonych ludzi z łukami. Nie widać było groźnej chmury strzał, jaka pojawiała się w opowieściach, które wcześniej słyszał. Co jakiś czas leciała tylko pojedyncza strzała podobna do samotnego ptaka o zmierzchu, którego cichy śpiew mąci puste powietrze.

Gdy spojrzął na północ, zobaczył ogromne postacie Angronitów oddalających się przez pole prosa dorównującego wysokością człowiekowi - zdradzało obecność pędzonych przez nich zwierząt. Nad olbrzymami i zwierzętami przeleciał klucz szarych gęsi, trzy ptaki z jednej strony i dwa z drugiej. Zawodziły niczym zardzewiałe zawiasy i zmagaly się z gwałtownym wiatrem. Utworzony przez nie grot wydawał się bardziej prawdziwy i skuteczny niż te z wystrzeliwanych strzał. Król olbrzymów wypuszczał gęsi z wałów obronnych swojego zamku, pomyślał Toug, zamku podobnego do tego, który widział, kiedy gryf walczył ze smokiem ponad chmurami.

Leniwie spojrzął dalej, osłaniając oczy, w kierunku dwóch - nie, czterech - szkarłatnych punkcików, które ukazały się wzdłuż pasma brązowych wzgórz. Ciemniejszy na tle nieba jeździec pochylił się, jakby podnosił coś z trawy. Kiedy się wyprostował, trzymał w dłoni światło mniejsze niż kwitnący szkarłat, które sprawiło, że jego wierzchołek przesunął się w bok. Stojąc w siodle - co ledwo dało się zobaczyć z takiej odległości - rzucił mniejsze światło w kierunku zachodu; iskra popłynęła łukiem wysoko na tle chmur.

Chwilę później skierował konia na południe, w kierunku Touga. Pędzone wiatrem purpurowe światła mknęły równie szybko jak on; oddech, jeszcze jeden, przenikliwy zapach dymu.

Oddaleni o niecały strzał z łuku Angronici zatrzymali się i jakby się naradzali. Jeden z nich wykonał gest ręką. Garvaon galopował w ich stronę uzbrojony w miecz, a Svon dotrzymywał mu kroku, a nawet go wyprzedził. Toug puścił się biegiem, krzycząc, choć sam nie wiedział co, i machając do ludzi z tyłu, aż wreszcie śniade ramię zebrało go z ziemi i posadziło na kłębach rozpędzonego muła.

- Ni masz czym walczyć. - Głowa Unsa znajdowała się poniżej jego głowy. - Ani miecza, ani nic. Ubiliby cię, nawet jakbyś miał ten miecz, co o nim mówisz.

Muły i konie pędziły w ich stronę przez proso, gnane głośnymi okrzykami

Angronitów i ogniami, których ci się bali. Usiłując zapanować nad swoim mułem, Uns zwolnił nieco uścisk, a wtedy Toug zsunął się z grzbietu zwierzęcia, przeturlał po ziemi i zerwał na nogi.

Nie znalazł żadnej porzuconej broni, lecz biegł przed siebie, uskakując na prawo i lewo, by ominąć przestraszone zwierzęta. Dotarł już prawie do najbliższego z olbrzymów, gdy niespodziewanie na Angronitę skoczyła jakaś ogromna, ciemna bestia - Toug zdążył zobaczyć płonące ślepie i żarłoczny pysk. Chwilę później bestia znikła, a olbrzym leżał martwy u jego stóp.

Za pasem olbrzyma tkwił wsunięty nóż wyposażony w drewnianą rękojeść długości przedramienia Touga. Ostrze było dwukrotnie dłuższe niż rękojeść. Toug wyciągnął nóż i zacisnął na niej dłoń, która, choć gruba, zwięzła się przy głowicy i gardzie na tyle, że mógł chwycić nóż tak, jakby trzymał drąg.

Oczy łzawiły mu od dymu i zaczął kasłać. Gdy znowu mógł coś zobaczyć, ujrzał rycerza ubranego na zielono i złoto, który dosiadał siwka większego niż wszystkie konie, jakie Toug kiedykolwiek oglądał.

- Czy to ty, Toug? - Rycerz przesunął tarczę na plecy i zdjął hełm ze smokiem na czubku. - Kto cię uderzył?

- Sir Able!

\* \* \*

Wciąż spowijał nas dym, kiedy pomogłem mu dosiąść konia.

- Uważaj na ten miecz, kolego. Lepiej trzymaj go ukosem.

Poprawił broń, kaszłąc.

- Zdobyłem go od olbrzyma - rzekł, łapiąc powietrze - a lady Idnn obiecała, że da mi tarczę.

Kiedy już dym ustąpił, powiedziałem:

- Jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakiej rycerz musi się nauczyć, jest to, jak posługiwać się bronią, by nie zranić swojego konia. Powiedział mi to mistrz Thope, ale wiedzieć to jedno, a robić, to coś innego.

Toug wyciągnął szyję.

- Zabiłeś jakichś olbrzymów?

- Chodzi ci o to, czy dzisiaj zabiłem jakichś mieczem? - Zwolniłem Chmurę, która teraz szła wolno, a ja mogłem rozejrzeć się po polu walki. - Niejednego. A i Gylf chyba uporał się z kilkoma.



Idnn i jej kobiety przybyły, zanim Toug powiedział:

- Czy ten ogień nie zabije wszystkich?

- Wątpię - odpowiedziałem. - Bitwa przenosi się dalej, a poza tym idzie burza. Śnieżna burza, sądząc po zapachu wiatru. Czeka nas jeszcze dużo pracy.

Zrobiliśmy, co trzeba, choć dłużej zajęłoby mi opisanie wszystkiego, niż trwała sama walka - bo trzeba było pędzić w śniegu muły i juczne konie. Noc spędziliśmy w dużym domu, który wcześniej należał do Bymira. Siedzieliśmy przy buzujących ogniem paleniskach. Toug znalazł mnie w stodole, gdzie mistrz Egr i jego poganiacze mułów zdejmowali bagaże z grzbietów zwierząt, karmili je i poili.

- Ja... chciałem z tobą porozmawiać, sir Able. Czy mogę?

- Czy wolno mi. - Zostawiłem Chmurę i spojrzałem na niego, starając się zachować powagę. - Dobra, jeśli masz ochotę na pracę. Masz?

- Pewnie! Cokolwiek.

- Tylko że jesteś zmęczony i masz obolałą twarz.

- Twarz Svona jest bardziej obolała, a on dużo robi.

- Ale nie rozkulbaczył konia i nie dopilnował, żeby mu nie brakło wody i owsa. Przynajmniej jeszcze nie.

- Pomaga lordowi Beelowi i lady Idnn.

- To dobrze. - Podniosłem rękę na wysokość oczu i przejechałem zgrzebłem po grzbiecie Chmury. Kiedy doszedłem do ogona, podałem narzędzie Tougowi. - Wiesz, co to jest?

- Nie, sir.

- Zgrzebło. Taki grzebień do czyszczenia sierści. Gdybym miał giermka, to on by się zajął moim koniem - nie dlatego, że uważam, iż to nie jest ważne, ale żeby się nauczył. Bo kiedy sam zostanie rycerzem, może nie mieć nikogo, kto by się zatroszczył o jego konia.

- Masz giermka, sir Able. Jest nim Svon. Tak mi powiedział.

Pokręciłem głową.

- Gdyby Svon był moim giermkim, byłby tutaj i zajmowałby się Chmurą,

- Boi się ciebie. Tak mi się wydaje.

- Jest coś jeszcze tutaj, czego o wiele bardziej powinien się obawiać. Czy Uns wie o tym?

- Widzialny potwór? Nie wiem, sir.

- Powiedz mu, kiedy go zobaczysz. A teraz pokażę ci, jak powinieneś

zająć się koniem. Jesteś gotów na naukę?

Toug skinął głową, zerkając na rumaka.

- Możesz mówić, kiedy będę pracował?

- Tak. Boisz się Chmury?

- Trochę. Jest wielka.

- Wielka. Ale wielkość nie ma tu nic do rzeczy. Narowisty koń jest bardzo niebezpieczny, nawet jeśli nie jest zbyt duży. Łagodny może cię skrzywdzić niechcący, ponieważ jest większy od ciebie i silniejszy, Ale to mało prawdopodobne. Człowiek, o którym mi opowiadałeś - ten, który cię uderzył - bardziej ci zagraża niż ja. To tak jak z końmi.

Toug ponownie kiwnął głową z pewnym powątpiewaniem.

- Najpierw musisz zdjąć siodło i podkład. Siodło męczy konia tak długo, jak długo pozostaje na jego grzbiecie. Jeśli kiedykolwiek zdejmowałeś je, to wiesz, dlaczego tak jest. Podkład jest przeпоcony, więc też trzeba go zdjąć. Jeśli koń jest rozgrzany albo stoi na zimnie, to powinieneś go czymś przykryć. Czymś suchym, czystym i ciepłym. Ale tutaj nie musimy tego robić.

- Rozumiem - powiedział Toug.

- Dobrze. Koń nie myśli tak jak ty, ale dobry wierzchowiec słyszy twoje myśli lepiej niż ty słyszysz jego myśli. Musisz pilnie nasłuchiwać, a twoje słuchanie zaczyna się od tego, że wiesz, iż twój koń może być głodny, spragniony, zziębnięty czy samotny tak samo jak ty. Jeśli tego nie wiesz, to on będzie wiedział, że nie wiesz.

- Sir Able, ty...

- Będzie się to przejawiało w drobiazgach, małych rzeczach, których możesz w ogóle nie zauważyć. To one decydują o wygranej lub przegranej bitwie. Chcesz zadać pytanie?

- Umarłeś, sir Able. To znaczy, myśleliśmy, że tak się stało.

Wzruszyłem ramionami.

- Czy to ważne? Teraz jestem tutaj i oddycham tym samym zakurzoną powietrzem co ty. Myślisz, że jestem duchem? Jeśli chcesz, to przekłuję sobie palec, żebyś zobaczył moją krew.

Toug potrząsnął głową.

- To dobrze. Żyję, Tougu, tak samo jak ty. Kiedy posilaliśmy się dzisiaj wieczora, kilkudziesięciu ludzi widziało, jak jadłem. Jedzenie jest dowodem. Duchy tego nie potrafią.

- Tego nie wiedziałem.

- Teraz już wiesz. Czy to moja kolczuga z połączanymi kółkami? Dostałem ją razem z Eterne. - Dotknąłem miecza, ale go nie wyciągnąłem. - Pochwa z pasem była do niej przyczepiona. Wziąłem miecz, kolczugę i wszystko inne. Co byś zrobił po tym, jak już zdjąłem siodło i podkład i przykryłeś konia, jeśli tego potrzebował?

- Zdjąłbym uzdę - powiedział Toug. - Potem bym go napoił i dał mu coś do zjedzenia, jeśli bym miał. Tak robiłem z twoim poprzednim koniem.

Skinąłem głową.

- A potem?

- To wszystko.

- Potem powinienesz sprawdzić mu kopyta. Podnieś teraz prawą tylną nogę Chmury i sprawdź jej kopyto. Poświecę ci latarnią.

Toug wykonał polecenie, ale wyglądał tak, jakby spodziewał się, że kopyto może wybuchnąć w każdej chwili.

- Nie bój się. Jest do tego przyzwyczajona. Wie, że robisz to, bo chcesz jej dobra. Jakies kamienie?

- Nie, sir. Czy wolno mi spytać, skąd ją masz?

Stojące dokoła konie i muły poruszyły się niespokojnie, a poganiacze roześmieli się i zaklęli. Wreszcie zapytałem:

- Czy podkowa jest zdarta?

- Nie, sir.

- A może gwoździe się obłuzowały?

- Nie, sir.

- To dobrze. Sprawdź tylne lewe kopyto.

Toug sprawdził.

- Myślisz pewnie, że nie chcę odpowiedzieć na twoje pytanie. Otóż chcę, ale zastanawiałem się, w jaki sposób to zrobić. Dał mi ją Valfather, ale to ci niewiele mówi. Czy patrzyłeś kiedyś na staw i widziałeś w nim odbicie Skai? Chmury, słońce, ptaki i tak dalej?

- Nieraz. To kopyto też jest w porządku. Tylko kto to jest Valfather?

- Niektórzy z twojej wioski modlą się do Disiri. Tak mi powiedziała twoja siostra.

- Owszem, sir. Uratujesz ją z Utgardu?

- Twoją siostrę? Pewnie. To jeden z powodów, dla których tu wróciłem. Sprawdź przednie prawe kopyto Chmury.

Toug podniósł nogę konia bardziej zdecydowanym ruchem.

- Mówiąc o Overcynach, nie mam na myśli Disiri ani jej ludzi. Ilu znasz Overcynów?

- No, jest Thunor... - Toug zawahał się. - I Gromowładca.

- To ten sam facet. Wymień innych.

Po długim namyśle Toug powiedział:

- Matka mówi, że Nerthis.

Roześmiałem się.

- A to mnie złapałeś. Nigdy o nim nie słyszałem.

- O niej.

- Wymień innych.

- Nie znam więcej, sir Able. To kopyto też jest w porządku. Sprawdzę drugie.

- Odkąd tu przybyłeś, wiele razy słyszałeś, jak ludzie się zaklinają, i być może jest to dobry sposób, żeby się dowiedzieć, kogo powinno się czcić. Jakie imiona słyszałeś?

- Uch... Frigg. I Forcetti? Czy to jest Overcyn, sir? Bo ja myślałem, że to miejsce.

- I jedno, i drugie. Miasto nazwano imieniem Overcyna, ponieważ ludzie mieli nadzieję na sprawiedliwość. To wszyscy? Chyba niezbyt pilnie słuchałeś.

- Fenrir i Sil, sir. I Wędrowiec.

- Tak już lepiej. Wędrowiec to właśnie Valfather. A teraz słuchaj uważnie. Widziałeś odbicie Skai w wodzie stawu. Ale ten staw i wszystko wokół niego, cały świat Mythgarthru, jest odbiciem Skai. Lord Beel podarował mi białego konia, którego zostawiliśmy, kiedy wspięliśmy się na gryfa. Może ci opowiadałem.

- Tak, sir.

- Valfather dał mi Chmurę. Źle wyglądasz. O co chodzi?

- Twój koń, ten, którego miałem, zanim tamten zrzucił mnie na ziemię. Ja... nikt się nim nie opiekuje, chyba że on.

- Rozumiem. To jest wciąż twój koń, Tougu, nawet jeśli został ci skradziony.

- Tak naprawdę to on nie jest mój, sir Able. Do ciebie należy.

- Daję go tobie. Już dałem. Poganiacze mułów powinni zająć się wszystkimi końmi, lecz jeśli on tu jest, to go odszukaj i upewnij się, że nic

mu nie brakuje. Uwiąż go przy Chmurze. I niech pęta będą dostatecznie długie, żeby mógł się położyć, i niech mu podsypią świeżej słomy.

Toug miał już odejść, lecz się zatrzymał.

- Wcześniej, zanim się tu zjawiłem, sam wszystko to robiłeś przy Chmurze, prawda? Sprawdzalesz kopyta i tak dalej.

Skinałem głową.

- Tak myślałem. Skoro mam zostać rycerzem, to powinienem się zająć człowiekiem, który mnie rzucił na ziemię, czy nie tak?

Skinałem głową.

- Prędzej czy później.

- Chcę się tym zająć, zanim pójdę spać. Zrobię to, jeśli to będzie możliwe, jak tylko dogładnę Laemphalta.

Kiedy Toug zniknął między cisnącymi się ludźmi i zwierzętami, dodałem:

- Umyj mu nogi, jak już sprawdzisz kopyta. Ciepłą wodą.

Niedługo potem, kiedy leżałem na podłodze w byłym frontowym pokoju Bymira, Mani rozłożył się na mojej piersi.

- Nie śpisz?

Gylf uniósł łeb i spojrzał na niego, lecz nic nie powiedział.

- Nie śpię. O co chodzi?

- Czy koty mogą przejść do Skai?

Zastanawiałem się przez chwilę.

- Być może. Lady Folkvangr miała cztery. Skąd wiesz, że tam byłem?

- Och, wiem takie rzeczy.

Zastanowiłem się i nad tym, a ponieważ już prawie zasypiałem, kiedy przyszedł Mani, to myślenie zajęło mi trochę czasu. Wreszcie powiedziałem:

- Nie będę cię zmuszał, żebyś mi powiedział. I tak zignorujesz moje polecenie. Lecz jeśli mi nie powiesz, nie odpowiem już na żadne z pytań.

- Prawdopodobnie nie powinienem.

- W takim razie nie mów. - Ziewnąłem. - Idź już.

- Mam ważne wiadomości.

Gylf także ziewnął, po czym położył łeb między łapami.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Dlaczego miałbym odpowiadać na twoje pytania, skoro ty nie chcesz odpowiedzieć na moje?

- To ty nie odpowiedziałeś na moje - przypomniałem mu. - Idź sobie.

- Chciałem. To delikatna sprawa.

- W takim razie lepiej jej nie dotykać. Wy, koty, wciąż przewracacie filiżanki i inne rzeczy, a ja muszę się wyspać. Nie wyruszymy wcześniej, jeśli nie wstanę ze słońcem.

- Widzisz, powiedziała mi to moja poprzednia pani - Mani zamilkł, przyglądając się mojej twarzy. - Zaskoczyłem cię, co?

- Pewnie że tak. Przecież ona nie żyje.

Mani wyszczerzył zęby w uśmiechu; białe i bardzo ostre, i połyskujące czerwono w świetle ognia w palenisku.

- Tak jak i ty, sir Able.

- Niezupełnie.

- Nie będę się sprzeczał - to jest poniżej mojej godności. Czy to miłe miejsce?

- Skai? Bardzo.

- Może kiedyś je zobaczę. To tutaj nie jest miłe. To znaczy, czasem jest. Ale ogólnie...

- Nie jest - mruknąłem. - Żadnych sprzeczek.

- Nie mogłeś być tam zbyt długo.

- Jakież dwadzieścia lat.

- A przecież odjechałeś zaledwie przed kilkoma dniami.

Usiadłem i posadziłem sobie Maniego na kolanach.

- Opowiedz mi, w jaki sposób rozmawiałeś ze swoją panią, a ja ci opowiem trochę o moim pobycie w Skai. - Spoglądając na Gylfa, który leżał z zamkniętymi oczami, dodałem: - Trochę, bo nie da się streścić dwudziestu lat w jednej rozmowie.

- Musisz mówić klarownie - rzucił Mani.

- W porządku.

- Jeśli opowiesz mi o kotach stamtąd, to ja przekażę ci ważne wiadomości. Ale ty pierwszy. Zgoda?

- Nie, ponieważ niewiele wiem na ich temat. Co będzie, jeśli powiem ci wszystko, co wiem, a ty uznasz, że to nie wystarczy?

Mani przycisnął kruczoczarną łapę do kruczoczarnej piersi.

- Nie, tak nie zrobię. Jakem Kot. Nie znam poważniejszej przysięgi. Ale ty musisz też opowiedzieć o Skai.

- Dobrze. Tam jest inny czas, podobnie jak w Aelfrice. Nie jestem uczony, ale wydaje się, że w Skai czas płynie bardzo szybko. Miesiąc tam to zaledwie kilka godzin tutaj albo jeszcze mniej. Coś w tym rodzaju.

- W Aelfrice tak nie jest.

- Myślę, że jest - powiedziałem. - Tam czas płynie powoli. Toug spędził w Aelfrice kilka dni, a przynajmniej tak mu się wydawało. Lecz tutaj upłynęły lata. Polega to chyba na tym, że czas płynie coraz wolniej, w miarę jak schodzisz coraz głębiej. Skai jest trzecim światem, Mythgarthr czwartym, a Aelfrice piątym.

- To wiedziałem. W jaki sposób dostałeś się do Skai?

- Zabrała mnie tam miła dziewczyna o imieniu Alvit. Valfather zbiera bohaterów mniej więcej tak samo, jak niektórzy ludzie kolekcjonują zbroje. Jego córki i niektóre księżniczki sprowadzają ich do niego; księżniczki, które zmarły szlachetną śmiercią i zostały wybrane przez innych. Alvit jest jedną z nich. Valfather zaakceptował mnie i podarował mi konia koloru chmury, którego dzisiaj, jak widziałeś, dosiadałem, a także tarczę i inne rzeczy. Wystarczy?

- Nie. Co tam robiłeś?

- Ucztowałem, śpiewałem, snułem opowieści, praktykowałem sztuki walki i walczyłem z gigantami, Gigantami Zimy i Starej Nocy.

- Lady Idnn też walczy z gigantami - oznajmił z dumą Mani. - Dzisiaj trafiła jednego strzałą w oko.

- Brawo dla lady Idnn. - Zerknąłem na nią siedzącą w głębi ogromnego pokoju - Ale Giganci Mrozu to nic w porównaniu z gigantami, z którymi walczyliśmy. Opowiem ci o jednym ataku, w którym brałem udział. Tam, gdzie mieszkają, jest zawsze zimno i ponuro, a wtedy było też wietrznie. Schroniliśmy się więc w pieczarze.

- Ja bym też tak zrobił - wtrącił Mani.

- Pewnie. To była duża pieczara z pięcioma odnogami. Wszystkie korytarze były ślepe i puste. Rozpaliliśmy ogromne ognisko w największej części i ułożyliśmy się wygodnie do snu, zmieniając się na straży.

- Ja bym poszedł na zwiad. Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć w okolicy.

- Właśnie. Objąłem ostatnią wartę, tak więc byłem na nogach jeszcze przed pozostałymi. Kiedy skończyła się moja warta, obudziłem ich i pomyślałem, że się trochę rozejrzę. Od północy widać było łańcuch wzgórz, więc wspiąłem się na jedno z nich. Przypomniałem sobie to wszystko, kiedy położyłeś się na mojej piersi.

- Mów dalej.

- Powiem, a mówię samą prawdę, bez względu na to, co myślisz. Kiedy stanąłem na szczycie i spojrzałem ku zachodowi, ujrzałem ogromną twarz z jednym zamkniętym okiem. Broda przypominała las, usta były niczym dół, nozdrza zaś jak dwa tunele. Spojrzałem w dół i dostrzegłem moich przyjaciół wychodzących z pieczary. Zobaczyłem też, że to wcale nie jest pieczara, a rękawica olbrzyma, na której stałem.

Mani polizał lewą łapę w zamyśleniu.

- Pewnie mi nie wierzysz, lecz to nie wszystko. Chcesz usłyszeć więcej?

- Mów.

- Nasz przywódca powiększył się, kiedy mu wszystko opowiedziałem. Stawał się coraz większy i większy, aż był tak duży jak olbrzym, na którego się wspiąłem. Jego młot, miecz i wszystko inne też się powiększyła. Na ten widok ja i pozostali także się powiększyliśmy. Wcześniej nie wiedziałem, że mogę to robić, ale kiedy zobaczyłem, jak on się powiększa, zrozumiałem, na czym to polega, i poszedłem w jego ślady. Jednak nie powiększyłem się tak bardzo jak on, nikt inny tego nie potrafił. Ale i tak potrafiliśmy stać się bardzo duzi. Nie będę opowiadał, co było dalej, bo i tak byś nie uwierzył.

Mani skończył lizać lewą łapę, po czym zajął się na jakiś czas prawą i wreszcie powiedział:

- Opowiedz mi o kotach. Wszystko, co wiesz.

- Należą do lady Folkvangr, jak już mówiłem. To jedna z córek Valfathera, najmłodsza chyba, i jest... No cóż, nikt nie potrafi wyrazić, jaka jest piękna. Żadne słowa nie opiszą jej urody.

Mani uśmiechnął się.

- Widziałem, jak się zakrztusiłeś na samą myśl o niej.

- Na jej widok człowiek pada na kolana, wyciąga miecz i składa go u jej stóp. Ja tak zrobiłem, podobnie jak wielu innych.

- Wzruszające.

- A ona uśmiecha się i każe ci wstać, i mówi słodkim głosem, że rozumie, iż jesteś gotów dla niej umrzeć, i przysięga, że na zawsze pozostanie twoją przyjaciółką.

- Tak było z tobą?

- Tak jest z każdym. Cudowna, wspaniała chwila. Mógłbym powiedzieć, że najpiękniejszy moment w moim życiu, gdyby nie to, że przeżyłem chwilę jeszcze cudowniejszą. Ale uczciwie mówiąc, Skai jest pełne cudownych chwil. Mam ci opowiedzieć, co mam na myśli?



Głos Mani uśmiechał się.

- Opowiedz, sir Able.

- W Sheerwall widziałem kota, który urodził się niesprawny. Musiał kicać jak królik, tak jakoś.

Mani skinął łbem.

- Teraz wyobraź sobie, że wszystkie koty są takie. Aż nagle po latach coś się stało i oto możesz biegać i skakać tak jak teraz. Jak byś się czuł?

- Chyba bym oszalał z radości.

- No właśnie. Tak było w Skai. Nasze życie w Mythgarthcie było złym snem, aż tu się obudziliśmy i zobaczyliśmy, że świeci słońce i że tamte sny nie mają już mocy nad nami. Chcesz usłyszeć o Folkvangr?

- Tak, jeśli tam mieszkają te koty.

- Folkvangr to piękny dwór położony na najpiękniejszej z łąk. Czasem jest blisko zamku Valfathera, a czasem daleko od niego. Oba się poruszają, lecz na różne sposoby. Są tam ogrody, ale najpiękniejsza jest sama łąka zawsze pełna leśnych kwiatów. Są tam też wieże, rotundy, dziedzińce i tysiąc uli pełnych ogromnych, złocistych pszczoł, które nigdy nikogo nie użądliły. I specjalne miejsca na tańce i zabawy, miejsca do śpiewania, do rozmów i nauki, a także miejsca, gdzie się praktykuje sztuki wojenne, zarówno pod dachem jak i na otwartym powietrzu. Wciąż odnajdujesz tam coś nowego, a zawsze jest to coś dobrego. Tajemnicze schody prowadzące do pokoi pełnych książek i instrumentów, jakich nigdy wcześniej nie widziałeś, czy też do pokoi z widokami, jakich się tam nie spodziewałeś.

- Chyba bym polubił to miejsce - powiedział Mani zamyślony. - I są tam tylko cztery koty? To musi być duży dom dla czterech kotów.

- Widziałem tylko cztery - odpowiedziałem mu - ale może jest ich więcej. Mimo iż mieszkałem tam przez długie lata, nie udało mi się zobaczyć wszystkiego. Możliwe, że nikt nie widział wszystkiego, nawet gdyby mieszkał tam przez tysiąc lat. Czy mówiłem ci, że Pani i Valfather wymieniają się herosami?

Mani pokręcił głową.

- Pani jest Szefem Wybieraczy Poległych. Niektórzy z nich są prowadzeni do niej, a ona kilku sobie zatrzymuje. Czasem pożycza ich ojcu, a czasami on pożycza jej swoich. Ja zostałem jej pożyczony na jakiś czas.

- A co robią jej koty?

Uśmiechnąłem się, gdy sobie przypomniałem.

- Polują na łące i śpią w słońcu. Wędrują po całym dworze, lecz cele ich wędrówek ty byś lepiej zrozumiał. Są jej przyjaciółmi i posłańcami. Przy ważniejszych okazjach ciągną jej rydwan.

- To kotki czy kocury?

- Jedno i drugie, tak myślę. Nic więcej nie potrafię o nich powiedzieć.

- Potrafisz - odparł Mani. - A kolory?

- Dwa są szarobure, jeden czarno-biały i jeden cały czarny, tak jak ty.

Teraz ty opowiadaj.

- Wiesz, że koty potrafią widzieć duchy?

Pokręciłem głową.

- Nigdy o tym nie myślałem.

- Umiejętność widzenia duchów - wyjaśnił Mani z wyraźnym zadowoleniem - to jedna z widu umiejętności, w których koty przewyższają ludzi. I to głównie robiłem dla mojej zmarłej pani. Psy też czasem potrafią zobaczyć ducha, podobnie jak niektóre ptaki. Ale koty znacznie je przewyższają w tych umiejętnościach.

Gylf zawarczał cicho.

- Wie, że mówię prawdę. Ma to związek z naszymi dziewięcioma żywotami. Skoro już raz umarłeś, to wydaje się normalne, że widzisz duchy.

- Ciekawe.

- Pewnie - mruknął Mani. - A teraz, mój drogi właścicielu, musimy wyjść na zewnątrz, żebym mógł ci przekazać moje nowiny.

## ROZDZIAŁ 4

### CUD TOUGA

- Tak jest praktycznie - powiedział Mani - ale niewygodnie. Idź tędy, w kierunku dużej stodoły. Czy mógłbym może dostać się do wnętrza twego płaszcza razem z tobą, miły panie?

Owinąłem go w płaszczy.

- Myślałem, że teraz należysz do Idnn.

- Bo należę - wyjaśnił Mani. - Lady Idnn jest nieprzeciętną osobą. Tak więc jestem jej kotem, kiedy jest to wskazane. Ale jestem też twoim kotem, tak jak byłem. Kot nie może mieć zbyt wielu przyjaciół na tym północnym pustkowiu.

- Widzę twoje intencje.

- Ale chyba nie widzisz ducha mojej pani, bo ja jej nie widzę, choć wcześniej widziałem. Trzyma się w pobliżu nas od chwili, gdy opuściliśmy jej dom w nadziei, że będzie mogła się nam przysłużyć. Zebrała informacje i sądzi, że może być pomocna. Wiesz, że twój pies idzie za nami?

- Oczywiście. Wiem. - Spojrzałem na Gylfa, który zerknął za siebie. - Niech cię to nie martwi.

Opierając się łapami o moje ramię, Mani podniósł się, by spojrzeć do tyłu.

- Coś się dzieje między wami.

- Nic ważnego. Mówiłeś, że twoja pani ma dla mnie nowiny. O co chodzi?

- Twój przyjaciel jest ranny.

- Przykro mi to słyszeć. - Pogłaskałem Maniego po łbie wolną ręką. - Nie mam ich zbyt wielu.

- A inna twoja przyjaciółka, wiedząc, że mógłbyś jej pomóc, nie chce cię o to poprosić.

Moja dłoń zamknęła się na szyi Maniego.

- Czy chodzi o Disiri? Mów!

- Nie, zapewniam cię. Chodzi o kogoś innego.

- Kobieta. - Nasunąłem na głowę kaptur płaszcza. - Tak dużo

zapomniałem, Mani. Kto to taki?

- Jedna z tych czerwonych aelfickich dziewcząt. Zapomniałem, jak ma na imię, ale obie są dość podobne.

W stodole panowały ciemności jak we wnętrzu beczki ze smołą.

- Tędy - powiedział Mani. - Wejdź na stryszek, na siano. Po drabinie.

- Wiem. Spałem tam na górze. Wydaje się, że to było tak dawno temu.

- Twój pies będzie musiał zostać na dole, z przykrością muszę powiedzieć - rzekł Mani, lecz jego głos nie wyrażał ani odrobiny smutku. - Przyda się. Może pilnować, żeby nikt nie przeszkadzał. O mnie się nie martw, wjadę na twoim ramieniu.

- Nie martwię się o ciebie - wyszeptałem. - Czekam, aż nam ktoś przeszkodzi. Mów o czymś innym.

- W takim razie sam pójdę na górę. - Mani wspiął się na mój bark. - Upewnię się, że ona jeszcze żyje.

Ze stryszku popłynął czyjś głos:

- P-panie?

Nic nie odpowiedziałem, nasłuchując skrzypiących na świeżym śniegu kroków.

Ogromne wrota stodoły otworzyły się powoli, niemal bezgłośnie, wpuszczając do środka pionowy snop gwiazdnego światła. Toug wśliznęła się do wewnątrz, wtedy ja chwyciłem go za ramie, a on aż zapiszczał.

- Jeśli chcesz zostać rycerzem, nie możesz tak łatwo dać się przestraszyć - powiedziałem. - Dobrze jest też nie zamykać zbyt mocno oczu.

- Nie zamierzałem zrobić nic złego, sir.

- Ani mi na myśl nie przyszło, że zamierzałeś. Gadający kot może przyciągnąć uwagę każdego.

- Nie o to chodzi. Wiedziałem, że Mani potrafi mówić. Rozmawiał ze mną i chyba rozmawia też z lady Idnn. Ciekawiło mnie to, co mówiłeś o Skai. To brzmiało cudownie. Chciałem zostać z tobą i dowiedzieć się czegoś więcej.

Z góry dobiegł szept:

- Proszę, lordzie Able...

Mani skoczył, odbijając się mocno od belki ściany. Po kilku sekundach zawołał:

- Chyba ma przetrącony kark.

- Nie potrafię jej pomóc - powiedziałem do Touga - ale ty możesz to zrobić. To dlatego nie spałeś wtedy, kiedy powinieneś spać, i dlatego szedłeś

za nami. Idź tam i ją ulecz.

Kiedy Toug wspiął się po drabinie, zwróciłem się do Gylfa:

- Wrócę na chwilę do domu. Możesz iść ze mną albo zaczekać.

- Pójdę z tobą - odpowiedział grzmiącym głosem.

Wróciliśmy do domu i znaleźliśmy zrobiony dla Bymira kubek i dużą lampę. Na zewnątrz płomień zatrzepotał na wietrze, tak że musiałem osłonić go dłonią.

- Chcę, żebyś wszedł tam na górę - powiedziałem do Gylfa, kiedy znowu schroniliśmy się w stodole. - Dziura, przez którą wszedł Toug, jest za mała. Widzisz ten większy otwór, przez który zrzucają siano?

- Ta.

- Oprzyj się łapami o krawędź i podskocz. Dasz radę.

Gylf milczał.

- Olbrzym, który tu mieszkał, wsunął głowę przez ten otwór, a zatem szerokością dwukrotnie przewyższa mój wzrost. - Podniosłem lampę, żeby było lepiej widać. - Jakies pół pręta i może trochę jeszcze. Dasz radę.

- Nie skoczę tak wysoko. - Gylf wyraźnie unikał mojego spojrzenia.

- A może ja wejdę pierwszy i cię zawołam?

Skinął głową po długiej chwili.

Nie było łatwo wspiąć się po drabinie, tak by nie wylać oliwy z lampy, ale wszedłem, głównie balansując ciałem i puszczając jeden szczebel, by zaraz chwycić następny. Z ulgą oddałem lampę Tougowi.

- Tu na górze jest Aelf - powiedział Toug.

- Wiem. To Baki, czy tak?

Mani wyjrzał zza krawędzi otworu.

- Zgadza się, sir Able. To ona i bardzo cierpi. Jest wdzięczna mnie i mojej pani, ale nic więcej już dla niej nie potrafimy zrobić.

- Chce ciebie - dodał Toug.

- Nie może mnie mieć - odpowiedziałem mu, gdy już znalazłem się a strychu. - Liczyłem na to, że do tej pory jej pomożesz.

- Nie wiem jaki - gdzieś spoza kręgu światła lampy dobiegł jęk Baki.

Odnalazłem ją i usiadłem przy niej na słomie.

- Ona cierpi - zwróciłem się do Touga - a ty marnujesz czas. Klęknij tutaj.

Klęknął.

- Pomacaj tu palcami. Delikatnie! Bardzo delikatnie!

- Nie potrafię.

- Potrafisz. W tym rzecz. Jesteś dla niej bogiem. Nie dla mnie ani dla Maniego. A dla niej jesteś bogiem. Mythgarthr jest wyższym światem niż jej świat.

Toug zrobił, co kazałem, lecz nic się nie stało.

- Obejmij ją całą swoją myślą. Wyobraź sobie, że jest uleczona. Że jest zdrowa i ma się dobrze. Wyobraź sobie, że skacze, tańczy i robi gwiazdy. Przedtem potrafiła. Pomyśl o tym, jaka była.

Toug w skupieniu zacisnął oczy i usta.

- Czy coś się dzieje?

- Nie. Nic nie będzie się działo stopniowo. Kiedy to się stanie, wszystko będzie trwało tylko chwilę i od razu będziesz wiedział. Poczujesz bowiem przepływ mocy.

- P-panie - jęknęła Baki.

- Nie mogę ci pomóc - powiedziałem do niej - ale Toug może to zrobić. Wierzysz w Touga? Musisz uwierzyć, bo inaczej umrzesz.

- Ty... piłeś moją krew, panie.

- Pamiętam i odpłaciłbym ci się, gdybym mógł, ale teraz nie mogę ci pomóc. Toug musi to zrobić.

- Proszę, Toug! Ja... cię wielbię. Zabiją mnie za to, ale będę cię wielbić. Złożę ofiarę, spalę żywność na twoim ołtarzu. Zwierzęta, ryby, chleb. - Baki wciągnęła gwałtownie powietrze. Górna połowa jej ciała wygięła się konwulsyjnie. - Codziennie. Każdego dnia świeża ofiara.

- Na kogo przysięgasz? - zapytałem przynaglająco.

- Na niego! Na Wielkiego Touga!

- Nie na Setra?

- Wyrzekam się go. - Głos Baki zniżył się do szeptu. - Wyrzekam się go po raz wtóry. Och, Toug, spróbuj! Spróbuj! Zbuduję ci świątynię. Zrobię wszystko!

- Próbuję - powiedział Toug i ponownie zamknął oczy.

Pochyliłem się nad Baki.

- Wyrzeknij się go dwoma imionami, teraz i na wieki Uwierz mi, on ci nie pomoże.

- Wyrzekam się Setra zwanego Garsecgem! Wyrzekam się Garsecga zwanego Setrem. Na zawsze, na wieki!

- Twoją matką jest...?

- Kulili!

Położyłem dłoń na ramieniu Touga.

- Ona jest rzeczą w twoim umyśle, możesz mi zaufać w tym względzie, jest myślą, snem. Masz nóż?

Potrząsnął głową.

- Tylko miecz.

- Ja mam. - Wyjąłem mały nóż, którym wyciąłem swój łuk, i podałem mu go razem z kubkiem. - Zrób nacięcie na swoim ramieniu, długie, ale niezbyt głębokie. Potrzymam lampę, żebyś widział, co robisz. Krew spłynie ci na palec. Zbierz ją do tego. Jak już się napełni, podaj Baki, żeby wypiała.

Toug zamknął oczy, po czym podciągnął rękaw i wykonał nacięcie szerokie na cztery palce.

- Przytrzymaj jej. Baki, weź to. - Podsunąłem naczynie do jej ust, a ona od razu wypiała wszystko.

Toug otworzył oczy i powiedział:

- Zrobiłem to! Zrobiłem! Usiądź, Baki.

Usiadła, drżąc. Jej miedziana skóra nie przypominała już wypolerowanego metalu, a jej uśmiech nabrał cech ludzkich.

- Dziękuję ci. Och, bardzo ci dziękuję! - Pochyliła się w pokłonie i wyprostowała dopiero wtedy, gdy Toug dotknął jej ramienia i nakazał się wyprostować.

- Szkoda, że Gylf tego nie widział - powiedziałem - ale słyszał i może to wystarczy.

Podszedłem do dużego otworu, przez który Bymir wsadził głowę.

- Gylf! Wejź tu na górę.

Coś ogromnego i ciemnego skoczyło z dołu, wywołując popłoch wśród mułów i koni. Gdy wylądowało na podłodze strychu, zatrzęsła się cała stodoła. Skurczyło się szybko i znowu było dużym brązowym psem z białą strzałką na piersi.

Podrapałem go za uchem i usiadłem; Gylf położył się przy mnie, opierając masywny łeb na moim kolanie.

- Muszę wyjaśnić kilka rzeczy - powiedziałem. - A w szczególności będę musiał wyjaśnić Baki, dlaczego nie mogłem jej pomóc po tym, co dla mnie zrobiła. Nie lubię wyjaśniać, dlatego wy to zrobicie na tyle, na ile jest to możliwe.

- Nie rozumiem, jeśli chodzi o Gylfa, panie - powiedziała cicho Baki.

- Nie sądzę, aby on sam rozumiał. Rozumiesz, Gylf?

Gylf pokręcił łbem, a był to ledwo dostrzegalny ruch.

- Nie rozumie, więc sam wyjaśnię. Za to ty, Baki, rozumiesz wiele z tego, czego inni nie rozumieją. Musisz to teraz wyjaśnić.

- Czy muszę mówić o Setrze, panie?

- Musisz im powiedzieć o wiele więcej. - Czekałem, lecz ona milczała.

Wtedy Toug rzekł:

- Kim są wszyscy ci ludzie, o których mówiłaś? Setr, Kulili i ten inny.

- Chyba nie mówiliśmy o Grengarmie - powiedziałem - ale niewykluczone, że o nim wspomnieliśmy.

- Wyrzekam się go, panie.

Wzruszyłem ramionami.

- Wiem, ale on nie żyje, więc nie ma to większego znaczenia. Czyim jesteś dziełem?

- Kulili, panie.

- Kulili ją zrobił? - zapytał Toug.

Zerknąłem na Baki, ona zaś skinęła głową.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Pani Maniego też go zrobiła. Tak mi się przynajmniej wydaje. Chcesz nam o tym opowiedzieć, Mani?

- Opowiedziałbym, gdybym tylko potrafił - oświadczył Mani - ale nie potrafię. Pamiętam tylko, jak byłem kociakiem i piłem mleko, ale to chyba na niewiele się zda.

- Czy wtedy potrafiłeś mówić?

Zapadła długa cisza, aż wreszcie Mani powiedział:

- Pewnie.

Skinąłem głową.

- Istnieją elementarne istoty, istoty podobne do duchów, chociaż nigdy nie żyły. Widzisz je?

- Oczywiście.

Chmura przemówiła w moim umyśle.

„Ja też je widzę, jeźdźcu. Ludzie, którzy tu byli, wracają ze światłem. Obchodzi cię to?”

„Nie”. Głośno powiedziałem:

- Kulili to zbiorowy umysł stworzeń, które przeważnie nie są świadome swojego indywidualnego istnienia. Czy to wydaje ci się dziwne, Tougu?

- W ogóle nie rozumiem, co to znaczy.



- Nie mówmy już o tym. Ty też jesteś grupowym umysłem, więc może lepiej będzie, jak nie będziesz o tym myślał. Tysiące istot tworzyło Kulili, lecz ona nie miała przyjaciół. Sprawiała, że Aelfy stały się jej towarzyszami, kształtując ciała z roślin i tkanek zwierzęcych, a także zmieniała w nich podstawowe elementy, by mogły mówić i myśleć. Dała długowieczność.

Toug niechętnie skinął głową.

- Żyją o wiele dłużej od nas. Lecz my, choć krótkowieczni, jesteśmy nieśmiertelni. Nasz duch nie umiera. Z Aelfami jest inaczej. Kiedy już umierają, to całkowicie.

Zwróciłem się do Baki:

- Dlatego uciekliście się do herezji?

- Nie - odpowiedziała.

- To dlaczego? Musisz mi to powiedzieć. Chcę wiedzieć.

Baki otworzyła usta, lecz w tym momencie Toug rzekł:

- Wciąż nie rozumiem, jak to jest z Gylfem.

- Zrozumiesz. Wiesz może, że istnieje siedem światów? Ten jest czwarty.

Toug skinął głową.

- Mythgarthr.

- Tak. Baki, zacznij od stworzenia światów.

- Naprawdę myślisz...? W porządku. Stworzył je Wielki Bóg. Najpierw stworzył służących dla samego Siebie, tak jak potem zrobiła to Kulili. Później dał im ich własny świat w nagrodę za to, co dla Niego zrobili. Nie wiem dlaczego, ale to nie było całkiem dobre.

- Musiało się różnić od Niego - powiedziałem. - Ponieważ On jest idealny, wszystko, co się od Niego różni, musi być złe w jakimś sensie. Mów dalej.

- Nie spodobało im się to, więc zebrali, co się dało, i umieścili w miejscu, które On stworzył pod nimi. Teraz nazywamy ich świat Kleos, Świat Dobrej Sławy, ponieważ jest taki miły. Świat poniżej to Skai.

- Tam gdzie byłeś? - zapytał Toug. - To nie wyglądało na nic złego. Brzmiało raczej cudownie.

- Ja mówiłem o Gigantach Zimy i Starej Nocy.

- Powiedziałam „nie całkiem dobre” - mówiła dalej Baki - ale powinnam wyrazić się jasno, ponieważ chodziło głównie o zły charakter, niedoskonałość. Na początku była to całość, gigant o imieniu Ymir, samotny, gwałtowny i nieszczęśliwy. Niektórzy spośród sług Najwyższego Boga opuścili swoje miejsca w Kleos i zeszli na dół, żeby go zabić. Zrobili to, ale

nie mogli już wrócić.

Zapadło milczenie. Z dołu płynęły głosy poganiaczy mułów oraz odgłosy koni i mułów. Między szczelinami podłogi sączyło się światło ich latarni. Wstałem i podszedłem do włazu.

- Martwicie się tym poruszeniem - zawołałem do ludzi w dole. - Nie ma powodu. Zwierzęta przestraszyły się, ale się uspokoją.

- Nie rozumiem - powiedział Toug, kiedy usiadłem. - Co ma wspólnego zabicie olbrzyma z jej uleczeniem?

- Masz na myśli Baki?

- Służący Najwyższego Boga mają Jego życzliwość w Kleos?

Widząc, że oczekujemy jego reakcji, Toug powiedział:

- W porządku.

- Ci, którzy odeszli, stracili ją. Musieli prosić swoich braci, by się za nimi wstawiali. Mnożyli się, a ich dzieci nie znały innego miejsca. Ich bracia stali się dla nich bogami.

Mani dotknął ostrożnie łapą mojego ramienia.

- A olbrzymi tam w górze, sir Able? Skąd oni pochodzą?

- Z ciała Ymira. Kiedy Ymir zmarł, jego części wciąż żyły. Był ogromny ponad wszelkie wyobrażenie.

- Najwyższy Bóg stworzył jeszcze jeden świat pod Skai - wyjaśniła Baki Tougowi. - W nim teraz siedzimy i rozmawiamy. Mythgarthr, Polana, na Której Snują się Opowieści.

- Bo widzisz - powiedziałem - Overcyni, to znaczy nasi bogowie w Skai, potrzebowali miejsca, do którego mogliby wyrzucić to, co pozostało z Ymira. Z tą prośbą zwrócili się do swoich braci i obiecali, że oczyszczą swój świat ze zła, na ile możliwe, pozbywając się go do Mythgarthru wraz z gnijącym ciałem Ymira, jego krwią i kośćmi, jego kości nazywamy skałą, ciało ziemią, a krew morzem.

- To straszne!

Potrząsnąłem głową.

- Żyjący olbrzym był straszny, podobnie jak wciąż są straszne te jego części, które dalej żyją. Martwy człowiek jest okropny. Widziałeś kiedyś takiego? Nie ktoś, kto dopiero co zmarł, lecz taki, który już zaczął gnić.

Toug powoli skinął głową.

- Lecz martwy powraca w postaci drzew, trawy i kwiatów. Podobnie było z Ymirem. Nie ma sensu potępiać zła, jakim był. Ono przeminęło. Pozostaje

dobro, jakie posiada. Jeśli nie będziemy go chwalić ustami, to musimy to robić przynajmniej w swoich sercach za każdym razem, kiedy patrzymy na wschodzące słońce lub ukwieconą łąkę.

- Mówiłeś, że Pani mieszkała na łące - przypomniał mi Toug - na której wiecznie kwitną kwiaty.

- Tak mówiłem. Te kwiaty nazywamy gwiazdami.

- Wiesz, jak powstał nasz rodzaj - powiedziała Baki - ale ja nie wiem, jak powstał wasz. Jeśli Toug ma się tego dowiedzieć, to musisz mu o tym opowiedzieć.

- Ja wiem - oświadczył Mani. - Olbrzymi - nie ci, o których mówiłeś, lecz tacy jak ci, którzy zbudowali tę stodołę - gnębili koty. A ludzie zostali stworzeni, żeby pomagać kotom.

Uśmiechnąłem się.

- A skąd się wzięli ci mniejsi giganci, mądry kocie?

- Ze Skai.

- Dobrze.

Mani wydawał się być bardzo zadowolony z siebie.

- Wiedziałem, że tak musi być, bo to jedyne miejsce, z którego mogli przyjść, a tam już byli giganci.

- Jakiś czas po śmierci Ymira jeden z Overcynów złączył się z olbrzymką - mówiłem tak cicho, że Toug musiał się pochylić, by mnie usłyszeć. - Nie wiem jak długo potem, dla nich tysiące lat, a pewnie więcej niż tysiące. Tym Overcynem był Lothur. Niektórzy twierdzą, że jest synem Valfathera.

- Jego ojcem musiał być jakiś Overcyn - powiedział Mani.

Skinąłem głową.

- Chyba że był jednym z tych, którzy opuścili Kleos, co niektórzy potwierdzają.

- Powiesz nam, jak się nazywała tamta olbrzymka? - zapytała Baki.

- Dobrze wiesz. Dzieci Angr, Angronici, nie były dość silne, by się oprzeć Overcynom, lecz Overcyni nie chcieli ich zabić, ponieważ byli ich krewnymi. Tak więc, żeby pozbyć się ich ze Skai, odesłali ich tutaj.

- A my? - zapytał Toug. - W jaki sposób się tu dostaliśmy?

- Najwyższy Bóg wyhodował nas ze zwierząt. Czy to brzmi strasznie?

- No cóż - powiedział Mani - ja bynajmniej tak nie sądzę.

- Ani ja - dopowiedziałem. - Jesteś zawsze prostoduszny, a często też odważny i lojalny. Nikt, kto zna Gylfa tak dobrze jak ja, nie powstydziliby się

powinowactwa z nim, choć pewnie w przeszłości on wstydził się za nas.

- Przecież on jest magicznym psem! - zawołał Toug, na co Mani pokręcił głową.

- Później porozmawiamy o Gylfie - powiedziałem do Touga. - A właściwie on sam będzie mówił za siebie, mam nadzieję.

Gylf spojrział na mnie tak, jakbym go zdradził.

- Teraz porozmawiamy o Baki i o tym, jak ją uleczyłeś. Baki, w jaki sposób powstało Aelfrice? Musisz to wiedzieć.

- Mówiłeś, że wzięliśmy się ze zwierząt - powiedział Toug. - To znaczy, że rozwijały się i stały się nami. Ale nie powiedziałeś, dlaczego.

- Ponieważ tak chciał Najwyższy Bóg. Myślisz, że dyskutował ze mną na ten temat? Z nikim nie rozmawia o Swoich decyzjach.

- Musiał mieć jakiś powód.

- Bez wątplenia, lecz my możemy się tylko domyślać. Ja myślę podobnie jak Mani - że naszym zadaniem jest chronić Mythgarthr przed Angronitami. Są okrutni bez powodu i niszczą tylko dlatego, że lubią niszczyć. Zwierzęta, które On tu umieścił, tak się nie zachowują. Najwyższy Bóg miał może nadzieję, że jeśli obdarzy nas rozumem i mocą mowy, to będziemy umieli powstrzymać Angronitów. I tak jest

- Ale my sami czasem to robimy. - Toug spojrział na Baki, szukając u niej poparcia, a ona przytaknęła.

- Owszem. Lecz budujemy też domy i stodoły. Jak myślisz, od kogo Angronici się tego nauczyli?

- Naśladują nas?

- Właśnie. My z kolei zbyt często ich naśladujemy. - Spojrzałem na Baki. - Ty mów.

Chrząknęła.

- Po pierwsze jeszcze raz chciałabym podziękować Tougowi za to, że mnie uleczył.

- Nie musisz - wymamrotał Toug.

- Ale chcę. Chcę też podziękować sir Able'owi za to, że cię tu sprowadził i pokazał, jak to zrobić. Wiem, że gdyby nie nalegał, sam byś nic nie zdołał. A jeśli chodzi o stworzenie Aelfrice, to sprawa jest oczywista, jest to miejsce, gdzie wyrzucono odpadki z Mythgarthru. - Baki westchnęła. - Nawet jeśli spluniecie na mnie i tak będę wdzięczna, że mnie zauważyliście.

- Wciąż czujesz do nas niechęć, mimo iż wyrzekłaś się Setra? - zapytałem.

- Chyba tak. Bo widzisz, Toug, pozostając elementarnymi duchami, czyniliśmy niewiele zła. Myślałeś, że zjawy, duchy i tym podobne są wszechpotężne?

- Chyba tak.

- To się myliłeś. Ale kiedy Kulili dała nam ciała, czyniliśmy najróżniejsze zło - tam i tutaj. Sprzeciwiła się temu, więc my stanęliśmy przeciwko niej i wypędziliśmy ją w głębiny morskie. Chcieliśmy być wolni, a dla nas wolność oznaczała możliwość robienia tego, co chcemy, nie podlegając osądowi nikogo ani niczego.

- Ja bym was nie osądzał - rzucił Toug ponurym tonem.

- Musisz! Jesteście naszymi bogami! Spróbuj mnie zrozumieć.

Toug patrzył na nią z wyrazem niezrozumienia na twarzy.

Po dłuższej chwili milczenia, Mani odezwał się uprzejmie:

- Bogowie każdego świata stają się ludźmi kolejnego wyższego. Takim światem jest dla nas Skai, a nasz świat dla Aelfrice.

- I Aelfrice dla Muspelu, szóstego świata - dodałem. Baki ponownie westchnęła.

- Wicie to wszystko. - W jej głosie zabrzmiała rezygnacja.

- Nie wszystko. Nikt nie wie wszystkiego poza Najwyższym Bogiem. Valfather powiedział mi kiedyś, że jeśli ktoś kiedyś pozna wszystko, co jest do poznania, to okaże się wtedy, że on lub ona jest Najwyższym Bogiem i zawsze nim był lub była. Wyrzekłaś się Setra i przyjęłaś Touga. Jaką szkodę może wyrządzić teraz moja wiedza?

- Wstydzę się za swoich ludzi. Za Aelfy Ognia.

- Ich wstyd nie jest gorszy dlatego, że ja wiem. Chcesz odpłacić Tougowi za to, że cię uleczył? Powiedz mu.

- My to zrobimy, jeśli ty tego nie powiesz - dodał Mani.

Baki wzruszyła ramionami.

- Nie ma wiele do mówienia. Wiesz, że możemy odwiedzać twój świat?

Toug skinął głową.

- Królowa Lasu to zrobiła.

- I że twój rodzaj może odwiedzać Aelfrice?

Jeszcze raz skinął głową.

- Byłem tam.

- Widzieliśmy cię tam i widzieliśmy też, jak mało uwagi zwracałeś na nasze modlitwy. Jakże byłeś głupi i jak okrutny. Odwiedziliśmy świat leżący

pod naszym. Piękne miejsce, pełne ognia, są tam cudowne istoty, potężne i mądre. Uczyniliśmy z nich swoich bogów.

- Możecie to zrobić? - Oczy Touga wyraźnie się powiększyły.

- Zrobiliśmy. Modliliśmy się do nich, składaliśmy swoich ludzi w ofierze na ich ołtarzach, zapraszaliśmy do Aelfrice, żeby nam pomogli pokonać Kulili.

- Waszą matkę - powiedział cicho Toug.

- Tak, naszą matkę. Próbowaliśmy ją zabić, przez całe wieki. Bogowie z Muspelu mieli nam w tym pomóc, mieliśmy działać według wspólnie ustalonego planu.

- Nie wszystkie Aelfy brały w tym udział, prawda? - wtrąciłem. - Na początku tylko wy, Aelfy Ognia.

- Byliśmy przywódcami i podążyliśmy za Setrem.

- A Grengarm?

Baki uniosła brwi. Tkwiła nieruchomo, skulona, z kolanami przyciśniętymi do piersi, lecz sprawiała wrażenie, jakby chciała uciec.

- Wiedziałaś, że sir Able zabił Grengarma? - zapytał Toug.

- Nie. - Po chwili milczenia powtórzyła: - Nie...

- Nie było cię wśród tych, którzy tańczyli dla niego w Mythgarthrcie - powiedziałem. - W takim razie gdzie byłaś?

- Trudno mu było przyjść tutaj. - Wydawało się, że mówi do samej siebie. Żółty ogień w jej oczach był przydymiony. - Niektórzy z nas wciąż się modlili, nawet po tym, jak oddaliśmy mu cześć. Dla niego sukcesem było już to, że mógł tu przyjść.

- Osterlingowie składali nas w ofierze smokom - wyjaśniłem jej - wrzucając ofiary do wnętrza Góry Ognia. Kiedy zabijałem Grengarma, widziałem w jego pysku ich krzyczące twarze.

- Nie będę już pytał o Gylfa - powiedział Toug. - Wiem, że nie chcesz o tym mówić.

- Nie teraz - odpowiedziałem mu. - Może później.

- Za to chcę spytać o Grengarma i tego drugiego. Dlaczego są tak silni? Silniejsi niż my, silniejsi nawet niż ludzie tacy jak ona?

- Aelfy - zamruczał Mani.

- Wielbiłeś ich - przypomniałem Tougowi - i nie znasz nawet ich imienia?

- Mieli być wielcy. Zdolni do wszystkiego. Ona nie wygląda na nikogo takiego.

- Baki - przypomniałem mu. - Ma na imię Baki i oddaje ci cześć; jedyna, jak na razie. Możesz więc przynajmniej posługiwać się jej imieniem. Baki, czy możesz wyjaśnić, dlaczego Toug jest tobą tak bardzo rozczarowany?

- Nie mieliśmy być waszymi bogami - powiedziała Baki. - Zbudowałeś kiedyś dom?

Toug pokręcił głową.

- Ale widziałeś zapewne wszystko to, co zostaje po skończonej budowie, różne odpadki drewna, wypaczone gonty i popękane kamienie.

Toug skinął powoli.

- My jesteśmy takimi odpadkami, jakie pozostały po tym, jak Najwyższy Bóg skończył budować wasz świat. Tym wszystkim, co potem zebrał na kupę i zakopał.

- Robi się późno - powiedziałem. - Powinniśmy już spać, wszyscy, Baki zaś, skoro jest już uleczona, zechce zapewne wrócić do domu.

- Podoba mi się to - rzucił Mani. - Mógłbym to robić przez całą noc.

- Pewnie, a potem spać przez cały dzień. Lecz ja i Toug będziemy musieli jechać, a Gylf biec z nami. Może trzeba będzie też walczyć. - Spojrzałem na Baki. - W jaki sposób zostałaś ranna?

- Rozganiałam muły dla ciebie, panie. Razem z Uri znalazłyśmy ich ze dwadzieścia. Kiedy spróbowałam je rozpedzić, rozdzieliły się na dwie grupy. Ona podążyła za jedną, ja za drugą, jeden z Angronitów przyszedł po moją grupę.

Skinąłem głową.

- Powinnam była uciekać, ale wciąż próbowałam je rozpedzić. Dopadł mnie i cisnął o skałę.

- Przykro mi. Bardzo mi przykro.

- Ale teraz jesteś cała i zdrowa? - dodał Toug.

- Jak nigdy przedtem! - Baki uśmiechnęła się, lecz zaraz spoważniała. - Minęło dużo czasu, zanim Uri mnie znalazła. Chciałam, żeby zabrała mnie do ciebie, panie, żebyś mnie uleczył. Nie zrobiła tego. Zabrała mnie z powrotem do Aelfrice, a potem przysłała znowu tutaj, żeby poszukać jakiegoś nowego boga, który by mnie uleczył.

Toug spojrział na mnie, lecz ja milczałem.

- A potem powiedziała, że nowy bóg nie żyje i nic nie można zrobić. Ale ja zobaczyłam cię tutaj... - westchnęła. - Długo cię szukałam, panie, lecz wreszcie znalazłam i zbliżyłam się, na ile to było możliwe.

Wstałem i dmuchnięciem zgasilem lampę.

- Wracaj do Aelfrice. Powiedz Garsecgowi, że pamiętam o mojej obietnicy.

- Ale, panie...

- Rób, co mówię - przerwałem jej i zwróciłem się do Touga: - Musimy iść spać, bo inaczej rano nie będzie z nas żadnego pożytku.



## ROZDZIAŁ 5

### WYZNANIA

Dużo później, kiedy leżeliśmy w zatłoczonym domu, wcześniej należącym do Bymira, Toug, który wyczuł, że ja także nie śpię, wyszeptał:

- Sir Able, powiesz mi jeszcze jedną rzecz? Tylko jedną.
- Prawdopodobnie nie.
- Dlaczego sam nie chciałeś uleczyć Baki?

Po dłuższej chwili milczenia powiedziałem:

- Mówiłeś, że lady Idnn obiecała dać ci tarczę. Dała ci ją?  
- Jeszcze nie - odpowiedział szeptem Toug. - I tak nie było czasu, żeby ją pomalować.

- Musisz jej przypomnieć. A teraz chodźmy spać.

Toug posłusznie zamknął oczy; gdy tylko to zrobił, ujrzał blask słońca, kołyszącą się trawę i widoczne dalej w dolinie górę i równinę. Uniósł szybko powieki, lecz zobaczył tylko ciemność i migocący ogień.

- To jest lepsze - powiedział.

Stałem przy wierzchołku koloru chmury, a wiatr, który szarpał pióra mojego hełmu, rozwiął również po niebie jego grzywę i ogon.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytał Toug. Laemphalt, skubał trawę nieopodal.  
- Większość ludzi sądzi, że na czwartym poziomie jest tylko jeden świat - wyjaśniłem.

- A tak nie jest? - Toug przysunął się do mnie o krok i zorientował się, że ma przypiętą do ramienia tarczę, zaokrągloną od góry, zwężoną u dołu, taką samą, jaką mają rycerze. Na zielonym tle, takim samym jak na mojej tarczy, widniał biały gryf z rozłożonymi skrzydłami.

- Najwyższy i najniższy poziom mają tylko jeden świat - powiedziałem. - Pozostałe mają po kilka. To jest Sen. Znajduje się na środkowym poziomie razem z Mythgarthem. Chmura nas tu przywiozła.

Na dźwięk swojego imienia klacz spojrzała w naszą stronę, a jej łeb i grzbiet były jak najbielszy obłok, za to kopyta i nogi miały barwę burzy.

Grzywa i ogon powiewające na ciepłym wietrze Snu były szare.

- To magiczny koń... - powiedział Toug przepełniony zdumieniem.

- Ona w ogóle nie jest koniem - odparłem - ale jest dobra. Mądra jak kobieta, choć nie jest kobietą, i dobrze by było, gdybyś ją rozumiał.

- Może cię zabierać do innych światów?

Skinąłem.

- A twój koń? - zapytałem.

Toug potrząsnął głową.

- A konie z Aelfrice?

Toug zastanawiał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Tego nie wiem, sir Able. Nigdy żadnego nie widziałem.

- Bo nie ma takich. Nie chcę przez to powiedzieć, że nie można zobaczyć Aelfa na koniu. Uri i Baki, na przykład, jeździły na koniach i mułach, które rozpędziły. Lecz jeśli jakiś Aelf dosiada konia tutaj albo w Aelfrice, to będzie to wasz koń, koń wzięty przez Aelfa, tak jak można wziąć kobietę lub mężczyznę.

Toug przytaknął.

- Chyba rozumiem. Czy teraz opowiesz mi o swoim psie?

Potrząsnąłem głową.

- Nie musisz. Możesz zrobić to później albo w ogóle nic nie mówić. Wiem już, że potrafi mówić tak jak Mani.

- Tak i nie. Potrafi mówić, ale nie tak jak Mani. Mani mówi, ponieważ jest dziwnym połączeniem ducha i zwierzęcia, a duch i zwierzę nie należą do tego samego świata. Tymczasem Gylf wyraża całego siebie - całą swoją naturę. Ma ducha, oczywiście, a także zwierzęce ciało. Lecz tworzą one całość. Potrafisz pisać, Toug?

Potrząsnął głową.

- Kiedyś może się nauczysz. Kiedy to nastąpi, przekonasz się, że twoje dłonie przemawiają, tak samo jak teraz mówią twoje usta i że nie mówią dokładnie tego samego. A jednak wciąż stanowisz całość, wraz z ustami i dłońmi.

- Chcesz powiedzieć, że on mówi tak jak my, a Mani nie.

- Mniej więcej - powiedziałem i zawołałem: - Gylf! Chodź tutaj!

Toug rozejrzał się i zauważył biegnące w oddali zwierzę. W miarę jak się zbliżało, stawało się coraz mniejsze, aż wreszcie u mych stóp opadł na ziemię zdyszany Gylf.

- Rozmawialiśmy o tobie - powiedziałem. - Pójdiesz ze mną kiedy wrócę do Skai?

Gylf skinął łbem.

- To dobrze. Ale może nie będzie ci wolno. Albo zechcesz zostać tu jeszcze jakiś czas i potem do mnie dołączysz. Tak czy inaczej, wtedy będziesz należał do Touga. Czy to jasne?

Gylf jeszcze raz skinął powoli łbem.

- Chcę, żebyś z nim rozmawiał. Nie zmuszę cię, ale proszę o to. Tylko z Tougiem. Będziesz z nim rozmawiał?

Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem Gylf rzucił krótko:

- Ta.

- Dziękuję ci. Toug chciałby wiedzieć, w jaki sposób zmieniasz rozmiary. Powiesz mu?

- Dobry pies.

Czekaliśmy, aż wreszcie Gylf dodał:

- Pies ze Skai.

- Miałeś go zanim się tam udałeś! - zawołał Toug.

- Tak. Dostałem go od Bodachanów. Powód, dla którego mi go podarowali, był słuszny, ale bardzo skomplikowany, więc pomówimy o tym kiedy indziej. Wiesz, co to tą Dzikie Łowy?

Toug odpowiedział skinieniem głowy.

- Wtedy Hern Myśliwy poluje tam w górze, jak burza. Nie jestem pewny, czy to prawda.

- Hern to jedno z imion Valfathera.

Toug przełknął ślinę.

- Słyszałem go, kiedy byłem małym chłopcem. Te... konie galopujące przez Skai i jego psy.

- Dlaczego więc mówisz, że nie wiesz, czy to jest prawda?

- Myślałem, że może mi się to śniło.

- Teraz śnisz - zauważyłem. Po obudzeniu Toug długo się nad tym zastanawiał, lecz nie znalazł adekwatnej odpowiedzi.

- Mówiłem o Gigantach Zimy i Starej Nocy. Myślałeś pewnie, że to istoty podobne do ludzi jak Angronici. Wspominałem chyba o jednym z nich, który nosił rękawice, więc nawet jeśli wcześniej nie sądziłeś, że są do nas podobni, to wtedy z pewnością tak pomyślałeś.

Toug skinął głową.

- Wielu jest do nas podobnych. Inni nie. Jeden ma sto ramion, a niektórzy przybierają postać zwierząt. Najgorszy jest Fenrir. Musisz zrozumieć, że przeważnie nie różnią się między sobą.

Toug niechętnie przyznał mi rację.

- Czasem jeden albo dwóch opuszcza swoje pozbawione słońca królestwo, by kraść i zabijać. Kiedy to robią, Valfather poluje na nich, czasem sam, a czasem ze swoimi synami czy ludźmi takimi jak ja - albo z jednymi i drugimi. Zawsze ma ze sobą psy, które ich tropią i osaczają. Mówiłeś, że je słyszałeś.

Toug nic nie odpowiedział, pamiętając, jak bardzo się wtedy bał.

- Zdarza się czasem, że któraś suka ze stada oszczeni się przed czasem. Wycieńczona polowaniem gubi szczeniaka. Nieczęsto się to zdarza, ale czasem tak. Może raz na sto lat.

- To chyba z tysiąc lat w Skai?

- Zgadza się. Kiedy taki szczeniak zostaje zgubiony, może spaść do Mytharthru albo się tam zabłąkać. Wtedy ktoś go znajduje, samotnego i bezradnego, głodnego i zziębniętego. Może go wtedy zabić, jeśli zechce. Albo pozwolić mu zdechnąć z głodu. Albo też przygarnąć, tak jak zrobili Bodachanowie. Może go nakarmić i zachować przy życiu. Jeśli tak robi, to ostatecznie zostanie nagrodzony.

- To znaczy, kiedy po psa przyjdzie Valfather?

- Zbladłeś. Czy to byłoby aż tak straszne?

Toug, drżąc, przytaknął.

- Pewnie masz rację. Ale byłoby to też wspaniałe. Gdyby zobaczył, że jego pies kocha człowieka, który go uratował, to myślisz, że by kogoś takiego nienawidził? To niepodobne do niego.

- Mam nadzieję, że nie - rzucił Toug ożywiony.

- Tak postępują giganci, ale nie Overcyni, a już z pewnością nie Valfather.

Po kilku minutach Toug odezwał się nieśmiało:

- Piękne to miejsce.

- Piękne i straszne. Zauważyłeś, jak jasne są tu kolory?

Toug rozejrzał się i wydawało się, że patrzy nowymi oczami.

- Tak - powiedział. - Wcześniej nie zwróciłem na to uwagi, ale rzeczywiście są piękne.

- Są twoje, a jeśli porzucisz je kiedykolwiek, wtedy będzie to miejsce czerni i szarości. Ale nie przyprowadziłem cię tu, żeby ci o tym powiedzieć

ani żeby opowiadać o Gylfie.

- Gdzie on jest? - Toug rozejrzał się.

- Tam, gdzie był. Przeprowadziłem cię tutaj, żeby ci opowiedzieć o Valfatherze. - Westchnąłem. - Jest bardzo dobry i bardzo mądry, a w swej dobroci i mądrości jest człowiekiem, który chodzi na dwóch nogach - jego mądrość czyni go dobrym, a jego dobroć czyni go mądrym. Mówiłem ci, że byłem w Skai przez dwadzieścia lat, choć tobie wydawało się, że upłynęło zaledwie kilka dni.

- Trudno w to uwierzyć - wymamrotał Toug.

- Domyślałem się. To nie było dokładnie tak, ponieważ lata są czymś, co istnieje w Mythgarthcie, ale dwadzieścia lat jest czymś bliskim prawdy. Po dwudziestu latach Valfather przemówił do mnie na osobności, co się nie zdarzyło od mojego przybycia tam. Na początku wypytywał mnie o moje pierwsze życie i zobaczył, że nawet kiedy rozmawialiśmy o mojej walce z Grengarmem, mało co pamiętałem. Jego miód działa w ten sposób, przez co oszczędza wiele bólu. A potem zapytał mnie, czy chcę odzyskać tamte wspomnienia, a ja powiedziałem, że nie. Valfather jest od nas mądrzejszy.

Toug skinął powoli głową.

- Z tego, w jaki sposób mu odpowiedziałem, domyślił się, że chodzi o coś więcej, zapytał więc, czy wróciłbym do twojego świata, gdyby mi pozwilił. Nie pamiętałem Disiri, lecz jej imię, a także uczucie, jakie mnie ogarniało, gdy je wymawiałem, wciąż mnie prześladowały, tak więc powiedziałem, że bym wrócił.

Zamilkłem, ale i Toug nic już nie powiedział, choć mijały minuty; obserwował tylko obłoki Snu w górze i płynący niebem zamek podobny do gwiazdy.

- Udaliśmy się do źródła Mimir - powiedziałem wreszcie. - Napiłem się z niego wody i przypomniałem sobie o tobie i Gylfie, a także o wielu innych rzeczach. Zobaczyłem samego siebie, jak piję wodę w ruinach Błękitnoszarego Zamku. A potem Valfather postawił swój warunek. Jesteś bogiem dla Baki i wszystkich Aelfów. Teraz już to wiesz.

- Im się to nie podoba, że jesteśmy bogami, a ja wcale ich za to nie winię.

- Ani ja, ponieważ to my jesteśmy winni. Pośród Overcynów panuje zło i szaleństwo, ale nie tak duże jak wśród nas. - Zamilkłem, by się zastanowić. - Baki poświęciła się dla mnie. Mówiliśmy ci o tym?

- Nie sądzę.

- Zrobiła to. Napiłem się jej krwi i wyzdrowiałem. Już wtedy powinienem był się zorientować, jak się sprawy mają, ale tak się nie stało. Nie chciałem wierzyć, że jestem dla kogoś bogiem.

- Rozumiem - rzucił ochoczo Toug.

- W ten sam sposób Aelfy nie chciały być bogami w świecie pod nimi i wołały złożyć im uwielbienie, jakie się tobie od nich należy. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że Valfather zabronił mi wykorzystywania autorytetu, jaki posiadam. Nie miałem wrócić ze Skai jako Overcyn.

- To znaczy, że musisz zachowywać się tak samo jak my? - zapytał Toug.

- Nie. Chciałem powiedzieć, że muszę być czymś mniej niż wy. Nie posiadam już autorytetu Mythgarthru. Nigdy już go nie odzyskam. Teraz mam autorytet ze Skai. Przrzekłem, że nie posłużę się swoją mocą, a jeśli złamię przysięgę, to będę musiał wrócić tam od razu.

Biedny Toug gapił się na mnie w milczeniu.

- Uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć. - Starłem się panować nad głosem. - Mogę cię potrzebować od czasu do czasu - mogę potrzebować kogoś, kto posiada autorytet Mythgarthru i posłuży się nim w moim imieniu, tak jak zrobiłeś to dzisiaj. Musisz zrozumieć, dlaczego cię potrzebuję.

Toug przełknął ślinę.

- Póki co nie powinieneś się dla mnie poświęcać, o ile o to nie poproszę. Ani traktować mnie inaczej.

- T-tak, sir.

- Cieszę się, że rozumiesz. Nie mów o tym nikomu. W końcu to tylko sen.

- Idzie Uns, sir Able. Widzisz? - Toug pokazał na zgiętą postać Unsa ledwo widoczną na wzniesieniu, posuwającą się całkiem szybko niczym krab.

- Czas na nas - powiedziałem, a wtedy zielone wzgórza Snu porośnięte topolami i zwieszającymi się cyprysami stały się widoczne, jakby były odbiciem słońca w wodzie.

Toug zamrugał i usiadł. W ognisku tlił się już tylko żar. Chmura stała nad zgarbioną postacią Unsa, zwieszając nisko piękny łeb. Chwilę później rozplynęła się w powietrzu.

Toug wstał i dołożył drewna do ognia, po czym przyklęknął przy ranie.

- Wciąż chcesz uratować moją siostrę?

- Ciebie tam pošlę - powiedziałem.

\* \* \*

- Mam prawo pasować innych na rycerza - zwróciłem się do ludzi Beela. - Jeśli ktoś wątpi w moje słowa, to niech wyzwie mnie teraz.

Nikt się nie odezwał, lecz twarze zebranych zwróciły się w stronę Garvaona.

- Chciałbym móc powiedzieć, że mam też ziemie, którymi mógłbym was obdarować, godziwe majątki dla tych, których pasuję na rycerzy, lecz lord Beel, powodowany swoją szlachetnością, obiecał, że weźmie to na siebie.

Rozległy się pomruki, lecz nie tak gwałtowne i wyraźne jak porywy wiatru. Kiedy uniosłem rękę, zapadła cisza.

- Są tacy, którzy zostają pasowani na rycerzy w wielkich zamkach na południu - mówiłem dalej. - Odbywa się rytualna kąpiel, podczas której kandydatowi towarzyszą trzej rycerze służący radą. Od zmierzchu do świtu pełnią straż przy broni. Są sztandary, modlitwy i pieśni, a wszystkiemu przyglądają się damy ubrane w jedwabie. I my mamy tu damę, lecz ona jest ubrana w skórę, a na jej plecach tkwi kołczan.

Toug spojrział na Idnn i zobaczył, że i pozostali skierowali spojrzenia w jej kierunku. Głowę trzymała wysoko, a jej oczy błyszcząły, podobnie jak oczy ogromnego, czarnego kota usadowionego na jej ramieniu.

Kiedy ceremonia dobiega końca i milkną plotki, jak również i liczne pochwały przyszłego rycerza, przed tym, który przyniesie pasy rycerskie, rozwija się dywan. Przyszły rycerz klęka na nim, dlatego tych, którzy są pasowani w ten sposób, nazywa się rycerzami dywanowymi.

Crol roześmiał się, lecz zaraz umilkł.

- Ale jest też inny rodzaj rycerza. Ci, którzy strzegli broni wroga zamiast własnej, rycerze, którzy otrzymują pasy rycerskie dlatego, że wszyscy, którzy ich znają, wiedzą, iż oni już są rycerzami, dzielnymi i szlachetnymi mężczyznami biegłymi w sztuce walki.

Przez równinę przeleciał promień światła i zaraz zniknął.

Mówiłem na tyle głośno, by wszyscy mnie słyszeli, lecz teraz zniżyłem głos.

- Podejdz tu, Svonie, i klęknij.

Svon zbliżył się miarowymi krokami, ani wolno, ani szybko. Zanim uklęknął, przystanął na chwilę, która tylko wydawała się długa. W jego

oczach zalśniły łzy, być może od wiatru.

Eterne wyskoczył ze swojej inkrustowanej drogimi kamieniami pochwy i wsunął się w moją dłoń i w następnej chwili u mego boku pojawił się tuzin rycerzy, starych, o zaciętym obliczu oraz młodych, wytwornych. Rozległ się krzyk kobiety i to nie była Idnn.

Długą czarną głownią dotknąłem prawego ramienia Svona, a potem lewego, i powiedziałem:

- Wstań, sir Svonie.

Svon podniósł się, a wyglądał na oszołomionego. Eterne błyskawicznie wsunął się do mojej pochwy, a rycerze-widma znikli.

- Toug, wystąp, proszę - powiedziałem.

Toug zajął miejsce u boku Svona z dumną miną. Ubrany był jak wiejski chłopak, którym był wcześniej, a na jego ramieniu wisiała piękna zielona tarcza z białym gryfem.

- Oto stoi u twego boku giermek, sir Svonie. Czy przyjmiesz go?

- Z ochotą - odpowiedział Svon - jeśli i on mnie przyjmie.

- Toug, czy będziesz służył wiernie temu rycerzowi? Tak jak twój ojciec mnie kiedyś służył?

- Przysięgam! - Głos Touga zabrzmiał głośno i dlatego pewnie się załamał.

Nie wypowiedziałem nawet słowa, by przywołać Chmurę, lecz ona sama przycwałowała przed zebranych, a u jej boku zjawił się Gylf. Dosiadłem swojego konia.

- Udam się teraz na południe, zabiorę ze sobą Unsa i dwóch innych ludzi. Obiecałem księciu Marderowi, że stanę przy górskiej przełęczy, i muszę to zrobić. Kiedy uwolnicie mojego służącego z niewoli u Angronitów, przślijcie go do mnie. Będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

\* \* \*

Tamtej nocy Toug miał nadzieję, że znowu będzie śnił tak samo jak wcześniej, kiedy spaliśmy obok siebie. Lecz nie nawiedził go już podobny sen, a zamiast niego dotknął go ciepły, różowy język kota.

Obrócił się na plecy.

- Witaj, Mani. O co chodzi?



- Chodź ze mną - powiedział cicho kot, a kiedy Toug wstał, wyprowadził go z obozu i zaprowadził w miejsce, w którym na małym składanym stołku siedziała Idnn. Przed nią stał jeszcze jeden stołek.

- Muszę z tobą porozmawiać, giermku - powiedziała. - Nie pałaliśmy do siebie zbyt wielką sympatią aż do chwili... Usiądź, proszę. Dla ciebie przyniosłam ten stołek.

Toug skłonił głowę i zajął miejsce.

- Podarowałaś mi tarczę, zyskując moją dozgonną przyjaźń.

Blask księżyca pozwolił dostrzec uśmiech na jej twarzy.

- Zgrabnie powiedziane.

- Nie znam się na dobrych manierach. Nie wiem, jak powinno się rozmawiać z damą lub szlachetnym panem takim jak twój ojciec. Po prostu powiedziałem prawdę.

- Sir Svon może cię tego wszystkiego nauczyć.

- Wiem, ale dotąd nie miał czasu.

Odpowiedziała, jakby go w ogóle nie usłyszała:

- On potrafi być wytworny, jeśli tylko chce.

- Mądrzy ludzie wiedzą, w jaki sposób okazać uprzejmość - poinstruował Touga Mani. - Wiedzą też, kiedy być uprzejmym.

- I nie zawsze chcą być uprzejmi - skończyła za niego Idnn. - Sir Svon bywa obcesowy wobec mnie, giermku, chyba że jest z nami mój ojciec. Dlaczego tak się zachowuje?

- Tego mi nie powiedział.

- Oczywiście, że nie. Wiem, że nie jestem piękna...

- Ależ jesteś - przerwał jej Toug, a Mani zamruczał z aprobatą.

- Piękne kobiety nie mają takiego nosa jak ja!

- W naszej wiosce były kobiety i dziewczęta i tu są twoje kobiety i dziewczęta, a także wśród niewolników olbrzymów najwięcej było kobiet. Lecz kiedy próbuję znaleźć kogoś takiego jak ty, jedyną osobą, jaka przychodzi mi do głowy, jest królowa Disiri, a od niej jesteś o wiele ładniejsza.

- Widziałeś ją? Sir Able ci ją przedstawił?

Toug skinął głową.

- Też bym chciała ją poznać. Myślisz, że on wróci?

- Nie wiem.

- Zwracaj się do niej „moja pani” - wyszeptał Mani, a Toug powtórzył za

nim:

- Nie wiem, moja pani.

- Ale spróbuj zgadnąć, giermku, gdybyś musiał to zrobić.

- Myślę, że nie - powiedział powoli Toug. - Kazał przysłać do siebie służącego, kiedy już uwolnimy moją siostrę. Gdyby miał wrócić, to by tak nie powiedział.

Idnn przytaknęła mu niechętnie.

- No i jeszcze pasował na rycerza sir Svona. Sir Svon był jego giermkiem, lecz teraz ja jestem giermkiem sir Svona. Tak więc skoro sir Svon jest teraz rycerzem, to masz ich dwóch, tak samo jak wtedy, kiedy miałaś sir Garvaona i sir Able'a.

- Słyszałeś, co sir Garvaon powiedział na ten temat?

Toug potrząsnął głową i owinął się szczelniej płaszczem, który dała mu wcześniej Idnn.

- Nie, moja pani, nie słyszałem.

- Otóż zdaniem Garvaona sir Able chce zobaczyć, czy sir Svon się sprawdzi, czy nie, podobnie jak i ty. Twierdzi, że Able być może przybędzie do Utgardu, by sprawdzić, jak dobrze się sprawiliście. Albo jak źle.

- Myli się - rzucił Toug wyraźnie zaskoczony własnymi słowami. - To znaczy, jest rycerzem i wie dużo, moja pani, ale chyba nie zna sir Able'a tak dobrze jak ja. On nie jest taki.

- Czy wolno mi coś powiedzieć, lady Idnn? - wtrącił Mani.

- Później. - Podniosła go i pogłaskała po głowie. - Teraz chcę wysłuchać Touga. A jaki jest sir Able, Tougu?

- Nie wiem, jak to powiedzieć - odpowiedział Toug, któremu wydawało się, że to potrafi - ale on by nas tak nie sprawdzał, jak mówi sir Garvaon. On już to wie. Wie, że możemy to zrobić, a przynajmniej, że sir Garvaon i sir Svon dadzą sobie radę.

- Dwóch rycerzy przeciwko zamkowi pełnemu Gigantów Mrozu?

- Sir Garvaon, sir Svon, a także my wszyscy - poprawił ją Toug. - Ty, moja pani, twój ojciec, Mani, Org i pozostali.

- Org?

- Nie powinienem był o nim wspominać. Wybacz.

- Nigdy wcześniej nie słyszałam tego imienia.

Głos Maniego zabrzmiał jak roztopione masło, gdy mówił;

- Pozwól mi zabrać głos, lady Idnn, a zaspokoję twoją ciekawość w tej

kwestii, teraz lub na osobności.

- Pozwól mi, proszę, moja pani. W ten sposób będę mógł powiedzieć, że nic ci nie powiedziałem.

- Org to straszny człowiek, jakich rzadko się widuje - wyjaśnił Mani. - Jest większy niż muł, milczący i żywi się ludzkim mięsem...

- Zmyślasz!

- Ja, moja pani? Zapewniam cię, że nie ma drugiego, który byłby tak daleki od kręctw jak ja, twój najwierniejszy kot.

- Mani, sam w to nie wierzysz. Zmyślasz.

- Solenne zapewnienia giermka Touga zdradziły moją cichą grę, jak widzę - odparł Mani chłodnym tonem. - Daruję sobie dalsze szczegóły, skoro mają zostać zlekceważone. Oto fakty, których się dopraszasz, moja pani. Org jest służącym sir Able'a, którym normalnie opiekuje się garbus. Lecz zanim sir Able odjechał - i zanim wygłosił swą krótką, lecz zgrabną mowę, podnosząc sir Svona do stanu rycerskiego - nakazał Orgowi pozostać u boku sir Svona i słuchać go, jakby był samym sir Able'em. Sadziłem, że tylko ja, garbus i pies sir Able'a byliśmy świadkami tej rozmowy, ale widać giermek Toug też o tym wie.

- Widziałem wszystko. - Toug żałował, że nie potrafi zapaść się pod ziemię. - Widziałem i zapytałem sir Svona, a on powiedział, że lepiej, żebym wiedział, ale nikomu nie mówił.

- Jest strasznie przystojny, prawda? - Oczy Idnn rozbliły.

Toug wybałuszył oczy.

- Sir Svon, jego miałam na myśli. Złamał nos w walce z olbrzymami i pewnie zostanie mu taki skrzywiony, ale w końcu odważny rycerz musi mieć blizny. Niebieskie oczy... - westchnęła - i dołek w podbródku. Zauważyłeś to, giermku?

- Tak, moja pani - wydusił Toug.

- Tylko nie wolno mu powtarzać moich pochwał. Rozumiecie to zapewne. Obaj.

- Oczywiście - odpowiedział Mani. - Możesz na mnie całkowicie polegać, jaśnie Pani.

- I na mnie - dodał Toug.

- Znam już opinię Maniego na temat sir Svona. Usłyszysz ją bez wątplenia, jeśli chcesz, a nawet jeśli tego nie chcesz. Ale chciałabym usłyszeć, co ty możesz o nim powiedzieć. Wiem, że jesteś jego giermkiem

dopiero przez jeden dzień.

Toug milczał, więc dodała:

- Z pewnością wyrobiłeś sobie o nim jakieś zdanie.

- Znałem go wcześniej.

- A widzisz. Nie wypaple nikomu, na słowo dziewczicy.

- Ani ja - oświadczył Mani - bo rozmawiam tylko z tobą i z lady Idnn. A także z sir Able'em, lecz jego tu nie ma.

- Dużo z tego usłyszałem od sir Able'a - powiedział Toug - ale on ma rację. Wiem, że tak jest.

- Odnośnie sir Svona? - zapytała Idnn wyraźnie ożywiona. - Coraz lepiej. Co powiedział?

- No cóż, jest dumny. To znaczy sir Svon.

- Każdy to widzi.

- Powinien być szlachcicem, lecz jest młodszym synem, natomiast jego matka zmarła, a ojciec ożenił się powtórnie. Tak więc w rzeczywistości próbują się go pozbyć. Patrzy na innych z góry, nawet na króla, ponieważ wydaje mu się, że wszyscy patrzą z góry na niego, więc musi się nauczyć - tak powiedział sir Able, kiedy o nim rozmawialiśmy.

- Rozumiem. Mów dalej.

- Musi się nauczyć, że nie chodzi tylko o to, jak kto traktuje innych. Mówił, że ludzie wciąż ranią Svona, ponieważ wydaje im się, że trzeba zdusić jego dumę. Powiedział, że i on tak postąpił wobec niego. Ale sir Svon został już tyle razy zraniony, że to tylko czyni go jeszcze gorszym i ja nie powinienem już tego robić.

- Poniżyłeś go kiedyś, giermku?

Toug rozejrzał się; spojrzął w zimną północną noc i na widoczne w oddali światła obozu. Wiedział, że nadeszła chwila na dobre, solidne kłamstwo, tak więc skłamał mężnie:

- Powiedziałem coś, moja pani, Ale potem to wycofałem. Na pewno o tym pamięta, ale chyba już się nie gniewa.

## ROZDZIAŁ 6

### UTGARD

Mur i wieże Utgardu ujrzeli już o dzień drogi wcześniej. Wcale nie wyglądały one tak, jak Toug się spodziewał. Podstawę muru stanowił, a przynajmniej tak się wydawało, łańcuch niewysokich, lecz stromych gór. Z niego wznosił się drugi mur z dopasowanych kamieni, a każdy z nich był większy niż wiejski domek. Na nim ustawiono palisadę z pni tak wielkich, że kamienie przy nich wydawały się bardzo małe. Wieże za murem, przesłonięte błękitną mgiełką, były ogromne, szerokie i przysadziste, zwieńczone pajęczyną rusztowań. Ludzie na nich wyglądali jak mrówki, lecz gdy Laemphalt przebył kolejną milę, Toug zorientował się, że nie są to ludzie a giganci.

- Nic dziwnego, że nasz król chce się z nimi zaprzyjaźnić - powiedział do Laemphalta. - Nigdy byśmy ich nie pokonali, nawet za tysiąc lat, ani nie powstrzymali, gdyby im przyszła ochota coś zrobić.

Svon obrócił się w siodle.

- Siedź cicho, jeśli nie potrafisz mówić jak mężczyzna.

Toug skinął głową.

- Przepraszam, sir Svonie. Tak mi się wymknęło.

- Zabiłem jedną z tych istot kilka dni temu.

Jadący na przedzie kolumny mistrz Crol zagrał na trąbce, po czym zawołał:

- Przybywamy w pokoju! - Toug miał cichą nadzieję, że tak właśnie zostaną przyjęci.

Równina, na której wcześniej słyszeli tyle tajemniczych odgłosów i widzieli o świcie upiorne postacie, ustąpiła teraz miejsca gospodarstwu - biednym, zdaniem Touga, choć plony jego ojca ledwo pozwalały wyżywić rodzinę. Na polach widziało się gigantów, lecz zniwiarzami byli niewolnicy, ludzie, głównie kobiety.

- Spójrz tam. - Svon wskazał jedną z postaci. - Nie wie, co ze sobą zrobić.

Toug ścisnął piętami boki Laemphalta i po chwili zrównał się ze Svonem.

- Jest ślepy, sir Svonie.

- Naprawdę? Widzisz z takiej odległości?

- To mężczyzna. Widzisz brodę?

- Oczywiście. A co to ma do rzeczy?

- Giganci oślepiają mężczyzn-niewolników - wyjaśnił Toug. - Bertold mi opowiadał. Widziałeś go chyba?

- Tak, i rzeczywiście był ślepy. Ale on jest stary. Myślałem...

- Wypalili mu oczy. Tak się obchodzą ze wszystkimi mężczyznami.

Po twarzy Svona przemknął cień strachu.

Toug przełknął ślinę.

- Mają moją siostrę. Mówiłem ci o tym.

- Tak. Ale jej chyba nie wyłupili oczu? Kobiety w gospodarstwie były w porządku.

- Nie były w porządku. Po prostu nie były ślepe. Mamy uwolnić służącego sir Able'a, odszukać jego konie i bagaże, a potem odesłać je do niego. Moja siostra była ze służącym sir Able'a, a on sam z pewnością został już oślepiony.

- To może okazać się niewykonalne. Mam nadzieję, że nie jest, ale może jest.

- Sir Able... On wiedział takie rzeczy, sir Svonie.

Svon przytaknął mu z niechęcią.

- Wiedział, że potrafisz to zrobić. Powiedziałem to lady Idnn po bitwie i może... - Svon uciszył go ruchem dłoni.

- Powiedziałaś lady Idnn? Pytała o mnie?

Toug skinął głową.

- Zadawała wiele pytań. Lubi cię, sir Svonie.

- Nie będziemy więcej o tym rozmawiać.

- Oczywiście, sir. Przepraszam, sir Svonie.

- Byłbym zupełnie bez ziemi, gdyby nie szczodrość jej ojca. Dzięki niej jestem właścicielem włości, jakich nigdy nie widziałem. Jest córką barona i w całym Celidonie nie znajdziesz piękniejszej kobiety. Poślubi księżęcego potomka.

- Tutaj chyba nie ma ich zbyt wielu - zauważył Toug rzeczowym tonem.

- Jej ojciec, jak i my wszyscy, wróci pewnie do króla, kiedy już dostarczymy jego podarki.

Toug przytaknął, łudząc się w duchu, że Svon ma rację.

- Interesowała się mną? Wypytywała o mnie?

Toug skinął głową.

- Lubi cię, sir Svonie. Pamiętam, co powiedziałaś, ale ona cię lubi.

- Niewypróbowanego rycerza.

- Mogę coś powiedzieć? A nie wściekniesz się?

Svon uśmiechnął się ponuro.

- Spróbuj. Zobaczymy.

- Kiedy lady Idnn patrzy na ciebie, widzi to, co my wszyscy, a nie to, co ty widzisz, kiedy myślisz o sobie.

- To znaczy?

- Szlachetnego rycerza - którego ojciec jest szlachcicem. I matka jest szlachetnie urodzona. Przystojnego rycerza o niebieskich oczach i płowych włosach, i twarzy, jaka podoba się kobietom.

- Rycerza, nad którym ulitował się jej ojciec.

- Szlachcice nagradzają rycerzy - nie ustępował Toug. - Taka jest ich rola. Zasłużyłeś na swoje włości, walcząc z olbrzymami. Mówisz, że jesteś niewypróbowanym rycerzem dlatego pewnie, że nie walczyłeś nigdy z innym rycerzem. Tylko co jest trudniejsze: walczyć z innym rycerzem czy też walczyć z gigantem? Ja wiem, czego bardziej się boję.

Svon uśmiechnął się.

- Mój nos stanowi podporę twojego argumentu. Chociaż nie byłem jeszcze rycerzem, kiedy mi go złamałeś.

Tymczasem Angronici zastąpili drogę ich kolumnie, na której przedzie jechali Beel i Idnn. Mieli włócznie wyższe niż niejedno drzewo, gołe brzuchy podobne do włóchatych żagli i brody dorównujące długością wzrostowi Touga.

Garvaon cofnął się, by dołączyć do Svona i Touga.

- Straż królewska, wyobrażacie sobie? Żadnej zbroi i ruszają się jak sprzężone woły przed pługiem. Jego Lordowska Mość chce, żeby zaprowadzili nas do swojego króla. Oni chcą nas zabić i zabrać nasze muły. Tak przynajmniej mówią. Chętnie zobaczę, jak się do tego zaborą.

Bogato ubrany mężczyzna, który jechał za Garvaonem, zawołał:

- Utgard! Tam jest Utgard! Tyle razy o nim słyszałem, ale nie wierzyłem, że kiedykolwiek go zobaczę. Wykonam kilka szkiców.

- Jest wielki - przyznał Garvaon.

- Wielki i pełen Gigantów Mrozu. A tak poważnie, panie rycerzu, nawet gdyby udało się wam zabić tych przed nami, setka innych by nas zaatakowała, zanim byśmy ujechali pół mili.

- Masz rację oczywiście - powiedział Svon. - Czy my się znamy?

- Tylko pobieżnie. Wiem, że spotykasz wielu ludzi. Nazywam się mistrz Papounce.

Uścisnęli sobie ręce; Svon dość sztywno.

- Toug jest moim giermkim...

Niczym echo rozległo się wołanie kogoś z przodu kolumny:

- Toug!

- Póki co to cała moja czeladź.

Ponownie uścisnęli sobie dłonie, a Papounce powiedział:

- Masz silny uścisk. Z pewnością sam niedługo zostaniesz rycerzem.

- Na razie nie do końca wiem, jak być giermkim.

Garvaon przysunął się na swoim koniu na tyle, by móc dotknąć ramienia Touga, czy raczej klepnąć go po nim.

- Ktoś chce cię widzieć.

- Chyba przyjechała po ciebie służąca - dodał Svon. Jedna ze służących Idnn przyczłapała na włochatym kucu, który rozpoczął podróż w taborze.

Dziewczyna dygnęła w siodle, a przynajmniej spróbowała.

- To lady Idnn, sir Svonie. To znaczy, to nie ona krzyczy, ale to ona go potrzebuje, sir, i... och, sama nie wiem. W każdym razie lady Idnn pyta, czy byś go nie pożyczył, ale nie wiem, po co.

- W każdym razie musimy się dowiedzieć, jedźmy, giermku.

Toug wyczuł, że Svon chciał, aby wydawało się, że jest srogi, lecz wobec perspektywy rozmowy z lady Idnn nie bardzo mu się to udało.

Zanim Toug i Svon dotarli na czoło kolumny, do królewskich strażników dołączyło dwóch innych olbrzymów. Jeden z nich tkwił nad Beelem i Idnn niczym występ skalny.

- Musimy słyszeć wszystko, co mówicie - oświadczył dudniącym głosem.

- Nie mogę was powstrzymać przed słuchaniem - odpowiedział Beel - ale jest to rzecz, jakiej nigdy by się nie dopuścił żaden dżentelmen.

Angronita nie odpowiedział i stał dalej, nachmurzony i oparty o włócznię dłuższą niż lanca.

- Król Gilling chce kota mojej córki - zwrócił się Beel do Svona. Przewrócił oczami, dając do zrozumienia, że nie da się przewidzieć



królewskich zachcianek. - Tego, którego podarował jej sir Able.

Mani zamiauczał głośno, by wskazać, o którego kota chodzi.

- Nie wiem, dlaczego go chce - mówił dalej Beel - ani skąd wie o jego istnieniu. Ale tak mówi, czy też jego oficer twierdzi, że tak mówi.

Angronita z włócznią zdjął dłoń z drzewca swojej ogromnej broni.

- Przekażcie go nam!

Wtedy odezwała się Idnn, zwracając się do Touga:

- Nie obiecuj, że zwróci Maniego ani że nie wyrządzi mu krzywdy.

Kiedy olbrzym sięgnął po Maniego, Svon wyciągnął szybko miecz.

- Panowie! Panowie! - Beel uniósł obie dłonie. - To jest misja dyplomatyczna. Ty, sir - ja jestem lord Beel, baron z królestwa króla Arnthorna. Czy wolno mi spytać o twoje imię?

- Thrym. - Gigant cofnął rękę.

- Musimy wyjaśnić tym tutaj - Beel pokazał na Svona i Touga - co mają zrobić - co ma zrobić Toug i dlaczego ma to zrobić. Potem przekazemy wam kota i będziecie mogli zabrać go do króla Gillinga, wypełniając tym samym swoją misję.

Zawrócił swojego wierzchowca, by porozmawiać z Tougiem i Svonem.

- W tych okolicznościach moja córka jest niechętna oddaniu kota. Z pewnością przyznacie jej rację. Sama chciała go zawieźć Jego Królewskiej Mości, a Thrym zgodził się. Lecz ona podróżuje już tak długo, podobnie jak my wszyscy, i nie chciałbym bardzo, żeby pokazała się na dworze, zanim nie weźmie kąpieli i się nie przebierze. Pragnę, aby jej wygląd przyniósł zaszczyt naszemu narodowi, a nie okrył go niesławą.

- Nigdy by go nie okryła niesławą - oświadczył Svon.

- Powiedziałam - wtrąciła Idnn - że w takim razie król Gilling może poczekać, aż nas przyjmie. Wtedy założylibyśmy Maniemu złotą obrożę i pokropili go perfumami...

Mani kichnął.

- Wtedy bym go przedstawiła królowi Gillingowi. Ten... ten zwalisty oficer królewski w ogóle by się o tym nie dowiedział.

- Kazano mu przywieźć Maniego królowi natychmiast - rzucił nieśmiało Beel.

- Tak! Wtedy my czekalibyśmy tu w nieskończoność.

Beel zwrócił się do Svona:

- Thrym był gotów pozwolić Idnn zawieźć Maniego - to znaczy jej kota -

królowi. Ale ja się nie zgodziłem. zaproponowałem, że zrobi to jedna z jej pokojówek.

- Nie ma mowy! - warknęła Idnn.

Beel skinął głową.

- Teraz, po głębszym zastanowieniu się, jestem skłonny się zgodzić. Tak czy inaczej, jedyną osobą, którą zaakceptuje Idnn, jest Toug. Opisałem Touga Thrymowi, on zaś zasugerował, że mógłby się na niego zgodzić. - Beel zwrócił się do olbrzyma: - Oto on. Giermek sir Svona, tak jak mówiłem. Może być?

- O ile się nie posika.

- Nie musisz jechać - powiedział Svon do Touga. - To nie jest mój rozkaz.

- Pozwolisz mi? - zapytał Beel. - jeśli pojedzie dobrowolnie?

- Bez konia - zagrział Thrym. - Ja idę. Król chodzi. To i ty możesz chodzić.

Toug przytaknął mu i zsiadł z konia.

Idnn podała mu Maniego.

- Jesteś bardzo dzielny.

Toug posadził sobie kota na ramieniu.

- Czy sir Svon by to zrobił?

- Bez wahania - rzucił Svon.

- Oczywiście, że byś zrobił - Idnn uśmiechnęła się - lecz ja na to nie pozwolę. Mani cię nie zna. On zna i toleruje tylko mnie i Touga, a przecież to dla niego nieprzyjemne doświadczenie, nawet jeśli będzie przy nim przyjacielem. Duży z niego kot i silny. Co by się stało, gdyby podrapał króla Gillinga po twarzy? Naraziłby na szwank naszą misję.

- A sir Garvaon? - zapytał ją Toug.

Wydała się zaskoczona jego pytaniem, lecz po chwili odpowiedziała:

- Tak, oczywiście, że by pojechał, gdybym go poprosiła.

- Tak samo jak ja - odparł Toug, - A sir Able? Czy on by poszedł?

- Z pewnością.

- W takim razie pójdę. - Toug spojrział na ogromnego Thryma, wzrostem przewyższającego dwukrotnie najwyższego z mężczyzn. - Czy nie powinniśmy już ruszać? Każemy czekać twojemu królowi.

Marsz przez równinę zajął im długie godziny. Wiatr podrywał z pól pył i śnieg, a zielony płaszcz, który Toug dostał od lady Idnn, słabo osłaniał przed zimnem. Mani jechał na ramieniu od nawietrznej, przyklejony ciepłym i

puszystym bokiem do ucha Touga, co było bardzo przyjemne, lecz nawet on dygotał.

Z każdym krokiem (a Toug stawiał je bardzo szybko, jako że musiał biec truchtem, by nadążyć za olbrzymem) oddalający się z tyłu tabor koni i mułów malał. Wreszcie przed monstrualnym murem pojawiło się skupisko lichych domów większych niż stodoła, za którymi widniała ogromna brama podobna do twarzy kolosa, z wyszczerzonymi zębami spuszczonej kraty z prętów grubszych niż pnie starych drzew.

- Przyjrzyj się dobrze - zagrział Thrym.

- Przyglądam się - odparł Toug. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- I może już więcej nie zobaczysz. - Śmiech Thryma zabrzmiał donośnie niczym bicie kotła i tak okrutnie, że Toug aż zadrżał. - Nie widzimy tu zbyt wielu waszych z oczami, a i wasi rzadko nas widzą.

- Oślepiacie swoich niewolników. - Toug przełknął ślinę. - Rozmawiałem trochę z jednym z nich. Tak powiedział, i był ślepy.

- Oślepiamy mężczyzn.

- Ale ja nie jestem niewolnikiem, ani twoim, ani niczym. Jestem giermkim sir Svona. Mani też nie jest niczym niewolnikiem. Jest kotem lady Idnn.

- Zwierzętom nie wyłupiamy oczu - przyznał Thrym, a Toug poczuł, jak Mani rozluźnił się nieco.

Przed murem biegł suchy rów, tak głęboki i tak szeroki, że mógłby być naturalną przepaścią, w głębi której widniały ogromne głazy. Jego brzegi łączył łuk mostu z masywnych bali lśniących od smoły, który trzeszczał mocno i jęczał pod ciężarem Thryma.

- Nie bój się - zagrział Thrym. - Umiemy budować mosty. Musimy. Raczej bój się mnie. Dlaczego nie miałbym zabrać ci kota, rozdeptać cię tu i rzucić ciało do fosy?

- Mógłbyś, sir. Ale mam nadzieję, że tego nie zrobisz.

- Ta twoja zabaweczka. - Thrym zatrzymał się, czekając aż Toug go dogoni, i pokazał na Łamimiecz. - Powstrzymasz mnie nim?

- Nie, sir.

- Na krew Ymira, dobrze gadasz. Pokaż mi go.

Toug wyciągnął Łamimiecz i podał go Trymowi, rękojeścią do przodu, jak nakazywał dobry obyczaj.

- Nawet nie jest ostry.

- Nie, sir - odpowiedział Toug. - Sir Svon nie pozwala mi nosić ostrego miecza, ponieważ boi się, że mógłbym się skaleczyć. Ale jestem jego giermkim, a giermek powinien mieć miecz.

Thrym zatrząsł się ze śmiechu.

Do największej z wież prowadziły schody tak wysokie, że Thrym chwycił Touga za koszulę z mocnego samodziału, którą uszyła mu matka, i ponióśł go niczym lalkę, Mani wczepił się w niego wszystkimi pazurami.

- Jesteśmy gotowi walczyć z wami. Widzisz? - Thrym postawił Touga i pokazał w dół na schody, na które właśnie się wspięli, W jaki sposób wasi weszliby po takich stopniach, hę? Musieliby mieć drabinę albo coś takiego. My schodzimy po nich swobodnie i nie spodobałoby ci się to, co potem robimy.

Toug, przekonany, że nie podoba mu się nic z tego, co robią Angronici, powiedział:

- Z pewnością nie chciałbym walczyć z wami na tych schodach, sir.

- Ha. To może na moście, po którym przeszliśmy?

- Tam też nie - przyznał Toug.

- Jest podłożona podpałka i w każdej chwili można go spalić. Jak tylko byście na nim stanęli, podkładamy pochodnię. Szybko byście czmychnęli, co?

- Tak, sir.

- Wcale nie. Wy, maluchy z gorącego kraju, rozmnażacie się jak czerwone mrówki, więc tysiąc innych napierałoby z tyłu. Most się spali, a wy razem z nim.

- Nie przybyliśmy tu, żeby was zaatakować, sir - rzucił potulnie Toug - lecz by ustanowić pokój, jeśli to możliwe.

- Powiedz to królowi Gillingowi.

\* \* \*

Śmierdząca sala tronowa była tak ogromna, jak Toug się spodziewał, lecz dla znajdujących się tam setek olbrzymów jej kamienne sklepienie wydawało się niskie. Salę wypełniał nieopisany zgiełk, mieszanina śmiechu, okrzyków, tupania i szczęku broni.

- Tam jest król. - Thrym pokazał na przeciwległy koniec ogromnej Sali,

gdzie tłum był najgęstszy. - Postaram się precyzyjnie jak najbliżej. Idź za mną, tylko uważaj, żebyś nie zgubił kota.

Toug trzymał się blisko olbrzyma, przemykając między gigantami.

- Zaczekaj! - wyszeptał Mani do jego ucha. - A co będzie ze mną?

- Nie mam pojęcia - mruknął Toug. - Myślałem, że ty wiesz.

- Wszystkie koty są dzielne.

Toug przemknął między nogami jednego z Angronitów.

- A ja uchodzę za odważnego nawet między kotami. Mimo wszystko...

Mani nie zdążył dokończyć, ponieważ przerwał mu głośny ryk:

- Thrym!

- Tak, Wasza Królewska Mość!

- Gdzie on jest, Thrym?! - Pytanie zabrzmiało jak ogłuszający wystrzał. - Nie przyniosłeś go?

Thrym chwycił Touga za koszulę i podniósł wysoko w powietrze. Grzmiący głos Thryma nie brzmiał tam już tak imponująco.

- Mam go, Wasza Królewska Mość.

Wyniesiony ponad głowy dwudziestu albo trzydziestu olbrzymów Toug zobaczył - na złotym tronie ustawionym na podeście tak wysokim, że zakrzywione szpice żelaznej korony drapały niemal o sufit - króla tak ogromnego i tak grubego, że pozostali Angronici, choć monstrualni, w porównaniu z nim przypominali dzieci.

- Przynies go tu, Thrym. - Głos króla nie brzmiał specjalnie nisko ani specjalnie wysoko; był po prostu głośny, tak głośny, jakby przemawiała burza.

- A co to jest to, co go trzyma?

- To służący kota, za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości. Ciepłoludy wymyśliły, że kotem powinien się ktoś opiekować, ktoś, kogo on lubi. Uznałem, że niech tak będzie.

- Przynieście mój stół!

Chudy Angronita stojący przy podwyższeniu huknął o podłogę złotą laską, a Tougowi wydało się, że to Śmierć zapukała do drzwi.

- Królewski stół!

Każdą nogę niosło czterech ślepców prowadzonych przez kobietę przy pomocy dotyku i głosu. Jej spojrzenie spotkało się na chwilę ze spojrzeniem Touga, lecz zaraz odwróciła wzrok.

- No - mruknął król, kiedy postawiono Touga na stole. - Musisz mi

opowiedzieć o tym magicznym kocie, maluszk. Potrafi gadać?

- Tak, Wasza Królewska Mość - odpowiedział Toug i poczuł, jak pazury Maniego wpijają się w jego ramię.

- No to powiedz mu, żeby porozmawiał ze mną.

Mani pokręcił głową, muskając wąsami policzek Touga.

- Nie mogę, Wasza Wysokość - powiedział Toug. - Nikt nie potrafi zmusić kota do czegokolwiek.

Król roześmiał się, a jego brzuch zatrzęsł się niczym góra poruszona trzęsieniem ziemi; pozostali Angronici zawtórowali mu.

- Jeśli cię polubi - wyjaśnił Toug - z pewnością zechce z tobą rozmawiać, ale nie w obecności tylu ludzi. Tak to się nie dzieje.

Król nachylił się do niego, a jego okrągła spocona twarz przypominała młyński kamień.

- Czy to twój kot?

- Należy do lady Idnn, Wasza Królewska Mość. Sama chciała go tu przynieść, lecz ojciec jej nie pozwolił. - Toug wziął głęboki oddech. - Uznał, że nie jest dość elegancko ubrana, żeby się pokazywać na dworze, Wasza Królewska Mość. Ja też nie jestem, wiem o tym, uznaliśmy jednak, że w moim przypadku nie ma to większego znaczenia.

Król Gilling milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Przydałaby ci się ładna tunika. Żebyś się nie wstydził stanąć przede mną.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość. - Toug skinął głową.

Król spojrzał na Angronitę ze złotą laską.

- Ładna tunika, Thiazi. Jedna z niewolnic może go wystroić. I złoty łańcuch, jeśli macie taki mały. I co tam jeszcze uznacie.

- Życzenie Waszej Królewskiej Mości jest moim życzeniem. - Thiazi ukłonił się.

Toug odważył się powiedzieć:

- Lord Beel wiezie piękne podarunki dla Waszej Królewskiej Mości. Czeka przed murem. Wystarczy go wpuścić, a je wręczy.

- Czeka z tą lady Idnn?

- Tak, Wasza Królewska Mość. A także sir Svon - mój pan - i wielu innych.

- Chciałbym porozmawiać z tą lady Idnn. A jeśli jej mąż nie pozwoli jej się ze mną zobaczyć, to trzeba będzie się nim zająć, kocie.

- Ja się nazywam Toug, a on Mani. - Toug mówił cicho, żeby nikogo nie

obrazić. - A lord Beel jej jest ojcem nie mężem. Lady Beel zmarła, jak sądzę. Z pewnością pozwoli ci się z nią spotkać. To znaczy, z lady Idnn, kiedy ona się wystroi i co tam jeszcze.

- Dobrze. - Król uśmiechnął się. - Chcemy ją zapytać, skąd ma tego kota, prawda Thiazi?

Thiazi skłonił głowę.

- Prawda, Wasza Królewska Mość.

- Och, to wam mogę powiedzieć - rzekł Toug. - Dostała go od sir Able'a. Wcześniej Mani należał do sir Able'a, który podarował go lady Idnn.

## ROZDZIAŁ 7

### HELA I HEIMIR

- Cóż cię martwi, sar? - Uns, wspomagany przez Ślepego Bertolda, usiłował sklecić namiot z żerdzi i smołowanego płótna ze stodoły Bymira.

- Mnóstwo rzeczy - odpowiedziałem.

Gerda podniosła wzrok znad garnków.

- Przeszkadzamy ci pewnie, sir.

Zaprzeciłem:

- Nie, ani trochę.

- Może jutro pojedziesz do przodu i powiesz nam, gdzie mamy się spotkać?

Jeszcze raz potrząsnąłem głową.

- Nie chodzi o Orga, sar? Marfisz się pewnie, jak sar Svon się nim opiekuje. Ja też, sar. Org nie jest taki zły, jak gadają. Tylko dobry też nie jest i troszkę trudny.

- Nie - powiedziałem. - Mogę wam jakoś pomóc?

Uns spojrział na niego przestraszony.

- To nasza robota, sar. Chyba, że myślisz, że coś źle robimy.

- Idzie wam lepiej, niż ja bym sobie poradził. - Usiadłem na ziemi i popatrzyłem w ogień. Gylf położył się przy mnie.

- Chodzi o chłopaka - powiedziała Gerda głosem osoby doświadczonej. - Młody Toug. Ja też się o niego martwię, sir.

- Nie musicie tego wysłuchiwać - odparłem. - Macie swoją robotę. Ja też mam wiele do zrobienia i właśnie to robię. Muszę pomyśleć. W Skai niewiele myśleliśmy, a przynajmniej tak mi się wydaje. Valfather, Pani i Thunor byli bardzo mądrzy i to nam wystarczało. Służyliśmy im, kiedy tylko mogliśmy, a kiedy nie mogliśmy, jedliśmy, piliśmy, pojedynkowaliśmy się i śpiewaliśmy. Teraz myślenie spadło na mnie, a jedną z najważniejszych rzeczy, jaką mam do przemyślenia, jest to, czy Valfather to przewidział.

Podniosłem patyk, złamałem go i wrzuciłem do ognia.



- Pewnie tak. Chodzi o to, czy wpłynęło to na ograniczenia, jakie na mnie nałożył, kiedy pozwolił mi tu wrócić. A jeśli tak - a z pewnością tak jest - to w jaki sposób.

- Gdzie za dużo pomysłu, głowa puchnie od trunku - ostrzegła mnie Gerda.

- Gdzie za dużo zmartwień, chciałaś powiedzieć. Za dużo kiedy człowiek przemyśliwa na okrągło i umysł wciąż pracuje. Owszem, ale ja staram się tak nie myśleć. Ja staram się myśleć tak jak płynie morze. Brakuje mi tego, lecz wam pewnie nie.

Gylf położył mi łapę na nodze.

- Wyjawię wam, o czym myślałem. To żadna tajemnica. Tylko najpierw skończmy z sir Svonem i Tougiem.

Bertold Śmiały, obsadziwszy w ziemi pale prowizorycznego namiotu, podszedł, szukając drogi ostruganym kijem i usiadł obok Gylfa.

- Boisz się, że Angronici mogą ich zabić. Ja też się boję. Ale gdybym został, Toug pozostałby moim niewolnikiem, a sir Svon giermkim. Tak by się stało, bez wątplenia. Kiedyś, dawno temu... Choć dla was to wcale nie jest dawno temu. Otóż kiedyś sir Garvaon powiedział mi, że jestem bohaterem, rycerzem, o którym śpiewają pieśni.

- Tak - rzucił Bertold.

- Takim rycerzem pragnie zostać sir Svon, i ma rację, bo tylko takiego człowieka powinno się nazywać rycerzem. Nie chcę przez to powiedzieć, że powinno się śpiewać pieśni o każdym dzielnym rycerzu. Zawsze będą tacy, o których mężnych czynach nikt się nie dowie. Zanim pasowałem go na rycerza, Svon zaatakował z mieczem w ręku grupę rozbójników. Zabił kilku, lecz pozostali strasznie go obili i zostawili na pastwę losu. Nikt nie zaśpiewa o posiniaczonym i zakrwawionym chłopaku, który ocknął się i ujrzał rozszarpane przez wilki ciało Ravda, a potem odpędził zwierzęta złamaną kopią sir Ravda i pochował go w lesie. Niemniej jednak on zasługuje na pieśń, a ja dałem mu szansę, żeby poczuł się dumny z samego siebie, a nie ze swoich przodków.

- Toug to wieśniak, który chce zostać rycerzem, i pewnie nim zostanie, jeśli będzie miał szansę dorosnąć. Uns, ty znasz go lepiej niż Bertold czy Gerda. Mam rację?

- Nie wiem, sar. - Uns puścił na chwilę słupek przekrzywiony przez zbyt mocno naciągniętą linę. - Jest jeszcze Pouk, nie? Co był z tobą w

gospodarstwie?

Skinąłem głową.

- Angronici go mają.

- A ty bardzo chciałeś go uwolnić.

- Chciałem. Chcę. Był moim służącym, dobrym służącym. Wysłałem mu pomoc i myślę, że go uratują.

- Ale nie to cię trapi, sir? - wtrąciła Gerda.

- Nie. - Podniosłem głowę. - Najwięcej myślę o królowej Disiri, zawsze tak jest. Kiedy miód Valfathera wypłukał mnie ze wszystkich innych wspomnień, jej imię wciąż pamiętałem. Ona do mnie nie przyjdzie, tak więc ja muszę udać się do Aelfrice, by ją odszukać. Najszybciej jak to możliwe.

- A ja z tobą - zadeklarował się Uns.

- Być może, ale raczej nie. Tutaj czas płynie wolniej. Opowiadałem wam o tym?

- Brat mi mówił, sir - powiedział Bertold. - Został porwany, a przynajmniej tak myślał, a kiedy wrócił, ja byłem już stary, choć widziałem. Czasem w głowie się kręciło tak jak teraz. Za to on! Był prawie takim samym chłopakiem jak wtedy, gdy go zabrali, chociaż gadał mądrze.

- A dlaczego go zabrali, Bartoldzie? Pamiętasz?

- Żeby się wstawił za Aelfrice tutaj na górze, tak mówił. Ale tak się nie stało.

- Zastanawiałem się nad tym.

- Znasz ich, sir - zauważyła Gerda. - Była tam ta jedna, która przyszła do ciebie, kiedy siedzieliśmy pod drzewem, ja i Bertold. Powiedziałam wtedy, żebyś jej nie ułał, a ty odpowiedziałeś, że już to zrobiłeś.

- Uri.

- Ona właśnie, sir. Znałeś ją.

- Tak. Znam dość dobrze ją i Baki. Wcześniej myślałem, że znam też Garsecga, nawet lepiej niż je. Ale teraz wiem, że Garsecg nie jest Aelfem.

- Ho, ho - odezwał się Gylf, lecz pozostali wzięli to za szczeknięcie.

- To demon - wyjaśniłem - smok w ludzkiej postaci.

- Ubijesz go, sar?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, Uns. Chyba że będę musiał. Ale oddaliśmy się od zagadki brata Bertolda, a jest to jedna z rzeczy, nad którymi się zastanawiałem. Chcecie, żebym dalej o tym mówił?

- Ja tak, jeśli to dotyczy mojego brata - powiedział Bertold.  
- Oczywiście. Twój brat nie pamiętał nic z tego, co przeżył w Aelfrice.  
- Zgadza się, sir.  
- A zatem mamy trzy tajemnice. Pierwsza, dlaczego nic nie pamiętał? Druga, dlaczego posiadał ich mowę? I trzecia, dlaczego nie przemówił?  
- Znasz chyba wszystkie odpowiedzi, sir? - zapytała Gerda.  
- Nie wszystkie. Na drugie pytanie wszyscy chyba potrafimy odpowiedzieć. Nauczono go ich mowy, żeby mógł dostarczyć wiadomość, jaką mu przekazano. Uns, ty masz bystry umysł. Oświecisz nas w kwestii dwóch pozostałych tajemnic?  
- Czego nic nie pamiętał, sar? A nie podziałeś tego na początku? Bo go zaczarowali. Umią czarować, wszystkie te Aelfy.  
Przytaknąłem mu.  
- Masz rację. Ale po co to zrobili?  
- Żeby mogli mu przekazać wiadomość - mruknął Bertold.  
- Tak.  
- Nigdy nie powiedział, kto, bo nie wiedział.  
Znowu mu przytaknąłem.  
- Myślę, że masz rację. Ten, kto go posłał, chciał zachować w tajemnicy swoją tożsamość, a także samą wiadomość.  
Gerda rozwidlonym patykiem zepchnęła garnek na ziemię.  
- W takim razie nie powiedział, co mu przekazali, bo zapomniał.  
Bertold pomacał w powietrzu dłonią i dotknął mojego ramienia.  
- Ktoś tu jest.  
Spojrzałem na Gylfa, który uniósł łeb, powęszył i spojrzał na mnie zdziwiony.  
- Usłyszałeś? - zapytałem Bertolda.  
- Tak, sir.  
- Wieje. - Położyłem dłoń na rękojeści Eterne. - Pewnie idzie pod wiatr. To dlatego Gylf go nie wyczuł. - Poszedłem z wiatrem, a Gylf podążył za mną...

\* \* \*

Kiedy wróciliśmy, Bertold i Uns spali twardo, lecz Gerda czuwała i grzała

ręce przy ogniu.

- Dobrze, kiedy ktoś stoi na straży - powiedziałem i usiadłem - ale teraz możesz już iść spać. Ja będę czuwał, a poza tym Gylf budzi się na najmniejszy szelest.

- Nie znalazłeś nikogo?

Potrząsnąłem głową.

- Nasłuchiwałam, sir. Pomyślałam sobie, że gdybyś go zabił, to by krzyknął, bo zwykle tak jest. Słuch u mnie już nie taki jak kiedyś, więc martwiłam się, mógłbyś to zrobić tak szybko, że by nawet nie zdążył pisnąć.

- Nie widziałem go - przyznałem.

- Ale ktoś tam jest, prawda?

Skinąłem głową.

- Któryś z gigantów?

Potrząsnąłem głową. Gylf, który go widział, opisał mi go.

- Chłopak taki jak Toug?

- Nie, duży mężczyzna. Jak mówiłem, nie widziałem go, ale słyszałem, jak ucieka. Duży mężczyzna może poruszać się bardzo cicho, dopóki nie musi uciekać, bo wtedy trudno mu zachować ciszę.

- I twój pies go nie dogonił?

- Z pewnością by go dopadł, ale mu nie pozwoliłem. Pamiętasz, jak cię wywęszył w żywopłocie?

- Nigdy tego nie zapomnę.

- Uns pytał, co mnie trapi. Odpowiedziałem mu, zdaje się, że mnóstwo rzeczy. - Uśmiechnąłem się. - Trochę przesadziłem, lecz między innymi przypomniałem sobie, jak Gylf cię wtedy złapał. Zobaczyłem twój łańcuch i w moim umyśle rozległ się jęk. Niemal krzyk.

- Przyzwyczaiałam się do niego, sir.

- Pozbędziemy się go, gdy tylko znajdziemy kowala, obiecuję ci, choć może nie nastąpi to zbyt szybko. Lecz mnie nie dawał spokoju nie twój łańcuch, lecz ten jęk. - Po chwili dodałem: - to nie ja jęknąłem. Jestem tego pewny.

- Skoro usłyszałeś go w swojej głowie, sir...

- To ja go wydałem? Nie, to nie ja. Więc kto?

- Nie wiem, sir. Ja go nie słyszałam.

- Wciąż go sobie przypominałem, usiłując ustalić, czyj to mógł być głos. Już byłem bliski znalezienia odpowiedzi, gdy przyszło mi do głowy, że mógł

to być Bertold, którego znalazł Gylf. Myślałaś o tym?

Gerda rozgarnęła żar. Milczała.

- Bertold ma już swoje lata i jest ślepy, lecz zachował krzepę jak na mężczyznę w tym wieku. I jest ostatnim, którego bym podejrzewał o to, że się przestraszył. On by walczył, a Gylf by go zabił. Ten, który uciekał przed nami, był młodszy i o wiele silniejszy.

Gerda nic nie odpowiedziała.

- Jest wielu, których powinno się zabić. I wielu, których trzeba zabić, bo inaczej oni spróbują zabić nas. Ja jednak nie jestem pewny czy ten, który przed nami uciekał - wielki, młody mężczyzna, którego nie widziałem - należy do którejś z tych grup.

- Myślisz, że to mój mężczyzna. Że to jest Heimir.

- Ja nic nie myślę. Tak mi przyszło to do głowy.

- Nie wiem, sir. Naprawdę nie wiem. - Otarła łzę. - Ale tak mi się wydaje, że wrócił do mnie albo ja przyszedłam po niego, sir, czy jak to może wyrazić ciało. Nie wiem, sir, to wszystko jest w moim sercu. Nie widziałam go ani nie słyszałam.

- Następnym razem pozwolimy mu podejść bliżej, jeśli będzie następny raz.

- Dobry jesteś, sir. Sir?

- O co chodzi?

- A jeśli przyjdzie, to... nie skrzywdzisz go?

- Oczywiście, że nie. A on będzie chciał mnie skrzywdzić?

Gerda zawahała się.

- Być może, sir, gdyby mnie nie było przy tobie. Ale nie wiem. Jest pewnie bardzo głodny.

- Tak jak my. Mało tu zwierzyny.

- Dalej na południe, sir, na południe od gór...

Potrząsnąłem głową.

- Muszę stanąć przy przełęczy. Nieprędko pojedziemy na południe od gór.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, że nie pozwolisz nam umrzeć z głodu, sir. Nawet jeśli on będzie z nami.

Coś dużego spoczywało na legowisku z paproci w niskiej pieczarze; na ułamek sekundy poczułem jego głód i samotność. Podniosłem wzrok. Chmura patrzyła na mnie, jej łeb i ciemne oczy były ledwo widoczne.

Skinałem głową, licząc na to, że mnie widzi.

- Mówiłeś, że wcześniej domyśliłeś się, co to za jęk, sir. Ten jęk, który usłyszałeś, gdy mnie zobaczyłeś po raz pierwszy. Co to było?

- Kiedy ujrzałem cię zakutą w łańcuch. - Wiatr dmuchnął mi dymem w twarz. Rozwiąłem go ręką i przesunąłem się trochę na lewo.

- Myślisz pewnie, że mi się wydawało.

Pokręciła głową.

- Nie, jeśli twierdzisz, że tak nie było.

- Nie wydawało mi się. Znam smak własnych myśli, lecz to nie była moja myśl. Twoja też nie, ani Gylfa. Nie potrafię powiedzieć, skąd to wiem. Był tam ktoś jeszcze, ktoś, kogo nie widziałem. Wcześniej śledziły mnie Aelfy i uznałem, że najprawdopodobniej był to Garsecg. - Zamilkłem. - Garsecg nie jest Aelfem, lecz udawał, że jest. Może kiedyś opowiem ci więcej o Garsecgu.

Gerda skinęła głową.

- Powiedziałeś, sir, że zmieniłeś zdanie.

- Tak. Twierdziłaś, że widziałaś przy mnie starą kobietę. - Gerda przytaknęła mi nieśmiało. - Myślę, że to była pani Maniego. Na pewno spotkałaś Maniego. Ogromny, czarny kot.

- Kot czarownicy, moim zdaniem, sir.

- Tak, chociaż teraz należy do lady Idnn. Wiedźma nie żyje, lecz wciąż tu pozostaje. Kiedy Baki wiała się z bólu na strychu w stodole, to właśnie duch jego dawnej pani powiedział Maniemu, żeby sprowadził pomoc.

- Myślisz, że nas prześladowe, sir?

- Wątpię. Udała się raczej do Utgardu razem z Manim, choć nie mam pewności. Połóż się i spróbuj zasnąć.

- Jeśli już nic więcej cię nie trapi. Myślałam, że będę mogła bardziej ci pomóc.

Roześmiałem się.

- Wątpię, Gerdo. W grocie gryfa Aelfy zamierzały złożyć w ofierze piękną kobietę. Kim była i co się z nią stało?

- Na Lera! Nie wiem, sir.

- Bardzo wysoka. Miała mleczną skórę i czarne włosy. - Moje dłonie wyrzeźbiły w powietrzu niewidzialną postać. - Skoro nie wiesz, kim była, ani co się z nią stało...

- Przysięgam, sir, że nie wiem.

- Wierzę ci. W takim razie powiedz mi coś innego. Dlaczego Aelfy miałyby ofiarować Grengarmowi jedną z naszych kobiet?

- Nie mam pojęcia, sir. A ty wiesz?

- Może. Grengarm był istotą bardzo podobną do Garsecga, lecz wydawał się prawdziwy tutaj, w Mythgarthrcie. Pamiętasz Touga? Pochodzi z Glennidam, wioski, w której czci się Aelfy.

- To niedobrze, sir. Nie powinno się tego robić.

- A przynajmniej żadne z nas nie powinno tego robić. Nie byłoby chyba zbyt trudno wyjaśnić, dlaczego robią to mieszkańcy Glennidam, choć nie jest to dobre, jak mówiłaś. Lecz ja zastanawiałem się dużo nad innym pytaniem: dlaczego Aelfy im na to pozwalają?

Wyraz twarzy Gerdy sugerował, że nie rozumie.

- Wspomniałaś Lera, matko. Przypuśćmy, że Ler, z Valfatherem i Lothurem, stanęliby przed nami, złożyli ci ofiarę i odprawili modły na twoją cześć? Co byś zrobiła?

- Ja... - Gerda była wyraźnie zdezorientowana. - No cóż... powiedziałabym, że to jakaś pomyłka albo że żartują sobie ze mnie.

- Właśnie. Tymczasem Aelfy, które powinny zareagować podobnie, nie robią tego. - Patrzyłem, jak księżyc wschodzi nad pustym krajobrazem.

- Pewnie im się to podoba, sir - powiedziała Gerda.

- Połóż się - zwróciłem się do niej. - Idź spać.

Kiedy księżyc wzniósł się na tyle wysoko, że zobaczyłem góry, wstałem i poszedłem sprawdzić pęta naszych wierzchowców. Konie Bertolda i Gerdy były wciąż ciasno spętane, podobnie jak łagodny brązowy muł Unsa. Chmura miała luźne pęta i teraz całkiem je zdjąłem. Ułożona już do snu, trąciła mnie pyskiem i wywołała w moim umyśle obraz odyńca, ogromnego i straszego, który rył w ziemi na drugim brzegu rzeczki.

Odpowiedziałem jej skinieniem głowy, po czym zarzuciłem na plecy kołczan i napiąłem łuk. Cięciwa zagrała cicho pod moimi palcami, nucąc pieśni żniwiarzy i kołysanki, pieśni wojenne i piosenki płynące z ryczących gardeł w tawernach, a także pieśni uwielbienia śpiewane przed ołtarzami, kiedy buzujący ogień pożera całego wołu, a z dymu wyłaniają się Overcyni w rogatych hełmach, spod których spływają włosy niczym cieniutkie złote nici - wszystko to i wiele więcej zlewało się w jeden hymn ludzkości, któremu akompaniowały pewne ptaki.

\* \* \*

- Dobra świnia! - Gylf oblizał się. - Chcesz ją!

Powiedziałem, że tak.

- Jest daleko. Napędzę ją.

Gylf zniknął z pola widzenia, zanim zdążyłem zrobić dwa kroki. W ślepej ciemności pod drzewami powróciłem myślami do tych nielicznych kilku uwag i pytań, jakie skierowałem do Unsa, Bertolda i Gerdy. A potem, przez następne sto ostrożnie stawianych kroków, powtarzałem szeptem imię Disiri.

Gylf musiał namierzyć dzika, bo teraz cichy nocny wiatr niósł odgłosy warczenia i gniewnego chrząkania.

Jotunland, pomyślałem. To jest Jotunland. Pusty, zimny i trochę zbyt suchy.

Bertold Śmiały opowiadał o tym, jak kopie się tam głębokie studnie, studnie, których budowa trwa całe miesiące, a które i tak zawodzą w suche lata, i o tym, jak trzeba mozolnie nosić wodę wiadrami na pola i jak Angronicy walczą między sobą o dostęp do wijących się strumieni, które nigdy nie docierają do morza.

I to stanowiło kolejną zagadkę. Angronicy, tacy wielcy i silni, mogliby żyć wszędzie. Dlaczego więc osiedlili się tutaj?

Czy rzeczywiście bogowie Skai wypędzili Gigantów Zimy i Starej Nocy poza królestwo słońca? Czy raczej Giganci sami wybrali to miejsce dla siebie? Z pewnością rycerze tacy jak Svon i Garvaon czy Woddet nigdy nie przepędzili Angronitów na północ od gór.

Warczący pies i rozwścieczony odyniec były coraz bliżej, a ja dotarłem do kawałka wody lśniącej w blasku księżyca. Uznałem, że Gylf powinien zagnać dzika na płyciznę, a potem na drugi brzeg, jeśli dzik jeszcze będzie żywy.

O ile Gylfowi udało się uniknąć tnących kłów. Strzała wypuszczona tutaj mogłaby zakończyć polowanie. Umieściłem ją na cięciwie i spojrzałem na księżyc, żeby się rozluźnić. Zaczynał padać śnieg, mimo iż księżyc wciąż świecił, i wydawało się, że srebrzyste światło spowija mgiełka, piękna i straszna. Dotąd poruszaliśmy się powoli i wyglądało na to, że jutro będziemy jechać jeszcze wolniej; nie było wygodnie, a miało być jeszcze mniej komfortowo. Kto by chciał tam mieszkać?



Odyniec, oczywiście. Lecz ja wiedziałem, że dzik musi oddać życie.

Jutro będzie mięso. Mięso nie tylko dla mnie i dla Gylfa, lecz także dla Bertolda Śmiałego, dla Gerdy i Unsa. A także dla tego ukrywającego się młodzieńca, który podkraść się tak blisko naszego obozu. Młodego człowieka (nazywaj go po imieniu, upomniałem samego siebie, bo przecież je ma), którego cierpiąca matka nazwała Heimir w nadziei, że zyska mu to sympatię Angronitów, a który leży teraz wygłodzony w jaskini pośród wzgórz.

Tak duży człowiek, mężczyzna, być może wazący połowę tego co Chmura, potrzebuje dużo jedzenia, które trudno znaleźć w tej jałowej krainie. Angronici byli więksi, ale nie chodzili głodni tylko dlatego, że ich gospodarstwa obrabiali niewolnicy.

Pies i odyniec zbliżyły się; słyszałem trzask łamanych drzewek, kolejne trzaski, które w moich uszach zlewały się w jeden odgłos.

Nagle przyszło mi do głowy, że król Arnthor postąpiłby rozsądniej, wysyłając im w darze chleb i ser. A potem, że misja lorda Beela była skazana na niepowodzenie, że Angronici nigdy nie przestaną najeżdżać ich południa, by zdobyć niewolników, ponieważ bez nich umarliby z głodu - że żaden Angronita nie potrafiłby wyhodować lub zabić wystarczająco dużo zwierzyny, żeby nakarmić siebie, żonę i dzieci. Byli zbyt duzi i potrzebowali zbyt dużo.

A poza tym nikt nigdy nie widział ich żon.

Odyniec wynurzył się z zarośli, a moja strzała przysunęła się do mojego ucha i pomknęła. Dzik, czarny jak smoła w blasku księżyca, trafiony w łopatkę, przebiegł przez płyciznę na środek rzeki, odwrócił się, by stawić czoło Gylfowi, po czym osunął się na kolana i przewrócił na bok. Woda poniosła go na odległość kilku kroków od miejsca, w którym padł, lecz nie dalej.

Gylf wyszedł z ciemnych zarośli.

- Dobry strzał!

- Dzięki. - Zwolniłem cięciwę i założyłem sobie łuk na plecy. - Zranił cię?

- Nawet nie dotknął. - Gylf wszedł do wody, żeby się napić.

Ściągnięcie skóry z dzika i wybebeszenie go zajęło mi jakąś godzinę. Odciałem mu łeb i przednie nogi (z których jednej zażądał Gylf), a pozostałą część tułowia zarzuciłem sobie na plecy. Wracaliśmy wolniej, niż kiedy opuszczaliśmy obóz, ale odległość nie była zbyt duża.

- Rozmawiają. - Gylf musiał wypuścić z pyska dziczą nogę, żeby móc

mówić. Instynktownie przycisnął ją łapą do ziemi. - Słyszysz?

Pokręciłem głową.

- Nie znam jej. - Chwycił w zęby nogę i pobiegł przed siebie.

Podniosła się, kiedy Gylf podszedł do ogniska i przez chwilę wydawało się, że nigdy nie przestanie się podnosić - zmierzwił jasne włosy sięgające ramion, wychudła twarz, z której widać było głównie szczękę i oczy, szyja gruba jak moje udo, szerokie, opadające barki i sterczące piersi przesłonięte częściowo kawałkiem zwierzęcej skóry. Ramiona grube i pokryte piegami i palce zakończone pazurami. Długa talia, szerokie biodra zakryte postrzępioną spódniczką i masywne nogi z kolanami tak chudymi i obdartymi, że zwróciłem na nie uwagę nawet przy świetle ognia.

- Witaj - powitała mnie głosem niższym niż głos mężczyzny. - Czy to ty jesteś sir Able? Witaj. Jestem Hela, jej dziewczyna. Powiedziała, że mogę zostać. Czy to jedzenie?

Gerda też wstała; nie sięgała córce nawet do pasa.

- Nie jesteś chyba zły, sir? Nie powinnam... wiem. Tylko że ona... ona wciąż jest...

- Twoim dzieckiem.

- Tak. Tak, sir. Moje dzieciątko, sir. - Ostatnie słowo wypowiedziała z nutką ironii w głosie.

Uns usiadł i otworzył szeroko oczy na widok Heli.

Bertold, który dźwignął się na nogi, macał dłońmi w powietrzu.

- Hela? Hela?

Hela cofnęła się o krok, mimo iż była od niego wyższa o trzy głowy.

- Bert nie zrobi ci krzywdy - powiedziała łagodnym tonem Gerda.

- Hela. - Błędząca dłoń wreszcie jej dotknęła. - Jestem twoim ojcem, Helo. Przybrany ojcem. Czy Gerda nigdy ci o mnie nie opowiadała? Nie mówiła o Bertoldzie Śmiałym?

Położyłem dzika na ziemi przy ognisku.

- Odeszłaś, zanim dostałam się do Bymira, a potem Bertold Śmiały też odszedł. Teraz to Bertold Ślepy. Tak go skrzywdzili. Ale nic się nie zmieniło, Helo. To ten sam Bertold, który kochał twoją mamę.

Hela pochyliła się i objęła Bertolda.

- Ach, Helo - powiedział cicho Bertold. - Ach! Ach! Helo! - Jego słowa zabrzmiały jak muzyka, choć nie niosły z sobą żadnej melodii.

- Możemy łupiec z tego kawałek, sar? - Uns stał przy mnie ze świeżymi

kijami w dłoni.

- Myślałem, że zechcesz się położyć.

- Głodnym, sar - powiedział i zaraz dodał pospiesznie: - Wezmę tylko tyle, ile dasz.

- Weź ile chcesz. Upieczesz też dla Bertolda?

- Ta, sar. Chętnie. Dla niej też, sar, tylko raczej większe kawałek.

- Jasne. Ale ona może sama sobie upiec, jeśli ma jeść z nami, to musi też z nami pracować. Lepiej ustalmy to od razu.

- Dla ciebie też upiekę, sar. To będzie dla mnie zaszczytnie.

- Skoro Hela może upiec mięso dla siebie, to i ja mogę. - Zdjąłem łuk, usiadłem przy ognisku i wziąłem kij. - Odkrój mi kawałek tej szynki.

- Dobrze, sar. Nie spałeś, co, sar?

- Nie, a powinienem. Położę się, kiedy coś zjem.

Lecz potem, kiedy Uns, Bertold i Gerda zasnęli i nawet Gylf, który leżał wyciągnięty na boku, chrapał, przy ogniu pozostałem tytko ja i nowo przybyła Hela. Kucając przy ogniu, opieką kawał mięsa dwa razy większy niż moja pięść, a ja od czasu do czasu zadawałem jej jakieś pytanie, a potem milczałem długo, przeżuając odpowiedzi.

- Nie jestem niewolnicą własnego języka - powiedziała - i nie potrafię paplać miłych słówek, żeby uradować ucho mężczyzny. Gdybym tak robiła, leżałabym wygodnie w domu z brzydkimi kobietami i niewolnikami takimi jak ten nowy ojciec, którzy by mi usługiwali, a na kolację dostawałabym całego wołu, gdybym tylko zechciała. - Kiedy się roześmiała, zobaczyłem, że jej zęby są dwa razy większe niż moje. - Ale nie jestem taka, jak widzisz, jak słyszysz, panie rycerzu. Który Gigant Mrozu paliłby się do wzięcia takiej za żonę? Wolą swoje kobiety, które kradną do łóżka z Jotunhome. Albo te południowe dziewczyny, małe jak kukiełki, które mają słodkie usteczka i sprytne paluszki. „Och, och, jesteś taki duży! Weź mnie!” Tak więc udałam się w Mysie Góry na poszukiwanie mężczyzn równie dużych jak ja i ich znalazłam, i służyłam im, tak jak dziewica może usłużyć mężczyźnie, a w podzięce dostałam po głowie.

- Wypędzili cię? - zapytałem ją.

- Raczej polowali na mnie. Zauważyłeś mój nóż?

Skinałem głowę.

- On nie. - Jej śmiech był głośny i głęboki. - Na południu, jak mówią, niektórzy z tych, których nazywają mężczyznami, bledną już na widok

nagiego ostrza. Fircyki i głupcy! To nie nóż odbiera ci życie!

- Ile masz lat, Helo?

- Jestem wystarczająco dorosła, żeby powiedzieć, który jest prawdziwym mężczyzną. Martwisz się, że przyszłam do mamy, panie rycerzu? - Zdjęła mięso z kija i spróbowała, po czym wytarła usta ręką i oblizała palce.

- Nie. Byłaś głodna. Też bym tak pewnie zrobił, gdybym miał mamę, do której mógłby przybiec.

- Obserwujemy Trakt Wojenny. Oboje z Heimirem. - Hela nabiła ponownie mięso na kij i przysunęła je do ognia. - Czasem coś dostaniemy.

- Mnie o nic nie prosiłaś, kiedy tamtędy przejeżdżaliśmy.

- Nie widziałam cię, sir. Ile koni?

- Masz na myśli juczne? Nie mamy żadnych.

- A co mógłbyś nam dać, panie rycerzu? - Uśmiechnęła się, choć nie był to wcale miły uśmiech, raczej na tyle miły, na ile potrafiła się zdobyć, jak wyczułem. - Nawet żebracy nie pracują za nic.

- I właśnie tyle bym ci dał - nic. Obrabowałabyś mnie?

- Rycerza? Na koniu i z mieczem? - Znowu się roześmiała. - Nie, nie ja! Heimir też nie. Nie miałyby tyle odwagi! Najbardziej lubimy porywaczy, którzy powracają z rozboju, panie rycerzu, z piszczącymi niewolnikami powiazanymi jak kielbasy i jałówkami, i końmi, które pędzą. - Hela mówiła teraz niemal zawodzącym głosem. - Bądźcie błogosławieni, wszyscy prawdziwi Angronici! Błogosławiona niech będzie Angr, prawdziwa matka, która was zrodziła! Nieraz się uśmiecha, widząc, jak zdobywacie swoje kąski na Trakcie Wojennym. Jeden kąsek dla mnie, wielcy mężowie? I jeszcze kawałek dla mojego brata? Ach, dla was to tyle, co się zatrzyma między waszymi zębami. - Mówiła coraz wyższym głosem: - Kąsek dla mnie! Chleb dla mojego brata! Jałmużna dla dzieci jest wyrazem łaskawości bohaterów! Wrzeszczymy tak i idziemy za nimi, żeby coś ukraść, jeśli nam pozwolą. - Pokręciła głową.

- Dla dziewczyny nie ma życia - powiedziałem. - Nawet dla takiej dużej jak ty, chociaż mówiono mi, że w Kingsdoom są tysiące żebraczek. Co teraz zamierzasz, kiedy już się najadłaś?

- Pójdę za tobą, panie rycerzu. Tak długo, jak długo będziesz karmił mamę i mnie. Będę kopała, żeby zarobić na obiad, jeśli trzeba będzie kopać.

Znowu pokręciła głową, teraz bardziej energicznie, a ja spojrzałem za siebie. Gylf obudził się i zawarczał cicho.

- Potrafię doić krowę, szlachtować i ubijać masło - powiedziała szybko. - I uniosę więcej niż twój muł. Wypróbuj mnie. A jeśli... nie masz ze sobą żadnej dziewczki? Czy czasem nie zadrzysz podczas snu?

Dzięki Chmurze wewnętrznym okiem dostrzegłem niewyraźną postać większą niż człowiek - ze sznurem w dłoniach.

Z ciemności spowijającej nasza niewielką polanę śmiech Uri popłynął niczym dźwięk dzwonek.

- Oto gorąca dziewczka, gdyby zapragnął takiej, która nie zabierze mu całego koca.

- Co to jest? - Hela wpatrywała się w ciemność.

- Niewolnica twojej ofiary. - Uri weszła w krąg światła. - Panie, za tobą stoi ogromny prostak...

- Ze sznurem w ręku, żeby mnie udusić. - Skinąłem głową. - Jego siostra już dwukrotnie mnie broniła.

Hela spojrzała na niego zdumiona.

- Wiedziałeś, że on tam jest? Na Ymira!

- Gylf też wiedział. Wątpię, żeby udało mu się założyć mi sznur na szyję.

- Ani mu to w głowie. Co to jest?

- Aelficka dziewczyna.

- Czy one wszystkie są czerwone?

- Tylko te najlepsze - odpowiedziała Uri. - Wolimy taki kolor niż róż z brązowymi plamami.

- Zawołaj swojego brata - zwróciłem się do Heli. - Pewnie jest tak samo głodny jak ty.

Wstała i pomachała kijem z nadzianym na niego mięsem, które skwierczało i dymiło.

- Heimir! To dla ciebie!

Przewyższał ją rozmiarami, ogromny w barach, w czym przypominał Orga, i strasznie wychudzony. Jego potężna szczeka, szeroki nos i sowie oczy sugerowały brutalną głupotę.

Dałem mu znak, żeby usiadł.

- Zjedz coś. Gerda ucieszy się na twój widok.

Hela podsunęła mu swój kij. Wziął go, przez chwilę wpatrywał się w mięso, a potem zdjął je z kija i zaczął jeść.

- Opowiadałaś, dlaczego ty opuściłaś góry - zwróciłem się do Heli - ale nie powiedziałaś, dlaczego odszedł stamtąd także twój brat.

- Opuścił nasz poprzedni dom razem ze mną, panie rycerzu. Z nowego odszedł, żeby być ze mną. Myślisz pewnie, że jest głupi.

Nie odpowiedziałem.

- To prawda, że jest powolny w mowie. Wolniejszy niż ja, chociaż przeważnie jestem wolna za dwóch.

- Ja bym cię raczej nazwała gadułą - rzuciła Uri.

- Jesteś niewolnicą rycerza? Niewolnicy powinni powściągać swój język, bo mogą tego pożałować.

Uri spojrzała na mnie.

- Czy kiedykolwiek musiałeś mnie karmić?

- Nie - powiedziałem.

- Albo mi płacić?

- Nie.

- A mimo to służyłyśmy ci wiernie? Baki i ja?

- Zastanawiasz się, ile mi powiedziała. Niewiele.

- Nie żyje?

- Nie.

- Co się stało?

- Rozmawialiśmy o tobie. - Uważałem na słowa. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że ona cierpi i nie poprosiłaś mnie o pomoc?

Hela zachichotała, a był to odgłos podobny do niewielkiej lawiny.

- Zamknęłaś jej usta, panie rycerzu. Czarne myśli wyjrą jej czerwoną twarz. Powiedz mi prawdę, czy oni mieszkają pod ziemią? Słyszałam, jak mama tak mówiła.

- Pochodzą ze świata pod nami, więc nie powiedziałbym, że mieszkają pod ziemią.

- To dlaczego tam nie idzie?

- A ty byś poszła - zapytała Uri - gdybyś mogła wspiąć się do Elysiou?

Oblicze Heli wyrażało niezrozumienie.

- Co to takiego?

- Tam rządzi Najwyższy Bóg. - Uri wstała. - Chcesz, żebym wróciła do Aelfrice. Dobrze. Udam się tam. Ale, panie, jeśli musisz karmić tę ordynarną flejtuchę...

- Tak, chcę, żebyś też odeszła - powiedziałem do Uri - ale nie do Aelfrice. Udaj się do Utgardu. Toug powinien tam już być, a także twoja siostra. Przynieś mi jakieś wieści o nich.

- Spróbuję. - Uri na odchodnym rzuciła spojrzenie Heli. - Ona i ten gbur zrobią z ciebie żebraka w ciągu tygodnia.

- Sam to zrobię. Idź już.

Uri rozplynęła się w ciemności nocy.

Zdjąłem mięso z mojego kija i zacząłem jeść. Hela zapytała, czy może dostać jeszcze jeden kawałek, a ja się zgodziłem. Kiedy skończyła odkrawać mięso, zapytała mnie:

- Jedziesz w góry?

- Tak. Żeby stanąć przy przełęczy. Taki był wyrok księcia Mardera i muszę wypełnić jego rozkaz, zanim udam się na poszukiwania kobiety, którą kocham.

- Nie kochają nas ci, którzy tam mieszkają.

Przełknąłem ostatni kawałek, położyłem się i owinąłem w płaszcz.

- Mnie też nie lubią. Jeśli chcesz, oboje stawimy im czoła.

- Śpij. Ja popilnuję - przemówił po raz pierwszy Heimir, zwracając się do siostry.

## ROZDZIAŁ 8

### WŁAŚCICIELE MANIEGO

Dwie niewolnice odwiedziły Touga w jego pokoju w wieżyczce, gdzie zakwaterował go król. Jedna przyniosła ciężki złoty łańcuch, druga zaś czarną tunikę w kształcie skrzydła nietoperza. Obie znały Ulfe.

- To moja siostra - wyjaśnił Toug. - Mam nadzieję, że król pozwoli mi zabrać ją do domu. A także mężczyznę, który z nią tu przybył.

- Pouka - powiedziała wyższa z niewolnic.

- Tak, Pouka. To jest służący sir Able'a, a sir Able chciałby go mieć z powrotem. Król ma dość służących.

- Tu życie nie jest takie złe - powiedziała wyższa niewolnica, a jej towarzyszka dodała:

- Mogłoby być gorzej.

- Was też uwolnię, jeśli mi się uda - obiecał Toug. Obie spojrzały na niego przestraszone i szybko wyszły.

- Nie chciałem ich przestraszyć - powiedział Toug, kiedy ogromne drzwi zatrasnęły się głośno.

- Tak działa magia - rzucił Mani.

- Nie mówiłem nic o magii. - Toug powrócił do oględzin pokoju. Stało w nim między innymi łóżko niewiele mniejsze niż dom jego ojca w Glennidam, a także cztery krzesła ze szczeblami, po których musiałyby wejść, gdyby chciał usiąść, i stół, na którym mogłoby zatańczyć kilka osób.

- Jest tu skrzynka z piaskiem - zauważył Mani. - Są bardzo gościnni.

Toug przytaknął mu powoli.

- Pomieszkamy tu trochę. A przynajmniej oni tak uważają.

- Gdybym miał zgadywać, to pewnie powiesz, że cię oszukałem.

- Nie powiem.

- W porządku. - Mani zamilkł na chwilę dla większego efektu. - Otóż zgaduję, że pod łóżkiem stoi przygotowany dla ciebie nocnik pięć razy...

- O co chodzi?



- Obraz - Mani wpatrywał się w obraz szeroko otwartymi oczami - Zniknął.

- Masz na myśli mężczyznę w czarnej szacie?

- To nie był mężczyzna. To był Gigant Mrozu. - Mani wspiął się na krzesło tak jak po ścianie i wskoczył na blat.

- Nie wiedziałem, że olbrzymi malują obrazy - powiedział Toug.

- Wątpię, by potrafili to robić. Raczej nie biorą się za nic, w czym mogliby ich wyręczyć niewolnicy.

- Przecież ich oślepiają.

- Nie kobiety, a wiele kobiet posiada zdolności artystyczne. - Koniec ogona Maniego drgnął wyraźnie. - Moja pani malowała piękne obrazy, jeśli wymagały tego zaklęcia. Magia i sztuka mają ze sobą wiele wspólnego.

- Powiedziałeś, że te kobiety boją się magii - upierał się Toug - a przecież nie miały powodu, żeby się bać.

- Mało wiesz.

- Będziesz tak siedział i gapił się na obraz?

- To jakbym pilnował szczurzej dziury - wyjaśnił Mani. - A tak przy okazji, w boazerii są szczurze dziury.

- Ja bym nie miał tyle cierpliwości.

Mani popatrzył na niego z wyższością, lecz nic nie powiedział.

- Poznałeś go? - zapytał Toug.

- Tego Giganta Mrozu z obrazu? Nie.

Góra łóżka sięgała powyżej podbródka Touga, lecz on wdrapał się na nie, przytrzymując się koca.

- Kto to jest?

- Powiem ci, jeśli ty mi powiesz, dlaczego król chce cię zobaczyć.

- To proste. Moja poprzednia pani powiedziała mu, że powinien to zrobić.

Toug otworzył szeroko oczy.

- Powiedziała ci to?

- Nie. Nie rozmawiałem z nią od tamtego dnia, kiedy przekazała mi wiadomość o aelfickiej dziewczynie z przetrąconym karkiem. Ale kto inny z tych, którzy mnie znają, mógłby z nią rozmawiać? A teraz mów, czyj to był portret?

- Czy ona jest duchem? Tak powiedział sir Able.

- Dokładnie. Wywiąż się wreszcie ze swojej części umowy.

Toug machnął nogami, kopiąc w brzeg materaca.

- Dlaczego miałyby chcieć, żeby z tobą rozmawiał?

Mani nie odrywał wzroku od obrazu.

- Nie mam pojęcia, ale to pytanie nie należało do naszej umowy. Kto to był?

- Dowiemy się, kiedy z nim porozmawiamy. Będziesz mówił, Mani? Nie spodoba mu się, jeśli odmówisz.

- W takim razie będę mówił, ale ostatni raz zawieram z tobą podobną umowę. Myślałem, że jesteś człowiekiem honoru.

- Bo jestem - oświadczy! Toug. - To był obraz...

Otworzyły się drzwi i wszedł ubrany na czarno Angronita. Tak wysoki, że pokój przy nim wydawał się bardzo niski.

- Mnie przedstawia - powiedział przybysz. - Nazywam się Thiaz i jestem najważniejszym ministrem naszego króla. - Mówił niskim, przyprawiającym o ciarki głosem.

Przysunął sobie jedno z krzeseł i usiadł na nim.

- Nasz król je teraz. Przyśle po was, kiedy skończy. Uznałem, że dobrze będzie, jeśli wcześniej ustalimy pewne sprawy.

Siedzący wciąż na stole Mani odwrócił się wreszcie do obrazu.

Thiaz przyglądał mu się przez chwilę.

- Który z was jest ważniejszy?

- On - powiedział Toug. - Tylko nie wiem, czy zechce z tobą rozmawiać. Czasem nie chce rozmawiać z ludźmi.

- Zawsze rozmawiam z tymi, którzy parają się magią - zamruczał Mani. - Ja jestem ważniejszy, jak powiedział mój sługa. Skoro chodzi o ustalanie spraw, to jakież to sprawy mamy do ustalenia?

Po twarzy Thiaziego przemknął zimny uśmiech.

- Czy powiesz mi, kiedy będziesz chciał, żebym cię pogłaskał?

- Powiem ci, jeśli będę chciał, żebyś mnie pogłaskał. Nieliczni tylko dostępują tego przywileju, a i oni rzadko mają ku temu okazję. Czy to właśnie taka chwila? Czy mam dać się pogłaskać twojemu królowi bez względu na to, czy to lubię, czy nie?

- Byłoby rozsądnie. On lubi zwierzęta.

- Jeśli lubi koty, to mnie zrozumie.

Thiaz ponownie się uśmiechnął.

- Nie chcesz, żebym ci pomógł w tej kwestii?

- Domagam się zaniechania pomocy w tej kwestii - wycedził Mani - jak i

w każdej innej. Z drugiej strony, namacalne dowody dobrej woli są zawsze mile widziane i zwykle odwzajemniane. W jaki sposób możemy ci pomóc?

- Jest parę rzeczy. Zdajecie sobie sprawę, że zabiliście trzynastu królewskich Kresowców?

- Zostaliśmy obrabowani podczas mojej nieobecności, tak więc nie mogłem temu zapobiec.

Thiazi przytaknął mu.

- Przez Kresowców oczywiście.

- Nie przedstawili się.

- To byli ludzie króla? - zapytał Toug.

Oblicze Thiaziego zajaśniało dumą.

- Byli synami Angr, naszej wielkiej prababki, pełniącymi królewską służbę.

- Ale...

- Wzięli dobra, które wieźliście do Utgardu. Zabrali je.

- Na polecenie króla? - zapytał Mani.

- Nie wyglądaliście zbyt pokojowo. Chyba nie zaprzeczycie?

- Nie - odparł Mani. - Rzeczywiście.

- Mieliście konnych zbrojnych i łuczników. Pewnie potraficie to wytłumaczyć, ale tak było. My - Jego Wysokość - chcieliśmy się przekonać, na co was stać.

- I to był twój pomysł?

Thiazi zbył pytanie Maniego gestem dłoni.

- Eksperyment mógł się okazać całkiem ciekawy. I rzeczywiście, ukazał się o wiele bardziej interesujący, niż się tego spodziewaliśmy. Kresowcy Jego Wysokości z łatwością pokonali waszych wojowników i odebrali wam wasze dobra.

- Odzyskaliście je - rzucił ponuro Toug.

- Właśnie. Spodziewaliśmy się, że wasz dowódca wróci do swojego króla po kolejne dary. Byłoby to bardzo korzystne, choć niezbyt światłe. Tymczasem wśród was pojawił się zielony jeździec.

- Skąd wiesz? - zapytał Mani.

- Nie udało nam się zabić wszystkich olbrzymów. Niektórzy uciekli - rzucił Toug.

Thiazi przytaknął mu.

- Rozmawiałem z nimi. Ale przede wszystkim obserwowałem was w

kryształowej kuli.

- Chciałbym ją zobaczyć - powiedział Mani.

Thiazi po raz kolejny posłał mu zimny uśmiech.

- Zobaczysz, kiciusiu. Zobaczysz.

- Chcesz wiedzieć, czy ja i Mani walczyliśmy z waszymi Kresowcami? Ja tak, on nie. Jeśli uważasz, że powinienem cię ukarać za to, że walczyłem z tymi, którzy obrabowali naszego króla, to cię nie powstrzymam.

Thiazi pokręcił głową, patrząc uważnie na Touga i mrużąc oczy.

- Myślisz, że jestem okrutnikiem. Owszem, sprawiaam ból, kiedy wymaga tego obowiązek. Ale ani nie sprawia mi to przyjemności, ani nie mam nic przeciwko temu, po prostu robię, co do mnie należy. Widziałeś kiedyś, jak twój przyjaciel bawi się z myszą? Jak zobaczysz, to być może przestaniesz go uważać za przyjaciela.

- Koty to co innego - odparł Toug. - Zawsze wiedziałem, że to kot, a nie krowa.

Mani uśmiechnął się, rozchylając lekko pysk, lecz Thiazi chyba tego nie zauważył.

- Interesuje nas zielony jeździec. Macie więcej zbrojnych jeźdźców?

- Tak, sir - odpowiedział Toug.

- Czy ich imiona są tajemnicą?

- Nie, sir. Jest wśród nas sir Garvaon. Starszy wiekiem rycerz. A także sir Svon. Jestem giermkim sir Svona, sir.

- Czy sir Garvaon to zielony jeździec?

- Nie, sir. To..,

- Nie widzisz, że zamierzają go zabić? - syknął Mani.

- Mam nadzieję, że nie, kotku. Chcemy mu raczej oddać honory. Wasz król wysłał was, ponieważ chce się zaprzyjaźnić z naszym królem.

- Maniego nie posłał - powiedział Toug. - Wysłał lorda Beela i lady Idnn ze wspaniałymi darami.

- Otóż Jego Królewska Mość - mówił dalej Thiazi - pragnie się zaprzyjaźnić z zielonym jeźdźcem, którego imię...?

Toug milczał.

- Och, daj spokój. Może powinienem wyjaśnić sytuację polityczną. Ojciec Jego Królewskiej Mości był królem w swoim czasie. Mądrym królem, tak jak jego syn teraz, lecz z tych, którzy wymagają, aby ich rozkazy wykonywano szybko i ochoczo. W końcu był najwyższym władcą, a jeśli ktoś o tym

zapominał, to robił to na własne ryzyko.

Toug skinął głową.

- Niestety, zmarł. Władzę po nim objął książę Gilling, nasz obecny władca. Ty - wskazujący palec Thiaziego, dłuższy niż cała dłoń Touga, tkwił weń wymierzony - wkraczasz w wiek męski. Jego Królewska Mość był w tej samej sytuacji, kiedy obejmował władzę. Młody i niedoświadczony, brakowało mu siły. Mieszkający daleko od dworu panowie buntowali się. Kiedy jechaliśmy na wschód, wzniesli bunt na zachodzie. Kiedy zaś zwracaliśmy się na zachód, wschód znowu podnosił głowę. W górach na południu Myszy spiskowały, żeby pokonać potomków Angr. Związek z wami nie wchodził w grę. Lojalność wielu była, delikatnie mówiąc, wątpliwa. Nie mogliśmy sobie pozwolić na przegranie ani jednej bitwy, a najmniejsze nawet wydarzenie, które mogłoby sugerować, że Jego Wysokość skłania się ku wam, byłoby katastrofalne. Dlatego potraktował was tak surowo. Musiał.

- Czy teraz coś się zmieniło? - zapytał Mani.

- Ależ tak. - Nawet jeśli Thiazi usłyszał ironiczny ton w głosie Maniego, to go zignorował. - Jego Królewska Mość zaprowadził porządek w całym królestwie. Buntownicy nie żyją, podobnie jak ich synowie i ojcowie. Ich twierdze przeszły w ręce wiernych wasali. Ja sam kiedyś może pokażę wam Thiazbor i Flintwał, bo brakuje mi słów, by je opisać.

- Skoro król chce nam okazać sympatię, to powinien wpuścić do Utgardu lorda Beela i jego ludzi - zasugerował Toug.

- Co też uczyni, gdy już dopnie swego. - Thiazi uśmiechnął się. - Kiedy ustalimy, jak należy ich traktować. Wy nam w tym pomagacie, a ja - mówiąc szczerze - przybyłem tu, aby wam zasugerować, jak możecie zrobić to najlepiej. Jesteście lojalnymi poddanymi swojego króla, jak sam wspominałeś. Walczyliście z naszymi Kresowcami, by odzyskać swoje dobra. Tym samym rzuciliście mi wyzwanie, żeby was ukarać.

- No cóż, my nie... - zaczął Toug.

- Wasz król pragnie pokoju z Jego Wysokością. Tak więc, dbając o to, by zadowolić Jego Wysokość, najlepiej mu się przysłużycie.

Toug przytaknął mu powoli.

- Jego Królewska Mość ma niewolników ludzi. Widzieliście ich.

Toug ponownie mu przytaknął.

- I o nich to chciałbym porozmawiać - dodał.

- Będziesz miał okazję.

Mani ziewnął.

- To mnie nie dotyczy.

- Zobaczysz, że tak, kiciusiu. Niewolnicy naszego króla służą mu dobrze. On traktuje ich lepiej niżby mógł, oni zaś mają świadomość, iż spotkał ich zaszczyt, bo przecież są częścią królewskiej własności. Dość często dochodzi do zamieszek w odległych miejscach, szczególnie na południu. Przez Myszy w górach i innych, Jego Królewska Mość ma zaufane sługi, którzy mogliby działać, lecz on się waha, zanim ich gdzieś wyśle. Bo co się stanie, jeśli w innym miejscu wybuchnie rebelia? Już sama ich nieobecność mogłaby ją sprowokować.

- Rozumiem - powiedział Toug. - Chcesz, żebyśmy się tym zajęli.

Thiazi uśmiechnął się.

- To proste, prawda? Skoro niewolnicy, zmuszeni służyć, służą wiernie i okazują lojalność, to czy przyjaciele, dzielni jeźdźcy związani z Jego Królewską Mością węzłem wdzięczności, nie spiszą się jeszcze lepiej? On może obdarować złotem, ziemią, niewolnikami, sławą i pochwałami. Ma wszystko, czego pragną dzielni wojownicy.

- Przekażę to sir Svonowi, kiedy go znowu zobaczę - powiedział Toug, który wierzył w duchu, że rzeczywiście zobaczy jeszcze sir Svona.

- A zielony jeździec? Jemu nie powiesz?

- Jeśli go spotkam.

- To może da się załatwić. Wiesz, gdzie on przebywa?

- Nie - odparł Toug. - Odjechał.

- A ty, koteczku? Jesteś mądry.

Mani otworzył oczy.

- O kim mówimy?

Ogromna dłoń Thiaziego zamknęła się na ramieniu Touga.

- Powiedz mu!

- O sir Able'u, oczywiście.

- Aha!

- Oni nie mieli pewności - wyjaśnił Mani. - Teraz już wiedzą.

- Zwróciliśmy się do mojego kryształu - Thiazi uśmiechnął się i odchylił do tyłu - i zobaczyliśmy w nim gadającego kota. Ani Jego Królewska Mość, ani ja nie wiedzieliśmy, w jaki sposób kot może spowodować, żeby zielony jeździec oddał się na służbę do Jego Królewskiej Mości, lecz postanowiliśmy

spróbować. Idąc za moją radą. Jego Królewska Mość przytrzymał ambasadora z jego świtą na otwartym terenie i wysłał oficera, żeby zdobył kota.

Palec Thiaziego niemal dotknął nosa Maniego.

- Ciebie - dodał i cofnął palec. - Oficer Jego Królewskiej Mości dobrze się sprawił, a ty, giermku, potwierdziłeś, że jest to gadający kot. Poinformowałeś nas także, że ta lady Idnn otrzymała go od jeźdźca. - Thiazi zamilkł na moment. - Szczodry podarunek, prawda? Gadający kot! Pewnie ma ją w wielkim poważaniu.

- Zapewne, sir - powiedział Toug.

- Z pewnością będziesz chciał porozmawiać z Jego Królewską Mością o tym, jak bardzo ją szanuje - Thiazi wstał - a także o tym, w jaki sposób obaj z kotem nakłonicie zielonego jeźdźca, żeby nam służył. Bez wątpienia Jego Królewska Mość zapyta was o to. Byłoby dobrze, gdybyście mieli już gotową odpowiedź. Umyj twarz i przebierz się w ubranie, które ci przyniosłem.

Kiedy drzwi zamknęły się za Thiazim, Toug zsunął się z łóżka i ubrał tunikę, odrzucając w kąt podartą i strasznie brudną koszulę, którą uszyła mu matka.

- Chciałbym wiedzieć, ile już mnie nie ma w domu - mruknął pod nosem.

- W twoim domu? Nie wiesz?

Toug pokręcił głową.

- Sporo czasu spędziłem w Aelfrice, a tam czas płynie powoli, jak mówi sir Able. Ale moja siostra Ulfa nie była w Aelfrice, więc może będzie umiała powiedzieć.

Mani posłał mu znudzone spojrzenie.

- Wciąż wierzysz, że ona tu jest?

- Pamiętasz, jak król kazał przynieść stół, żebyśmy na nim stanęli? Przynieśli go ślepcy, ale prowadziła ich kobieta.

- Pamiętam.

- To była moja siostra. - Kiedy Mani nic nie odpowiedział. Toug dodał: - O co chodzi? Nie wierzysz mi?

- Ależ wierzę. Po prostu przetrawiam informacje.

Oczy Maniego rozszerzyły się nagle, upodabniając się do lśniących szmaragdów.

- Potrzeba ci doświadczonego, mądrego i subtelnego przewodnika, młody człowieku.

- Owszem, tylko nie ma tu nikogo takiego.

- Otóż, mylisz się. Stoi przed tobą. Musimy uwolnić twoją siostrę.

Toug skinął głową.

- A także sprowadzić do sir Able'a jego służącego i odzyskać własność sir Able'a - jego dobra i konie.

Toug znowu mu przytaknął.

- To nie wszystko. Musimy pomóc lordowi Beelowi w utrzymaniu pokoju, a także dopilnować, aby moja pani i twój pan zbliżyli się do siebie. Zgadzasz się?

- A jakże.

- Jeszcze coś? Mów!

- Chciałbym poznać jakieś dziewczyny.

Mani uśmiechnął się, odsłaniając kły zbyt duże dla zwierzęcia jego rozmiarów.

- Znam to uczucie. A co powiesz na powrót do domu, do tego twojego jakoś tam?

- Glennidam. - Toug już wcześniej podszedł do drzwi i teraz nacisnął klamkę, co mu się udało, mimo iż znajdowała się powyżej jego głowy. - Zamknięte.

- Nie zaskoczyłeś mnie. Chcesz wrócić do Glennidam?

- Wolałbym zostać z sir Svonem i nauczyć się, jak zostać rycerzem, chociaż chciałbym też pomóc siostrze wrócić do domu, jeśli tego chce.

- Dobrze powiedziane. Tylko że obie te rzeczy wykluczają się nawzajem. Przypuśćmy, na przykład, że za naszą sprawą twój pan i moja pani będą mogli poigrać, tak jakby chcieli. Czy to by przeszkadzało, żebyś uczył się na rycerza?

- Raczej nie.

- I ja tak sądzę. Czy twoja siostra cię rozpoznała?

- Na pewno. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie, tak jakby, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Jasne. Skoro tak, to dlaczego...

- O co chodzi? - zapytał Toug.

Mani pokazał na chmurne oblicze Thiaziego na obrazie.

- Znowu tam jest.

Toug przytaknął mu niechętnie.

- Myślisz, że nas słyszy?



- Jestem tego pewien. - Mani popędził przez stół i wskoczył na parapet.

- Uważaj! - zawołał Toug, lecz Mani już zniknął.

- Widzisz, co zrobiłeś? - powiedział Toug do obrazu. - Ty i ta twoja magia! A jak się zabije?

Za parapetu wyłoniła się głowa Maniego.

- Nie jest źle. Umiesz się wspinać?

- Radzę sobie - rzucił Toug niepewnym głosem.

- To chodź - rzucił Mani i znowu zniknął.

Toug przyciągnął krzesło pod okno, wszedł na nie i wyjrzał na zewnątrz, już wcześniej uznał, że w pokoju w wieżyczce panuje chłód i jest przeciąg, ale wiatr za oknem, który wiał przez cały ranek, był jeszcze zimniejszy i porywisty. Toug owinał się płaszczem i zadrzał, zanim przeszedł z oparcia krzesła na parapet.

Chwilę potem zobaczył Maniego, jak znika w innym oknie, na niższym piętrze i bardziej na prawo. Przez chwilę jego długi ogon wyginał się faliście nad parapetem tamtego niezbyt odległego okna, a potem niespodziewanie zniknął.

- Masz zamiar się tam tarabanić? - zapytał głos, którego Toug nie potrafił do końca zlokalizować.

Obejrzawszy się przez ramię, Toug zobaczył nagą, szczupłą dziewczynę z czupryną zwichrzonych włosów powiewających nad głową. Włosy były rude i dziewczyna też była ruda - jej skóra miała kolor lśniącej czerwieni świeżej miedzi.

- Jestem Baki, panie. Umierałam, a ty mnie uzdrowiłeś.

Toug skinął tylko głową, ponieważ nie mógł mówić.

- Nie widziałeś dobrze tam na stryszku. Mieliśmy tylko lampę, a sir Able skrócił płomień. Pewnie bał się, że spalimy całą stodołę. - Baki uśmiechnęła się, błyskając zębami, i Toug zobaczył, że wcale nie są czerwone, lecz bardzo białe, małe i spiczaste; w jej śmiejących się oczach migotał żółty ogień. - Panie, czy nie możesz zmienić się w ptaka? Tak byłoby bezpieczniej.

- Nie - powiedział Toug. - Nie potrafię.

- Nie wiem, czy będę w stanie cię uleczyć, jeśli spadniesz, ale jeśli już masz się wspinać, to będzie ci łatwiej bez butów.

- Wiem, ale bardzo nie chciałbym ich tu zostawiać. Zwykłe buty, ale to wszystko, co mam.

- Mogę się zamienić w latającą istotę i przeniosę ci je. - Baki wydawała

się zamyślona. - Będę strasznie brzydka. Obiecay, że się na mnie za to nie pogniewasz.

- Nie mogłabyś być brzydka - odparł Toug.

Z oczu Baki popłynął dym.

- Zamienię się w Khimairę - powiedziała - ale zachowam swoją twarz. Mają paskudne twarze, dlatego nie zmienię swojej.

Jej ciało jeszcze bardziej wyszczupłało, a długie nogi skurczyły się i wygięły, stopy zaś zmieniły się w szpony. Z jej barków wyrosły czarne skrzydła, teraz złożone.

- Zdejmij buty, panie - powiedziała. Twarz i głos Baki pozostały niezmienione.

- Możesz też wziąć Łamimiecz?

Mogła, tak więc odpiął pas z mieczem i podał go jej.

- To słynny miecz. To znaczy, kiedyś należał do sir Able'a.

- Będę uważała. Miecz będzie tak samo bezpieczny jak ja. Ale o tobie tego nie można powiedzieć. Możesz się przytrzymać pnącza, ale ściana jest niemal pionowa. Jeśli źle staniesz...

- Jeśli się nie da, to się wycofam - obiecał jej Toug, po czym wysunął się za parapet. Przyklejony do chropowatego i przeraźliwie zimnego muru stanął stopami na mocnym pniu. Schodził powoli, cal po calu, o wiele wolniej niż zrobił to Mani, kierował się w stronę okna, w którym zniknął kot. Wiatr szarpał jego płaszcz, a nowa tunika nie była zbyt wygodna. Kiedy przebył już pół drogi, ciemna istota rozpostarła skrzydła i sfrunęła z okna pokoju w wieżycze, niosąc jego pas i buty. Wzniosła się na tle nieba - po chwili stracił ją z oczu, gdyż nie był w stanie mocniej obrócić głowy.

Potem skupił się na własnym bezpieczeństwie. Był już blisko okna. Wierzył i czuł, że musi do niego dotrzeć. Nie miał możliwości powrotu.

Poczuł pod palcami krawędź kamiennej framugi - nie mógł uwierzyć, że to prawda. Jedną zmarzniętą stopę postawił na szerokim i (och, jakże cudownie) płaskim kamiennym parapecie.

- Jak już będziesz w środku, to ci podam twoje rzeczy - powiedziała Baki za jego plecami. - Tak będzie mi łatwiej.

Zdyszany przycupnął na parapecie, trzymając się mocno framugi, i trochę wyżej zobaczył przyklejoną do ściany Baki z jego pasem przewieszonym wokół szyi, z Łamimieczem i jego nożem zawieszonymi na plecach. Buty trzymała w dwóch palcach.

- Przecież potrafisz fruwać - wysapał. - Nie musisz tego robić.

Uśmiechnęła się.

- Nie chciałam, żebyś mnie taką zobaczył, panie. Proszę, weź je.

Toug wyciągnął rękę po buty, lecz w momencie kiedy ich dotknął, ona straciła uchwyt. Wychylił się mocno i chwycił ją za nadgarstek. Mimo iż nie ważyła dużo, jej ciężar omal nie ściągnął go w pustkę.

A potem - za sprawą magii, jak mu się potem wydawało - oboje znaleźli się w środku, drżący i przytuleni do siebie, jego buty przepadły. Byli żywi! Żywi!

- Tak mi przy-przykro - powiedziała Baki i rozplakała się. - Omal cię nie zabiłam. O ma-mało co.

Spróbował ją pocieszyć w taki sam sposób, w jaki Ulfa pocieszała jego. Kiedy jej szloch przeszedł w pochlipywanie, powiedziała:

- Wiedziałam, że mi się uda, jeśli i ty dasz radę. Specjalnie zrobiłam swoje palce bardziej szponiaste, ale nie byłam dość ostrożna.

Toug skinął głową, pragnąc powiedzieć, że to już nie ma znaczenia, lecz nie widział, jak ująć to w słowa.

- Chcę być taka jak ty. Drugą połową.

Nie rozumiał jej. Kiedy zaczęła się zmieniać, podskoczył bardziej przerażony niż wtedy, kiedy wydawało się, że spadną.

Jej miedziana skóra spowita wijącym się dymem przybrała teraz kolor różowobrzoskwiniowy.

- Czy teraz wyglądam dobrze, panie?

- Ty... jesteś...

- Naga. Wiem. My nie nosimy ubrań. - Uśmiechnęła się. - Lecz jestem drugą połową. To samo zrobiła królowa Disiri dla sir Able'a, żeby się z nią kochał, ja też tak potrafię. Widzisz?

Toug niemrawo skinął głową.

- Będziemy musieli odnaleźć ubranie i buty. Proszę.

Podąła mu jego pas. Zapiął go, po czym zdjął swój zielony płaszcz i okrył ją.

- Dziękuję, panie. Niewłaściwy kolor, ale wiem, że chcesz dobrze.

- Jest zielony.

Skinęła głową.

- Kolor Disiri. Ale przecież nie mogę paradować po zamku naga, nawet jeśli mężczyźni są ślepi.

- Wciąż masz rude włosy. Rudowłosym ładnie jest w zielonym. -  
Powiedziała mu to kiedyś matka.

- Naprawdę? W takim razie niech będzie. I wyglądam...?

- Jesteś piękna!

Roześmiała się i otarła ostatnie łzy.

- Ale czy wyglądam jak wasza kobieta? W każdym szczególe?

- No cóż, masz trochę inne zęby.

- Wiem. Postaram się ich nie pokazywać.

Pokój, w którym się znaleźli, mógł być przeznaczony do spotkań, był długi, a na środku umieszczono płaski kamień otoczony rzędami ławek tak samo wysokimi jak krzesła w pokoju w wieżycy. Na ścianach wisiały obrazy, lecz były zasłonięte brązowymi zasłonami i powieszono tak wysoko, że nie dało się dosięgnąć nawet ich brzegu.

Toug przez chwilę rozglądał się po pokoju, lecz zaraz skupił myśli.

- Powinniśmy odnaleźć Maniego.

- Bardziej lubisz Maniego? - Baki uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie. - Westchnął. - On jest pod moją opieką. Dlatego wyszedłem przez okno - nie chciałem, żeby uciekł. Ale i tak uciekł, a my omal nie zginęliśmy przeze mnie.

- Nie powinieneś obwiniać się za to.

Znowu westchnął.

- Przy innych lepiej mów do mnie Toug. Niestety, czuję się parszywie. Próbowałem być taki jak sir Able i zobacz, co z tego wyszło.

Baki uśmiechnęła się, starając się nie pokazywać zębów.

- Toug, jesteś bardziej podobny do sir Able'a, niż ci się zdaje. Dobrze, poszukamy kota, a po drodze może uda nam się znaleźć jakieś ubranie dla mnie i buty dla ciebie.

Toug prawie jej nie słyszał. Na środku pokoju, nad ogromnym kamieniem pojawiło się coś, co nie było ani mgłą, ani szarym dymem. Przez chwilę widział oczy i zęby, lecz one zadrżały i zaraz znikły. Wpadające przez okno światło, niezbyt jasne, przygasło i wtedy przemówił wysoki, łamiący się głos starej kobiety.

## ROZDZIAŁ 9

### **PIERWSZY RYCERZ**

- Nie masz kopii - zauważył rycerz herbu Lamparty. Jego zbroja lśniła pod futrzanym płaszczem.

- Nie mam - powiedziałem.

- Będziesz walczył samym mieczem?

Był młody, pomyślałem - w tym samym wieku co ja - i pewnie zapuścił te rzadkie wąsy, żeby dodać sobie lat.

- Jeśli zechcę, to go dobędę.

- Czy w ogóle wolno walczyć w takich okolicznościach?

- Tak - odpowiedziałem. - Nie pozwolę, żebyś przejechał tędy, jeśli nie staniesz do walki.

Rycerz herbu Lamparty był wyraźnie zakłopotany.

- Mój giermek wiezie pomocnicze kopie. Pożyczę ci jedną. Oddasz mi ją po walce, jeśli się nie złamie.

Chmura zatańczyła na śniegu spragniona działania, lecz napomniałem ją, żeby stała spokojnie.

- Nie proszę o to - powiedziałem głośno.

- Zauważyłem, lecz honor wymaga, abyśmy walczyli na równych prawach.

- Myślisz, że staniesz się tak wysoki jak Angronici? Czy też uważasz, że oni skurczą się do twojego wzrostu?

Uns przysunął się do mojego strzemienia niczym krab.

- Musisz ją wziąć, sar. Bo cię zabije.

- Pokona mnie - odpowiedziałem mu - a nie zabije.

- Mój giermek pożyczycy kopię twojemu giermkowi - zarządził rycerz herbu Lamparty. - A twój giermek ci ją przekaże. Wtedy zajmiemy pozycje i zaczniemy na znak mojego herolda. Czy tak będzie dobrze?

- Nie mam giermka - wyjaśniłem mu. - Uns jest moim służącym, a nie giermkim.

- Nie masz nikogo poza nim i tymi starymi ludźmi?
- Nie - odpowiedziałem. - Są jeszcze inni, których nie widziałeś.
- Ale nie masz giermka?

Pokręciłem głową.

- Twój koń sprawia wrażenie dość lekkiego wierzchowca.
- Chmura jest lepsza niż twój koń.

Rycerz herbu Lamparty wzruszył ramionami i odwrócił się w siodle.

- Co ty na to, Valt? - zwrócił się do swojego giermka. - Może wolisz przekazać kopię któremuś z pachółków, żeby podał ją temu garbusowi?

Valt, jasnowłosy młodzian o pogodnym obliczu, uśmiechnął się.

- Nie jestem aż tak dumny, sir Leortcie. - Ubódł swojego konia piętami i podjechał na tyle blisko, żeby móc podać kopię Unsowi, który podziękował i przekazał mi ją, kłaniając się.

- A zatem stawaj. - Rycerz herbu Lamparty założył hełm, połączony i zwieńczony wizerunkiem kroczącego na tylnych łapach lamparta.

Cofnąłem się o dobre pięćdziesiąt kroków, a ze mną Uns, uczepiony mojego strzemienia. Osłoniłem oczy przed blaskiem słońca odbitym od śniegu.

- Wygląda wspaniale, prawda?

- Nie, sar. Nie tak ładnie jak ty, sar.

- Wygląda u wiele lepiej niż ja, Uns. Spójrz na te proporce! Ma swojego herolda, giermka, dwóch paziów, zbrojnych i całą armię służących.

- Siedmiu tylko. Tych sużących.

Uśmiechnąłem się.

- Policzyłeś ich.

- Tak, sar. Ale, sar... - Uns chrząknął i splunął. - Nie chodzi o niego, sar. Ani trochę.

Herold przyłożył trąbkę do ust. Założyłem hełm i opuściłem połączoną kopię, którą dał mi Uns.

Zagrała trąbka, niosąc ze sobą echo bitewnej zawieruchy. Nie musiałem popędzać Chmury, ruszyła przed siebie niczym strzała wypuszczona z łuku. Przez chwilę, bardzo krótką, rycerz herbu Lamparty widniał przede mną, ogromne bary i hełm zwieńczony pióropuszem żółto-czarnych piór, pochylony nisko nad karkiem wierzchowca.

Nie trafiłem w ten hełm, za to jego włócznia uderzyła w smoka na mojej tarczy, wyrzucając mnie z siodła. Pierwszy raz od czasu pojedynku z

Llwchem ktoś wysadził mnie z siodła.

Straciłem świadomość na jakieś pół minuty, a kiedy ją odzyskałem, zobaczyłem, że rycerz herbu Lamparty stoi nade mną i wyciąga rękę, by mi pomóc wstać.

- Dziękuję - powiedziałem i odwróciłem się, żebyś wypluć krew, co niespodziewanie, lecz zupełnie przyjemnie, przypomniało mi mistrza Thoepa.  
- Jestem sir Able.

- Możesz zatrzymać swoje ostrogi - powiedział rycerz herbu Lamparty. - No i oczywiście możesz zatrzymać swojego garbatego służącego i swoich starców. Nie chcę ich.

- Czy on nie wygrał? - zapytał gderliwie Bertold. - Czy sir Able nie rzucił go na ziemię?

- Ale resztę zatrzymam - dokończył rycerz herbu Lamparty. - Oddaj wszystko mojemu giermkowi.

Przyklęknałem i powiedziałem:

- Proszę o przysługę.

Rycerz odwrócił się do mnie.

- O co chodzi?

- Ostrogi, które pozwoliłeś mi zatrzymać, są z czystego złota. Możesz je zatrzymać, jak i wszystko inne.

- Ale...

- Za to proszę, byś pozwolił mi zatrzymać wierzchowca i miecz. Proszę cię o to, ponieważ bardzo je ukochałem. Proszę cię o to dla mojego dobra jak i dla twojego.

Rycerz herbu Lamparty wyraźnie się wahał. Zdjął hełm i podał go Valtowi.

- Nie - odpowiedział. - Możesz zatrzymać tylko ostrogi. Tak jak powiedziałem. I swoich służących. Resztę zabieram, a już na pewno konia.

Kiedy to mówił, Gylf przysunął się i stanął przy mojej tarczy.

- Nie możesz zatrzymać Chmury - powiedziałem - nawet gdybym ci ją oddał. Nie byłbyś w stanie jej dosiąść. Nawet byś nie usiadł w siodle ani byś jej nie dogonił.

- Oddaj mi wodze - powiedział rycerz. - Chcę mieć twoją klacz.

- Nie mogę ci jej oddać. A i miecz, nawet gdybym ci go oddał, odrzuciłbyś go. Albo on odrzuciłby ciebie. I nie byłoby to miłe doświadczenie.

- Postępuję zgodnie z honorem rycerza. I ciebie miałem za takiego.

- Słusznie.

Pokręcił głową.

- Chyba się myliłem.

- Pozwól, że opowiem ci o tym, co mi się wcześniej przydarzyło - powiedziałem. - Oddam ci Chmurę, bo inaczej sam będziesz musiał ją złapać.

- Wysłuchasz mnie?

- Mów.

- Będę się streszczał, jeśli nie zasypiesz mnie pytaniami. Jeden z królów, u którego służyłem, wysłał mnie na dwór innego króla, który miał w służbie wielu dzielnych rycerzy takich jak ty.

- Mów dalej - powiedział rycerz.

- Kpiłem sobie z ich odwagi. Wyzwałem ich i domagałem się, żeby wystawili najlepszego, twierdząc, że może mnie skrócić o głowę, jeśli stanie przede mną za rok, albo ja jego skrócę o głowę.

- Odważny jesteś, jeśli tak powiedziałeś.

- Nie trzeba było do tego odwagi. Wystąpił jeden z rycerzy, wtedy ja przyklęknąłem, pochyliłem głowę i powiedziałem: „Tnij!”

Po ustach rycerza przemknął cień uśmiechu.

- Lecz tego nie zrobił.

- Mylisz się. Miał ostry miecz. Wystarczyło jedno cięcie i moja głowa potoczyła się po podłodze zasłanej sitowiem. Wtedy wstałem, podniosłem ją i wsadziłem sobie pod pachę.

- I chcesz, żebym w to uwierzył?

- Powiedziałem mu, żeby spotkał się ze mną w ruinach zamku za rok. Przyszedł tam i się spotkaliśmy. Rozumiesz, o czym mówię?

- Oddaj mi konia i miecz - rzekł rycerz herbu Lamparty - i wszystko inne, co należy do ciebie.

Skinąłem głową i odpiąłem pas, po czym podałem mu go z Eterne w pochwie.

- Czy widzę złoto w twojej kolczudze?

- Tak - odpowiedziałem - co piąte kółko jest ze złota. Tę kolczugę nosił sir Skoll. Nie ma w niej żadnej magii, ale jej właściciel jest błogosławiony. - Zdjąłem kolczugę i rzuciłem ją u stóp rycerza herbu Lamparty.

Gerda, która przyglądała się wszystkiemu i relacjonowała Ślepemu Bertoldowi, wysunęła się do przodu.



- Na twoją matkę, bierz ją, ale zapomnij o mieczu i idź w swoją stronę.

- Moja szlachetnie urodzona matka nie przyjęłaby kogoś takiego jak ty nawet za pomywaczkę - odpowiedział jej rycerz.

- Odwołaj to! - Heimir, niemal goły i uzbrojony w ogromną maczugę, wynurzył się zza skalnego występu, gdzie wcześniej kazałem mu się ukryć. Hela stanęła u jego boku. Zbrojni rycerza, wszyscy w siodłach, nastawili kopie, po czym wyjechali do przodu i się zatrzymali, być może dlatego, że uniosłem dłoń albo też zobaczyli Gylfa.

- Odwołaj to! - powtórzył Heimir i zamierzył się na rycerza, który mógłby powalić wołu.

- Heimir! - zawołała Gerda. - Heimir, stój!

Syknęła znacząco stal, kiedy rycerz herbu Lamparty obnażył miecz. Chciał odparować kolejny cios Heimira, co okazało się błędem.

Chwyciłem Heimira za ramię.

- Wystarczy. Dość.

- Każ mu odwołać to, co powiedział!

- Heimir przemawia też w moim imieniu, sir Able - powiedziała Hela i uśmiechnęła się - lecz jeśli on nie odwoła swoich słów, to urządzimy tu sobie królewską ucztę - ja z bratem posilę się nimi, a nasza mama i nowy ojciec, razem z tobą i Unsem zjecie ich zwierzęta. Chapniemy razem te ptaszki - skinęła głową w kierunku zbrojnych - zanim odlecą?

Potrząsnąłem głową.

- Jak cię zwa, panie rycerzu?

- To jest sir Leort, szlachetny rycerz! - rzekł Valt.

- Sir Leortcie - powiedziałem - musisz spojrzeć w oczy temu tu Hemirowi i przysiąc na swój honor, że twoja matka chętnie by przyjęła na służbę taką kobietę jak Gerda. Jeśli tego nie zrobisz, to nie ręczę za to, co się stanie.

Tymczasem rycerz herbu Lamparty rzucił swój złamany miecz i wyciągnął Eterne, tak szybko i sprawnie, jakby robił to od lat.

W jednej chwili otoczyli go rycerze-zjawy. Ich miecze znalazły się tuż przy jego twarzy, a spojrzenia ich pustych oczu wydawały się groźniejsze niż najgroźniejszy miecz. Nienaturalną ciszę zmąciło dudnienie upiornych końskich kopyt. Zimny wiatr przyniósł okrzyki, jakich nie słyszał żywy człowiek. Położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Schowaj miecz. Schowaj go.

Rycerz przyklęknął i podał mi Eterne wyłożony na dłoniach. Wziąłem od

niego miecz i w tej samej chwili rycerze-zjawy cofnęli się. Wyszadzana kamieniami pochwa i pas leżały na śniegu. Podniosłem je i oczyściłem, a kiedy Eterne wsunął się do pochwy, rycerze znikli.

- Poddaję się - powiedział rycerz. - Proszę, byś darował mi życie, i Valtowi także.

- Pokonałeś mnie - powiedziałem, lecz on gwałtownie pokręcił głową.

- Czy mogę go zabić? - Nawet jeśli rycerze zjawy zrobili wrażenie na Heimirze, to jego grubiańskie oblicze nie zdradziło tego.

- Czy wolno mi - powiedziałem. - Nie. A przynajmniej jeszcze nie.

- Znieważylem twoją matkę - powiedział rycerz. - Głupio postąpiłem i naraziłem na szwank swój honor, urągając kobiecie, która nic mi nie zawiniła. Czy wolno mi z nią porozmawiać?

Heimir spojrzał na Helę, a kiedy ta skinęła głową, także przytaknął, choć niechętnie.

Poruszając się miarowym krokiem, ani szybkim, ani wolnym, rycerz podszedł do skalnej niszy, gdzie siedziała Gerda w towarzystwie Bertolda, i uklęknął.

- Byłem pochopny w mowie, pani. Twój syn rozgniewał się, i słusznie. Mogę ci ofiarować jedynie swoje przeprosiny, bo wszystko, co zabrałem ze sobą z domu, należy teraz do rycerza herbu Smok. Ale...

- Nie chcę niczego - powiedziała Gerda. - Niczego od ciebie, choć miło, że tak mówisz.

- Mój ojciec ma posiadłość na południu - ciągnął rycerz. - Żarnik Sandhilf. Niespecjalnie duży ani bogaty, ale przytulny. Jeśli udasz się tam z mężem razem ze mną, nakarmi was, ubierze i ugości, jak długo będzie trzeba.

- Zgrabnie powiedziane - powiedział gromkim głosem Bertold.

- Chcesz jechać? - zapytała Gerda.

- Może będziemy musieli.

- Moje zaproszenie pozostanie aktualne - zapewnił ich rycerz. Po chwili zwrócił się do mnie: - Pozwolisz mi zatrzymać ostrogi?

- Musimy się nad tym zastanowić - odpowiedziałem mu. - To, co jest moje, jest też twoje. Zwyciężyłeś uczciwie.

- Prosiłem o litość - odpowiedział rycerz spod znaku kroczącego lamparta.

- Jestem zdany na twoją łaskę. Proszę tylko, bym mógł zatrzymać ostrogi i żebyś wyznaczył okup, jaki mogłaby zapłacić moja rodzina.

- Niedługo zajdzie słońce. Jestem głodny, podobnie jak moi służący.

Nasze zwierzęta też dawno nic nie jadły. Nakarmisz nas?

- Chętnie.

W swoim umyśle zobaczyłem południowe pastwiska, żyzne pola porośnięte soczyscie zieloną trawą, usiane jaskrami i poprzecinane wstążkami szemrzących strumyków, lecz nic o tym nie wspomniałem i powiedziałem tylko:

- Porozmawiamy o tym rano.

Wiał zimny wiatr, lecz rozpaliliśmy duże ognisko. Mieliśmy mięso, chleb, wino i owsa pod dostatkiem. Z czasem kolejni biesiadnicy wycofywali się za płócienne osłony i zasypiali opatuleni w koce i takie sny, jakie zwykle nawiedzają znużonych podróżników odwiedzających zimne krainy. Przy ogniu pozostała tylko Hela (kołysząca się nad pucharem z winem), rycerz herbu Lamparty i ja.

Podniosłem głowę i zawołałem:

- Uri? Uri?

Nikt nie odpowiedział, a rycerz zapytał mnie:

- Czy to któryś z twoich służących? Przyprawdzą go do ciebie.

- Czy możesz przejść do Aelfrice?

Rycerz uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Ja mogę. Powinienem być tam teraz i żałuję, że tak nie jest.

Hela podniosła głowę.

- To dziewczyna - powiedziała.

- Boisz się, że cię zabiję podczas snu - zapytałem rycerza herbu Lamparty.

- Czy też czekasz na okazję, żeby mnie zabić?

Znowu pokręcił głową.

- Nie jestem aż takim głupcem, by łudzić się, że mógłbym cię zabić.

- W takim razie idź spać.

Rycerz zawahał się.

- Myślałem, że porozmawiamy jeszcze, kiedy inni się położą.

- Położę się, jak tylko skończę wino - powiedziała Hela ochryłym głosem.

- Mów teraz - powiedziałem - albo w ogóle, jeśli Uri się nie pojawi, sam będę musiał znaleźć kolczastą pomarańczę, wysoką i prostą. Zasadziłem kiedyś taką tak dawno temu, że już prawie zapomniałem. Zobaczą, może któraś się nada.

- Słyszałem o nich - powiedział rycerz. - Czasem robi się z nich łuki.

- Mam taki. Gdybyś pozwolił mi zatrzymać Chmurę i miecz, byłby teraz twój. Ale może dobrze, że nie chciałeś.

- Pozwoliłeś mi się pokonać. - Rycerz wypowiedział te słowa tak żalonym tonem, jakby wyciśnięto je z niego rozpalonym żelazem. - Nie mogło być inaczej. Dlaczego?

- Nie chciałem cię skrzywdzić.

Hela spojrzała znad swojego pucharu.

- Ochn nie jechst taki chjak ty.

Rycerz skinął głową.

- Prawda z dna pucharu, jak powiedziałyby mój ojciec. Jestem młody, sir Able, ale ty jesteś inny niż wszyscy, jakich znam.

- Jesteś młody.

- Dwadzieścia i cztery wiosny - powiedział.

- Ja zaś jestem jeszcze dzieciakiem, nie starszym niż Toug. Czasem o tym zapominam, a czasem wydaje mi się, że zapomina też o tym Valfather, który przecież o niczym nie zapomina.

- Nie jesteś mi winien żadnej przysługi - powiedział rycerz - lecz proszę, byś odpowiedział na moje pytanie. Kiedy to zrobisz, może uda mi się zasnąć.

Hela beknęła niczym koń.

- On nigdy nie śpi.

- Czasem mam czymś zaprzątniętą głowę. To wszystko.

- Jeśli wolisz, żebyśmy porozmawiali rano...

Potrząsnąłem głową.

- Wtedy będziemy mieli do omówienia inne rzeczy albo pomówimy o tym, co miałem na myśli. Chciałeś pojechać do Jotunlandu. Nie pytam dlaczego, ale odpowiem wyczerpująco na twoje pytanie, jeśli wcześniej ty odpowiesz na moje. Zgadzasz się?

- Oczywiście. Pasy rycerskie otrzymałem w wieku dziewiętnastu lat. Powiesz, że wcześnie. Może nawet zbyt wcześnie, sam nie wiem. Tak czy inaczej nie posiadałem się z radości. Czułem - nie, chełpiłem się - że skończę dwadzieścia pięć wiosen, zdobędę sławę i będą o mnie mówić, tak że król Arnthor usłyszy i pośle po mnie. Tam, gdzie mieszkamy, wojna nigdy się nie kończy. Nomadzi najeżdżają nas, a my ich napadamy. Nie potrafię powiedzieć, w ilu potyczkach brałem udział. - Rycerz herbu Lamparty wzruszył ramionami. - Wystarczy pół tuzina strzał i już zmykają. Przy odrobinie szczęścia można czasem z kimś skrzyżować miecz. Dwukrotnie

miałem okazję, a raz przebiłem kopią ich wodza. - Westchnął.

- Człowiek długo jedzie nocą, przygotowany na zasadzkę, która jednak rzadko na niego czeka. Potem jeszcze dłuższa jazda w słońcu - ale to nie miejsce na narzekanie. Nic tylko upał, pragnienie i pot, od którego rdzewieje zbroja, i twarz przesłonięta chustą przed kurzem. I myślisz, że zdobyłem sławę?

- Pewnie nie - odpowiedziałem.

- Właśnie. Matka dostała list od swojej siostry, która przebywa na dworze. Wysyłają do Utgardu misję, na której czele stanie krewny - daleki, ale zawsze krewny. Wyjechałem już następnego dnia. - Rycerz zmarszczył brwi i pogrzebał w ogniu. - Spóźniłem się w Kingsdoom, a także w Irringsmouth, ale doganiałem ich. Myślę, że są o jakiś dzień lub dwa drogi. A teraz to.

- Wyprzedzają cię co najmniej o tydzień.

- Wiesz o tym?

Skinąłem głową.

- Wciąż są szanse, żeby się wsławić.

- Masz na myśli dyplomację?

- Nie, walkę z Angronitami. Mógłbym walczyć z ich najlepszymi wojownikami albo bronić poselstwa. Oni nie znają prawa.

- I wtedy nie mógłbyś liczyć na uczciwą walkę ich najlepszych wojowników.

- Walczyć uczciwie, to walczyć najlepiej, jak się potrafi, między innymi. Dlaczego pozwoliłeś mi się pokonać?

- On jeszt przebiegły. - Hela solidnie trzepnęła rycerza po ramieniu, aż się zakołysał, po czym wstała i odeszła chwiejnym krokiem. Po chwili usłyszeliśmy jeszcze jak mówi: - Ty pomyjesz.

- Wyjaśnię ci to, ale ostrzegam cię, że w mojej odpowiedzi nie usłyszysz nic niezwykłego.

- Wątpię.

- Zobaczymy. Kocham Disiri, królową Aelfów Mchu. Zawsze ją kochałem, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Rycerz nic nie powiedział.

- Nie wierzysz w Aelfy. Byłem w Aelfrice, a ona przyszła tu ze mną. Powiesz, że przecież znam też inne kobiety. Tak, ale nie mógłbym ich pokochać, a one w żaden sposób nie potrafiłyby mnie skłonić, żebym przestał kochać ją.

- Los ci sprzyja - powiedział rycerz herbu Lamparty. - Większość z nas nie znajduje takiej miłości.

- Może i masz rację. Kiedyś niemal o niej zapomniałem. Byłem wtedy daleko do niej. Bardzo daleko.

- W istocie, musiało to być niezwykle daleko.

- Tu jest blisko. Tam nie było - tam, dokąd ona nie może pójść. Wydawało mi się, że jestem szczęśliwy, i inni uważali podobnie. Miałem tam wiernych przyjaciół, którzy pragnęli mojego szczęścia i robili wszystko, by uczynić mnie szczęśliwym.

Zahuczła sowa, a Chmura tupnęła głośno gotowa do galopu.

- Coś mi nie dawało spokoju. Budziłem się z płaczem i nie pamiętałem, co mi się śniło. Tutaj nie śpię. A przynajmniej nie tak jak wy.

- Wspominałeś coś o tym wcześniej.

- A więc kłamałem, ale teraz obiecałem, że powiem prawdę. Mądry przyjaciel widział, że nie jestem szczęśliwy, choć ja sam nie zdawałem sobie z tego sprawy. Przywrócił mojemu umysłowi tysiące rzeczy, które zapomniałem.

- Czy byłeś na wyspie Glas?

Zaskoczony podniosłem wzrok.

- Owszem. Dlaczego pytasz?

- Stara kobieta, która snuła różne opowieści, mówiła, że mężczyźni zapominają tam o swoim życiu i są tylko szczęśliwi i niemądrzy.

- Nic nie wiem na ten temat - powiedziałem powoli - ale byłem tam i chciałbym tam jeszcze kiedyś wrócić. Bo widzisz, kiedy odzyskałem wspomnienia, zrozumiałem, że to, co wcześniej wziąłem za szczęście, było jedynie zapomnieniem. Nie mogłbym być szczęśliwy bez Disiri.

- Jest tak jak mówiłem, sir Able, sprzyja ci los.

- Cieszę się, że tak uważasz. Proszę, spełniłem twoją prośbę. Nie zamierzam rozmawiać o ograniczeniach, jakie nałożył na mnie mój przyjaciel. Dałem słowo księciu Marderowi, że stanę przy górskiej przełęczy i będę strzegł przejścia przed każdym rycerzem, do czasu gdy wody portu Forcetti skuje lód.

- Albo stracisz broń.

- Zgadza się. Pozbawiony hełmu, kolczugi i tarczy nie mogłbym bronić dostępu do przełęczy. Przysięgałem walczyć, ale nie, że będę walczył dobrze. Wysadziłeś mnie z siodła.

- Przyszła tu. - Rycerz pokazał palcem. - Nie wiedziałem, że koń potrafi chodzić tak cicho jak łania.

Chmura podeszła i spuściła łeb, bym ją pogłaskał.

- Czy ona rozumie, co mówimy?

- Więcej niż dziecko, lecz mniej niż kobieta. Rozumie nas lepiej, niż by zrozumiała kobieta. Więcej nie potrafię powiedzieć. Zamierzałem ci ją ofiarować. A także miecz. To bardzo stary miecz, Eterne.

Rycerz herbu Lamparty pobladł.

- Było zbyt późno, kiedy się zorientowałem, że nie mogę - że poszedłem ścieżką tchórza, kierując się rozumem złodzieja. Kiedy lód zetnie wody w porcie Forcetti?

Rycerz pokręcił głową.

- Sir Able, nie ma drugiego, który by wiedział mniej o lodzie i śniegu niż ja.

- Mamy teraz środek zimy. Za sześć tygodni. Może dwa miesiące. Do tego czasu nie przejedzie tędy żaden rycerz. Potem będę wolny i odnajdę królową Disiri...

- Co zamierzałeś zrobić dzisiaj.

- Właśnie. Potrzebna mi kopia - lepsza niż ta, którą dostałem od ciebie. Wybacz, że to mówię.

- Wybaczę, jeśli tylko mi powiesz, czego jej brakuje.

- Jest zrobiona z jesionu albo z jeszcze gorszego drewna i jest za długa. Czyż rycerz nie zdobywa zaszczytów, krusząc kopie?

- Po części, jak się wydaje.

- Innymi słowy, kopie są tak zrobione, żeby się łamały. A ja nie pragnę chwały. Potrzebuję zwycięstwa i kolczastej pomarańczy.

Rycerz herbu Lamparty przyniósł sobie koc Chmury, a ja wziąłem bojowe siodło. Kiedy zaciskałem popręg, przytrzymał uzdę, lecz powstrzymałem go ruchem dłoni.

Dosiadłem konia i ruszyliśmy galopem w górę zbocza. Zatrzymaliśmy się na szczycie. Gdy zagwizdałem, Gylf przybiegł w jednej chwili i dalej pędził obok Chmury.

## ROZDZIAŁ 10

### PRZYSIĘGI I ZŁE MIAUKNIĘCIA

- Naga kobieta. - Ulfa zmierzyła wzrokiem Touga od stóp do głów.

Toug przytaknął jej.

- Czy mówiłam, że nic nie urosłeś od czasu, kiedy widziałam cię ostatni raz? Mówiłam. Na Ymira! I wcale się nie myliłam!

- Też się tego nie spodziewałem - zapewnił ją Toug - i nie musimy mieć ubrania. Ona się ukrywa i dalej może się chować. Ale gdyby miała ubranie, mogłaby rozmawiać z ludźmi - już jest dość ciemno z powodu śniegu, a niedługo i tak zapadnie noc.

Ulfa kiwnęła ciężko głową.

- Zimą dni są tu bardzo krótkie.

- To i nie musimy mieć ubrania, ale byłoby lepiej, gdybyś mieli. A mnie przydałyby się buty. No i jeszcze muszę znaleźć tego kota.

- Kota króla Gillinga.

- Kota lady Idnn. Choć tak naprawdę to on chyba należy do sir Able'a. Koty nie lubią rozmawiać na te tematy.

- On nie jest - Ulfa szukała odpowiedniego słowa - rozmowny? Nie aż tak rozmowny, jak by się można spodziewać po kocie.

- Och, nie, dużo mówi.

- Gadający kot.

Toug przytaknął jej.

- Dlatego, między innymi, chce go król. Mieliśmy siedzieć w swoim pokoju, gdzie obserwuje nas Thiazi, więc już pewnie wie, że wyszliśmy. Znajdziesz jakieś ubrania poza tym, co masz na sobie?

- Na górze. - Ulfa skinęła i Toug podreptał za nią.

- Jesteś całkiem przyzwoicie ubrany - powiedziała, kiedy zaczęli wchodzić po schodach, których stopnie były o wiele za wysokie. - A co się stało z twoim ciepłym płaszczem?

- Ma go teraz Baki - wyjaśnił Toug. - Dała mi go lady Idnn. Zanim



walczyliśmy z olbrzymami, powiedziała, że jeśli się spiszę, da mi tarczę z namalowanym na niej białym gryfem. I dała mi ją, ale jest teraz z sir Svonem. Kiedy dawała mi tarczę, podarowała mi też i płaszcz. Powiedziała, że ten, kto ma zostać rycerzem, nie powinien trząść się z zimna.

- Tu jest zawsze zimno. Chyba zauważyłeś, że chodzę w łachmanach?

- Nie są takie najgorsze - odparł Toug z uporem.

- To najlepsze co mam. Dlaczego nie powiesz tej swojej przyjaciółce lady Idnn, żeby dała tej - tej nagiej dziewczynie...

- Baki.

- Żeby dała tej Baki jakieś ubranie?

- Mogłaby dać - powiedział Toug zamyślony. - Tylko że reszta nas jest za murami. Kiedy Mani - Mani to ten kot...

- Gadający kot. - Ulfa odwróciła się i spojrzała na niego.

- Tak. Kiedy Mani porozmawia z królem, będzie musiał go namówić, żeby ich wpuścił. Tak przynajmniej myślę. - Popatrzył w górę schodów odchodzących w ciemność. - Nie mają tu pochodni?

- Tylko kagańce. To taki kosz z żelaznych prętów, w którym można palić różne rzeczy. Gdyby zamek nie był z kamienia, nie moglibyśmy ich używać. Ale nawet ich nie ma zbyt dużo, ponieważ olbrzymi widzą w ciemności i nie obchodzi ich, czy pospadamy ze schodów, czy nie.

- Rozumiem - powiedział Toug.

- Wcale nie rozumiesz. Wszyscy nasi mężczyźni są ślepi, więc im także jest obojętne, czy są tu jakieś kagańce. Czy będziemy musieli zejść na dół, żeby dać ubranie tej twojej dziewczynie?

- Raczej ona dołączy do nas tu na górze, tak myślę.

Ulfa zatrzymała się i spojrzała do tyłu, a Toug wpadł na nią w ciemności.

- Przepraszam!

- Nie widzę jej nigdzie - oświadczyła Ulfa.

Baki wsunęła rękę w dłoń Touga.

- Możesz jej nie zobaczyć - odparł Toug - ani Maniego, jeśli nie będzie chciał, żebyśmy go widzieli.

Wszyscy troje poszli ponurym korytarzem, który byłby równie ciemny jak schody, gdyby nie to, że niektóre z drzwi były otwarte. Na końcu korytarza Ulfa otworzyła drzwi prowadzące do pokoju większego niż Toug spodziewał się zobaczyć. Znajdujące się w nim dwa wąskie łóżka zestawiono razem, tak by utworzyły jedno szerokie. Ulfa dorzuciła drewna na żar niedużego

paleniska.

- Nie tak źle - powiedział Toug.

- Przeważnie pokoje nie są tak wygodne, ale Pouk potrafi walczyć.

Toug skinął głową, po czym podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Wieżyczka, w której umieszczono go z Manim, sterczała bardziej na prawo i o wiele niżej, a na jej dachu na drzewcu powiewała brunatnoczerwona flaga.

- Przeziębisz się. - Poczul się jak w domu. Po chwili odwrócił się do Ulfy.

- I tak się przeziębę.

- Proszę. - Podała mu kolejno płócienną halkę, poplamioną, ale nadającą się do noszenia, suknię z szarej wełny z dziurami pod pachami i krótki kozuch, być może ze skóry niedźwiedziej, ale trudno było powiedzieć, bo prawie całkiem stracił włos.

- Nie mam butów - powiedziała Ulfa - ani pończoch na zbyciu. Może Pouk da ci jakieś buty. - Zastanawiała się przez chwilę. - Nie wiem, ale nie wolno mi rozdawać jego rzeczy, nawet własnemu bratu. Może zdobędzie jakieś dla ciebie.

- Jestem ci wdzięczny - powiedział Toug. Podniósł suknię do góry. - Chyba trochę za długa.

- W takim razie będzie musiała sobie ją podwinąć. Ta dziewczyna - chociaż mówiłeś chyba, że wpuścili tylko ciebie i kota.

Toug skinął głową, nie przerywając oględzin szarej sukni.

- To skąd ona jest? Czy to jedna z nas?

- Przyszła za mną, jak myślę. Była ranna, a ja jej pomogłem. Sir Able powiedział mi, jak mam to zrobić. - Przypomniał sobie, jak jechali przez śnieg chłostani lodowatym wiatrem i zaraz dodał: - To było jeszcze na południu, po tej stronie gór.

- Chcesz, żebym ci pomogła ją znaleźć?

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- To pewnie ona - rzucił Toug.

Otworzył drzwi i wysunął za nie rękę, by podać Baki ubrania.

- Wejdzie, jak się ubierze.

I rzeczywiście, Baki weszła po chwili i, uśmiechając się, oddała Ulfie płaszcz.

Ulfa otworzyła szeroko oczy.

- Mówiłeś, że suknia może być za długa.

- Urosła - wyjaśnił Toug.

Baki dygnęła uprzejmie.

- Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoimi ubraniami.

Ulfa spojrzała na Touga.

- To jest twoja... twoja...?

- Przyjaciółka, nic więcej.

- Dzieje się tu wiele rzeczy, których nie rozumiem - powiedziała Ulfa.

Kiedy zacisnęła usta z zawziętością, Toug pomyślał, że jest podobna do ojca.

- Ja też nie rozumiem wielu rzeczy, Ulfo - powiedziała Baki. - Jesteś siostrą Touga? Tak mówi. Jesteście podobni z twarzy.

Ulfa skinęła głową.

- Jestem starsza o trzy lata.

- Więcej. Skąd się wzięłaś w Utgardzie?

- Kiedy cię widziałem ostatni raz, byłaś w domu - powiedział Toug.

Ulfa skinęła głową.

- Mam ci opowiedzieć całą historię? Nie zajmie to zbyt wiele czasu.

- Opowiedz - wtrąciła Baki.

- Dobrze. Do naszego domu w Glennidam przybył rycerz zwany sir Able.

- Ulfa usiadła na stołku przy palenisku. - Zdajesz sobie sprawę, ile kobiet oddałoby życie za twoje rude włosy?

- Pewnie. Ja też znam sir Able'a. O wiele lepiej niż ty. Chciałaś wyjść za niego?

Ulfa pokręciła głową.

- Na pewno chciałaś. - Baki uśmiechnęła się i nieopatrznie odsłoniła swoje zęby. - Bo po co byś się za nim uganiała?

Ulfa odwróciła się do Touga.

- Chciałaś, żebym ubrała twoją dziewczynę, to ją ubrałam. Czy mam też poszukać twojego kota?

Toug zastanawiał się przez chwilę.

- Nie, bo Mani szuka ciebie. Tak więc po prostu rób to, czym zwykle się zajmujesz, to cię znajdzie. A jak już cię znajdzie, powiedz mu, że niebawem wrócimy.

- Mam powiedzieć to twojemu kotu.

Toug skinął głową.

- Nie zechce z tobą rozmawiać i pewnie będzie udawał, że cię nie rozumie, ale tak naprawdę zrozumie, więc mu powiedz. Mów do niego normalnie, jakbyś rozmawiała z człowiekiem.

Baki zachichotała, co przypominało dźwięk cymbałków trąconych palcem.

- Tymczasem oboje będziecie go szukać.

Toug skinął głową, Baki zaś powiedziała:

- Będziemy.

- Posłuchaj. Poszukaj też mojego męża.

Toug spojrział na nią zdumiony.

- Masz męża?

- Tak. Ma na imię Pouk. Mówiłam ci.

- To służący sir Able'a - wyjaśniła Baki.

- Nie wiem, jak wygląda - powiedział Toug.

- Ja wiem - rzuciła Baki.

Ulfa zignorowała jej słowa.

- Trochę wyższy ode mnie, ma duży nos i tatuaże na wierzchu obu dłoni. - Ulfa uśmiechnęła się, a Toug pomyślał, że zrobiła to po raz pierwszy od chwili, kiedy ją spotkał. - Chcieliście, żebym wam opowiedziała swoją historię.

- Ale tego nie zrobiłaś - zauważyła Baki.

- Nie, ale teraz wam opowiem. Spotkałam sir Able'a. To było wtedy, kiedy zabrał ze sobą Touga.

Toug przytaknął jej.

- Wszyscy bardzo się o niego martwiliśmy, ale ojciec nie pozwolił mi go szukać, a sam też nie mógł pójść, bo by musiał zostawić mnie i matkę. No to sama poszłam, kiedy położyli się spać. Miałam pieniądze po rozbójnikach, których zabili sir Able z moim ojcem. Niewiele tego było, lecz ja myślałam, że dużo. Połowę zakopałam w lesie. Resztę wzięłam ze sobą i poszłam z długim kijem.

- Mogłaś zginąć - powiedział Toug.

- Pewnie, ale w domu też było niebezpiecznie. Pewien mężczyzna próbował mnie zgwałcić, lecz złapałam jego miecz i omal go nie zabiłam. Poza tym nie było tak źle.

Baki uniosła brew.

- Nie byłaś zakochana?

- Myślałam, że jestem. Nie mówiłam, że nie byłam zakochana, a tylko że nie liczyłam, iż sir Able mnie poślubi. Był rycerzem, a ja, przynajmniej wtedy, byłam zwykłą wiejską dziewczyną.

- Wszędzie o niego rozpytywałam, lecz upłynęły lata, zanim trafiłam na jego trop. Ze swoim giermkim, bojowym rumakiem i całą resztą kierował się na północ wzdłuż Traktu Wojennego. Nieraz w gospodzie albo tam, gdzie się zatrzymywali, ludzie wspominali też o jego służącym.

Ulfa zamilkła na długą chwilę, więc Toug postanowił ją zachęcić i powiedział:

- Pouk.

- Zainteresowało mnie to i pomyślałam, że może sir Able mógłby mnie zatrudnić. Kiedy kończyły mi się pieniądze, oddawałam się na służbę albo stawałam za ladą w karczmie. Znał mnie i chyba polubił, a służąca - kobieta chętna do pracy i spolegliwa w nocy, wiesz, co mam na myśli - miała szansę dowiedzieć się, co z tobą zrobił.

Znowu uśmiechnęła się gorzko.

- Wyobrażałam sobie, jak przymierasz głodem gdzieś w lochu. Jesteś chudy, ale się nie przyznajesz, że jesteś głodny. A tak właściwie, to co on z tobą zrobił?

- Myślę, że teraz nie czas, żeby o tym rozmawiać.

- Za to czas - wtrąciła Baki - jak myślę, żeby każde z nas powiedziało, na czym mu najbardziej zależy. Co każde z nas ma nadzieję zrobić. Niech będzie tak, że każde z nas wymieni jedną i tylko jedną rzecz, tę, która go najbardziej...

- Ale czy nie będą to różne rzeczy? - zapytał Toug.

- Zaraz do tego dojdę. Zanim je wymienimy, każde z nas przysięgnie, że pomoże pozostałym. Ja pomogę tobie i Tougowi, Ulfo, ale ty musisz pomóc też mnie, a nie tylko Tougowi. Toug zaś musi przysiąc, że pomoże nam obu.

- Nie znam się na przysięganiu - powiedziała Ulfa, sugerując, że nie jest pewna, czy powinna składać taką przysięgę.

Baki zinterpretowała jej słowa według własnego uznania i powiedziała:

- Ale ja się znam. Każde z nas przysięgnie na tych nad nami, którzy potwierdzą, że naszą lojalność sankcjonuje Najwyższy Bóg. Toug, podnieś rękę.

Toug uniósł prawą dłoń.

- Powtarzaj za mną: „Ja, Toug, jakem giermek i prawdziwy mężczyzna, przysięgam na tych, co mieszkają w Skai...”

- Ja, Toug... - Głos załamał mu się na chwilę, lecz zaraz przełknął ślinę i mówił dalej, a jego głos nabierał siły z każdym słowem: - Jakem giermek i

prawdziwy mężczyzna, przysięgam na tych, co mieszkają w Skai.

- „Przysięgam na Valfathera i wszystkich jego synów, i przysięgam na Panią, której imienia nie wolno wypowiadać”.

- Przysięgam na Valfathera i wszystkich jego synów. - Przez chwilę Tougowi wydało się, że sir Able obnażył Eterne; ujrzał wysokie postacie w kątach pokoju, cienie połyskujące kurzem i blaskiem ognia, i poczuł na sobie ich spojrzenia.

- I co? Przysięgniesz czy nie? - ponagliła go Ulfa.

- I na Panią, której imienia nie wolno wypowiadać. - Jakimś cudownym zrzędzeniem prąd powietrza płynącego z okna przyniósł delikatny zapach perfum, płynącą z oddali woń bzu.

- „Że uczynię wszystko, co w mej mocy, by pomóc mojej siostrze Ulfie i mojej czcicielce Baki spełnić życzenie ich serca”. - Baki uśmiechnęła się.

Toug ujrzał jej zęby tak wyraźnie, jak wyraźnie oglądał zęby Maniego. Dostrzegł także żółty płomień w jej oczach.

- Że uczynię wszystko, co w mej mocy - powtórzył - by pomóc mojej siostrze Ulfie...

Ulfa też się uśmiechnęła, a jej uśmiech ogrzał go tak samo jak ogień, który podsycala; upiorni przybysze znikli.

- I mojej czcicielce Baki spełnić życzenie ich serca.

- Twojej czcicielce Baki? - powtórzyła Ulfa.

- Bo ją uleczyłem - wyjaśnił pospiesznie Toug.

- Teraz twoja kolej, Ulfo. Czy mam powtórzyć treść przysięgi?

Ulfa potrząsnęła głową.

- Ja, Ulfa, jakem wolna chłopka z Glennidam, przysięgam na tych, co mieszkają w Skai...

- Teraz na Panią - ponagliła ją Baki.

- Na Panią, której imienia nie wolno wymawiać.

- I na Valfathera...

- A także na Valfathera i jego synów, że zrobię wszystko, co w mej mocy, dla mojego brata i jego czcicielki.

- Musisz powiedzieć „mojej czcicielki” - poprawiła ją Baki.

- Ja cię nie uleczyłam!

Baki westchnęła.

- Zaczynij od początku.

Ulfa spojrzała na Touga, który ponaglił ją skinieniem głowy.

- Skoro muszę - powiedziała. - Ja, Ulfa, jakem wolna chłopka z Glennidam, choć obecnie niewolnica króla Gillinga, przysięgam na tych, co mieszkają w Skai, na Panią, której imienia nie wolno wymawiać, i na Valfathera i jego synów, że uczynię wszystko, co w mej mocy, aby spełnić życzenie serca mojego brata Touga i mojej czcicielki Baki. Tak dobrze?

- Dobrze. Ja, Baki, jakem prawdziwa dziewczyna Aelfów Ognia...

Ulfa wciągnęła głęboko powietrze.

- ...przysięgam na tych, co mieszkają w Mythgarthcie, na Touga i Ulfę, a także na sir Able'a, jeśli wybaczy mi tę impertynencję, że uczynię wszystko dla tych wzniosłych duchów Mythgarthru, Touga i Ulfy, aby spełniło się pragnienie ich serca. Tak oto przysięgam ja, Baki, która na mocy tej przysięgi i innych przysięg wyrzeka się na zawsze fałszywego i oszukańczego uwielbienia dla Setra.

Ulfa wybałuszyła oczy.

- Kto to jest Setr?

- O tym zaraz porozmawiamy. Najpierw musimy przedstawić pragnienie swojego serca. Ty przysięgałeś pierwszy, więc mów pierwszy. Tak mi się przynajmniej wydaje. Macie coś przeciwko?

- No cóż - zaczął Toug - mieliśmy poszukać Maniego...

- A także męża tej kobiety - dodała Baki - Pouka. Ale przecież nie tego pragnie twoje serce. Z pewnością ma większe pragnienia.

- Muszę się zastanowić.

- Naprawdę jesteś aelficką dziewczyną? - zapytała Ulfa.

- Z Aelfów Ognia. Chcesz zobaczyć?

Ulfa skinęła głową. Chwilę później wstrzymała oddech.

- O co chodzi? - Toug podniósł wzrok i zobaczył, że Ulfa klęczy.

- Ty widziałeś więcej - powiedziała Baki. Pomogła Ulfie wstać.

- Źle postąpiłaś. Czuję się zaszczyczona, lecz niezasłużone zaszczyty to zwykłe przestępstwo. W sercu ja klęczę przed tobą.

- Ja... ja...

- Na razie nic nie musisz mówić, chyba że chcesz przemówić pierwsza. A może twój brat jest już gotowy?

- Jeszcze nie - odparł Toug.

- Nie wiedziałam. - Ulfa przełknęła ślinę. - Moja stara suknia. Nie nadaje się do noszenia.

- Noszę ją z dumą - odpowiedziała jej Baki - i wierzę, że będzie lepiej.

Ulfa znowu otworzyła usta i skłoniła głowę.

- A teraz pragnienie serca. Wymień je. Oboje z Tougiem przysięgliśmy, że pomożemy ci je spełnić.

- Chcemy się stąd wydostać. - Ulfa mówiła tak cicho, że Toug ledwo ją słyszał. - Oboje z Poukiem. Chcemy wrócić do Glennidam. Albo gdzie indziej. Pomóżcie nam się stąd wydostać, nam obojgu.

- Pomożemy - odpowiedziała Baki. - Toug? Twoje pragnienie?

- Jest inne. - Toug starał się opanować głos. - Ale najpierw muszę coś jeszcze powiedzieć.

- Mów.

- Chcę zostać rycerzem. Nie taki zwykłym rycerzem, chociaż cudownie byłoby zostać takim zwykłym rycerzem jak sir Garvaon czy sir Svon. Lecz ja pragnę - to jeszcze nie jest pragnienie mojego serca, jeszcze nie - zostać takim rycerzem jak sir Able. Chcę zostać rycerzem, który wskoczy na grzbiet smoka.

Żadna z kobiet się nie odezwała, a Baki podniosła wzrok i spojrzała na niego.

- Teraz jestem giermkim. - Toug wyprostował się. - Naprawdę nim jestem, Ulfo, i pewnie prędzej czy później zostanę rycerzem, o ile wcześniej nie zginę. Tak więc muszę się szybko uczyć. Wiem, że jeśli będę czekał, aż zostanę rycerzem, i dopiero wtedy spróbuję być taki jak sir Able, to nic z tego nie wyjdzie. Muszę zacząć wcześniej, zanim zostanę pasowany na rycerza.

- Nawet i wtedy nie wszystko musi się udać, panie.

- Wiem, lecz jeśli nie zacznę teraz, nic się nie uda. Lord Beel i sir Svon chcą, abym nakłonił króla Gillinga, żeby ich wpuścił do Utgardu, tak aby lord Beel mógł wypełnić misję prawdziwego ambasadora zgodnie z życzeniem naszego króla. I takie jest życzenie mojego serca. Chcę spełnić swój obowiązek.

- Brawo! - odezwał się nowy głos. Mani siedział na parapecie z szarego kamienia, czarny i lśniący jak idealnie utrzymany kociołek; na tle szarego zimowego nieba widać było jak zimowy wiatr czochra jego sierść.

- Brawo! - powtórzył Mani i ze zwinnością godną rysia zeskoczył prosto na ramię Touga. - Przynoszę dobre wieści. - Zadowolony spojrzał na kobiety, błyskając zielonymi oczami. - Zaraz wam je przekażę, lecz najpierw chciałbym wysłuchać do korka tego, o czym mówicie.



- Dobrze. - Toug pogłaskał go. - Baki, już wiesz, czego my chcemy, jakie jest pragnienie twojego serca?

- Naprawdę chcesz to wiedzieć, panie? Pamiętaj, że przysięgałeś pomóc mi je zrealizować.

Czekał, aż Ulfa coś powie, lecz ona milczała wpatrzona w Maniego, tak więc powiedział:

- Nie pomożemy ci, jeśli nam nie powiesz, czego pragniesz.

- Być może nieświadomie. Polityka Aelfrice jest skomplikowana, lecz muszę to wyjaśnić, bo inaczej nie zrozumiecie, czego pragnę. Mój lud, wielbiony przez niektórych z was, narodził się do życia za sprawą Kulili. Ona nas stworzyła, abyśmy ją kochali, lecz my ją znienawidziliśmy i zbuntowaliśmy się przeciwko niej, a potem wypędziliśmy ją w morskie głębiny. Mamy wiele klanów, o czym zapewne wiecie.

- Ja tak - rzucił Mani.

- Ja jestem z klanu Aelfów Ognia, który to klan nienawidził Kulili bardziej niż inne. Staliśmy na czele buntu i byliśmy ostatni wśród tych, którzy się wycofywali. Kiedy już się skryła w pieczarach na dnie morza, to my, bardziej niż Aelfy Morza, nalegaliśmy, aby unicestwić ją do ostatniej nitki. Potem już jej więcej nie oglądaliśmy, a nasza ziemia nie przemawiała więcej jej głosem.

Toug, który nie potrafił wyobrazić sobie istoty zbudowanej z nitek, otworzył usta, by zadać pytanie, lecz zaraz je zamknął.

- Wraz z innymi podążyliśmy za nią w głąb morza i tam walczyliśmy, kiedy już nie miała dokąd się wycofać. Jestem dziewczyną, a nie mężczyzną. Uwierzycie, że i ja walczyłam?

- Tak - rzekł Mani, Ulfa zaś powiedziała cicho:

- Skoro tak mówisz.

- Tak mówię. Walczyłam. „Włócznie dziewcząt!” - krzyczałyśmy, włączając się do walki. „Włócznie Dziewcząt Ognia! Śmierć Kulili!”. Teraz mogę powtórzyć te okrzyki, lecz trudno jest wyrazić słowami, jaki mizernie, słabo i samotnie brzmiały one wtedy w mrokach morskich głębin. Zaatakowaliśmy jej rekiny, tak jak nas nauczono wcześniej, i szybko uciekliśmy, a przynajmniej uczynili to ci, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Ty, panie, byś nie uciekł tak jak my.

Toug nic nie powiedział.

- Ty byś prędzej zginął.

- Mów dalej. - Raz przynajmniej Mani poskromił emocje.

- Po tamtym strasznym dniu nasz król próbował nas zebrać. Wielu nie chciało przyjść, bojąc się, że znowu będzie musiało walczyć. Minął rok, zanim udało się zebrać wszystkich, a udało się to tylko dlatego, że spotkanie odbyło się na ładzie. Wielu - ja wśród nich - straciłoby ducha, gdyby kazano im zbliżyć się do morza.

Król wspomniął poległych, chwając przede wszystkim swoją straż przyboczną, której trzy piąte nie przeżyło walki, a potem wspomniął o naszym klanie, który wcześniej był jednym z najliczniejszych. Teraz nie dorównywał liczebnością pozostałym. „Nie możemy znowu z nią walczyć” powiedział. Wtedy rozległy się szepty, westchnienia, a nawet nieśmiałe okrzyki radości. A potem przedstawił nam swój plan - plan, który, jak powiedział, może przynieść nam zwycięstwo.

Nie czciliśmy już tego świata, Mythgarthru, ani was, jego mieszkańców. Byliście naszym zdaniem tępymi, ospałymi, głupimi i niegodnymi uwagi bogami, którzy nie zwracali na nas uwagi, kiedy przed wami stawaliśmy. Powiedział, że nie można oczekiwać żadnej pomocy z waszej strony. Chyba nie było takiego, który by się z nim nie zgodził.

Ulfa odwróciła się do Touga, a jej spojrzenie zawierało wiele pytań.

Mani pogładził wąsy pewnym ruchem wszystkowiedzącego.

- Bo widzisz, jesteśmy ich bożkami. Ja sam jestem opiekuńczą larą w zwierzęcej postaci, totemem. Wizerunki mojej osoby są symbolem wolności, a także podstępu, który jest nieodzownym składnikiem wolności.

- Ale byli inni gotowi nam pomóc - mówiła dalej Baki. - Król ich wezwał. Był wśród nich Setr. Jeszcze przez jakiś czas nasz król sprawował rządy, przekazując polecenia Setra. Idąc za Setrem i innymi, jeszcze raz przypuściliśmy szturm na redutę Kulili i tak jak przedtem zostaliśmy pokonani. Nie wszystkie nasze plemiona walczyły, niektóre wysłały tylko garstkę swoich wojowników, jak na przykład Bodachanowie. Według Setra to zadecydowało o porażce, a myśmy mu uwierzyli. Obiecał, że nie będziemy już walczyć, jeśli pozostałe klany nie okażą takiej odwagi jak my.

Kiedy Baki zamilkła, Mani zapytał:

- Chciał je zmusić?

- Właśnie. Postanowił uczynić siebie władcą wszystkich i w tym celu wybudował Wieżę Glas, tak wysoką, że jej szczyt jest wyspą w Mythgarthrcie. Tak mówimy, że ją zbudował, ale to przecież my ją zbudowaliśmy dla niego, a on traktował nas jak niewolników. - Baki uniosła

dłonie. - Nie uwierzylibyście nawet w połowę tego, gdybym opowiedziała, co działy te ręce.

- Ja bym uwierzyła - powiedziała Ulfa.

- Nasz król poległ - zmiażdżony szczękami potwora z morskich głębin, jak powiedział Setr. Setr nie pozwolił nam wybrać nowego króla i powiedział, że już mamy jednego, że go wybraliśmy. Kiedy stanęła wieża, zamienił nas w Khimairy, które miały jej strzec. Czy któreś z was widziało kiedyś Khimairę?

- Ja nie - odparł Mani - ale chciałbym.

Stara, szara suknia opadła z Baki i leżała na podłodze niczym kałuża brudnej wody, a ciało Baki zaczęło się wić spowite dymem. Pociemniało, jakby objęte ogniem, i popękało; uszy jej się wydłużyły, podobnie jak usta, a zęby przybrały postać ohydnych kłów. Jej stopy i dłonie zamieniły się w szpony.

Mani podniósł się na ramieniu Touga, jeząc sierść, i posyjąc jak waż.

Khimaira odpowiedział sykiem, który przypominał odgłos lodu ocierającego się o lód i niósł chłód śmierci.

- Tsaka byłam i tsaka zostałam. Nienawidziłam swojej postaci, a mimo to nie chciałam się zmienić. Bo tak sprawił Ssetr.

Z jej oczu popłynął dym. Kiedy zniknął, znowu ujrzeli długonogą aelficką dziewczynę o miedzianej skórze. Baki ponownie ubrała szarą suknię. Teraz znowu była kobietą o płomiennych włosach, miłą dla oka.

- Sir Able nakłonił mnie, abym się wyrzekła Setra - powiedziała - i przywrócił mi tę gibką postać. Jednak przysięga wciąż działała. Przede wszystkim dlatego, że zostałam zmuszona do jej odrzucenia, lecz także z tego powodu, że się go bałam. Służyłam sir Able'owi, on zaś nazywał mnie swoją niewolnicą. Wciąż mu służę.

Toug przytaknął jej.

- I tobie, z wdzięczności i miłości do ciebie - powiedziała. - Setra boję się, ale jestem gotowa zaatakować to, czego się boję. Chcesz być rycerzem. Ucz się ode mnie.

- Spróbuję - odpowiedział.

- A teraz pragnienie mojego serca.

Na dziedzińcu rozległo się dudnienie końskich kopyt. Mani wskoczył na parapet i spojrział na zewnątrz.

- Powiedziane prostymi słowami - mówiła dalej Baki - lecz nie będzie proste do wykonania. Tego się obawiam. Chciałabym sprowadzić sir Able'a

do Aelfrice i nakłonić, aby poprowadził nas przeciwko Setrowi.

Mani spojrzał na nią i otworzył szeroko swoje zielone oczy.

- Ty i twoja siostra przysięgliście, że mi pomożecie.

Toug spojrzał na Ulfę (bo poczuł, jak serce w nim zamarło), a ona na niego, lecz żadne nic nie powiedziało.

- Kotku, chciałeś zobaczyć Khimairę i ją zobaczyłeś. Jesteś zadowolony?

- To Khimaira - odpowiedział Mani - widziała mnie. Tego pragnąłem i to dostałem. Wiedziałem, że nie jesteś zwykłą dziewczyną. A teraz wiesz, że ja nie jestem zwykłym kotem.

Baki udała, że kłania się przed nim.

- Moje dobre wieści wydały się - mówił dalej Mani - tak więc zostały mi do przekazania tylko złe wieści. Które chcecie usłyszeć najpierw?

- Nie mam żadnego wpływu na sir Able'a - rzekła Ulfa.

- Musisz więc postarać się go zdobyć w miarę możliwości - odpowiedziała Baki.

- On nie jest mi nic winien - rzekł Toug.

- On widzi siebie w tobie i być może to wystarczy. Kocie, nie składałeś przysięgi, ale ja dobrze znam koty i nie łudzę się, że byś to zrobił. Ale czy nam pomożesz?

- Już nieźle się napracowałem - rzucił Mani ponurym tonem - i nawet Overcyni w Skai nie potrafiliby powiedzieć, dlaczego to robiłem. Wysłuchacie moich wieści? Mnie samemu podobają się te dobre, za to złe zechcecie od razu wyrzucić ze swych uszu.

- Powiedział, że te dobre, już nie są prawdziwe - mruknęła Ulfa i dźwignęła się ciężko ze stoika.

- Niezupełnie - powiedział Mani. - Powiedziałem tylko, że to już żadna nowina. Miałem na myśli to, że król Gilling zgodził się łaskawie przyjąć poselstwo lorda Beela. On, moja pani i pozostali - twój pan, Toug, i inni - wjechali właśnie do zamku. Usłyszeliście ich konie, jeśli słuchaliście uważnie. A jak wyjrzycie przez okno to ich też zobaczycie.

Toug podszedł do okna, a zaraz potem Ulfa.

- Wspaniały orszak - wyszeptała.

- Trzeba było ich zobaczyć, zanim zostali ograbieni - rzucił Mani zadowolony. - Ja widziałem.

Ulfa wpatrywała się w niego, a potem przeniosła spojrzenie na Touga. Wyraz jej twarzy był bardzo czytelny: koty nie potrafią mówić.

Toug chrząknął.

- Niektóre potrafią. Różnie bywa. To znaczy, Mani jest jedynym kotem, jakiego znam, który potrafi.

- I który wykorzysta tę umiejętność - powiedział Mani - żeby ci przypomnieć, że spełniło się pragnienie twego serca. Celem naszej misji było nakłonić Jego Fantastyczną Mość, aby przyjął naszą grupę, i to się udało.

Toug uśmiechnął się powoli.

- Mówię naszej misji, ponieważ mi towarzyszyłeś, a także dlatego, że mam wielkie serce i jestem nieprzyzwoicie szczodry. Wędrując tu sobie, natknąłem się na króla i jego wielkiego gamoniowatego czarnoksiężnika.

- Thiaziego.

- Zgadza się. Przemówiłem do nich, wprawiając ich w zdumienie, w szczególności króla. Myślicie, że słyszeliście mnie przemawiającego? To wam powiem, że jeszcze mnie nie słyszeliście w takim przemówieniu. Wykazałem się elokwencją, siłą perswazji i zdolnościami dyplomatycznymi. Ale przede wszystkim byłem przekonujący, zwięzły i oszczędny w słowach. Gylf twierdził, że mam słaby głos. Krytykował mnie za to. Pamiętasz Gylfa?

Toug skinął głową.

- Szkoda, że mnie nie słyszał, jak przemawiałem do króla. Wątpię, aby w Thortower znalazł się ktoś, kto by mi dorównał. Wyjaśniłem, że przybywamy z polecenia króla Arnthora nie jako wrogowie, lecz jako przyjaciele, by mu pomóc rządzić...

- Toug... - Ulfa ścisnęła jego ramię. - Ja... ten kot naprawdę gada, co? Ja nie zwariowałam?

- Pewnie, że gada, ale nie rozmawiałby przy tobie, gdyby cię nie lubił. Nie przejmuj się.

Ulfa pokazała palcem.

- Widziałam - coś zobaczyłam. Przed chwilą. Na moment. Kiedy wszyscy ci ładni bidzie zsiadali z koni, to coś przelazło przez mur, a było wielkie, prawie jak olbrzym, tylko że to nie był olbrzym. Było okropne i szare jak mur. Przemknęło i znikło.

- Nazywa się Org. - Toug nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

- Obronę cię przed nim - zwrócił się Mani do Ulfy. - Nie musisz się obawiać Orga, kiedy jesteś ze mną. Prosty z niego człowiek, choć jego osoba niespecjalnie mnie obchodzi. Prosty i dobry, jeśli pominąć jego upodobanie do jedzenia ludzkiego mięsa.

- Przekonałeś króla, żeby wpuścił do Utgardu lorda Beela z jego orszakiem - ponagliła Maniego Baki. - To są twoje dobre wieści. Dobre dlatego, że jest to jednocześnie pragnienie Touga. Ale mówiłeś, że przynosisz też złe wieści. O co chodzi?

- Złe dla ciebie - odpowiedział Mani. - Złe dla Touga i jego siostry i wcale nie tylko dlatego, że obiecali ci pomoc. Za twoim pozwoleniem, powiem najpierw coś pocieszającego. Myślę, że to uraduje ich serca.

Baki skinęła głową, a Mani zwrócił się do Ulfy.

- Jesteście niewolnikami króla, ty i twój mąż? Należycie do niego?

Przytaknęła.

- Ten, który już raz przekonał króla w dużej sprawie, może go też przekonać i w małej, nie sadzisz? Gdy tylko nadarzy się okazja, zasugeruję królowi Gillingowi, że oboje z mężem - a także konie i tym podobne - stanowilibyście mało znaczący, lecz miło widziany podarunek dla sir Able'a. Czy wtedy nie spełniłoby się pragnienie twojego serca?

- Ty... zrobiłbyś to?

- Mani - rzucił stanowczym tonem. - Nazywam się Mani.

- Zrobiłbyś to dla nas, Mani? Dla mnie i dla Pouka? Zyskałbyś naszą dozoną wdzięczność.

- Wiem. Zrobiłbym to. I zrobię, we właściwym momencie. - Musnął spojrzeniem półprzymkniętych oczu obie ludzkie istoty i aelficką dziewczynę. - I tu dochodzimy do złych wieści, które powinniście usłyszeć. Król Gilling nosi się z zamiarem zebrania armii złożonej ze śmiałków - ludzi, w przeciwieństwie do jego Angronitów - którzy by służyli koronie poza jej południowymi granicami. Czy też poza jej obecnymi granicami, powinienem raczej powiedzieć. Oni to, ci mężni wybrańcy losu, że ich tak opiszę, nie byłiby niewolnikami. Gdzież tam! Otrzymaliby sowitą nagrodę i zostaliby obsypani zaszczytami, gdyby odnieśli sukces. A w przyszłości ich dowódcy, wykazawszy się lojalnością wobec jego Fantastycznej Mości, mogliby nawet otrzymać lenna na południe od gór.

Mani zamilkł, czekając na jakieś komentarze, lecz się ich nie doczekał.

- Krótko mówiąc, mieliby podbić dla niego Celidon, który stałby się królestwem lennym, płacącym mu coroczną daninę w darach i w niewolnikach. Jego Królewska Mość ma nadzieję, że to sir Able zorganizuje tę armię i ją poprowadzi.



## ROZDZIAŁ 11

### DRUGI RYCERZ

- Nikogo z nim ni ma! - powtórzył Uns, składając dłonie wokół ust. - Nikogusieńko, tylko jego koń, sar!

- Ale to rycerz? - zapytał rycerz herbu Lamparty. Zerknął na mnie, spodziewając się jakiejś reakcji, lecz zajęty byłem mocowaniem ostrza sztyletu do krótkiej kopii, którą przygotowałem, i nawet nie podniosłem wzroku.

- Ma złotą zbroję, sar! - Uns osłonił dłonią oczy, by spojrzeć w głąb przełęczy. - I złote słońce na tarczy, sar.

Heimir podszedł i usiadł przy mnie.

- Nie lubisz mnie.

Potrząsnąłem głową.

- Mylisz się.

- Za duży jestem.

- Jak mężczyzna może być za duży? Może tylko być za duży w tej lub innej sprawie. Za duży, żeby się przecisnąć przez wąskie drzwi albo żeby pojechać na ośle. Poza tym nie można być za dużym. To tak jakby powiedzieć, że góra jest za mała albo drzewa za wysokie.

- Wolisz mojego nowego ojca. - Zabrzmiało to jak wyzwanie.

- Kocham Bertolda Śmiałego i kocham twoją matkę, ponieważ on ją kocha. Ale kochać to co innego. A ty mnie lubisz, Heimirze?

- Tak!

- A ja lubię ciebie. Dlaczego mielibyśmy się kłócić?

Wyciągnąłem do niego rękę. Heimir uścisnął mą dłoń i nawet nie próbował jej zgnieść, mimo iż jego prawica była dwa razy większa od mojej.

- Będę z nim walczył dla ciebie - zaoferował Heimir.

- Nie możesz.

- Mogę. Nie jestem mocny w mowie. - Heimir przytaknął samemu sobie. - Hela tak mówi. Za to potrafię walczyć.



- On jest sam, Heimirze. Może kiedyś cię poproszę, żebyś walczył dla mnie, ale nie tym razem. To jest mój czas. Chwila, na którą czekałem.

Heimir nic nie odpowiedział, a potem wymamrotał niespodziewanie, jakby nie wiedział, co innego powiedzieć:

- Przyprowadzę twojego konia.

- Chmura sama przyjdzie.

Uns, który siedział wyżej na zboczu w odległości długiego strzału z łuku, przyklęknął i chwycił rękę rycerza herbu Lamparty, pomagając mu wstać. Rycerz podziękował mu, posapując.

- Ni ma za co, sar. - Uns pokazał ręką. - To on będzie. Już nie truchta tak jak go przedtym widziałem.

- Nie chce zmęczyć rumaka - mruknął rycerz. - A to by znaczyło, że być może wie, iż jest tu sir Able albo że w ogóle ktoś tu czeka. Tylko co robi samotny rycerz...? - Nie dokończył.

- Skąd wiesz, sar? - Uns wyteżył wzrok, jakby się spodziewał, że zobaczy odpowiedź na proporcu, który powiewał na końcu kopii przybysza.

- Skoro my go widzimy, to i on nas widzi. Ma na głowie hełm.

- Ma, sar. A przez niego trudno się widzi, jak nic.

- Nie to miałem na myśli. Widziałeś, jak go zakładał?

Uns wciągnął z sykiem powietrze.

- A to nie idzie tak normalnie?

- Tak - odpowiedział rycerz zamyślony. - Widziałeś w ogóle jego twarz?

Uns potrząsnął głową.

- Miał go na głowie, jak tylko się pokazał, sar.

- Sir Able ma hełm.

- Ma, sar - odparł Uns coraz bardziej zdziwiony.

- Z pewnością miałeś go w rękach, czyszcząc go albo przenosząc, kiedy rozkulbaczaleś jego konia. Ciężki był?

- O, tak, sar. Mało co bym go upuścił, taki ciężki.

Rycerz kiwnął głową.

- Tak jak mój. Dlatego nie nosimy ich ciągle. W momentach dłuższego niebezpieczeństwa używamy mniejszego hełmu - łebek, tak go nazywamy. Można powiedzieć, że to taki rodzaj metalowej czapki z kolczastą narzutą, która ma chronić kark. Nosimy go głównie dlatego, że jest o wiele lżejszy, a mimo to dość dobrze chroni. Prawdziwy hełm, trzy albo cztery razy cięższy, ubieramy przed pojedynkiem, wtedy i tylko wtedy. I mówisz, że ten rycerz

miał na głowie hełm już wówczas, kiedy go zobaczyłeś po raz pierwszy?

- Tak, sar. Niech skonam, jak tak nie było.

- Żebyśmy nie zobaczyli jego twarzy? Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód. Kto to może być? I dlaczego ukrywa twarz?

- To jeszcze jedna dziwna rzecz w nim, co sar? Oprócz tego, że jest samiuteńki.

- Nie jest sam. Spójrz dalej w dół. Właśnie się pokazał. Czy on nie prowadzi jeszcze jednego konia?

Przez chwilę Uns przyglądał się uważnie.

- Włócznie ma, sar. Jak nic ma. Czy to nie jeden z tych tam giermków? Jak ten twój Valt? Może z tyłu lezie ich więcej.

- Ciekawe - mruknął rycerz herbu Lamparty i zaczął schodzić w dół, trochę szybciej niż powinien.

- Wiedz - zawołał jego herold - że przełączy tej pilnuje dwóch mężnych rycerzy. Jest to mój pan, sir Leort z Sandhill i sir Able Wielkie Serce. - Ustawił się na środku Traktu Wojennego z trąbką skierowaną tak, by pokazać siedem lampartów widniejących na proporcu, i nawet jeśli rycerz herbu Złociste Słońce dosiadający ogromnego płowego konia wywarł na nim wrażenie, to herold nie dał tego po sobie poznać.

Obcy rycerz pochylił się w bojowym siodle.

- Czy w takim razie mam wybrać przeciwnika? - Jego głos wydobywający się z wnętrza złocistego hełmu zabrzmiał głucho, jakby płynął z grobowca.

- Masz takie prawo, sir...?

- Wybieram sir Able'a - oświadczył rycerz herbu Słońce i obrócił konia, by zająć pozycję.

Dosiadłem Chmury, zanim rycerz dojechał do miejsca, z którego miał rozpocząć szarżę. Rycerz herbu Lamparty chwycił uzdę mojego konia.

- Wiesz, kim on jest?

- Nie. A ty?

Rycerz pokręcił głową.

- Może należałoby odmówić walki, póki się nie przedstawi.

- A jeśli on odmówi i pojedzie dalej?

- Wtedy go wyzwiemy.

- I zdobędziemy wiele zaszczytów. - Pokręciłem głową przecząco i zwróciłem się do herolda: - Czeka na twój sygnał. Tak jak i ja.

Rozległy się srebrzyste dźwięki trąbki. Umieściłem w podpórce moją

nową kopię i przygotowałem tarczę, które to czynności wykonywałem w Skai po tysiackroć. Przez chwilę - przez krótką chwilę, zanim grot kopii przeciwnika uderzył w moją tarczę - zastanawiałem się, czy Valfather obserwuje nasz pojedynek. Zapewne dowie się o nim, nim upłynie godzina.

Moja kopia trafiła w złociste słońce, a uderzenie było niczym wybuch. Chmura zachwiała się od siły uderzenia, a rycerz, w którego tarczę trafiłem, runął wraz z koniem.

Zawróciłem Chmurę i zdjąłem hełm.

Herold stał pochylony nad rycerzem herbu Słońce.

- Poddajesz się, panie rycerzu?

- Nie. - Rycerz wyciągnął nogę spod rumaka. - Domagam się prawa rycerskiego. Pozwól mi wstać i ponownie się uzbroić.

- Otrzymasz swoje prawo - rzekł herold. Przewrócony rumak podniósł się i odszedł na bok, kulejąc.

Jego właściciel poprawił swój hełm, po czym dźwignął się na nogi - a był wielkim mężczyzną - i zaczął się rozglądać za kopią, którą upuścił. Herold skinął na Helę, przy której leżała upuszczona kopia. Podniosła kopię niczym piórko i podała obcemu rycerzowi.

Ten skłonił głowę i powiedział:

- Dziękuję ci, piękna pani. Wyświadczyłaś mi uprzejmość.

Heła zarumieniła się, lecz nic nie odpowiedziała.

Rycerz przywołał gwizdnięciem swojego rumaka, po czym dosiadł go, pomagając sobie kopią.

Wróciłem na miejsce, z którego wcześniej rozpocząłem atak.

- Sam kiedyś pojechałem w bitwę na kulawym koniu - zawołałem - lecz nie miałem wtedy innego.

- Tak jak ja teraz - odpowiedział rycerz herbu Słońce.

- Twój giermek wkrótce tu dojedzie. - Pokazałem kopią. - Zdaje się, że prowadzi drugiego rumaka.

- Rzeczywiście ma drugiego wierzchowca dla mnie. - Głos płynący z wnętrza hełmu zabrzmiał zupełnie płasko. - Nie mam wyboru. Muszę pojechać na tym.

- Wyzwałś sir Able'a - powiedział rycerz herbu Lamparty, który do nas dołączył. - jeśli się nie poddasz, będziesz musiał mnie wyzwać.

- Wyzwałem sir Able'a - odparł rycerz herbu Słońce. - Jeśli on się podda, wtedy wyzwę ciebie, jeśli chcesz.

Herold chwycił uzdę konia rycerza herbu Lamparty i odprowadził go na bok. Rycerz wzruszył ramionami i kiwnął głową.

Obserwowałem herolda, przygotowując kopię i tarczę. Pomyślałem, że płowy rumak będzie teraz wolniejszy, a więc i jego jeździec też może być wolniejszy. Zginie, jeśli trafię go w pierś.

Dźwięki trąbki odbiły się od skał, a Chmura pomknęła jak strzała.

Nasze spotkanie przypominało uderzenie pioruna w wieżę. Złocista kopia roztrzaskała się o moją tarczę. Koniec mojej kopii przeszedł ponad prawym ramieniem rycerza herbu Słońce, a jej drzewce wyrzuciło go z siodła.

Wstał z pomocą Heli; był niemal tak wysoki jak ona.

- Poddajesz się? - zapytał oficjalnie herold.

- Nie ja. - Po raz kolejny zagwizdał na swojego rumaka.

Herold zerknął na mnie. Skinąłem głową w odpowiedzi i dałem mu znak, wtedy on rzekł:

- Masz swoje prawo. Sir Able zaczeka, aż twój giermek przybędzie tu z nowym koniem i inną kopią.

- Dziękuję sir Able'owi - odparł rycerz herbu Słońce. - Jest prawdziwym i szlachetnym rycerzem, którego odwaga i rycerstwo nie podlegają dyskusji. Mój giermek nie przybędzie. Skrzyżuję miecz z kopią sir Able'a.

Herold spojrzał na mnie ponownie, a ja dałem mu znak. Kilka chwil później herold siedział już w siodle i galopował na południe Traktem Wojennym.

- Zabroniłem giermkowi podjeżdżać bliżej - powiedział rycerz.

- Ale przybędzie tu - powiedziałem - ze zdrowym koniem i kopią.

Dołączył do mnie rycerz herbu Lamparty, a tuż za nim stanęli Valt i Uns.

- Rozumiesz to - wyszeptał rycerz herbu Lamparty. - Ja też bym zrozumiał.

- Gdybym rozumiał, mógłbym ci powiedzieć. Rozumiem tylko trochę więcej niż ty.

- Jego giermek przybędzie tu na twoje wezwanie?

Skinąłem głową.

- Czy nie byłoby rozsądniej, aby mój giermek przyprowadził konia z kopią?

- Przyjedzie tu - uspokoilem go.

Uns i Valt spojrzeli po sobie, lecz żaden z nich nic nie powiedział.

Rycerz herbu Lamparty chciał wiedzieć więcej.

- Znasz tego rycerza. Tak wynika z jego słów.

- Owszem, choć nie miał aż tyle złota, kiedy go widziałem ostatnim razem.

Po chwili milczenia rycerz powiedział:

- Czy on się boi, żebyś go zabił, gdybyś go rozpoznał?

Potrząsnąłem głową i przestałem odpowiadać na pytania.

Podekscytowany Uns wdrapał się na skałę i wypatrywał, usiłując się wyprostować w miarę możliwości.

- Jada, sar! Un i tamtyn, i inni. Ha, ale widok!

Gerda pociągnęła za połę mojej oponczy.

- Nie gniewasz się na moją Helę za to, co zrobiła, sir? Nie chciała nikogo urazić.

Uśmiechnąłem się.

- Wielki z niego mężczyzna, co?

Nie wiem, czy to mój uśmiech, czy moje słowa ją uspokoiły, bo odpowiedziała mi uśmiechem.

Rzeczywiście było na co popatrzeć, tak jak mówił Uns. Na przedzie jechało dwóch heroldów, każdy ze srebrną trąbką, ten po lewej w niebieskim płaszczu z jaśniejącym słońcem, ten z prawej z lampartami z Sandhill. Za nim podążał giermek rycerza herbu Słońce, młodzieniec o bystrym spojrzeniu i powiewających włosach, ubrany w kaftan z czarnej skóry nabijany złotymi ćwiekami, który wiozł dwie kopie z błękitnymi proporcami ozdobionymi złocistym słońcem.

Za nim jechał gęsiego tuzin zbrojnych, mężów o surowym obliczu, ubranych w skórzane kubraki pod zbroję i lekkie hełmy, niektórzy uzbrojeni w łuk i miecz, inni w kopie, tarczę i miecz. Dalej jechali służący w liberii, a na samym końcu szli poganiacze ze zwierzętami jucznymi.

Patrzyłem, jak rycerz herbu Złociste Słońce rozmawia ze swoim giermkim, bierze od niego kopię, zsiada z konia i dosiada, wypoczętego wierzchowca, którego przyprowadził giermek. A potem zdjął hełm (na co liczyłem).

- Znasz mnie - przemówił na tyle głośno, że go usłyszałem, mimo iż dzieliła nas odległość połowy strzału z łuku.

- Witaj, sir Woddetcie! - zawołałem, a kiedy nic nie odpowiedział, dodałem: - Miło cię znowu widzieć, a także giermka Yonda. Miło też, że fatygowałeś się taki kawał drogi, żeby mnie wypróbować.

- Nie przybyłem tu, żeby cię wypróbować - odpowiedział wreszcie Woddet - lecz by cię zwyciężyć.

Ponownie włożył hełm.

Nasze wierzchowce natarły na siebie z taką siłą, że aż zatrzęsała się ziemia; oba się przewróciły. Woddet, który został wyrzucony z siodła, pierwszy stanął na nogi z mieczem w ręku.

- Poddaj się! - krzyknął. Stanął nade mną z uniesionym mieczem.

- Teraz ja proszę o rycerskie prawo - powiedziałem. - Zostałem zrzucony z konia. Proszę o prawo powstania i sięgnięcia po broń.

- Odmawiam! Poddaj się albo zginiesz!

W tej samej chwili Chmura zerwała się na nogi i trzepnęła go przednim kopytem, tak że runął na ziemię.

Wstałem i wyciągnąłem do niego rękę.

- Wiem, że teraz poprosisz o prawo rycerskie, a ja ci go udzielę. Hela, podaj mu miecz z łaski swojej.

Woddet przyjął moją dłoń.

- Na mój honor, nie pragnę cię zabić, ale musisz się poddać - oddać kopytę, konia i miecz.

Hela przyklękła na kolano. W tej pozycji jej głowa znalazła się poniżej głowy Woddeta. Podsunęła mu miecz. Woddet chwycił za rękojęść.

- Błagam cię - wyszeptał. - Obaj z Yondem uratowaliśmy cię, kiedy twoje życie było zagrożone, i byłem twoim przyjacielem, kiedy nie miałeś innych. Poddaj się teraz.

- Nie mogę - odparłem. - Przysięgałem bronić tej przełęczy do czasu, gdy wody zatoki Forcetti skuje lód. I tak będzie.

- Sir Able...

Potrząsnąłem głową i wycofałem się.

- Posłuchaj mnie - głos płynący z wnętrza złocistego hełmu wyrażał desperację. - Odmówienie ci prawa będzie dla mnie trudniejsze niż wszystko, co dotąd zrobiłem. Dlatego proszę, zabij mnie, jeśli znowu mnie pokonasz.

- Nawet ci, którzy oglądają oblicze Najwyższego Boga, nie spełniają wszystkich modlitw - odpowiedziałem mu.

Wyciągnąłem Eterne i od razu pojawiło się przy mnie ośmiu upiornych rycerzy, czterech z prawej strony i czterech z lewej strony; wiatr poniósł grzmot ich kopyt i łopot flag.

Woddet zdjął hełm i odrzucił go na bok.

- Powiedziałeś Agrowi, że na rycerza pasowała cię królowa Aelfów. Teraz ci wierzę. Czy ci rycerze też będą ze mną walczyć?

- Nie - odpowiedziałem - lecz tak jak sir Leort i jego ludzie, będą się przyglądać, czy walczymy uczciwie.

Zaczął się taniec mieczy i tarcz; pierwsze uderzenie Eterne rozłupało błękitną tarczę, drugie wytrąciło miecz z dłoni Woddeta, a przy trzecim on sam padł na ziemię. Hela stanęła nad nim z uniesioną maczugą, a z jej oczu biła śmierć. Wytarłem Eterne w szmatę, którą Uns przyniósł, zanim wyjąłem miecz.

\* \* \*

- Nie umrze - powiedział rycerz herbu Lamparty, gdy księżyc stał wysoko, a my siedzieliśmy przy ognisku.

- Nie wiadomo - powiedziałem, a Gylf, który znał mnie lepiej niż ja sam siebie, jęknął i położył mi łeb na kolanach.

- Paskudne cięcie - mówił dalej rycerz herbu Lamparty - do tego stracił dużo krwi. Ale gdyby miał od tego umrzeć, to już by wyzionął ducha. Wtedy ta olbrzymka zabiłaby nas obu albo przynajmniej by spróbowwała.

Uśmiechnąłem się.

Rycerz spojrział na mnie zdziwiony i zapytał:

- Walczyłbyś z nią wtedy? Bo co to za honor walczyć z kobietą, nawet tak dużą jak ona?

- Jej matka była naszą kobietą - powiedziałem.

- Ta staruszka? Tak, wiem,

- Nikt nie kocha Angronitów. Nie mają ducha.

Rycerz wzruszył ramionami.

- A my? Tak, my mamy. Widziałem je.

- Kiedy obnażyłem Eterne?

- Kiedy ja wyciągnąłem miecz. Staram się o tym nie myśleć.

Potem jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, nasłuchując wiatru świszczącego pośród skał. Wreszcie odezwałem się:

- Może nie uda mi się uleczyć sir Woddeta, ale mogę przebłagać tych, którzy wciąż mieszkają w Skai, by to uczynili. Pomóżecie mi zbudować ołtarz?

Pracowaliśmy długo w noc, układając kamienie. Uns, Hela, dwóch służących rycerza herbu Lamparty, Yond i kilku zbrojnych Woddeta, wszyscy mi pomagali. Heimir, obudzony przez siostrę, poszedł w góry i nałamał karłowatych sosen, które przyniósł na ogień.

Potem wielbiliśmy pieśnią Valfathera i zaśpiewaliśmy inną pieśń Pani (której imię wolno wyśpiewywać, lecz nie wolno wymawiać). Gdy skończyliśmy, podciąłem gardło kulawemu rumakowi sir Woddeta, odrąbałem jego łeb i poćwiartowałem tułów, ścigany współczującymi spojrzzeniami rycerzy cieni. Złożyliśmy ofiarę w ogniu.

Gdy już było po wszystkim, inni poszli spać, lecz ja siedziałem przy Woddecie, by sprawdzić, czy został uleczony, i usłyszałem rżenie umierającej osoby, szloch Heli i zawrozcenie wiatru.

A potem zasnąłem, pierwszy raz od powrotu ze Skai, i we śnie wydawało mi się, że jestem w Skai i uśmiecha się do mnie Pani.

I że dosiadam rumaka Alvit i pnę się po zboczu chmury wysokiej jak góra; poczułem na ustach dotyk ust Alvit i dowiedziałem się, że śmierć ma smak słodko-gorzki.

I że znalazłem się na grzbiecie gryfa i zeskakiwałem z niego. Palce mi się ześliznęły i spadłem do morza.

Płynął ze mną Garsecg, a we wnętrzu jego ust był Setr. Wiedziałem, że zbliża się bitwa i że Setr też o tym wie; lecz nie był to czas na rozmyślanie o bitwach; rozkoszowaliśmy się falami, huśtaniem prądów i mocą morza.

Byłem chłopcem i w ogromnym ogrodzie szukałem dziewczynki, która się schowała; szukałem pośród drzew, w grotach, za krzakami i w wodach niezliczonych fontann. Wreszcie odwróciłem się i ujrzałem ją za sobą: była mała, zielona i słodka, a w jej oczach wesoło migotał ogień.

Obudziłem się, gdy mnie pocałowała, i ujrzałem siedzącego obok mnie Woddeta.

- Wyzdrowiałeś - powiedziałem.

- Nie jestem tym, kim byłem przedtem. - Woddet uśmiechnął się. - Ale będę nim za jakiś miesiąc.

Usiadłem (gdyż zobaczyłem, że słońce stoi już wysoko) i przetarłem oczy, wyjaśniając, że spałem długo i miałem wiele snów. Kiedy to mówiłem, usłyszałem krzyk i zaraz przybiegł Uns, a za nim Yond, Valt, Heimir, Hela, rycerz herbu Lamparty i wielu innych, a na samym końcu Gerda, na której ramieniu opierał się Bertold. Wszyscy mówili jednocześnie.



- O co chodzi? - zapytałem. - Cóż to za nowiny? Dlaczego mnie nie obudziliście?

- Nie pozwoliłbym - mruknął groźnie Bertold.

- Powiedziałaś, żeby ci dali spać - zawtórowała mu Gerda.

- Twój przyjaciel też tak mówił - kontynuował Bertold - ten drugi rycerz.

- Sir Leort?

- Nie, ja - wtrącił Woddet, a Uns dodał:

- Sar Woddet.

- Spałeś trzy dni - wyjaśniła Gerda.

Spojrzałem na nią z niedowierzaniem.

Kiedy znowu wszyscy zaczęli mówić, wysunąłem się z ich kręgu, poszedłem do strumienia i wykąpałem się w lodowatej wodzie.

Kiedy wyszedłem, drżący i zsiniały z zimna, zobaczyłem, że na brzegu czeka na mnie Gylf.

- Bałem się o ciebie - powiedział i pocałował moją rękę, tak jak to robią psy, i to było najprzyjemniejsze.

\* \* \*

- Zawiodłem - powiedział Woddet. Zostawiliśmy z tyłu pozostałych, mówiąc że udajemy się na polowanie. - Przegrałeś kiedyś?

- Przybyłeś tu, żeby mnie zabić?

- Nie! Żeby cię pokonać i sprowadzić z powrotem do Sheerwall, lecz ty nie chciałeś się poddać.

- Pamiętam.

Wąskie przejście między skałami jeszcze bardziej się zwężyło, aż wreszcie musieliśmy się zatrzymać. Zawróciliśmy konie i ruszyliśmy z powrotem.

- Pamiętam, jak stałeś nade mną z mieczem w ręku - powiedziałem.

- Powinienem był zadać cios. - Woddet odwrócił głowę na bok i splunął.

- Wolałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

- Ja też!

Uśmiechnąłem się.

- Przebyłeś długą drogę z Sheerwall.

- Jeszcze dłużej jest przez Góry Słońca - powiedział Woddet. - Pojechałem

tamtędy i walczyłem z Osterlingami.

- I zdobyłeś dużo złota.

Woddet skinął głową.

- Masz rację. Napadliśmy na Khazneha. Chcesz posłuchać?

- Jeśli zechcesz opowiedzieć.

Woddet położył wodze na karku swojego konia i spojrzął na skały nad nami i na stalowe niebo.

- To było jakiś dzień lub dwa po twoim wyjeździe. Król poprosił księcia Mardera o pięciu rycerzy i pięćdziesięciu zbrojnych do pomocy w walkach z Osterlingami; chciał ich wynająć na dwa lata albo do momentu zwycięstwa. Wszyscy się rwali, żeby jechać. Wiesz, jak to jest.

- Wyobrażam sobie.

- Tak więc Jego Miłość zebrał nas i powiedział, że wie, iż wszyscy chcemy jechać, lecz każdy z rycerzy, który pojedzie, będzie chciał mieć ze sobą czterech innych, na których może polegać. Powiedział, że udaje się do Słonecznej Komnaty. Znasz Słoneczną Komnatę?

Sięgnąłem w zakamarki pamięci.

- Powinienem.

- Wpadają do niej promienie słońca ze wschodu i wisi tam gobelin ze słońcem. My mieliśmy zostać na miejscu i naradzić się. Każdy miał wybrać jednego towarzysza, którego chciałby mieć przy sobie, a potem wejść do Słonecznej Komnaty i poinformować księcia. Tylko nie wolno było mówić innym, kogo się wybrało.

- W takim razie nie będę cię o to pytał - powiedziałem.

- W każdym razie dokonałem wyboru. - Woddet chrząknął. - Wchodziłem jako jeden z ostatnich, dziewiąty albo dziesiąty. Jego Miłość siedział przy stole, a przed nim leżał pergamin. Kiedy już stanąłem przed nim, oświadczył mi, że nie musi dokładać mojego losu do pozostałych i pokazał mi dokument. Pod moim imieniem widniały cztery znaki - powiedział Woddet wyraźnie zawstydzony. - Nikt inny nie miał więcej niż dwa, a niektórzy w ogóle nie zostali wybrani.

- Szkoda, że mnie tam nie było, bo sam bym cię wybrał. Masz powody do dumy.

- W każdym razie podałem imię rycerza, którego wybrałem, a książę Marder dodał mu ziarno i było nas już dwóch. Potem książę dobrał tych, którzy otrzymali najwięcej głosów. Król prosił o pięćdziesięciu zbrojnych,

lecz my przyprowadziliśmy siedemdziesięciu, razem z łucznikami Kiedy przybyliśmy do Thortower, król już wyruszył, lecz pospieszyliśmy za nim i dogoniliśmy na czas, by wziąć udział w bitwie Pięciu Losów. Pokonaliśmy ich tam.

Błysk w oku Woddeta powiedział mi więcej niż najbardziej szczegółowa opowieść.

- Ich jeźdźcy kęśali niczym osy, lecz nasze długie łuki kładły trupem dwudziestu, za każdym razem kiedy atakowali. Ich małe łuki, którymi strzelają z koni, nie mają takiego zasięgu jak nasze. Zapędziliśmy Złocistego Caana i jego słonie między dwa kanały i zaatakowaliśmy. Wystawił słonie od przodu i zabił w ten sposób jakichś dwudziestu naszych, którzy stracili tyle samo kopii, zanim padli. Straciłem miecz i walczyłem dalej buzdyganem, zanim ponownie dosiadłem konia...

- Ci, których zabiłeś, zabiliby ciebie - powiedziałem.

- Wiem.

Potem jechaliśmy jakiś czas w milczeniu, aż wreszcie zapytałem go:

- Czy rana ci dokucza?

- Tylko kiedy poruszam ramieniem.

- Możesz trzymać miecz w lewej ręce?

Woddet uśmiechnął się smutno.

- Nie przeciwko tobie. A dlaczego pytasz?

- A przeciwko komuś takiemu jak Heimir? Dla Angronitów są to Góry Myszy i jest tu wielu równie ogromnych jak on. Właśnie widziałem jednego.

- Wyjąłem łuk z futerału i przygotowałem strzałę.

- Mówiłem ci, że walczyłem buzdyganem - rzekł Woddet.

- Tak.

- Ćwiczyłem walkę od czasów chłopięcych. Na słupie z miękkiego drewna. Wprawiałem się w walce mieczem, buzdyganem, toporem i młotem bojowym. Jak wszyscy zapewne.

- Niełatwo jest chłopcu stać się mężczyzną.

- Myślałem, że stanie się to o wiele wcześniej.

Nic nie odpowiedziałem, przeczesując wzrokiem szczyty klifów.

- To była żmudna szkoła. Cięcie po cieciu. Głowa, barki i znowu głowa. I dwukrotnie w ramię trzymające miecz. Miałem buzdygan nabity ćwiekami - niezbyt długimi, długości twojego kciuka. Już go nie mam. - Zatrzymał konia.

- Nie zostawię cię tutaj.

- Możesz, jeśli chcesz - odparł Woddet. - Dam sobie radę.

Nie spuszczałem wzroku z klifów, zachowując milczenie, wtedy on powiedział:

- Wtedy człowiek rozumie, co znaczy ćwiczenie. Wtedy też dorasta i już nie może zawrócić.

Wydało mi się, że słyszę śmiech Disiri płynący echem pośród skał.

## ROZDZIAŁ 12

### PRÓBA SIŁ

- Tutaj, mistrzu Crolu? - zapytał Toug.

Crol skinął głową.

- Razem z Jego Lordowską Mością, lady Idnn i sir Garvaonem. Nie wiem, o czym rozmawiają, ale nie ma powodu, żebyś nie zapukał. Jeśli nie będą chcieli usłyszeć twoich nowin, to ci o tym powiedzą.

- A ja chce zobaczyć Able'a - rzekł Pouk. Wydawało się, że mówi do niewidzialnej istoty na ramieniu Crola.

- Wszyscy chcemy zobaczyć sir Able'a - powiedział Crol, kiedy Toug zapukał do drzwi. Szkoda, że nie ma go z nami.

Svon otworzył drzwi.

- Tu jesteś! Wszyscy cię szukają. Gdzie jest ten kot?

- Gdzie jest Mani? - zapytała Idnn z za jego pieców.

- Król go ma. - Toug wszedł do środka i dodał: - Tędy, Pouk.

- Dobra, kolego.

Beel siedział u szczytu stołu na krześle o wiele za dużym dla niego.

- Miło cię widzieć, giermku. Czy jest z tobą jeden z niewolników króla?

- Pouk jestem, sir - przedstawił się Pouk i dotknął dłonią czapki, spoglądając nieco na lewo od Beela. - Jestem niewolnikiem, teraz. Tylko że przedtem byłem człowiekiem sir Able'a i znowu chciałbym nim być, a ten tu młodzian mówi, że to się da zrobić dla mnie i dla Ulfy.

- Jest ślepy, Wasza Lordowska Mość - wyjaśnił Toug. - Ci tutaj oślepiają swoich niewolników, tylko mężczyzn - dodał, zamknąwszy za sobą drzwi. Patrzył, jak Svon wdrapuje się zwinnie na jedno z ogromnych krzeseł, po czym pochyła się, by pomóc Idnn usiąść na innym.

- Meble Angronitów, rozumiecie - rzucił z przekąsem Beel. - Chcą pewnie, żebyśmy się poczuli bardzo mali. Lecz my im pokażemy, że jesteśmy tak ogromni jak oni - duchem.

Kiedy Idnn zajęła swoje miejsce, Svon stanął na poręczu krzesła i

przeszedł po niej na sąsiednie krzesło.

- Nie mają tu chyba małych mebli, Wasza Lordowska Mość - zauważył Toug. - To znaczy, stołów, krzeseł i tym podobnych rzeczy dla nas. Ja i Mani też dostaliśmy pokój z takimi meblami. Powiem królowi, że powinni sprawić sobie mniejsze, dla nas. Może każe je zrobić. Lubi Maniego.

- Jest bezpieczny? - zapytała Idnn.

- Król mu chyba nie zrobi krzywdy, a inni będą się bali go tknąć, tak długo jak długo cieszy się względami króla.

Siedzenie krzesła znajdowało się na wysokości podbródka Touga, lecz on podskoczył i podciągnął się z łatwością. Pouk wspiął się ze zwinnością małpy.

- Wieczorem zostaniemy przedstawieni na dworze. Niewiele nam zostało z wykwintnych strojów, musimy więc ubrać to, co mamy. Cieszę się, widząc cię lepiej ubranym, niż gdy widziałem cię poprzednim razem.

Toug wyjaśnił, dlaczego jest tak ubrany.

- Thiazi to najważniejszy minister króla?

- Tak myślę, Wasza Lordowska Mość. Tak mówił.

Beel westchnął i zwrócił się do Idnn:

- Sama widzisz, jak to wygląda. Musimy wyciągać tego typu informacje od giermka sir Svona.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Nim minie tydzień, ojczu, będziesz wiedział o wiele więcej.

- Oby tak było.

- Obaj z Wistanem macie być umyć i ubrani w swoje najlepsze ubrania.

- Dobrze, sir Garvaonie - odparł Toug.

- Twój pan i ja przybędziemy w pełnej zbroi. O tym rozmawialiśmy.

- Wyczyszczę i wypoleruję wszystko - zapewnił Svona Toug.

Pouk zaproponował swoją pomoc.

Garvaon chrząknął i powiedział:

- Wiem, że się dobrze sprawicie, giermkowie, ale od kiedy to rycerze przybywają na dwór w zbroi?

- Na dworze naszego króla nie ma takiego obyczaju, Tougu. Rycerz na dworze nosi normalne ubranie. Najlepsze, oczywiście, na jakie go stać, i nosi też miecz. Ale nie zbroję. Ją zakłada, kiedy jedzie na wojnę albo gdy bierze udział w turnieju - wyjaśniła Idnn.

- Może to wynika z tego, co powiedziałem królowi, pani. - Spojrzał na

rycerzy, - Nie miałem nic złego na myśli.

- Z pewnością nie miałeś - rzekł Svon. - A co powiedziałaś?

- Jakim jesteś dzielnym i zręcznym rycerzem, a także sir Garvaon. Wtedy byliśmy z Ulfą...

- Już drugi raz słyszę to imię - przerwał mu Beel. - Kim ona jest?

- To moja żona, sir - odpowiedział Pouk przepaszającym tonem. - Nic więcej, tylko moja żona i dobra kobieta.

- I moja siostra. Była z Poukiem, kiedy ich schwytano w niewolę i przyprowadzono tutaj. Potem się pobrali.

- Nie powinieneś się wstydić swojej siostry ani szwagra, giermku. Los raz sprzyja ludziom, kiedy indziej nie, i nawet najlepsi znajdują się czasem w ciemnym zaułku - powiedziała Idnn.

- Ja nie!

Uśmiechnęła się.

- Miło mi to słyszeć. Cieszę się też, że rozmawiałeś z królem. Czy Mani był z tobą?

- O, tak, pani! - zapewnił ją Toug, mając na myśli, że i Mani przemawiał do króla.

- Porozmawiamy jeszcze o tym - chcę się dowiedzieć szczegółów. Ale najpierw wyjaśnij mi, dlaczego sprowadziłeś tutaj swojego szwagra.

Pouk dotknął czapki.

- Żeby ci służył pomocą, pani. Ty nie wiesz, co i jak, tak jak inni. Czy to nie twój ojciec tak powiedział?

- Rzeczywiście. - Idnn znowu się uśmiechnęła.

- A ja wiem, pani. A moja żona jeszcze więcej, jak to kobieta, jeśli rozumiesz, pani, co mam na myśli. No bo ona gotuje, usługuje i co tam jeszcze. A ja szoruję podłogi i noszę ciężkie rzeczy, jak jest coś ciężkiego. Oni nie zwracają na nas uwagi; człowiek mógłby zacząć latać, a by nie zauważyli. No to słyszymy to i owo i znamy całe olinowanie, więc możemy was wszędzie zaprowadzić.

- Rozumiem.

Pouk roześmiał się.

- Ona też, pani. I mech tak będzie dalej. Mam nadzieję, że podobnie rzecz się ma z tymi panami tutaj.

- Bez wątpienia będziesz pożytecznym przyjacielem - rzekł Beel. - Co możemy zrobić dla ciebie?

- Wyciągnąć nas stąd, nic więcej. Mnie i Ulfę. - Pouk ściszył głos. - Chłopak mówi, że spróbuje, a obaj mamy nadzieję, że i ty spróbujesz, sir. Może król będzie w nastroju, żeby ci wyświadczyć przysługę? Mógłbyś wtedy poprosić, żeby ci nas podarował, bo potrzebujesz kogoś do pomocy. W drodze powrotnej, z nami na pokładzie.

- Z pewnością to rozważę - powiedział powoli Beel.

- Liczę na to, sir.

Svon wyciągnął rękę ze swojego miejsca i dotknął ramienia Pouka.

- Co mój giermek powiedział królowi? Byłeś z mm wtedy?

- Nie, sir. Wtedy nie.

- Tylko ja i Mani - skłamał Toug - no i król, i Thiazi. Król chce, żeby sir Able walczył dla niego. Ale ja wiem, że sir Able ma tę swoją przyjaciółkę - też moją przyjaciółkę - która by chciała, żeby sir Able pojechał gdzie indziej i...

- Dokąd? - zapytał Beel.

- Tego nie mogę powiedzieć, Wasza Lordowska Mość - wydusił. - Przykro mi, ale nie mogę.

Beel uniósł brew.

- Przysięgałeś dochować tajemnicy?

Toug zaczął wodzić wzrokiem po ścianach, unikając jego spojrzenia.

- Nie mogę powiedzieć, Wasza Lordowska Mość. A przynajmniej nie teraz. Bo gdybyś - gdybyś mógł się z nią spotkać. Gdybyś mógł, wtedy byłoby inaczej.

Głos Idnn zabrzmiał łagodniej niż kiedykolwiek wcześniej.

- Czy ona tu jest?

- Nie wiem, pani. Naprawdę, nie wiem.

- Może jest teraz w Utgardzie, a może nie? Mam rację?

- Tak właśnie, pani.

- Była tutaj? Widziałaś ją tutaj?

Toug przełknął ślinę.

- Tak, pani.

- Dzisiaj, bo przecież dzisiaj przekroczyłeś mury zamku. Kochasz ją, giermku Toug?

- Och, nie, pani! Lubię ją, bardzo ją lubię i...

- Jesteś jej winien przysługę - wtrącił Beel.

- Nie, wasza lordowska mość. Ale...



- Ona jemu jest winna przysługę - powiedziała cicho Idnn - on zaś jest tak młody jak ja i słodka mu jest jej wdzięczność. Nie będziemy drążyli dalej tej sprawy, jeśli mnie rozumiesz, ojczu.

- Rozumiem - odparł Beel. - jeszcze tylko jedno pytanie. Czy ta przyjaciółka potrafiłaby zwrócić sir Able'a przeciwko królowi Arnthorowi?

- Och, nie, sir! To nie tak.

- A zatem nie będziemy cię więcej dręczyć - oświadczył Beel. Zerknąwszy na Garvaona i Svona, dodał:

- Czy to jasne?

Garvaun odpowiedział skinieniem głowy, Svon zaś odrzekł krótko:

- Tak, Wasza Lordowska Mość.

- Wychwalałeś moich rycerzy, licząc na to, że król Gilling nie odciągnie sir Able'a od twojej przyjaciółki? Czy tak?

Coś się poruszyło w kącie za krzesłem Touga. Bojąc się spojrzeć w tamtą stronę, odpowiedział:

- Tak, Wasza Lordowska Mość.

- Myślę, że dobrze zrobiłeś - rzekł Beel. - Przekonamy się dzisiejszego wieczora.

\* \* \*

- Lord Beel! - Głos Thiaziego przypominał dudnienie kotła. - Jego córka, lady Idnn! - Uderzył mocno w podłogę złotym kosturem. Mistrz Crol zadał w trąbkę, kiedy Beel i lady Idnn weszli ramię w ramię do sali biesiadnej tak ogromnej, że mogłaby pomieścić całą wioskę Glennidam wraz z połową jej kuchennych ogrodów, jęczmiennych pól i łąk.

Na ich widok Angronici usadzeni przy długich stołach z lewej i prawej strony wybuchli zduszonym śmiechem. Gilling zaś, usadowiony na tronie umieszczonym na podwójnym podwyższeniu w przeciwległym końcu sali, przypominał kolosa w słabym świetle ognia.

Beel przemówił do niego śmiało:

- Wasza Królewska Mość, moja córka i ja przybywamy w przyjaznych zamiarach. Przybywamy z wyrazami czegoś więcej niż zwykłej przyjaźni, bo przynosimy przez góry, lasy i równiny przyjaźń naszego króla i pana Arnthora. On to pozdrawia ciebie, swojego towarzysza w sprawowaniu

królewskiej władzy, i życzy ci, byś rządził w pokoju długo i z powodzeniem.

Kiedy Gilling przemówił, wydawało się, że gdzieś w oddali zesza lawina.

- Dziękujemy królowi Arnthorowi i witamy was w Utgardzie.

Melodyjny głos Idnn wypełnił salę niczym śpiew skowronków.

- Nasz król powierzył nam podarunki dla ciebie, Wasza Królewska Mość, dary liczne i bogate. Okazaliśmy się niegodni tej roli. Zostaliśmy obrabowani i udało nam się uratować tylko drobną część naszego cennego ładunku.

Te słowa były sygnałem dla innych. Do sali wkroczyli sir Garvaon i Svon w hełmach i kolczugach z obładowanymi mułami. Za nimi weszli Wistan i Toug, prowadząc dwa inne zwierzęta, a na końcu Crol, Egr i Papounce z piątym, szóstym i siódmym mułem.

Z tronu znowu popłynął grzmiący głos, który wypełnił wyobraźnię Touga widokiem skał skaczących niczym jelenie i drzew roztrzaskanych w drzazgi.

- Podejdźcie bliżej. Czy to są ci nieustraszeni rycerze, o których tyle słyszeliśmy? A kim jest ten maluszek z drzewem na tarczy?

- To nasz najstarszy rycerz, sir Garvaon, Wasza Królewska Mość - odparł Beel.

- A ten drugi, z łabędziem?

- Sir Svon, Wasza Królewska Mość.

Na ogromnym otoczaku kolana Gillinga pojawił się Mani szczerzący zęby.

- A te zwierzaczki, kucyki czy jak, je tam nazywacie, niosą kamienie?

- Wasza Królewska Mość zadziwia mnie swoją przenikliwością - odpowiedziała Idnn. - Wiele z tych przedmiotów rzeczywiście zdobią drogocenne kamienie.

- Naprawdę? - Gilling pochylił się do przodu, a jego spoconą twarz wykrzywił grymas uśmiechu, który sprawił, że Toug polubił go mniej niż kiedykolwiek przedtem. - Diamenty? Perły? Takie kamienie?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

Idnn odpowiedziała mu uśmiechem, a Svon i Garvaon, jak zobaczył Toug, znieruchomieli niczym psy, które zwietrzyły przepiórkę.

- Nie tylko diamenty i perły, Wasza Królewska Mość, lecz także rubiny, kamienie księżycowe, opale drzewne, krwawniki, szafiry, opale ogniste, szmaragdy, nefryty, gagaty i cymofany zwane kocim okiem.

Gilling uśmiechnął się szerzej.

- Dwa kocie oczka już nam podarowałaś, piękna pani. Po prawdzie

podoba nam się prawie tak samo jak ty jemu. Choć teraz musimy powiedzieć, że jego opis twojej osoby nie był wyczerpujący. Czy jesteś równie prawdopodobna jak piękna?

Idnn dygnęła w dowód uznania za ten komplement.

- My, kobiety, nie słyniemy z tej cechy, ale bardzo się staram.

- Jeśli wolno mi coś powiedzieć na temat charakteru mojej córki - wtrącił Beel - to jej uczciwość dorównuje uczciwości jej patronki, a jej mądrość jest równa mądrości Pani. Wybacz ojcu jego stronnictwo.

Thiazi uderzył złotą laską o podłogę.

- Ani ta fałszywa suka, ani ta wiedźma jej siostra nie mają poważania wśród synów Angr. Pamiętaj, gdzie jesteś, Południowcu!

Beel pobladł.

- Zapomniałem, Wasza Królewska Mość. Ubij mnie.

Gilling zachichotał.

- Myślisz, że potrzebujemy twojego pozwolenia, żeby to zrobić, człowieczku?

Angronici wybuchli śmiechem, Toug zaś (który chciałby móc powiedzieć, że jest dość odważny, by tego nie robić) zadrzał.

- Przejdźmy na bardziej bezpieczne tematy - ryknął Gilling, gdy śmiech trochę ucichł. - I oddajmy głos bezpieczniejszemu mówcy. Bezpiecznemu przed naszą królewską mością. Lady Idnn, czy jesteś gotowa potwierdzić swoją prawdopodobność, którą tak chwali twój ojciec?

- Cieszę się, że Wasza Królewska Mość nie prosi o mądrość, bo mam jej tyle co w naparstku. - Idnn nie przestawała się uśmiechać. - Za to uczciwości mam pod dostatkiem, pełen puchar, aż się przelewa. Proszę kosztować według upodobania, Wasza Królewska Mość.

Gilling paluchem szerokim jak cała dłoń Idnn pogłaskał gładki, czarny łeb Maniego.

- Najpierw sprawdzimy twą prawdopodobność. Diamenty i perły. Nefryty. Zobaczymy, co przywozisz.

Idnn podeszła do muła Svona, rycerz zaś pomógł jej szybko otworzyć juki.

- Pierścień, Wasza Wysokość. - Idnn podniosła klejnot do góry. Zdobił go lśniący kamień wielkości wiśni, a cały pierścień mógłby być dla niej prawie bransoletką. - Upleciony z drutu wyciągniętego z bladego wschodniego srebra, z twoim imieniem wyrytym w naszym morskim złocie, pierścień tak

sprytnie wykuty, że rozszerzy się albo skurczy, aby się dopasować do palca, na którym zechcesz go nosić.

- Ładny. A co to za różowy kamień?

- Rodolit, Wasza Królewska Mość. Inaczej różany kamień - jak wielu go nazywa. Żadna kobieta nie oprze się dłużej mężczyźnie, który go nosi.

Mówiąc to, Idnn zbliżyła się do podwyższenia. Teraz Gilling podsunął rękę, ona zaś wsunęła mu pierścień na palec.

- Jesteś kobietą, lady Idnn, Powiedz nam, czy to prawda?

- Co do tego nie mam pewności, Wasza Królewska Mość.

Kilku Angronitów zaśmiało się głośno.

- Bo aż do dzisiaj nie spotkałam mężczyzny, który by nosił taki pierścień.

Gilling podniósł dłoń, by się lepiej przyjrzeć podarunkowi.

- Jest ciemniejszy niż myśleliśmy.

- Odzwierciedla moc tego, który go nosi, Wasza Królewska Mość. Staje się czerwony, jeśli nosi go mąż o gorącej krwi i wielkiej mocy albo szary lub biały jeśli jest to osoba chłodna z natury.

Gilling znowu zachichotał.

- Powinniśmy dać go ponosić Thiazemu - to byłby dobry test.

Pozostali Angronici ryknęli śmiechem.

Idnn kontynuowała prezentację podarunków, w czym pomagał jej ojciec i rycerze; wydobyli ogromny plater cynowy, z połączonym brzegiem, a także złotą misę i absurdalnie dużą srebrną łyżkę z rączką wysadzaną drogimi kamieniami.

- Wystarczy! - Gilling uniósł dłoń z pierścieniem. - Dziękuję królowi Arnthorowi, który jest równie hojny dla mnie, jak jego kraj był zawsze hojny dla mojego ludu.

Od śmiechu Angronitów aż zadrzały krokwie.

- Kiedy indziej obejrzymy resztę tych wspaniałości, kiedy ja z kolei będę obdarowywał tych, którzy są godni obdarowania. Będzie jeszcze weselej. O waszych rycerzach mówi się, że są mistrzami w sztuce wojennej. Bardzo nas to zdziwiło, bo sądziliśmy, że najlepsi wojownicy są wśród dzielnych synów Angr.

Dzielni synowie Angr wydali radosny okrzyk i zaczęli walić pięściami w stoły z taką mocą, że Toug przestraszył się, iż je połamią.

- Tak więc dzisiejszego wieczora odbędzie się pojedynek. Wasz król często takie organizuje, jak słyszeliśmy, wystawiając jednego ze swoich

rycerzy przeciwko innemu. Czy nie tak?

- Zaiste, Wasza Królewska Mość - odpowiedziała dzielnie Idnn. - Nasi rycerze współzawodniczą w turniejach i pojedynkach na kopie.

Gilling uśmiechnął się łagodnie, głaszcząc Maniego po głowie.

- Ty sama byłaś świadkiem takich pojedynków, lady Idnn? I twój ojciec?

- Oboje je oglądaliśmy, Wasza Królewska Mość - odpowiedział Beel. - I wiele ci o nich możemy opowiedzieć.

- Ale tego nie zrobicie. - Gilling znowu się uśmiechnął. - My wam opowiemy, bo my tu jesteśmy królem. Pierwotnie zamierzaliśmy kazać waszym rycerzom walczyć z dwoma z naszych najlepszych wojów. Z Schildstarrem...

Ogromny olbrzym zerwał się na nogi tak gwałtownie, że wywrócił swój ogromny stółek, który runął na ziemię i potoczył po podłodze.

- Schildstarr jest gotowy!

- I z Glumnirem...

Drugi z Angronitów zerwał się gwałtownie z miejsca.

- Ale doszedłem do wniosku, że nie byłoby to sprawiedliwe. Zgodzisz się ze mną, jak sądzę, lady Idnn?

- Oczywiście, Wasza Królewska Mość. - Po raz pierwszy głos Idnn zadrżał nieco.

- I ja tak myślę. Gdyby król Arnthor przysłał do nas swoich dwóch najlepszych, wtedy mogliby się zmierzyć z Schildstarrem i Glumnirem i nikt nie mógłby nam zarzucić, że to niesprawiedliwe. Mam rację kotku?

Gilling spojrział na Maniego, lecz ten w ogóle nie dał poznać po sobie, że go słyszy.

- Ale jest inaczej. Gościmy tu rycerzy wybranych przez los, a nie przez króla Arnthora. Wystawimy ich przeciwko naszym, których także wybierze los. Twoja znajomość synów Angr jest pewnie marna, lady Idnn.

- Rzeczywiście, Wasza Królewska Mość.

- Tak też myśleliśmy. - Gilling wstał, postępując z wysiłku, i posadził sobie Maniego na barku, na którym zmieściłaby się pantera. - Nasz czarodziejski kotek, za którego jeszcze raz dziękujemy, lubi jeździć na naszym ramieniu. Sama widzisz. Pewnie u ciebie też tak jeździł.

Idnn wydała z siebie cichy, zduszony odgłos.

- Zaiste, Wasza Królewska Mość. Jest tak, jak mówisz.

- Tak też myśleliśmy. A czy ty kiedykolwiek jechałaś w taki sposób na

ramieniu syna Angr? To całkiem wygodne miejsce.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Wolałabym... nie.

Spojrzenie Beela, jakim ją zmierzył, wyrażało niemal wściekłość.

- Nonsens. Spodoba ci się. - Gilling wyszczerzył zęby w uśmiechu. A poza tym będziesz mogła obserwować naszą małą próbę sił równie dobrze jak ja. Lecz najpierw pozwólmy losowi wybrać walczących.

Spojrzał po zebranych Angronitach.

- Będziemy wybierać tylko spośród tu obecnych. Każdy, kto boi się walczyć z tymi tu rycerzami, może teraz wyjść.

Nikt się nie ruszył.

Gilling podszedł do obładowanych mułów. Biedny Toug dzielnie pozostał na swoim miejscu.

- Stworzenie wciąż dźwiga te ciężary. - Gilling zatrzymał się przy ostatnim z mułów, który próbował się odsunąć nerwowo. - Uwolnijmy je od nich.

Grube paluchy przerwały linę i Gilling wsunął dłoń do środka bagażu.

- Co my tu mamy? No, wybornie! Sztylet słusznych rozmiarów ze złotą rękojeścią? Czy się nie mylę, lordzie Beel?

Beel skłonił głowę.

- Wasza Królewska Mość nigdy się nie myli.

- Na gałce jakiś lśniący, purpurowy kamień. - Gilling podniósł sztylet. - I mnóstwo innych ładnych na pochwie. Agaty, a przynajmniej tak nam się wydaje, turmaliny i jeden Vafthrudnir wie, co jeszcze.

- Czerwony jaspis, Wasza Królewska Mość - wtrącił Thiazi.

- Przyjmijmy je - oświadczył Gilling - i wiele innych, bo wszystkie są ładne, a niektóre nawet cenne. - Uniósł rękę i pomachał sztyletem. Ten, który go złapie, będzie walczył z rycerzami z południa.

Rzucił nożem tak wysoko, że sztylet uderzył o sufit i zaczął spadać niczym kometa. Angronici jak jeden zerwali się na nogi i setka ogromnych dłoni wyciągnęła się w jego kierunku. (Przez chwilę Tougowi wydawało się, że wszystkie te ręce należą do jednego potwora, jednej bestii o wielu głowach, ramionach i płomiennych oczach.)

Wydawało się, że Beel i jego ludzie zostaną zgnieceni w tym wściekłym tłoku. Idnn z pewnością by uciekła, lecz Gilling podniósł ją niczym lalkę i posadził sobie na ramieniu.

Wistan złapał Touga za ramię i powiedział:

- Lepiej osiodłajmy ich konie.

- A tu całkiem ładna brosza, którą można zapiąć każde ubranie, jakie tylko przyjdzie do głowy - powiedział Gilling, w chwili gdy giermkowie wychodzili pospiesznie. - Jest na niej ogromny, rozwścieczony odyniec, cały wyryty w złocie. Ten, kto ją złapie...

Obaj giermkowie odszukali stajnie, zrugali niewidomych niewolników za to, jak potraktowali ich konie, no czym przygotowali rumaka Garvaona i Wschód Księżyca, wierzchowca Svona. Kiedy jednak zaczęli wyprowadzać konie na dziedziniec, powstrzymał ich Thrym.

- Żadnych koni! Walczą pieszo. Taki jest rozkaz króla - rzucił, a zerknąwszy na łuk i kołczan Touga, dodał: - I żadnych łuków.

Wistan chciał dyskutować, lecz Thrym ryknął na niego:

- Odprowadź te króliki albo je zatłukę. I was razem z nimi.

- Jestem starszym giermkim - zwrócił się Wistan do Touga. - Zaprowadź z powrotem konie. Każ ślepym je rozsiodłać i wracaj tu najszybciej jak potrafisz.

Toug wykonał polecenie. Przeciskając się między grubymi nogami Angronitów, wrócił na dziedziniec, który oświetlały nieliczne pochodnie umieszczone w kinkietach, przez co wydawał się bardzo jasny w porównaniu z brudną ciemnością stajni, lecz dość ciemny po jasności ogromnej sali, w której Gilling przyjmował Beela. Nieliczne gwiazdy migocące niespokojnie pośród płynących chmur czochranych wieżami Utgardu rozświetlały dziedziniec jeszcze słabiej niż pochodnie.

Na środku stał Gilling z Idnn na ramieniu, z kolei na jej ramieniu spoczywał Mani.

- ...naszych kresowców. Dobrze ich znaleźliśmy, a oni dobrze nam służyli. Wy też ich znaleźcie, tak jak my, a przynajmniej wielu z was. Teraz leżą martwi, zabici przez tych dwóch i ich przyjaciół.

Rozległy się gniewne pomruki, a Toug poczuł, tak samo jak w sali biesiadnej, że Angronici rzeczywiście są jedną wielką bestią.

- Potrafią walczyć - mówił dalej Gilling. - Niech was nie zwiodą ich rozmiary. Idąc tutaj, Skoel i Bitergarm obiecali, że ich wypatroszą jak łososia. Jeśli tak będzie, to się ich pozbędziemy, a jeśli nie, to zaciągniemy ich do naszej służby.

Rozległy się gniewne protesty, które Gilling szybko uciszył gromkim krzykiem.

- Przydadzą nam się dobrzy wojownicy, szczególnie mali. Ilu z was chce służyć koronie w ciepłym kraju?

Nikt się nie odezwał.

- Tak też myśleliśmy. - Gilling pokazał na Beela. - Czy twoi rycerze są gotowi?

Mistrz Crol wysunął się do przodu. Miał na sobie krótki płaszcz z herbem wyhaftowanym z przodu i z tyłu, a pod pachą trzymał srebrną trąbkę; nawet w tak słabym świetle pochodni widać było jego bladość.

- Wasza Królewska Mość - powiedział i skłonił krótko głowę. - Sir Garvaon i sir Svon pragną wyrazić swój protest dotyczący warunków walki.

Toug poruszył się niespokojnie. Gilling mierzył Crola gniewnym spojrzeniem, lecz ten się nie ugiął. Idnn, której głowa znajdowała się trochę powyżej głowy Gillinga, pochyliła się i powiedziała mu coś szeptem do ucha. Gilling potrząsnął gwałtownie głową.

- Proszę, by im pozwolić...

- Cisza! - Gilling uniósł dłoń. - Oskarżacie nas o oszustwo.

- Ani mi to przez myśl nie przeszło, Wasza Królewska Mość. - Głos Crola zadrżał słabo, lecz dostrzegalnie.

- Na to nie możemy pozwolić. Kto wnosi oskarżenie? Ty sam? Maluszek, którego przysłał król Arnthor?

- Nikt cię o nic nie oskarża, Wasza Królewska Mość. Nikt!

Gilling uśmiechnął się.

- A zatem wy wszyscy. Coś wam wyjaśnimy. Mogliśmy wystawić przeciwko waszym rycerzom naszych najlepszych wojów. Lecz nie byłoby to sprawiedliwe, dlatego zmieniliśmy decyzję. Widzieliście, jak wybieraliśmy. Jeden na jednego, ta sama broń. I tak byłoby sprawiedliwie - sprawiedliwie dla wszystkich. Człowiek przeciwko człowiekowi i miecz przeciwko mieczowi. Lecz niektórzy z was zaprzeczają, że jesteśmy ludźmi.

I owszem, jestem jednym z nich, pomyślał Toug.

- Tak więc pozwoliliśmy waszym rycerzom walczyć w zbroi, żeby zrekompensować ich marną posturę i wątłą siłę, ale nie, wy chcecie więcej. Nic z tego, nie dostaniecie nic więcej. Thiazi!

Thiazi zbliżył się pospiesznie do Gillinga.

- Stań tutaj. Kiedy podniesiesz swoją laskę, obie strony się przygotują. Gdy ją opuścisz, zaczną walczyć. Czy to jasne?

Crol zrobił krok do przodu.



- Oczekujemy solennego zapewnienia Waszej Królewskiej Mości, że widzowie się nie wtrąca.

Pięść Gillinga wielkości ludzkiej głowy spadła na Crola. Przez kilka sekund drżał agonalnie, a potem jego ciężkie ciało męża w średnim wieku znieruchomiło skręcone i wydawało się, że umieszczone w polach jego godła bzy i lamie wiją się na jego plecach.

- Słuchajcie! - Thiazi uniósł swoją laskę, jakby nic się nie stało. - Kiedy uderzę w podłogę, zaczniecie walczyć.

- Przyniosłem hełm, sir Svonie - wyszeptał Toug i podał go Svonowi. - Nie chcesz?

Svon pokręcił głową. Trzymał już w dłoni obnażony miecz, którego klinga migotała w świetle pochodni.

- Wygrasz - powiedział szeptem Toug. - Wiem, że wygrasz.

Svon nic nie odpowiedział i stał wpatrzony w ciało Crola.

Głos Gillinga odbijał się echem od lodowatych kamieni, zagłuszając wycie wiatru.

- Wszyscy gotowi? Mów teraz, zanim Thiazi da znak.

Ku zdziwieniu Touga, Svon zabrał głos:

- Zabicie herolda jest równoznaczne z odrzuceniem wszystkich obyczajów wojennych.

Angronici wybuchli śmiechem, a Gilling im zawtórował, w momencie gdy złota laska Thiaziego uderzyła w podłogę.

Skoel i Bitergarm wyszli ciężkim krokiem do przodu. Skoel dzierżył swoją broń w jednej ręce, Bitergarm zaś trzymał ją w obu. Garvaon i Svon stanęli naprzeciw nich ramię w ramię. Chwilę później Svon zablokował tarczą uderzenie, które rzuciło go na kolana.

Ogromny miecz Skoela uniósł się ponownie i zaczął opadać z siłą, która z pewnością mogłaby rozpołować rumaka bojowego.

Ale cięcie nie rozpołowało Svona, ponieważ ten skoczył do przodu. Kiedy znowu odskoczył w tył, jego klinga ociekała krwią do połowy.

Mani, który wskoczył Tougowi na ramię, powiedział:

- Słabi muszą zewrzeć siły, jeśli to możliwe, wtedy silni będą musieli spróbować odeprzeć ich atak. Dziwna bitwa, nie uważasz?

- Przypomina walkę wołów z muchami - odparł Toug sam zaskoczony własnymi słowami.

- Sir Garvaon kąsa swojego przeciwnika po rękach. To dobrze! Przebiegły

wojownik!

Mimo iż Mani mówił mu niemal prosto do ucha, Toug z trudem go słyszał poprzez zgiełk, jaki zapanował w sali.

- Czy nie powinienes być przy królu? - zapytał szeptem.

- Lady Idnn zaczęła wymachiwać rękami i mnie zrzuciła. Wrócę do nich, jak już będzie po wszystkim. Patrz! Garvaon na ziemi.

Rzeczywiście tak było i przez krótką chwilę Tougowi wydawało się, że Bitergarm rozetnie go na pół; tymczasem Angronita, by pomóc Skoelowi, odwrócił się, jak kamień młyński, który zaczyna się kręcić w drugą stronę.

Miecze Angronitów unosiły się i opadały niczym cepy młocarzy. Lśniącą klinga miecza Svona - naoliwiona przez Touga tego ranka - migotała i błyskała, skacząc do przodu.

Olbrzymi zacieśniali krąg, rycząc i przeklinając, dlatego Toug i Mani wspięli się na bele siana ułożone na wozie.

- Obaj są paskudni. - Toug starał się mówić pewnym glosem.

- Straszliwie paskudni.

Straszliwie paskudny był Bitergarm, który z powodzeniem, choć niezgrabnie, przesuwał się, zmuszając Svona do schodzenia w lewo, by nie mógł się obronić przed Skoelem. W pewnym momencie Toug zobaczył z przerażeniem, że Svon znalazł się zbyt blisko jednego z widzów, który popchnął go, przez co Svon zatoczył się w kierunku Skoela.

Miecz Skoela zahaczył o tarczę Svona i ściął go z nóg, wyrzucając w powietrze. Przyglądający się Angronici próbowali się odsunąć, lecz byli zbyt powolni. Svon wpadł między nogi dwóch z nich i został wkopnięty pod wóz.

Gilling ponownie wyszedł na środek słabo oświetlonego dziedzińca; Idnn wciąż siedziała na jego ramieniu zapłakana. Uniósł obie dłonie, uciszając śmiech, okrzyki i przekleństwa obserwujących pojedynek Angronitów. Kiedy Toug zobaczył Wistana klęczącego u boku Garvaona, uzmysłowił sobie poniewczasie, że jego miejsce jest przy Svonie, który może jeszcze żył, i zaczął gramolić się w dół.

Ogromna łapa zdjęła go z bel siana i uniosła, tak że znalazł się wyżej niż wtedy, kiedy siedział na sianie.

- Tu jest, Wasza Królewska Mość. Miał go jego służący. - Był to głos Thiaziego.

- Ja... pilnowałem go dla ciebie. Wasza Królewska Mość. - Toug przełknął głośno ślinę, zastanawiając się, czy król uwierzy w jego słowa i czy będzie to

miało jakieś znaczenie, jeśli uwierzy. - Chodził sobie swobodnie, a ja się bałem, że go zdeptają.

Idnn, wciąż na ramieniu Gillinga, wyciągnęła rękę.

- Daj mi go, giermku. Zajmę się nim. - Jej twarz lśniła od łez, a jej głos brzmiał smutno, lecz pewnie.

- Nie chcę go upuścić.

- Thiazi? - Idnn dała znak ręką. - Tak się nazywasz? Przynieś ich tutaj, Thiazi.

Kiedy Thiazi wykonał jej polecenie, Idnn wzięła na ręce Maniego, który zamiauczał żałośnie.

- A teraz postaw Touga - powiedziała Idnn.

Thiazi opuścił go trochę niżej, lecz nie zwolnił uchwytu.

- W porządku, zabawiliśmy się - ryknął Gilling. Bitergarm! Skoel! Podejdźcie tutaj!

Obaj giganci zbliżyli się; pierwszy liząc szeroką ranę na dłoni, drugi cały mokry od własnej kipiącej krwi.

- Dzielnie się spisaliście - zwrócił się do nich Gilling. - Zasłużyliście na miano bohaterów. I co powiecie o tych tu dwóch, synowie Angr? Obudźmy wrony!

Angronici wiwatowali tak długo, aż ochrypli. Kiedy okrzyki ucichły nieco, jeden z kinkietów trzymających pochodnie spadł z hukiem ze ściany, wzniecając tumany kurzu i tynku; Toug, który to zauważył, widział też, że pochodnie w kinkiecie zgasły wcześniej, lecz nie zwracał na to większej uwagi podobnie jak Angronici.

- Cisza! - Gilling uniósł dłonie. - By uczcić nasze zwycięstwo...

- Jeszcze nie zwyciężyliście! - Był to głos Garvaona. Zamiast hełmu głowę miał owiniętą szmatą poplamioną krwią. Odrzucił potrzaskaną tarczę. Lewą ręką wyciągnął z pochwy długi sztylet z szeroką gardą.

Toug, wciąż dyndający w kleszczach uchwytu Thiaziego, zawołał radośnie. Przez krótką chwilę, która jednocześnie wydawała się długa, był to jedyny głos, głos wiwatującego nieopierzonego giermka wiszącego na wysokości kolana olbrzyma. Zaraz potem przyłączył się do niego Wistan, a po nim Idnn wciąż usadowiona razem z Manim na ramieniu Gillinga - był to przeraźliwy okrzyk kobiecej historycznej radości. Svon wypełził właśnie spod wozu i stanął u boku Garvaona. Prawa strona twarzy Svona była posiniaczona i lśniąca od krwi, a jego prawe oko zamknięte z powodu

opuchlizny, lecz wciąż trzymał miecz w dłoni.

Na dziedzińcu pociemniało, kiedy pochodnia wisząca za Thiazim zgasła.

Do wiwatów przyłączył się już wcześniej Beel i łucznicy Garvaona, a także zbrojni, którzy przebyli tak daleką drogę i walczyli tak dzielnie, oraz służący, którzy stali się łucznikami i zbrojnymi, ponieważ nie było komu walczyć. Papounce, w pięknym purpurowo-niebieskim kubraku z rozcięciem, który przywiózł ze sobą, aby wystroić się na dworze, stał nad ciałem Crola czerwony na twarzy, krzycząc; nawet Egr, zwykle nieśmiały i milczący, podskakiwał i wył jak chłopiec.

Ich wiwaty zagłuszył głośny syk i brzęk stali o stal, a po chwili rozległ się nowy głos, który przemówił cicho:

- Mój panie Thiazi. - Głos był chrapliwy, lecz wyraźnie kobiecy. Toug obrócił głowę i zobaczył kobietę wyższą niż wszystkie, jakie widział do tej pory, stojącą u boku Thiaziego. Podobnie jak większość olbrzymów była prawie naga, a jej płomiennie rude włosy bardziej ją okrywały niż gałgany, które miała na sobie. Za to w przeciwieństwie do gigantów (których kończyny były jeszcze grubsze niżby sugerował ich ogromny wzrost) jej nogi były chude jak nogi czapli, przez co wydawało się, że stoi na szczydłach i pokazuje ręką będącą zakończeniem ramienia nie grubszego niż noga Touga w kolanie.

- Mój panie Thiazi, to jest niedobre miejsce i niedobry czas.

- Ty...? - Thiazi zerknął na nią i zaraz odwrócił głowę. - Nie jesteś prawdziwą córką Angr.

Jej śmiech przypominał grzechot monet w złotym pucharze.

- Nie. Jestem głupcem, któremu wydawało się, że cię oszuka. Chociaż widziałam je w Jotunhome, biedne stworzenia - kobiety wielkie jak koń zaprzęgowy o twarzach jakby ulepionych z ciasta. Dziękuję ci.

Thiazi wypuścił Touga i zdjął z siebie płaszcz. Niewiarygodnie wysoka kobieta przyjęła go i zarzuciła sobie na ramiona.

- Zgwałcą cię, jak cię zobaczą - mruknął Thiazi.

- Wezmą mnie za niewolnicę?

Toug nie usłyszał już nic więcej, gdyż zanosilo się na to, że życie Svona dobiega końca. Wydawało się, że potrzebuje godziny, aby wyjąć z pochwy Łamimiecz, a jego stopy (poruszające się nieporadnie w za dużych butach, które znalazł dla niego Pouk) następnej, by ponieść go do walki. Chwycił Łamimiecz w obie dłonie i z całej siły grzmotnął w kolano znajdujące się na

wysokości jego podbródka; potem zobaczył jeszcze błysk stali i poczuł gorące chluśnięcie własnej krwi.

Zanurzył się w ciemności, w której płatki śniegu wirowały wokół jego twarzy, i pojawiło się więcej mieczy niż tylko te Skoela i Bitergarma, więcej niż Garvaona i jego własny, i poczuł ból, dotkliwy i odległy jednocześnie. W pewnej chwili dostrzegł ciemną postać, która strąciła ze ściany jedną z ostatnich pochodni. W następnej zobaczył opadające ostrze długości kopii i uniósł ramię, wiedząc, że Łamimiecz nie złamie tego miecza, który zniszczy wszystko na swojej drodze niczym opadające drzewo. Coś ciemnego, co wydawało się przezroczyste (ponieważ wciąż widział coś, co mogło być nadgarstkiem olbrzyma), zacisnęło się na dłoni trzymającej miecz, a coś jeszcze innego owinęło się wokół szyi olbrzyma, zasłaniając ją. A potem poprzez krzyki i muzykę oręża, usłyszał nieprzyjemny trzask łamanej kości.

Gigant zwałił się na ziemię, niemal go przygniatając; myślał, że to Bitergarm, lecz zaraz potem zobaczył toczącą się koronę.

\* \* \*

- Wydawało się, że jest tam jakiś inny olbrzym - powiedział potem do Pouka spowity bandażami i bólem, kiedy razem z tymi, którzy zachowali życie, siedzieli zabarykadowani w wieży głównej. - Gigant, którego Angronici nie mogli widzieć lepiej niż ja i który był po naszej stronie. Czy to był Org?

- Wiesz wszystko - oświadczył Pouk. - To co tu po mnie, kamracie?

- Wtedy o tym nie pomyślałem - wyznał Toug. - Dopiero dużo później, kiedy sir Svon kazał mi odszukać lady Idnn. Org pewnie szedł z nami przez całą drogę, tylko ja go nigdy nie widziałem.

Pouk zachichotał.

- Nie łatwo go zobaczyć, kamracie. Nawet mnie, chociaż dobrze znam jego kurs.

- Ach, na Thunora! - Toug miał ochotę ugryźć się w język. - Ja... nie zamierzałem sztydzić z ciebie.

Pouk cmoknął.

- Myślisz, że jestem ślepy? Słyszałem, jak mówiłeś.

- A nie jesteś?

- Nie, kamracie. Musiałem udawać. Nie widzę na jedno oko. Widzisz?

Touk skinął głową i zaraz dodał niepewny, czy Pouk rzeczywiście coś widzi:

- Tak, tak, widzę. Jest białe.

- Właśnie, jak rozlane mleko, jak mawia Ulfa. Nazywają mnie Pouk Jufers.

Toug ponownie skinął głową.

- A drugie jest zezowate. Przyjrzyj się dobrze.

Toug spojrzał uważnie.

- Też jest białe - nie, to jest prawdziwe. To znaczy widać oko.

- A ty myślałeś, żeś ślepy, co? Patrz, otworzę palcami szerzej.

Oko Pouka wydawało się białe, pokryte bielmem - a potem nagle błysnęło brązową źrenicą.

- Wywracasz je do góry.

- No, wreszcie zrozumiałeś, kamracie. Przydzielili nam całą załogę, a ten, co nas oślepił, narzekał na swoją robotę, bo niektórzy dostają posocznicy, jak ich oślepiają, i umierają. No to ja mu mówię, nie zawracaj sobie mną głowy, kamracie, i pokazuję mu oko tak jak tobie. Powiedziałem, że już jestem ślepy, a on mnie zostawił. Ale się ucieszyłem! Jak nigdy przedtem. - Pouk zarechotał wesoło. - Napijesz się? Napitek na to nie szkodzi!

- Ja też się cieszę - odpowiedział mu Toug. - Bardzo się cieszę.

- Dobry z ciebie marynarz i twardy chłop. Może kiedyś ci pokażę Orga.

- Myślisz, że będzie chciał mnie skrzywdzić?

Pouk zastanawiał się przez chwilę.

- Jak będę gdzieś w pobliżu to nie. A jak nie, to nie wiem. Lepiej mieć się na baczności.

- Mani próbował kiedyś powiedzieć o nim lady Idnn...

W tym momencie nadszedł Svon.

- Spotykamy się w sali. Wszyscy poza strażą. Tędy.

Teraz, już nie tak zatłoczona obecnością tylu Angronitów sala wydawała się niemal gościnnym miejscem. Wszędzie pełno było jedzenia i picia i choć w dużej mierze zostało wcześniej nadjedzone i nadpite, Pouk i Toug poczęstowali się, zanim skierowali się do ogromnego paleniska, gdzie wokół ogromnego Thiaziego zgromadzili się ludzie i Angronici.

- Już wszyscy? - zapytał Beel.

- Tak myślę, sir. Może przyjdzie jeszcze jeden albo dwóch.

Beel chrząknął.

- Odbyliśmy naradę z lordem Thiazim. Sir Svonie, czy to wszyscy, których znalazłeś?

- Tak, Wasza Lordowska Mość. Być może sir Garvaon przyprowadzi więcej ludzi. Nie wiem.

Svon rozejrzał się za jakimś stołkiem, lecz nie znalazłszy żadnego, przysiadł na palenisku. Rany na twarzy i ramionach miał opatrzone bandażami i wydawał się Tougowi strasznie zmęczony.

Beel także musiał to wyczuć, bo powiedział:

- Rany bardzo muszą ci dokuczać, sir Svonie.

- Nie aż tak bardzo. Wasza Lordowska Mość.

- Jeśli wolisz przejść gdzie indziej, gdzie mógłbyś odpocząć...?

- Teraz odpoczywam, Wasza Lordowska Mość. Giermek sir Garvaona i - i inni - obmyli mi rany i namaścili.

- Jak chcesz. - Beel spojrzał na gigantów. - Pierwszy zabrałem głos, ponieważ jest nas więcej. Nie miałem nic złego na myśli.

Toug poczuł bardzo łagodne klepnięcie w ramię. Kiedy się odwrócił, zobaczył rudowłosą dziewczynę z ogromnym pucharem w dłoni, w który wstydliwie wbiła wzrok.

- Napij się - wyszeptała.

Nękany pewnym podejrzeniem, Toug uniósł jej podbródek; w oczach dziewczyny płonął ogień. Jej usta powiedziały niemo: „Moja krew w winie, panie. Uleczy cię”. Toug odpowiedział jej skinieniem głowy, wziął puchar i zaniósł go Svonowi. Przyklękawszy, podał mu kielich.

- Nasz status nie uległ zmianie - mówił Beel. - Występuję tutaj jako poseł naszego króla.

Svon opróżnił puchar, podziękował skinieniem głowy i odstawił naczynie.

- Lord Thiaz jest najważniejszym ministrem swojego króla, a nasze kraje nie są w stanie wojny.

Beel zerknął na Thiaziego, który zaaprobował jego słowa skinieniem głowy.

- Król Gilling leży w swojej sypialni - mówił dalej Beel. - Ufam, że niczego mu nie brakuje i że wyzdrowieje. Dogląda go lady Idnn, a pomagają jej dwie jej pokojówki i pięć kobiet... - Beel urwał, szukając odpowiednich słów - przydzielonych do tego zamku.

- Moja żona jest wśród nich - wyszeptał Pouk.

- W tej trudnej sytuacji pragnienia lorda Thiaziego i nasze są identyczne. Musimy utrzymać króla przy życiu, zapewnić mu rządy i znaleźć zdrajcę, który pchnął go nożem. Lordzie Thiazi?

Thiazi wystąpił do przodu. (Widząc ich obok siebie, Toug ocenił, że Thiazi jest trzy razy wyższy niż Beel.) Głos Thiaziego brzmiał nisko i donośnie.

- Jestem zaufanym ministrem Jego Królewskiej Mości. Obecni tu synowie Angr wiedzieli o tym, a wy, Południowcy, wiecie to teraz. Pod nieobecność Jego Królewskiej Mości działam w jego imieniu. Gdy pozostaje w niedyspozycji, tak jak teraz, tylko ja mogę działać w jego imieniu. Czy ktoś temu zaprzeczy?

Przez chwilę patrzył wyzywająco na zebranych Angronitów, tak długo jak dużo czasu potrzebował Toug na wzięcie oddechu, a gdy żaden z nich się nie odezwał, przeniósł spojrzenie na ludzi Beela.

Do sali wszedł Garvaon, który po chwili wahania usiadł obok Svona.

- W tym zamieszaniu pojawiła się kobieta Aelfów - powiedział Thiazi. - Ostrzegła mnie, że Jego Królewska Mość jest w niebezpieczeństwie i poleciła wyprowadzić go ukradkiem. Mam przyjaciół wśród Aelfów. - Spojrzał po zebranych, czekając na czyjeś obiekcje. - Oczywiście nie ma lepszych przyjaciół niż ona. Zanim dotarłem do Jego Królewskiej Mości, już został zaatakowany. Ugodzony nożem trzymanym przez niewidoczną rękę. Zdołaliśmy przenieść go do sypialni i złożyć na łóżku.

Na ustach Thiaziego pojawił się zimny uśmiech.

- Rozmawialiśmy z lordem Beelem o tej próbie morderstwa. Lord Beel obawia się, że zdrajcą jest jeden z was, Południowców.

- Zdrajcą wobec króla Arnthora - wyjaśnił Beel - który nigdy by nie poparł takiego zradzieckiego ataku.

Thiazi przytaknął mu.

- Ja zaś obawiam się, że zdrajcą jest któryś z naszych ludzi. Nie tak dawno doszło do buntu w Jotunlandzie. Być może zdarzyło się to ponownie. Stąd nasze zamknięte drzwi. Mam nadzieję, że nasi ludzie nie wiedzą o tym, iż król jest ranny. Zabójca być może myśli, że król nie żyje. Jeśli tak to może się ujawni za dzień lub dwa. Tak czy inaczej, niewiedza działa na naszą korzyść. Z waszą pomocą będę ją podtrzymywał, jak długo to będzie możliwe.

Svon chrząknął.



- Czy wolno mi zabrać głos, lordzie Thiazi?

Thiazi skinął głową.

- Podejrzewasz kogoś z nas - powiedział Svon wstając.

- Nie - zaprzeczył Thiazi. - Wasz pan was podejrzewa. Ja przyznaję tylko, że może mieć rację, choć uważam inaczej.

- Tym większy powód, bym przysiągł na honor rycerza, że nie zaatakowałem waszego króla. Uprawiasz magię, lordzie. Tak mi powiedziano.

- Jestem adeptem, jak to się mówi.

- Czy nie potrafisz dowiedzieć się imienia zabójcy przy pomocy swojej sztuki?

Thiazi zmarszczył czoło.

- Próbowałem już, lecz bezskutecznie. Niebawem podejmę kolejną próbę.

- Mówię o magii, o której mam mgliste pojęcie. - Svon zawahał się. - Byłem kiedyś giermkim sir Able'a, który pasował mnie na rycerza.

- Nie wiedziałem o tym, ale cieszę się, że to usłyszałem.

- Zanim przybyliśmy do tej sali, by ofiarować twojemu królowi podarunki od naszego króla, dowiedziałem się, że twoja magia powiedziała mu, iż by uratować jego koronę, powinien przyjąć do siebie na służbę sir Able'a. - Svon spojrział na Garvaona, szukając u niego potwierdzenia swoich słów, i je otrzymał.

- Myślę, że połączył nas w ten sposób, by sprawdzić, czy możemy zastąpić sir Able'a, jeśli to była próba, to chyba możemy go zastąpić.

- Powiem wprost. - Thiazi pochylił się, wziął ze skrzyni z drewnem kłodę dwukrotnie większą niż człowiek i dorzucił ją do ognia, wznecając obłok iskier i popiołu. - Duch, z którym rozmawiałem, nie wskazał ani na ciebie ani na twojego towarzysza.

- Sir Garvaona.

- Nic nie wspomniał na wasz temat. Nie poddaję w wątpliwość waszego męstwa ani umiejętności. Są bezsprzecznie godne podziwu. I nie oskarżam was o próbę zamordowania Jego Królewskiej Mości. Twierdzę tylko, że w moim mniemaniu nie możecie zastąpić sir Able'a. Powiedziałem to otwarcie Jego Królewskiej Mości, kiedy zaproponował ten skazany na porażkę pojedynek, w którym braliście udział.

Svon skinął głową.

- Zgadzam się i proponuję, by posłano kogoś po sir Able'a. Uważam, że

wskazania twojej magii są słuszne i powinniśmy się do nich stosować. Mogę się udać po niego.

Thiazi spojrzał na Beela.

- Jeśli test potwierdzi jego niewinność...?

- Nie - odparł Beel. - A przynajmniej nie wcześniej jak po ślubie...

## ROZDZIAŁ 13

### TRZECI RYCERZ

Chmury płynęły nade mną uformowane w fantastyczne kształty, a ja nie wiedziałem, że należą do Skai, mimo to przepowiedziały mi przyszłość najlepiej jak potrafiły.

Zamknąłem oczy i zapragnąłem, by te profetyczne obłoki i przyjazne niebo wróciły, lecz zobaczyłem jedynie ciemność, a tylko w mojej wyobraźni - latający zamek Valfathera. Znowu otworzyłem oczy i ujrzałem gwiazdy. Skoro chmury były górami i łąkami Overcynów ze Skai, to czy te wszystkie gwiazdy nie były krajem skrzydlatych ludzi takich jak Michał? Nie, ponieważ gwiazdy były wcześniej polnymi kwiatami na łące Pani...

- Panie?

Byłem na tyle zaspany, by uwierzyć przez pół minuty, a może i przez kilkanaście, że chodzi o kogoś innego.

- Panie? - Pochyliła się nade mną skrzydlata postać, zasłaniając gwiazdy. Jej skrzydła skurczyły się, a pysk przybrał postać twarzy.

- Khimaira? Co ma do mnie Khimaira?

- Jestem Uri, panie. Uknuto spisek i przyleciałam, żeby ci o tym powiedzieć.

Usiadłem i zobaczyłem, że Gylf też się podniósł i prawie wyszczerzył zęby.

- Pójdzie szybciej, panie, jak mnie wysłuchasz i nie będziesz zadawał pytań, dopóki nie skończę.

Skinąłem głową.

- Znasz Garsecga. Uczył cię. Myślisz, że cię okłamał, udając, że jest jednym z Aelfów Wody. Nie udawał, choć mieszka w Muspelu. Aelfy Morza przyjęły go przyjaźnie i wyniosły wyżej niż własnego króla, nazywając go Ojcem. Cóż więc jest fałszywego w tym, że przybrał ich postać?

- Skoro mam cię o nic nie pytać - powiedziałem - dobrze będzie, jeśli i ty powstrzymasz się od pytań.

- Jak sobie życzy mój pan. Podła, wciąż jestem twoją niewolnicą. - Uri przyklękła. - A także sługą Garsecga. Służę swojemu panu, ponieważ chce tak Garsecg. Mój pan pamięta, że gdy obie z Baki zachorowałyśmy na wyspie Glas, mój pan zostawił nas pod opieką Garsecga. Jako Setr nakazał nam ci służyć, mówiąc, że my, które byłyśmy jego niewolnicami, mamy być twoimi sługami. Miałyśmy ci nie mówić o tym podarunku, ponieważ Garsecg czyni dobro w tajemnicy, kiedy to możliwe.

- Nie zadawałaś pytań - zauważyłem - więc i ja o nic cię nie zapytam, ale chciałem coś zauważyć. Jesteś mu nieposłuszna.

- Jeśli mnie ukarze, to zniosę karę, a przynajmniej się postaram. Jeśli ty mnie ukarzesz, uczynię podobnie. Okazuję nieposłuszeństwo, ponieważ chodzi o sprawę śmiertelnej wagi, coś, czego nie mogłem przewidzieć nawet Garsecg, choć jest najmądrzejszym pośród ludzi. Nie będę pytała, czy jest twoim przyjacielem, bo znasz odpowiedź. Nie zapytam też, czy przysięgałeś walczyć z Kulili w jego imieniu. Przysięgałeś, wiem coś na ten temat, choć nie tak dużo jak ty sam.

Poszukałem dłonią Eterne i wziąłem miecz do ręki.

- Wzywa mnie do siebie.

- Nie, panie, nie wzywa. Czy nie wspominałam o spisku? Chodzi o moją siostrę.

- Rozpraw się z nią - warknął Gylf.

- Nie służę psom - odpowiedziała mu Uri - nawet tobie.

- To jeszcze gorzej!

Westchnęła, a było w tym westchnieniu więcej rozpacz, niż potrafiłaby to wyrazić słowami.

- Teraz wiemy, co myśli o mnie twój pies, panie. Być może przyznasz mu rację, wiedząc, że zdradzam siostrę.

Owinąłem się kocem, bo wiatr był zimny.

- Baki chce cię wystać przeciwko Garsecgowi. Dlatego ugodziła nożem króla Gillinga, który jest bliski śmierci. Dlatego też zwerbowała Touga i jego siostrę. Pomaga im kot wiemy, pewnie z czystej złośliwości. Oto i cała moja opowieść, panie. Czy dasz mi słowo, że nigdy nie zabijesz Garsecga? Ani nie będziesz próbował?

- Nie. - Położyłem się i spojrzałem w gwiazdy.

- Czyż nie obiecałeś Garsecgowi, tak jak mówiłam? Walczyć przeciwko Kulili? W pojedynkę, jeśli będzie trzeba? Czy nie przysięgałeś na swój

honor?

- Owszem. Czy on mnie wzywa?

- Nie, panie. - Głos Uri płynął jakby z oddali. - Za bardzo się ciebie boi.

\* \* \*

Było nas zbyt wielu do jednego ogniska: Woddet, Yond, rycerz herbu Lamparty, Valt, a także Hela, Heimir, Gerda, Bertold Śmiały i Uns, który je rozpałił. Kiedy już miałem mięso na tacy i wino w dzbanie, powiedziałem:

- Mam wieści. Mogą okazać się dla nas bardzo ważne albo i nie, tego nie wiem. Nie wiem nawet, czy są prawdziwe. Zostały mi przekazane, jako prawdziwe, a ponieważ nie zobowiązano mnie do zachowania tajemnicy, nie byłoby dobrze, gdybym się nimi nie podzielił. Możecie wierzyć lub nie.

- Kiedy ci je przekazano? - zapytał rycerz herbu Lamparty.

- Ostatniej nocy. - Nabiłem na nóż kawałek mięsa i wsadziłem go sobie do ust.

- Trzeba wystawić lepszą straż. Moi ludzie trzymali wartę.

- Nie twierdzą, że spali - odpowiedziałem.

Woddet spojrzął na pozostałych i zapytał:

- Kto je przyniósł?

- Musisz wiedzieć? Wyjaśnienie w niczym nie pomoże.

- Nie domagam się niczego - oświadczył Woddet.

Hela połknęła ogromny kawał mięsa.

- Nie ufa temu, kto przyniósł nowiny. A czy mnie ufasz, przemiły rycerzu?

Woddet zaczerwienił się.

- Tak. Wprawdzie w twoich żyłach nie płynie szlachetna krew, to wiem, że jesteś złą kobietą.

- Jeśli mówimy o krwi, to widziałam twoją. Uważasz, że moje pochodzenie jest pospolite. Czy ten tu sir Able podziela to zdanie? W moich żyłach płynie krew Ymira, sir Able, bo z niego jest moja prababka Angr. Czy nie powiedziałeś mi kiedyś, że w tej krwi zanurzyłeś ramię aż po łokieć? W tej podłej krwi?

Skinąłem głową, ponieważ opowiadałem jej o różnych wydarzeniach ze Skai.

- Powiedz raczej dzikiej krwi.

- Miły jesteś. - Znowu spojrzała na Woddeta. - Najdroższy rycerzu, jako zaufana kobieta radzę ci o nic nie pytać, o ile nie jesteś gotów uwierzyć w każdą odpowiedź. Dzika krew? Dzikie miecze tu mamy. Którego szermierza widziałbyś poległym?

- Żadnego. - Woddet uśmiechnął się skruszony. - Cóż to za wieści, sir Able, zapytam, jeśli nie wywoła to niesnasek?

Napiłem się wina, opuściłem dzban, a po chwili znowu pociągnąłem łyk.

- Ustaliliśmy, że jeśli Angronici pomaszerują na południe, to razem stawimy im czoła, mimo iż obaj z sir Leortem pozostajecie moimi więźniami.

Woddet i rycerz herbu Lamparty przytaknęli mi.

- Wieści te mogą mieć z tym związek, o ile są prawdziwe. Mogą mieć związek, nawet jeśli są nieprawdziwe, ale w nie uwierzymy. Otóż król Angronitów został ugodzony nożem i jest bliski śmierci.

Bertold Śmiały nie podniósł ślepych oczu, lecz jego głos zabrzmiał ciepło:

- Kto to zrobił?

- Siostra osoby, która mi o wszystkim powiedziała. Tak przynajmniej twierdzi.

- Niewolnica? - zapytała Gerda.

- Tak, ale nie jest niewolnicą króla Gillinga ani żadnego innego giganta.

- Znasz ją, panie rycerzu - wtrąciła Hela. - Twój głos mówi więcej niż słowa.

Przytaknąłem jej.

- Ja nie mam siostry, z czego się cieszę. Siostry zawsze donoszą. Znasz ją i jesteś jej przyjacielem. Co myślisz? Odważyłaby się przelać czyjaś krew? Podnieść rękę na władcę?

- Być może - powiedziałem wolno. - Mogłaby to zrobić, gdyby ją ktoś sprowokował albo gdyby była zdesperowana. Na przykład gdyby konkretny młodzieniec był zagrożony. Gdyby miała słuszny powód.

- Mam jeszcze jedno pytanie? - Hela wyszczerzyła się w uśmiechu, odsłaniając krzywe zęby w ustach wielkości kubła. - Zanim je zadam, chcę wam podziękować, że mnie znosicie. Gdyby chodziło o słodką osobę sir Woddeta, ale tak po co strzępić język. Jesteście cierpliwi. Zapytam więc, dlaczego jej siostra pospieszyła tutaj, żeby przekazać ci te wieści? Potrafisz powiedzieć?

- Widzę, że muszę wam powiedzieć więcej, niż bym chciał. W nagrodę

otrzymam radę Heli, a przynajmniej mam taką nadzieję. Bardzo się przyda, jeśli okaże się równie trafna jak jej pytania.

Uns skinął głową i przysunął się bliżej.

- Istnieje ktoś o imieniu Garsecg. Nie człowiek. Czy zgodzimy się, że przodek Heli nie był człowiekiem?

- Ja jestem - oświadczył Heimir. - Jestem człowiekiem tak jak ty.

- Nie twierdziłem, że nie. - Starłem się, by mój głos zabrzmiał łagodnie. - Ale Hymir nie był człowiekiem. Bez względu na to, jaki był dobry, odważny i wielkoduszny. Tak samo Garsecg nie był człowiekiem.

Czekałem na jakiś sprzeciw, lecz się nie doczekałem.

- Zaprzyjaźnił się ze mną. Wiele mu zawdzięczam. Myślę, że robił to wszystko po to, by mnie do siebie przyciągnąć - żeby walczył z przeciwnikiem, z którym bym nie walczył, gdybym nie miał takiej możliwości.

Rycerz herbu Lamparty zapytał, co mnie trapi.

- Wiecie, że kocham pewną kobietę. Ona jest ze świata Garsecga. Bardzo chciałbym być z nią teraz.

- W takim razie udaj się do niej! - zawołał rycerz herbu Lamparty. - Czyżbyś był jedynym człowiekiem w Mythgarthcie, który nie zna opowieści o rycerzu i jaszczu?

- Przysięgałem, że zostanę tu do środka zimy. Jestem też związany przysięgą złożoną największemu i najlepszemu spośród ludzi. Jemu zawdzięczam, że mogę być tak blisko niej.

- Czy zatem, panie rycerzu, bardziej cenisz swój honor, czy swoją panią? - Uśmiech Heli wyrażał coś na podobieństwo współczucia. - Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz.

- Za jeden jej uśmiech jestem gotów zdeptać cały honor - odpowiedziałem.

- Tak, i mogę go podeptać. Ale nie mógłbym prosić, by poślubiła rycerza pozbawionego honoru.

Usiłując zrozumieć moje słowa, rycerz herbu Lamparty powiedział:

- Przedkładasz jej honor nad swój własny. Gotowy jesteś umrzeć, by go bronić.

- W takim razie, jak to...? - zaczął Woddet.

- Pomówimy o tym w odpowiednim czasie. Pozwólcie mi skończyć. Moja pani przebywa tam, gdzie jest Garsecg. Osoba, która mnie odwiedziła dziś w nocy, powiedziała, że jej siostra chce, abym z nim walczył. Ona zaś chciała,

bym przysięgł, że tego nie zrobię.

- Coraz głębiej i głębiej - mruknęła Hela. - Szkoda, że ten marny puchar nie jest choć w połowie tak głęboki. - Podsunęła kielich, a Woddet nalał jej wina.

- I przysięgłeś, sir - zapytała stara Gerda.

- Nie, matko. Złożyłem już dość przyrzeczeń. Chcę być z kobietą, którą kocham. - Westchnąłem. - Jeśli będę z nim walczył, możliwe, że ona będzie próbowała mnie zabić. Przyjmę to z radością.

- My nie - zagrział Bertold.

- Mimo iż jestem ranny - powiedział Woddet - mogę wyrzucić swoją przysięgę i samemu cię zabić, jeśli nie przejdziesz zaraz do rzeczy. Król Jotunlandu jest ciężko ranny. Czy nie tak powiedziałeś? Co to ma wspólnego z nami?

- Myślisz, że mogą obwinie za to mojego kuzyna? - zapytał rycerz herbu Lamparty.

- Dotąd Angronici napadali nas w niedużych grupach - wyjaśniłem. - Dwudziestoosobowych, a częściej w mniejszych. Twój kuzyn liczył na to, że namówi króla Gillinga, by powstrzymał ich ataki. Bertoldzie, zostałeś schwytany przez Angronitów. Ilu ich było?

Bertold Śmiały przeczesał palcami brodę.

- Ośmiu, kiedy rozbójnicy mnie im sprzedali.

- A ciebie Gerdo? Ilu cię porwało?

- Na słodkiego tłuscioszka, nie potrafię powiedzieć, sir. Tyle czasu minęło.

- Dwudziestu?

- A gdzieżby tam, sir. Nawet nie w połowie tylu. Może z pięciu. Albo sześciu. Niektórzy zginęli, bo nasi ludzie walczyli. Pytasz, sir, ilu przyszło, czy ilu odeszło? Przyszło może z dziesięciu.

Skinąłem głową i zwróciłem się do Woddeta.

- Przypuśćmy, że król Gilling umrze. Czy jego następca - niewiele wiemy o Gillingu, a nic o jego następcy - nie wyśle stu?

- Bertoldzie, Gerdo. A może pięciuset? Powiedzielibyście, że to niemożliwe?

Bertold Śmiały pokręcił głową, zaprzeczając, a może był tylko zdziwiony. Gerda powiedziała:

- No cóż, sir, nigdy nie widziałam tylu naraz, ale gdy pomyślę, ilu ich



czasem widziałam, to były setki. Więcej nawet.

- Helo? Ciebie chyba powinienem pierwszą zapytać.

- Chodzi o to, ilu? Pięciuset to wcale nie tak dużo. Często jesteśmy na tej drodze, ten tu mój brat i ja, i któregoś dnia widzieliśmy pięćdziesięciu, a następnego dwudziestu. Spójrzcie tam w górę, dzielni rycerze. Co to leci?

- Gęsi - odpowiedział jej rycerz herbu Lamparty - ale moja strzała ich nie dosięgnie.

- Ile?

- Może być ze trzydzieści.

- Czterdzieści - wtrącił Woddet.

- Czterdzieści trzy i przewodnik, to razem czterdzieści cztery. Czterdzieści cztery, tyle wszyscy trzej widzimy, bo dzielny sir Able nie patrzy. Powiedzcie rycerze, ile gęsi jest na całym świecie? Setki?

Nikt nie odpowiedział, a Hela wypłała połowę swojego wina, zakaszłała i wlała do gardła resztę. Wreszcie powiedziałem:

- Powiedzmy, że stu i nie więcej. Czy damy radę setce? Nas trzech, Gylf i ludzie, którzy idą z lampartami i ze słońcem? I jeszcze Hela, Heimir i Uns? Dalibyśmy radę.

Zapadła cisza, aż wreszcie przemówił rycerz herbu Lamparty:

- A ty, sir Able? Poprowadziłbyś nas? Powiedz prawdę.

- Obiecałem strzec tej przełęczy - odpowiedziałem.

\* \* \*

- Jeździec na zmęczonym koniu, sir Leortcie!

Rycerz herbu Lamparty złożył dłonie wokół ust.

- Tylko jeden?

Nastąpiła długa cisza, podczas której Woddet, Valt i Yond podsunęli się do przodu.

- Tylko ten jeden, sir!

- Nadjeżdża z północy? - zwrócił się Valt do wszystkich i do nikogo w szczególności. - Czy giganci jeżdżą na koniach?

Yond pokręcił głową przecząco.

- Są za duzi.

Rycerz herbu Lamparty uciszył ich gestem dłoni.

- Skąd wiesz, że koń jest zmęczony?

Woddet prychnął lekceważąco.

- Ona próbuje go zmusić do kłusa, sir!

Rycerz herbu Lamparty otworzył usta i zaraz je zamknął wpatrzony w Woddeta (jego uczciwą twarz zakrywała teraz maska niezrozumienia), który z kolei patrzył na niego.

- Kobieta? - wymamrotał Valt.

Rycerz herbu Lamparty obrócił się na pięcie.

- Przeprowadźcie mojego konia!

Trakt Wojenny skręcał na północ od przełęczy, wijąc się w dół serpentyną ostrych zakrętów. Rycerz herbu Lamparty pokonał je wszystkie galopem, wyrzucając w przepaść kamyki kopytami swojego pstrokatego wojennego rumaka.

Miał już za sobą ostatni skręt, gdy wreszcie ujrzał jeźdźca; nieoczekiwanie znalazł się tak blisko niej (która wjechała właśnie na wzniesienie i opuściła lejce zdyszanego wierzchowca ciemnego od potu), że niemal ją staranował. Krzyknęła przeraźliwie, a ujrzawszy jego tarczę, zaniósła się płaczem.

Rycerz zsiadł z konia i zsadził kobietę z siodła, trzymając ją zupełnie tak samo jak wtedy, gdy był w wieku Valta, ona zaś była ślicznym dzieckiem o roziskrzonych oczach i kruczoczarnych lokach.

\* \* \*

Śnieżnobiały był płaszcz herolda, który przywiózł mi wyzwanie Czarnego Rycerza, a widniał na nim soból.

- Mój pan - oznajmił naszemu heroldowi - wjedzie na przełęcz. Ma pilną sprawę - urwał na chwilę i się uśmiechnął - i ciężką sakiewkę. Daje dwadzieścia kawałków w złocie i oczekuje, że twój pan nie będzie go zatrzymywał.

- Występuję w imieniu sir Able'a Wielkie Serce - odpowiedział surowym tonem nasz herold. - Mój pan, sir Leort z Sandhill towarzyszy mi do chwili wypłacenia okupu.

Czarny Rycerz uniósł brew cieniutką jak łądyga kończyny.

- Czy zatem nie powinieneś galopować już na północ, by tego dopilnować?

- Ktoś inny się tym zajmuje. Ty, jak miemam, zajmiesz się swoim panem? Nasz brat opuścił to miejsce dawno temu. Obawiam się, że jest zbyt późno, by wystąpił w twoim imieniu.

- Nie musi. - Herold Czarnego Rycerza potrząsnął sakiewką ze skóry jeleniej, którą wcześniej pokazał, i rozległ się ciepły dźwięk złota uderzającego o złoto. - Mój pan płaci z góry.

Herold rycerza herbu Lamparty potrząsnął głową.

- Nie sprawdzisz zawartość, by zdać relację temu sir Able'owi, o którym wspomniałeś?

- Znasz imię mojego pana - sir Leort z Sandhill. Przysiągłem, że będę służył temu, który go pokonał, sir Able'owi Wielkie Serce. Zanim będziemy rozmawiać dalej, chciałbym poznać imię twego pana jak i nazwę jego włości, które musi mieć zapewne, skoro dysponuje taką ilością złota.

Mimo wszystko rozmawiali dalej, unikając bardzo tonu nienawiści tak charakterystycznego dla heroldów, zanim herold rycerza herbu Lamparty wrócił do mnie.

- Swojego pana nazywa Czarnym Rycerzem - wyjaśnił herold - lecz nie chce wyjawić jego imienia. Nie mówi też, w jakiej sprawie przybywa jego pan i nie podaje nazwy swojego zamku.

Potałem dłonią podbródek.

- Powiedziałem włości, pragnąc go sprowokować, choć widziałem szeroki porzecz, lecz na nic się to zdało.

- Jest rycerzem, który dowodzi własną chorągwią?

- Albo kimś większym. Oferuje dwadzieścia sztuk złota. - Herold chrząknął. Sprawdziłem je, bo sam się tego domagał.

Machnąłem ręką lekceważąco.

- Nie może przejechać. Powiedz jego heroldowi...

- O co chodzi, sir?

- Że jeśli jego pan chce jechać dalej na północ, to musi się ze mną zmierzyć albo niech wybierze inną drogę. - Zamilkłem na chwilę. - Pomyślałem o heroldzie sir Woddeta. Jak on się nazywa?

- Herewor, sir.

- Odjechał stąd przed czterema dniami. Czy spotkali go na drodze?

- Nie. Może zdarzył się jakiś niefortunny wypadek, sir. Miejmy nadzieję, że ci przyjechali inną drogą.

- Zapytamy ich po pojedynku. Twój pan jeszcze nie wrócił?

- Nie, sir. Czy mam posłać za nim hobliara, sir?

- To chyba nie jest konieczne. - Złożyłem dłonie wokół ust, tak jak niedawno uczynił to rycerz herbu Lamparty. - Wartownik! Na północ?

- Do usług, sir Able! - Błysnęło słońce odbite w kolczudze, kiedy wartownik machnął ręką.

- Widzisz swojego pana?

- Jedzie wolno z podróżnym!

Skinąłem głową i machnąłem do niego ręką.

- Powiedz Czarnemu Rycerzowi, że jestem gotowy do walki.

Herold był wyraźnie nieszczęśliwy.

- Chciałem najpierw coś powiedzieć, zanim to się stanie, sir Able. Po pierwsze złoto...

- Nie chcę go.

- Dwadzieścia sztabek wschodniego złota, szerokie i lśniące, jedna w jedną. Dwie sprawdziłem zębami, sir. Były mięciuchne jak skóra. Na każdym głowa któregoś z caanów.

- Czy sir Woddet zna go? Albo ktoś inny ze świty Woddeta?

- Nie wiem, sir. Mam zapytać?

Skinąłem głową. Uns, który pojawił się, kiedy rozmawialiśmy, powiedział:

- Ja się tym zajmę, sar. Se poradzę.

- Pójdę z nim, za pozwoleniem, sir - powiedział herold. - Sir Woddet może nie chce rozmawiać z takim prostym chłopem. Ale najpierw muszę ci powiedzieć, sir, że ten Czarny Rycerz walczy na śmierć i życie i tylko tak. Nie udziela prawa łaski, tak więc... - Herold wziął głęboki oddech, zbierając się na odwagę. - Tak więc według mnie nie możesz z nim walczyć. Bo walka na śmierć to wojna, a nie właściwy pojedynek.

Uśmiechnąłem się.

- Sir Woddet myślał podobnie jak ten rycerz. Czy to nie dziwne?

Herold otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz szybko się rozmyślił i odszedł w pośpiechu.

Chmura przeszła trzy kroki, a ja oczyma wyobraźni zobaczyłem siebie atakującego z nastawioną kopią.

- Nic z tego - wyszeptalem. - Nie będę cię męczył swoim ciężarem. - Zsiadłem z konia i razem z Chmurą poszliśmy przed siebie, aż zobaczyliśmy wyraźnie herolda Czarnego Rycerza, a także jego samego czekającego przy

swoim czarnym rumaku w odległości długiego strzału z łuku.

- Nosi czaszkę jako grzebień hełmu - wyjaśniłem Chmurze. - To ludzka czaszka.

Gylf, który szedł za nami, warknął:

- Puszy się jak kot.

- To dziecinada - zgodziłem się z nim. - Powinniśmy się dogadać.

- Chce cię przestraszyć.

- Pewnie. Tylko, że ja się nie boję. Pamiętasz, jak ci powiedziałem, żebyś się nie wtrącał, kiedy walczyłem z sir Woddetem? Teraz też nic nie rób. Chcesz, to powiem Unsowi, żeby cię uwiązał na łańcuchu? - Odwróciłem się do Chmury i powiedziałem szeptem: - Potraktuj tego rycerza łagodniej niż sir Woddeta.

Oczywiście wyobraźni ujrzałem Chmurę, jak stoi bez jeźdźca ze spuszczoneym łbem.

Herold Czarnego Rycerza pomachał do nas.

- Sir Able! Mój pan jest gotów do pojedynku. A ty?

- Niebawem, mam nadzieję! - Zobaczyłem, że wraca Uns z naszym heroldem. Patrząc w ich stronę, dostrzegłem też Idnn i rycerza herbu Lamparty. Pomachałem do nich, a oni odpowiedzieli w podobny sposób; Idnn pomachała białą chustą.

- Szyscy gadają, sar. - Uns przyszedł pierwszy zdyszany. - Ino on nic nie gadał i nie patrzył mi w oczy.

- Rozumiem. - Położyłem już dłoń na kuli siodła, a jedną stopę wsunąłem w strzemię. - A co mówią tamci?

- Nic, sar. Tylko tyle, że nie będzie gadał.

- Nic nie wiedzą o Czarnym Rycerzu, sir - oznajmił herold. - Tak mówią, a ja im wierzę. Sir Woddet z pewnością coś wie, ale nie powie nic więcej niż ten tu Uns.

Dosiadłem swojego wierzchowca.

- Dojadę do skałki, która blokuje drogę i zawrócę. Będę gotów, kiedy zobaczysz, że nastawiam kopię.

W oczekiwaniu na sygnał przeszukiwałem zakamarki pamięci. Sir Woddet znał Czarnego Rycerza; co do tego nie miałem wątpliwości. Woddet przebył szmat drogi, by mnie bronić, żebym nie musiał się zmierzyć z Czarnym Rycerzem. Woddet był przyjacielem, lecz kim był ten rycerz, przed którym chciał mnie uchronić w obawie, że tamten mnie zabije? Próbowałem sobie

przypomnieć rycerzy z Sheerwall. Pamiętałem tylko tych, których spotykałem w komnacie Pani, rycerzy z zamku Valfathera. Sir Galaad, sir Gamuret...

Nie. Woddet był gotów mnie zabić, gdyby zaszła taka konieczność, bylebym tylko nie walczył z Czarnym Rycerzem.

Zagrały trąbki, których przenikliwe dźwięki odbiły się echem od ośnieżonych skał. Opuściłem kopię, którą wystrugałem z kolczastej pomarańczy i usłyszałem w górze grzmot kopyt Chmury i świst wiatru w grzebieniu w kształcie smoka na moim hełmie.

Koniec kopii Czarnego Rycerza, skierowanej na szparę na oczy mojego hełmu, opadł w ostatniej chwili i uderzył w moją tarczę z siłą, od której Chmura zachwiała się. Koniec mojej kopii uderzył w gałkę jego siodła, a czarny rumak stracił równowagę i runął na ziemię.

Zatrzymałem się, zsiadłem z konia i podałem lejce Unsowi. Czarny Rycerz leżał bez ruchu, a ja zauważyłem (tak jak dostrzega się zajęcia między dwoma armiami), że jego czaszka na hełmie jest pęknięta i ma częściowo zgnieciony oczodół.

Potem nasz herold przyklęknął przy Czarnym Rycerzu i zapytał go, czy się poddaje, powtarzając wielokrotnie swoje pytanie.

Czarny rumak podźwignął się na nogi; pomimo naderwanej kuli Czarny Rycerz pozostał w siodle i opadł w nim, tak że mógł spaść. W każdej chwili. Klepnałem herolda w ramię.

- Wystarczy. Jest ranny albo nie żyje. Pomóżmy mu, jeśli to możliwe.

Woddet i Hela znaleźli się u mego boku, Woddet z oczami lśnącymi od łez. W trójkę wyciągnęliśmy Czarnego Rycerza z siodła i położyliśmy na zamarznętej drodze. Woddet, który z trudem mówił, wydusił z siebie:

- Zdejmiesz mu hełm, sir Able? Czy ja mam to zrobić?

Potrząsnąłem głową.

- Wyświadczysz nam obu przysługę, Helo? Zrobisz to?

Zdjęła mu hełm.

- Nie umarł, dobrzy rycerze. Widzicie, jak drgają mu powieki? Jeszcze się w nim kołacze życie. Twarz Czarnego Rycerza była trupioblada, włosy i broda siwe. Obaj z Woddetem przyklękliśmy przy nim. Bertold macał kijem leżącego rycerza.

- Jest tak stary jak ty ojciec - powiedziała do niego Hela. - I ma szlachetną twarz.

- Wiedźcie - zaczął herold - że moim panem jest nie kto inny jak...

Czarny Rycerz dokończył za niego głosem silniejszym niż mogliśmy się spodziewać:

- Książę Marder z Sheerwall.

- Wasza Miłość. - Skłoniłem głowę. - Nie wiedziałem,

- I tak miało być, sir Able. Wciąż nie masz ziemi? Ani pieniędzy?

- Tak, Wasza Miłość.

- Nie musisz... Sir Woddet? Co ty tu robisz?

- Pojechał przed Waszą Miłością - wyjaśniłem mu. - Ponieważ bał się, że cię zabiję.

- Pokonałeś go. - Marder spróbował usiąść, co mu się udało przy pomocy Heli. - Chciałem poddać cię próbie, sir Able. Przede wszystkim przekonać się, czy dasz się skusić. Przeszedłeś obie próby. - Zakaszłał. - Niestety, ja nie zdałem drugiego testu.

- Twoja kopia dobrze mierzyła w mój hełm - powiedziałem do niego. - Opuściłeś ją.

- Oczywiście. Chciałem cię wybadać, a nie oślepić. - Marder zauważył Bertolda i spoważniał. - Wybacz, panie rycerzu. Nie chciałem cię obrazić.

- Jestem zwykłym biedakiem, sir.

- Wszyscy ci ludzie. - Marder rozejrzał się trochę zdezorientowany. - Ta... ta wybujała panna. I ten tam, największy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałem.

- To mój brat, Wasza Miłość, i za pozwoleniem prawdziwy mężczyzna, choć mało rozmowny. A tam stoi inny szlachetny rycerz, Wasza Miłość, dobry sir Leort z Sandhill.

Uns szepnął jej coś do ucha.

- Ten godny zaufania sługa podał mi imię panny, która mu towarzyszy, tak bym mógł ci ją przedstawić, Wasza Miłość. To jest córka lorda Beela, lady Idnn.

Idnn podeszła i podała rękę Marderowi, uśmiechając się.

- Choć spotykamy się w trudnych warunkach, przywitajmy się przyjaźnie, jesteście Idnn, królowa Jotunlandu.

## ROZDZIAŁ 14

### UTGARD I RÓWNINA

Dopiero co wstał dzień.

- Na tyle wąsko, że trzeba wchodzić pojedynczo, sir Svonie - rzucił sierżant i poszedł dalej. - Mam tam trzech łuczników i dwa miecze.

Svon odpowiedział skinieniem głowy i pokuśtykał za nim razem z Tougiem. Zbrojni obnażyli miecze, a łucznicy przygotowali strzały. Wszyscy jakby odetchnęli z ulgą na widok Svona. Kiedy sierżant otworzył na oścież żelazne drzwi, Toug zrozumiał. Przez to wejście mogło przejść obok siebie dwóch rycerzy albo jeden konny z pochyloną głową, lecz Angronita w tym mroźnym przesmyku musiał się pochylić i w ogóle wydawał się zbyt duży, by przejść tędy. Jego duża, zarośnięta brodą twarz przypominała wierzch wojennego kotła, poznaczona bliznami, dziobata i pełna brodawek. Na jego widok Toug wyjął z pochwy Łamimiecz.

- Kto jest twoim królem? - zapytał Svon.

- Gilling. - Głos zabrzmiał jak bicie bębna. - Gilling jest prawdziwym królem, a w jego żyłach płynie krew rodu Bergelmira.

Toug obserwował oczy olbrzyma, zafascynowany i przerażony jednocześnie, ale nie potrafił powiedzieć, czy tamten kłamie.

- Tak i my twierdzimy - odpowiedział mu Svon. - Wejdz, przyjacielu.

- A pozostali?

- Powiedz im, żeby wrócili tu w nocy.

- Jestem Schildstarr. Powiedz królowi.

- Jego Królewska Mość śpi - odparł Svon oficjalnym tonem. - Chcesz wejść - sam - czy nie?

- Powiem im. - Schildstarr cofnął się o krok. - Lepiej zamknijcie te drzwi.

Rozległ się szcęk zamykanych drzwi, a łucznicy zasunęli ogromny rygiel.

- Czy ich król rzeczywiście poślubił lady Idnn? - zapytał szeptem sierżant, choć wydawało się niemożliwe, by Schildstarr mógł ich podsłuchać, nawet



gdyby przykucnął i przyłożył ucho do drzwi.

Svon skinął głową z kamienną twarzą.

- Na Thunora!

- Opiekuje się nim teraz - wtrącił Toug - a pomagają jej niewolnice i pokojówki. Bo przecież nie jest łatwo zajmować się kimś tak dużym. Współczuję jej - tak jak my wszyscy.

- Przyrowadź Thiaziego - zwrócił się do niego Svon. Toug zapalił pochodnię w wartowni i odszedł szybko.

Wysokie do kolan stopnie na nieoświetlonych schodach, które prowadziły (przez masę kamienia całej góry) na górne poziomy, zdawały się nie mieć końca; puls w jego ranie i mozolny stukot jego butów szydziły z jego własnego zmęczenia.

Po jakichś stu stopniach, usłyszał inne odgłosy i początkowo wmawiał sobie, że to echo jego własnych kroków powracające z góry, lecz wkrótce zorientował się, że tak nie jest. Ktoś lub coś schodziło lekko po schodach.

Spowijał go coraz większy chłód i choć owinął się szczelnie ciepłym płaszczem, który dostał od Idnn, nie czuł już jego ciepła. Ujrawszy na stopniu przed sobą szmaragdowe oczy Maniego, domyślił się, co wyrażają.

- To ona, prawda? Wiedźma.

- Moja ukochana pani - oznajmił podniosłym tonem Mani.

- Tak nazywasz lady Idnn.

- Królowa Idnn także jest moją ukochaną panią - wyjaśnił Mani. - Moja lojalność dla obu nie ma granic.

Głos z ciemności zapytał:

- Chcesz ją zobaczyć? - Mógłby to być głos wiatru z zewnątrz, gdyby tylko wiatr potrafił stać się słyszalny.

- Tak. - Toug oparł się o ścianę, marząc o tym, by móc usiąść. - Jeśli znowu mamy rozmawiać, to tak byłoby lepiej.

Idnn, która nie była Idnn, zeszła po schodach, widoczna w słabym świetle pochodni lepiej, niż można się było tego spodziewać.

- Król Gilling jest bestią. - Fałszywa Idnn mówiła tak jak mówi zima. - Nie posiądzie mnie - o tym przysłam ci powiedzieć. Sprowadzę sir Able'a i on mnie uratuje.

- Może zrobi to sir Svon - zaproponował Toug.

- Ty też byś mógł. Nie spałeś jeszcze z kobietą.

- Jeszcze nie. - Toug pokręcił głową.

- Mówisz prawdę. Mani, czy on jest prawdomówny?

- Och, tak!

- Ale widziałem wszystko - wyjaśnił Toug. - I wiem, co trzeba robić.

- Nie widziałeś, jak król Gilling przyjmuje pannę młodą. Będzie leżał na plecach z podniesionym członkiem.

Toug skinął głową z wahaniem.

- A ja, naga, będę go kochała, jakby to był karzeł, prawdziwy mężczyzna. Narysuję mu wpatrzone we mnie oczy i uśmiechnięte usta. Namaszczę go słodkim olejkiem, będę zachęcała i całowała, prosząc o jego miłość. Gilling mi odpowie, przemawiając w imieniu Karla, którego całuję. A potem wybuchnie i skapie mnie w swoim nasieniu, a ja będę go wielbić i dalej całować, zapewniając o swoim szczęściu i prosząc, by nie odchodził.

- Lady Idnn tak nie postąpi - powiedział Toug pewnym siebie głosem.

- Jeśli tego nie zrobię albo okażę mu niechęć czynem czy choćby jednym słowem, to umrę - odpowiedziała mu fałszywa Idnn. - Wierz mi, nie będę pierwsza, która zginie w ten sposób. Myślisz, że ona nie może urodzić mu dziecka?

- Nie chcę o tym rozmawiać - wydusił z siebie Toug.

- Jego nasienie wedrze się w nią brutalnie. Czy wiesz, jakie duże urodnie dziecko, kiedy pocznie?

Fałszywa Idnn zaczęła się rozrastać. Toug zamknął oczy, lecz mimo to wciąż widział Idnn, jej ciało, ogromne, zniekształcone, zwieńczone zapłakaną twarzą. Niewidzialne dłonie zdjęły z niej ubranie i otworzyły ją od piersi po uda. Przycisnął palcami oczy, by pozbyć się widoku krwi; wiła się za jego powiekami drżąca, a potem znieruchomiła.

Kiedy wreszcie doszedł do siebie, zobaczył, że siedzi, jak tego chciał, na brudnej i zimnej podłodze półpiętra i płacze, kołysząc się na boki.

- To się jeszcze nie stało - powiedział Mani głosem tak miłym, jakim nigdy nie przemawiał. - Może nigdy się nie zdarzy.

- Nie zdarzy - oświadczył Toug przez łyżę. - Nie pozwolę na to. Zabiję go. Nie obchodzi mnie, czy to jest morderstwo, zabiję go.

- Nie jest. A teraz podnieś pochodnię i zgaś płomień, zanim się wypali. - Mani zeskoczył z ostatniego stopnia na podłogę półpiętra i potarł swój miękki bok o kolano Touga ku jego zdziwieniu. - Kiedy zabijam innego kota, to jest morderstwo, chyba że w pojedynku. Popełniłbyś morderstwo, gdybyś zabił, powiedzmy, sir Garvaona czy lorda Beela nie w pojedynku. Lecz król

Gilling nie jest podobny do ciebie bardziej niż Org.

Toug przestraszony wstał szybko.

- Czy on jest tam na dole?

- Org? O ile wiem, to nie.

- Ale tak było, prawda? Kiedy sir Svon i sir Garvaon walczyli z olbrzymami, Org był tam i gasił pochodnie, żeby olbrzymy go nie zobaczyły.

Mani ziewnął, zakrywając uprzejmie pysk czarną łapą.

- Oczywiście.

- I on... Czy on ich przytrzymał z tyłu czy coś takiego? Dlatego rycerze wygrali?

- Nie wiem. W ciemności panował chaos.

Toug wdrapał się na stopień, z którego właśnie zeskoczył Mani.

- Muszę sprowadzić Thiaziego. Sir Svon go wzywa.

- W takim razie go sprowadź. Czy mogę pojechać na twoim ramieniu?

Toug podsunął wolne ramię.

- Wskakuj.

Kiedy pokonali kolejne kilkanaście stopni, Toug zapytał:

- Czy to Org dźgnął króla?

- Nie wiem, kto to zrobił - odpowiedział Mani. - Nie widziałem, jak to się stało, choć żałuję. - Na następnym stopniu dodał: - Wątpię. Z tego, co widziałem, Org przeważnie łamie przeciwnikowi kark. Pewnie myślisz, że nie ma takiego siłacza, który by potrafił łamać karki tym olbrzymom, ale on to potrafi.

- Król został ugodzony ostrzem. Rana jest głęboka, więc musiał to być miecz albo duży sztylet.

- Król zabił mistrza Crola - powiedział zamyślony Mani.

- Wiem. - Toug wspiął się na kolejny stopień. - Łatwiej by się wchodziło, gdyby było się czego złapać.

- Porozmawiam z nimi.

- Org powinien słuchać sir Svona. Ktoś mi tak powiedział. Ty chyba.

- Bardzo możliwe.

- Zabicie mistrza Crola nie było w porządku. Ani trochę. Dlaczego więc sir Svon nie miałby kazać Orgowi zabić króla?

- Nie widzę powodu, żeby tak nie było - przyznał Mani. - Ale tak nie zrobił. Bo widzisz, podsłuchiwałem, kiedy Svon wydawał polecenie Orgowi. Ani słowem nie wspomniał o królu.

- Nieładnie podsłuchiwać innych.

- Wprawdzie z pewnym wahaniem, lecz muszę się z tobą nie zgodzić. Często jest to całkiem przyjemne i kształcące. Kot, który ma uszy otwarte, może się wiele nauczyć.

Toug piał się niezmordowanie w górę i zbliżał do właściwego piętra, gdzie rozmowa miała się zakończyć. Zatrzymał się i pomachał pochodnią, by rozdmuchać płomień.

- Myślę, że powinieneś mi powiedzieć wszystko. Muszę więcej wiedzieć.

- O tym, co sir Svon powiedział Orgowi? - Mani zeskoczył z ramienia Touga i się przeciągnął. - No cóż, to było wtedy, gdy sir Svon...

- Miałem na myśli to, co robisz z wiedźmą. Ona chce, żebym zabił króla. Jeśli to zrobię, znajdziemy się w jeszcze większych kłopotach, niż teraz jesteśmy.

- Ona chce, żebyś uratował królową Idnn - zaproponował Mani. - A to coś zupełnie innego.

- I chce żeby wrócił sir Able. Tak powiedziała Thiazemu.

- Którego mamy sprowadzić? Czy tak słyszałem? Pewnie sir Svon chce go widzieć, skoro cię tu przysłał.

Toug mówił dalej niewzruszony:

- Powiedziała mu, że król powinien go wynająć, jeśli chce zostać królem, co by znaczyło, że jest po stronie króla.

Mani wygładził wąsy.

- Wątpię.

- Nie mówi ci takich rzeczy?

- Czasem mi się zwierza - odpowiedział nieco napuszony. - O tym jednak mi nie mówiła. Miałem towarzyszyć sir Able'owi i jego okropnemu psu. Miałem służyć sir Able'owi w miarę swoich skromnych możliwości, co też czynię. Sir Able podarował mnie królowej Idnn, a ja bez jednego miauknięcia przeniosłem na nią moją lojalność. Ona z kolei przekazała mnie swojemu mężowi, królowi, to kolejny awans na drabinie społecznej. Zgodzisz się ze mną?

- Ale wciąż należysz do wiedźmy - oświadczył z goryczą Toug.

- Oczywiście. - Mani wskoczył na kolejny stopień. - Ach, rozumiem. Boisz się, że powiem królowi Gillingowi o tym, iż planujesz go zabić.

Toug, który w ogóle o tym nie pomyślał, otworzył usta.

- Pewnie, że nie powiem. Nie rozumiesz tego, że jestem lojalnym

przyjacielem. Gdyby ktoś znowu próbował go zabić w mojej obecności, może bym interweniował. A może nie. To by zależało od okoliczności.

\* \* \*

- Panował tam nieopisany chaos - powiedziała nam Idnn poprzedniego wieczora. - Nie pojmiecie, co się wydarzyło, jeśli tego nie zrozumiecie. Pochodnie, a przynajmniej większość z nich, zgasły wcześniej. Sir Svon i sir Garvaon walczyli z mistrzami, których wystawił przeciwko nim Jego Królewska Mość, a także z innymi, ponieważ tamci przyłączyli się do walki. Niektórzy walczyli między sobą pijani, odgrzewając dawne rany i stare kłótnie. I nagle jego Królewska Mość wyprostował się jakby porażony nagłym atakiem choroby. Zadrzał gwałtownie i odrzucił głowę do tyłu. I wtedy domyśliłyśmy się, że stało się coś strasznego. A potem zgiął się wół, a my zsunęłyśmy się z jego ramienia. Chwilę później leżał u naszych stóp. Przybył jego minister. Sądziłyśmy, że sprowadziły go nasze krzyki, lecz on wyznał nam potem, że jakiś Aelf powiedział mu, że nasz mąż jest w niebezpieczeństwie. - Idnn zamilkła, wpatrując się w moją twarz i w oblicze Mardera. - Wtedy nie był jeszcze naszym mężem. Czy udzieliłyśmy dostatecznych wyjaśnień?

- Nie! - Rycerz herbu Lamparty nie mógł się dłużej powstrzymać.

- Mów dalej, Wasza Królewska Mość - powiedziałem.

- To było strasne. Thiazia kazał nam się nim opiekować i gdzieś zniknął. Poszedł sprowadzić ludzi, żeby pomogli zanieść króla do zamku, lecz wtedy jeszcze tego nie wiedziałyśmy. Stałyśmy przy nim i krzyczałyśmy, pilnując, by inni go nie zdeptali. Potem przyszedł nasz ojciec, a także Thiazia z niewolnikami, którzy przynieśli lektykę. Byli ślepi - ślepi ludzie, a my chcieliśmy z tym skończyć. W każdym razie byli ślepi i panowała ciemność, do tego wszyscy krzyczeli i się bili, a tamci ślepcy z pomocą Thiaziego przetoczyli króla na lektykę i go wynieśli. Próbowaliśmy go osłaniać i myśleliśmy, że nie żyje.

- Nic nie zjadłaś, królowo Idnn - wtrąciła cicho Gerda - a ten sarni udziec jest przepyszny. Z cebulą! Cebula to tutaj wielki przysmak.

Idnn posłusznie spróbowała mięsa.

Patrząc na nią, żałowałam, że nie umiem malować. Siedziała na tle skał

oblanych gasnącym światłem, w diamentowym diademie, ubrana w czarny aksamit, w towarzystwie księcia Mardera o sędziwym obliczu po jej prawej stronie i rycerza herbu Lamparty ubranego w pelisę z lamparciej skóry po lewej, a wszystko to tworzyło scenę wymarzoną dla niejednego malarza.

- Pójdziemy tam? - zapytał szeptem Woddet.

- Ja raczej tak - odpowiedziałem. - Ale ciebie nie zmuszam.

- Skoro ty idziesz, to i ja pójdę.

- I ja - oświadczył rycerz herbu Lamparty.

Marder podniósł głowę znad talerza.

- Musimy spróbować ogarnąć całą sytuację. Jesteś w stanie, sir Able?

Pokręciłem głową, wtedy Marder zwrócił się do Idnn:

- Czy wiesz, kto zadał cios?

- Nie. - Idnn odłożyła sztylet ze srebrną rękojeścią, który wyjęła, kiedy usiedliśmy, a na którym wciąż tkwił nabity kawałek mięsa. - Siedzieliśmy na jego ramieniu. Niektórzy z naszych... ludzi walczyli, a on rozkazał, żeby przestali, kiedy został ugodzony w plecy. Było ciemno, bardzo ciemno, choć paliło się kilka pochodni.

- W tym cały problem - rzekł Marder. - Jeśli mamy ci pomóc. Wasza Królewska Mość - ja przynajmniej uczynię wszystko, co w mej mocy - musimy ogarnąć tę sytuację. Moje pytania wydadzą się impertynenckie, ale muszę je zadać. Wybaczysz mi?

- Oczywiście. - Idnn położyła dłonie na kolanach i teraz przebierała palcami.

- Musimy to wiedzieć, a ja pozostanę twoim przyjacielem bez względu na odpowiedź. Czy to ty ugodziłaś go nożem?

Podniosła wzrok i wzniosła ręce ku chmurom skąpanym w złościępurpurowym blasku zachodzącego słońca.

- Pani ze Skai jest świadkiem naszej niewinności! Jeśli się tego dopuściliśmy, odbierz nam wszelkie przywileje! - Opuściła powoli dłonie, spojrzała na nie i znowu podniosła, podsuwając je Marderowi. - Nie będziemy pytać, czyś kiedy obciął dłonie kobiecie, Wasza Miłość, bo jesteśmy pewni, że nie. Lecz jeśli znajdziecie krew na tych dłoniach, możesz je obciąć, proszę bardzo. Albo niech to zrobi kat.

Marder skinął głową.

- Rozumiem, Wasza Królewska Mość. Musiałem zadać to pytanie, choć domyślałem się odpowiedzi. Zadam więc kolejne, równie niechętnie. Kim

twoim zdaniem mógł być zamachowiec? Rozumiem, że nie widziałaś, kiedy zadawano cios, i nie możesz przedstawić żadnego dowodu. Ale czy się niczego nie domyślasz?

- Ani trochę.

Siedząca po drugiej stronie ognia Hela posłała mi znaczące spojrzenie i powiedziała:

- Panie rycerzu?

- Tak - odpowiedziałem i chrząknąłem. - Wasza Królewska Mość, muszę zabrać głos. Ta tutaj Hela wie wszystko, o czym zamierzam powiedzieć. Sir Woddet i sir Leort wiedzą tylko część, podobnie jak inni z wyjątkiem Waszej Królewskiej Mości, która nic nie wiesz. Czy mnie wysłuchasz?

- Ochoczo - odparła Idnn - jeśli twoje słowa rzucą światło na tragedię mojego męża.

- Mogą ją jeszcze bardziej zaciemnić - odpowiedziałem jej. - Obawiam się, że tak będzie. Ten pierwszy minister, czy można mu ufać?

- Czy komukolwiek można ufać? - mruknęła Hela.

- Sir Able - wtrącił donośnym głosem Bertold Śmiały - zbyt często mówi prawdę. Ty możesz mi ufać, ale nie zaufa mi żaden Gigant Mrozu.

Idnn przytaknęła mu.

- Właśnie. Nasz mąż darzył zaufaniem Thiaziego, a my domyślamy się, że miał ku temu powody - Thiazi by go nie zdradził. Lecz on jest synem Angr, my zaś jesteśmy kobietą spośród ludzi.

- Zawiadomił cię, że jakiś Aelf powiedział mu, iż król Gilling jest w niebezpieczeństwie?

- Tak powiedzieliśmy.

- Myślę, że w tym względzie przynajmniej można mu zaufać. Przyszła do mnie kobieta Aelfów, by mi powiedzieć, że jej siostra ugodziła króla. Powiedziałem o tym sir Woddetowi, sir Leortowi i innym, choć nie wyjawiałem im, że ta kobieta jest Aelfem Ognia. Znam ją dość dobrze. Nazywa się Uri. Jej siostra ma na imię Baki. Ją także znam.

W oczach Idnn pojawił się błysk nadziei.

- Co za wieści!

- Jeśli są prawdziwe, a tego nie jestem pewien.

Marder pokręcił głową przygnębiony.

- Wieści od Aelfów? Też bym im nie ufał. - Zwrócił się do Idnn: - Inne pytanie, Wasza Królewska Mość. Czy król może mówić?

- Nie mógł, kiedy go opuszczaliśmy.

- W takim razie nie sposób się dowiedzieć, kto jego zdaniem się tego dopuścił, choć mogłoby nam to bardzo pomóc. A ten Thiazi? Co mówi?

- Że to któryś z naszych ludzi, jeden z Angronitów. W chwili gdy mój małżonek zasiadał na tronie, wybuchły rebelie, gdyż wielu rościło sobie prawo do tronu. Większość swoich rządów spędził na tłumieniu podobnych buntów. Thiazi twierdzi, że pewnie jeden z buntowników postanowił zdobyć podstępem to, czego nie udało mu się uzyskać w uczciwej wojnie.

- A ty? - zapytał rycerz herbu Lamparty. - W co wierzysz?

Idnn westchnęła.

- Przede wszystkim pozwólcie nam powiedzieć, że Thiazi jest adeptem sztuki. Jego sztuka potwierdza jego opinie, dlatego przywiązujemy do nich dużą wagę.

- Kłamiwe duchy - mruknął Marder.

Rycerz herbu Lamparty chciał zabrać głos, lecz Idnn powstrzymała go gestem dłoni.

- Po drugie, musimy ci wyznać, sir Able, że i nas odwiedził posłaniec. Pomówimy o tym na osobności. Po trzecie, powinniśmy was poinformować, że nasz szlachetny ojciec sądzi, iż to ktoś z nas zaatakował naszego męża. Wyznał to z ciężkim sercem, lecz jest naszym ojcem i wiemy, że takie żywi przekonanie. Bardzo go to martwi, a my musimy wziąć pod uwagę jego słowo. Nasz ojciec jest mądrym człowiekiem o dużym doświadczeniu i sam także para się sztuką.

Idnn zamilkła na moment i uśmiechnęła się do mnie.

- I wreszcie trzeba nam rozważyć słowa sir Able'a. Tym dogłębniej się nad nimi zastanowimy, im więcej on sam im poświęci uwagi.

- Jeśli chodzi o mnie - powiedział Marder - największe znaczenie przywiązuję do twojej opinii. Co mamy? Aelfa, Angronitę i ludzi lorda Beela. Kogo wybierasz?

Idnn westchnęła.

- Nikogo. My... to jeden z powodów, dla którego uciekłyśmy.

- Damy ci eskortę do zamku twojego ojca albo do zamku króla Arnthora - gdziekolwiek zechcesz się udać.

W spojrzeniu Idnn pojawił się błysk.

- Wyobrażasz sobie, że mogłybyśmy opuścić naszego rannego męża? Nigdy! Przyszłyśmy tu, by szukać pomocy dla niego, znaleźć odważnych



rycerzy, którzy by pojechali do Utgardu. Pojedziesz, sir Able? Jeśli się tam udasz, on będzie żył, a my zwyciężymy. Wiemy to!

- Nie mogę - powiedziałem - tak długo, jak długo wody zatoki Forcetti skuwają lody. Do tego czasu muszę strzec przełęczy. Przykro mi.

Marder skierował na mnie przenikliwe spojrzenie niebieskich oczu.

- A jeśli cię zwolnię z przysięgi?

- Wtedy bym pojechał, oczywiście, Wasza Miłość. Zwalniasz mnie?

Marder potrząsnął głową,

- Taki miałem zamiar, kiedy tu jechałem - zamierzałem to uczynić. Lecz teraz chcę usłyszeć więcej.

- A zatem pytaj - zwróciła się do niego Idnn. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak trudną drogę pokonaliśmy? Jakich niebezpieczeństw uniknęliśmy? Nocy by brakło, by opisać czyny tylko samego sir Able'a.

- Nie będzie sam - powiedział sir Woddet.

- Sir Able ma moje słowo honoru - wtrącił rycerz herbu Lamparty. - Pojadę z nim, jeśli mnie z niego zwolni. Jeśli nie, to muszę z nim pojechać.

- Mój pan nie ma żadnych zbrojnych poza moim bratem - powiedziała cicho Hela. - Ani łuków poza własnym. Ci, których przyprowadził ze sobą Czarny Rycerz, przewyższają liczebnością ludzi dobrego sir Woddeta i sir Leorta razem wziętych. Co mówi Czarny Rycerz?

Idnn przygryzła wargę.

- Że chce usłyszeć więcej. Wasza Miłość, coraz bardziej doskwiera nam głód. Pytaj i pozwól nam zjeść. Gdy skończysz odłożymy na bok jedzenie.

- Musimy chyba o tym porozmawiać. - Marder napił się wina. - Sir Woddet i sir Leort dotrzymują słowa honoru. Ja ci go nie dałem, sir Able, a mimo to mnie nie związałeś. Teraz ci je daję. Pozostanę twoim więźniem, dopóki nie otrzymasz okupu. Sam go wyznacz. Czy ten wystarczy?

Skinął głową.

- Wystarczy, Wasza Miłość, a jeśli zwolnisz mnie ze swojego słowa, będzie to godziwa zapłata.

Marder pokręcił głową.

- Chcę usłyszeć więcej. Bez odpowiedzi pozostaje pytanie sir Leorta jak i moje. Wasza Królewska Mość, jak to się stało, że poślubiłaś króla Gillinga? Dlaczego wyruszyłaś w tak trudną podróż?

Ostrze sztyletu Idnn zatrzymało się w połowie drogi do ust.

- Dzielny sir Leortcie, musisz nam wybaczyć. Zapomnieliśmy.

- Cofam swoje pytanie - rzucił pospiesznie rycerz herbu Lamparty - i przepraszam, że sprawiłem ci ból.

- Mimo wszystko musimy usłyszeć odpowiedź - rzekł Marder. Chciałaś, bym przedstawił wszystkie swoje pytania, Wasza Królewska Mość, mam więc następne. Nie możesz podać imienia zamachowca. Z drugiej strony bolesnym byłoby dla ciebie wyrażenie choćby swojej opinii. Dlaczego?

Idnn odłożyła widelec.

- Ponieważ tylu niewinnych ludzi może umrzeć. Nie byłeś w Utgardzie, Wasza Miłość?

Marder pokręcił głową.

- Nie, nigdy.

- Nasi biorą w niewolę mieszkańców królestw południowych. - Teraz głos Idnn złagodniał. - Spójrz na tę parę starszusków - kobieta nosi łańcuchy. Czy oni byli niewolnikami w Jotunlandzie?

- Nie wiem, jak się rozmawia z królową - mruknął Bertold.

- Ale teraz masz prawo - zachęciła go szeptem Gerda. Wtedy on dodał:

- Wasza Królewska Mość ma prawo.

- Oślepił cię, dobry człowieku?

- Wyłupili mi oczy. Tak zrobili.

- W Utgardzie mamy takich setki - zwróciła się Idnn do Mardera. - Choć wszyscy są młodszy, przeważnie dużo młodszy. Było ciemno, jak już ci mówiliśmy, lecz co znaczy ciemność dla ślepego? Kto miałby lepszy powód, by nienawidzić króla, mojego małżonka?

- Nie powinienem być domagać się twojej odpowiedzi - wyznał Marder. - Nie mówmy już o tym. Gdyby Angronicy myśleli tak jak ty, wyróżniliby wszystkich. Czy wszyscy z was słyszeli, że królowa Idnn zrozumiała?

- Nic nie powiemy - zapewnił go Woddet, a pozostali mu przytaknęli.

- Być może się mylimy - wyszeptła Idnn. - Mam nadzieję - ogromną nadzieję - że się mylimy. - Zamilkła na chwilę, by się opanować. - Jak mówiłyśmy, zsunęłyśmy się z ramienia Jego Królewskiej Mości. Miałyśmy ze sobą Maniego, ale musiałyśmy go gdzieś wypuścić. Zaniosłyśmy Jego Królewską Mość do wieży, gdzie nie było zbyt dużo światła, a potem niewolnice przyniosły latarnie. Nie wiedziałyśmy, jak ciężko jest ranny. Nie wiedziałyśmy nawet, czy w ogóle jeszcze żyje, a wszędzie były ślady jego krwi.

- Gdzie został ranny? - zapytałem.

- W plecy.

Idnn odstawiła swoją tacę i wstała, a ja z nią. Zapomniałem, jak jest niska i aż zadrzałem, gdy wyobraziłem ją sobie pośród tłumu kotłujących się i wrzeszczących gigantów.

- Czy możesz... Helo, tak masz na imię?

- Do usług Wasza Królewska Mość. Może byłoby łatwiej Waszej Królewskiej Mości, gdybym przyklękła?

- Nie. Stój tak jak teraz, tylko się odwróć do nich plecami.

Kiedy Hela wykonała jej polecenie, Idnn wspięła się na palce i odsunęła surową skórę, którą nosiła Hela, by pokazać miejsca rany.

- Z prawej strony - powiedziałem - pod łopatką?

- Tak. Dokładnie w tym miejscu.

- Zaatakowany z tyłu przez praworęcznego przeciwnika - powiedział Marder. - Gdyby sztylet trzymał któryś z nas, musiałyby być bardzo wysokim mężczyzną.

- Ktoś bardzo wysoki ze sztyletem - powiedziałem. - Nie widziałem króla Gillinga, ale spotkałem Angronitów, a nawet kilku dźgnąłem. Są o wiele wyżsi niż Hela.

- Mógł stać na czymś - zauważył Woddet.

Marder pokręcił głową.

- Mało prawdopodobne.

- A jednak - powiedziałem - lord Beel, który był tam wtedy, obawia się, że to któryś z jego ludzi. Przyłączył się do ciebie, Wasza Królewska Mość, kiedy pilnowałaś rannego króla?

Idnn skinęła głową.

- I był z tobą, kiedy niosłam króla do wieży?

- Oczywiście. Wtedy nasz mąż rozmawiał. Wcześniej tylko jęczał. Zapytała naszego ojca i Thiaziego, kto go zranił. Ojciec odpowiedział, że nie wie, Thiazi zaś powiedział, że to jakiś buntownik. Potem zanieśliśmy go na górę - to znaczy niewolnicy go zanieśli, a my poszliśmy z nimi. Pluł krwią, a po każdym kaszlnięciu wydawało mi się, że już umiera. To było straszne. Szliśmy za lektyką, a podłogę pokrywały ogromne plamy krwi. One...

Idnn usiadła niespodziewanie, wtedy Marder, Woddet, rycerz herbu Lamparty, Ślepy Bertold i Gerda, Hela i Heimir, Uns i ja także wróciliśmy na swoje miejsca, zachęceni jej skinieniem głowy.

- Zamierzałyśmy wam powiedzieć, że oni sprawiali wrażenie żywych -

powiedziała cicho Idnn - ale to nie było całkiem tak. Oni umierali. - Jak... jak meduza. Czy mówiłyśmy, że go zabandażowaliśmy? Opatrzyliśmy mu ranę bandażem, lecz nie krwawiła zbyt mocno, za to wciąż kasłał.

- Ssąca rana - powiedział Marder, a ja mu przytaknąłem.

- Położyliśmy go na łóżku, wszyscy niewolnicy, Thiazi, nasz ojciec i my. Kazał zaryglować drzwi zamku, rozumiecie. Bał się, że osoba, która go zaatakowała, wejdzie i... Skończy. Tak powiedział. Skończy.

- Thiazi poszedł sprawdzić, czy drzwi są zaryglowane; rycerze weszli wcześniej do środka za naszym ojcem. Sir Svon i sir Garvaon. Przed atakiem na króla zabili Skeola, a zaraz potem próbowali uratować nam życie. Przyszli na górę z mistrzem - z mistrzem Papounce'em i innymi ludźmi naszego ojca. Niektórzy odnieśli rany, więc ich opatrzyliśmy.

Dopiłem wino, wyrzuciłem męty i odstawiłem swój dzban.

- Chcesz, żebyśmy wrócili z tobą do Utgardu. Zrobię to, jeśli będę mógł, lecz może dobrze by było, żebyś nam o tym powiedziała. Co możemy zrobić?

Idnn podniosła głowę.

- Nasz ojciec rozmawiał z naszym mężem, kiedy Thiazi się oddalił. Byłyśmy tam i słyszałyśmy ich rozmowę, lecz w niej nie uczestniczyłyśmy. Najpierw zapytał naszego męża, komu może zaufać, a kiedy nasz mąż powiedział, że tylko Thiazemu, nasz ojciec zapewnił go, że on może zaufać nam, i dodał, że nasz król przysłał nas z pokojową misją i że go nie zdradzimy.

- Nasz mąż przyjął te słowa z wdzięcznością. Rozumiecie, był słaby. Bardzo słaby, lecz wciąż dziękował naszemu ojcu. Potem ojciec przypomniał mu, że magia Thiaziego powiedziała, iż tron pozostanie bezpieczny, jeśli was przyjmie na służbę.

Spojrzała na Mardera, Woddeta i rycerza herbu Lamparty.

- Pewnie o tym nie wiecie, ale tak było. Thiazi wyrecytował jakieś zaklęcia i spojrzał w swój kryształ, wtedy duch z niego oznajmił, że król musi nakłonić sir Able'a, aby walczył w jego imieniu, bo inaczej straci tron. Wcześniej obaj z Thiazim powiedzieli o tym naszemu ojcu i ojciec przypomniał mu o tym.

Marder zapytał, czy król się zgodził.

- Och, tak. - Idnn otuliła się szczelniej czarnym, aksamitnym płaszczem. Słońce schowało się już za górami, a wiatr nioś obietnicę śniegu. - Chciał,

żeby nasz ojciec posłał po ciebie, a ojciec obiecał, że tak zrobi.

- Nikt nie przybył - powiedział Woddet.

- My przyjechaliśmy. Poślubiłyśmy Jego Królewską Mość następnego dnia. Wydawało nam się - to znaczy, naszemu mężowi, ojcu i mnie - że dobrze się stanie, jeśli świadkami ceremonii będą Thiaz, Thym i inni Angronici. Złożyliśmy ofiary naszym Overcynom i Gigantom ze Skai. Drobne ofiary, trzy ptaki i dwa króliki, bo tylko tyle mieliśmy. Nasz mąż...

- Tak? - spytał Marder.

- Chciał złożyć w ofierze dwudziestu niewolników. Udało nam się mu to wyperswadować, tłumacząc, że król Arnthor nigdy by nam nie pomógł, gdyby wiedział, że składamy w ofierze ludzi.

- Liczyłaś na pomoc Thortower? - zapytał Marder.

- Tak, oczywiście. Miałyśmy nadzieję, że gdy król Arnthor dowie się, że my, szlachetnie urodzona kobieta z jego królestwa, zostałyśmy królową Jotunlandu, to przyśle pomoc.

- Wreszcie rozumiem - powiedział rycerz herbu Lamparty.

- Zrozum też, że najlepsze jest milczenie - zwrócił się do niego Marder.

- Twój ojciec obiecał królowi Gillingowi, że przyśle kogoś na pomoc - powiedziałem - ale przecież nie mógł mieć ciebie na myśli.

- Pewnie szaleje ze zmartwienia - przyznała Idnn - ale wkrótce namówi Thiaziego, żeby zobaczył nas w swoim kryształce albo sam ujrzy nas w basenie - możesz powiedzieć o tym pozostałym, jeśli chcesz. I wtedy dostrzeże nas tutaj, jak rozmawiamy z tobą, i będzie wiedział, że jesteśmy bezpieczni. Sir Garvaon i sir Svon zgłosili się, że pojedą, ale przecież odnieśli poważne rany. Bardzo się bałam, że ojciec pozwoli jechać sir Svonowi. Odniósł lżejsze rany niż sir Garvaon i jest młodszy. To cud, że tak szybko wydobrzył. Zgłosili się też ich giermkowie, którzy chcieli pojechać zamiast nich, osobno lub też razem, ale jeden z nich jest ranny, a poza tym to jeszcze chłopcy. Tak więc my pojechaliśmy.

- I dojechaliście bezpiecznie - zauważyłem.

- Dzięki lasce Pani. Modliłyśmy się - jak gorliwie się modliłyśmy - aby zachowała nas przy życiu do czasu skonsumowania naszego małżeństwa i teraz mamy powód, by wierzyć, iż wysłuchała naszych modlitw. Byliście cierpliwi, wszyscy. Czy okażecie jeszcze trochę cierpliwości? Sir Able, wiążesz słowem honoru Jego Miłość?

- Tak sądzę, lecz uwolnię go od niego, gdy tylko tego zapragnie. Nie

domagam się żadnego okupu.

- W takim razie zwolnij go z jego słowa, a my będziemy go błagać, aby udał się do króla Arnthora i powiedział mu, jak bardzo potrzebujemy jego pomocy w Utgardzie. - Idnn odwróciła się do Mardera i ujęła jego dłoń. - Pojedziesz, prawda, Wasza Miłość? Pokój - trwały pokój z Jotunlandem - jest w zasięgu naszej ręki. Będziemy cię błogosławić do końca naszych dni.

- Jesteś niezwykłą królową, Wasza Królewska Mość. - Marder otrząsnął się tak samo jak to robił Gylf, kiedy wychodził z rzeki. - Tak dobra, tak piękna i dzielna, że aż kusi, by dać ci wszystko, o co poprosisz, choćby nie wiem jak było to niemądre. Dziesięć lat temu pewnie bym tak zrobił.

Wsunął dłoń do kieszeni swojego kaftana.

- Zajmijmy się najpierw mniej ważnymi sprawami. Sir Able, oto pieniądze na poczet mojego okupu. Składałeś przede mną hołd lenny, czy nie tak? W takim razie musisz być posłuszny moim instrukcjom. Weź te pieniądze i się nie sprzeciwiaj. Musimy wyruszyć jutro i to wcześniej.

Sakiewka, której przyjęcia odmówiłem wcześniej, wylądowała na moich kolanach.

- W ramach reszty okupu masz moje względy do końca mego życia i miejsce w mojej radzie. - Urwał i chrząknął. - Teraz musisz się zgodzić. Czy wystarczą te rzeczy z zagranicznymi monetami?

- Wasza Miłość... - zacząłem.

- Dziękuję, że się łaskawie zgodziłeś - przerwał mi stanowczym tonem. - W zamian ja zwalniam cię z twojego słowa. Stałeś przy przełęczy i strzegłeś jej wystarczająco długo.

Uns chciał zaklaskać, ale go powstrzymałem.

- O świcie udaje się na północ, pozostając w służbie królowej Jotunlandu - mówił dalej Marder. - Zakładam, że ty, mój lojalny wasal, pojedziesz ze mną?

- Z radością, Wasza Miłość.

- Jadę z sir Able'em - zawołał Woddet - jeśli pozwoli.

Zaraz potem odezwał się rycerz herbu Lamparty:

- Ja także!

Marder podziękował obu.

- Jeśli chodzi o twoje posłannictwo do króla Arnthora, Wasza Królewska Mość, to mój herold wypełni tę misję lepiej niż ja. Wyślę go rano na południe, a my w tym czasie wyruszymy na północ. Ale ostrzegam cię, że

jakiej by pomocy nie wysłał nasz król, przybędzie pewnie zbyt późno. Trzeba będzie zebrać ludzi i ich zaopatrzyć. Sama jechałaś z Thortower aż do tego miejsca na granicy Jotunlandu, czyż nie?

Idnn odpowiedziała skinieniem głowy.

- Ile ci to zajęło, Wasza Królewska Mość?

- Dwa miesiące - powiedziała to tak cicho, że Bertold Ślepy przyłożył rękę do ucha.

- Przed nastaniem zimy?

Jeszcze raz skinęła głową.

- Mój herold musi pierwszy dotrzeć do króla Arnthora. Nie zaczyna przygotowań, przed jego przybyciem. - Marder pociągnął się za brodę. - Poleciałem kiedyś sir Able'owi strzec tej przełęczy tak długo, jak długo lód trzyma wody zatoki. Lód stopnieje, zanim otrzymamy jakąkolwiek pomoc od króla Arnthora. Sami będziemy musieli się tym zająć i będzie nam potrzebny każdy miecz.

\* \* \*

Następnego dnia, jeszcze w ciemności, kiedy Chmura połykała z gracją kolejne mile równiny jotunlandzkiej, zmuszając do wysiłku pozostałe zwierzęta w kolumnie, a Heimir i Hela biegli susami po mojej prawej i lewej stronie niczym wilki Valfathera, poczułem na sobie spojrzenie Thiaziego. Trąciłem ostrogą bok Chmury i wyciągnąłem Eterne; w ten sposób Thiazii, patrząc w swój kryształ, mógł przekazać Beelowi (a także Tougowi i Maniemu, którzy właśnie weszli), że Idnn i ja jedziemy na północ na czele armii.

## ROZDZIAŁ 15

### **KREW GIGANTA**

Toug siedział na kamiennej podłodze wartowni i słuchał, jak Thiazi, Garvaon i Svon kłóć się z Schildstarrem. Poza Wistanem nikt nie zwracał na niego uwagi, a nawet jeśli, to ktoś mógł uznać, że jest nieuprzejmy. On zaś słuchał i nawet zastanawiał się nad tym, co mówią, lecz jego spojrzenie skupiło się na najciemniejszym kącie pokoju.

- Nie stanę! - powtórzył z uporem Schildstarr.

- Nigdy? - niski głos Thiaziego zabrzmiał łagodnie. - Masz rację. Bo to jest konieczne tylko do czasu, kiedy Jego Królewska Mość wydobrzeje.

- A skąd wiemy, że on nie jest już zimny? - mówiąc to, Schildstarr pochylił się do przodu, a jego ogromne krzesło zaskrzypiało pod dwoma tonami mięśni i kości.

- Pytałeś już o to wcześniej - powiedział Thiazi. - Znasz odpowiedź. Jestem jego pierwszym ministrem. Gdyby nie żył, ogłosiłbym roczną żałobę po zmarłym królu i powitał na tronie następcę, jeśli umrze, tak właśnie zrobię. Ale nie umarł i z pomocą Gerora może wrócić do zdrowia. Twierdzisz, że jesteś jego lojalnym poddanym. Bardzo dobrze, on cię potrzebuje. Daj dowód swojej lojalności.

- Pokaż mi go, a okażę lojalność. - Schildstarr wydawał się nieprzejednany.

- Śpi teraz - powiedział Garvaon. - Rany goją się najlepiej podczas snu. Przecież znasz tę prawdę - widzę twoje blizny.

Schildstarr zagrzmiął gromkim śmiechem.

- Ni połowy nie widzisz!

Mani leżał zwinięty w ciemnym kącie, w który wpatrywał się Toug, a jego świecące zielone oczy pojawiały się i znikwały, gdy je otwierał i zamykał; niewyraźna postać za nim wyglądała momentami jak Idnn, kiedy indziej bardziej przypominała starą wiedźmę, a czasami obie, albo była po prostu plamą pustki. Toug pocił się mocno, mimo iż z dużego paleniska unosił się



już tylko dym, a w pokoju bez okien panował przenikliwy chłód. Gdzieś poza strachem albo obok niego dręczyła go obawa, czy Wistan widzi wiedźmę; ostatecznie jednak uznał, że nie widzi.

- Chciałbym ci zadać kilka pytań - zwrócił się Svon do Schildstarra. - My odpowiedzieliśmy na twoje. Zaprowadzimy cię do króla, kiedy się obudzi, jeśli zechce cię widzieć. Odpowiem na pytanie, którego nie zadałeś, a powinieneś był. Myślę, że się zgodzi. Podzielacie moje zdanie, panie? Sir Garvaonie?

- Tak - rzekł Thiazi.

- I ja - rzucił Garvaon.

- W takim razie możesz zrobić jedną z dwóch rzeczy - mówił dalej Svon. - Możesz tu czekać jak ktoś rozsądny albo opuścić zamek i wrócić z innymi jeszcze tej nocy. Nie jesteś więźniem.

Schildstarr prychnął.

- Uważasz, że nie bylibyśmy w stanie cię zatrzymać i masz rację. Ale ponieważ nie będziemy nawet próbować, nie ma to nic do rzeczy.

Svon, który siedział ze skrzyżowanymi nogami na zbyt dużym krześle, odchylił się do tyłu i złączył dłonie czubkami palców.

- Jesteś lojalnym podwładnym króla. Czy twoja lojalność dotyczy też królowej?

- Król Gilling nie ma żony.

- Mylisz się. Nie będę próbował ci tego udowodnić. I tak byś nie przyjął mojego dowodu, ale nie ma takiej potrzeby, bo on sam ci o tym powie, kiedy się obudzi. Lecz gdy usłyszysz to z jego ust - bo tak będzie - czy i jej okażesz lojalność? Jest kobietą ludzi.

- Jedną z waszych małych ciepłoludków? - Schildstarr potarł dłonią ogromną szczękę.

- Tak - odparł Svon - i twoją królową, bez względu na to, czy wierzysz, czy też nie. Czy gdy już uwierzysz - gdy otrzymasz dowód - będziesz jej posłuszny?

- Zależy od tego, czego by chciała, tak to widzę.

Garvaon chrząknął i byłby odsunął krzesło do tyłu, gdyby meble tam były mniejsze.

- Okażesz posłuch królowej, jeśli ci to będzie odpowiadało. Mówisz jak prawdziwy syn Angr.

- Bierzesz łańcuchy i je zakładasz. - W głosie Schildstarra zabrzmiała

śmiertelna nienawiść. - Moi nie biorą się za łańcuchy. Ktoś inny musi to zrobić.

- Właśnie. Ktoś inny.

- Dość! - Thiazi uniósł dłoń.

- Zgadzam się - powiedział Svon. - Potrzeba nam tu przyjaciół. Mam dość wrogów. Nie miałem nic złego na myśli, Schildstarr, i niczego nie sugerowałem. Czy wiesz, kto zaatakował króla?

Gigant Mrozu powoli kręcił głową na boki.

- Byłem tam. Blisko, ale nie widziałem. Gadają, że ten, że tamten ktoś się chwali. Może tak. Może nie. Nie wiem.

- Czy ktoś zamierza zaatakować zamek?

W oczach Schildstarra pojawił się błysk przebiegłości.

- Gadają. Jutro może. Dlatego przyszlیم.

- Osiemnastu Angronitów?

- Dzinastu ze mną. Każdy jeden umie się bić. Ilu macie rycerzy?

- Nie my ich mamy, lecz król.

- My mamy dość Angronitów, rycerzy, zbrojnych i łuczników, by obronić dom Jego Królewskiej Mości przed atakiem - powiedział Thiazi - i będziemy go bronić. Obawiamy się, że porywczy młodzieńcy, ogarnięci głupią pogardą dla mniejszych od siebie, zaatakują nas bezmyślnie. Mogłoby to dać początek nowej rebelii.

Schildstarr wstał, co zajęło mu trochę czasu.

- Nas tylko macie.

- To nie prawda - odpowiedział mu Thiazi.

- Mało żarcia. Na miesiąc starczy? - Popatrzył po zebranych. - Moglibyśmy przynieść.

- Lordzie Thiazi, sir Garvaonie, sir Svonie. - W drzwiach pojawiła się smukła kobieta w ubraniu niewolnicy; Toug rozpoznał ją dopiero po jednym oddechu. - Jego Królewska Mość odzyskał świadomość. I wzywa do siebie królową.

Toug zobaczył, że kąt, który przez cały czas obserwował, teraz jest pusty. Mani spojrział za siebie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Baki usunęła się szybko na bok, by przepuścić wychodzących w pośpiechu Schildstarra i Thiaziego, a potem dygnęła przed Svonem, Garvaonem i Wistanem.

Toug pozostał z tyłu.

- Czy to jakaś sztuczka?

Baki dygnęła i przed nim.

- Bo, sir, jestem tylko prostą dziewczką.

- Naprawdę się obudził?

- Tak. To chyba dobrze dla ciebie.

- Dla mnie byłoby lepiej, żeby umarł. - Przez chwilę Toug poczuł mdlący strach. - Mam zamiar go zabić, a ponieważ jestem jaki jestem, więc muszę to zrobić w uczciwej walce. - Słowa te wyszły z jego ust z własnej woli, a to żalosne coś, co kurczyło się i płakało w nim, zostało odsunięte. - Oznacza to pojedynek, kiedy już wyzdrowieje. Pojedynek, w którym będzie miał szanse się bronić. Nie mogę się doczekać tej chwili.

- Lordzie Toug - powiedziała Baki i przyklęknęła.

- Nie rób tego - zwrócił się do niej Toug. - A gdyby nas ktoś zobaczył?

- Ja was widzę - powiedział Mani i ziewnął. - Zastanawiam się, czy widzicie samych siebie.

- Wstań, proszę. - Toug wziął Baki za rękę. - Chciałaś sprowadzić tu sir Able'a, żeby go zabrać do Aelfrice, ponieważ nie możesz walczyć z... - Szukał w pamięci imienia.

- Z Garseciem, panie. Setrem. Możemy z nim walczyć, jak i z tymi, którzy stoją przy nim, ale nie wygramy tej walki bez kogoś takiego jak sir Able. Albo ty.

Mani podszedł bliżej, by ratować Touga.

- Sir Svon będzie cię szukał.

Toug przełknął ślinę i skinął głową.

- Masz rację. Idę spotkać się z królem. Lepiej już pójdę.

Na dole schodów czekał na niego Wistan.

- Rozmawiałeś na osobności z tą niewolnicą - powiedział Wistan. - Nie podchodziłem, bo nie chciałem was podsłuchiwać.

- Dzięki.

- To zabawne miejsce, co?

Weszli na schody, kiedy Toug zgodził się z nim.

- Działy się tam różne rzeczy. - Wistan chrząknął.

- Masz na myśli sir Garvaona i sir Svona, którzy rozmawiali z tamtym gigantem? Bardziej mi się podobało, kiedy z nimi walczyliśmy.

- Mnie też. - Wistan zamilkł na chwilę, jakby zamierzał zmienić temat. - Ufasz mu?

- Ani trochę. Już prędzej bym zaufał Seaksneatowi.

Wistan zatrzymał się.

- Kto to taki?

- Znałem go kiedyś. Złodziej.

- Rozumiem.

- I tchórz. Chociaż wtedy tak nie myślałem, bo gadał odważnie. Teraz wiem, że próbował przekonać o tym samego siebie, ale ja mu uwierzyłem. Młody byłem.

- Rozumiem - powiedział Wistan i podał Tougowi rękę, by mu pomóc wejść na kolejny stopień.

Toug pokręcił głową.

- To się nie działo wcale tak dawno temu. Tylko się wydaje, że dawno. Tyle się od tamtego czasu wydarzyło.

Milczeli przez jakiś czas, a potem Wistan powiedział:

- Niebrzydka, co?

- Królowa Idnn?

- Nie, ta ruda dziewczyna. - Wistan uśmiechnął się szeroko.

- Och, Baki.

- Tyle dziewczyn ma ciemne włosy. Nic w tym złego, ale rude albo jasne stanowią miłą odmianę.

Toug nic nie odpowiedział.

- Oczywiście są piegowate. Dlatego wielu ludzi ich nie lubi, ale co jest złego w piegach? Zauważyłeś, że przez cały czas miała spuszczone oczy? Może nie przy tobie, ale kiedy ja tam byłem i nasi panowie i giganci.

- Nie - przyznał Toug. - Nie przy mnie.

- Jak ci nie patrzą w oczy, to znaczy, że nie chcą, żebyś wiedział, co myślą.

- Tego nie wiedziałem.

- No to wiesz, o czym myślą. Ale chciałem tylko powiedzieć, że nie będę zrywał twoich kwiatów - powiedział Wistan i ruszył w górę.

- Tego przynajmniej nie zrywaj - powiedział Toug.

- Nie będę. Jesteśmy przyjaciółmi, jesteśmy? Lepiej żeby tak było, bo jesteśmy tu jedynymi giermkami.

Tym razem Toug uścisnęła dłoń Wistana.

- Ale chciałem cię o coś zapytać. Choćby te głosy. Jak już wszyscy wyszli. Obaj giganci, nasi panowie i ja. Kiedy zostałeś sam z tą niewolnicą...

Toug skupił całą swoją uwagę na kolejnym stopniu.

- Nie słyszałem, co mówiliście, ale słyszałem głosy - głosy trzech osób. Mówiłeś ty i dziewczyna. Ale słyszałem też inny głos, cienki i nieprzyjemny.

- Jak myślisz, co powie król? - Toug zatrzymał się, by złapać oddech. - Na temat Schildstarra i jego osiemnastu Angronitów.

Wistan wzruszył ramionami.

- I jeszcze coś. To cię nie spieszy.

- Nie jestem speszony - oznajmił Toug.

- Coś było w kącie? Widziałeś?

- Kot króla.

- Należy do króla? Nie wiedziałem. Dobrze, że mi powiedziałeś, to dam mu spokój. Ale mnie chodziło o coś innego. Coś tam jeszcze czało się w cieniu.

- Wiele rzeczy mieszka w cieniu.

- Też to widziałeś. Czy to ten głos, który słyszałem?

- Tak - powiedział Toug. - To widziałeś w kącie.

Wistan znowu zamilkł, Toug zaś szedł szybko, licząc na to, że zostawi go z tyłu.

- Byłeś paziem sir Able'a. Tak słyszałem. A potem, kiedy sir Able pasował sir Svona na rycerza, zrobił cię jego giermkim. Sir Able nie jest taki jak większość ludzi.

Toug przyznał mu rację.

- Ty też masz w sobie coś takiego.

Toug ledwo ustał na nogach pod naporem dumy, jaka go rozpierała.

- Jestem od ciebie starszy w służbie. Jeśli nie przyznasz mi racji, od razu możemy się rozmówić.

- Byłeś giermkim jeszcze przede mną - zgodził się Toug.

Wistan skinął głową.

- Jako starszy giermek rozkazuję ci powiedzieć, do kogo należał ten trzeci głos.

- Już ci powiedziałem - odparł Toug.

- To coś w kącie. Momentami przypominało kobietę. Co to było?

- Chyba duch.

- A jak się nazywa?

- Nie wiem.

- My, szlachetnie urodzeni, walczymy mieczem. - Głos Wistana zabrzmiał

chłodno. - I zawsze dajemy przeciwnikowi szansę, by wyciągnął swój. Wyciągnij swój miecz.

- Nie chcę walczyć - oznajmił Toug. - A już na pewno nie chcę cię zabić.

- Tchórz! - Wistan położył dłoń na rękojeści swojego miecza.

Toug cofnął się i przywarł plecami do zimnej ściany.

- Poddaję się.

- Walczyłbym z tobą - powiedział rozgniewany Wistan - i bym cię pokonał.

- Wiem - rzekł Toug. - Poddaję się.

- Walczyłeś z Angronitami.

Toug skinął głową.

- Ty też. Wiem o tym.

- Ale ze mną nie chcesz walczyć?

- Nie chcę. - Toug potrząsnął głową. - Może niedługo obaj będziemy musieli walczyć z gigantami. Czy mogę zatrzymać broń? Przysięgam, że nigdy nie użyję jej podstępnie.

Na ustach Wistana pojawił się zwycięski uśmiech.

- Oddaj mi ją.

Toug kiwnął głową i odpiął pas z mieczem.

Wistan wyciągnął rękę i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To nie miecz - wyjaśnił mu Toug. - To jest buzdygan. Nazywa się Łamimiecz. - Zamilkł i pogłaskał rękojeść. - Oddam ci go, ale muszę ci coś powiedzieć. Kiedy sir Able i ja byliśmy chłopcami, ja i inny chłopak próbowaliśmy go obrabować. Pobił nas wtedy i zabrał nam broń.

- Kłamiesz! Sir Able jest dużo starszy od ciebie.

Toug przytaknął mu.

- Teraz jest, a kiedy ponownie się spotkaliśmy, nie pamiętał mnie. A może pamiętał, ale nic nie powiedział.

Wistan milczał.

- Łamimiecz należał kiedyś do niego - dodał Toug, oddając broń. - Potem mnie go przekazał. Mówiłem mu, że nie zasłużyłem, ale nie powiedziałem dlaczego. Może dlatego teraz go tracę.

Wistan oglądał uważnie Łamimiecz.

- Mam nadzieję, że dobrze się nim zaopiekujesz. Naprawdę należał do niego.

- W piwnicach mają cysterne - rzekł Wistan. - Ponoć jest tak głęboka, że

nigdy nie mogą jej całej napełnić. Tam go wrzucę przy najbliższej okazji.  
Toug patrzył za Wistanem, dopóki ten nie zniknął mu z oczu.

\* \* \*

Nie pozwolono Tougowi wejść do królewskiej sypialni, lecz on z takim uporem dyskutował z gigantem trzymającym straż przy drzwiach, że wreszcie usłyszał go Svon i wpuścił do środka.

Nie widział wcześniej pokoju, który był większy niż największa stodoła w Glennidam i bogaty niczym kufer pełen drogich kamieni; stało w nim ogromne złożone łóżce, wyższe niż on, a na łóżu spoczywał król tak blady jak jego pościel, podparty jedwabnymi poduszkami wielkości materacy; wyszywane złotą nicią zasłony z karmazynowego aksamitu (zużyto na nie więcej tkaniny i bogatszego materiału, niż Toug widział w całym swoim życiu) zsunięto i przytrzymano masywnymi złotymi łańcuchami; Schildstarr (dziki jak wilk, brudny jak kundel i trzykrotnie większy niż ktokolwiek miałby prawo być) stał pochylony z troską nad łóżkiem niczym najlepsza pielęgniarka; był tam też Thiazi, czujny i powściągliwy, z twarzą ściągniętą licznymi tajemnicami, oraz rycerze o surowych obliczach i gromada niewolników, z których każdy chciał coś zobaczyć i usłyszeć.

Jedna z kobiet odciągnęła Touga na bok.

- Mówi, że królowa była z nim tu w środku... a przecie nie była, bo te dziewczyny - zacisnęła mocniej dłoń na ramieniu Touga - co widzą, to by ją zobaczyły, co nie, chowie?

Toug skinął głową.

- Tyż byś słyszał, co? Bo jakby weszła królowa, to by ją przywitali, na pewno, czy coś takiego by powiedzieli, żebyście, wy mężczyźni, wiedzieli, że trzeba uklęknąć.

- A jakże. No właśnie. - Szept Pouka brzmiał coraz ciszej, aż Toug prawie przestał go słyszeć, mimo iż usta Pouka znajdowały się tuż przy jego uchu.

- Pod dużym uzkiem, kolego.

Toug skinął głową i przysunął się do ogromnej ramy łóża, czekając na moment, kiedy żadna z niewolnic nie będzie na niego patrzeć.

- Jesteś dobrym przyjacielem - mówił król, a jego głos przypominał smutne, znużone zawrodozenie wiatru, który pędzi suche liście jak całun

zmarłych, ostrzegając przed zimnym deszczem. - Będziemy pamiętać - jęknął wiatr. - Pamiętać. Pamiętać...

- Niech się Wasza Królewska Mość nie meczy. - To był Thiazi także pochylony nad łóżkiem.

- Chodzi o to, kto ma dowodzić. - Ten surowy głos należał do Garvaona. - Jesteśmy posłuszni Jego Lordowskiej Mości, jesteśmy jego ludźmi, a nasi ludzie są nam posłuszni. My jesteśmy teraz posłuszni lordowi Thiazemu, ponieważ takie mamy polecenie od Jego Lordowskiej Mości. Lecz jeśli Schildstarr i Angronici, których jak twierdzi, może sprowadzić, będą posłuszni tylko tobie...

Garvaon zawiesił głos, lecz król nic nie odpowiedział.

Schildstarr zachichotał, a Toug poczuł ciarki na plecach. Wciąż nikt się nie odzywał.

- Gorzałka, co? - wyszeptał Pouk.

Oczy wszystkich były zwrócone na króla. Toug kiwnął głową i wsunął się pod łóżko, gdzie usta musnęły jego usta.

- Panie. - Pocałował go lekko, Baki przyklękła.

- Uważałbym na twoim miejscu. - W głosie Maniego pobrzmiwał ton pewnego siebie znawcy. - Kobiety zawsze robią dużo hałasu, nawet jeśli ty sam siedzisz cicho. W końcu ktoś tu zajrzy.

Toug, który nie był pewny, czy rozumie, co Mani ma na myśli, usiadł na dywanie tak grubym i miękkim, że wydało mu się, iż się w nim zanurzy.

- Pouk powiedział, że chcesz się ze mną zobaczyć.

- Tak, panie. Panie, ten chłopak, Wistan, ma miecz, który nie jest mieczem. Ukradł ci go?

- Zdobył - przyznał się Toug. - Wyzwał mnie na pojedynek, ponieważ nie chciałem mu opowiedzieć o Manim i wiedźmie. Uważa, że powinienem się go słuchać, jakby już był rycerzem, a ja jego giermkim. A przecież on nie jest rycerzem, a ja nie jestem jego giermkim. Nie chciałem złamać obietnicy danej Maniemu, a gdybym powiedział mu o wiedźmie, to by było coś innego. I coś jeszcze potem, jakbym coś robił dla niego. No to mu powiedziałem o wiedźmie, ale tak, że myślał, że ją słyszał, a tak naprawdę słyszał Maniego.

- Ostatecznie to prawie to samo - powiedział Mani.

Baki przytaknęła mu; jej oczy przypominały płomień świecy.

- Nie powiedziałeś mu o mnie? - zwróciła się do Touga.

- Nie. Nie powiedziałem. Nie powiedziałem mu nic więcej, poza tym, że



Łamimiecz należał do sir Able'a.

- Podobnie jak ja - wtrącił Mani.

- Wciąż mnie naciskał. - Toug zorientował się, że tłumaczy się przed Baki, ale i przed samym sobą. - Dążył do tego, że będę jego niewolnikiem albo zgodzę się walczyć. Gdybyśmy walczyli, zraniłbym go albo zabił - albo on mnie. On był przekonany, że mnie pokona. I może miał rację.

- Ja tak nie uważam - powiedziała Baki.

- Dzięki. On... on jeszcze nigdy nie przegrał. Tak przynajmniej myślę. W takiej sytuacji człowiek naciska tak długo, aż pokona tego drugiego. Też taki byłem. Zabawne jest to, że nikt nie jest dobrym wojownikiem, jeśli nie przegrał choćby jednego pojedynku i nie wygrał też chociaż jednego.

- No cóż - rzucił Mani - ten chyba przegrałeś.

Toug potrząsnął głową.

- Straciłem Łamimiecz, z czego jestem bardzo niezadowolony. Ale nie przegrałem pojedynku, bo w ogóle nie walczyliśmy. Głupi byłem. Pomyślałem, że może jak mu ustąpię, to pozwoli mi zatrzymać broń i żaden z nas nie zginie. Następnym razem będę mądrzejszy.

- Ukradnę mu twoją broń, jeśli chcesz - powiedziała Baki. - W ten sam sposób pomogłyśmy sir Able'owi.

- To nie byłoby honorowe. - Toug zawahał się. - Wistan powiedział, że wrzuci Łamimiecz do cysterny, ale poszedł na górę. Myślałem, że może ostatecznie postanowił wyrzucić go do fosy, ale przecież fosa znajduje się za murami, a tutaj nie ma murów, tylko ta wieża. Czy możesz go powstrzymać? Żeby nie wrzucał broni do cysterny?

- Tak byłoby najlepiej, panie. Wtedy nie musiałabym kraść. Każdy może podnieść to, co inny wyrzucił. Zobaczymy, co zrobi.

Toug podziękował jej serdecznie.

- Baki ma ci coś do powiedzenia - rzekł Mani. - Ja też.

- Tylko jedna sprawa, panie. Wspominałam już o mojej siostrze Uri.

- Czy to ta, która nie chciała, żebyśmy cię uleczył?

Baki skinęła głową.

- Znasz pragnienie mego serca - żeby sir Able poprowadził nas przeciwko Setrowi. Obiecałeś mi w tym pomóc, tak jak ja obiecałam, że pomogę ci wypełnić obowiązek.

- Oboje obiecaliśmy pomóc Ulfie i Poukowi wydostać się stąd - przypomniał jej Toug. - Mani mówił, że nam pomoże.

- Ta wieża jest otoczona - powiedział Mani rzeczowym tonem. - Ja się stąd wydostanę. Baki też, ale nie żadne z was.

- Tego nie wiedziałem. Czy rebelianci przystąpili do oblężenia?

Baki pokręciła głową.

- Martwią się tylko o swojego króla i są ciekawi. Mani, pozwól mi wreszcie przekazać nowiny.

- Nie miałem zamiaru cię powstrzymywać.

- Moja siostra Uri rozmawiała z Beelem, który wie, że sir Able jedzie wam na pomoc. Mani twierdzi, że też wiesz o tym, panie.

- Tak. Thiazi zobaczył to w swoim kryształach i nam powiedział.

- Wygląda na to, że powiedział też lordowi Beelowi. Ten bardzo się cieszy. Liczy na to, że jego misja zakończy się pomyślnie, tron pozostanie bezpieczny i zapanuje pokój między Angronitami i poddanymi Arnthora.

- Nie widzę w tym nic złego - powiedział Toug.

- No właśnie, panie. Moja siostra powiedziała mu, że zamierzam odebrać mu sir Able'a i wysłać go do Aelfrice. Krótki pobyt w Aelfrice oznacza dłuższą nieobecność tutaj.

Toug przytaknął jej.

- Lord Beel zamierza temu zapobiec. Jeśli dowie się, że oboje z siostrą obiecaliście pomoc, marnie z wami. - Toug poczuł dotyk ręki Baki na swojej; była gorąca i lekka jak skrzydło motyla. - Myślę, że nie każe was zabić i nie będzie namawiał do tego króla. Z pewnością usłyszeliby o tym sir Able i królowa Idnn. Ale spróbuje trzymać was z daleka od sir Able'a i wysłać z jakąś niebezpieczną misją, jeśli tylko nadarzy się okazja.

- Dobrze - powiedział Toug.

- Straciłeś broń, którą podarował ci sir Able, i wciąż cierpisz z tego powodu. Sen dobrze ci zrobi. Ostrzegłam cię.

- Tak - rzekł Toug. - I szczerze mówiąc, wydaje mi się, że otrzymałem cudowną wiadomość. Potrzebny mi okrzyk bojowy. Dopóki nie wymyślę lepszego, niech będzie „Włócznie Dziewic”.

- Drwiesz ze mnie.

- Gdzieżby tam! Och, Baki...

Mani zakasłał, jak to mają w zwyczaju koty.

- Wybaczcie. Kłaki w żołądku. Pozwólcie mi powiedzieć, co mam do powiedzenia, i zostawię was samych. Moja pani przybrała postać mojej innej pani, kiedy przemawiała do ciebie na schodach, pamiętasz? Chyba jej się to

spodobało, bo rozmawiała w tym przebraniu z królem Gillingiem i teraz on myśli, że królowa Idnn jest tutaj. A to...

Coś ciemnego, okrągłego i mokrego opadło miękko na głowę Maniego, który skoczył do tyłu i zawarczał jeżąc sierść.

- Krew! Krew giganta!

W miejscu, na którym siedział Mani, spadła kolejna kropla wielkości czereśni. Zgięty prawie w pół Toug przeszedł szybko do aksamitnej zasłony, która ich zasłaniała, i zanurkował pod nią.

## ROZDZIAŁ 16

### **W NIEBEZPIECZEŃSTWIE**

- Ach, tu jesteś. - Svon chwycił Touga za ramię. - Na Panią! Po coś tam wchodził?

- Król krwawi - wysapał Toug. - Przesiąkł już materac i kapie na podłogę.

Ulfa usłyszała go i zawołała:

- Szwy puściły! - W jednej chwili Pouk i pół tuzina innych sług wdrapało się na łóżko, by zwinąć wełniane koce grubsze niż dywany.

- Zajmą się nim - powiedział Svon i odciągnął Touga na bok. - Powinniśmy udać się na mury. Thiaz i sir Garvaon są tam z Schildstarrem. - Kiedy wyszli szybko z pokoju, Svon dodał: - Pewnie nie wiesz, gdzie się podział giermek sir Garvaona? Gdzieś się zawieruszył i Garvaon wypytuje o niego.

- Poszukam go. - Toug zawahał się, gdyż przypomniał sobie wszystko, co zostało powiedziane na schodach. - Sam chciałbym go znaleźć.

- Później. - Zaczęli wchodzić po kolejnych schodach zbudowanych dla Angronitów. - Thiaz chce, żeby Schildstarr pokazał się Gigantom Mrozu, którzy czekają za murami - wyjaśnił Svon. - Nie widzieli wielu swoich od chwili, gdy zaatakowano króla, i niektórzy twierdzą, że trzymamy go tu siłą.

Toug skinął głową zdyszany; czuł pulsujący ból pod brudnymi bandażami na pokaleczonej twarzy.

- Schildstarr chce powiedzieć swoim gigantom, żeby podeszli do dużych drzwi - że zostaną wpuszczeni. A to oznacza, że musimy pozbierać dość ludzi, by zdołali powstrzymać setki innych przed wtargnięciem tutaj.

- Czy nie byłoby lepiej, gdyby olbrzymi Schildstarra wrócili do furty wypadowej?

- Byłoby tysiąc razy lepiej, ale Schildstarr się nie zgodzi. W ten sposób zdobędzie duży prestiż. Chce to wykorzystać, a król mówi, żeby działał po swojemu.

- Co zrobimy, jak dostanie się tu cały ten tłum?

Zza pleców doszedł ich głos Beela:

- Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby uratować życie mojego zięcia, giermku, jeśli zobaczą jak ciężko jest ranny, już tylko to może ich nakłonić do nowej rebelii. Wielu z nich, co najmniej połowa, z radością ujrzałoby go martwym, a do zabicia i tak już ciężko rannego mężczyzny nie trzeba zbyt wiele odwagi.

Schildstarr przemawiał z blanków do tłumu - jakieś trzy tysiące ludzi, jak ocenił Toug, może więcej - który zebrał się na ogromnych schodach prowadzących do spizowej bramy Utgardu, a także na dziedzińcu przed schodami.

- Thiazi mówi wam prawdę. - Wydawało się, że kamienie zsuwają się z górskich stoków. - Król jest ciężko ranny, ale ja i moi będziemy z nim dzień i noc. Moi do drzwi, jak jeden i żaden nikt inny.

Schildstarr mówił jeszcze dłużej, lecz Toug przestał go słuchać, nie mogąc znieść jego grubiańskiego i pełnego nienawiści języka. Morze dzikich twarzy w dole i przyprawiająca o zawrót głowy przepaść wypełniona zimnym powietrzem napełniły go mdlącą trwogą, tak więc zeskoczył z krenela, na który wszedł, by zobaczyć tłum.

Potem pozostało mu już tylko owinąć się szczelniej płaszczem; pragnął znaleźć się w pokoju, gdzie nie wieje wiatr i gdzie pali się ogień. Gdy tak stał na murze, pokój w wieżyczce, gdzie spali z Manim, wydawał mu się szczytem wygody.

- Widziałeś gdzieś Wistana? - zapytał go nieoczekiwanie Garvaon.

Touk potrząsnął głową.

- Ostatnio nie, sir. - Pomyślał poniewczasie, że Wistan chowa pewnie Łamimiecz i mój pas gdzieś, gdzie nikt ich nie znajdzie przypadkowo. Albo niesie je do cysterny. - Czy chcesz, żebym go poszukał, sir Garvaonie?

- Nie, mam dla ciebie inne zadanie. Poproszę sir Svona - nie kłopotz się tym. Idź do wartowni i powiedz sierżantowi, żeby ściągnął z posterunków całą straż. Co do jednego. Zrozumiałeś?

- Tak, sir Garvaonie. Wszyscy zbrojni pełniący straż i wszyscy łucznicy. Cała straż.

- Zgadza się. Mają się zebrać w wielkiej sali i czekać. Ruszaj.

Na schodach Touga zatrzymał Beel.

- Przepracowujesz się, giermku.

- Lubię, gdy się dużo dzieje, Wasza Lordowska Mość. Przynajmniej

schowam się trochę przed wiatrem.

- I dobrze. Wieczorem będziesz pewnie usługiwał sir Svonowi. Czyścił jego zbroję i tym podobne, prawda?

Toug, skinął głową, zastanawiając się, do czego zmierza Beel.

- Tak, Wasza Lordowska Mość, to co zawsze wieczorem.

- Wiesz, gdzie mieszkamy? Do których pokoi zaprowadzono nas z królową Idnn, zanim została królową?

- Na piętrze nad wielką salą, Wasza Lordowska Mość. Schodami na górę i na lewo. Czy to drugie piętro?

Beel przytaknął mu.

- Dokładnie. Muszę z tobą pomówić, kiedy już skończysz pracę wieczorem. Zapukaj, a cię wpuszczą.

- Dobrze, Wasza Lordowska Mość. - Toug odwrócił się, by wyjść.

- Zaczekaj. Nie mogę kazać ci okłamywać sir Svona, ale nie ma potrzeby, żebyś mu o tym mówił, jeśli sam nie zapyta.

Toug zapewnił go, że tak będzie, żałując, że w ogóle zszedł z muru.

\* \* \*

Marder uznał wcześniej, że największy pawilon, który zabrał dla własnego użytku, będzie teraz do dyspozycji Idnn; pewną trudność stwarzał brak służących. Idnn zgodziła się, by usługiwali jej Gerda i Bertold Śmiały, lecz stanowczo odmówiła pomocy Heli i Heimira.

- Boimy się ich - powiedziała mi. - Możesz nas nazwać tchórzem. Wiemy, że ty nie boisz się niczego.

Potrząsnąłem głową.

- Znam cię zbyt dobrze, Wasza Królewska Mość, by cię nazwać tchórzem.

- Napawa nas strachem jej bystry rozum i jego kompletny brak u niego. Odważny jak Thunor, jak mówicie wy, mężczyźni, i przebiegły jak Gigant Mrozu. Nie wszyscy oni są tacy, lecz ci przebiegli są śliscy jak węgorz, a twoja Hela jest nieodrodną córką swojego ojca. Sprzedałaby cnotę za szeląga, gdyby ją jeszcze miała.

Czekałem.

- Gerda może nam pomagać przy ubieraniu, a jej mąż jest lepszy niż inni widzący - nie musimy się martwić, że będzie nas oglądał podczas ubierania, i

jest za stary, żeby zgwałcić kobietę. Raczej nie da rady sam postawić pawilonu ani go potem rozebrać. Dzisiaj postawią go ludzie księcia Mardera. Nie chcemy żebrać o pomoc każdego wieczora. Wy, mężczyźni, i tak mówicie, że kobiety zawsze proszą o pomoc. Nawet jeśli nie jest to całkiem prawdziwe, to trudno też zdecydowanie temu zaprzeczyć. Myślisz, że nam się to podoba?

Potrząsnąłem głową.

- No właśnie. Ale błagamy o pomoc, tak samo jak błagaliśmy, abyś przybył do Utgardu. - Spojrzenie jej ciemnych, błyszczących jak diamenty oczu złagodniało. - Ciebie jest łatwo o coś poprosić. Masz coś w sobie, co mówi, że nawet królowa nie powinna się wstydić, że prosi cię o pomoc.

- To dobrze.

- W takim razie pożyczysz nam Unsa? Proszę. Uczyń nam tę wielką przysługę, tylko do Utgardu. Będziesz miał jeszcze Helę i Heimira - czy może oddałeś Helę sir Woddetowi? Będziesz miał Heimira. I Unsa, kiedy uznasz, że jest ci potrzebny.

- To dla mnie zaszczyt. Oczywiście, weź Unsa. Niech ci służy tak długo, jak długo zechcesz. Ale pozwól, że spytam z ciekawości, jego Miłość ma ze sobą ośmiu służących. Gdybyś tylko rzekła słowo, oddałby ci siedmiu. Dlaczego więc Uns?

Idnn westchnęła.

- Ponieważ jest twoim sługą i jest bliżej ciebie niż ktokolwiek inny.

- Jest twój, Wasza Królewska Mość, lecz mylisz się, twierdząc, że jest blisko mnie. Bertold Śmiały jest bliżej, i Gylf. - Położyłem dłoń na łbie Gylfa.

Idnn uśmiechnęła się.

- Bertolda już mamy, a psa nie tak łatwo pożyczyć. Powiesz mu? Tylko dopóki nie dotrzemy do Utgardu.

- Oczywiście, Wasza Królewska Mość. - Cofnąłem się, przekonany, że już zostanę odprawiony.

- Zaczekaj! Usiądź. Wysłuchaj nas, proszę, dobry sir Able'u. Drzwi są otwarte, więc nie ucierpi nasza reputacja, choćbyśmy rozmawiali i godzinę. - Mówiła coraz ciszej. - Musimy ci to powiedzieć.

- Jak rozkażesz, Wasza Królewska Mość. - Usiadłem na dywanie przed składanym krzesłem Idnn.

- Mówiliśmy ci wczoraj, że ktoś nas odwiedził.

Skinąłem głową.

- Aelf?

- Nie. Ktoś z naszych poddanych. Angronita. Od niedawna jesteś w Jotunlandzie, sir Able, ale trochę już widziałeś. Czy nic cię nie zdziwiło?

Wzruszyłem ramionami.

- Wiele rzeczy.

- Nie będziemy cię prosić, żebyś je wyliczał. Widziałeś naszych ludzi, naszych gigantów i ich niewolników?

- Tak, Wasza Królewska Mość. Oczywiście.

- A olbrzymki?

Poszukałem w pamięci; dla mnie to było dawno temu.

- Odwiedziłem dom Bymira, lecz on nie miał żony ani dzieci.

- Jego Królewska Mość - powiedziała Idnn - nie ma dzieci ani żony poza mną. Żony i dzieci Angronitów pozostają w ukryciu. Dziewczynki zostaną tam do końca życia, a chłopcy do wieku, w którym zrozumieją, że pozostają w ukryciu. Dopiero wtedy się ich wypuszcza.

- Gdybym zapytał, gdzie...

- Nie możemy ci powiedzieć. Jest taki kraj kobiet. Nazywamy go Jotunhome; uczeni mówią Vollerland, Kraj Mądrych Kobiet. Będąc żoną Jego Królewskiej Mości, jesteśmy władczynią Jotunhome. Nie królową Jotunhome, ale monarchinią. Odwiedziły nas w noc po naszym ślubie, kiedy nasz mąż jęczał i krwawił w naszym łożu.

Chyba skinąłem głową.

- Rozumiem...

- Nie rozumiesz. Nawet nie próbujesz - jesteś na to za mądry. Gdybyśmy nakazały kobiecej straży udać się z nami, żeby biegła przy naszym koniu, tak jak Hela i Heimir biegną przy twoim, to by tak było. Ale wtedy by nas zaatakowano i nie byłoby nas tutaj. - Idnn westchnęła. - Mówią, że one potrafią walczyć, i pewnie tak jest, zważywszy na to, jak żyją.

Tamtego wieczora, kiedy już wykonał wszystkie zadania, jakie mu zleciła Idnn i gdy wszyscy spali, Uns przyszedł do mojego ogniska. Heimir spał już na wół przykryty niedźwiedzią skórą. Uns patrzył, jak siodłam Chmurę. Potem zagwizdałem na Gylfa i popędziłem na północ przez nocne niebo. Uns opowiedział mi o tym później.



\* \* \*

- Usiądź - powiedział Beel do Touga. - Nie musimy zachowywać etykiety.

- Postoję - odparł Toug - jeśli Wasza Lordowska Mość pozwoli Czułbym się zawstydzony, gdybym siedział w obecności Waszej Lordowskiej Mości.

- Jak chcesz, ale pewnie jesteś zmęczony. Chodzenie po schodach w tym zamku zmęczy każdego.

Toug nic nie odpowiedział.

- Moje zadanie jest niebezpieczne, ale nie powinno zająć ci dużo czasu. Pomagasz sir Svonowi, prawda, kiedy dogląda straży?

- Tak, Wasza Lordowska Mość.

- W takim razie wartownicy słuchają cię. Wiesz, że obawiamy się ataku na zamek. Nie chodzi o zwykły tłum, który będzie walił w bramy, żeby zobaczyć króla. Tego już doświadczyliśmy. Mam na myśli poważny atak buntowników.

Toug, znużony, skinął głową.

- Rozumiem, Wasza Lordowska Mość.

- Widziałeś kiedyś oblężenie, giermku Toug? Takie prawdziwe, prowadzone przez króla albo wielkiego lorda, z saperami?

- Nie, Wasza Lordowska Mość. Nie widziałem.

- Tak też myślałem. Wykorzystuje się wtedy różne urządzenia, katapulty na przykład. Drewniane wieże na kolach, kreta i tak dalej. Brałem udział w takim oblężeniu. - Beel splótł pałce. - Na szczęście nic takiego nam nie grozi. - jego Królewska Mość - mam na myśli mojego zięcia - zdąży wydobrzeć, zanim użyliby takich urządzeń. Musimy za to się obawiać nagłego ataku, stąd straże. Dlatego też cieszę się, że mamy Schildstarra i jego Angronitów, pomimo wszystkich kłopotów, jakie nam sprawili.

Toug przytaknął mu lojalnie, choć w głębi duszy pragnął, żeby Schildstarr i jego Angronici poszli sobie do Muspelu.

- Pomimo naszej słabości, żeby zaatakować, musieliby mieć tarany i drabiny oblężnicze - to takie długie drabiny, które można przystawić do naszych murów i po których dałoby się wejść i dostać do górnych okien. W przypadku Angronitów musiałyby to być bardzo duże drabiny.

Przekonany, że powinien wyrazić swoją aprobatę, ponownie skinął głową.

- Naprawdę duże i solidnie zrobione. Masz kij, giermku?

- Kij, Wasza Lordowska Mość? Nie, Wasza Lordowska Mość.

- Znajdź sobie jakiś. Mniej więcej taki. - Beel rozłożył ręce na długość bojowej strzały. - Jeśli cię zobaczą, udawaj niewidomego. Ślepy niewolnik wałęsający się za murami miasta nie wzbudzi niczych podejrzeń.

- Wasza Lordowska Mość chce, żebym wyszedł w nocy poszukać drabin oblężniczych.

Beel uśmiechnął się.

- Zrobisz to, giermku?

- Kiedy tylko Wasza Lordowska Mość zechce. Pójdę natychmiast.

- Nie aż tak szybko. - Beel powstrzymał go gestem dłoni. - Nie chodzi tylko o to, żeby znaleźć te drabiny i sprawdzić, czy jacyś źle nam nastawieni Angronicy je przygotowują. Chcę się też dowiedzieć, kto zacz.

Toug skinął głową.

- Zrobię, co w mojej mocy, Wasza Lordowska Mość.

Beel popatrzył na niego z troską.

- Musisz być zmęczony. Na pewno jesteś. A zmęczony człowiek bywa nieuważny. Możesz zginać, jeśli będziesz nieuważny.

Toug zrobił krok do tyłu.

- Królowa Idnn wyjechała konno, Wasza Lordowska Mość, i musiała jechać przez miasto, bo wiemy, że spotkała się z sir Able'em. Wątpię, żeby to było bardzo niebezpieczne.

- Wtedy może nie byli jeszcze dobrze zorganizowani.

Beel czekał, aż Toug coś powie, lecz mijały kolejne sekundy, więc wreszcie rzekł:

- Idź, zatem. Powodzenia.

Toug podziękował i wyszedł, lecz zatrzymał się za drzwiami, gdyż ujrzał Wistana.

- Skoro ty wychodzisz - powiedział Wistan - to ja wchodzę.

Toug zamknął drzwi za sobą.

- Dlaczego?

- Posłał po mnie. - Wistan ziewnął i przeciągnął się. - Zejdź mi z drogi.

Pięść Touga wylądowała z boku szyi Wistana, a zaraz potem Pouk chwycił go za kubrak. Zebrawszy całą siłę, uderzył czołem w nos Wistana. Potem kopnął go lewym kolanem, a gdy Wistan zgiął się w pół, grzmotnął go pięścią w kark.

- Powiniennem cię skopać - mruknął Toug do leżącego przed nim Wistana -

ale tym razem ci daruję. Następnym razem dostaniesz kopniaki.

Ciemne schody zbudowane dla gigantów wydawały się jaśniejsze, kiedy zszedł na dół, i mniej męczące. Na piętrze, gdzie rozstawiono strażę, zobaczył, że na warcie przy furcie wypadowej stoi znajomy łucznik, z którym przywitał się serdecznie.

- Wciąż na nogach, giermku Toug? Robi się późno.

- Och, jeszcze się dobrze noc nie zaczęła. - Toug uśmiechnął się, a przypomniawszy sobie spotkanie z Wistanem, przeciągnął się i ziewnął. - Rano pewnie poczuję w kościach zmęczenie, ale kiedy powiedziałem spanie, Nott usłyszał wędrowanie. Kiedy objąłeś wartę, Arn?

- Dopiero co przyszedłem.

- To dobrze. Mam zadanie do wykonania. Kiedy wrócę, zapukam trzy razy, a potem jeszcze dwa. Tak. - Toug zapukał kłykciami w żelazne drzwi. - Wpuść mnie, jak usłyszysz takie pukanie.

- Dobrze, sir. - Łucznik powstrzymał się od jakichkolwiek pytań.

- Trochę mi zejdzie, więc uprzedź swojego zmiennika. - Toug podniósł zasuwę i pociągnął ogromne żelazne drzwi.

Dla Angronitów przejście może i było wąskie, lecz Tougowi, przed tym jak zamknęły się za nim drzwi, wydawało się przepastne. W ciemności nie było ani duże, ani małe, wyłącznie posępne, jedną dłonią opierał się o chropowaty mur, drugą macał w powietrzu, zastanawiając się, czy jego oczy przyzwyczają się do tak nieprzeniknionej ciemności, aż wreszcie doszedł wniosku, że żadne oczy nie byłyby w stanie jej przeniknąć. Niestety zbyt późno przypomniał sobie słowa Beela, który wspomniał o kij.

- Gdybym miał przy sobie kij - powiedział do samego siebie - albo łuk tak jak sir Able, obiłbym nim Wistana. - Może nie byłoby to honorowe, ale uznał, że jeśli chodzi o Wistana, to przestał się specjalnie przejmować honorem. Wistan miał miecz. W takim razie czy byłoby niehonorowo posłużyć się kijem, gdy ktoś ma miecz? Toug zastanawiał się przez dwa kroki i uznał, że nie byłoby.

Ogromny dziedziniec był jasny od blasku gwiazd i skrzącego się śniegu. Wcześniej planował, że przemknie się w ciemności i wymknie niepostrzeżenie. Nie było takiej potrzeby. Śnieg, idealnie biały w niektórych miejscach, był wygnieciony i podeptany w wielu innych stopami Gigantów Mrozu; lecz olbrzymi, którzy zostawili swoje ślady, poszli spać i pozostawili mu śnieg. Podeszwy jego nowych za dużych butów skrzypiały tak głośno, że

wydawało mu się, iż zaraz wartownik podniesie alarm. Wcześniej ustawiono czterech przy spiżowych podwójnych drzwiach nad wejściowymi schodami - zbrojnego, łucznika i dwóch uzbrojonych służących. Teraz dołączono do nich dwóch Angronitów Schildstarra; ale wydawało się, że żaden z nich go nie usłyszał i nie zobaczył, jako że znajdowali się za zamkniętymi i zaryglowanymi drzwiami. Pobiegł truchtem ku majaczącej w oddali bramie ścigany jedynie przez własny oddech.

Nigdzie nie zobaczył strażników, którzy zaszalutowali Thrymowi, kiedy Thrym przyprowadzi! go do Utgardu. Brama, przez którą mogli wjechać obok siebie dwa tuziny rycerzy, stała otworem. Za długim, ciemnym łukiem mostu łączącego brzegi fosy zobaczył domy Angronitów (pozbawione albo prawie pozbawione okien), w żaden sposób nieoświetlone.

Toug zatrzymał się zdyszany i spojrzął na główną wieżę Utgardu podobną teraz do posępnej góry. Widoczne prawie na szczycie karmazynowe światło mówiło, że jakiś niewolnik podtrzymuje ogień w sypialni. Przez chwilę stał nieruchomo wpatrzony w tę malutką latarnię, ściśniętą szczelinę równie odległą jak gwiazda. Coś ją przesłoniło. Pomachał raz i jeszcze raz, i wreszcie się odwrócił, wiedząc, że jego siostra go widziała, że też mu pomachała, mimo iż nie widział jej twarzy.

Domy w Utgardzie, trzykrotnie większe niż największe stodoły, zbudowano z zachodzących na siebie desek mocowanych kołkami albo ogromnymi gwoździami o czarnych, kwadratowych łebkach; o tym Toug przekonał się, gdy pomimo światła gwiazd nadział się boleśnie na kilka ręką. Choć budynki wielkością przewyższały niejednego dwór, tkwiły przyklejone do siebie na tle ziejącej fosy niczym chaty żebraków, jak nic nie znaczące karły.

Mijał kolejne domy przez nikogo niewidziany i sam też nikogo nie widział. Do zrobienia dużych i mocnych drabin oblężniczych, które by wytrzymały ciężar Angronity, potrzeba było ogromnych belek. Takie drabiny, z których Angronici mogliby się dostać na mury Utgardu, musiałyby mieć długość strzału z łuku - drabina nie zmieściłaby się nawet w tak ogromnym domu. Przechodził obok kolejnych chat coraz bardziej przekonany, że może już wracać do wieży z czystym sumieniem, a potem rano zda raport Beelowi, że szukał pilnie, lecz niczego nie znalazł.

I nagle coś zobaczył. Cień, jak mu się zdawało, który przemykał od jednej grudy domu do drugiej. Zamrugał i cień zniknął, ale był pewny, że go widział. Ruszył przed siebie już nie tak śmiałym krokiem, mijając kolejne

domy. Po jakimś czasie zatrzymał się i nałożył kaptur na głowę.

Cień znowu się pojawił, cień znacznie mniejszy niż olbrzym, mniejszy nawet niż Toug. Pouk przywarł plecami do ściany i tym razem ucieszył się z wystających kołków, które wprawdzie kłuły go w plecy, lecz jednocześnie rozmywały jego sylwetkę. Cień nie zniknął całkiem; wciąż go widział, plamę ciemniejszej czerni na tle cienia domu.

Cień poruszył się i coś jeszcze poruszyło się za nim, coś o wiele większego, lecz mniej wyraźnego. Ramię i ogromna wykręcona dłoń...

- Nie! - krzyknął Toug. - Nie, Org! Zostaw!

Mały cień znieruchomiał, a Toug popędził do niego. Zobaczył przez chwilę bladą twarz i przestraszone oczy; podniósł właściciela twarzy z ziemi i pobiegł dalej.

Słyszac hałasy w domu, który mijał, skręcił w inną ulicę, tak wąską, że wydawało się niemożliwe, by chodzili tamtędy Angronici, a potem w jeszcze inną, i dopiero wtedy zatrzymał się i postawił na ziemi swój ciężar.

- Co to było? - Usłyszał głos dziewczyny.

- Org. - Toug chwycił łapczywie mroźne powietrze. - On jest... sam nie wiem. Czymś w rodzaju zwierzęcia, chyba. To ulubieniec sir Svona. Ja... my... A ty kim jesteś?

- Jestem Etela. - Czubek jej głowy ledwo sięgał do jego podbródka. - Ty masz oczy.

- Zaprowadzę cię do domu. Lepiej wróć tam, zanim znowu spotkasz Orga - może nie pamiętać.

- Jesteś z zamku?

Toug skinął głową.

- Bo masz oczy, a nasi mężczyźni nie mają, chyba że są nowi. A i wtedy przeważnie nie mają. - Etela zamilkła. - Jeśli jesteś jednym z tych, co mają króla, to ci mogę powiedzieć.

- Powiedzieć, o czym?

- No, o łopatach i kilofach co je robią. Dużo ich narobili, a zrobią setki i tysiące.

- Dlatego wyszłaś w nocy?

- Uhu. Mama powiedziała, żeby ci powiedzieć. Jesteś rycerzem?

- Nie, ale mój pan jest. Gdzie mieszkasz, Etelo?

- W domu naszego pana. Pokażę ci. - Ruszyła przed siebie. Teraz już się nie boję, bo jesteś ze mną. Widzisz, jaka jestem dzielna?

- Chciałaś nam powiedzieć o łopatach.

- Uhu. Mama mówi, że oni będą kopać i sypać ziemię na zamek, aż go zasypią.

- Nikomu by się to nie udało - zaproponował Toug.

- Tak ona mówi. Tylko nikt nie ma się o tym dowiedzieć. Boje się ich, ale jeszcze bardziej boję się tego Orga, co próbował mnie zła-łapać.

Wyraźnie szczykała zębami. Toug znowu wziął ją na ręce i owinął swoim płaszczem.

- Poniosę cię trochę, to oboje się rozgrzejemy. A jak nazywa się twój pan?

- Logi. Nie jestem ciężka?

- Lekka jak piórko. Ile masz lat?

- Prawie tyle żeby się ożenić.

Toug roześmiał się cicho.

- Mama tak mówi. Bo już mam włosy i urosłam tu, u góry. Daleko jeszcze tam gdzie mieszkam. Będziesz mnie tak niósł całą drogę?

- Może. Przeszłaś taki kawał drogi w nocy?

Poczuł jej ruch głowy, kiedy mu przytaknęła.

- W takim razie chyba cię poniosę. Zobaczymy. Może Org poniesie nas oboje. Byłoby szybciej. - Poczuł, jak zadrżała i zaraz dodał: - Żartowałem tylko. I tak by tego nie zrobił. Może dla sir Able'a albo dla sir Svona, ale nie dla mnie.

- Czy on chciał mnie zabić?

- Jasne. I jeszcze zjeść. Obaj z sir Svonem mamy go karmić, ale ostatnio jakoś tego nie robiliśmy. Nie za bardzo było co mu dać, a poza tym jesteśmy zajęci. Sir Svon mówił mu, żeby nie jadł niewolników, ale coś chyba musi jeść. No i jest kłopot. Bo trzeba zdobywać szybko dużo jedzenia. Nie wiem, jak to zrobimy.

- Wy nie jecie ludzi?

Toug wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie takich brudnych jak ty.

- Nie powinieneś mnie nabierać. To nieładnie.

- W porządku.

- Musisz skrócić na rogu.

- W którą stronę?

- W jedną tylko można. A ty jak masz na imię?

- Jestem Toug. Giermek Toug, jeśli chcesz się zwracać do mnie oficjalnie,

ale nie musisz.

Poryta koleinami krzywa ulica, którą szedł, skończyła się, więc skręcił na lewo.

- Ale musisz zwracać się oficjalnie, kiedy rozmawiasz z sir Svonem albo sir Garvaonem. Albo z lordem Beelem. To znaczy, będziesz musiała, jeśli znajdziesz się kiedyś na zamku.

- Ożenisz się ze mną?

Toug zatrzymał się w pół kroku.

- Raczej nie.

- Ja wyjdę za ciebie. Jak podrosnę.

- Mało prawdopodobne, Etelo. - Poszedł dalej. - Nie wiem, czy w ogóle kiedyś się ożenię.

- Bo kiedy mama to powiedziała, pomyślałam sobie, kto to będzie, a nikogo nie było. Aż tu jesteś ty. Tylko że musisz się do mnie zalecać. Śpiewać pod moim oknem, tak mówi mama.

Uśmiechnął się.

- Kiedy będziesz starsza.

- Uhu. Tylko że w naszym domu nie ma okien. - Przepychając boleśnie chude ramię przez szczelinę w jego płaszczu, Etela pokazała palcem. - Widzisz tam? Ostatni dom. Na samym końcu. Idź przez to małe wzgórze, tam mieszkamy.

- I tam są te narzędzia? Kiloły i łopaty?

- Pokażę ci. Nasza kuźnia stoi zaraz przy domu, i dobrze, bo tam jest tak gorąco i dobrze się mieszka, tylko jedzenia nie ma za dużo. Jesteś głodny?

Toug pokręcił głową.

- Ja jestem. Bardzo głodna. Bo myślałam, że może ty myślisz, że mama da ci coś do jedzenia. Tylko że mama nie będzie z tobą rozmawiała, chyba, a poza tym i tak nie miałyby ci co dać.

Wyczuwając jej drżenie, Toug powiedział:

- Zimno ci.

- Tu zawsze jest zimno.

Toug, który podjął już decyzję, oznajmił:

- Jak mi już pokażesz te narzędzia, to zabiorę cię do zamku. Tam też nie ma za dużo jedzenia, ale rano oddam ci swoje i znajdę lepsze ubranie.

- No cóż, miałam nadzieję, że się tam dostanę - powiedziała tęsknym głosem.

- Dostaniesz się. Pouk znajdzie ci ubranie. Pouk to mój szwagier i to on dał mi te buty. Gdyby była królowa Idnn, mogłaby... kto to jest?

- Vil - wyszeptała Etela. - Pewnie nas usłyszał.



## ROZDZIAŁ 17

### **NARZĘDZIA**

- Za każdym razem kiedy to robimy, czuję zew Skai - mruknąłem. - A ty, Gylf? Nie czujesz tego?

Gylf zerknął do góry.

- Ta.

- Nigdy tam nie byłeś. Od czasu gdy byłeś mały.

Nie powiedział nic.

- Mogłeś przyjść za mną. Ale pewnie nie wiedziałeś, dokąd się udałem. Myślałeś, że nie żyję.

- Ta.

- Ale wróciłem. Nie jestem bliżej Disiri, ale bliżej Skai niż wtedy, kiedy byłem z nią. Po prostu chcę jechać coraz wyżej i wyżej, i coraz bliżej, aż zobaczę zamek. A potem chcę rozsiodłać Chmurę i napełnić po brzegi jej żłób. I chcę wejść do sali i pochwalić się tobą, i napić się, i poopowiadać dobre kłamstwa o tym, co robiliśmy tu, niżej.

- Tak zrobimy?

- Nie, ale podobałoby ci się w Skai. Pokochałbyś to miejsce. Same równiny i dzikie wzgórza i wszystko nieustannie się zmienia. Spójrz. - Stałem w strzemionach i pokazałem przed siebie: - To Utgard. Taki czarny na tle gwiazd. Widzisz?

- Kiepsko.

- Jasne. Na Thyra i Tyra, jaki duży! Jeśli dotąd wątpiłem, że Angronici są prawdziwymi synami Bergelmira, to teraz już wierzę.

Pokierowana moimi myślami Chmura zaczęła schodzić coraz niżej.

- Przysięgłem, że gdy tu wrócę, nie będę używał mocy, jaką tam otrzymałem, ale...

- Nie?

- Uważasz, że się nią posługuję, prawda? Kiedy podróżujemy tak jak teraz.

- Ta.

- Wcale nie. To jest umiejętność Chmury, jeden z jej talentów. Gdybym spróbował zsiąść, to bym spadł.

- A ja nie - wysapał Gylf.

- No, nie, ale ty nie potrafisz jeździć na koniu. - Ściągnąłem cugle. - Spójrz tam, czerwone światło. To na pewno kuźnia, jeszcze pracują. Ale dlaczego nie słysząc młotów?

- Sprawdzę. - Gylf popędził do przodu. Usłyszałem, jak wiatr wzmaga się w oddali; śnieg zawirował przed grupą ludzi, między Gylfem a światłem żaru.

Gylf wrócił i powiedział:

- Mężczyzna i dziewczyna.

- W kuźni?

- Ta.

Skinąłem głową.

- Przerwali pracę, żeby z nimi porozmawiać? Pewnie każą jej iść do łóżka. Dzieciaki nie powinny chodzić po nocy.

\* \* \*

- Nie wygląda na zbyt silnego - oznajmił niewolnik o imieniu Vil. - Gdzie twój kij? - Wcześniej sprawdzał mięśnie Touga.

- Nie mam kija - wyjaśnił Toug. - Nie mogłem nieść Etele i kija jednocześnie.

Niewolnik chrząknął. Twarz miał wychudzoną, za to ramiona mocno umięśnione. Dłonie, które szczypały i ścisnęły Touga, były twarde jak żelazo.

- Powiniennem już wracać do mojego pana - powiedział Toug.

Nie patrząc na Etele, inny niewolnik powiedział do niej:

- Pójdiesz spać, jak grzeczna dziewczynka?

- Uhu.

- Twoja mama już śpi, bo inaczej już by tu była i wypytywała o ciebie.

Etele jakby nie podzielała jego zdania.

- Może.

- Musimy jeszcze popracować - powiedział Vil.

Toug chrząknął.

- Tak się właśnie zastanawiałem. A co tu robicie? Podkowy?

- Teraz motyki - odparł Vil. - Chcesz pomacać?

- Tak, chciałbym sprawdzić, jakie są. - Toug wyczuł, że im bardziej będzie chciał zostać i porozmawiać, tym bardziej niewolnicy Logiego będą chcieli się go pozbyć.

- Chodź - powiedział Vil i chwycił go mocno za ramię, nie pozostawiając mu wyboru.

Kuźnia była równie wielka jak dom, przy którym ją zbudowano, miała podłogę z ubitej ziemi i była otwarta po przeciwnej stronie domu, pewnie dlatego, by można było wprowadzać konie, jej wewnątrz rozświetlał jedynie czerwonawy blask palącego się węgla drzewnego, ale nawet i sto świec nie byłoby w stanie jej oświetlić.

- No - powiedział niewolnik. - Podoba ci się? Chciałbyś nią pomachać przez cały dzień.

Motyka była ogromna. Toug szybko cofnął rękę.

- Gorąca jeszcze.

- Nie aż tak bardzo. - Niewolnik podniósł swobodnie motykę. - Nastaw rękę.

- Nie - powiedział Toug.

Wszyscy trzech wybuchli śmiechem.

- Nie będziesz wiedział, jaka jest duża, jeśli nie pomacasz.

- Wy macie bardziej zahartowane dłonie - powiedział Toug. - Skoro mówicie, że jest duża, to wam wierzę.

- Zaczekaj. Przyniosę ci zimną. - Poruszając się powolnym, lecz pewnym krokiem, Vil poszedł na tył kuźni i wrócił z motyką, o ostrzu tak dużym jak Etela, trzonek narzędzia był jeszcze nie tak dawno pniem sporego drzewa. Toug wziął ją do ręki, lecz zaraz oparł o ziemię.

- Dałbyś radę się nią zamachnąć?

- On jest całkiem silny, Vil - wtrąciła lojalnie Etela.

- Wcale nie - odpowiedział Toug. - A już na pewno nie tak silny jak twoi przyjaciele. Ale chciałbym być.

- Popracuj z nami - rzekł Vil.

- Cieszę się, że nie muszę. Czy jest tu mama Eteli? Chciałbym z nią porozmawiać.

- W domu. Zaprowadzę cię. - Poprowadził Touga i Etele na tyły kuźni i otworzył ogromne drzwi, przez które przeszedłby największy Angronita; po

drodze minęli stosy ogromnych kilofów i łopat.

- Długo pracujecie - powiedział Toug, kiedy wchodzili do domu.

- Musimy. - Niewolnik zamknął drzwi za nimi i wyciągnął rękę. - Jestem Vil.

- Toug. - Toug uściśnął mu dłoń, pomyślał, że zasługuje na ból, jaki w tym momencie poczuł, a także, że przyszły rycerz powinien być silny jak kowal.

- Krzepki młodzian. Mógłbyś pomagać młotem.

Toug podziękował mu.

- Ty widzisz, co? - powiedział niespodziewanie Vil ściszonego głosem.

Stało się.

- Tak - odparł Toug. - Angronicy nigdy mnie nie zniewolili. Widzę.

- Chciałeś nas nabrać.

- Tak - powtórzył Toug. - Głupio postąpiłem.

- On jest z zamku - wtrąciła Etela.

- Jeden z ludzi króla Arnthora?

- Owszem - wyznał Toug - chociaż jego samego nigdy nie widziałem.

- Byliśmy jego poddanyami. Wszyscy. - Puste oczodoły Vila skierowane były gdzieś na lewo od twarzy Touga i trochę niżej, lecz jego dłoń znalazła ramię przybysza.

- Urodziłem się w Glennidam - powiedział Toug.

- Nie słyszałem.

- Malutka wioska. - Toug zamilkł. - Strzeżliśmy tajemnic Wolnych Drużyn - dawaliśmy im jedzenie, piwo i wszystko, czego potrzebowali, a oni obiecali, że będą nas bronić. Czasem sami sobie brali.

- Okazywaliście im względy - przemówił nowy głos - ponieważ Disiri była dla was miła i ukrywała wasze dzieci, kiedy przychodzili Angronicy.

- Baki?

Ktoś wysunął się z ciemnego kąta, kobieca postać o włosach tak rudych, że wydawały się rozjarzone w słabym blasku ognia. Poruszały się niczym płomienie.

- To jest... moja przyjaciółka, Etelo. - Toug przełknął głośno ślinę, wziął głęboki oddech i brnął dalej. - Na pewno też się zaprzyjaźnicie. Baki, ta dziewczyna to Etela, którą przyprowadziłem do mamy. Zamierzam zabrać ją na zamek i nakarmić, jeśli tylko pozwoli jej mama. A to Vil. Pracuje tutaj i z pewnością jest doskonałym kowalem. Nie lubisz kowali?

- Czemu ona nie ma ubrania? - zapytała Etela.

- Jestem siostrą Baki i uwielbiam kowali - powiedziała, przesuając palcami po ramieniu Vila. - Kowali twardych jak kowadło. Robisz miecze, Vil?

- Nie... - Jego głos załamał się. - Niezbyt dobre.

Toug odciągnął Etełę na bok.

- Gdzie jest twoja mama?

- Pewnie podsłuchuje w sąsiednim pokoju.

- Naprawdę? Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

Przeszli szybko przez kuchnię, pozostawiając Uri w ramionach Vila. W następnym pokoju był kominek, mały i lichy w porównaniu z tym, co Toug widział w zamku, ale z drugiej strony całkiem spory. Żar jeszcze nie zgasł, a w popiele spały dwie niewolnice.

Trzecia, kobieta o białej cerze i czarnych włosach, ubrana w czarne łąchmany, siedziała wyprostowana na wysokim stołku. W blasku żaru z kominka jej duże oczy przypominały ciemne śliwy.

- To jest mama - oznajmiła Etela.

Toug chrząknął.

- Miło mi panią poznać. Jestem giermek Toug.

Siedząca kobieta milczała nieruchoma.

- Znalazłem Etełę w Utgardzie - to znaczy w mieście, samą. Mogło jej się coś stać.

Nie mając pewności, czy kobieta go słyszy, zamilkł; ona też wciąż milczała.

Wreszcie ciszę przerwała Etela:

- No, prawie się stało.

Toug przytaknął jej.

- Tak więc przyprowadziłem ją do domu. Ale była głodna i zziębnięta, więc jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to zaprowadzę ją na zamek i nakarmię.

Tougowi wydało się, że kąś nachylenie głowy kobiety zmienił się nieznacznie.

- Do waszego króla - brnął dalej Toug. - Do króla Gillinga. Może uda mi się znaleźć dla niej coś do jedzenia i jakieś cieplejsze ubranie.

Dłoń kobiety drgnęła, jak pióro zdechłej gołębiczy poruszone przeciągiem, wtedy Etela podeszła do niej szybko. Wydawało się, że kobieta mówi coś

gorączkowym szeptem przerywanym wtrąceniami Eteli „tak zrobię” albo „tak, mamuś”.

Etela wróciła do Touga.

- Mówi, że możemy, ale lepiej żebyśmy się pospieszyli.

Toug zgodził się z nią. Odwrócił wzrok od tulącej się do siebie pary w kuchni i ponaglił Etełę. Gdzieś z tyłu coś się obudziło; belki ogromnego domu zatrzeszczały i jęknęły.

W kuźni dwaj niewolnicy wykuwali nową motykę, jeden z nich trzymał w szczypcach rozgrzany kawałek żelaza, drugi zaś walił miotem, wyczuwając kształt (jak sądził Toug) lekkimi uderzeniami narzędzia. Toug i Etela minęli ich szybko, a tamci, nawet jeśli ich usłyszeli, nie dali tego poznać po sobie.

- Co ci powiedziała matka? - zapytał Toug, kiedy biegli truchtem ulicą.

- Żebyśmy się pospieszyli!

- To wiem, ale co jeszcze?

- Nasz pan się obudził - wysapała Etela. - Gdyby cię usłyszał...

Resztę jej słów zagłuszył dobiegający z za ich pleców ryk podobny do odgłosu trzęsienia ziemi. Toug odwrócił się na tyle, by zobaczyć Angronitę, który był równie szeroki co wysoki i miał trzy ramiona. Toug zabrał Etełę na ręce jak szczeniaka i puścił się biegiem, lecz szybko stracił równowagę pociągnięty za płaszcz. Przez chwilę, która zdawała się być wiecznością, próbował oswobodzić ramiona z rozcięć płaszcza, modląc się w duchu, żeby płaszcz się rozdarł i go uwolnił, lecz zaraz poczuł, jak dwa inne ramiona oplatają go w pasie.

Angronita powiedział coś. A może mu się wydawało, że to zrobił. Toug słyszał tylko bełkot bestii i warczenie, które wystraszyłoby największego niedźwiedzia. Krzyknął przerażony, niezdolny później do powtórzenia tego, co powiedział - co obiecał Orgowi albo jakimukolwiek Overcynowi, który by przysłał mu Orga - tak samo jak nie potrafił powtórzyć, co powiedział do niego Logi.

Jego słowa zostały wysłuchane, choć nie wiedział, przez kogo. Czarna postać odłączyła się od jaśniejszego cienia i zaatakowała Logiego od tyłu.

Toug, upuszczony czy rzucony, a może jedno i drugie, uderzył w pokrytą śniegiem ziemię z taką siłą, że stracił przytomność. Kiedy ocknął się na tyle, by wstać, zobaczył, że Org i Logi walczą. Logi trzymał sztylet długości miecza, a Org chwycił go za nadgarstek pokrytą łuskami ręką. Aż do tego momentu Toug nie widział wyraźnie twarzy Orga, lecz teraz zobaczył ją i

byłby się cofnął z obrzydzeniem, gdyby nie wiedział, że jest to twarz ich obrońcy.

- Biegnij! - Etela szarpała go za ramie.

Potrząsnął głową, widząc, jak ostrze sztyletu przysuwa się coraz bliżej do gardła Orga.

- Biegnij! Musimy uciekać!

- Jestem rycerzem! Nie mogę uciec. - Odsunął na bok Etełę i rzucił się na Logiego. Zaatakował jego nogę i zaczął ciągnąć olbrzyma za kostkę, jakby próbował wyrwać drzewo z korzeniami.

Org także walczył. Wolną dłonią orał plecy i bok Logiego, wrywając mu kawałki ciała ociekające krwią. W pewnym momencie Logi przewrócił się na ziemię i obaj z Orgiem przeturlali się po śniegu. Wszystkie dłonie Logiego zacisnęły się na szyi Orga, lecz ten walczył dalej, gdyż jego potężny kark był jednym wielkim mięśniem.

Walczył do momentu, gdy Toug chwycił z ziemi długi jak miecz sztylet i wbił go w lewe oko Logiego.

\* \* \*

Razem z Chmurą mogliśmy pogalopować prosto w dół, na dach jednej z wież Utgardu. Pomysł ten trochę mnie rozbawił i przez chwilę zastanawiałem się, czy tak nie zrobić. Chmura byłaby tam bezpieczna, choć z drugiej strony trudno byłoby sobie wyobrazić bardziej niewygodne miejsce.

Zejście na ziemię za murami miasta i podróż przez nie mogły okazać się niebezpieczne, ale to mnie pociągało. Najbezpieczniej było pewnie opuścić się na ziemię tuż za fosą i przejechać przez otwartą bramę, a potem wokół dziedzińca i dalej do stajni, które widziałem wcześniej za główną wieżą. Porzuciwszy ten zamysł, pogalopowaliśmy nad najwyższymi iglicami i opuściliśmy się na bruk.

Stukot kopyt Chmury obudził leniwego stajennego. Zsiadłem z konia i udałem się na poszukiwanie czystej przegrody. Jakiś koń zarżał cicho na odgłos moich kroków. Podeszedłem do niego - był to biały ogier, którego otrzymałem, jak się wydawało, dawno temu.

Stajenni, ślepi niewolnicy, spali za rupieciarnią. Obudziłem ich, okładając płazem miecza i postraszyłem widmami, które wyczuwali, lecz których nie

widzieli. Kiedy skulili się w kącie przerażeni, powiedziałem:

- Ani jeden koń w tej stajni nie ma dość wody i paszy. Jeden - który należy do mojego starego przyjaciela - ma, co trzeba, tylko dlatego, że go nakarmiłem i napiłem. Kiedy zobaczyłem, jaki jest zaniedbany, miałem ochotę was zabić, i wciąż mam ochotę to zrobić.

Usłyszałem jęki.

- Wasz król jest zabarykadowany w Utgardzie, czy tak?

- T-tak.

- A wy tymczasem robicie co chcecie, a chcecie się lenić i zaniedbywać zwierzęta. Przegrody są brudne, a żłoby puste. Konie, muły i woły na wpół żywe z pragnienia. Pożałowałbym was, gdybyście nie pokazali, że zasłużyliście na swoją ślepotę albo i na coś jeszcze gorszego. Idę do wieży. Znajdźcie mojego konia i mojego psa przed stajnią. Rozsiodłajcie klacz i zajmijcie się nią. Nakarmcie psa i dopilnujcie, żeby mu nie brakło wody. Zrozumiano?

Niewolnicy mruknęli posłusznie.

- Macie wysprzątać wszystkie przegrody, nakarmić i napić zwierzęta. Nie wiem, ile zabawię u króla Gillinga. Może godzinę. Może dłużej. Ale nie dłużej jak pół nocy, a kiedy wrócę, sprawdzę każdą zagrodę, żeby się przekonać, czy wykonaliście moje polecenie.

Wyszedłem ze stajni, ruszyłem obrzeżem Utgardu do bramy głównej, a potem znalazłem szeroki łuk furty wypadowej przystosowanej wielkością do Angronitów i zanurzywszy się w jego nieprzeniknionej ciemności, zapukałem do żelaznych drzwi.

Łucznik, który mi otworzył, spojrział zaskoczony.

- Sir Able! Spodziewałem się giermka Touga.

\* \* \*

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co powiedziała mama? - zapytała Etela, kiedy szli szybko przez miasto.

- Tak - odpowiedział jej Toug. - O nią też chciałem cię zapytać - dlaczego nie rozmawiała ze mną, i o inne rzeczy.

- To dobrze, bo ja chcę cię zapytać o twoją twarz i o zamek. Opowiesz mi, co?



- Spróbuję - obiecał Toug.

Niósł na ramieniu sztylet i pochwę Logiego.

- I o Orga. O nim też mi opowiesz?

- Jeśli będę potrafił.

- No, dobrze. Jak już nasz pan leżał zabity, rozmawiałeś z Orgiem. Tylko ja bałam się podejść bliżej. Co powiedziałaś?

- Zapytał mnie, czy może zjeść mięso z twojego pana - wyjaśnił Toug. Powiedziałem, że może, tylko że musi uważać na Angronitów, bo by go zabili, jakby zobaczyli, że to robi. Powiedział, że zaciągnie go gdzieś i ukryje, tak by móc tam wrócić i znowu jeść. Powiedziałem, że tak będzie dobrze.

- Już go nie ma z nami?

Toug wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jak by to mógł zrobić.

- A jak ktoś będzie chciał nas skrzywdzić?

- Zrobię, co mogę. Teraz mam to. - Pokazał na sztylet Logiego. - Jesteśmy lepiej uzbrojeni. Wcześniej też miałem podobny. Nie był taki ładny jak ten, a gdy wreszcie mój koń dotarł do Utgardu, wsadziłem go pod łóżko i zapomniałem o nim. O tym nigdy nie zapomnę.

- Jest strasznie duży - zauważyła rzeczowo Etela.

- Nie mogę go trzymać dobrze, bo jest za duży dla mnie - przyznał Toug - ale rękojeść jest chyba z kości, może z kości Angronity albo po prostu jakiegoś dużego zwierzęcia. Pewnie da się ją obciąć i wyszlifować do gładkości. Sporo roboty, ale warto będzie. A teraz powiedz mi, co mówiła twoja matka?

- Wszystko? Dużo mówiła.

- Wszystko.

- No, powiedziała, żebym poszła z tobą do zamku i żebym już nie wracała. I żebym robiła to, co powinnam, żebyś mnie nie odesłał. Bo ty jesteś taki człowiek jak ja, a im bardziej się zbliżę do takich, tym lepiej dla mnie. Powiedziała też, żebym się umyła i znalazła ładne ubranie, jak się da, to może pozwolisz mi zostać. A jak byś powiedział, żebym sobie poszła, to żebym nie wracała, a tylko schowała się gdzieś, aż zapomnisz.

- Nie odeślę cię - oświadczył Toug.

- Miała na myśli was wszystkich.

Szli kilka chwil w milczeniu, a potem Toug zapytał:

- A ona? Nie powinniśmy spróbować wydostać jej stamtąd?

- Powiedziała, żeby po nią nie wracać, bo ona i tak już jest trup. W głosie Eteli zabrzmiała nuta beznadziei. - Tak mówi. To znaczy, jeśli w ogóle się odzywa, bo czasem w ogóle nie rozmawia, nawet ze mną. Vil się nią zaopiekuje, zawsze to robi. Gif i Alca też.

- Czy Vil jest twoim ojcem?

Etela potrząsnęła głową.

- Tato nie żyje. Ale Vil lubi mamę i mnie i opiekuje się nami, kiedy może.

- Logi też nie żyje - rzucił zamyślony Toug.

- Uhu.

- Zastanawiam się, co się stanie z twoją matką i innymi ludźmi których miał.

- Tego nie wiem.

Toug zastanawiał się nad tym przez minutę lub dwie, a potem pokazał ręką:

- Spójrz! To most na fosie. Widzisz?

- Będziemy tam bezpieczni?

- Bardziej niż tutaj. Co jeszcze powiedziała ci mama? Mówiłaś, że dużo mówiła.

- Trochę zapomniałam. Żebym była miła dla ciebie i starała się, żeby ludzie mnie lubili, i żebym poszła na południe, skąd pochodzą tacy jak my, i żebym opowiedziała o mantykorach i aksamitkach.

- O czym?

- O mantykorach i aksamitkach, tylko że ja nie wiem, co to takiego. Mama o nich opowiadała.

- Co mówiła?

- Nie wiem. A co to takiego?

- Przecież coś musisz pamiętać - dopytywał się Toug. - Co mówiła?

- O sukniach chyba, i o szalu. Przeważnie powtarzała słowa. Mantykory i aksamitki, mantykory i aksamitki, tak jakoś. Nie wiem, co to jest.

- Aksamitki to takie kwiaty - powiedział powoli Toug. - Żółte i bardzo ładne. Ale nie wiem, co to jest mantykora.

Nie zatrzymywani przez nikogo przeszli przez ośnieżony most i dalej przez bramę. Etela przystanąła na chwilę i spojrzała do góry na Utgard, ogromny jak góra i czarny na de rozgwieżdżonego zimowego nieba.

- No, no. Wiedziałałam, że jest duży, bardzo duży, ale nie wiedziałałam, że aż

tak.

- Łatwo się zgubić - powiedział Toug. - Będziesz musiała uważać, zanim się nauczysz.

- Uhu.

- Moja siostra mieszka w pokoju tam wysoko. Może mogłabyś spać u niej. Zapytam jej.

- Z tobą - oznajmiła Etela zdecydowanym tonem. - Mama powiedziała, żeby z tobą.

- Zobaczymy. Może mogłabyś się zaopiekować Manim. Ja powinienem się nim opiekować, ale jak mnie nie ma to nie mogę. Tak jak teraz. Ktoś powinien się nim zajmować, a nikogo nie ma, chyba że wiedźma.

- Wiedźma?

Toug skinął głową.

- Nazywa się Muld i jest duchem oprócz tego, że jest wiedźmą. Nie wiem tylko, czy duchy mogą się kimś opiekować.

- Tam, gdzie mieszkała mama, był duch - powiedziała Etela. - Tylko że tamten był naprawdę straszny i opiekował się domem, ale nie ludźmi. Mama opowiadała, że nie lubił nikogo specjalnie i w ogóle dużo rzeczy nienawidził. Nie chcę słuchać o tej wiedźmie, bo się będę bała w nocy.

Prowadząc ją do furty wypadowej, przez którą wyszedł z Utgardu, Toug zdał sobie sprawę, że od czasu gdy zmusił go, by poszedł do lasu, bał się często, a nawet bardzo. Wciąż się bał poza nielicznymi chwilami, kiedy był zbyt zmęczony, by odczuwać strach czy cokolwiek innego.

- To nie ma sensu - powiedział do Eteli.

- Co niby?

- Żeby się ciągle bać. Banie się powinno być czymś wyjątkowym. Człowiek powinien się bać tylko raz na jakiś czas. Albo i nigdy. Spałaś w domu Angronity, prawda? Razem z matką?

- Uhu. Każdej nocy.

- Ja bym się bał. A ty, nie bałaś się?

- Hm, to było coś normalnego. Tam mieszkaliśmy.

- W takim razie przestanę się bać, a przynajmniej spróbuję. Jak mnie ktoś zabije, to zabije i koniec. Ale już więcej się im nie dam i nie będę się ciągle bał.

Gdy zanurzyli się w ciemność przejścia, Etela zapytała cichutko:

- A nie bałeś się, jak zabijałeś naszego pana?

- Potem tak, ale kiedy to się działo, starałem się robić wszystko szybko - złapać ten miecz i nie dać się przygnieść. - Toug zastukał w żelazne drzwi gałką rękojeści sztyletu. Trzy razy, a potem jeszcze dwa.

Po dwóch ostatnich rozległ się zgrzyt odsuwanej zasuwę i stłumione stęknięcia łucznika odsuwającego ciężką sztabę, którą Angronita potrafiłby odciągnąć bez wysiłku.

Drzwi otworzyły się, a wtedy Arn powiedział:

- Jesteś wreszcie, giermku. Sir Able chce cię widzieć jak najszybciej.

\* \* \*

Ulfa otworzyła drzwi do komnaty królewskiej i przez chwilę staliśmy, patrząc na siebie. Wreszcie powiedziałem:

- Znam cię, a ty znasz mnie.

Pokręciła przecząco głową.

- Jak się nazywasz, sir? Ja... chciałabym, żebyś sam mi to powiedział.

- Jestem sir Able Wielkie Serce.

Dygnęła.

- Ulfa, do usług. Twoja służąca jest żoną twojego służącego Pouka.

- Uszyłaś mi kiedyś koszulę.

- I spodnie. I poszłam za tobą, kiedy razem z psem i Tougiem, moim ojcem, rozprawiłeś się z Wolną Drużyną.

Przytaknąłem jej.

- Muszę porozmawiać z tobą i Poukiem, kiedy będę wolniejszy. Czy on jest gdzieś tutaj?

- Sprowadzę go, sir - powiedziała i wyszła szybko na korytarz.

Królewska sypialnia wydawała się równie ogromna jak Grota Gryfa, przepastna jaskinia, której sufit (ozdobiony scenami bitew i uczt) ginął wysoko w mroku, a stojące tam komody, skrzynie, stoły i krzesła wielkością przypominały wiejskie domki. Ustawione na środku komnaty, na karmazynowym dywanie w czarne wzory większym niż niejedna łąka, łóżko, pod którym wcześniej Toug konferował z Baki i Manim, wydawało się małe, zanim nie spojrzano się na czekające przy nim niewolnice, których głowy znajdowały się dużo niżej niż rama łóżka, tak że musiały wspinać się po drabinach, by obsługiwać królowi, a potem chodziły po kocach, którymi był

przykryty, kocach rozłożonych na prześcieradle równie dużych jak grotzagieli na maszcie Zachodniego Kupca.

Przy łóżku stał Beel na tapicerowanym siedzeniu i rozmawiał z Gillingiem, który siedział podparty wysoko ogromnymi poduszkami. Beel spojrzał na mnie zaskoczony, a ja zatrzymałem się i ukloniłem.

- Panie.

- Jest tutaj - powiedział Beel do Gillinga. - Nie wiem, jak to możliwe, ale jest tu.

Gifling uniósł lekko dłoń.

- Podejdź, sir Able.

Zbliżyłem się i wszedłem na poprzeczkę krzesła, a stamtąd na siedzenie, na którym stał Beel.

- Jakże życzliwi są nam nasi przodkowie - mruknął Gilling. - Sprzyjają nam, swojemu marnemu synowi. Najpierw przyszedł Schildstarr, teraz ty. Królowa - znasz naszą królową?

- Mam ten zaszczyt, Wasza Królewska Mość. To właśnie królowa Idnn przysłała mnie do ciebie.

- Dopiero co tu była. Cudowna dziewczyna.

Pomyślałem, że Gillingowi coś się przyśniło.

- Rzeczywiście piękna kobieta, Wasza Królewska Mość. Można ci tylko pozazdrościć.

- Czytała z gwiazd. - Gilling westchnął. Potrafi wróżyć z gwiazd i z kart, a także z lotu ptaków, bo jest równie mądra co piękna. Sir Able nas uratuje. Sir Able, powiedziała, przybędzie dzisiejszej nocy. Ty jesteś sir Able?

- To ja, Wasza Królewska Mość. - I nie ma innego?

- Żadnego, o którym bym coś wiedział, Wasza Królewska Mość.

- Ani ja - wtrącił Beel.

- To ty siekleś naszych Kresowców?

- Gdybym wiedział, że tobie służą, Wasza Królewska Mość...

Gilling machnął ogromną, bladą dłonią.

- Wybaczam ci. Nękają nas buntownicy.

- Tak też słyszałem, Wasza Królewska Mość.

- A zatem... - Gilling zamilkł. Zamknął oczy i przez jakiś czas, który wydawał się wiecznością, w pokoju słychać było tylko szepty służących podobne do cichego szelestu liści, westchnień wierzby poruszanej letnią bryzą.

- Beel...
- Jestem tu, Wasza Królewska Mość.
- Powiedziałaś, że jest bardzo daleko. Thiazi też tak mówił.
- Owszem, Wasza Królewska Mość. Myślałem, że to prawda. Nie wątpię, że i lord Thiazi żywił podobne przekonanie.
- To jest sir Able? Naprawdę jest tutaj?
- Tak, Wasza Królewska Mość. Stoi u mego boku.
- Podejdź, sir Able. Zbliź się. Boisz się naszego dotyku?
- Nie, Wasza Królewska Mość. - Zszedłem z siedzenia na łożko, twardsze niż się spodziewałem.

Gdy jego dłoń dotknęła mnie, Gilling otworzył oczy.

- Hełm, kolczuga i miecz. Czy masz tarczę, sir Able?
- Tak, Wasza Królewska Mość, a także kopię, kołczan i łuk. Mogę je przynieść, jeśli Wasza Królewska Mość chce je zobaczyć.
- Tarcza z czarnym smokiem na tle leśnej zieleni, Wasza Królewska Mość.
- Mówili, że jesteś gdzieś daleko, sir Able. Jeszcze tego popołudnia tak twierdzili.

- Bo tak było, Wasza Królewska Mość.
- To w jaki sposób znalazłeś się tu tak szybko, sir Able?
- Mam dobrego wierzchowca, Wasza Królewska Mość.
- Moja królowa powiedziała mi, że przybędziesz. Jest mądrzejsza niż Beel, choć to dobry przyjaciel. Przewyższa mądrością nawet Thiaziego. Wyczytała to z gwiazd.

- Na jej prośbę tu przybyłem - powiedziałem ostrożnie. - Książę Marder też tu jedzie, a z nim dwóch krzepkich rycerzy, sir Woddet i sir Leort. Prowadzą setkę ludzi.

- Będziesz nam służył, sir Able?
- Pomogę w miarę możliwości, Wasza Wysokość, przez wzgląd na królową i lorda Beela.

Beel dotknął mojego ramienia.

- Wasza Królewska Mość. Jest tu ktoś jeszcze, z kim powinniśmy porozmawiać, zanim naradzimy się w trójkę. Jeśli nie czujesz się na siłach, to sami z sir Able'em go wypytamy i zdamy ci relację.

- Pozwolimy ci mówić - odpowiedział mu Gilling - ale najpierw jego wysłuchamy. Kto to taki?

- Giermek sir Svona, Wasza Królewska Mość. Przekonany, że sir Able jest daleko stąd, wysłałem go do miasta na zwiady.

- Toug? - Spojrzałem ku drzwiom i zobaczyłem go tam w towarzystwie dziewczyny w łachmanach, która stała między nim a Ulfą.

- Podejdz, giermku - powiedział głośno Beel. - Muszę cię przedstawić.

Toug podszedł niepewnym krokiem, a dziewczyna poszłaby za nim, gdyby nie powstrzymała jej Ulfa.

Podąłem mu rękę, on zaś wspiął się na krzesło i stanął na jego siedzeniu obok Beela.

- Wasza Królewska Mość, ten młodzieniec to giermek Toug. Jest giermkim sir Svona. A sir Svon to młodszy z dwóch rycerzy, którzy mi towarzyszyli.

Beel zamilkł i dodał szeptem:

- Przyklęknij na kolano! - Toug przyklęknął.

- Opuściłeś zamek, żeby szpiegować dla nas, młody człowieku? - powiedział Gilling niemal przyjaznym tonem.

- Szukałem drabin oblężniczych, Wasza Królewska Mość, albo taranów. I tym podobnych. Lord Beel tak mi kazał i jeszcze mówił, żebym sprawdził, kto je ma.

Beel przytaknął mu.

- Rzeczywiście, Wasza Królewska Mość, takie wydałem instrukcje. I co znalazłeś, Tougu?

- Nic z tych rzeczy. Wasza Lordowska Mość. - Beel dał mu znak, by wstał. - Ale odkryłem, że robią motyki i łopaty. Narzędzia do kopania. Dużo już mają, a słyszałem, że zamierzają zrobić więcej.

Westchnienie Gillinga przypominało prawie jęk.

- Zwykłe narzędzia dla niewolników, do pracy w polu. Nic ciekawego.

Odwrociłem się do Touga.

- Tego nie jestem pewny. Mówiłeś, że mają ich dużo. Co to znaczy dużo. Dziesięć? Dwadzieścia?

Toug zastanawiał się przez chwilę.

- Raczej z sześćdziesiąt albo i siedemdziesiąt łopat i trzydzieści, może czterdzieści kilofów. Widziałem też, jak robili motyki. To coś podobnego do kilofa, tylko że ma szerokie ostrze.

- Wiemy, jak wygląda motyka - powiedział Beel.

- Widziałem z osiem albo i dziesięć motyk, a kiedy byłem w kuźni robili

następną, tylko, Wasza Królewska Mość...

Gilling otworzył oczy, które wydawały się za duże pomimo jego rozległego bladego czoła i ogromnego nosa.

- O co chodzi?

- To nie były narzędzia dla niewolników. Były zbyt duże.

- Chcą nas podkopać! - zawołał Beel.

Głowa Gillinga zakołysała się.

- Zapędzą do pracy niewolników. Będą usypywać ziemię i kamienie. -  
Znowu zamknął oczy. - Dlatego przenieśliśmy wyspę Aegri.

Toug odważył się odezwać:

- Moglibyśmy pójść tam i je im zabrać, Wasza Królewska Mość. Nikt nas nie pilnuje.

Gdy Gilling nic nie odpowiedział, Toug zwrócił się do mnie:

- Moglibyśmy przynieść je tutaj albo spalić.

Potrząsnąłem głową.

- Panie, musimy porozmawiać. Wiem, że późna pora, ale trzeba się naradzić, bo muszę jechać. Gdybym miał więcej czasu, porozmawiałbym z każdym z osobna - z tym tu Tougiem, z moim służącym Poukiem i z Ulfą. A także z Schildstarrem, lordem Thiazim i z tobą. Ale nie mam czasu. Zbierzmy więc ich razem, jeśli mogą przyjść. A potem odjadę.

Beel skinął głową.

- Zajmę się tym.

- Ulfa i Pouk są już tutaj - powiedział Toug. - Także Etela. Może ją też powinieneś zobaczyć.

- Czy to ta dziewczyna?

Toug odpowiedział skinieniem głowy, a Beel powiedział:

- Jesteśmy tu wszyscy z wyjątkiem Schildstarra i lorda Thiaziego. Idź, giermku, i spytaj, czy mogą opuścić swoje łóżka, by spotkać się z nami.



## ROZDZIAŁ 18

### Noc

Idąc za radą chudego Angronity o imieniu Thiazi, zebraliśmy się w sali, w której król podejmował czasem przyjaciół, a która była większa niż sala bankietowa w zamku Valfathera. Była także bardziej strojna, i o wiele zimniejsza i nie wypełniały jej myśliwskie trofea ani tarcze dzielnych wojów, lecz niezgrabne meble, które swoją wielkością musiały przytłaczać nawet samych Angronitów, oraz liczne srebra, cynowe tace i puchary, przedmioty piękne, lecz nienaturalnie duże, podobnie jak półki, które z trudem je mieściły.

- Musimy poczekać na Schildstarra - mruknęła do mnie Ulfa; dopiero teraz ją zauważyłem. - Jeśli mnie nie potrzebujesz, to pójde poszukać czegoś dla dziewczyny. Pouk mówi, że nic nie jadła od wczoraj.

Skinąłem głową.

- Dla ciebie też coś przynieść?

- Nie, dzięki. Tylko wracaj prędko.

Pouk pojawił się z mojej drugiej strony.

- Chciałeś ze mną mówić, sir? Może to jest dobra chwila.

- Musi być. Nasze konie - czarny rumak, którego podarował mi mistrz Agr - gdzie one są?

- W stajni, sir. Ci stajenni... - Pouk zrobił minę, jakby miał zamiar splunąć.

- Nie poznałem ich. W stajni było ciemno, a ja się spieszyłem. Mimo wszystko powinienem je zauważyć.

- Wychodzę, gdy tylko to możliwe, i robię, co się da. Tylko że nie mogę wychodzić zbyt często. Najpierw sprąłem tych stajennych, ale oni jeszcze mniej robili, żeby się odegrać, a trudno przyłożyć komuś, kto ucieka.

Zgodziłem się z nim po cichu i uzmysłowiłem sobie, że Pouk, z jednym okiem niewidzącym i drugim zezowatym, zawsze wyglądał jak ślepiec, a teraz jest rzeczywiście ślepy.

- Nie mogłeś wychodzić stąd po tym, jak zaatakowano króla.

Pouk zachichotał.

- Och, wymykam się, sir. Już dwa razy od tego czasu. Mam swoje sposoby.

- Dobrze.

- Tylko ten drugi zniknął. Twoje pułapki...

- Rozumiem. - Podjąłem decyzję. - Chcę was stąd wydostać, ciebie i Ulfę. Dziś w nocy zabiorę ze sobą Ulfę, jeśli...

- Wielkie dzięki, sir!

- Jeśli to będzie możliwe. Ciebie na razie tu zostawię, żebyś doglądał moich koni i zebrał moje rzeczy w miarę możliwości. Odszukaj je, nawet jeśli nie będziesz mógł ich zabrać. Niedługo wrócę z księciem i pozostałymi, a potem zabiorę i ciebie.

Wróciła Ulfa z grubą pajdą ciemnego chleba, kawałkiem smrodliwego sera i drewnianym kubkiem, w którym pewnie było cienkie piwo. Dała to wszystko dziewczynie w łachmanach.

Pochyliłem się na lewo, by porozmawiać z Tougiem.

- Czy to jeszcze jedna krewna Ulfy?

- Nie, sir. Znalazłem ją, gdy byłem na przespiegach. To trochę skomplikowane.

- Powinniśmy usłyszeć... - zaczął Beel.

W tym momencie do sali wszedł Angronita, gigant tak ogromny i brzydki, że w pierwszej chwili pomyślałem, iż mógłby być jednym z Gigantów Zimy i Starej Nocy, a za nim weszli czterej inni tylko trochę mniej szkaradni.

- Ty sam - zwrócił się Thiazi do Schildstara stanowczym tonem. - Twoi ludzie nie mają pozwolenia.

Olbrzym przysunął sobie krzesło i usiadł, po czy dał znak swoim towarzyszom, by także zajęli miejsca.

- Tak nie będzie - powiedział Beel znużonym głosem.

- To mnie też nie będzie.

- Myślisz, że nie możemy cię stąd wypędzić. Mylisz się. Możemy i uczynimy to, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Schildstarr pokręcił głową.

- Sprowadź swoich małych ciepłoludków, a my sobie pójdziemy.

Jego towarzysze zaczęli protestować.

- Ochoczo skaczesz na moich. A ja nie. - Spojrzał na Beela. - Policzcie siebie. - Sam to zrobił, wystawiając kolejny gruby paluch dla każdego

mężczyzny i kobiety, na których pokazywał kolejno Beela, Touga, Ulfę, Etełę, Pouka i mnie. - Pół tuzina. Czterech moich i ja. Do tego Thiazi. Nie uśmiecha mi się to.

- Masz rację - przyznał Beel.

- Nasz król w łóżku, a wy depczecie naszą ziemię.

- Ty jesteś Schildstarr? - powiedziałem. - To ja zwołałem zebranie, ale nie mam dużo czasu. - Stałem na siedzeniu mojego krzesła i podałem mu rękę.

- Nie jesteś ciepłoludem - powiedział Schildstarr i puścił moją dłoń. - Takiego jeszcze nie ściszałem.

- Policzyłeś mnie razem z nimi - odpowiedziałem mu. - Powiedziałeś, że pójdziesz sobie, jeśli lord Beel sprowadzi swoje siły. Ja tu jestem, a to znaczy, że ma wszystkie siły, jakich potrzebuje. Ale jeśli pójdziesz bez walki, pójdę z tobą. I tak muszę stąd odejść niebawem.

- My zostajemy.

- Chcę tu mieć sir Garvaona - rzekł Beel - i sir Svona. Odmówisz, a już mnie więcej nie zobaczysz. Możesz przyprowadzić jeszcze dwóch swoich, jeśli chcesz, żeby było jeden do jednego.

Schildstarr pokręcił głową, a Toug poszedł po rycerzy.

- Toug był w mieście tej nocy - zwróciłem się do Svona, kiedy obaj przyszli. - Pomyślałem, że to niebezpieczne, gdy mi o tym mówił, ale on stwierdził, że nie aż tak bardzo, jak można by przypuszczać - wrogowie króla Gillinga nie oblegają zamku. To mogę potwierdzić. Nie widziałem nikogo w drodze tutaj.

Zwróciłem się do Touga:

- Sugerowałeś, żebyśmy przejęli albo spalili narzędzia, które znalazłeś. Nikt ich nie pilnował?

- Tylko kowal.

- Jak się nazywa? - zapytał szybko Beel. - Dowiedziałeś się?

- Tak, Wasza Lordowska Mość. - Byłem pewny, że Toug jest jeszcze bardziej wyczerpany niż Beel. - Logi, Wasza Lordowska Mość.

- Znasz go, panie? - Pytanie Beela zabrzmiało prawie tak samo stanowczo jak to zadane Tougowi.

- Słyszałem gdzieś to imię. - Thiazi wzruszył ramionami.

- Czy mógłby być przywódcą buntowników?

- Kowal? - Thiazi pokręcił głową. - Raczej nie.

- Mógłby gadać - zagrział Schildstarr.

- Gdyby tu był - rzekł Beel. - Pewnie, że moglibyśmy nakłonić go do mówienia, ale nie ma go z nami i nie wiem, w jaki sposób mielibyśmy go tu sprowadzić.

- Mógłby przyjść - zagrział ponownie Schildslarr - gdybym ja spróbował.

- On nie żyje! - odezwał się niespodziewanie Toug. - Gonił nas - mnie i Etełę, i go zabiłem.

Wszystkie dzbany i kielichy zatrzęsły się od śmiechu Schildstarra, Svon także wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jak ci się to udało?

- Przewrócił się i upuścił sztylet, a wtedy dźgnąłem go nim, zanim wstał - odparł Toug. - Chciałbym porozmawiać o tym z tobą na osobności.

- Jesteś godnym uwagi młodzieńcem - powiedział Beel do Touga.

- Dziękuję, Wasza Lordowska Mość. - Toug przełknął ślinę. - Ale raczej nie. Jestem zwykłym młodym mężczyzną, prawda Ulfo?

Posłała mu ciepły uśmiech.

- Sir Able, myślisz, że moglibyśmy tam pójść i przynieść te narzędzia, tak jak powiedziałem?

- Wątpię. Ile ich było? Sześćdziesiąt łopat?

- Tak, sir Able. Mniej więcej.

- Były też kilofy.

Toug skinął głową.

- Ze trzydzieści.

- Rozumiem. - Przez chwilę wpatrywałem się w poważną, chłopięcą twarz Touga. - Trzymałeś w ręku któreś z tych narzędzi?

- Motykę.

- Dałbyś radę przynieść ją tutaj?

Toug zastanawiał się przez chwilę i zaraz ponownie skinął głową.

- Była całkiem ciężka, ale chyba dałbym radę ją tu przynieść. Nie szedłbym zbyt szybko.

- Niezbyt szybko. Każdy z tych Angronitów dałby radę ponieść więcej oczywiście. Powiedzmy, cztery narzędzia.

Liczyłem przez chwilę, po czym odwróciłem się do Schildstarra.

- Masz więcej ludzi niż tych czterech, skoro lord Beel sugerował, żebyś przyprowadził jeszcze dwóch. Ilu?

- Ja i osiemnastu.

Znowu spojrzałem na Touga.

- Powiedzmy, że mają tam sześćdziesiąt łopat, trzydzieści kilofów i dziesięć motyk - razem sto. Schildstarr i jego osiemnastu towarzyszy dałoby radę przenieść siedemdziesiąt sześć narzędzi, a zatem pozostałe dwadzieścia cztery musielibyśmy przenieść my, a nas jest dwadzieścioro czworo.

- Nie mamy dość ludzi, żeby bronić tej wieży! - zawołał Beel.

- Racja. Nawet gdybyś wziął stąd wszystkich, brakłoby nam ludzi. - Bo jeśli mamy się spodziewać poważnego oporu - a tak będzie - to nie wystarczy.

- Ja i inni tacy jak ja też możemy ponieść - zabrał głos Pouk. - Będzie nas z setka.

Przytaknąłem mu.

- Albo weźmiemy konie ze stajni. Są tam też woły, więc pewnie i wozy. Schildstarr, widzę, że kręcisz głową.

- Odważny chłopak, ale nic to nie da. Zaczęlibyśmy bitwę, ale nigdy byśmy jej nie wygrali. - Wskazał ogromnym paluchem na Garvaona. - Dalibyście radę setce naszych? I to na otwartym terenie, nie.

- Robilibyśmy co w naszej mocy.

- I byście polegli.

- Czy inni nie przyłączyliby się do króla - powiedział Svon - gdybyśmy wyszli za mury?

- Do mnie i naszych może by i przyszli. Ale nie jak jesteście z nami.

- Właściwie to te narzędzia nie są nam potrzebne - rzekł Toug. - Może należałoby je spalić.

- Moglibyśmy spalić trzonki - odpowiedziałem mu - gdybyśmy w ogóle tam dotarli. Bo ostrza są z żelaza, prawda?

Toug przytaknął mi.

- Ogień by ich nie zniszczył, a nowe trzonki łatwo byłoby dorobić.

Dziewczyna stojąca po drugiej stronie Touga pociągnęła go za rękaw i przez chwilę szeptała coś do siebie. Potem Toug wyprostował się i powiedział:

- Etela i ja mamy inny pomysł. Czy mogę zapytać o coś Schildstarra?

- Pytaj.

- Miejsce, gdzie robią łopaty i inne narzędzia, należało do Logiego. Tak mówi Etela. Jej matka jest tam niewolnicą. Tylko że Logi nie żyje, jak już mówiłem. Czy oni zostaną sprzedani? Ci niewolnicy?

Schildstarr skinął głową.

- Tak.

Wtedy odezwała się Etela:

- Król ma chyba dużo pieniędzy.

Toug przytaknął jej skinieniem głowy.

- Na to wygląda, a Logi nie może już zrobić więcej narzędzi, więc teraz jego niewolnicy musieliby się tym zająć. Ale nie mogliby, gdybyś ich wykupił i sprowadził tutaj.

Schildstarr uniósł brwi i wydał dolną wargę, ogromną i ciemną jak przypalona pieczeń.

- Mógłbyś wykupić wszystkich niewolników - dodał Toug. - Także matkę Eteli.

- Byłoby nawet możliwe wykupienie zrobionych już narzędzi - powiedział Beel.

Wstałem.

- Zebrałem was tu wszystkich razem, żebyście nie zrobili czegoś zbyt pochopnie, zanim przybędzie książę Marder - żebyście zdali sobie sprawę ze swoich ograniczeń. Specjalnie się nie martwiłem, ale teraz już czas na mnie.

- Wszyscy już pójdziemy. - Thiazi ziewnął szeroko. - Z powrotem do łóżek. Musimy się z tym przespać i porozmawiamy jutro.

- Chcę zamienić słowo z Tougiem - zwróciłem się do niego. - A także z jego siostrą. Mogę ich zabrać?

Mani wskoczył Tougowi na ramię.

- Chyba tak, jeśli lord Beel nie ma nic przeciwko. - Thiazi ziewnął ponownie. - Toug służy u niego tak długo, jak długo opiekuje się kotem króla. A która to jego siostra?

- To ja. Wasza Lordowska Mość - powiedziała Ulfa.

- Aha. - Thiazi wstał. - Chciałbyś mieć własną siostrę, młody człowieku?

Toug wybałuszył oczy, a Beel, przyglądający mu się z pewnym rozbawieniem, szepnął do niego:

- Tak, panie.

- Tak, panie. Chciałbym.

- Występuję w imieniu Jego Królewskiej Mości na czas niedyspozycji jego Królewskiej Mości. - Thiazi podniósł swoją złotą laskę, którą wcześniej położył na stole, kiedy zajmował swoje miejsce. - jako zastępca jego Królewskiej Mości, uważam, że należy ci się nagroda za twoje działania,

które wykonywałeś dzisiejszej nocy w imieniu jego Królewskiej Mości. W uznaniu twoich czynów nadaję ci tę oto zdrową niewolnicę. Rano każę pisarzowi sporządzić dokument.

Zapytał Ulfę o imię, ona zaś dygnęła i podała mu je.

- Tę niewolnicę Ulfę. W zasadzie to nie potrzebujesz żadnego dokumentu, bo Schildstarr i jego przyjaciele mogą potwierdzić, gdyby powstał jakiś problem. Co raczej się nie zdarzy. Ale staramy się, żeby wszystko było bardziej poukładane niż kiedyś.

- Powiedz dziękuję, panie - wyszeptał Beel. - Powiedz bardzo dziękuję.

\* \* \*

Zatrzymałem się przy drzwiach furty wypadowej (oddzielonej kamiennym bezdrożem od pokoju, w którym się spotkaliśmy).

- Sir Garvaonie, sir Svonie, wybaczcie mi. A szczególnie ty, sir Svonie. Muszę pomówić z Tougiem na osobności. Zaczekacie tutaj? Także ty, Pouk i twoja żona. Wrócę najszybciej jak to będzie możliwe. Może sir Svon mógłby potrzymać kota królowej Idnn.

- Ja go potrzynam - powiedziała Ulfa i wzięła kota od Touga.

Wartownik otworzył żelazne drzwi, postępując z wysiłku, i obaj z Tougiem wyszliśmy na zewnątrz.

- To był Org - powiedział Toug, gdy tylko drzwi zamknęły się za nami. - Nie mówiłem o tym tam na górze, bo wiem, że sir Svon nie chce, żeby ludzie dowiedzieli się o nim.

- Rozumiem. Org zabił kowala?

- Nie, ja to zrobiłem. Ale Org zobaczył, że ten goni mnie i Etełę i go zaatakował. Tak jak mówiłem, kowal przewrócił się i upuścił sztylet, a ja go nim dźgnąłem. Tak było. Ale zaczęło się od walki z Orgiem.

Ruszyłem w stronę stajni i dałem znak Tougowi, by poszedł za mną.

- Może martwisz się, że Eteła śpi na razie w moim łóżku. Wiem, że jest Ulfa, ale ja jej nie skrzywdzę, a łóżko jest naprawdę duże.

- Nie pomyślałem o tym - przyznałem. - Rozmawiałem z sir Garvaonem i sir Svonem, kiedy razem z siostrą kładliście ją do łóżka.

- No to nie wiem, o czym mamy rozmawiać, ale jest coś, o czym powinienem ci powiedzieć, i to tylko szeptem.

Zatrzymałem się przy drzwiach stajni.

- Mów.

- Tak naprawdę to Pouk wcale nie jest ślepy. To znaczy jest, ale tylko na jedno oko, tak jak wcześniej.

- Też się zorientowałem. - Poczułem nagle, że jestem tak samo skonany jak oni wszyscy, lecz zaraz pomyślałem, że nie wolno mi się poddawać zmęczeniu, bo czeka mnie długa droga.

- Naprawdę?

Gylf zjawił się, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

- Jesteś - mruknął.

- Wreszcie. Wszystko w porządku?

- Ugryzłem jednego. - Gylf ziewnął.

- Wyzdrowieje, na pewno. - Odwróciłem się do Touga i zapytałem go, co mu się stało w policzek. Opowiedział mi o walce na dziedzińcu i o ataku na króla Gillinga, powtarzając mniej więcej to samo co Idnn, a potem rozmowę zagłuszył stukot podkutych kopyt na drewnianej podłodze stajni. Chmura wyszła, by mnie powitać, i uścisnęliśmy się; ja objąłem jej szyję, ona zaś przytuliła mnie pyskiem do swojej szyi.

Toug poklepał ją po boku.

- Piękny koń. Pewnie się o nią martwiłeś.

- Tak, chociaż powiedziałyby mi, gdyby działo się coś złego. Nie rozmawiamy ze sobą tak dosłownie, ale każde z nas wie, co mówi to drugie. Mówiłem ci o tym?

- Tak jakby.

- Chodź ze mną. - Wszedłem do stajni, a za mną Gylf i Chmura. Odgłosy ich kroków mieszały się z metalicznym drapaniem łopat.

- Tutaj śpią stajenni. - Wziąłem patyk z ognia i pomachałem nim, żeby rozdmuchać płomień. - Potrzebne nam światło. Pewnie są tu gdzieś świece albo latarnie, nawet jeśli stajenni ich nie używają.

- Pewnie, że są, sir Able. - Toug otworzył szafkę i wyjął z niej dużą miedzianą latarnię z równie dużą świecą w środku.

Zapaliłem ją.

- Dzięki. Używają jej pewnie wtedy, kiedy muszą oświetlić drogę swojemu panu, więc i my się nią posłużymy. - Wrzuciłem patyk z powrotem do ognia.

- Chyba wiem, co mi chcesz pokazać.



- Gdybym był nauczycielem, zostawiłbym stajnię w takim stanie, w jakim ją zastałem - powiedziałem. - Ale jestem rycerzem i nie mogę pozwolić, by w taki sposób traktowano dobrego konia. Chciałem ci pokazać, że jego przegroda jest czysta - lepiej żeby taka była - a on ma dość wody i paszy.

Kiedy doszliśmy do ogiera, który kiedyś należał do mnie, Toug wybałuszył oczy i wpatrywał się w konia dłuższą chwilę z latarnią uniesioną wysoko.

- Jest brudny - wydusił z siebie Toug.

- I wychudzony.

- Tak, sir Able...

- Słucham.

- My - wszystko było zabarykadowane. Spiskują przeciwko królowi. Nikomu nie wolno było wychodzić. Lord Beel tak powiedział.

Wziąłem od niego latarnię i powiesiłem ją na gwoździu.

- Lord Beel nie jest rycerzem.

- Chyba nie.

- Ty też nie. Spodziewałem się, że tak powiesz.

- Ty to powiedziałeś, sir Able. Wiem, że to prawda, ale tego nie powiem. - Toug wytarł dłonie o płaszcz. - Na pewno są tu jakieś rzeczy, którymi da się wyczyścić konia. Jakieś gąbki i gałgany. Woda. Przyniosę je.

Pokręciłem głową.

- Jesteś giermkim, a to jest praca stajennych, którzy zaniedbali swoje obowiązki. Powiedz im, co powinni zrobić, i dopilnuj, żeby to zrobili.

- To ty kazałeś im to wyrzucić? - Toug pochylił się i podniósł garść świeżej słomy. - Jak to przedtem wyglądało?

- Nie chciałbyś raczej tego oglądać. Czas na mnie. Sir Garvaon i sir Svon czekają już zbyt długo. Tak samo twoja siostra i jej mąż.

Toug skinął głową.

- Zaopiekuję się Laemphaltem.

- I jeszcze jedno zanim odjadę. Chodzi o twoje wyjście do miasta dzisiejszej nocy.

- Lord Beel mi kazał.

- Ryzykowałeś życie i walczyłeś jak bohater.

- Org...

- Wiem. Każdy z nas, który zabił Angronitę, jest bohaterem. Większość z ludzi stałaby z boku i pozwoliła walczyć Orgowi. Ale ty postąpiłeś inaczej.

Za to nie poświęciłeś ani chwili swojemu wierzchowcowi. A powinieneś był.

Toug przytaknął mi.

- Pouk przychodził tu od czasu do czasu, żeby doglądać moich koni, koni, które miał, gdy schwytali go Angronici. Gdyby nie to, byłoby jeszcze gorzej. Czy sir Svon zajmował się swoim wierzchowcem?

- Nie wiem.

- W taki razie nie. - Westchnąłem. - Wiedziałbyś, gdyby to robił. Był moim giermkim, a także sir Ravda. Żaden z nas nie wyszkolił go tak jak powinniśmy. A sir Garvaon i jego giermek? Nie pamiętam jego imienia.

- Wistan, sir. Nie wiem. Nie sądzę.

- Ja też - powiedziałem i ruszyłem przed siebie.

Prowadząc Chmurę, natknąłem się na rycerzy, Pouka i Ulfę pogrążonych w zimnym cieniu Utgardu oblanego blaskiem księżyca.

- Pomyśleliśmy, że lepiej cię poszukamy - odezwał się Garvaon. - Baliśmy się, że coś się stało.

Uśmiechnąłem się.

- Wszystko w porządku, tylko jestem zmęczony. Tak jak wszyscy, a Toug w szczególności.

Svon skinął głową.

- Będę miał to na uwadze.

Ulfa dotknęła mego ramienia.

- Gdzie on jest?

- W stajni, dogląda swojego konia. Szybko zrozumie, że powinien też zająć się wierzchowcem sir Svona. Może już to rozumiał. - Zamilkłem na chwilę. - Teraz należysz do niego. Myślisz, że potrzebujesz jego pozwolenia, żeby odjechać teraz ze mną?

- Ty... - Otworzyła usta zaskoczona.

- Zabiorę cię tam, gdzie będziesz wolna. Pouk, zgodziłeś się. Nie zmieniłeś zdania?

- Nie, sir!

Ulfa postawiła Maniego na ziemi, po czym objęła Pouka i ucałowała go.

- Wkrótce będziecie razem - obiecałem im. - Mam taką nadzieję.

Svon odezwał się:

- Przyszedłem tutaj, ponieważ chcę jechać z tobą.

- Nie możesz jechać tam, dokąd jedziemy - odpowiedziałem.

Podsadziłem Ulfę na grzbiet Chmury i sam usadowiłem się w siodle za

nią. Nawet na tej wysokości moje oczy nie były tak wysoko jak oczy Schildstarra czy Thiaziego, a mimo to miałem wrażenie, że patrzę na Svona, Garvaona i Pouka z dużej wysokości - że Chmura stoi na niewidzialnej, a jednocześnie prawdziwej wieży. Zagwizdałem na Gylfa i patrzyłem, jak skacze w górę i biegnie w kierunku palisady wieńczącej mur zaporowy, a potem dalej ku zwałom posępnych chmur, zza których wyglądał błądy księżyc.

Ulfa posłała pocałunek Poukowi, on zaś podszedł do niej i pocałował palce jej dłoni.

Wtedy dotknąłem boku Chmury i wyobraziłem sobie siebie (a także Ulfę) na grzbiecie Chmury galopujących po niebie. I w jednej chwili tak się stało, i usłyszałem, jak targany zimnym wiatrem, zatrzepotał zielony proporzec na mojej kopii, proporzec, który z resztek uszyła dla mnie żona starego kapitana.

Ulfa jęknęła i zamknęła oczy uczepiona kurczowo stalowej kuli bojowego siodła. Otuliłem ją swoim płaszczem i spojrzałem za siebie na Utgard, który kurczył się i rozmywał w ciemności nocy, aż wreszcie widziałem tylko kilka rozrzuconych świateł, garstkę gwiazd świecących w ciemności Mythgarthtu.

\* \* \*

Toug wybiegł ze stajni w momencie, gdy Pouk pocałował dłoń Ulfy. Wiedział, że Ulfa nie patrzy, mimo to czuł, że powinien pomachać, tak więc pomachał ze łzami w oczach. Kiedy był chłopcem. Ulfa miała nad nim władzę. Buntował się przeciwko niej często i głośno, a uznawał ją tylko wtedy, gdy mógł coś zyskać. Potem, kiedy urósł i nabrał sił, nie raz okładali się pięściami.

Teraz czuł, że może już nigdy jej nie zobaczy; znowu stracił całą przeszłość, jaką niosły jej twarz i głos. Tak więc pomachał jej, wiedząc, że ona nie myśli teraz o nim, świadomy tego, że łyzy moczą jego bandażę. Pomimo wstydu machał i płakał.

Zagwizdałem i Gylf wbiegł na podniebny pagórek. A potem oboje z Ulfą podążyliśmy za nim na grzbiecie dumnej, długonogiej klaczy, szarej jak chmury i szybkiej jak wiatr. Wszyscy czworo oddalaliśmy się na południe niczym łabędzie, które odlatują, kurcząc się w oddali, gdy lód ścina bagna, piękne masywne ptaki, pozornie zbyt duże, by mogły latać, białe plamki na

tle nieba Skai, coraz bledsze i bledsze, bardzo małe.

- Jak... jak on to zrobił? - zapytał Garvaon, zwracając się do wszystkich i nikogo w szczególności.

Nikt mu nie odpowiedział, a Toug zastanawiał się przez chwilę, czy Pouk będzie dalej udawał ślepego, czy też wyzna, że i on widział, jak Chmura galopuje po niebie.

Przez dziedziniec przetoczyło się dziwnie wysokie, zawodzące wycie, które dochodziło zewsząd i znikąd, wołanie bardziej samotne i mniej ludzkie niż zawodzenie psa wyjącego przy grobie pana.

- Co to takiego, sir? - Pouk chwycił Touga za ramię.

- Org - wyrwało się Tougowi.

- Kto to taki ten Org? - zapytał Garvaon.

- Nikt taki. - Toug wyczuwał na sobie spojrzenie Svona. - Chciałem powiedzieć, że Pouk za bardzo mnie ścisnął.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni - rzekł Svon. - Chodźmy spać.

- Ale widziałeś to - zauważył Svon. - Ty i Toug. Widziałeś tak samo jak ja.

- „Z włócznią modlitwy i na wietrznym koniu” - zacytował Svon - „wzywają mnie na turniej, dziesięć tysięcy mil za księżycem. Żadna to droga”.

Garvaon potrząsnął tułowiem, aż zaszeptały kółka jego kolczugi.

- On jest szalony. Rycerz z tej pieśni. O to tam chodzi. A sir Able nie jest szalony.

- My oszalejemy - powiedział cicho Svon - jeśli nie przestaniemy o tym mówić.

Chwycił Pouka za ramię.

- Wiem, że nic nie widziałeś, ale słyszałeś, jak rozmawiamy o tym.

- Tak, sir. Tylko nie połapałem się, o co chodzi. Wiem, że sir Able odjechał i zabrał ze sobą Ulfę, tak jak mówił, tylko jakoś nie słyszałem tętentu jego konia.

- Najlepiej z nikim o tym nie rozmawiaj. Taka przyjacielska rada.

- Tak też zrobię, sir Svonie. Chociaż będą mnie wypytywać, gdzie się podziała Ulfa, jak nic będą. To mogę powiedzieć, że zabrał ją sir Able? Wiedzą, że tu był.

- Oczywiście.

Svon puścił ramię Pouka i odwrócił się do Touga.

- Nie zawsze zachowywałeś taką dyskrecję, jakiej bym od ciebie oczekiwał.

- Wiem, sir. Ale nie pisnę ani słówka o tym, co się tu stało.

- Postaraj się, żeby tak było.

- Widziałeś gdzieś Maniego, sir Svonie? Kota lady Idnn? To znaczy królowej.

- Teraz to kot króla. Sam go tu przyniosłeś. I co z nim zrobiłeś?

- Ja nic, sir Svonie. Moja siostra go trzymała. Ale nie miała go, kiedy odjeżdżała z sir Able'em.

- Lepiej go poszukaj, zanim pójdziesz spać - powiedział Svon do Touga, a kiedy Toug zaczął przeszukiwać ocienione zakątki wokół wieży, mruknął pod nosem: - Co mi tam kot. Idę spać. Dobranoc, sir Garvaonie. Pouk dotąd byliśmy dla siebie wrogami Teraz ja jestem rycerzem, a ty ślepcem. Jeśli żywisz do mnie urazę...

- Gdzieżby tam, sir! Nie ja!

- Zrozumiałbym to. Ja też nie zamierzam się mścić, ani teraz, ani w przyszłości. Przyjmij mą dłoń. - Svon wyciągnął rękę. - Miejmy nadzieję, że wyjedziemy z Jotunlandu razem i żywi.

Pouk poszukał po omacku dłoni Svona i ją uściskał.

- Byłeś giermkim sir Able'a - powiedział Garvaon. Wiesz pewnie o nim więcej niż my wszyscy.

Spoglądając na nich z pewnej odległości, Toug zobaczył, jak Svon kręci głową i usłyszał jego słowa:

- Nie nauczyłem się nawet dziesiątej części tego, czego mógł mnie nauczyć. Teraz żałuję.

Weszli w nieprzeniknioną ciemność sklepionego przejścia furty wypadowej i Toug stracił ich z oczu. Splunąwszy, zacisnął dłonie, by je trochę ogrzać i oparł się wygodnie o kamienną ścianę wieży.

- Mógłbym po prostu tu się położyć - mruknął pod nosem - zawinąłbym się w płaszcz i od razu zasnął. Zamarzyłbym pewnie do rana, ale czuję, że mógłbym to zrobić. - Ziewnął i otrząsnął się mniej więcej tak, jak zrobił to wcześniej Garvaon, po czym ruszył do stajni. Nie miał wątpliwości, że Mani sam znajdzie drogę do Utgardu, a poza tym był przekonany, że kot śpi pewnie zwinięty na łóżku obok Eteli w ich pokoju w wieżyczce.

W stajni stajenni, których Able wcześniej obudził i zapędził do pracy, wracali do łóżek. Toug powiedział najgłośniejszym jak potrafił:

- Posłuchajcie mnie, wszyscy! Wrócę tu rano, żeby obejrzeć wszystko w dziennym świetle, i nie będę sprawdzał tylko mojego konia. Dopilnujcie lepiej, żeby wszystkie miały dość wody i paszy, żeby były wyczyszczone i miały podsypaną świeżą słomę. Żebyście nie mówili, że was nie ostrzegąłem.

Mrukliwe głosy zapewniły go, że wszystko będzie zrobione.

- Póki co szukam kota. Dużego... - Toug w ostatniej chwili przypomniał sobie, że niewolnicy są naprawdę ślepi. - Dużego futrzastego kocura. Należy do króla. Dobrze się z nim obchodźcie, jeśli go znajdziecie, i powiedzcie mi, kiedy wrócę.

Obiecali, że tak zrobią, a on ruszył do wieży zmęczony bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Musiał długo pukać, zanim mu otworzono.

- Myślałem, że już wszyscy wrócili, którzy mieli wrócić - powiedział Arn, a Toug wyjaśnił mu, że jest ostatni, i opowiedział o Manim.

Arn zapewnił go, że będzie miał oczy szeroko otwarte. Gdy tylko Toug rozpoczął wspinaczkę po zbyt wysokich schodach, poddał się ośpieniu. Tę część wieży wykuto z żywego kamienia, w którym wyżłobiono zaledwie kilka przejść. W surowej skale wycięto kilka dusznych pokoi podobnych do tego, w którym mieściła się wartownia, oraz schody prowadzące do lochów przepastnych jak kopalnia. Miał wrażenie, że zaraz cały Utgard przygniecie go swoją masą i że powinien się schować, co by pewnie zrobił, gdyby nie był tak śmiertelnie zmęczony.

- Jeśli wiedźma znowu się pojawi, nawet nie będę z nią rozmawiał - mruknął pod nosem. - Po prostu położę się i zakryję sobie głowę. Jak będzie chciała mnie zabić, niech mnie zabije.

Lecz Muld się nie pojawiła, a schody, które zwykle zdawały się nie mieć końca, a teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, wreszcie się skończyły. Ogień w komnacie w wieżyczce palił się wesoło i choć po Manim nie było ani śladu, to Łamimiecz leżał na szerokim łóżku obok śpiącej Eteli, a przy nim pas na miecz i ogromny sztylet, który kupił w Irringsmouth.

\* \* \*

- To była długa i zimna podróż - powiedziałem - ale jesteśmy już prawie na miejscu.

- Jeśli tylko jedziemy do domu - odpowiedziała Ulfa, szczękając zębami -

to mogłabym jechać jeszcze dłużej. - I zaraz dodała: - Pouka też zabierzesz? Przywieziesz mi go z powrotem?

- A czy Pouk chciałby wracać do takiej żony?

- Myślę, że tak. Staralam się być dobrą żoną.

- W takim razie Pouk sam się przywiezie, jeśli zajdzie taka potrzeba - powiedziałam.

Pod nami widać było tylko kołyszące się czubki ciemnych drzew, lecz Chmura galopowała w dół zbocza, Gylf zaś, zajęty pościgiem za dzikimi gęsiami, został z tyłu ledwo widoczny. Zagwizdałem.

- Wiesz - powiedziała Ulfa - słyszałam taki gwizd w nocy, ale wtedy myślałam, że to wiatr.

- To mógł być wiatr. Widzisz, jak teraz dmucha. Gwizdże głośniejsze niż ja.

- Ale teraz tu nie jest tak zimno jak przedtem.

- Dopiero jesień. Znosi się na burzę.

- Czy to Glennidam? Tamte domy? Te małe pola w lesie?

- Chyba tak, choć mogłem zgubić drogę.

- Obejmij mnie i trzymaj mocno.

Opasałem ją ramieniem, tak samo jak wtedy gdy Chmura wspinała się po niebie.

- Nie bój się.

- Nie boję się. - Ulfa westchnęła. - Kiedy stąd odchodziłam... Wydaje się, że tak dawno temu...

- Bo tak było.

- To Glennidam! - Pokazała palcem. - Nasz dom!

Skinąłem głową i zwolniłem, tak że teraz Chmura szła spokojnie.

- Wtedy myślałam sobie, że się pobierzemy i wrócimy tutaj jako rycerz i jego dama, na jednym koniu. Myślałam tak, żeby dodać sobie odwagi i odpędzić strach, kiedy schowana w krzakach przy drodze spałam przykryta liśćmi i gałęziami. To się nigdy nie stanie.

- Nie - odpowiedziałam.

- I nawet bym tego nie chciała, teraz już nie. Kocham Pouka, a on kocha mnie. Tak jest dobrze - najlepiej jak może być. Chcemy mieć dzieci. Oboje tego pragniemy. Kiedy będą już na tyle duże, żeby coś zrozumieć, opowiem im o Utgardzie i o tym, jak się stamtąd wydostałam, z tobą na tym siwym koniu, który niósł nas między chmurami podobnymi do urwiska, gdzie księżyc był tak blisko, że można go było dotknąć. Pomyślą pewnie, że

zmyślam.

Poryw wiatru natarł na Chmurę i rozwiął jej grzywę.

- Pomyślą, że zmyślam - powtórzyła Ulfa - a z czasem i ja tak będę myślała. Trzymaj mnie mocniej.

Objąłem ją ciaśniej.

- To jest ta chwila mojego życia. Złota chwila.

Potem już nic nie mówiliśmy, aż usłyszeliśmy stukot kopyt Chmury na twardej ziemi. Zsiadłem i rzuciłem lejce, a potem zszedłem z siodła.

- Dziękuję ci. Nie wiem, jak mam ci dziękować, i nie będę próbowała, ale do końca życia będę opowiadała o tobie.

- A czy ja podziękowałem ci kiedyś za ubranie, które mi uszyłaś? A czy przeprosiłem za to, że zabrałem ci brata?

- Tak, a poza tym to już nie ma znaczenia.

Odwróciłem się gotowy do drogi, lecz ona chwyciła mnie za rękę.

- Nie wejdiesz? Znajdzie się coś do jedzenia, a ja ugotuję, co tam mamy.

- Nie chcę zostawiać Chmury.

- Tylko na chwilę. Proszę? Ogrzej chociaż ręce przy ogniu, zanim odjedziesz.

Wahałem się przez chwilę, lecz zaraz skinąłem głową, widząc, ile to dla niej znaczy.

Drzwi były zaryglowane. Poprowadziła mnie na tył domu, do drzwi, którymi wyszedłem dawno temu, i gałązka, podciągnęła sznurek do otwierania zasuw. W kuchni, w której wcześniej schowała się jej matka, panowała ciemność, lecz na palenisku tlił się jeszcze żar. Ulfa dorzuciła świeżego drewna i przyklęknęła, by rozdmuchać ogień.

- Wydaje się za słaby!

Jesienny wiatr zawył na zewnątrz, kiedy otworzyła drzwi, za którymi wisiały dwie świny, wypatroszone i bez łbów, zawieszane za tylne kopyta.

- Ojciec już szlachtował. Zanim wygodnie usiądziesz, zdążę podpiec kilka plastrów na widelcu.

Pokręciłem głową przecząco, grzejąc dłonie przy ogniu, tak jak chciała.

- To chociaż usiądź. Musisz być zmęczony. Ukroję chleba...

Gylf, który wszedł do domu za nami, powiedział:

- Ja bym zjadł to mięso.

Ulfa spojrzała na mnie zaskoczona.

- To ty powiedziałaś?



Potrząsnąłem głową.

- Wiem, że kot potrafi mówić. Sama słyszałam.

Wiatr jęknął w kominie, rozdmuchując popiół.

- Surowa wieprzowina nie jest dobra dla psa. Dla nikogo nie jest dobra. -  
Otworzyła szeroko drzwi wysokiego kredensu i wyjęła z niego kości nie  
całkiem oczyszczone z mięsa. - Mama pewnie zostawiła je na zupę, ale dam  
je twojemu psu.

Nikt jej nie odpowiedział. Wybiegłem już na zewnątrz i przez chwilę z  
kuchni nie dochodziły żadne odgłosy poza skrzypieniem zawiasów drzwi,  
które kołysały się trochę w przód i w tył, a potem zamknęły się zatrzaśnięte  
porywem wiatru.

Pewnego słonecznego popołudnia biegłem przez to pole w tym samym  
celu, przez pole porośnięte jęczmieniem. Teraz był już ścięty. Biegłem przez  
rżysko, przytrzymując Eterne, by nie obijał mi uda.

- Disiri? Disiri?

Nikt mi nie odpowiedział, a jednak czułem, że otrzymałem odpowiedź -  
liście przemówiły za nią, szepcząc: „Oto jestem”.

- Disiri!

„Nie znajdziesz mnie”.

Zatrzymałem się, nasłuchując, lecz liście zamilkły.

- Nie znajdę - przyznałem. - Przeszukam siedem światów i wywrócę do  
góry nogami Mythgarth i Aelfrice, ale nie znajdę cię, jeśli nie będziesz tego  
chciała. To wiem.

„Poddajesz się?”

- Tak, poddaję się. - Uniosłem dłonie w geście rezygnacji.

- Oto jestem. - Wyszła zza ciemnego pnia najwyższego drzewa. Mimo iż  
mało co widziałem, zobaczyłem ją i wiedziałem, że jest wysoka jak mała  
która kobieta i smukła jak żadna śmiertelna kobieta, i zbyt piękna, bym  
potrafił zrozumieć, jak jest piękna.

Objąłem ją i pocałowaliśmy się. Jej usta były słodsze niż miód i ciepłe i  
nie było niczego złego między nami, co by miało znaczenie, ponieważ  
wszystko można było naprawić; i była miłość tak długo, jak długo miało  
trwać nasze życie, miłość, która miała znaczenie, która zawsze będzie  
najważniejsza.

Rozdzieliliśmy się, a mnie się zdawało, że całowaliśmy się przez całe  
wieki, choć i tak był to zbyt krótki czas.

- Masz miecz Eterne. - jej głos uśmiechnął się.  
Wziętem głęboki oddech.  
- Chcesz go? Jest twój.  
- Już go mam - powiedziała - ponieważ ty go masz. Wiesz, dlaczego nazywa się Eterne?  
- Bo jest prawie tak piękny jak ty, a piękno jest wieczne.  
Znowu się pocałowaliśmy.  
- Jesteś starszy - powiedziała, gdy odsunęliśmy się od siebie. - Masz zakola.  
- I jestem grubszy. Potrafię ci wszystko wybaczyć.  
Roześmiała się, a jej śmiech przypominał radosne bicie dzwonów.  
- Nawet młodszego kochanka?  
- Wszystko - powtórzyłem.  
- W takim razie wezmę sobie młodszego kochanka i on będzie tobą.  
Dziki wiatr zawirował wokół nas, a ja owinąłem ją swoim płaszczem, tak samo jak wcześniej otuliłem nim Ulfę.  
- Mógłbym się odmłodzić, ale za sprawą mocy Skai.  
- Naprawdę? - Jej śmiech nasycony był wesołością wszystkich panien.  
- Lecz wtedy musiałbym tam powrócić, zgodnie z przysięgą.  
- A jednak jeździsz pośród obłoków.  
- Chmura mnie niesie, a nie ja ją.  
Nasze usta spotkały się: kiedy się rozdzieliliśmy, leżeliśmy na mchu.  
- Gra dobiega końca - wyszeptła. - Przybyłam tu, żeby ci to powiedzieć. Myślałeś, że będzie trwała wiecznie?

\* \* \*

Kiedy Gylf mnie znalazł, siedziałem sam owinięty płaszczem i płakałem.  
- Najadłem się - powiedział Gylf. - Powinniśmy ruszać.  
Kiwnąłem głową i wstałem.  
Chmura czekała na wiejskiej drodze odwrócona tyłem do wiatru. Wznosiłem się na jej grzbiecie coraz wyżej i wyżej, aż znalazłem się ponad burzą, ale nawet tam chłostał mnie zimny wiatr. Kiedy wreszcie dotarliśmy do obozu w Jotunlandzie, ledwo zsiadłem z konia, z trudem trzymając się na nogach.

- Dość jazdy po nocy - obiecałem, a Chmura przytaknęła mi ochoczo i wypełniła mój umysł myślami o górach z chmur zanurzonych w słonecznym blasku, które nieustannie się zmieniają, ponieważ wciąż rodzą się na nowo.

- Chcesz koca, sar? - To był głos Unsa. - Trzymałem twoje ognisko.

Skinąłem głową, bo rzeczywiście bardzo potrzebowałem koca i ognia, ale powiedziałem tylko:

- Powinieneś usługiwać królowej, Uns, a nie mnie.

- Ona śpi teraz, sar. Nie potrzebuje mnie. Przeważnie też śpię. Ale bym wstał i pomógł.

- Dziękuję ci, - Zdjąłem hełm i przeczesalem włosy palcami zgrabiętymi z zimna. - Musisz się trochę przespać. Prawie świta.

- Tylko pomogę ci zzuć buciska, sar.

Wiedziałem, że powinienem sam je zdjąć, ale usiadłem i pozwoliłem, by Uns mi je ściągnął. Kiedy Uns zajął się ich czyszczeniem, zdjąłem z trudem kolczugę.

- Potrzebuję czystego ubrania - powiedziałem śpiącym głosem. - Mam nadzieję, że da się coś zdobyć w Utgardzie.

- Ściągnij to, sar, to je wypiorę w rzece - powiedział Uns. - Wyschną migiem przy ogniu.

Nie potrafiłem oprzeć się pewnej pokusie.

- Uns?

- Ta, sar?

- Pewna kobieta powiedziała mi, że mam coraz wyraźniejsze zakola.

- Ta, sar.

- A więc to prawda. - Wyciągnąłem się nagi na kocach, które Uns rozłożył przy ognisku, i owinąłem się nimi.

- Ta, sar - powtórzył Uns. - Ładnie wygląda, sar.

- Tylko że miałem hełm na głowie, więc wtedy w ogóle nie było tego widać. - Widząc, że Uns nie zrozumiał, co mam na myśli, dodałem: - Było też ciemno, więc nie mogła zobaczyć linii moich włosów.

- Pewnikiem widziała cię za innym razem, sar. - Uns zebrał brudne ubranie, które zostawiłem na ziemi.

- Pewnie tak. Może widziała mnie już po powrocie ze Skai. Wiesz Uns, w Skai ludzie się nie starzeją.

- Ta, sar.

- Nikt. Byłem tam przez dwadzieścia lat, a wracałem tak samo młody, jak

wtedy gdy tam przybyłem. Teraz te lata mnie dogoniły. Choć to nie ma znaczenia.

- Nie, sar.

- Ważne jest to, że mnie obserwuje. Wiedziałem, że Baki i Uri patrzą na nas z Aelfrice, tak jak my patrzymy na Overcynów.

- Żadnego nigdy nie widziałem, sar.

- Widzą ich ci, którzy patrzą. Widzimy to, co chcemy zobaczyć.

- W porządku, sar.

- Teraz wypierzesz moje ubranie?

- Ta, sar.

- Chciałbym cię prosić o jeszcze jedną przysługę, zanim pójdziesz. Rozsiodłaś już Chmurę, prawda?

- Nie, sar. Jeszcze nie. Zaraz rozsiodłam.

- Zrób to, proszę, i zadbaj o nią. A potem wyjmij z siodła mój kołczan i łuk. Otwórz futerał i zdejmij z łuku cięciwę.

- Ta, sar.

- Przynieś mi ją, jeśli już będę spał, wsuń mi ją w dłoń.

Uns z pewnością odpowiedział: „ta, sar”, bo przy całym jego nieokrzesianiu, był dobrym sługą. Pewnie tak powiedział, lecz ja już tego nie usłyszałem.

## ROZDZIAŁ 19

### PRZYSŁUGA TOUGA

Mani słyszał, jak Uns postępuje, popuszczając popręg Chmury, i szepce do niej czule. Skulił się bardziej w mojej prawej torbie przy siodle. Wiedział, że zaraz torby zostaną zdjęte i rzucone gdzieś na ziemię. Przygotował się na wstrząs, tłumacząc sobie, że będzie tylko niewygodnie, ale nie niebezpiecznie.

Usłyszał szuranie koło ucha, kiedy Uns wyjmował łuk z futerału. Czyżby Uns (bo to na pewno on mruczał coś pod nosem) zamierzał strzelać do kota?

Nie, bo łuk został z powrotem schowany do futerału. Na pewno. Rozpoznał to uderzenie, kiedy koniec łuku uderza w dno futerału z twardej skóry - chyba że to było coś innego. Uns nie wiedział, co jest w futerale, i wyjął go, żeby sprawdzić, czy to jest do jedzenia, czy może do grania. A kiedy się przekonał, że nic z tego, rozsądnie odłożył przedmiot na swoje miejsce.

Mani przypomniał sobie wiele innych okazji, kiedy to on sam nie odłożył czegoś na miejsce i - teraz Uns podniósł torby. Uwaga!

Nie doczekał się uderzenia. Torby zostały przeniesione w Jakieś Inne Miejsce, w którym powolny chód Chmury zastąpiło, słabe, słabiutkie kołysanie. Mani zamknął mocno oczy i zaczął liczyć, ale stracił rachubę gdzieś między dwadzieścia i czymś dalej, po czym zebrał się na odwagę i wyjrzał ostrożnie spod kłapy.

Uns już poszedł, a ja leżałem przy ognisku przykryty kocem. Warunki były bardzo sprzyjające takim okolicznościom.

Rozwiązanie rzemienia, który przytrzymał klapę, stanowiło trudną część ukrywania się w torbie. Lecz Mani (posiadający już pewne doświadczenie w podobnych sprawach) posłużył się pazurami i zębami. Znajdując się we wnętrzu torby, wyciągnął łapę daleko w dół i przełożył rzemień przez jego pętlę. A potem nie trzeba było już nawet go wyciągać. Wystarczyło podnieść klapę, a rzemień sam się wysunął. Schowany jeszcze

do połowy rozejrzał się.

Torbę zawieszono na gałęzi nisko nad ziemią. Na większym konarze wisiało siodło Chmury i jej uzda. Sama Chmura tarzała się na grzbiecie zupełnie jak kot. Chmura, pomyślał Mani, była niezwykłym zwierzęciem, niewykluczone więc, że ma koci rodowód.

Mani wyskoczył z torby i przywarł do ziemi, czekając na jakiś znak, który by sugerował, że został zauważony. Ale ciszę mąciły tylko dochodzące z daleka pluski. - ryby wyskakujące z wody, całkiem możliwe. Duże ryby, a nawet małe, były bardzo dobre. Mani oblizał się.

Po drugiej stronie drzewa paliły się inne ogniska i stały kolejne namioty. W tym namiocie spała twardo kobieta wielka jak drzewo, której oddech pachniał mocno winem. Obok niej chrapał mężczyzna z jasnymi wąsami. Przed innym stała tarcza ozdobiona gustownie cętkowanymi kotami, a w namiocie spało kilkunastu mężczyzn. Jeden z nich poruszył się, wtedy Mani wycofał się szybko. Czarny był zdecydowanie najlepszym kolorem, a już na pewno najlepszym dla kotów. Zastanawiał się, jak sobie dają radę białe koty. Jak mogą żyć i wykonywać swoje obowiązki, skoro są widoczne w nocy?

Pozostał już tylko jeden okazały pawilon, który, jak sądził Mani, należał do Idnn. Wszedł więc śmiało i zobaczywszy, że Idnn śpi (podobnie jak starsza pokojówka u jej stóp), skoczył lekko na jej pierś i w tradycyjny sposób zaczął wyrażać miłość i szacunek, aż się obudziła.

- Proszę o wybaczenie, Wasza Królewska Mość. - Spuścił skromnie oczy.  
- Nadużywam twoich względów, wiem.

- Mani! Co tu robisz?

- Przynoszę raport, Wasza Królewska Mość. Odjeżdżając, poleciłaś mi obserwować wszystko uważnie i zapowiedziałaś, że mam zdać szczegółową relację po twoim powrocie. Dużo słyszałem, a mając okazję do złożenia raportu wstępnego, skorzystałem z niej. Mam ci wiele do przekazania.

- Jak się tu dostałeś? Przecież nie przeszedłeś taki kawał drogi?

- Oczywiście, że nie, Wasza Królewska Mość. - Przez chwilę Mani rozważał etyczny wymiar całej sytuacji. Zwykle ignorował zasady etyczne, lecz teraz uznał, że jest to jedna z tych nielicznych chwil, kiedy należy wziąć je pod uwagę. Chrząknął. - Mój poprzedni właściciel, waleczny rycerz, którego wciąż darzę gorącym uczuciem, przywiózł mnie tu w torbie przy siodle, Wasza Królewska Mość.

- Sir Able? - Mani oczekiwał, że Idnn weźmie go na ręce i pogłaszcze i

teraz to się stało. - Mani, sir Able jest tutaj - w górach, razem z nami - a nie w Utgardzie. Rozmawiałam z nim wieczorem.

- Mamy prawie rano, Wasza Królewska Mość.

- W porządku, rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem. Chcesz powiedzieć, że zdążył pojechać do Utgardu i wrócić w ciągu nocy?

- Nie, Wasza Królewska Mość, bo tego nie wiem.

Staruszka poruszyła się, a Idnn powiedziała:

- Śpij jeszcze, Gerdo. To nic ważnego.

- Wasza Królewska Mość co i rusz poddaje w wątpliwość moją prawdomówność. - Powiedział Mani oficjalnym tonem. - Wasza Królewska Mość często też powątpiewa w moją rozważę, ja jednak...

- Nie zamierałam cię obrazić - odparła Idnn - ani powiedzieć, że mam cię za nic. Chciałam tylko, żeby Gerda położyła się jeszcze spać. Ale sir Able nie mógł przecież pojechać tak szybko do Utgardu i wrócić z tobą.

- Niewątpliwie, Wasza Królewska Mość ma rację. - Ton głosu Maniego nieco złagodniał. - Bo też nie powiedziałem, że tak było, a tylko, że podróżowałem w jego torbie. Co jest prawdą, Wasza Królewska Mość. I tak podróżując, przybyłem tu nie tak dawno temu i od tej chwili szukałem cię wytrwale. Wyglodzony i wyczerpany podróżą, którą sama raczyłaś nazwać długą, szukałem ciebie, a nie odpoczynku.

- Nie ma tu za dużo do jedzenia, ale dopilnuję, żebyś dostał coś dobrego w miarę możliwości.

- W takim razie mogę ze swej strony podsunąć kuropatwę i przepiórkę i poczytam sobie to za zaszczyt, jeśli Wasza Królewska Mość zechce przyjąć ten i podobne podarunki. Ale muszę ostrzec Waszą Królewską Mość, że sir Able był nieświadomy mojej obecności w jego torbie. Tak więc byłoby lepiej, gdybyś o tym nie wspominała.

Idnn nie słuchała go chyba, bo zapytała:

- Jak się czuje mój mąż?

- Nie jestem lekarzem...

- Ale wnikliwym sędzią każdej sprawy, jaką napotykasz. - Wyglądziwszy dostatecznie łeb Maniego, podrapała go po podbródku. - Jak on się ma?

- Chwali ci się, że się tak o niego troszczysz, Wasza Królewska Mość. Mnie także obchodzi jego los. Potraktował mnie niezwykle uprzejmie, ogólnie rzecz biorąc.

Idnn westchnęła.

- Ja go nie kocham, Mani. Nie potrafię. Ale jestem jego żoną. Szlachetność nakazuje wypełnianie obowiązków...

- Bez wątpienia, Wasza Królewska Mość.

- I jeszcze więcej. Rycerze służą swoim suzerenom, a oni swoim królom. Król zaś służy swojemu ludowi i swojej koronie, a jeśli nie, to jest tyranem.

- Królowa, Wasza Królewska Mość...

- Jest kobietą, a kobieta, nawet w połowie nie tak silna jak mężczyzna, podwójnie odczuwa brzemię, jak on się ma?

- Słaby, Wasza Królewska Mość, ale silniejszy niż w chwili twojego wyjazdu. Stracił dużo krwi.

- I wiele wycierpiał. Wiem. Je?

- Głównie zupę, jak sądzę. Wasza Królewska Mość. Rosół.

- Czy mówił coś o mnie?

- Wyrażał się bardzo czule, Wasza Królewska Mość. Mój poprzedni pan wyjaśnił mu, że wysłałaś go do Jego Królewskiej Mości, a Jego Królewska Mość wychwalał cię pod niebiosa, że się wyrażę tak obrazowo.

- A zatem jest przytomny i mówi.

- Na szczęście tak, Wasza Królewska Mość. - Mani zakaszła dyskretnie. - Mówił o twojej mądrości, Wasza Królewska Mość. Oczywiście nie tylko o mądrości, bo chwalił też twą urodę. Wyrażał się o niej w samych superlatywach. On... Tu muszę sobie pozwolić na pewną niedelikatność, Wasza Królewska Mość, ale uważam, że sprawa jest ważna.

Idnn skinęła głową przyzwalająco, który to ruch był ledwo widoczny na tle szarego światła sączącego się przez wejście do pawilonu.

- Porównywał twoją intuicję, Wasza Królewska Mość, z przenikliwością swojego pierwszego ministra lorda Thiaziego. - Mani zamruczała. - Wypadłaś lepiej w jego osądzie.

- Podziękuję mu, gdy tylko to będzie możliwe, Mani. To duży komplement w jego ustach.

- Zaiste, Wasza Królewska Mość. Porównał też twoją przenikliwość z intuicją twojego szlachetnego ojca i znowu wypadłaś lepiej. To, Wasza Królewska Mość, ma związek z moją tu obecnością.

Idnn odsunęła dłonie od Maniego.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć czegoś, co by przesłoniło dobre imię mojego ojca.

- Wasza Królewska Mość jest najlepszym sędzią. Twój szlachetny ojciec



pragnie, aby sir Able oddał się na służbę do twego małżonka króla.

- Wiem.

- Niezwykle efektowna przepowiednia upewniła go w przekonaniu, że tron pozostanie niezagrożony, jeśli sir Able zostanie wasalem twojego małżonka króla. Twój mąż pragnie tego z tego samego powodu.

- Wiem to wszystko - rzuciła obcesowo Idnn. - Do rzeczy, Mani.

Wykonał lekki ukłon na siedząco.

- Do tego zmierzam. Wasza Królewska Mość, ale uznałem, że mój wstęp jest niezbędny. Wiesz też zapewne, że twój szlachetny ojciec pragnie śmierci giermka sir Svona.

W tym momencie Uns, który podsłuchiwał ich rozmowę na zewnątrz od jakiejś minuty lub dwóch, przysunął się jeszcze bliżej.

\* \* \*

Svon obudził Touga potrząsając jego ramieniem.

- Niestety nie mogę pozwolić ci spać dłużej, bo lord Beel chce z nami rozmawiać.

Etela usiadła na łóżku.

- Ja też idę.

- Ty musisz się wykapać - zwrócił się do niej Svon.

- To tylko węgiel drzewny z kuźni. - Etela zaczęła zeskrobywać palcem brud z przedramienia. - Dym i takie tam.

- Naprawdę potrzebna ci kąpiel - dodał Toug. - I czyste ubranie. Moja siostra...

- Odjechała z sir Able'em - przerwał mu obcesowo Svon.

Toug skinął tylko głową.

- Chciałbym, żeby tu była. Żeby wrócił sir Able. Ale on wróci dopiero z księciem, tak mówił.

- A moja siostra w ogóle już tu nie wróci. - Toug wstał z łóżka, sięgnął po Łamimiecz i rozejrzał się. - Gdzie jest Mani?

- Jeśli ty tego nie wiesz, to skąd ja mam wiedzieć.

- Dołoż drewna - powiedziała Etela do Touga, który zaraz spełnił jej prośbę.

- Lepiej oszczędzajcie - zwrócił się do niego Svon. - Nie ma więcej

drewna, chyba że wyjdziemy i przyniesiemy świeże.

- Chyba że? - Toug spojrział na niego.

- Zdaje się, że Jego Lordowska Mość o tym właśnie chce z nami rozmawiać. Ale nie przekonamy się, dopóki go nie wysłuchamy, a nie wysłuchamy go, dopóki się nie ubierzesz.

Toug skinął głową i zwrócił się do Eteli:

- Moja siostra wyjechała, ale pewnie jest tu gdzieś Baki, tak myślę. I Pouk, a on zna tu wszystkie kobiety. Znajdź kogoś i powiedz, że kazałem, żeby cię wykąпали. I niech ci wypiorą ubranie.

- Chcę...

- Śniadanie, wiem. Powiedz, że kazałem cię też nakarmić.

- Chcę iść z tobą.

Toug wziął głęboki oddech.

- Jak już będziesz czysta, ubrana i najedzona, pójdziesz ze mną wszędzie tam gdzie ja.

Wyszli obaj ze Svonem. Kiedy schodzili po za dużych schodach, Svon powiedział:

- Chyba nie chcesz jej tak naprawdę zabrać ze sobą? Każde wyjście poza mury zamku jest niebezpieczne.

Toug wzruszył ramionami.

- Może nigdzie nie będziemy musieli iść, a jeśli nawet, to już nas nie będzie...

Urwał, gdyż usłyszeli ciężkie stąpanie. Zatrzymali się i usunęli pod ścianę.

- Dzień dobry. Może was ponieść?

Svon uśmiechnął się.

- Dzień dobry, Schildstarr. Doceniam twoje dobre chęci, ale te stopnie nie stanowią większego problemu ani dla mnie, ani dla mojego giermka.

- Jak chcecie. Idę do lordzika. A wy?

- Też, jeśli miałeś na myśli lorda Beela.

- W takim razie przebierajcie girami, bo ja za was nie pójdę. - Schildstarr zamilkł i zachichotał. - Wy, mali ludzie, zapędzacie nas tu do pracy. U nas na północy nic nie przynosimy i nie nosimy.

Nie przestając się śmiać, poszedł przodem, a oni podążyli za nim najszybciej jak potrafili.

\* \* \*

- Oto nasz dylemat - zwrócił się Thiazi do Svona i Touga. - Jak już słyszeliście zamierzamy posłać Schildstarra i jego ludzi, aby kupili kuźnie i narzędzia, i żeby w miarę możliwości zebrali więcej lojalnych poddanych Jego Królewskiej Mości. Lord Beel - skinął głową w jego stronę - twierdzi, że nie możemy mu ufać. Może nie powinienem wam o tym mówić, bo może to wpłynąć na wasz osąd. Ale nie wątpię, że wiedzieliście już o tym.

Svon skinął głową.

- Macie prawo do własnego zdania, obaj - powiedział Beel - i chciałbym je usłyszeć. Możemy, sir Svonie?

- Wolałbym się nie wypowiadać, Wasza Lordowska Mość. Nie więcej niż jest to konieczne.

Beel kiwnął głową.

- Giermku Toug?

- Moim zdaniem raczej nie zwróci się przeciwko królowi - powiedział wolno Toug. - Tylko że my to nie król.

- Ale działamy w jego imieniu - wtrącił Thiazi.

- A Schildstarr powątpiewa w naszą uczciwość. Tak przynajmniej mi się wydaje, panie.

- No właśnie. - Beel położył na stole skórzaną torbę. - Jest w niej złoto. Dużo złota. Chcę, żebyście obaj - tylko we dwojkę - udali się do miasta. Żadnych zbrojnych, żadnych łuczników. Tylko wy dwaj. Zrobicie to?

- Oczywiście, Wasza Lordowska Mość - powiedział Svon.

- Giermku?

Toug wziął głęboki oddech.

- Jeśli sir Svon jedzie, to i ja jadę.

- Dobrze. Ukrywamy się tutaj. Pomyślicie może, że to zbyt mocne słowo, ale taka jest prawda. Ukrywamy się tu i mamy nadzieję, że Jego Królewska Mość wydobrzeje i nas uratuje. Do tego Jej Królewska Mość, moja córka... - Beel urwał i potarł dłonią czoło. - Wyjechała - by sprowadzić sir Able'a. To pogorszyło sytuację, moją przynajmniej.

- Szczerze mówiąc - powiedział Svon - miałem nadzieję, że coś takiego się wydarzy.

Thiazi chrząknął, jego gardło dorównywało długością przedramieniu

Touga, dlatego chrząknięcie to bardziej przypominało odgłos toczenia beczek po bruku.

- Nie możemy już dłużej się ukrywać, jak powiedział lord Beel. Kończy się żywność. Kazaliśmy Schildstarrowi mówić wszystkim, kogo spotka, że król wraca do zdrowia.

- Słyszeli to - mruknął Beel.

- Oczywiście, że słyszeli. Powtarzam się, by podkreślić wagę tych słów. Kazaliśmy mu też kupić żywność, jeśli to będzie możliwe.

Svon i Toug przytaknęli mu.

- Powtórzę wam to samo. Jeśli będziecie rozmawiać z jakimś synami Angr, powiedzcie im, że Jego Królewska Mość niebawem wydobrzeje. I to samo mówicie niewolnikom, których pewnie prędzej spotkacie niż synów Angr.

- Tak powiemy. - Svon skinął głową.

- Kupcie żywność, jeśli to będzie możliwe - dodał Beel. - Ile się da. Trzeba będzie zdobyć mnóstwo jedzenia, jeśli Schildstarr przyprowadzi więcej Angronitów. Już teraz potrzebujemy ogromnych ilości dla Thryma i jego ludzi, jak i dla nas samych.

- Zdobędziemy, ile się da - odpowiedział Svon zdecydowanym tonem.

- Schildstarr też pewnie kupi - dodał Toug. - W końcu to jedzenie dla niego i jego ludzi.

Beel przytaknął mu.

- Jak dotąd prosiliśmy was o to samo, czego oczekujemy od Schildstarra. Ale to nie wszystko. Domyślcie się zapewne.

Svon skinął głową.

- Przede wszystkim musimy zbadać grunt. Gdybyśmy wysłali z wami sir Garvaona i jego zbrojnych, Angronici poczuliby się zagrożeni. Z pewnością by was zaatakowali.

- Zgadzam się - oznajmił Thiazi.

- Ale jeden rycerz i jeden giermek - tak przy okazji, nie bierz kopii. Zostaw ją tutaj.

- Dobrze, Wasza Lordowska Mość.

- Nie stanowią zagrożenia. Mieli czas, żeby się przyzwyczaić do obecności ludzi w Utgardzie, przyjaciół króla, którzy nie są ani niewolnikami, ani wrogami. Myślę, że dadzą wam spokój. Przekonacie się, że mam rację.

Thiazi obdarzył Svona okrutnym uśmiechem.

- Jeśli lord Beel się myli, to weźmiecie udział w pojedynku, który zapewni wam sławę, nawet jeśli przegracie. Bo przegracie. Czy mimo wszystko pojedziecie?

- Oczywiście, panie.

- Mówiłem ci - zwrócił się Beel do Thiaziego.

- Wiem, że mówiłeś. Nie wierzyłem ci. - Wzruszył ramionami.

Svon wstał i zsunął się z siedzenia swojego krzesła na podłogę.

- Czy to wszystko, Wasza Lordowska Mość?

- Bardzo ci się spieszy.

- Tak, Wasza Lordowska Mość.

- Jeszcze jedna sprawa. - Beel spojrzał na Svona, a potem na Touga. - Lord Thiazi wyjaśnił mi, że według prawa Jotunlandu król może przejąć niewolników swoich poddanych, jeśli ich potrzebuje. Niewolników tego kowala... Logiego?

- Tak, Wasza Królewska Mość - powiedział Toug.

- Toug widział, jak pomagali mu przy wyrobieniu narzędzi. Macie ich zarekwirować w imieniu króla, jeśli to będzie możliwe, i przyprowadzić tutaj.

- Albo zabić, jeśli nie zdołacie ich przejąć - dodał Thiazi.

Toug otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął, czekając na Svona, który odpowiedział:

- Tak zrobię, panie.

Toug chrząknął.

- Proszę o pewną łaskę, panie.

Thiazi znowu się uśmiechnął.

- Która, jak pewnie zakładasz, ci się należy.

- Tak sędzę. Wiem, już raz wyświadczyłeś mi łaskę. Dałeś mi moją siostrę. To było bardzo uprzejme z twojej strony i nie zapomniałem o tym.

- Ale uważasz, że jestem ci winien jeszcze jedną przysługę.

- Sam ci ją wyświadczę, jeśli jest to w mojej mocy - powiedział Beel.

- Nie jest, Wasza Lordowska Mość. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Thiazi pochylił się do przodu i położył swoje ogromne dłonie na lśniącej czarnej blacie ogromnego stołu.

- To zaczyna być interesujące. Wyjaśnij mi, dlaczego uważasz, że zasługujesz na tę przysługę, a być może ci ją wyświadczę.

Toug wziął głęboki oddech.

- Podarowałaś mi moją siostrę, panie - i masz moją ogromną wdzięczność  
- za to, że sam poszedłem do miasta i znalazłem kuźnię Logiego i go zabiłem.  
Teraz znowu wychodzę za mury, tyle tylko, że w dzień. Zginiemy pewnie, o  
czym wszyscy tu obecni dobrze wiedzą.

Svon skinął głową i powiedział:

- Musimy porozmawiać na osobności.

- Tak więc chciałbym najpierw dostać nagrodę, także dlatego, że wtedy  
łatwiej by mi było zrobić to, o co mnie prosisz. Mam na myśli sprowadzenie  
tutaj niewolników Logiego.

- Mów dalej - odpowiedział mu Thiazi.

- Chcę, żebyś obiecał, że jeśli sprowadzimy tu tych niewolników, to  
zwrócisz im wolność. Wszystkim, którzy tu przyjdą, by pomóc królowi. Jeśli  
to obiecasz, powiem im, że złożyłeś taką obietnicę, wtedy oni zrobią  
wszystko co w ich mocy, żeby ci pomóc, i to może załatwić sprawę.

- Brawo - mruknął Beel i zaraz powtórzył głośniej: - Brawo!

- Niezła myśl, giermku. - Thiazi odchylił się do tyłu i posłał Beelowi  
rozbawiony uśmiech. - Byłbym skłonny wyświadczyć ci tę przysługę,  
gdybym mógł. Niestety nasze prawo zabrania uwalniania niewolników z  
jakiegokolwiek powodu.

- Przynajmniej próbowałaś - szepnął Svon do Touga.

- Zaproponuję ci coś innego. To może nawet bardziej ci się spodoba.  
Niewolnicy, których tu przyprowadzicie, zostaną rozdzieleni między ciebie i  
sir Svona, Sir Svon będzie pierwszy wybierał, potem ty i znowu on, i tak  
dalej. W ten sposób każdy z was otrzyma po tyle samo niewolników, jeśli ich  
liczba będzie równa, albo sir Svon otrzyma jednego więcej, jeśli będzie  
nieparzysta liczba.

- W ten sposób jeszcze im nie pomożemy - mruknął Toug. - Oni nie chcą  
do nas należeć.

- Ależ pomożecie. Przecież kiedyś obaj z sir Svonem wrócicie do  
Celidonu i zwrócicie im wolność. - Thiazi zamilkł na moment, a na jego usta  
powrócił okrutny uśmiech. - O ile wcześniej nie zechcecie ich sprzedać. Ale  
tego nie musicie im mówić.

\* \* \*

Usiadłem, a ujrawszy Unsa, który przykucnął przy ognisku, by rozłożyć moją koszulę w kręgu ciepła ognia, powiedziałem:

- Miałem bardzo dziwny sen.

- A ja mam coś, co ci chciałem powiedzieć, sar.

- Za chwilę, Uns. Chcę go komuś opowiedzieć, zanim zapomnę. W Skai nigdy nic nam się nie śniło. Mówiłem ci o tym?

Uns potrząsnął głową.

- Nigdy i wcale nie wydawało nam się to dziwne. Mnie przynajmniej nie dziwiło. - Znalazłem między fałdami koców cięciwę Parki i pokazałem ją Unsowi. - Słuchałem jej zanim zasnąłem. Być może miała z tym coś wspólnego.

- Z tym, że nic ci się nie śniło w Skai, sar?

- Z moim snem. Nie wiem, dlaczego nic mi się tam nie śniło. Może inni coś śnili, chociaż nie słyszałem, żeby ktoś o tym wspominał. Pocałunek Walkirii przynosi tak głębokie zapomnienie, że nigdy nie myślałem o Disiri. Wydaje się to niemożliwe, ale tak było.

- Ta, sar.

- Byłem świadomy czegoś złego, rozumiesz. - Zamilkłem zamyślony. - Tak samo jak byłem świadomy czegoś złego w moim śnie. Minęły lata, zanim przypomniałem sobie imię - zanim przypomniałem sobie jej twarz. To było wtedy, gdy udałem się do Valfathera.

- Tak jak ja przyszedłem do ciebie, sar.

- Moją Walkirią była Alvit. Wcześniej księżniczka, która zmarła jako dziewczica, wykazując wielką odwagę. Powinna być droższa mojemu sercu niż Disiri. Pragnąłem tego, ale nie mogłem.

- Ta sar. Chciałbym to kiedyś zobaczyć.

- Możesz zobaczyć. Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. O czym to ja mówiłem?

- O swojej cięciwie, sar, i o śnie.

- A tak. - Opadłem na plecy i położyłem sobie cięciwę na piersi. - Wiesz, Uns, moja cięciwa jest upleciona z przerwanych żyć.

- Najprawdziwiej, sar?

- Tak. Z żyć, które się skończyły, przedwcześnie, jak sądzę. Bo chyba większość tak się kończy.

- Chyba tak, sar.

- I ja tak myślę. Tylko tyle możemy zrobić, jeśli chodzi o skrócone życia,

z tego lub innego powodu. Może tylko dlatego, że pewna kobieta przecięła je dla mnie zębami. Może właśnie w ten sposób zakończyła te życia. Nie pamiętam jej imienia.

- Ni ważne, sar.

- W końcu mi o tym przypomni, na pewno. Ale chciałem powiedzieć, Uns, że zawsze gdy wypuszczam strzałę z tej cięciwy, słyszę ich w jej śpiewie - ich głosy, tak jak brzmiały za życia. Kiedy wyciągam Eterze, ukazują się wszyscy rycerze, którzy go nosili, a nie byli tego godni.

- Ta, sar. Widuję ich, sar.

- Nie wiem, czy ukazują się, żeby przestraszyć moich wrogów, czy też by mi dodać odwagi. Czasem walczą u mego boku. Kiedy indziej nie - przekonani chyba, że nie potrzebuję ich pomocy. Za sprawą Disiri zdobyłem Eterne. Żeby miał szansę przynajmniej ją zdobyć...

- Ta, sar. - Uns, który wrócił do swojego prania, odwrócił na drugą stronę moje kalessony i dorzucił patyków i zimowej trawy do ognia, przy którym je suszył.

- Chciała, żebym zdobył Eterne, bo mnie kocha.

- Ta, sar.

Znowu usiadłem i przesunąłem palcem po cięciwie Parki.

- Słyszałeś ją. Uns? A ty, Gylf?

Obaj przytaknęli mi, lecz Gylf trochę ostrożniej.

- Ty słyszałeś?

Uns ponownie skinął głową.

- Mogę już przekazać moje wieści, sar? To zajmie tylko chwilunię.

- Nie dasz mi spokoju, dopóki tego nie zrobisz. Rozumiem. Dobra, słucham. Ale potem odpowiesz na moje pytanie, a przynajmniej spróbujesz. Czy król nie żyje? Król Gilling?

- Nie, sar. Mówi, że mu lepij.

- Król Gilling tak powiedział?

- Nie, sar. To znaczy, pewnie tak, tylko że ja nie jego słyszałem. To ten kot, sar. Twój kot. Tylko jak on jest twój, to dlaczego ni ma go tutaj, żeby ci samemu to powiedzieć?

- Jest tutaj - oznajmił Mani teatralnie dramatycznym głosem. Wynurzył się z cienia z podniesionym łbem i zadartym ogonem i wykonał ukłon. - Twój sługa, najszlachetniejszy z rycerzy.

- Raczej mój przyjaciel. - Rozłożyłem ramiona, ignorując głuche



warczenie Gylfa.

Mani wskoczył mi na kolana.

- Twój wieśniak mnie szpiegował, sir Able, a ja nie wątpię, że byś mu poderżnął gardło, gdybym tylko o to poprosił. Z pewnością król mój pan kazałby go zakuć w kajdany, gdybym tylko ruszył łapą. - Mani poruszył łapą z wyciągniętymi pazurami, by zademonstrować, co miał na myśli. - Czy wolisz, żebym mu wybaczył?

- Zdecydowanie tak - odpowiedziałem mu.

- W takim razie tak uczynię. - Mani schował pazury. - Wybaczam ci, człowieku.

- Dzięki, sar! - Uns pociągnął się za lok na czole.

- Uns, nie dziwi cię gadający kot?

- To niechybnie jest magiczny kot.

- A ty widziałeś magiczny miecz. I może jeszcze inne rzeczy.

- A jakże, sar. A on przyszedł, żeby powiedzieć pani królowej, jak to ja starałem się wywieźć, jak jej tatko próbuje ukatrupić Touga, ale nie sam. A ja lubię Touga i myślę, że ty możesz go powstrzymać.

- Zwróciłem się do Jej Królewskiej Mości przed tobą, ponieważ podarowałaś mniej jej - wyjaśnił Mani. - Sądziłem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Ona ma wpływ na swojego ojca i byłoby lepiej dla niego, gdyby oszczędził Touga dobrowolnie. Bo jeśli powstrzyma się go siłą... No cóż, mój drogi właścicielu, on jest ambasadorem króla Arnthora. Nie dałoby się tego zatuszować.

Potarłem dłonią szczękę.

- Czy on próbuje zabić Touga, czy nakłania do tego innych?

Mani, który uznał, że powinien wygładzić się łapą, uczynił to.

- Nie. Wiem, że cenisz sobie bardzo mój osąd. Znamy się już trochę.

- Owszem.

- A zatem weźmiesz pod uwagę moje zdanie, które jest takie, że lord Beel nie splami swojego honoru morderstwem sprokurowanym własną ręką lub czyjąś. Po prostu co i rusz wystawia Touga na niebezpieczeństwo. Nie jest to nic nowego.

- Dlaczego? - Znowu się położyłem.

- Chce, żebyś zaciągnął się na służbę do jego zięcia, ponieważ wierzy, że dzięki tobie król zatrzyma koronę.

Mani spodziewał się, że coś odpowiem, lecz ja milczałem.

- Myśli tak, ponieważ powiedziała mu to moja pani, a mam na myśli moją pierwszą panią. A ściślej mówiąc, powiedziała to temu długiemu jegomościowi Thiazemu. Na pewno go pamiętasz.

- Pamiętam. Dlaczego tak powiedziała?

- Nie darzy mnie już tak wielkim zaufaniem jak wcześniej - rzucił Mani w zamyśleniu. Nie żebyśmy się poróżnili. Po prostu, kiedy ktoś nie żyje...

- Rozumiem.

Mani raczył zwrócić się bezpośrednio do Unsa.

- Ja sam byłem martwy kilkakrotnie. Wolno nam schodzić dziewięć razy, przy czym dziewiąty jest ostateczny. Co ci zapewne jest wiadome.

- Nie, sar, nie jest. Ale teraz już jest, mistrzu kocie.

- Możesz mi mówić, kolego, mistrzu Mani. Bo choć jestem kotem, to nie mam na imię kot. - Mistrz Mani ponownie odwrócił się do mnie. - Pytałeś, czemu przepowiedziała tak jak przepowiedziała. Czy mogę sobie pozwolić na pewną spekulację?

- Ponieważ to prawda?

- Z pewnością nie. Powiedziałbym raczej, że bała się, iż mój pan - którym to określeniem nazywam Jego Królewską Mość króla Gillinga z Jotunlandu, któremu podarowała mnie moja pani, królowa Idnn, jego żona - może cię skrzywdzić. Dzięki jej przenikliwości on teraz niepokoi się o twoje życie.

- Bardziej niż ja. - Zamknąłem oczy. - Ty słyszysz moją cięciwę, Mani, prawda? Nawet teraz?

Tym razem Mani nic nie odpowiedział.

- Bo ja słyszę. Szczególnie jeden głos wciąż woła do mnie. Po tym jak dostałem tę cięciwę, starałem się go nie słyszeć. Szczerze mówiąc, próbowałem nie słyszeć też wszystkich innych. Teraz słucham, w szczególności tego jednego. Słyszę go w tym momencie; rozumiem kilka słów i słyszę płacz.

- Może to ta królowa, co ją lubisz, sar? Może być, że ona, no, tak jakby zeszła?

- Disiri? Nie. Disiri nie umarła.

Przez jakieś pół minuty albo dłużej słyhać było tylko trzask ognia podsycanego przez Unsa. Wreszcie Mani powiedział:

- W Utgardzie jest taki pokój zwany Pokojem Utraconej Miłości.

Otworzyłem usta i usiadłem.

- Byłeś tam?

Mani zaprzeczył.

- Widziałem tylko drzwi.

- Wiesz, gdzie on jest?

- Lord Thiazi ma swój gabinet. Bardzo przestronny i ładnie usytuowany, w którym uprawia swoją sztukę. Z niego wchodzi się do innych pokoi. Zwiedziłem wszystkie poza jednym, który jest zamknięty na klucz. Wspiąłem się po bluszczu na ścianie, lecz pokój nie ma okien.

- Chciałbyś się tam dostać.

- Być może. - Szmaragdowe oczy Maniego, półprzymknięte dotąd, otworzyły się szeroko. - Pewnie, że chciałbym zajrzeć do środka.

- A czy ty utraciłeś miłość?

Mani zeskoczył z moich kolan i zniknął w ciemności nocy.

- A ty, Uns?

- Nie wiem o żadnej takiej, sar. Tylko lubię giermka Touga.

- Tak jak ja. - Przeciągnąłem się. - Nie chcę, żeby mu się coś stało, tak samo jak ty.

- To zajmiesz się tym, sar? Jutro?

- Nie. Mani powiedział Jej Królewskiej Mości z Jotunlandu, kiedy podsłuchiwałeś. Dobrze mówię?

- Nigdy nie mówiłem, że zrobiłem dobrze, sar.

- Oczywiście. Ale podsłuchiwałeś. Ona może temu zapobiec. Na pewno spróbuje. Jeśli o mnie chodzi... - Ziewnąłem. - Toug chce zostać rycerzem. - Chwilę wcześniej znowu usłyszałem pieśń cięciwy i nic już nie powiedziałem, choć Gylf położył łapę na mojej dłoni.

\* \* \*

Svon skinął na Touga, który zamknął za sobą drzwi do pokoju Thiaziego. Ogromny korytarz, zawsze pogrążony w ciemnościach, teraz wydawał się jeszcze ciemniejszy; gdzieś wysoko w górze popiskiwały nietoperze.

- To zły człowiek - mruknął Toug.

- To w ogóle nie jest prawdziwy człowiek - odpowiedział mu Svon. - Naucz się wreszcie tego, jeśliś jeszcze tego nie zrozumiał.

- Wiem.

- W takim razie zachowuj się odpowiednio i mów jak trzeba. Cała ich rasa

jest zła, choć jedni są lepsi od drugich. Najgorsze są potwory o wiele gorsze niż bestie.

- Logi miał trzy ramiona - powiedział Toug zamyślony. - Nie mówiłem dotąd o tym, ale tak było.

- Żył kiedyś rycerz o imieniu sir Ravd - powiedział Svon. Szedł teraz tak szybko, że Toug musiał truchtać, by dotrzymać mu kroku. - Wysłano go, żeby rozprawił się z rozbójnikami z północnego lasu, skąd ty pochodzisz, z lasu na południe od gór.

- Pamiętam - powiedział Toug.

- Zginął. Chyba księżę Marder sądził, że rozbójnicy - Wolne Drużyny, jak sami siebie nazywali - nie zaatakują wielkiego i znanego rycerza, choć miał ze sobą tylko giermka. Jeśli księżę Marder tak myślał, to się mylił.

- Nie powiem nikomu, że to powiedziałaś - oznajmił Toug.

- Powiedziałbym mu to prosto w oczy.

Svon szedł jakiś czas w milczeniu.

- Sir Ravd zmarł. Jego giermek przeżył, choć pozostawiono go na pewną śmierć. Wrócił do Sheerwall, by opowiedzieć wszystkim, jak jego pan zaatakował bandę wrogów tak liczną, że nie dało się ich policzyć, i jak roztropnie i zręcznie walczył, kładąc ich dziesiątkami. O tym, jak on, giermek sir Ravda, ranny i zdany na własne siły, pochował rycerza przy blasku księżyca w mogile wykopanej złamanym toporem i usypanej przy pomocy broni wroga.

Nie wiedząc, co jeszcze mógłby powiedzieć, Toug bąknął tylko:

- Tak, sir. - Zerknął za siebie, gdyż czuł na sobie spojrzenie niewidocznych oczu.

- Wysłuchali go w Sheerwall - mówił dalej Svon - i wyśmiali. Nie prosto w twarz - nie mieli tyle odwagi co rozbójnicy, którzy stawili czoła sir Ravdowi i jego giermkowi. Przekonał się, ten giermek, że ma do czynienia z wrogiem, którego nie dosięgnie żaden miecz, bo takim były nękające go pogłoski.

Svon zatrzymał się niespodziewanie i odwrócił do Touga.

- W tym krótkim czasie, odkąd jesteśmy razem, próbuję cię czegoś nauczyć.

- Tak, sir Svonie. Wiem o tym i wiele już się nauczyłem od ciebie i od sir Able'a.

- To jest moja najważniejsza lekcja. Ja uczyłem się tego przez lata, lecz

ofiarowuję ci to teraz jak ostatni kawałek chleba.

- Tak, sir Svonie - powtórzył Toug.

- Będziemy w niebezpieczeństwie. Walczyłeś z Gigantem Mrozu i wygrałeś. Nim minie południe, może staniemy naprzeciw dziesięciu takich. Kiedy to się stanie, być może ty przeżyjesz, a ja zginę.

- Mam nadzieję, że nie, sir Svonie.

- Nie chcę umierać. Ani trochę. Stanę do walki z nadzieją na zwycięstwo. Zrobię, co w mej mocy, byśmy zwyciężyli. Masz ten buzdygan?

- Tak, sir Svonie. Łamimiecz. - Toug pokazał mu broń.

- Gdzie jest sztylet, który zabrałeś temu angronickiemu kowalowi? Pokazywałeś mi go - sztylet wielki jak miecz. Masz go jeszcze?

- Jest w moim pokoju, jeśli nikt go stamtąd nie zabrał.

- Przynies go też. Zabierz oba.

- Dobrze, sir Svonie.

- Jeśli ja umrę, a ty przeżyjesz, Tougu, będziesz musiał stawić czoła wrogowi straszniejszemu niż Angronici, a jednocześnie bardziej subtelnemu. Szepty, chytre uśmieški, porozumiewawcze spojrzenia. Rozumiesz mnie?

- Chyba tak, sir Svonie.

- Będziesz musiał z nimi walczyć, a uczynisz to, znajdując bitwę, w której mógłbyś zginąć, a w której nie zginiesz. Będziesz musiał znajdować wciąż kolejne bitwy, Tougu.

- Tak, sir Svonie.

- Jesteś wiejskim chłopakiem? Pochodzisz ze wsi tak jak sir Able?

- Nie jesteśmy aż tak nisko urodzeni, jak myślisz, sir Svonie.

- Nie to miałem na myśli. - Svon westchnął, a Tougowi wydało się, że było to najbardziej samotne westchnienie, jakie słyszał kiedykolwiek, odgłos podobny do westchnienia ducha, odgłos, który będzie rozbrzmiewał w przepastnych korytarzach Utgardu dłużej niż popiskiwanie nietoperzy. - Mnie wychowali służący mego ojca, Tougu. Przede wszystkim Nola i jej mąż. Byli ze mnie dumni i nauczyli mnie być dumnym z siebie. Bardzo mi to pomogło i bardzo długo nie miałem innej pomocy. Czy ktoś kiedyś był dumny z ciebie? Poza mną?

Toug przełknął głośno ślinę.

- Nie dałbym rady zabić Logiego, gdyby nie Org, sir Svonie. On walczył z nimi przede wszystkim żeby nas bronić i zrobił więcej niż ja. Tylko że zapowiedziałeś, żeby o tym nie wspominał.

Svon uśmiechnął się; nie był to ciepły uśmiech, ale sprawił, że Svon był przystojny.

- I tak jestem z ciebie dumny. Szczególnie za to, że wyznałeś prawdę, choć pewnie męczyła cię pokusa, żeby skłamać. Sam często kłamałem i znam tę pokusę. Kto jeszcze był z ciebie dumny poza mną?

- Moja siostra, sir Svonie, Ulfa. Kiedy dowiedziała się, że jestem giermkim i że mogę kiedyś zostać rycerzem.

- To dobrze. Wystarczy ona i ja. Sir Ravd nigdy nie był ze mnie dumny, a ja nie byłem nigdy z niego tak dumny jak powinienem. Czuję, że powinienem ci nakazać, abys go zapamiętał, ale ty przecież go nie znałeś.

- Widziałem go, sir Svonie, kiedy przybył do naszej wioski i rozmawiał z ludźmi.

- W takim razie zapamiętaj to wszystko, jak i to, co ci o nim powiedziałem.

Rozdzielili się, lecz Toug, zamiast udać się na wieżę do pokoju, który dzielił z Manim i Etelą, zatrzymał się i patrzył za Svonem, który oddalał się ogromnym korytarzem pozbawionym wszelkich ozdób i wygod, marnie oświetlonym światłem dnia, które sączyło się przez umieszczone wysoko okna na jednej ścianie.

W pewnym momencie Tougowi wydało się, że na końcu holu zobaczył rycerza ze złotym lwem na hełmie i takim samym lwem krocącym na tylnych łapach na tarczy - i że Svon go nie zauważył, choć znajdował się o wiele bliżej. Toug odwrócił się i mruknął pod nosem:

- Całe to miejsce jest nawiedzone.

Potem, kiedy zaczął wspinać się po niekończących się schodach, powiedział:

- Mam nadzieję, że w ogóle nie będziemy musieli walczyć. Po prostu sprowadzimy niewolników i już.

Jeszcze później dodał:

- Szkoda, że nie ma tu Maniego.

## ROZDZIAŁ 20

### **TO BYŁ KRÓL GILLING**

Lato w środku zimy. Idnn siedziała na ławce z białego marmuru, przyjemnie chłodnej, pod glicynią; mimo iż nie widziała w mroku twarzy siedzącego obok niej młodzieńca, wiedziała, że jest to Svon. Zaśpiewał słowik. Pocałowali się, a ich pocałunek przepełniał bezmiar miłości, tętniący i nasycony zapachem piżma.

Zdawał się trwać całą wieczność, lecz skończył się zbyt szybko. Obudziła się, lecz zacisnęła mocno powieki gotowa oddać wszystko co ma, by choć na godzinę wrócić do tamtego snu - owinęła się ciasno kocem, dobrze rozpoznając gorączkowe drżenie łędźwi, gdzie płakało coś równie odwiecznego jak Kobieta.

Gerda mruknęła coś przez sen, przewróciła się na bok i spała dalej spokojnie.

- Wasza Królewska Mość...

Głos był prawdziwy, lecz nie należał do Maniego ani do Gerdy czy Bertolda, a już na pewno nie był to Uns. Idnn usiadła.

Przy jej łóżku klęczała naga dziewczyna z rozwianymi włosami.

- Wasza Królewska Mość, twoja służąca Uri. Czy podobał się sen, który ci podsunęłam?

Idnn wstrzymała oddech.

- Miałam nadzieję, że dostarczy ci przyjemności. Wasza Królewska Mość. Twoja służąca Uri jest sierotą z Aelfrice, której jedynym pragnieniem jest cię zadowolić, a która pragnie w zamian jedynie twojego uśmiechu. Miłego słowa raz na rok, ale tylko, jeśli Wasza Królewska Mość odczuje taką potrzebę.

Idnn nie czuła potrzeby oburzenia się, ale spróbowała przyjąć taką postawę:

- Czy nawet tutaj musimy mieć strażnika przy drzwiach?

- Wasza Królewska Mość, tak. - Uri pokazała palcem. - Tam leży i śpi

twardo przytulony do swojej palki. - Zachichotała. - Przeskoczyłam go.

Idnn spuściła nogi z łóżka, które wcześniej należało do Mardera.

- Wstań. Chcemy dokładniej cię obejrzeć.

Uri wstała, smukła jak trzcina i nie wyższa niż sama Idnn.

- Czy mam zapalić świecę? Dobrze mnie widać?

- Słońce już wstało. - Przez chwilę Idnn zastanawiała się, co się stało z jej nocną koszulą, lecz zaraz przypomniała sobie, że nie zabrała żadnej ze sobą. - Za kilka minut zobaczymy cię wyraźniej.

- W blasku słońca? Wtedy Wasza Królewska Mość będzie mnie widziała słabo. - Z knota świecy popłynął w górę płomień.

- Mówisz, że jesteś Aelfem?

Uri ukłoniła się i rozłożyła ramiona, przekrzywiając na bok głowę.

- Twoje włosy... są piękne, ale musimy przyznać, że nie wyglądają jak włosy ludzkie. Czy możemy ich dotknąć?

- I nie tylko ich. Wasza Królewska Mość.

Idnn dotknęła włosów Uri.

- Nic nie ważą.

- Prawie nic, Wasza Królewska Mość, dlatego porusza je nawet najmniejszy powiew. Cała taka jestem.

- I twoje oczy. Nie chcesz na nas patrzeć.

- Wasza Królewska Mość jest królową.

Idnn dotknęła podbródka Uri.

- Królowa rozkazuje ci spojrzeć na nią. Nie zostaniesz ukarana.

Uri podniosła głowę i Idnn spojrzała w oczy płonące przyćmionym żółtym ogniem.

- Jest tak, jak mówisz. - Idnn, nieco oszołomiona, usiadła z powrotem na łóżku.

- Czy chciałabyś zobaczyć, jak wyglądam naprawdę. Wasza Królewska Mość? Przybrałam tę postać, żeby nikogo nie wystraszyć.

- My byśmy się nie przestraszyły - oświadczyła Idnn stanowczym tonem - ale moi słudzy mogą się obudzić. Zostań lepiej taka, jaka jesteś.

- Nie obudzą się, Wasza Królewska Mość, chyba że będziesz tego chciała.

- Nie zmieniaj się. Czego od nas oczekujesz?

- Uśmiechu.

- W porządku. - Idnn wzruszyła ramionami. - Dostaniesz go, jeśli na niego zasłużyłaś. A zasłużyłaś?



- Mój sen - zaczęła Uri.

- Nic nam się nie śniło! Co jeszcze?

- Twoja służąca Uri sprowadziła też sen na sir Able'a. Śnił o Glas, wyspie dobrze znanej twojej służce. Jeśli chce ją ponownie odwiedzić, a chce, jak sądzę, będzie musiał zostać w Mythgarthcie. Pragnę go nakłonić, by oddał się na służbę do twojego męża i został tutaj. Czy to cię zadowala, Wasza Królewska Mość?

- Oczywiście. Jeśli jest tak, jak mówisz.

- Dziękuję, Wasza Królewska Mość. Twoja służąca Uri chce cię też ostrzec przed osobą, która żywi złe intencje i dybie na życie twojego męża króla, Jego Królewska Mość został ugodzony ostrzem. A ty, Wasza Królewska Mość, byłaś obecna, gdy doszło do tego smutnego wydarzenia.

- Sugerujesz, że ja go ugodziłam nożem? Kłamiesz!

Uri skuliła się i uniosła dłonie, jakby chciała się osłonić przed uderzeniem.

- Twoja służąca twierdzi, że jesteś niewinna, podobnie jak i ona sama. Twoja służąca przyszła tu, by wyjawić ci imię...

Coś (potem Idnn długo zastanawiała się, co to było) przy drzwiach pawilonu przyciągnęło uwagę Idnn; były otwarte, choć powinny być zasznurowane pięcioma złotymi sznurami - co jednak wtedy specjalnie jej nie zaniepokoiło. I tak zobaczyła na tle słońca sylwetkę wysokiego mężczyzny z laską. Ubrany w szary płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, zbliżał się do niej.

Kiedy ich spojrzenia spotkały się, podniosła się z łóżka, naga i drżąca, i czekała, aż podejdzie. Przyklęknęła i przycisnęła czoło do grubego, nierównego dywanu rozłożonego na podłodze.

- Wstań, moja córko.

Wstała, powoli i z wahaniem.

- Otwórz oczy.

- Boję się, ojcze.

- Myślisz, że umrzesz, jeśli ujrzysz moje oblicze? Nie jestem Najwyższym. Spójrz na mnie.

Przyszło jej to z trudem, jak nic nigdy wcześniej.

- Znasz mój głos?

- Słysząc go w wietrze. Słyszałam go nie raz, lecz nie wiedziałam, że to twój głos.

- Spójrz w moje oko. Widziałaś je kiedyś?

- Tak, ojczec. W nim mieszka słońce.

- Jestem...

- Wędrowcem. - Jej kolana zadrżały tak bardzo, że wydawało jej się, iż się przewróci. - Jesteś królem Overcynów.

- Czy jestem aż tak groźny?

- Tak, ojczec.

Roześmiał się, a był to śmiech ulewy.

- Je-jesteś ze mnie niezadowolony.

Położył dłoń na jej ramieniu, a ona poczuła siłę, jaka na nią spłynęła.

- Naprawdę wierzysz, królowo Idnn, że takim mnie widzą ci, z których jestem niezadowolony?

- Nie, ojczec. Tak nie jest.

- Czemu więc się mnie boisz? Czy dlatego, że twój mąż jest potomkiem Ymira?

- Tak, ojczec. Z tego powodu i z wielu innych.

- Mój lud łączył się z Gigantami Zimy i Starej Nocy, oni zaś łączyli się z nami. Jeśli cię pobłogosławię, to czy będziesz mi służyć? Moje błogosławieństwo przynosi pomyślność.

Przyklęknęła, choć nie tak nisko jak Uri przedtem, i zwróciła ku niemu rozjaśnione oblicze.

- Będę ci służyła, jak tylko potrafię, ojczec, teraz i zawsze. Z twoim błogosławieństwem czy też bez niego.

Obdarzył ją błogosławieństwem Skai i obiecał miejsce przy swoim stole, kładąc na jej głowie dłoń, którą wcześniej dotknął jej ramienia, a potem uderzył lekko laską w jej prawe a następnie w lewe ramię.

- Powstań, królowo Idnn. Masz u mnie swoje miejsce.

Wstała. Płakała, niezdolna wydobyć z siebie ani słowa.

- Mam przyjaciela. Nie powiem, jak się nazywa, ponieważ tutaj nazywają go inaczej niż wśród nas, gdzie nosi imię Drakoritter. Na jego hełmie stoi smok, który także widnieje zwinięty na jego tarczy.

Idnn kiwnęła głową, nie przestając płakać.

- Pozwoliłem mu tu wrócić, by mógł odzyskać swoją jedyną miłość. Pomóż mu, królowo Idnn.

Zacisnęła mocno oczy, z których wciąż płynęły łzy, a z jej ust wyszły na świat uczciwe słowa:

- O-ojczec. Je-jestem twoją służebnicą.

Kiedy wreszcie otworzyła oczy, zobaczyła, że stoi sama w pawilonie, który wcześniej należał do Mardera. Gerda spała spokojnie przy składanym łóżku. Ani śladu Wędrowcy. Znikła też Uri, aelficka panna, po której pozostał tylko długi płomień świecy z dymiącym ogonem.

Owinąwszy się kocem, Idnn podeszła do drzwi. Były zamknięte, zasznurowane ciasno pięcioma złocistymi sznurami. Rozsupłała węzły i odsunęła klapę wejścia z satyny koloru niedźwiedziego futra. Uns spał na progu, a obok niego leżał sążnisty kij. W odległości strzału z łuku w dół zbocza porośniętego zimową brązową trawą pokrytą śniegiem, za obozowiskami pełnymi ludzi ułożonych do snu na skrawkach suchej ziemi, odziany na zielono świerk i białolica brzoza poruszyły się dotknięte pierwszym podmuchem wiatru, który powtórzył - raz tylko - błogosławieństwo, jakie otrzymała.

Wracając do łóżka, ściągnęła koc ze służącej.

- Wstawaj, Gerdo! Słońce już wzeszło. Pomóż nam się ubrać, zanim Bertold i Uns złożą nasz namiot.

Wiatr, który wśliznął się przez otwarte drzwi, zgasił płomień świecy.

\* \* \*

Etela, umyta i jeszcze trochę wilgotna, wycierała się w pokoju w wieżyczce.

- Dokąd idziesz?

- Z powrotem do miasta. - Toug zdobył się na uśmiech i nawet mu się to udało.

- Po co?

- Żeby kupić różne rzeczy. Lord Thiaz dał nam pieniądze - sir Svonowi i mnie. W zamku zaczyna brakować wszystkiego.

- Idę z tobą!

- Nie idziesz!

- Idę! Wiem, gdzie jest wszystko. Znam cały rynek.

- Okryj się płaszczem. - Pouk zapiął pas z mieczem i poluzował Łamimiecz w pochwie. - Co by było, gdyby ktoś cię zobaczył całą oblepioną koszulą?

- Nie zobaczy. Masz przecież to coś tam na drzwiach.

- Zasuwę. - Toug sięgnął po sztylet, który należał do angronickiego kowala, i spojrzął na niego z niechęcią. W jaki sposób miał nieść miecz równie długi jak kij do popędzania bydła? - Zaraz ją odsunę. Idę. Ty nie dasz rady.

- Zaczekaj. Zaraz będę gotowa.

- Nie idziesz. Lord Thiaz i lord Beel wyznaczyli sir Svona i mnie. Tylko nas dwóch.

- Chcesz, żebym ci pokazała, jak nosić duży nóż mojego pana?

- A ty skąd miałabyś to wiedzieć? - Toug, który przyniósł sztylet z kąta pokoju, oparł go o łóżko.

- Bo jestem bystra. Patrz.

Zanim zdołał ją powstrzymać, chwyciła jego sztylet i zanurkowała pod jedno z ogromnych krzesel.

- Co ty tam robisz? Nie pokalecz tylko krzesła.

- Już to zrobiłam. Ostry jest.

- Wiem. Sam go ostrzyłem. Uważaj.

- Chyba trochę stare pokrycie. Miękkie jakieś. - Etela wynurzyła się spod krzesła, machając wąskim paskiem grubej skóry. - Usiądź na podłodze, to ci pokażę.

- Co mi pokażesz?

- Jak zapiąć miecz. Usiądź!

Toug niechętnie wykonał jej polecenie.

- Nie mam dużo czasu. Sir Svon czeka pewnie na mnie.

- Tyle samo czasu spędziliśmy na gadaniu.

Poczuł pociągnięcie na wysokości sprzączki na rzemieniu.

- Widzisz, tym możesz skrócić albo wydłużyć, a przy mieczu jest takie kółko, które mój pan przywiązywał na pasie. Przeciąłeś ten rzemień, pamiętasz?

- Pewnie, że tak - odpowiedział Toug.

- Pod tymi krzesłami są pasy, które przytrzymują poduszki. Odcięłam kawałek z takiego pasa i przywiązałam twój miecz do sprzączki.

- Dobrze przywiązałaś, Etelo?

- Potrafię szydełkować.

Zacisnęła mocno węzeł.

- A teraz wstań.

Kiedy się podniósł, poprawiła rzemień małymi dłońmi.

- Widzisz? Leży ukośnie na twoich plecach, tak że masz rękojeść z boku szyi. Sięgnij po nią.

Jego dłoń odnalazła długą kościaną rękojeść, którą planował obciąć. Wyciągnął miecz z pochwy, która uniosła się nieco i zaraz opadła mu na plecy.

- Ciężki, co?

Pół godziny później, kiedy obaj ze Svonem skończyli siodłać konie, przypomniał sobie pytanie Eteli i jego odpowiedź, nieprawdziwą odpowiedź.

- Sir Svonie?

Svon spojrział znad popręgu.

- O co chodzi?

- Zastanawiam się, jak długo przyzwyczaiłeś się do noszenia kolczugi.

- Nigdy się do niej nie przyzwyczaiłem. - Svon dosiadł swojego konia swobodnie, jakby kolczuga, hełm i miecz nic nie ważyły.

- Nie przyzwyczaiłeś się?

- Jeszcze nie. Zawsze jestem świadomy tego, że mam ją na sobie i chętnie ją zdejmuję. Zapytaj sir Garvaona. - Svon zamilkł na chwilę. - Ale chętnie też ją ubieram. Boisz się, że nie dasz rady wsiąść na konia z tym bojowym mieczem? Zawieś go na kuli tak jak tarczę. Wielu tak robi.

Toug wsunął już lewą stopę w strzemień; chwycił się mocno siodła i dosiadł konia, nie zdejmując niczego z siebie.

- Nie było aż tak ciężko, jak myślałeś, co?

Toug pokręcił głową.

Svon cmoknął cicho i popuścił wodze; Wschód Księżyca pokłusował przez pusty dziedziniec wyraźnie zadowolony.

- Wiesz, co jest o wiele cięższe?

Toug pospieszył za nim.

- Twój hełm?

- Nie. Ta sakwa. - Rzemienie sakwy były przywiązane do jego pasa. Svon potrząsnął nią i rozległ się melodyjny brzęk monet. - Gdybym stracił hełm albo tarczę, poradziłbym sobie bez nich. Ale gdybym to zgubił, to kto by mi potem zaufał?

- Ja.

Svon roześmiał się.

- Ładnie powiedziane. Szczerze mówiąc, niewielu mi ufa. Przez kilka minut jechali w milczeniu. - Jedzie tu księżę Marder. Tak powiedział sir

Able.

- Nie znam go.

- A ja tak, on zaś myśli, że zna mnie. Był moim panem lennym, ale nigdy mi nie ufał.

Wyjechali przez bramę Utgardu i dalej na most rozbrzmiewający echem końskich kopyt, przez który Toug wyszedł pieszo poprzedniej nocy, a potem wrócił z mieczem i Etelą.

- To dzięki noszeniu kolczugi i miecza stajemy się silni - powiedział Svon. A przez pokonywanie trudów stajemy się odważni. Nie inaczej.

\* \* \*

- Muszę z tobą porozmawiać, Mani.

Mani kiwnął głową i wskoczył mi na rękę.

- Domagam się miejsca w twoich jukach. Zgadzasz się?

- Oczywiście. - Wsadziłem go do torby, by pokazać, że mówię szczerze.

- A teraz rozmawiaj, drogi właścicielu. Czy też wolisz, żebym to ja mówił?

- Powiedz mi coś o Komnacie Utraconej Miłości. Wspominałeś o niej. Powiedz mi wszystko, co wiesz.

- Nie byłem tam. - Mani zamilkł na moment zamyślony. - Chyba u tym wspominałem.

- Opowiedz mi wszystko, co słyszałeś o tym pokoju.

- Ulfa wie pewnie więcej - powiedział powoli Mani. - I Pouk. Są dłużej w Utgardzie.

Gylf wydał odgłos podobny do cichego warknięcia.

- Ale nie ma ich tutaj - powiedziałem. - A ty jesteś. Skąd się o tym dowiedziałeś i co wiesz o tym pokoju?

- Bezpośrednio? Od Muld. Angronici nigdy nie kochają. Wszyscy chyba o tym wiedzą. Tym się głównie różnicie od nich. Wszyscy jesteście duzi. Oni są więksi, ale wszyscy jesteście duzi i hałaśliwi. Nie myślicie za dużo, ani wy, ani oni. Potraficie mówić. I muszę przyznać, że to jest dobre.

- Opowiedz mi o pokoju.

Załadowano bagaże na ostatniego z jucznych mułów. Marder i Woddet siedzieli już w siodłach, a Uns podsadzał właśnie na konia Idnn.

- Utracona miłość musi się gdzieś podziąć. - Mani mówił wolniej niż zwykle i wydawało się, że zwraca się zarówno do mnie jak i do siebie. - Ludzie zachowują się tak, jakby zgubione rzeczy zniknęły. W przeciwieństwie do nas, kotów. Miałem kiedyś dom, który lubiłem, miłe miejsce w lesie, gdzie żyło mnóstwo myszy i królików. Opuściłem ten dom - moja pani tak chciała - i już prawie o nim nie myślę. Lecz on wciąż tam jest.

Gylf podniósł łeb, jakby spodziewał się, że coś powiem, lecz ja milczałem.

- Nigdzie nie odszedł - mówił dalej Mani - co najwyżej spalił się. To ja odszedłem.

- Nie jestem pewny, czy cię rozumiem - powiedziałem.

- Jestem jak miłość - wyjaśnił Mani. - Każdy kot ma w sobie dużo miłości. Nie wszyscy w to wierzą, ale tak jest. Zależność i łaszenie się to jeszcze nie miłość.

- Ja kocham Bertolda Śmiałego - powiedziałem.

- No właśnie. Widzisz? W takim razie spróbuj sobie wyobrazić, że już go nie kochasz. Poczulbyś w sobie coś w rodzaju pustki, czy nie tak?

- Pewnie tak.

- Na pewno, jeśli naprawdę go kochałeś. Ta pustka pozostałaby w miejscu, które wypełniała miłość. To tak samo jak z zębem. Jeśli ci wypadnie, wyrzucasz go. I prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczysz. Ale on gdzieś jest. Może znajdzie go jakiś wieśniak albo kawka przyniesie do gniazda.

Przytaknąłem mu odruchowo.

- Gylf, możesz przynieść moją kopię?

- Z miłością jest tak samo i zwykle idzie ona tam, gdzie jest najbardziej potrzebna. Kot, który się zgubił, kieruje się do wody, jeśli może.

- Tego nie wiedziałem.

Chmura, która nas słuchała, podsunęła mi w umyśle obraz kuca w biało-brązowe łaty, który pokonuje kolejne wzniesienia i dociera aż do pogórza.

- Tak więc zagubiona miłość kieruje się do Jotunlandu, gdzie w ogóle nie ma miłości albo też jest jej bardzo mało - jakaś biedna niewolnica, której kot jest jej jedynym przyjacielem. W każdym razie jest to jedno z miejsc, do których udaje się miłość.

Wyjąłem kopię z pyska Gylfa i dosiadłem konia, przekładając wysoko prawą nogę, by nie uderzyć Maniego.

- Jest zgromadzona w Pokoju Utraconej Miłości w Utgardzie. Ci, którzy

utracili miłość... tak mówią. Jak już wspominałem, nie mogłem tam wejść. Tak więc ci, którzy utracili miłość, mogą tam pójść i odnaleźć swoją miłość. Czasem.

Mani westchnął i zanurzył w torbie gładki czarny łeb.

- Ja nie straciłem miłości, a jeśli nawet, to nie pamiętam. Może dlatego nie mogłem się tam dostać.

Jadąc samotnie przed resztą grupy otoczony pustymi lasami i polami, zastanawiałem się, czy drzwi otworzą się przede mną.

\* \* \*

- Tutaj - powiedział Toug i pokazał palcem. - Tutaj robili kilofy i łopaty - wszystkie narzędzia. - Gdy to powiedział, usłyszeli niskie, chrypiące głosy Angronitów. Chwilę później jeden z nich wyszedł ciężkim krokiem zza rogu domu. Niósł motykę, ale miał przy sobie też długi miecz, taki sam jak te, którymi walczyli Skoel i Bitergarm.

Svon i Toug pospieszyli konie, lecz olbrzym zagroził im drogę motyką.

- Stójcie!

Svon ściągnął wodze.

- Przybywamy z polecenia króla. Zatrzymujesz nas na własne ryzyko.

- Król nie żyje!

- To kłamstwo.

Angronita uniósł motykę.

Svon spiął konia ostrogami i przegalopował obok Angronity, kierując się ku kuźni.

Toug roześmiał się.

- Ty! Kim jesteś?

Toug potrząsnął tarczą zawieszoną na kuli siodła, by pokazać biały gryf.

- Jednym z tych obcych rycerzy.

- Skoro tak mnie nazywasz, to dla ciebie będę rycerzem. Staniesz do walki?

- Miesiąc temu zabiłem tuzin lepszych od ciebie.

- W takim razie walczmy od razu, tu i teraz, jeden na jednego. - Toug uniósł się w strzemionach i zawołał:

- Odłóż łuk, sir Svonie.



Angronita odwrócił się, by spojrzeć w tamtą stronę. Toug spiął ostrogami konia tak jak wcześniej Svon. Miecz bojowy, który wyjął jedną ręką, a potem ujął w obie, ugodził Giganta Mrozu poniżej żeber i dzięki sile Touga i szybkości Laemphalta zanurzył się w jego ciele aż po rękojeść i tam pozostał, gdyż Toug popędził dalej.

Toug obrócił konia i wracał powoli. Motyka leżała na drodze, a Angronita klęczał przy niej zgięty wpół nad kałużą krwi. Trzymał ręce przyciśnięte do boku i przez chwilę Toug zastanawiał się, czy olbrzym próbuje wyjąć miecz, czy tylko chce uśmierzyć ból.

Wreszcie Angronita upadł na ziemię, a Toug podjechał bliżej, aż pod kopytami jego konia zachlupotała spieniona i parująca krew. Zsiadł z konia, brodząc w niej po kostki, wyciągnął miecz z ciała Angronity i wytarł go w kawałek materiału, który odciął z koszuli martwego giganta.

\* \* \*

W aukcji, która odbywała się za kuźnią, brało udział dwudziestu kilku Angronitów po części znanych już Tougowi. Przysłuchiwał się licytacji przez pięć minut, a potem zwróciwszy uwagę na otwarte drzwi i wychudzone twarze czające się dalej w cieniu, skierował Laemphalta między dwóch Angronitów i wjechał do domu.

- Koń. - Był to jeden ze ślepych niewolników z kuźni. - Jest tu koń.

- Przyjechałem na nim - odpowiedział mu Toug. - Boisz się, że pobrudzimy podłogę?

- Posprzątam. - Wychudzona kobieta podeszła i chwyciła za uzdę Laemphalta. - Kim jesteś?

Toug wyjaśnił wszystko, a wtedy trzech ślepi, muskularni mężczyźni i dwie kobiety zebrali się wokół niego. Chrząknął.

- Czy któreś z was chce wrócić do Celidonu?

- Wynoś się stąd!

- Już nie niewolnicy?

- Co ty wygadujesz?

- Tak!

- To podstęp!

Ostatnie słowa wyszły z ust jednego z niewidomych niewolników i do

niego teraz zwrócił się Toug:

- To nie jest podstęp, Vil, ale może trzeba będzie działać podstępnie. Szczerze mówiąc, myślę, że tak. Może się uda. Spróbujemy, jeśli pomożecie.

- Sprzedadzą nas - powiedział jeden z mężczyzn - kiedy pozostali odejdą. Nasz pan nie żyje.

- Zabiłem go - przyznał Toug. - Musiałem. Chciał zabić mnie i Etełę.

- Masz ją? - zapytał Vil.

- Jej mama myśli, że jest na zamku - powiedziała jakaś kobieta.

- Bo tak jest. Zaprowadziłem ją tam wczoraj w nocy, a wasz pan próbował nas zatrzymać. - Toug wziął głęboki oddech. - Wysłuchajcie mnie, ponieważ nie zrobimy tego, jeśli nie wykażecie dobrej woli. Król, król Gilling, może brać niewolników, kiedy chce. Takie jest prawo. On...

- Tu jesteś! - To był głos Svona, który wszedł z innego pokoju z mieczem w rękę i tarczą na ramieniu.

- Myślałem, że jesteś przy sprzedaży - powiedział Toug.

- Schildstarr wszystkiego pilnuje. Mieliśmy mieć na niego oko, pamiętasz?

Toug skinął głową.

- Pilnowałem go, ale robi uczciwie, co do niego należy, jak się wydaje. Kupuje dużo narzędzi i sprzęt, którym się je robi. Przyszedłem, żeby ci pomóc.

- Chyba wszystko w porządku - rzekł Toug. - Wiedzą, że zabiłem ich pana.

- Czy - czy pomogła ci pewna osoba? Mam na myśli dzisiejszy dzień.

Toug pokręcił głową.

- Nauczę cię posługiwać się kopią i pasujemy cię na rycerza, jak tylko uda mi się to zorganizować. Jego Lordowska Mość może to zrobić.

Toug, oszołomiony, nie potrafił wydobyć z siebie ani słowa.

- Myślałem, że będzie mnie gonił, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Ale kiedy tego nie zrobił, zawróciłem konia, żeby go zaskoczyć. Zjechałem z drogi z obawy, że spotkam innego.

Toug skinął głową.

- Jasne.

- A kiedy tam wróciłem - no cóż, wiesz, co zastałem. A ciebie już tam nie było. - Svon stał wyprostowany jak nigdy wcześniej, prężąc pierś. - To jest obraźliwe, a jeśli wyzwiesz mnie, gdy już będziesz rycerzem, przyjmę twoje

wyzwanie. Myślałem, że może wróciłeś do Utgardu.

- Nawet o tym nie pomyślałem - odparł Toug. - Może bym i tak zrobił, gdyby mi to przyszło na myśl. Chciałem cię odszukać i pomyślałem, że gdzieś tu będziesz.

Z cienia wynurzyła się wychudzona kobieta w czarnych łachmanach prowadzona przez niższą kobietę z rozwianymi włosami. Ta mniejsza powiedziała:

- O niej nie zapomnij, panie.

- Baki? - Toug nawet nie próbował ukrywać zdziwienia. - Czy to matka Eteli?

- Tak, panie.

- Nie wiedziałem, że jest taka wysoka.

Svon skinął na Baki.

- Podejdź tutaj, dziewczyno. Jesteś niewolnicą? Nosisz ubranie takie jak one.

- Owszem, jestem, panie rycerzu.

- Dlatego zapewne nazywasz „panem” mojego giermka. Jest wolnym człowiekiem, a tobie pewnie każdy wolny człowiek wydaje się być panem.

- Jestem jego niewolnicą, panie rycerzu. Dlatego nazywam go panem.

- Widziałem tu wielu niewolników, w tym wiele kobiet. Czasem mam wrażenie, że Utgard jest pełen kobiet. Ale żadna z nich nie dorównywała ci urodą.

- Strzeż się, panie rycerzu. - Matka Eteli ujęła dłoń Touga, a jej ogromne ciemne oczy wyrażały pytanie.

- Jest w zamku - wyszeptał Toug. - Dobrze się spisuje, a ja jej nie skrzywdziłem. Ani nikt inny.

Jeden ze ślepców rzekł:

- Mówiłeś, że możemy odzyskać wolność.

Svon przemówił głośno:

- Posłuchajcie mnie, wszyscy. Mówię w imieniu króla. Od tej chwili należycie do króla Gillinga, wszyscy z wyjątkiem dziewczyny, która należy do mojego giermka. Zabieramy was stąd na targ.

Podniosły się głosy pełne protestu.

- Nie zamierzamy was sprzedać! Musimy kupić żywność, żeby mieć was czym nakarmić, gdy już znajdziecie się w Utgardzie. Mam na to pieniądze. Kupię całe worki zboża i kosze z warzywami - z rzepą czy co tam mają.

Nakupimy też mięsa, a może i żywe zwierzęta, które będzie można popędzić na zamek. Poniesiecie worki i kosze i pomożecie zapędzić zwierzęta. Ale przede wszystkim chcę wam powiedzieć, że macie nowego pana, króla, którego tu reprezentuję. Jeśli okażecie lojalność i posłuszeństwo, to dobrze się wami zaopiekujemy. Jeśli nie, to nie zamierzam się wygłupiać i udzielać wam reprimendy albo was bić. Król Gilling potrzebuje dobrych niewolników, a nie złych, a jest ich więcej tam, skąd przyszlście.

Baki pociągnęła za rękaw Touga.

- Słońce świeci już jasno.

Skinął głową.

- Rozumiem.

- Boję się, że ona może się zgubić.

- Ja się nią zaopiekuję - powiedziała jakaś kobieta.

- Może mogłaby pojechać za tobą na koniu, panie? Jest bardzo chuda i na pewno mało waży.

- Jeśli uda nam się ją podsadzić.

- Podaj mi rękę, dziewczyno - powiedziała matka Eteli.

- Nie jestem dość silna - odpowiedziała Baki i zwróciła się do innej niewolnicy: - Przyklęknij na kolano, a ona niech wejdzie na twoje drugie kolano.

To było łatwiejsze, niż Toug się spodziewał, tak więc matka Eteli znalazła się szybko w siodle za nim. Sukienka podsunęła jej się wysoko na uda, kiedy obejmowała go w pasie przeraźliwie chudymi ramionami.

- Pozostali wyjdą przez okno z drugiej strony budynku, panie. Tamtędy wszedł rycerz i tam czeka uwiązany jego koń.

- Dołączymy do nich - powiedział Toug i trącił ostrogami boki Laemphalta, dając znak, że są gotowi do drogi.

- Ona jest Aelfem - wyszeptła matka Eteli, kiedy wyjeżdżali z pokoju.

- Wiem. Ale skąd ty to wiesz?

Nic nie odpowiedziała.

Raz ich zatrzymano, kiedy jechali przez miasto, lecz Svon oznajmił głośno, że wypełniają misję króla, wtedy Angronita, który ich zatrzymał, mruknął tylko coś i usunął się na bok.

Targowisko, gdy wreszcie do niego dotarli, okazało się większe i biedniejsze, niż Toug się spodziewał, a przy straganach widać było głównie ludzi. Po krótkich targach kupili duży wóz, solidny i prawie nowy, do tego

cztery woły, które miały go pociągnąć. Kiedy już za niego zapłacili, Svon zaczął kupować wszelką żywność, którą niewolnicy od razu ładowali na wóz.

Mała dłoń dotknęła ręki Touga.

- On płaci za dużo.

Toug otworzył usta zdumiony.

- Co ty tu robisz?

- Przyszłam z tobą. Bałam się, że narobisz sobie kłopotów i będziesz potrzebował pomocy. Domyśliłam się, że tu będziesz, bo tak mówiłeś, no to przyszłam.

Kręcąc głową z dezaprobatą. Toug podniósł Etełę i postawił ją na beczce.

- Wiesz, że nie powinnaś. Kazałem ci zostać, jesteś niegrzeczna.

- Mogę być niegrzeczna, jeśli tylko w ten sposób ci pomogę. Nie jestem wcale taka mała jak myślisz. Daj rękę.

Ujęła jego dłoń i położyła ją na swojej piersi.

- Czujesz? Mama mówi, że lada dzień mi urosną.

Mimo iż starał się opanować, Toug poczuł, jak coś się w nim poruszyło.

- Spaliśmy razem, a ty mnie nawet nie dotknąłeś. Myślałam, że nie tak będzie. Chciałam, żebyś mnie przytulił i może byśmy się pocałowali.

Toug przełknął ślinę.

- Powinniśmy chyba poczekać, aż...

Ktoś - Angronita z kłami - pokazywał na niego i krzyczał na Svona. A potem odwrócił się i ruszył na nich z wyciągniętymi przed siebie rękami.

I zaraz upadł. Miecz Svona ugodził go tak szybko, że Toug niczego nie zauważył, a połowa jego klingi była czerwona od krwi.

Angronita wił się na pokrytym wydeptanym błotem targowisku, rycząc i próbując pełzać w kierunku Touga.

- Jedziemy! - zawołał Svon. - Niewolnicy na wóz, wszyscy. A wy kobiety, niech jedna z was powozi.

Toug zobaczył, że na beczce nikt nie stoi. Sięgnął po miecz i odciął dwa palce z dłoni, która zbliżała się do niego. W jednej chwili znalazł się w siodle. Rozległ się trzask długiego bata podobny do odgłosu łamiącej się kopii i Toug zobaczył na koźle woźnicy matkę Etele, a obok niej samą Etele. Angronita z mieczem zastąpił im drogę, krzycząc, żeby się zatrzymali, i chwycił jednego z wołów za rogi. Smagnięty batem po twarzy zachwiał się i zatoczył do tyłu.

Toug pojechał prosto na niego i ugodził go mieczem.

Wszystko tonęło w zamęcie: z domów wokół targowiska wybiegali Angronicy; Svon torował im drogę swoim koniem, mieczem i śmiertelną odwagą: stragany przewracały się, a z koszy sypały się pokryte brodawkami korzenie. Niewolnicy rozbiegali się, krzycząc przeraźliwie, inni zaś wskakiwali na wóz.

- Aksamitki i mantykory! Aksamitki i mantykory! - Krzyczący przeraźliwie demon kierował wozem przy pomocy wijącego się i trzaskającego węża, który wciąż opadał na grzbiety wołów, aż i one wpadły w amok i pędziły jak wściekle z nisko opuszczonymi łbami, rycząc i niemal tratując Svona, którego z czasem wyprzedziły.

Widzieli już przed sobą ogromną bramę, kiedy wóz zgubił koło. Schildstarr i jego poplecznicy uratowali ich na jakiś czas, powstrzymując swoich pobratymców głosem i włóczniami, a zaraz potem na moście pojawił się Garvaon, który galopował ku nim, prowadząc za sobą pobladłych łuczników i zbrojnych.

Na ich widok Angronitów jeszcze raz opanował szal wściekłości. Toug, który żywił przekonanie, że sporo już walczył i walczył mężnie, przekonał się, że ma jeszcze blade pojęcie o tym, co znaczy walczyć - ciąć, kłuć i patrzeć, jak ukochany rumak zdycha pod nim. Co to znaczy walczyć pieszo, kiedy ramię, które powinno trzymać tarczę jest bezużyteczne, kiedy brakło już głosu i sił i została tylko świadomość, że gdzieś w tym szaleństwie jest Etela.

Kolano przed nim znajdowało się powyżej jego pasa. Zamierzył się Łamimieczem z całych sił, jakie mu jeszcze zostały, a kiedy olbrzym nie upadł, chwycił broń w obie dłonie i uderzył ponownie, choć ból niemal go oślepił, i poczuł zgrzyt łamanych kości, swoich kości.

- Do zamku! - To był Svon, który chwycił go za ramię; ból był nie do zniesienia. - Dalej!

Toug zawołał:

- Etela! - Niestety Svon nie słuchał go, a i dla samego Touga nie miało większego sensu nic z tego, co potem powiedział.

Świsnęła strzała, a zaraz potem następna i jeszcze jedna. Ponad bitewny zgiełk wzniósł się czysty głos.

- Jesteśmy waszą królową. Wysłuchajcie nas, wszyscy! Przestańcie! Rozkazujemy wam! My, królowa Idnn.

- Zgrabna suka!

Ta zniewaga sprowadziła kolejną strzałę, a strzała spowodowała krzyk tak przeraźliwy, że wydawało się, że to krzyczą same kamienie Utgardu.

Zapadła cisza lub coś na jej podobieństwo. Gdy Toug podniósł wzrok, ujrzął siwego wierzchowca nad Wielką Bramą Utgardu, który grzebał kopytem powietrze, a dosiadał go rycerz z łukiem. Za nim siedziała kobieta w spódniczce do konnej jazdy; Toug rozpoznał ją, mimo iż widział tylko zarysy naszych postaci na tle południowego nieba.

- Z rozkazu króla Gillinga, rozkazujemy wam przestać! Czy tam w dole jest Schildstarr zaufany sługa mojego męża?

- Tak! - ryknął Schildstarr.

- Przywróć tu porządek, Schildstarr! Wysłuchajcie nas, synowie Angr! Ten, który zaatakuję Schildstarra, nas zaatakuję, a kto nas zaatakuję, zaatakuję króla!

Kiedy Toug i Svon przebiegli szybko przez Wielką Bramę z Etelą między nimi, zobaczyli potężne ciało Giganta Mrozu rozciągnięte na dziedzińcu pokrytym brudnym błotem. Toug nie przystanął, by mu się przyjrzeć, choć był trochę zdziwiony. Bez korony, ubrane tylko w zakrwawione bandaże, pozbawione godności, nie robiło większego wrażenia do momentu, gdy Toug usłyszał zatrwożony szept Svona:

- To był król Gilling!

## ROZDZIAŁ 21

### UMOWA Z THIAZIM

- Jesteś młody i zdrowy. - Przyglądałem się rannej twarzy zwróconej ku podłodze, naznaczonej zaciętością. - Będzie dobrze. Kość się zrośnie. Za rok lub dwa szybciej zapomnisz o tym niż o tej twojej pomarszczonej bliźnie na policzku.

Mani siedział nieruchomo i tylko koniec jego ogona zwijał się i prostował na przemian. Wyczułem, że Mani też czeka, aż Toug coś powie, lecz on milczał.

- Połamane końce nie przebiły skóry - powiedziałem. - Czasem przebijają i wtedy nie jest dobrze. Często kończy się fatalnie. Ale kiedy nie przebijają skóry, złamanie prawie zawsze się zrasta. Owinąłem kolejny gałgan wokół ramienia Touga i ściągnąłem go mocno, a potem jeszcze mocniej zawiązałem.

- On nie może umrzeć. Toug, nie umieraj - powiedziała Etela.

- Słyszysz nas?

Toug skinął powoli głową.

- Dobrze. Musisz zrozumieć, po co te wszystkie bandaże. Po co ja to robię, skoro nie krwawisz?

- Krwawi! - krzyknęła Etela.

Przytaknąłem jej. Jeszcze dziecko, ale już prawie dojrzała kobieta, uznałem, i zastanawiałem się przez chwilę, czy Toug jest tego świadomy i czy wie, co to zwiastuje.

- Krwawienie nie jest mocne ani poważne - powiedział Mani. - Powierzchowne zadrapania i trochę z dawnej rany, bo bandaż był oderwany.

- Koty nie potrafią mówić! - To była Etela.

- Tak naprawdę to mówi rycerz - odpowiedział jej gładko Mani. - Rycerz potrafi udzielać swojego głosu.

- Nie wierzę ci! - Etela zerwała się na nogi.

- Ale musisz - odpowiedział jej Mani. - Koty nie potrafią mówić.



Obserwowałem usta Touga w nadziei, że zobaczę na nich uśmiech.

- Mani ma rację - powiedziałem. - Wystarczyłaby maść, gdyby tylko chodziło o krwawiące siniaki. Może jakiś tampon, żeby zatamować krwawienie. Wszystkie te bandaże i patyk mają za zadanie powstrzymać złamane końce przed ruszaniem się. Jeśli będą się ruszać, to się nie zrosną albo źle się zrosną. Niech zostaną tam, gdzie są, i nie zakładaj, że się zrosły, ponieważ ból nie jest już tak dotkliwy jak przedtem. Jak wygląda księżyc, Mani?

- Prawie niewidoczny.

Skinałem głowę.

- Odpręż się, Toug. Niech ból przychodzi i odchodzi. Potem zobaczymy. - W oczach tej dziwnej kobiety, którą Etela nazywała matką, migotał blask księżyca. Zastanawiałem się, jak by wyglądały przy pełnym księżycu i stwierdziłem, że nie chciałbym ich nigdy zobaczyć przy pełni.

- Nie może walczyć, prawda? - powiedziała Etela. - Oni tu przyjdą za nami, a Toug nie może walczyć.

- Może - powiedziałem ostrożnie. - Nie da rady walczyć lewą ręką. Nie może trzymać tarczy albo walczyć dużym mieczem takim jak ten, którym walczył dzisiaj, jest rycerzem, choć nie został jeszcze pasowany, a rycerze często walczą pomimo ran. Toug mógłby to zrobić.

Toug pokręcił głowę, niemal niedostrzegalnie.

- Gdyby groziło coś tobie i twojej mamie. Może i myśli, że nie mógłby. Ale mówiłby inaczej, gdyby usłyszał szcęk stali.

Ku memu zdziwieniu Gylf polizał dłoń Touga.

- Wiedzą, że król nie żyje - mówiła dalej Etela zrezygnowanym tonem - i przyjdą tu, zbyt liczni, by z nimi walczyć. Zbyt wielu by ktokolwiek mógł z nimi walczyć. A my będziemy krzyczeć, uciekać i chować się. Ale i tak nas znajdą, wszystkich po kolei, i zabiją.

Toug podniósł głowę.

- Zbyt wielu dla sir Svona, sir Garvaona, dla mnie i dla Eteli. Może nawet zbyt wielu dla Schildstarra. Ale nie zbyt wielu dla sir Able'a. Zobaczcie.

- Dobrze powiedziane! - rzucił Mani.

- Szkoda, że nie ma tu Baki. - Toug mówił ściszone głosem. - Mam jej coś do powiedzenia.

Cofnąłem się do tyłu.

- Dobrze, że jej tu nie ma. Może będziesz chciał przemyśleć swoją

deklarację, zanim ją złożysz.

- Nie. Wiem, co zamierzam powiedzieć. Po prostu chcę to powiedzieć. Chcę powiedzieć, że musisz tu zostać, z nami. A Baki chce, żebyś gdzieś tam się udał i walczył z kimś.

- Do Aelfrice. - Podałem mu właściwe słowa. - Z Garsegiem.

- Ale jesteś tutaj, a my cię potrzebujemy. Jeśli cię tu nie będzie, wszyscy zginiemy.

- Obaj jesteście silni. - Usiadłem na poprzeczce krzesła. - Zbyt czarno wszystko widzicie, podobnie jak ta dziewczyna.

- Etela, sir.

Skinąłem głową i uśmiechnąłem się.

- Etela. Nie winię was za to, ale się mylicie.

Po raz pierwszy odezwała się dziwna kobieta:

- Ja nie będę uciekała ani się chowała.

- Słusznie - przytaknąłem jej. - Byliście niewolnikami wcześniej, dlaczego więc nie mielibyście znowu nimi zostać? Angronici zabijają sir Garvaona, sir Svona i mnie - jeśli zdołają. Może też zabijają zbrojnych i łuczników, a przynajmniej większość z nich. Mogliby nawet zabić Touga, giermka sir Garvaona, lorda Thiaziego i lorda Beela. Ale dlaczego mieliby zabijać niewolników? Niewolnicy są ich łupem, a nie wrogami.

- Ja też nie jestem wrogiem - zauważył Mani - a przynajmniej oni tak nie pomyślą. Myślisz, że zabiją królową Idnn?

Zaprzeczyłem.

- Też tak myślę. - Mani przekrzywił na bok gładki łeb i zastanawiał się przez chwilę. - Zrobię dla niej wszystko, co mogę, i jestem pewny, że i ona tak postąpi wobec mnie. Damy radę. Będzie też chciała uratować swojego ojca i może nam się to uda.

Uśmiechnąłem się do niego, a potem do Eteli.

- Widzisz więc, że spośród tu obecnych Toug, Gylf i ja jesteśmy w prawdziwym niebezpieczeństwie, a szczególnie Gylf i ja.

Gylf zawarczał głośno i nisko.

- Mówi, że to oni powinni się bać jego - przetłumaczyłem - i z pewnością ma rację.

- Mogę go pogłaskać? - spytała Etela.

- O ile się nie odsunie.

Gylf pozostał na miejscu.

- Zajmijmy się innymi rzeczami, o których mówiliście z Tougiem. Toug chce poinformować Baki, że nie zamierza dłużej dotrzymywać złożonej jej obietnicy, że nie będzie mnie namawiał, abym udał się do Aelfrice. Uważa, że tu jestem potrzebny, by bronić ciebie i twojej mamy.

- I mnie - dodał Toug.

Zignorowałem jego słowa.

- Myli się, ponieważ nie ma powodu, dla którego miałby splamić swój honor. Nie odjadę do Aelfrice ani nigdzie indziej tak długo, jak długo będę wam potrzebny. Macie moje słowo.

Etela uśmiechnęła się i podziękowała mi, za to zarówno jej matka jak i Toug sprawiali wrażenie, jakby nie usłyszeli ani słowa z tego, co powiedziałem.

- Chcę udać się do Aelfrice. Jestem...

Dębowe drzwi (jedne z pięciu wykonanych z różnego rodzaju drewna i różniących się rozmiarami) otworzyły się i do pokoju wszedł Thiazi.

Wstałem.

- Wybacz, panie. Komnata nie była zamknięta, pomyślałem więc, że możemy tu poczekać na ciebie.

Thiazi usiadł na największym krześle.

- Myślisz, że zostawiam otwarte, żeby goście mogli poczekać wygodnie. - Na jego ustach pojawił się ledwo dostrzegalny uśmiech.

Potrząsnąłem głową.

- Nic takiego nie pomyślałem, panie. Chciałem tylko powiedzieć, że skoro drzwi nie były zamknięte, to nie będziesz miał nic przeciwko temu, abym tutaj opatrzył Touga, jeśli nie narobimy szkód.

- Te niezamknięte drzwi to moja duma. Chełpię się tym, że w całym Utgardzie nie ma takiego śmiałka, który by się odważył tu wejść bez zaproszenia. Te dwie niewolnice - Thiazi pokazał na Etełę i jej matkę - nie znają mnie pewnie. A nawet gdyby mnie znały, to z pewnością nie wiedziałyby, że to moje pokoje, o ile im tego nie powiedzieliście. Powiedzieliście?

- Nie, panie. Gdybym to zrobił, musiałbym im wyjaśniać, że nie wezwałem ich tu tylko na rozmowę, a ja przede wszystkim chciałem opatrzyć Touga. To była najpilniejsza sprawa.

- Już to zrobiłeś - zauważył Thiazi.

- Tak, panie. To jest Etela. - Spojrzałem na Touga. - Zgadza się?

- Tak, sir - odpowiedziała sama Etela.

- A ta kobieta jest jej matką. Znam jej imię, ale byłoby lepiej, gdyby sama się przedstawiła.

Matka Eteli nie zareagowała na moje słowa.

- Ona nie mówi dużo, chyba że do mnie - wyjaśniła Etela. - A czasem nawet i ze mną nie rozmawia.

Thiazi złączył czubki palców w wieżę i uśmiechnął się.

- Wzorowa kobieta.

- Aż za bardzo - odpowiedziałem mu. - Twoja sztuka jest znana. Król Gilling był bliski śmierci, a jednak go uratowałeś.

Oblicze Thiaziego spochmurniało.

- Ostatecznie nie, ponieważ nie mogłem zobaczyć zabójcy.

- Nie to miałem na myśli.

- Osłania go zakłęcie ochronne. Nie znajduję innego wyjaśnienia. Zabezpieczyłem króla, lecz on wyszedł z łóżka... - Splótł ogromne dłonie. - Usłyszał tamtą kobietę i pobiegł. Fe!

- Toug uważa, że jesteśmy w poważnych opałach. Mam rację, Toug?

Toug uniósł głowę.

- Chyba tak. Oni nas nienawidzą. Nie wiem, co takiego zrobiliśmy, ale tak jest.

- Angronici są potomkami Gigantów Zimy i Starej Nocy, którzy musieli opuścić Skai - wyjaśniłem. - Zmusili ich do tego nasi Overcyni.

- Mythgarthr powstał z ciała i krwi Ymira - dodał Thiazi. - Jest nasz według prawa.

Mani uniósł łapę w ostrzegawczym geście.

- Panowie! Panowie! Z pewnością rozumiecie, że ta kłótnia nikomu nie służy.

- Giganci Zimy i Starej Nocy - powiedziałem spokojnie - biorą siłą, co chcą i zatrzymują to. Synowie Angr zachowują się dokładnie tak samo.

- Chcesz się ze mną kłócić - mruknął Thiazi.

- Nie. - Uśmiechnąłem się. - Toug przypomniał nam o naszej odwiecznej wrogości. Czy możemy odłożyć tę sprawę? Przynajmniej na razie?

Thiazi chciał coś powiedzieć, lecz zamknął usta.

- Toug spodziewa się, że tysiące Angronitów zaatakują Utgard, wyrzną wszystkich i spalą zamek.

Etela dotknęła mojego ramienia.

- Jest prawie cały z kamienia.

- Zgadza się. Oczywiście nic takiego się nie stanie. Ci, którzy chcieliby posadzić na tronie nowego króla, zaatakowali sir Svona i Touga, a oni dysponowali siłą składającą się z nich samych i siedmiu niewolników, w tym trzech kobiet i jednego dziecka. Z tego, co widziałem, wszyscy walczyli jak mężczyźni. Kiedy przyłączyli się do nich Schildstarr i jego zwolennicy, tłum nie dał im rady. Setki przeciwko jednemu rycerzowi, giermkowi, garstce niewolników i kilkunastu ich ludziom. Sir Garvaon przybył z kilkoma zbrojnymi i setki, które miały obalić rządy króla Gillinga, nie potrafiły powstrzymać jego zwolenników...

- Nawet nie pięćdziesięciu - wtrąciła matka Eteli.

- Zgadza się. Nie potrafili zapobiec, aby niecała pięćdziesiątka przedostała się do bramy. Królowa Idnn zaapelowała o spokój, a oni chętnie na to przystali. Każdy, kto myśli, że jutro pójdą do pracy na wałach, nie ma pojęcia o wojnie.

- Nigdy nie twierdziłem, że wiem dużo o wojnie - oznajmił Toug.

Przytaknąłem mu.

- Walczyłeś do granic możliwości i zostałeś ranny. Jedno i drugie wpłynęło na twoje myślenie. Musisz być tego świadomy.

- Czy to królowa Idnn cię tu sprowadziła?

Głos Maniego zabrzmiał bardzo słodko:

- Pośrednio to moja zasługa. Bo ja nakłoniłem moją panią, a ona sir Able'a.

Toug kiwnął głową.

- Chyba rozumiem.

- W takim razie nie musimy o tym mówić - powiedziałem.

Thiazi wzruszył ramionami.

- Nie będę próbował zgłębiać twojej tajemnicy. Zajmę się tym z łatwością, kiedy uznam, że to ważne. Powiedziałeś, co się nie wydarzy, i zgadzam się z tobą. A co się wydarzy?

- Czy będziesz chciał zasiąść na tronie?

Uśmiechnął się gorzko.

- A poparłbyś mnie, gdybym zechciał?

- To zależy.

- Nie zechcę. To niebezpieczne miejsce, a ja nie cieszę się popularnością.

- Ktoś zechce. Ktoś popularny albo przynajmniej budzący zaufanie.

Raczej nikt z tych, którzy zainspirowali atak.

- Pierwszy z nich zginął - zauważył Toug.

- W takim razie mam rację. - Rozłożyłem dłonie. - Ktoś inny. Jeśli dopisze nam szczęście, nie pojawi się przed przybyciem Jego Miłości. Jeśli nie, to znajdziemy się w trudniejszej sytuacji. Tak czy inaczej, zadeklarujemy naszą przyjaźń i przyjaźń naszego króla i poprosimy, aby pozwolił nam odjechać w pokoju. Myślę, że się zgodzi, jako że nie ma nic do stracenia, a wiele do zyskania.

- A co ze mną? - zapytał Thiazi.

- Będiesz służył nowemu królowi lojalnie i skutecznie, tak jak służyłeś królowi Gillingowi.

- Być może nowy władca będzie miał rachunki do wyrównania.

- Jeśli nawet, to tego nie robi, choć tak mu się wydaje. Każdy król potrzebuje czarnoksiężnika i kogoś, kto weźmie na siebie winę za niepopularne decyzje. Ty spełniasz obie te funkcje. Zada sobie pytanie, dlaczego nie miałyby cię wykorzystać, przynajmniej na początku, i jeszcze pochwali samego siebie za mądrość.

- Ja mogę pochwalić ciebie, sir Able. Twoje spekulacje brzmią całkiem wiarygodnie w twoich ustach.

- Bo takie są. Czy zasłużyłem na przysługę?

Thiazi skinął głową.

- Nawet na kilka.

- Doskonale. Proszę o trzy. Po pierwsze, podział niewolników...

- Domagasz się niektórych z nich dla siebie? Czy może dla królowej? W tej sprawie musisz rozmawiać z sir Svonem.

Toug podniósł głowę.

- Już ich rozdzielileś?

Thiazi wzruszył ramionami.

- Byłeś ranny, a my uznaliśmy, że nie musisz być obecny. Wystąpiłem w twoim imieniu.

Toug chciał coś powiedzieć, lecz Thiazi powstrzymał go gestem dłoni.

- Po pierwsze musisz wiedzieć, że do podziału zostało tylko sześciu niewolników, jako że jeden zginął w walce. Inny jest ranny w ramie. Sir Syon wybierał pierwszy, jak ustaliliśmy.

Toug kiwnął głową w milczeniu.

- Naturalnie wybrał zdrowego. Ja w twoim imieniu wybrałem drugiego

mężczyznę. Nazywa się Vil.

Etela wciągnęła głośno powietrze.

- Silny niewolnik i zręczny, jak mi się wydaje. Gdy już wydobrzeje, będzie z niego pożytek. Potem sir Svon wybrał jedną z kobiet - nie tę. Wiedząc, jakim uczuciem darzysz to dziecko, wybrałem ją.

- Ja już byłem jego!

Thiazi pokręcił głową.

- Nie, ale teraz należysz do niego. Ma się rozumieć sir Svon wziął drugą kobietę, mnie więc pozostało wybrać twoją matkę dla tego giermka. I tak obie z matką należycie do niego, podobnie jak kowal Vil.

- To dobrze - powiedział Toug. - Ja... nigdy cię specjalnie nie lubiłem. Myliłem się.

- Bo mnie nie rozumiałeś - odpowiedział mu Thiazi - tak jak nie rozumiesz mnie teraz. Wykonuję swoje obowiązki według własnego uznania. Czy podarujesz niewolnika sir Able'owi? Jeśli tak, to sir Svon z pewnością odda królowej jednego ze swoich. Może nawet wszystkich, zobaczymy.

- Ja nie chcę żadnych - powiedziałem. - Proszę o przysługi. Ta kobieta. Jak ma imię, Toug?

- Nie wiem, Etelo, jak ona ma na imię?

- Lynnet. Ja mówię mama, ale w rzeczywistości nazywa się Lynnet.

Dziwna kobieta wyszeptała:

- Aksamitki i mantykory.

- Ona tak mówi - wyjaśniła Etela. - Mówiłam już o tym Tougowi, a on powiedział, że aksamitki to takie kwiaty.

- Symbolizują bogactwo albo słońce - dodał Thiazi.

Etela skinęła głową z wdzięcznością.

- A mantykory to bestie wielkości Gylfa. Mają ludzkie głowy, za to zęby i pazury lwa. Do tego ogon podobny do ogona skorpiona, tylko o wiele większy, zakończony śmiertelnie niebezpiecznym żądłem.

- Dlaczego ona to powtarza. Etelo? - zapytał Toug.

- Nie wiem. A dlaczego pytasz?

Thiazi prychnął zniecierpliwiony.

- Mam lepsze pytanie. A jaka jest druga przysługa, której pragniesz, sir Able? Wyświadczę ci ją, jeśli to będzie możliwe.

- Czy możesz uleczyć te kobietę, niewolnicę Touga? - Kiedy to powiedziałem, Gylf spojrział na mnie. Z jego spojrzenia wyczytałem, że on

wie, iż mógłbym ją sam uleczyć, ale że wtedy złamałbym przysięgę i że on nie jest taki pewny, czy mądrze postąpiłem, składając ją.

- Mogę spróbować - powiedział Thiazi - i być może to zrobię. A to zależy od tego, czy odpowiesz na moje pytania. Czy możesz mi powiedzieć, kto zaatakował Jego Królewską Mość w tamtą noc i kto odebrał mu życie? I jaka jest twoja trzecia prośba?

Westchnąłem.

- Czy wolno mi usiąść, panie?

Thiazi odpowiedział skinieniem głowy, a ja ponownie usiadłem na poprzeczce krzesła.

- Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pierwsze pytanie. Jeśli chcesz usłyszeć moje zdanie, to sądzę, że za każdym razem mamy do czynienia z tym samym zamachowcem, choć nie jestem pewny nawet tego. Czy moja ostatnia prośba - nie otrzymałem pierwszej przysługi - zostanie oddalona?

- Drugiej też możesz nie dostać. - Thiazi wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, wysoki jak wieża. Jego głos odbijał się echem od ścian. - Nie uwierzę, że ktoś o takiej przenikliwości nie zdobędzie się choćby na przypuszczenie.

- Mógłbym je przedstawić. - Zamilkłem na chwilę, by poukładać kotłujące się w mojej głowie myśli. - Lecz tego nie uczynię, jestem rycerzem, a rycerzowi nie wolno narażać na szwank honoru innych. Przypuśćmy, że spróbowałbym odgadnąć. Założmy, że powiedziałbym, iż choć nie wiem tego, to wydaje mi się prawdopodobne, że jest to sprawa jednego z obcych rycerzy, sir Able'a Wielkie Serce. Podobne oskarżenie zaraz by się rozniosło, jak to zwykle bywa, i nigdy już bym nie odzyskał reputacji. Nawet gdyby ktoś się przyznał do zbrodni, ludzie i tak by powiedzieli, że ze względu na mój charakter to oskarżenie było całkiem wiarygodne.

Thiazi zatrzymał się i rzucił oschłym tonem:

- Nie było cię tu wtedy, o ile mi wiadomo, ani za pierwszym, ani za drugim razem?

- Byłem. Dlatego oskarżyłem samego siebie. Schildstarr ma przyjaciela o dwóch głowach. Nie wiem, jak się nazywa.

- Orgalmir, ten z lewej, i Borgalmir, ten z prawej.

- Dziękuję. Nie twierdzę, że tak jest, ale przypuśćmy, że wydałem podobny sąd. Moim zdaniem Orgalmir zranił króla, a Borgalmir go zabił.

- Absurd!



- Nie większy niż wiele innych domysłów. Chciałeś, żebym przedstawił swoje przypuszczenie, i to uczyniłem.

- Ryzykujesz swoje obie prośby.

- Moja mama nie jest - odezwała się Etela - nie jest zawsze taka, jakbym chciała, żeby była.

- Porwano ją z domu - odpowiedziałem jej łagodnym tonem - i oddano w niewolę. Jest atrakcyjną kobietą i być może wykorzystywano ją w pewien sposób dla ciebie niezrozumiały. A szok zmałcił jej umysł. Wkrótce wrócimy do Celidonu - ty i twoja matka, Toug, Gylf, Mani i ja, a nawet ten tu Vil. Twoja mama wróci do domu i będzie coraz zdrowsza, przekonasz się, choć pewnie długo to potrwa.

Thiazi, który stał od jakiegoś czasu przy oknie, odwrócił się do nas.

- Nie powiedziałem, że nie spróbuję jej uleczyć. Niech ktoś - ta chora kobieta. Dołóż drewna do ognia.

Etela dołożyła drewna.

- Toug mówi, że nie zostało już dużo i powinniśmy oszczędzać.

- Lord Thiazi uważa, że wkrótce wszystko będzie jak dawniej - wyjaśniłem. - Ja też tak myślę.

- Twoje prośby... - Grzmiący głos Thiaziego wypełnił pokój. - Twoje prośby zależą od odpowiedzi, jakich udzielisz na moje trzy pytania, które to pytania zadam tu i teraz. Odpowiesz na nie, a spełnię twoje prośby. Odmówisz, jak już to uczyniłeś, a nic nie dostaniesz.

- Chcesz, żebym mówił - powiedziałem. - Dobrze, ale zanim usłyszę twoje pytania, pragnę wspomnieć o trzech rzeczach. Po pierwsze, nie odmówiłem odpowiedzi na twoje pytanie. Po prostu nie znam odpowiedzi, o czym ci powiedziałem. Moje przypuszczenie, gdybym je poczynił, byłoby może bardziej wartościowe niż zdanie tej dziewczyny. Ale czy byłoby warte tyle samo co twoje? Wiesz, że nie. Byłeś tutaj przez cały czas, dlatego twoja opinia jest o wiele więcej warta.

- Oskarżasz mnie?

- Ależ skąd. Nikogo nie oskarżę - i to cię tak irytuje. Chcę tylko powiedzieć, że ty pewnie wiesz więcej. Jakie pytania miałeś na myśli?

- Najpierw twoja druga i trzecia uwaga.

- W porządku. Chciałem zauważyć, że zobowiązałeś się spełnić moje dwie pozostałe prośby, mimo iż nie znasz tej ostatniej.

- Spełnię ją, jeśli odpowiesz na moje pytania, nie roztrząsając, czego

wymaga twój honor. Zakładając, że będę w stanie. - Przez kilka chwil ogromne dłonie Thiaziego poruszały się tak, jakby jedna myślała drugą. - Cokolwiek to jest.

- Coś mi przyszło do głowy - odezwał się Toug.

Thiazi skinął głową.

- Tego nam trzeba. Wysłuchamy cię.

- Tak jak powiedział sir Able, nie było go tam, kiedy król został zaatakowany po raz pierwszy. Przebywał wtedy w górach na południu i walczył z każdym, kto próbował przejechać przez przełęcz. Rankiem, w dniu, w którym zabito króla, znajdował się całkiem blisko, gdyż jechał konno po niebie z królową Idnn. Ale my wszyscy myśleliśmy, że jest gdzieś daleko. Może więc ta osoba boi się go i działa tylko wtedy, gdy on jest daleko.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne. - Thiazi znowu zaczął chodzić po pokoju, szara eminencja o surowym obliczu, słysząc było wyraźnie jego kroki pomimo grubego dywanu. - Aż do dzisiaj przebywał tu nie dłużej jak godzinę lub dwie. Sir Able, twoja trzecia uwaga?

- Wprawdzie ryzykuję utratę twoich przysług, jednak ty możesz stracić więcej. Twoi wrogowie, a nawet i przyjaciele, oskarżą cię o niewdzięczność.

- Przyjaciele o nic mnie nie oskarżą, ponieważ ja nie mam przyjaciół.

- My będziemy twoimi przyjaciółmi, jeśli na to pozwolisz - rzuciła Etela.

- A wrogowie i tak już mi zarzucają niewdzięczność i gorsze rzeczy. Oto moje pierwsze pytanie. Ostrzegam cię, że musisz odpowiedzieć na wszystkie trzy.

- Rozumiem.

- Czy Król Arnthor przysłał tu lorda Beela z instrukcją, żeby zabić króla Gillinga?

- Nie.

Thiazi zatrzymał się i wpił we mnie swoje spojrzenie.

- Nie wystarczy zwykłe tak lub nie. Wytłumacz się.

- Oczywiście, panie. Nie jestem doradca, króla Arnthora i nigdy nim nie byłem. Jednakże ma on reputację człowieka twardego, ale uczciwego.

Thiazi prychnął.

- Moje drugie pytanie. Jakie korzyści dałaby królowi Arnthorowi śmierć króla Gillinga?

- Żadnych, panie. Król w Utgardzie mógłby zakazać najazdów, które pustoszyły północ naszego kraju. Pusty tron niczego nie może zakazać.

Ponadto król Gilling brał swoją cześć z łupów, co trochę zniechęcało grabieżców. Tak długo jak długo nie będzie króla, najeźdźcy będą, zatrzymywali wszystko i grabili jeszcze więcej.

- Wojując ze sobą, nie będziemy mieli ani czasu, ani pieniędzy na grabieżcze napady.

Przytaknąłem mu.

- Przewyższasz mnie, panie, mądrością, choć wielu być może woli zyski niż zabijanie krewnych - albo też śmierć z ich ręki.

- Moje ostatnie pytanie. Wyobraź sobie, że jestem królem Arnthorem. Wyjaśniłem ci już powody, dla których pragnę śmierci króla Gillinga, powody, które ciebie nie zadowolają, lecz mnie wystarczą. I oto teraz wyznaję ci, że wyznaczyłem do tego zadania lorda Beela. Pochwaliłbyś mój wybór?

- Jak najbardziej, panie. W sytuacji gdy niepowodzenie jest bardziej pożądane niż porażka, rozsądek nakazuje wybrać osobę, która daje większą gwarancję porażki. Czy wolno mi mówić swobodnie?

- Tak. Domagam się tego.

- Jak już ci powiedziałem, nie znam osobiście króla Arnthora. Ale podróżowałem z lordem Beelem przez Celidon i przez Góry Myszy, a także przez Równinę Jotunlandzką, i wydaje mi się, że poznałem go dobrze. Właściwy człowiek do dyplomacji - zrównoważony, uprzejmy i taktowny, oddający się niewielu pasjom poza rodzinną dumą i naturalną miłością do córki. Gdybym był królem, który pragnie pokoju z sąsiadem, szukałbym kogoś takiego jak lord Beel. Ale na mordercę... - pokręciłem głową.

- Czy lord Beel nie zna się na magii? - wtrąciła Etela. - Tak mówił Toug. Jeśli tak jest, a on chciałby zabić kogoś, mógłby się nią posłużyć w tym celu.

Thiazi usiadł i utkwiał wzrok w Eteli, ta zaś wytrzymała jego spojrzenie. Po chwili powiedział:

- Czy byłbym głupcem, gdybym poważnie potraktował podpowiedź dziecka?

Uśmiechnąłem się.

- Czy to twoje czwarte pytanie, panie?

- Można tak powiedzieć.

Mani chrząknął, delikatnie, niemal przepaszająco.

- Ograniczyłeś się do trzech pytań, lordzie Thiazi. Pozwól więc, że odpowiem na to pytanie i uratuję twój honor. Mądrość pozostaje mądrością i

nie zamienia się w głupotę w ustach innego mówcy. Rada dziecka zasługuje na wysłuchanie, jeśli jest mądra. Nie inaczej.

- Czy nie to samo można by powiedzieć o radzie kota?

- Mądrze postąpiłby ten, lordzie Thiazi, który odkryłby głupotę w słowach kota.

- Właśnie. - Thiazi nachylił się do Eteli. - Moje dziecko, nie wiemy, czy nie posłużono się magią. Być może dzięki niej zamachowiec stał się niewidzialny.

- Tego nie wiedziałam - powiedziała Etela.

- Skądże miałybyś wiedzieć. Jesteś inteligentna, lecz zbyt krótko żyjesz, by móc się pochwalić doświadczeniem lub wiedzą. Musisz to wziąć pod uwagę.

- Tak, sir. To znaczy, panie.

- Czy będziesz się śmiała, jeśli ci powiem, że widziano w tej wieży niewidzialną istotę?

- Nie, sir, ani trochę. Tylko bym nie zrozumiała, bo powiedziałeś niewidzialną.

- Niewidzialność nigdy nie jest całkowita - odpowiedział jej Thiazi - jak twierdzą wszystkie księgi czarów. Istoty, które stały się niewidzialne za sprawą magii, są częściowo lub całkowicie widzialne w pewnych okolicznościach. Te zaś zależą od zaklęcia, jakim się posłużono. Najczęściej jest to deszcz lub silne, bezpośrednie światło słoneczne.

- Ooo - powiedziała cicho Etela wyraźnie zdumiona.

- Niewidzialne istoty rzucają czasem cienie, mniej lub bardziej bezpośrednio, które pozwalają określić ich obecność. Zostawiają też ślady stóp na śniegu lub w błocie, choć nie jest to jeszcze dowód utraty widzialności.

- Niewidzialne koty - dodał Mani - są całkowicie niewidzialne tylko w nocy.

- Tego nie wiedziałem - powiedział Thiazi - i cieszę się, że zdobyłem tę wiedzę. Powtarzam: zdziwiłabyś się, gdyby ci powiedziano, że zauważono tu niewidzialną istotę?

Etela skinęła głową, zerknąwszy wcześniej na Lynnet.

- Tak było, a zaczęło się to po przybyciu lorda Beela. Podejrzewałbym tę istotę o zabicie króla, gdyby nie fakt, że chodzi o złamanie kręgów szyjnych. Z oczywistych powodów niewidzialne istoty rzadko posługują się bronią. W

chwili ataku na króla, pięciu innych ludzi padło z przetrąconymi karkami. Nie mówiło się o tym, gdyż zajęliśmy się ranami króla, ale tak było.

Prychnąłem.

- Czy jest to dowód winy lorda Beela? Moim zdaniem podobne słowa oddalają od niego zarzuty. Gdyby to on wyczarował tę istotę - w co nie wierzę - to czy nie posłużyłby się nią, gdyby pragnął śmierci króla Gillinga? A jeśli ona nie należy do niego i nie zabiła króla, to dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

Mani uniósł łapę.

- Dobrze powiedziane. Czy wolno mi dodać, że moim zdaniem odpowiedziałeś na pytania lorda Thiaziego tak jak miałeś to uczynić?

Thiazi skinął głową.

- Otrzymasz przysługę, o którą prosiłeś - zrobię, co w mojej mocy dla tej niewolnicy, choć nie mogę obiecać znacznej poprawy. O co jeszcze prosisz?

W tym momencie musiałem się zastanowić; miałem ostatnią szansę, by zawrócić. Kiedy podniosłem wzrok, powiedziałem:

- Kocham pewną damę. Nie ważne, kto to taki, ale ona istnieje naprawdę, a ja nie zaznam szczęścia bez niej. Ze względu na nią wróciłem do Jotunlandu z dalekiego kraju.

Thiazi skinął głową.

- Powiedziano mi, że Synowie Angr nigdy nie kochają. Skoro tak, to dlaczego król Gilling powstał z łoża i popędził na pewną śmierć, usłyszawszy głos królowej Idnn?

- Źle ci powiedziano. - Głos Thiaziego zabrzmiał jak jęk wiatru przelatującego przez czaszkę. - My kochamy. Czy mam ci powiedzieć, gdzie mylił się twój informator?

Wzruszyłem ramionami.

- Jeśli taka jest twoja wola, panie.

- To nas nigdy nie kochają.

- Nawet wasi ziomkowie?

- Nikt. Twoja ostatnia prośba?

- Przez całe życie byłem świadomy... pustki we mnie, panie. Kiedy zdobyłem nową tarczę, mój sługa, który teraz jest też moim przyjacielem, zasugerował, abym namalował na niej serce. - Zawahałem się. - Zwą mnie sir Able Wielkie Serce, panie.

- Wiem o tym.

- Nie potrafię powiedzieć dlaczego. Tak więc mój przyjaciel zaproponował, aby namalować serce na tej tarczy. Byłem z niej bardzo dumny - z tej tarczy.

Toug spojrział w bok.

- A ja uświadomiłem sobie, że musiałyby to być puste serce, zaledwie kontur czerwonych linii rozchodzących się ku górze i schodzących na dole. Odmówiłem. Bo widzisz, czułem, że moje serce wypełnia uczucie do damy, której miłość sprowadziła mnie tutaj. Tak czy inaczej, wiedziałem, że serce na mojej tarczy musiałyby być puste. Masz tu pokój, znany pokój, jako że słyszałem o nim dużo wcześniej, na którego drzwiach jest wyryte Tutaj Mieszka Utracona Miłość. Czy to prawda?

Thiazi przytaknął mi powoli.

- Wysłuchawszy cię, rozumiem dlaczego go masz i dlaczego jest dla ciebie tak cenny. Ale nie prowadzą do niego żadne z tych drzwi, bo nie widzę tu żadnego napisu. Znajdują się gdzieś dalej?

Thiazi nic nie odpowiedział.

- Czy wolno mi tam wejść, raz tylko i w dowód wielkiej przysługi? Oto moja trzecia prośba.

- Będziesz musiał wyjść stamtąd. - Mówił powoli, jakby każde jego słowo miało podwójne znaczenie.

- Nie spodziewałem się, że będę mógł tam zostać.

- Spełnię obie twoje prośby. - Wydawało się, że Thiazi zaraz podniesie się, lecz pozostał na swoim miejscu: twarz miał szarą, a dłonie zaciśnięte na oparciu krzesła. - Ale chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Musisz zabrać tam ze sobą tę niewolnicę. Zrobisz to?

- Lynnet? Gdzie są te drzwi?

Ledwo dostrzegalnym ruchem głowy Thiazi pokazał na jedno z pięciu drzwi, te największe, wykonane z tak bladego drewna, że wydawały się niemal białe.

- Tędy się tam wchodzi? - Wstałem i wziąłem Lynnet za rękę. - Chodź ze mną, pani.

- Mantykokory i aksamitki. - Podniosła się, a nie poruszała się ani nieporadnie, ani z wdziękiem, ani wolno, ani szybko.

- Chodzi we śnie - powiedziałem.

Thiazi pokręcił głową przecząco.

- Wypełnia ją szal wściekłości.

Spojrzałem na niego.

- Jestem jeszcze dzieckiem - wciąż dzieckiem - w wielu sprawach.
- Zazdrościmy ci twojego szczęścia.
- Naprawdę jest zła? W tej chwili?
- Mama nigdy się nie wścieka - powiedziała Etela.
- Nie radziłbym patrzeć jej w oczy.

Toug chrząknął.

- Opowiadałem ci trochę o bitwie, sir Able. Ona - ona walczyła wtedy. Batem z tego wozu, który kupiliśmy. Chyba ci nie mówiłem, że Giganci Mrozu bali się jej, tak było. Potrafiła ich oślepić samym batem.

- Nie wiedziałem - odparłem.

- Nie wspominałem też o tym, że sam się jej przestraszyłem. Niby była po naszej stronie, ale się jej bałem.

- Mimo to walczyłeś.

Toug wzruszył ramionami.

- Potem przybył sir Garvaon ze swoimi zbrojnymi, a ja widziałem, że oni boją się walczyć. Widziałem, jak bardzo się boją, i pomyślałem, że wy, twardzi ludzie, nie wiecie nawet połowy.

Thiazi wtrącił cicho:

- Naszą matką była Angr, sir Able. Od niej pochodzimy, wszyscy. Wiemy więc, co to gniew. Powiem ci tylko, że ta kobieta musi panować nad sobą, bo inaczej zniszczyłaby wszystko na swojej drodze. Wydaje ci się pewnie, że jest istotą z wosku?

- Coś w tym rodzaju.

- Ujrysz więc ogarek rzucony w ogień. Pamiętaj o tym.

- Postaram się zapamiętać. Chodź, pani. Otworzę drzwi.

Potrzebowaliśmy trzydziestu kroków, by dotrzeć do drzwi, które wskazał nam Thiazi, i choć były największe, okazały się wystarczająco szerokie i wysokie dla mnie, żeby sięgnąć do klamki, musiałem unieść dłoń nad głowę. Gdy to uczyniłem, dostrzegłem zgrabne litery aelflckiego języka wyryte w bladym drewnie: GDZIE MIESZKA UTRACONA MIŁOŚĆ.

Nie poczułem w ogóle ciężaru drzwi i możliwe, że weszliśmy po prostu przez nie.

## ROZDZIAŁ 22

### UTRACONE MIŁOŚCI

Spowiła nas noc ciemniejsza niż ciemność burzy. Usłyszałem szum wody, jak wtedy gdy razem z Garsecgiem zmagaliśmy się z falami, z ciemnym i niezbadanym prądem. Słyszałem też głośne dudnienie, szybkie i niskie. Próbowałem sobie wyobrazić, jaka to istota może wydawać podobne odgłosy i w moim umyśle pojawił się obraz Orga zielonego jak liście i brązowego jak kora drzew, który sam na leśnej polanie uderzał odłamaną gałęzią w wydrążony pień.

- Co to jest? - zapytałem cicho. Lynnet usłyszała mnie i odpowiedziała:

- Moje serce. - Gdy tylko padły te słowa, wiedziałem, że tak jest i nie jest jednocześnie, że to bije moje serce, nie jej. Szliśmy długo w ciemności, a ja poruszałem się w rytm łomocącego serca.

A potem ciemność rozstała się jakby na komendę Najwyższego Boga. Ciemność zastąpiła migocąca perliście mgiełka i zobaczyłem trawę, soczyście zieloną, taką, po jakiej uwielbiają chodzić konie: mgła ozdobiła jej źdźbła kropelkami rosy.

- To jest lepsze miejsce - powiedziała do mnie Lynnet: zgodziłem się z nią, choć nie wiem, czy coś powiedziałem. Snopy słonecznego światła, w którym wcześniej załśniła mgła, przebiły ją teraz, ukazując kolumnadę potężnych dębów. Lynnet zaczęła biec.

- Goldenlawn! - Biegając, odwróciła się do mnie. A ja, klnę się na mój honor, nie widziałem wcześniej bardziej uradowanej twarzy niż jej oblicze, na które patrzyłem.

W porównaniu z Sheerwall, ten zamek mógłby być fortem zewnętrznym - szary mur, nad którym silny chłopiec potrafi przerzucić kamień, zgrabna okrągła wieża i kwadratowy dom wysoki na cztery piętra, z poddaszem. Krótko mówiąc, był to zamek, w jakim rycerz z tuzinem silnych zbrojnych mógłby walczyć przeciwko pięćdziesięciu albo i setce rozbójników. Ale nie więcej.



Mimo wszystko było to miejsce, które można było łatwo pokochać i które sprawiało, że będąc tam, myślałem o sali Pani w Skai. Pani Folkvanger wygląda przy nim jak kwitnące drzewo wobec jednego fiołka, lecz oba przepełniał ten sam aromat.

Na jego bramie widniały wymalowane mantykory. Trzymały w zębach aksamitki, tak jak z pysków krów czasem wystają jaskry, a u ich stóp leżały aksamitki i jeszcze więcej z ich lewej i prawej strony, ale już prawdziwe, gdyż fosa wyschła tak samo jak fosa w Utgardzie i została obsadzona roślinami niczym ogród, podczas gdy kamienne mantykory strzegły bramy.

Była tam służba i młode siostry, piękne kobiety, które mogły wyjść za mąż w każdej chwili i poślubić każdego, kogo wybrały. Wszystkie zdumiały się, że Lynnet, której nigdy już nie spodziewały się zobaczyć, powróciła tak niespodziewanie, podobnie zdziwieni byli siwy, wąsaty szlachcic o poważnej twarzy, poznaczonej licznymi bliznami i wesoła staruszka, która niczym dzika gołębica trzepotała powiekami i gruchała cicho z radości.

- To jest Kirsten - zwróciła się do mnie Lynnet - kochana Kirsten, która umarła, kiedy miałam czternaście lat, i moja kochana siostra Leesha, która zmarła przy porodzie. Ojczy, czy wolno mi przedstawić ci sir Able'a Wielkie Serce? Sir Able, to jest mój ojciec, lord Leifr.

- Zabity przez Gigantów Mrozu, którzy napadli na Goldenlawn - dokończył lord Leifr i podał mi rękę, uśmiechając się.

- Moja matka, lady Lis.

Kiedy ujęła moją rękę w swoje, poczułem, że miłość, jaka emanowała z jej drżących dłoni i drobnej nieśmiałej twarzy, zdobyłaby moje serce, nawet gdybym był źle usposobiony wobec niej i jej męża.

- Obyś zagościł u nas na długo, sir Able, i niech każda chwila spędzona tutaj będzie dla ciebie szczęśliwa.

Potem zasiedliśmy do uczy. Zapadła już noc i padał śnieg, a gdy już się najedliśmy do syta i napiliśmy, gdyśmy pośpiewali stare pieśni i oddali się grom, wyszliśmy do ogrodu pełnego światła i letnich kwiatów.

- To jest grota matki - wyjaśniła Lynnet - ładna pieczara, dzieło naszych ogrodników. Kiedy moi rodzice się pobierali, modne było mieć taką grootę, miejsce, gdzie kochankowie mogliby trzymać się za ręce i całować ukryci przed wścibskimi spojrzzeniami - a także przed słonecznym żarem w upalny dzień. Ojciec kazał ją zbudować, pragnąc zadowolić matkę, którą tu sprowadził.

W tym momencie pomyślałem o pieczarze, w której leżałem na mchu z Disiri, lecz nic o tym nie wspomniałem.

- Tylko ja się jej boję i nie wiedziałam, że było tak aż do chwili, gdy zaczęłam o tym mówić. Pewnie dlatego, że ani mnie, ani moim siostrom nie wolno było tam wchodzić, kiedy byliśmy małe. Tak więc i teraz nie wejść, ale ty możesz, jeśli chcesz ją zobaczyć.

Najwyraźniej oczekiwała, że to zrobię, więc wszedłem. Wcale nie wyobrażałem sobie, że ujrzę tam Disiri - wiedziałem, że tak nie będzie. Mimo to wspomnienie, jakie przyniosła mi tamta grota, było silne i słodkie, a ja miałem nadzieję, że będzie jeszcze słodsze i silniejsze, kiedy tam wejść. Zszedłem po niedużych kamiennych schodach, przeszedłem nad strumykiem i wszedłem do groty. Wiedziałem, że nie spotkam tam żadnego smoka i nie znajdę studni, która by prowadziła do morza Aelfrice. I nie myliłem się.

Zobaczyłem pod nogami czysty piasek i tunel wycięty w kamieniu, który zdawał się prowadzić do tajemnic wzgórza, i usłyszałem znajomy głos, który zamiauczał:

- Sir Able? Sir Able? Wiem, że to ty. Czuję psa na twoim ubraniu. Czy to jest droga na zewnątrz?

- Mani? - Zatrzymałem się i poczułem, jak ociera się o moją nogę. - Nie wiedziałem, że tu jesteś. Dziwne miejsce.

- Wiem - odpowiedział Mani i zaraz dodał: - Weź mnie na rękę.

- Niektórzy z tych ludzi nie żyją, ale to chyba nie robi różnicy.

Mruknął tylko coś niewyraźnie w odpowiedzi, a gdy go wziąłem na rękę, poczułem, że drży.

Nie będę opowiadał o czasie spędzonym w grocie. Czas Skai nie jest czasem Mythgarthru ani czasem z Aelfrice. A czas z Pokoju Utraconych Miłości to jeszcze coś innego, a może to w ogóle nie jest czas, a tylko jego odbicie. Etela mówiła, że nie byliśmy tam długo.

Mani uniósł łeb i zaczął węszyć. Słyszając go (trzymałem go na rękach), też wciągnąłem głęboko powietrze.

- Czuję morze.

- Tak pachnie morze? Nigdy tam nie byłem. Twój pies opowiada o nim. Chyba mu się specjalnie nie podobało.

- Został uwięzany na łańcuchu w grocie Garsecga pod dnem morza. Z pewnością mu się to nie podobało,

- To dobrze - odpowiedział Mani. - Ale źle jest, kiedy ktoś tak więzi koty.

- Zeskoczył na ziemię i po chwili usłyszałem go przed sobą: - Tam jest światło i słyszę wodę.

Niebawem sam zobaczyłem światło i usłyszałem huk fal. Czułem się, jakbym wracał do domu.

Po obu stronach ujrzałem szare kamienie i zatrzymałem się (przypominając sobie strumyk i wejście do pieczary), by spojrzeć za siebie, bo wydawało mi się, że wszystko mi się pomyliło i wracam tą samą drogą, którą przyszedłem. Wejście było daleko za mną, ledwo widoczne, lecz nie aż tak daleko i nie aż tak ledwo widoczne, jak powinno być. Przebyłem przecież prawie milę, a mimo to wciąż widziałem nierówny otwór, a za nim kamienie i paprocie.

- Tam jest jakaś kobieta! - zawołał Mani.

Wtedy już wiedziałem i pobiegłem przed siebie, przytrzymując Eterne.

Parka siedziała nad krosnem, nie przerywając pracy, lecz podniosła na chwilę wzrok znad nici, by na mnie spojrzeć i powiedziała:

- Sir Able Wielkie Serce.

Czułem, że wcześniej nie wiedziałem, co znaczą te słowa, do momentu, gdy wyszły z jej ust. Przyklęknałem, pochyliłem głowę i powiedziałem cicho:

- Twój sługa na zawsze, pani.

- Potrzebujesz innej cięciwy?

- Nie - odparłem. - Ta, którą mi dałaś, dobrze mi służy, choć mąci i ubarwia moje sny.

- Musisz ją odkładać na bok, kiedy idziesz spać, sir Able.

- Nie odważyłbym się ich tak potraktować, pani. Opowiadają mi o życiu, które przeżyli, a gdy ich słucham, kocham własne życie jeszcze bardziej.

- Dlaczego tu przyszedłeś? - zapytała. Wyjaśniłem jej najlepiej jak potrafiłem, w czym nie pomagał mi specjalnie Mani, który wciąż się wtrącał i komentował częściej, niżbym sobie tego życzył.

Kiedy skończyłem, Parka pokazała poza grzywacze.

- Tam jest to, czego szukam?

Skinęła głową.

- Potrafię pływać - zwróciłem się do Maniego - ale ciebie nie mogę zabrać, ant miecza i ubrania.

- Ta kolczuga od razu by cię ściągnęła na dno - powiedział.

Nie całkiem tak było, ale zgodziłem się z nim.

- Zostaniesz tu z Parką i popilnujesz rzeczy do mojego powrotu?
- Nie ma tu twoich rzeczy - powiedziała Parka.

Mimo to rozebrałem się i położyłem na płaskim kamieniu moją kolczugę, skórzany kaftan, spodnie i tak dalej, a obok postawiłem buty. Parka nie przerywała pracy, snując życie nam, którym się wydaje, że to my je tworzymy.

Jak cudownie było płynąć w morzu! Wiedziałem, że znaczna część mocy morza wcześniej mnie opuściła, ponieważ czułem, jak teraz znowu we mnie wstępuje. Mimo iż wiedziałem, że Garsecg jest demonem, żałowałem, że nie płynię u mego boku, tak jak wcześniej. Dobrze, jak mi się zdaje, że uczymy się odróżniać dobro od zła, lecz ma to swoją cenę, jak wszystko inne. Rozstajemy się ze swoim złym przyjacielem.

Nie miałem pojęcia, ku czemu płynę. Nie widząc nic przed sobą, płynąłem długo pod wodą, a potem wynurzyłem się i płynąłem dalej, lecz wciąż nic nie widziałem. Na dnie tego morza spoczywały kości Grengarma, a gdzieś tam w jego głębinach mieszkała Kulili, ponieważ dno morza w Mythgarthrcie (a ja czułem, że wciąż jestem w Mythgarthrcie) leży w Aelfrice. Postanowiłem zejść na samo dno i udać się do Aelfrice i poszukać tam Disiri. Bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, że w Pokoju Utraconych Miłości można znaleźć tylko miłości utracone, a moja miłość do niej - miłość gorąca jak krew Angronitów, lecz czysta - nie mogła być utracona ani przez pocałunek Walkirii, ani z powodu miodu Valfathera.

Gdy ponownie wynurzyłem się na powierzchnię, ujrzałem Wyspę Glas. Jaką miłość, zapytałem siebie, utraciłem tutaj? Żadnej, oczywiście.

Przez jakiś czas moje myśli zaprzętały osoby Garsecga, Uri i Baki. Wreszcie dotarło do mnie, że potrafiłem przypomnieć sobie swoją miłość, że nie była utracona. Lady Lynnet w swoim szaleństwie zapomniała o rodzicach, o domu i zapamiętała tylko aksamitki i mentykory i waleczną tradycję swojego rodu, która pozostała w jej krwi, a nie w jej umyśle. Stąd gdy zawiódł ją umysł, jej dłoń szukała odruchowo miecza i zastąpiła go batem.

A zatem to nie broń wygrywa, choćby i taka jak Eterne. Nie ma takich plaż jak na Wyspie Glas. Może rozrzucono tam pokruszone mocno drogie kamienie - bo tak to wygląda. A i kamienie nie wyglądają tam jak kamienie gdzie indziej. I rośnie tam wspaniała trawa, miękka, krótka i tak zielona, że nie da się jej opisać, i nawet Gylf, który słabo widzi kolory, potrafiłby ją

docenić. Nigdzie indziej nie widziałem takich drzew, jakie rosną wzdłuż plaży; ich zielone liście są tak ciemne, że prawie czarne, za to pod spodem srebrzyste, tak że nawet najśłabszy oddech wiatru zamienia je w srebro. Ich pnie zdają się być nagim drewnem, choć tak nie jest.

Gdy myślę o tamtych chwilach, kiedy przybyłem na brzeg, wydaje mi się, że nie miałem zbyt dużo czasu na podziwianie plaży, trawy czy drzew; a przecież wydawało się, że patrzyłem na nie długo. Słońce stało w miejscu przesłonięte częściowo chmurą, a ja, mając do dyspozycji całą wieczność, podziwiałem trawę.

- Och, synu...

Była to wiejska kobieta. Ładna, choć widziałem wiele ładniejszych.

- Jesteś moim synem.

Wiedziałem, że się myli, i przyszło mi do głowy, że gdybym się położył na ziemi, a ona pochyliłaby się nade mną, to zobaczyłbym ją w taki sposób, w jaki właśnie ją sobie przypominałem. I wtedy zrozumiałem, że jest najśliczniejszą z kobiet.

- Obaj z Bertoldem ssaliście te piersi, Able.

Powiedziałem, że go tu nie ma, i próbowałem wyjaśnić, że jej nie zapomniał i że był już na tyle duży, iż chodził i mówił, zanim znikła.

- Przeczytaj to. - Podsunęła mi tubę z zielonego szkła.

Zawstydzony wyznałem, że nie potrafię czytać pisma Mythgarthru, a tylko alfabet z Aelfrice.

- To nie jest Mythgarthr - powiedziała - lecz kraina serca.

Rozwinąłem zwój i go przeczytałem. Powtarzam tu wszystko tak, jak zapamiętałem. Będiesz się zastanawiał, Ben, podobnie jak ja się zastanawiałem, czy ona była naszą matką, a także matką Bertolda i jego brata. Myślę, że była zarówno naszą, jak i ich matką.

Tutaj noszę imię Mag i tutaj byłem żoną Bertolda Czarnego. Mój mąż był starszym wioski. Aelfy rzuciły na nią urok. Nasze krowy cieleły się sarnami. Nasze ogrody zmarniały w ciemności nocy. Wciąż spowijała nas mgła, a Griffinsford było przeklęte. Przyszedł jakiś starzec. Był demonem. Teraz to wiem, lecz wtedy nie wiedzieliśmy. Kiedy przyszedł, chodziłam z dzieckiem w brzuchu.

Powiedział, że nasi Overcyni nam nie pomogą, a żeby pozbyć się przekleństwa, musimy złożyć ofiary bogom Aelfów. Snari nakarmiła go.

Bertold powiedział, że tego nie zrobimy, że musimy złożyć ofiary naszym właściwym bogom - Overcynom. Zbudował ołtarz z kamienia i torfu, a do pomocy miał tylko naszego synka. Złożył na ołtarzu naszą krowę i śpiewał Overcynom ze Skai, a z nim Cli i Wer.

Z rzeki wyszedł dwugłowy żółw i ugryzł Deifa i Grumma; nocą drogą chodzili obcy, a za oknem słychać było wycie. Starzec powiedział, że musimy oddać bogom Aelfów siedem żon. Bertold nie chciał o tym słyszeć.

Starzec powiedział, że nie urodzę dziecka, dopóki nie pozwolą na to bogowie z Aelfrice. Męczyłam się przez dwa dni, a był przy mnie tylko Bertold. Potem zaczęłam błagać Panią Skai, żeby odebrała mi życie, jeśliby miało to uratować życie mojego dziecka. Wreszcie je urodziłam i nadałam mu imię Able, właśnie z tego powodu.

Starzec przyszedł pod nasze drzwi. Powiedział, że Grengarm żąda siedmiu pięknych dziewic. Nie było siedmiu pięknych dziewic w całym Griffinsford, tak więc zaczął się domagać siedmiu pięknych kobiet, niekoniecznie dziewic, a także dzieci, które mógłby zjeść. Nie wiem, czy mówił prawdę, ale wtedy mu wierzyłam. Powiedział, że zabierze mnie do miejsca, gdzie nie znajdzie mnie Grengarm. Powiedziałam, że pójdę, jeśli pozwoli mi zabrać ze sobą dzieci.

Able'a mogłabym zabrać, powiedział, ale Bertold jest chyba za duży, a potem zaproponował, że pokaże mi to miejsce, żebym sama oceniła, czy jest dla nich dobre. Mówił, że to niedaleko i że wrócimy, zanim chłopcy się obudzą. Niech mi wybaczy Pani i każda inna dama! Poszłam z nim, licząc na to, że Bertold ukołyszże Able'a, gdyby ten się obudził.

Kiedy doszliśmy na skraj pola obsianego jęczmieniem, starzec poradził mi, żebym się nie bała i pozwoliła się wziąć na plecy. Gdy to mówił stanął na czworakach jak jakieś zwierzę. Usiadłam na nim, a on wzniósł się w powietrze. Zobaczyłam, że to okropny jaszczur, że zawsze taki był i że jego twarz starca była tylko maską. Zrozumiałam, że to jest Grengarm i że mnie pożre.

Przyniósł mnie na tę wyspę i odarł z ubrania. I już tu zostałam, i kuszę żeglarzy, by Setr i Khimairy mieli co jeść. Są tu też inne kobiety porwane tak samo jak ja.

Wabimy żeglarzy, żeby nie zjadły nas Khimairy, ale chowamy się, kiedy starzec wychodzi z morza, i nie wielbimy go tak jak Khimairy. Groa wyryła dla nas na skale podobiznę Pani, lecz ktoś zniszczył ją w nocy i pozostawił

nad stawem własną podobizną przewyższającą urodą wszystkie kobiety.

Groa potrafi pisać. Uczyła mnie tutejszego pisma, kreśląc litery na piasku. Ten wazon znalazłam wśród resztek rozbitego statku, a także papier i inne rzeczy. Och, Pani Overcynów, Pani Skai, oszczędziłaś mnie. Spraw, by moi synowie przeczytali to, co napisałam.

- Minęły lata, straciłam dawną urodę i wkrótce zjedzą mnie Khimairy. Zebrałam w pucharze jad Setra. Piszę nim teraz przy pomocy pióra ogromnego ptaka. Kiedy skończę, umieszczę zwój w wazonie i skończę z tym, wypiję. Nikt nie tknie mojego zatrutego ciała, ze strachu.

Zapytałem, czy mogę zabrać zwój, żeby przeczytać go bratu. Odpowiedziała mi, że cokolwiek bym zabrał z tego miejsca, nic się nie zachowa, po czym wrzuciła zwój do wody.

Potem siedzieliśmy długo na plaży, razem, nadzy i rozmawialiśmy o życiach, które wiedliśmy dotąd, i o tym, co znaczy żyć i co znaczy umrzeć.

- Zabrały mnie Aelfy - powiedziałem - żeby ich królowa miała się z kim bawić, ponieważ Aelfy żyją długo, lecz przychodzi do nich niewiele dzieci, a każde zrodzone przez nie dziecko jest królową albo królem, jakby każdy Aelf z klanu był matką lub ojcem.

- Ty byłeś dla mnie królem - powiedziała - a także dla twojego ojca i brata.

- Bawiliśmy się w ogrodzie większym niż cały świat, a ona mnie uczyła i rozmawialiśmy o miłości, magii i o tysiącach innych rzeczy, ponieważ była bardzo mądra, a jej doradcy jeszcze mądrzejsi. Potem odesłali mnie do Mythgarthru. Utraciłem wspomnienia o Disiri i jej ogrodzie. Dopiero teraz je odzyskałem.

- Kochałeś je.

Przytaknąłem jej.

- Jesteś mądra, matko. Wiedziałem, że nie znajdę tu Disiri, ponieważ nie straciłem miłości do niej. Lecz tamte zostały utracone - tak jak twój zwój.

- Który nie został utracony. Wciąż jest na wyspie, gdzie go znalazłeś. - Podniosła tubę z zielonego szkła, w której przedtem był zwój, i otworzyła ją. - Chcesz spojrzeć jeszcze raz? Jest tam w środku.

Tuba była pusta, lecz jednocześnie wydawało mi się, że coś pozostało na samym dnie, coś małego, skrawek papieru, kamyk albo muszla. Spróbowałem to dosięgnąć, mimo iż tuba miała szerokość dwóch palców.

Wsunąłem dłoń, a gdy spróbowałem sięgnąć dna, całe ramię.

Znalazłem się w tunelu o ścianach z zielonego szkła. Natychmiast zawróciłem i zacząłem biec z powrotem, w czym przeszkadzał mi Eterne, którego ciężka pochwa obijała się o moją nogę (aż wreszcie wziąłem go do ręki). Niebawem dotarłem do białych drzwi. Otworzyłem je i przeszedłem przez próg, a zaraz za mną nadeszli Lynnet i Mani.

- Myślałam, że zostaniesz tam jakiś czas, mamó - powiedziała Etela. Lynnet uśmiechnęła się tylko i pogładziła ją po włosach.

- Nie musicie mi mówić, co widzieliście - powiedział Thiazi. - Ale gdybyście chcieli, chętnie was wysłucham.

Żadne z nas się nie odezwało.

- Zanim tam weszliście, wszyscy zadawali pytania - powiedział Toug. - A przynajmniej tak to wyglądało. Teraz ja chciałbym zadać jedno i spodziewam się, że na nie odpowiecie. Każde z was jest mi to winne.

Lynnet przytaknęła mu i ujęła jego dłoń. Etela spojrzała na nią zaskoczona.

- Pytam więc: czy to zadziałało? Czy rzeczywiście znaleźliście tam utraconą wcześniej miłość?

Odpowiedziałem mu, że tak, że znalazłem matkę, o której istnieniu zupełnie zapomniałem. W myślach dodałem, że jej kości spoczywają na wyspie Glas i że nie spocząłbym, gdybym ich nie pochował i nie postawił pomnika, co też uczyniłem.

- A matka Eteli?

Już chciałem mu odpowiedzieć, lecz Lynnet sama zabrała głos:

- Znalazłam utraconą miłość i ujrzałam martwe kobiety i mężczyzn ginących w walce, kiedy Angronicy napadli na Goldenlawn. Brałam udział w zimowej uczcie, tańczyłam w majowe święto i ścinałam kwiaty w naszym ogrodzie.

Odwróciła się do Thiaziego, który siedział nieruchomo niczym ogromny kamienny posąg.

- Twój ludzisz niszczy tak dużo, by zdobyć tak mało.

Skinął głową, lecz nic nie powiedział.

- A Mani? - zapytał Toug, rozglądając się za kotem. - Widziałem, jak wychodził stamtąd.

- Wyszedł przez okno - wyjaśniła Etela.

- Szkoda - powiedział Toug. - Chciałbym się dowiedzieć, czy i on znalazł



miłość, którą kiedyś utracił.

Głos Thiaziego zabrzmiał głucho, jakby płynął z oddali, zupełnie jak bicie ogromnych bębnow na zewnątrz.

- Jeśli utracił miłość, giermku, to ją tam odnalazł.

- Z pewnością miał tam czego szukać - powiedziałem - i na pewno to znalazł. Gdyby nie, to by nam o tym powiedział. Wyszedł, ponieważ nie chce jeszcze o tym mówić.

Ktoś zaczął walić pięścią w drzwi i zaraz Thiazi ryknął:

- Wejść!

To był Pouk. Wprawdzie nie rozglądał się, lecz ja zobaczyłem, że jego widzące oko patrzy na mnie.

- Lordzie Thiazi, sir - zaczął - czy mój dawny pan, sir Able, jest tutaj, sir? Wydawało mi się, że go słyszałem.

- Jest teraz twoim nowym panem - odpowiedział mu Thiazi - bo daję mu ciebie.

Pouk pociągnął za lok włosów na czole.

- Dzięki ci, sir. Mam nadzieję, że tak będzie pasować.

- Tu jestem. Pouku - odezwałem się. - O co chodzi?

- O nic, sir. Tylko chciałem ci przekazać wiadomość, którą powinienś usłyszeć. Ten Schildstarr, sir. Wziął se koronę, sir, i mówi, że teraz on jest królem. Zbiera się wyjść do miasta, sir, ze swoimi i z Thrymem, i ze swoją strażą.

Thiazi wstał.

- W takim razie muszę iść z nim.

Przytaknąłem mu.

- Po pierwsze, Pouku, nie wolno ci mówić w taki sposób o Jego Królewskiej Mości Schildstarrze. Jeśli nie będziesz okazywał mu należytego szacunku, trudno mi będzie cię bronić.

- Tak jest, sir.

- Po drugie, idź natychmiast do stajni i osiodłaj Chmurę, a potem przyprowadź ją przed wejście.

Pouk zawahał się.

- Na koniach to ja się specjalnie nie znam, a ten nie zna mnie.

- Chmura ci powie, co robić - odpowiedziałem mu. - Wszystko będzie dobrze.

Potem wysłałem Touga, żeby zawiadomił Svona i Beela i sam się

przygotowałem.

Nie powiem dużo o paradzie Schildstarra przez miasto. Nas, ludzi, ustawiono z tyłu - całkiem roztropnie. Wszyscy trzej, Garvaon, Svon i ja jechaliśmy ramię w ramię, a przed nami Beel i Idnn, za nami zaś zbrojni Garvaona i jego łucznicy. Można by było łatwo zająć utgardzki zamek, gdyż nie strzegł go nikt poza Tougiem, Gylfem i garstką niewolników. Tylko że nie istniało takie niebezpieczeństwo, choć zgromadzeni Giganci Mrozu wiwatujący głośno na cześć nowego króla, spoglądali na nas niemal z otwartą wrogością.

Ich spojrzenia mówiły mi, że będziemy musieli odjechać, i to szybko. Podzieliłem się swoim spostrzeżeniem z Beelem, kiedy wróciliśmy do Utgardu, on zaś zgodził się ze mną, lecz zauważył, że musi mieć pozwolenie króla.

\* \* \*

Przed komnatą, którą przydzielił mi Thiazi, czekała ciemna i milcząca postać.

- Są tam...

Rozpoznawszy jej głos, skłoniłem głowę.

- Kto taki, lady Lynnet?

- Moja córka i inna kobieta. - Przez chwilę wydało mi się, że dostrzegłem wyraz skupienia na jej twarzy, która zwykle przypominała kamienną maskę. - Kot. I jakiś mężczyzna. Chcieli, żebym...

- Będziesz mile widziana - odpowiedziałem jej.

- Wiem. - Myślałem, że wejdzie, ona jednak, mimo iż usunąłem się na bok, pozostała na swoim miejscu i stała z podniesioną głową i opuszczonymi rękami, a jej rzadkie i proste włosy opadały aż do pasa. - Wrócę z wami na południe. Goldenlawn będzie moje.

- Mam taką nadzieję, pani.

- Czy zatem powinnam wziąć sobie męża? Kogoś, kto by mi pomógł wszystko odbudować?

- Z pewnością będziesz miała w czym wybierać.

- Bardzo im na tym zależy, za kawałek ziemi... Pięć gospodarstw. Nasze łąki.

Przytaknąłem jej.

- Wielu pragnie ziemi, mimo iż niejeden już ją posiada. Inni są spragnieni miłości. Gdybyś miała ponownie wyjść za mąż, pani, to dobrze by było poślubić mężczyznę, który będzie pragnął ciebie.

Nic nie odpowiedziała.

- Wiele kobiet, pani, uważa, że mężczyzna, który bardzo ich pragnie, nie jest dla nich dość dobry. Uważają, że dowiodą swej wartości dopiero wtedy, gdy zdobędą takiego, który mógłby się złączyć z piękniejszą damą albo znakomitszą, gdy zdobędą go, posługując się ziemią, złotem lub podstępem. Nie będę udawał, że zjadłem wszystkie mądrości, lecz inna dama, której imienia nie wolno wypowiadać, powiedziała mi, że to głupie i że straciła wiele sił i czasu, by z tym walczyć.

- Ty?

- Nie, pani. Gdybym mówił za siebie, okazałbym więcej pokory.

Minęła mnie, ze wzrokiem skierowanym przed siebie. Patrzyłem na jej wyprostowaną postać, jak oddala się powoli, równym krokiem, aż całkiem znikła w ciemności w głębi korytarza. W Utgardzie są duchy i nie tylko, o czym dobrze wiem, lecz nie było tam drugiej osoby mniej skłonnej, by się ich bać, możliwe nawet, że inni (podobnie jak my) uważali ją za jedną z takich istot.

Dwie dziewczyny, powiedziała Lynnet, kot - Mani zapewne - i mężczyzna. Jedną z dziewcząt jest pewnie Etela. Drugą może być jedna z niewolnic, którą Toug wybrał, żeby jej usługiwała. A mężczyzna to pewnie sam Toug, choć miałem nadzieję, że to będzie Garvaon.

Wzruszyłem ramionami i otworzyłem drzwi. Kiedy wszedłem do środka, przekonałem się, że tylko część moich domysłów się potwierdziła. Drugą z dziewcząt była Uri, lecz tym razem nie przybrała ludzkiej postaci, lecz postać kobiety Aelfów Ognia. Co do mężczyzny, to nie był to ani Toug, ani Garvaon, lecz ślepy niewolnik, bardzo umięśniony i prawie nagi, z ręką na temblaku.

Etela przywitała mnie uprzejmie:

- Witaj, panie rycerzu. Przyszliśmy do ciebie. Tyle tylko, że ja przyszedłam pierwsza.

Uri wstała i skłoniła głowę.

- Panie - powiedziała.

Mani zakasłał, jak mają w zwyczaju koty.

- Boi się, że wcisnę się przed nią, co mógłbym uczynić z łatwością, mój miły właścicielu. Ale tego nie zrobię. Chcę pomówić z tobą na osobności, gdy ci tutaj już sobie pójdą.

Ślepiec pogłaskał Maniego po grzbiecie potężną dłonią.

- To on?

- Tak - odparł Mani. - To jest mój właściciel, sir Able Wielkie Serce.

Niewolnik przyklęknął i skłonił głowę.

- To znaczy, że chce czegoś - wyjaśniła Etela. - Zawsze muszą tak robić.

- Wszyscy czegoś chcemy - odpowiedziałem jej. - Także ja, kiedy czegoś chcę, też tak przyklękam, jak się nazywasz?

- To jest Vil. Należał do mojego dawnego pana, tak jak ja. Tylko że teraz należymy do Touga.

Skinąłem głową.

- Wstań, Vil.

Wstał, wtedy Etela zapytała:

- Czy i tak mogę mówić pierwsza?

- Pewnie. Twoje prawo, a i ja chciałem o coś zapytać.

- Ja mam sporo pytań. Możesz pytać pierwszy, jeśli chcesz.

- Nie. - Zdjąłem hełm i położyłem na stojaku, na którym wieszałem też kolczugę. - Przyszłaś tu pierwsza, jak powiedziałaś. A ja ostatni. - W duchu liczyłem na to, że gdy usłyszę jej pytania, nie będę musiał zadawać swoich.

- Nie wiem, od czego zacząć.

- Chyba nie ma większego znaczenia. - Odpiąłem pas z mieczem i usiadłem na podnóżku, jedynym siedzeniu mniej więcej ludzkich rozmiarów, a potem położyłem sobie Eterne na kolanach.

- Nie chcesz tego też odłożyć?

Pokręciłem głową.

- Powieszę go przy łóżku. Tej nocy coś może się wydarzyć, choć mam nadzieję, że tak się nie stanie.

- Czuwałam nad tobą często, panie - powiedziała cicho Uri. Przypomniałem sobie wtedy żeglarzy zwabionych na wyspę Glas, których pożerały Khimairy, ale nic nie powiedziałem.

- Czy nowy król będzie chciał wyrządzić nam krzywdę? Mamie i mnie?

Jeszcze raz potrząsnąłem głową.

- Nie pozwoliłbym na to, ale wątpię, aby chciał was skrzywdzić.

- Toug nie zamierza już być rycerzem. Już nie chce.

- Wiem.

- Ale ja chcę, żeby nim był, bo byłby dobrym rycerzem, prawda?

Skierowała te słowa do Uri, która powiedziała.

- Ja też tak myślę.

- Widzisz? Pobierzemy się, tak powiedziała mama. Spaliśmy w jednym łóżku i tak dalej.

- W to nie wierzę, panie - wtrąciła Uri.

- A właśnie, że tak! I dzisiaj w nocy też to zrobimy. Jestem wymyta i w ogóle. Tak więc on musi zostać rycerzem.

Przytaknąłem jej.

- Którym już jest.

- A mówiłeś, że nie jest! - Etela jęknęła niemal płaczliwym łonem.

- Nic takiego nie powiedziałem. Ty powiedziałaś, że on nie chce być rycerzem, a ja odpowiedziałem, że wiem o tym. Kiedy opatrywałem jego rany, starałem się odwieść go od mówienia tego, czego nie chcieliśmy słyszeć z jego ust. Powiedziałem też chyba, że on już jest rycerzem, mimo iż nikt nie zwraca się do niego sir Toug. Tak chyba powiedziałem, a jeśli nie, to mogłem to zrobić.

Chciała coś powiedzieć, lecz ją powstrzymałem.

- Gdyby był tu książę Marder - żałuję, że go nie ma - powiedziała by ci, że miecz, którym pasuje kogoś na rycerza, wcale nie jest magiczny. Królowa Disiri, która mnie pasowała, mogłaby ci powiedzieć różne rzeczy, a ona ma większą magiczną moc niż lord Thiaz i lord Beel razem wzięci. Tylko że żadna magia nie robi z mężczyzny rycerza. Nawet Overcyni tego nie potrafią. On staje się rycerzem przez swoje czyny. Tylko tak jest to możliwe. Podejdź bliżej.

Kiedy się zbliżyła, objąłem ją ramieniem.

- Wielu ludzi wie to, co ci powiedziałem. Dowiedziałem się tego od dobrego i dzielnego rycerza, kiedy jeszcze byłem chłopcem. Ale niewielu wie o tym, czego sam się nauczyłem w dalekim kraju.

- Tam gdzie mieszkają gadające koty? - zapytał Mani.

Przytaknąłem mu.

- Gadające koty, które ciągną rydwan. A nauczyłem się, Etelo, że rycerz nie może sam przestać być rycerzem. Może zrobić to ktoś inny i czasem się to stosuje. Trudne, ale możliwe.

Etela nic nie odpowiedziała, a w jej oczach zalśniły łzy.

- Jednak sam rycerz nie może tego zrobić. Jeśli Toug przestanie kiedyś być rycerzem, to tylko za twoją sprawą, jak sądzę. Choć istnieją inne sposoby.

- Nigdy bym tego nie zrobiła!

Odpowiedziałem jej szczerze, że taką mam nadzieję.

- Tylko że on nie chce i co ja mogę zrobić?

- To, co robisz. Bądź dobra, opiekuj się matką i pokaż Tougowi, że go kochasz.

- Chciałabym, żeby jeździł na białym koniu z mieczem... - Zaszlochała. - I żeby miał taką długą dzidę i tarczę.

- Mam nadzieję, że jutro opuścimy ten zamek. Zamierzam poprosić króla o pozwolenie i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wyprawić w drogę lorda Beela i jego ludzi. Jeśli wyruszymy, to zobaczysz Touga z mieczem na koniu. Ze względu na rękę nie może jeszcze trzymać tarczy, ale zawiesimy mu ją przy siodle - tę samą, którą podarowała mu królowa Idnn i którą później uratowałaś podczas walki na targu.

- Pomożesz?

- Jak tylko będę mógł.

- Mama ma się lepiej.

- Wiem. Może już nigdy nic będzie tak całkiem zdrowa, Etelo. Musisz jej pomagać codziennie. Ty i Toug.

- Spróbuję.

- Wiem. I zadbaj, żeby Toug ci w tym pomógł. W końcu tak długo jak tu jesteście, ona należy do niego. Coś jeszcze?

- Nie. - Etela wytarła oczy podartym rękawem. - Tylko ta dziewczyna będzie o mnie mówić. Tak powiedziała.

- W takim razie idź już - zwróciłem się do Eteli. - Zajmij się matką i namów Touga, żeby ci pomógł.

Miała ochotę zostać, ale nie ustąpiłem.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Uri powiedziała:

- Mógłbyś ją poślubić, panie. Myślisz, że królowa Disiri miałyby coś przeciwko temu?

Wróciłem na swoje miejsce.

- Oczywiście.

- Znasz ją mniej niż ci się wydaje.

- Naprawdę? - Wzruszyłem ramionami.

- Albo mógłbyś poślubić jej matkę.

Westchnąłem.

- Jeśli odrzucę i tę sugestię, czy wtedy zasugerujesz, że powinienem poślubić obie? Możesz odejść.

- Mogę odejść kiedy tylko zechcę, panie, ale jeszcze tego nie zrobię. Jeśli nie chcesz mnie widzieć, to z łatwością da się to zrobić.

Vil, niewolnik, chrząknął zdziwiony, myślał może, że Uri grozi mi, iż mnie oślepi.

- Uri, nie mam zamiaru cię słuchać, kiedy wygadujesz głupoty. Chcesz, żebyśmy zabawili się w zgadywanek, czym się żywią Khimairy?

- To byłoby głupie, panie. Kiedy byłam Khimairą, jadłam to, co jedzą Khimairy. Nie mówmy o tym. Ty też jadłeś dziwne rzeczy, kiedy leczyłeś rany.

- Poddaję się. Powiedziałaś biednej Eteli, że chcesz rozmawiać ze mną o niej. Mówiałaś jej, co konkretnie chcesz powiedzieć?

- Nie. I wcale nie rozmawiałam o niej ani o jej matce tyle co o tobie, panie. Nie chciałbyś dostać ładnego majątku?

- Przez małżeństwo? Nie. - Położyłem Eterne na podnóżku i podszedłem do okna, żeby pogłaskać Maniego.

- A koronę? Ten prostak Schildstarr załatwił sobie koronę, i to w całkiem prosty sposób.

- Żebym mógł siedzieć na złotym tronie i posyłać innych na śmierć? Nie.

Uri wstała i stanęła przy mnie.

- Mówię teraz w imieniu wszystkich Aelfów Ognia, panie. Nie tylko w twoim własnym imieniu. Jeśli zabijesz Kulili, będziemy ci służyć. Nie tylko ja i Baki, ale wszyscy. Jeśli pragniesz korony króla Arnthora, pomożemy ci ją zdobyć.

Pokręciłem głową.

- Uri, muszę pomóc tym i innym ludziom wrócić bezpiecznie do domu. I zrobić wiele innych rzeczy. W Aelfrice zajmie to tylko kilka minut.

- Chcesz, żebym wracała. Za rok, panie, mógłbyś zostać królem Celidonu. A za dziesięć imperatorem Mythgarthru.

- Albo trupem.

- Przecież nie żyjesz! - Oczy Uri przypominały żółte fajerwerki. - Wiesz to równie dobrze jak ja.

- Ale Vil nie wie - mówiłem najciszej jak tylko potrafiłem - a

przynajmniej do tej pory nie wiedział. Co mi przypomina, że chciałem zapytać Etełę, dlaczego się go boi. Dlaczego, Vil? Dlaczego tak zareagowała, kiedy usłyszała twoje imię?

- Nie boi się, sir. Tak naprawdę to nie.

- Boi się ciebie. Jeszcze przed paradą Jego Królewskiej Mości lord Thiazi poinformował nas o tym, jak rozdzielono niewolników. Ty zostałeś przydzielony Tougowi, podobnie jak Etela i jej matka. Widziałem jej twarz, gdy to usłyszała.

- Jestem sztukmistrzem, sir Able, a przynajmniej byłem. Pokazywałem jej różne sztuczki, nic wielkiego, i mówiłem, że to prawdziwe czary. Pewnie mi uwierzyła, a przynajmniej czasem.

Chcąc go sprawdzić, zapytałem czy wyczarował Uri.

- To ta dziewczyna, co teraz gada, wiem. Ja słucham, nawet teraz, kiedy już nic nie widzę. Teraz więcej niż kiedyś. Nie, panie, nie wyczarowałem jej. Słyszałem ją. Gada jak zwariowana, ale nie miałem z tym nic wspólnego.

Uri wyszczerzyła zęby jak wilk.

Obawiam się, że też się uśmiechnąłem, ale powiedziałem mu, żeby nie nazywał mnie panem, ponieważ teraz należy do Touga.

- Wybacz, sir Able, tak mi się powiedziało. Z przyzwyczajenia. Masz rację, teraz moim panem jest Toug. Tylko że on nie za bardzo wie, na co mógłbym mu się przydać.

Powiedziałem, że to się zmieni.

- No właśnie, sir Able. Czy teraz mogę zadać swoje pytanie?

- Nie. Najpierw skończę z tą tutaj Uri. Ale zanim wrócę do niej, powiedz, co takiego robiłeś, że Etela bała się ciebie?

- Nic, sir Able. Takie tam drobne sztuczki. Wyjmowałem monetę z jej ucha, a raz jajko. Takie tam.

Uri pociągnęła nosem.

- Mógłbyś wyjąć monetę z mojego ucha?

- Nie teraz, sir Able, bo nie mam żadnej. Może mógłbyś mi pożyczyć? Tylko na chwilę. Najlepsza złota, jeśli masz takie.



## ROZDZIAŁ 23

### BITWA POD UTGARDEM

Miałem oczywiście, w sakiewce, którą dał mi książę Marder. Mimo to zwróciłem się do Uri:

- Przynieś nam monetę, tylko szybko. Jakąkolwiek - co tam znajdziesz.
- Do tego? - W jej głosie przebijała złość.
- Jesteś moją niewolnicą, czy też już nie bawisz się w te pozory?

Przyklęknęła, tak jak Vil.

- To nie są pozory, panie.
- W takim razie rób, co mówię, i się pospiesz.

Kiedy odeszła, Mani mruknął:

- Ukradnie ją.
- Pewnie, że ukradnie.

Vil chrząknął, a jego twarz pozbawiona oczu skierowała się trochę na bok.

- Może teraz? Zwichnąłem sobie ramię...
- Podczas walki na targowisku.
- Właśnie. Jeden chyba mnie uderzył. Nie powalczyłem.
- Ślepiec walczący z gigantami.

- Mam dobry słuch i wycucie. I jestem silny. Zawsze byłem. W moim zawodzie to pomaga, a w kuźni jeszcze nabrałem krzepy. Wiesz, trzeba machać młotem i tak dalej. Pomyślałem więc, że może pomogę. Złapałem jednego za nogę i przewróciłem go. Tylko że inny mnie uderzył albo kopnął i potem już nie mogłem za dużo działać. Co to jest, sir Able...

Wróciła Uri, trzymając dumnie złotą monetę z wizerunkiem króla Gillinga.

- Oto złota moneta. - Podałem ją Vilowi. - A teraz wyjmij mi ją z ucha, jeśli potrafisz.

- To nie takie łatwe, sir Able. Trudno robić sztuczki, kiedy się nie widzi.
- Nawet jak się widzi, też chyba nie jest łatwo.
- Prawdziwe złoto? - Ugryzł monetę i połknął ją. - Niezła! Sądząc po

smaku, ze dwanaście karatów. Mam spróbować wydobyć ją z brzucha?

Skinąłem głową, chociaż mnie nie widział.

- Jeśli potrafisz.

- Spróbuję. - Obszukał mnie. - Muszę dotknąć twoich uszu, sir Able. Przykro mi bardzo, ale muszę, żebym wiedział, gdzie są. Mam nadzieję, że nie mam za bardzo brudnych rąk.

Powiedziałem, żeby robił swoje.

- Wyższy niż myślałem.

Poczułem się trochę nieswojo, mając tak blisko siebie twarz poznaczoną licznymi śladami przemocy.

- Słyszysz mnie, prawda?

Powiedziałem, że tak.

- Za chwilę powinieneś słyszeć mnie jeszcze lepiej. Gdzie ta Uri?

Odezwała się dopiero wtedy, gdy kazałem jej to zrobić.

- Chodź tu, Uri. Nie widzę, więc posłużysz mi za oczy. Zajrzyj, proszę, do tego ucha. Widzisz tam tę monetę?

- Tylko jego myśli - odpowiedziała Uri, zaglądając do mojego ucha.

- Ach, jesteś tak samo ślepa jak ja. Spójrz uważniej. - W tym momencie pokazał jej monetę. - A to niby skąd się wzięło? Powiedz sir Able'owi.

- Z twojego ucha, panie. - Skrzywiła się. - Tak przynajmniej wyglądało.

- Vil, mogę jeszcze raz zobaczyć te monetę?

Podał mi monetę, dużą i mocno wytartą.

- To jest miedziany puchar Celidonu - powiedziałem. - Tamta moneta była złota.

- Nie była, sir Able. Tak powiedziałem, ale nie chciałem robić przedstawienia przed dziewczyną i tym chłopakiem, który każe gadać swojemu kotu. Widzisz, sir Able...

- Widzę i widziałem, że była złota. Pokaż ją!

Przyklęknął i zwrócił ku górze niewidzącą twarz, rozkładając dłonie.

- Czy ja mógłbym cię okłamać? Nigdy, przenigdy! Prawdomówny Vil, tak na mnie mówią, panie. Spytaj, kogo chcesz.

- Twierdzisz więc, Prawdomówny Vilu, że moneta nie była złota?

- Tak twierdzą, panie. Spójrz. - Podsunął mi pustą dłoń.

- Moneta, którą przyniosłam, była złota, panie - powiedziała Uri.

Przytaknąłem jej.

- Patrzą, tak jak prosiłeś. Prawdomówny Vilu. Ale nie widzę żadnej złotej

monety w twojej dłoni.

- Nie widzisz? - Wydawał się szczerze zdumiony.

- Nic nie ma.

- Ja też nie widzę, sir Able, rozumiesz, jestem ślepy. Ale przecież ją czuję - czuję jej ciężar. - Zacisnął rękę. - Jest! Mam ją! - Kiedy znowu otworzył dłoń, leżała na niej lśniąca moneta.

Wziąłem ją od niego.

- To mosiężny grosz, tylko dobrze wypolerowany.

- Wiem, sir Able. Tę samą monetę ci pokazałem, panie. Mosiężną, tylko ją mocno wyczyściłem.

- Słyszałem wcześniej o sztukmistrzach, ale aż do dzisiaj nie spotkałem żadnego, jesteś pewnie jednym z najlepszych.

Skłonił głowę i podziękował mi.

- A teraz muszę cię prosić o zwrot tej złotej monety. Zaraz skończę moją rozmowę z Uri, a potem ona będzie musiała zwrócić monetę jej właścicielowi. Wiesz, gdzie ona jest, Uri?

Pokręciła głową.

- Powinieneś go obić, panie.

Vil uniósł dłonie, jakby chciał się obronić przed ciosem.

- Chybabyś nie uderzył ślepca, sir Able? Nie ty!

- Masz rację - odpowiedziałem. - Nie uderzyłbym. Ale gotów byłbym rozciąć mu brzuch, żeby tylko się przekonać, czy rzeczywiście połknął moją złotą monetę. - Wyciągnąłem sztylet, celowo ocierając go mocno o pochwę, tak by usłyszał. - Mnie nikt nie nazywa Prawdomównym Able'em, ale nigdy nie kłamie, gdy mówię, że jak powiedziałem, tak zrobię. Pokaż monetę.

- Schowałem ją pod kotem, sir Able.

Mani podniósł się i przesunął trochę na lewo, a wtedy zobaczyliśmy na parapecie dużą złotą monetę, którą przyniosła Uri.

Podniosła ją.

- Chcesz sprawdzić, panie?

Pokręciłem głową.

- Nie, jeśli ty nie widzisz w niej nic podejrzanego.

- Tak to się robi, sir - powiedział Vil. - Zwykle mówimy, że moneta jest gdzieś daleko. Tam, pod wozem, mówimy, albo w bucie tamtego rudzielca. A on wygląda na takiego, co to potrafi szybko biegać, jeśli wszystko poszło jak trzeba, a oni patrzyli i uwierzyli i potem sprawdzają, ty uciekasz.

Najlepiej się schować, jeśli to możliwe. Byłem w tym dobry. Teraz już bym nie dał rady, ale tak to robiłem, kiedy ktoś przyniósł złotą monetę.

- Widziałeś już dość, panie - powiedziała Uri - i rozumiesz chyba, dlaczego dzieciak się go boi.

- Widziałem dużo, ale się dobrze nie przyjrzałem. Później. Chcesz, żebym udał się z tobą natychmiast do Aelfrice?

Skinęła głową.

- Walczyć z Kulili. Nie tak dawno temu Baki chciała, żebym udał się do Aelfrice i walczył z Garsecgiem. Z nikim nie będę walczył, dopóki tu nie skończę.

- Twierdzisz, panie, że tutaj upłynęłyby całe lata, ale różnica nie byłaby aż tak duża, jak sądzisz. Możesz tu spędzić rok - dziesięć lat!

- Przyjadę tam, gdy będę gotowy! A wtedy stanę do walki z Kulili, tak jak obiecałem, jeśli przeżyję, może was poprowadzę, a może nie, przeciwko Garsecgowi - nic nie obiecuję. A teraz odnieś tę monetę.

Rozpłynęła się w powietrzu, zanim skończyłem mówić.

- Tak między nami trzema - powiedział Mani - zanim wróci, żeby szpiegować: myślisz, że dasz radę temu Garsecgowi?

Wzruszyłem ramionami.

- Grengarma zabiłem.

- A on zabił ciebie, mój drogi właścicielu.

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

- Widzisz, Mani, wiesz na ten temat więcej niż ja.

- Nie wiem nawet, kim jest Kulili.

- I dzisiaj się tego ode mnie nie dowiesz. A wiesz, kim jest Garsecg?

Mani spojrział na mnie zadowolony z siebie, tak jak tylko kot potrafi.

- To smok.

- Kto ci to powiedział?

- Ty, mój drogi właścicielu. Zapytałem, czy dałbyś radę pokonać Garsecga, a ty odpowiedziałeś, że zabiłeś Grengarma. Grengarm był smokiem - Toug opowiedział mi, jak z nim walczyłeś. Wnioskuje więc, że Garsecg jest innym smokiem. To proste. Wiesz też, kto zabił króla Gillinga, prawda?

Potrząsnąłem głową.

- Oczywiście, że wiesz. Słyszałem, co powiedziałaś lordowi Thiazemu. Wiesz, tylko nie potrafisz tego udowodnić.

- Nie chcę udowadniać - odpowiedziałem mu i odwróciłem się do Vila. - Obie dziewczęta powiedziały swoje, podobnie jak ten tu Mani, który chciał rozmawiać ze mną ostatni. O czym ty chciałeś mówić?

- Żebyś mi pomógł, sir. Tylko tyle. Czy wolno mi najpierw powiedzieć, że nic z tego, co tu usłyszałem, nie przedostanie się dalej? Chyba nie chciałbyś, żebym o tym rozповідаł, i tak się nie stanie.

Podziękowałem mu.

- Rozmawiał ze mną mój pan Toug, sir. Twierdzi, że należę do niego, ale będę wolny, kiedy wrócimy na południe. Czy to prawda, sir Able? Miałem wrażenie, że on w to wierzy.

- Pewnie tak. O naszym kraju wiem mniej niż twój pan. To pewne.

- No cóż, sir Able, jestem ślepy. Zastanawiasz się, dlaczego walczyłem z nimi. Dlaczego wszyscy walczyliśmy. Nie potrafię im wybaczyć. Chciałbym, ale nie potrafię.

- Kiedyś śniło mi się, że wróciłem tu z całą armią i wypędziliśmy ich stąd - odpowiedziałem mu. - Wątpię, by to się stało kiedykolwiek.

- Rzecz w tym, sir Able... - Wyciągnął rękę, a ja podałem mu dłoń.

- Jak mam jeść, kiedy już tam wrócimy? Potrafię jeszcze wykonać kilka sztuczek. Widziałeś, jak sobie poradziłem z tymi monetami?

- Nie widziałem - odpowiedziałem. - Obserwowałem cię uważnie, ale nie widziałem.

- Tylko że ja nie mogę tego robić dalej. Gdybym tak chapnął ich złotego chłoptasia i zaczął uciekać... - Zaśmiał się z goryczą. - Daleko bym nie uciekł, co?

- Mówiłeś, że możesz się schować - mruknął Mani. - Ja też tak czasem robię.

- Ty masz oczy. A ślepcowi trudno jest się ukryć. Uśmiełbyś się, gdybym teraz spróbował to zrobić. - Vil stał przez cały czas zwrócony twarzą w moją stronę. Wreszcie jakby się opanował i powiedział: - Mam teraz nowego pana, sir Able. Ale on chce być rolnikiem jak jego ojciec. U takich ludzi się nie przelewa. Dlatego odszedłem. Co oni zrobią ze ślepym niewolnikiem?

- Liczyłem na to, że okażą litość i go nie wypędzą - powiedziałem.

- A ja pomyślałem, że mógłbym go poprosić, żeby mnie sprzedał jeszcze tutaj. - Vil wziął głęboki oddech. - Pozostali poszli do sir Svona, a on zamierza zrobić to, o czym ja myślałem. Rowd, Gif i Alca. Poda niską cenę i podniesie, jeśli się da. Kobiety nie są wiele warte, ale za Rowda powinien

trochę dostać. No i jest jeszcze ta dziewczyna i jej matka, sir Able.

- Etela i lady Lynnet? Chyba nie musisz się martwić, że Toug je sprzeda.

- U mistrza Logiego było tak, że na każdego mężczyznę przypadła kobieta. Gif na Rowda i Alca na Sceefa. A Lynnet miała wypaść na mnie. Tylko że ona nie jest zdrowa, sir Able. Nie jest... Może nie powinienem tego mówić. Czasem... no wiesz. Ale nie często i zawsze czułem się nieswojo. Lecz pilnowałem dziewczyny. I tak nie uwierzysz w to, co mówię. Wiem i nie winię cię za to.

- Zależy, co mi powiesz. Prawdomówny Vilu. - Zmęczony siedzeniem na podnóżku, który nie dawał oparcia dla pleców, wspiąłem się na krzesło.

- Nie tknąłem jej i nikomu na to nie pozwoliłem. Rozumiesz, co mam na myśli? Było coraz gorzej, w miarę jak rosła. Oni pokryją i świnię. Może myślisz, że żartuję.

- Nie.

- Płodzą potwory, których nie chciałbyś zobaczyć, a które czasem żyją. No więc w każdej chwili któryś mógł ją dopaść. Ale ja trzymałem ją blisko siebie i pilnowałem, a czasem i przylałem, jak się odszczekiwała albo uciekała. Mówiła, że trzymam ją przy sobie jak lalkę. Dlatego się bała, sir Able, tak jak mówiłeś. Ale ja...

- Kochasz ją.

Vil zakasłał.

- Tak, sir. I jej matkę. Jej matka to piękna, wspaniała kobieta. Z wysokich sfer.

- Szlachetnie urodzona, córka baroneta.

- Naprawdę, sir Able? Nie wiedziałem. Powiedziałeś, że kocham Etele, i nie myliłeś się. Tylko...

- Rozumiem. Czego oczekujesz ode mnie?

- Pomocy, sir Able. Tylko tyle. Etela zostanie z mistrzem Tougiem, jeśli to możliwe. Ale jej matka nie zadba o nią ani o siebie. Ja bym zadbał, gdybym mógł. Tylko... tylko...

- Mój właściciel jest miłym i szlachetnym rycerzem - odezwał się Mani; w jego głosie zabrzmiała nuta, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałem,

- Może mógłbym pracować dla ciebie, sir Able? To znaczy, jak już wrócimy na południe. Nie proszę o zapłatę. Ani grosza. Tylko żebym mógł zostać przy Lynnet i Eteli i im pomagać.

- Lady Lynnet może nie chcieć twojej pomocy - odpowiedziałem.

- Wiem, sir Able. Ale to nie znaczy, że nie będzie jej potrzebować. Ona nie jest zdrowa. Już nie raz się nią opiekowałem, chociaż tego nie chciała, tak samo jak Etela. Zapytaj ją, a usłyszysz prawdę, jeśli uda ci się ją z niej wydobyć.

- Bez wątpienia.

- Będzie płakała. Rozumiesz, jakiś czas. Zanim z tego wyjdzie. Pomożesz mi, sir? W porządku, jestem ślepy, ale spójrz na te ramiona. - Napiął imponujące mięśnie. - Będę ciężko pracował. Powiesz mi, jeśli uznasz, że nie pracuję dość ciężko.

- Będę ciężko pracował i okradał ludzi - mruknął Mani.

- Powiedz chłopakowi, żeby przestał. Nie ciebie czy mistrza Touga ani twoich przyjaciół.

- W porządku - odpowiedziałem - możesz mi służyć tam na południu, o ile nie znajdziemy lepszego rozwiązania.

Zaskoczył mnie, nie po ru pierwszy. Odszukał dłońmi moje stopy, które sięgały do krawędzi krzesła i pocałował je. Zanim zdążyłem zareagować, był już przy drzwiach. Kiedy się odwrócił, zobaczyłem. Że w miejscu jego pustych oczodołów patrzą szeroko otwarte jasnoniebieskie oczy. Chwilę później drzwi zamknęły się za nim.

- To była sztuczka - powiedział Mani.

- Wiem. A szkoda.

- Pouk lepiej się spisał. - Mani zeskoczył z parapetu na podłogę, podszedł do mojego krzesła, a potem wykonał imponujący skok i przytrzymując się obicia, wciągnął się na górę. - Sprawił, że uwierzyłem, iż jest ślepy, a nie jest.

- Od początku nie widział na jedno oko - powiedziałem - odkąd go znam. O czym chciałeś porozmawiać, Mani? Coś tak osobistego, że chciałeś być ostatni?

- Nie. - Ułożył się na moich kolanach.

- Jeśli nie chcesz powiedzieć albo wolisz zaczekać...

- Pomogłem ci. Czy nie zasłużyłem na kilka minut rozmowy?

Przytaknąłem mu i przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a ja głaskałem go. Gylf, który wcześniej poszedł do stajni, zaskrobał w drzwi. Mani poprosił mnie, żebym go nie wpuszczał, więc zawołałem, by zajrzał do Touga.

- Wśliznąłem się tam razem z tobą - zaczął Mani.

- Do Pokoju Utraconej Miłości? Wiem.

- Poszedłeś tam z tą szaloną kobietą, ale mnie nie interesowało, jaką miłość utraciła. Poszedłem poszukać własnej. I to był błąd.

Nic nie odpowiedziałem, nie przestając go głaskać.

- Kiedyś byłem wolnym duchem. Byłem normalnym kotem nie nękanym przez kłamstwa. - Mani mówił powoli, jakby przemawiał do siebie. - Pierwsze istnienie jest najlepsze, drugie to najlepsze życie. Oba utraciłem.

Spojrzał na mnie, a ja wcale się nie ucieszyłem, widząc bezbrzeżny smutek na jego czarnym, żalonym pysku.

\* \* \*

Schildstarr siedział na tronie, który wcześniej należał do Gillinga, z taką swobodą, jakby zajmował to miejsce przez całe swoje życie, a przy nim stał Thiazi ze swoją złotą laską, jakby służył już ojcu Schildstarra. Była to jedna z nielicznych chwil, kiedy widziałem wyraźnie, że Angronici są zupełnie obcy, nie tylko dla nas, lecz dla każdego innego; Valfather wcale nie był dla nas obcy: był nasz, tak jak my należeliśmy do niego.

- Wasza Królewska Mość. - Beel dotknął niemal czołem kamiennej podłogi. - Gratuluję. I nie tylko we własnym imieniu, lecz także w imieniu mojego króla. Gratuluję wstąpienia na tron twoich przodków.

Nawet Uri, Baki czy inne Aelfy nie wydawały się obce w ten sam sposób. Kulili uczyniła ich na nasze podobieństwo.

- Witaj królu Schildstarrze!

- Witaj! - Garvaon, Svon i ja, stojący za Beelem i Idnn, uderzyliśmy w podłogę końcami kopii.

Michał też nie był obcy w ten sposób. On był taki, myślę, jakim chciałby być Valfather, kimś dobrym na ten sam sposób, w jaki miecz jest dobry, kimś, kto oglądał oblicze Najwyższego Boga.

Cudowny głos Idnn zabrzmiał nawet pomiędzy ginącymi w mroku krokwiemi tej okropnej sali.

- Wasza Królewska Mość! My, Idnn, królowa Jotunlandu, prosimy pokornie o przysługę.

Nawet smoki Muspelu należą do Muspelu. Dla nas są demonami, ale nie dla samych siebie.

- Mów, królowo Idnn.



Te nienaturalnie duże oczy, większe niż oczy sowy, zostały stworzone, by przeniknąć lodowatą ciemność Starej Nocy; a Stara Noc (byłem tam, choć tylko na jej skraju) nie należy do żadnego z siedmiu światów. Nie chodzi o to, że Angronicy wciąż wydają się wstrętni, ponieważ można się do nich przyzwyczaić. Rzecz w tym, że oni naprawdę są wstrętni, że być wstrętnym to być podobnym do Angronity.

- Nasz król nie żyje. Nie żyje też mój mąż, bo obaj byli tą samą osobą. Mamy w zwyczaju. Wasza Królewska Mość, my, ludzie z południa, opłakiwać męża przez rok i przez dziesięć lat króla. Dlatego widzisz nas ubranych na czarno i w czarnym będziemy chodzić przez jedenaście lat. Daleko na południu. Wasza Królewska Mość, stoi zamek z naszego panieństwa. Nie ma się co równać z tym tutaj w Utgardzie, a jednak jest mi drogi, ponieważ jest w nim pokój, w którym spaliśmy jako dziecko. Jeśli tylko Wasza Królewska Mość łaskawie, litościwie pozwoli, udałybyśmy się do tamtego pokoju, by opłakiwać stratę za zamkniętymi drzwiami. Wielkim zaszczytem jest móc przebywać na twym dworze, lecz zaszczyty nie osłodzą wdowiej goryczy i nie osuszą jej łez. Czy wolno nam odjechać? I czy za pozwoleniem Waszej Królewskiej Mości wolno nam odjechać pod eskortą mego ojca i jego świty?

Beel znowu się uklonił.

- Moje serce wyrywa się, by towarzyszyć pogrążonej w żalu córce, Wasza Królewska Mość. Także i obowiązek mnie do tego skłania. Nasz król posłał mnie do króla Gillinga. Muszę go powiadomić o śmierci króla Gillinga jak i o tym, że oto rozpoczęła się era twoich prześwietnych rządów. Pytam więc i we własnym imieniu - czy wolno nam odjechać?

Wistan i Toug poszli już wcześniej siodłać nasze konie, byśmy mogli oddalić się jak najszybciej, i zawiadomić mistrza Egra, by zajął się bagażami. Kiedy Beel przemawiał, zastanawiałem się, jak sobie radzą.

- Zanim odjedziecie - powiedział powoli Schildstarr - moglibyśmy dać wam podarunki dla waszego króla. Co ty na to, Thiazi?

Thiazi skłonił głowę.

- Dopilnuję tego, Wasza Królewska Mość.

- A zatem mamy twoje pozwolenie? - Beel zrobił krótki krok do tyłu. - Nie da się wyrazić słowami naszej wdzięczności, Wasza Królewska Mość. Niech panuje wieczny pokój między tymi królestwami.

Thiazi uderzył laską o podłogę, co oznaczało koniec audiencji. Na wydany

szeptem rozkaz Garvaona my, rycerze, zrobiliśmy w tył zwrot. Maszerując z kopiami trzeba iść równym krokiem, bo inaczej ich końce będą się obijać o siebie i poplączą się proporce. Ćwiczyliśmy pół ranka i wyszło niezłe.

Gdy wyszedłem na dziedziniec, zastałem tam Wistana, Touga i Egra gotowych do drogi.

- Będą jeszcze podarunki - wyjaśniłem - dla króla Arnthora. Musimy więc poczekać, aż nam je przekażą. Rozsiodłajcie konie i odprowadźcie je z powrotem do stajni.

Wistan spojrzał na mnie przestraszony, a Toug zniechęcony.

- Tylko mi nie mówcie, żeście się napracowali nadaremno. Pozbieraliście wszystko i wyczyściliście. Wyruszmy jutro z niewielkim opóźnieniem i tyle. A teraz przybliżcie się. Nie chcę krzyczeć do was.

Wszyscy zebrali się wokół mnie, nawet Lynnet.

- Zostańcie z końmi - powiedziałem - wszyscy. Musicie tu być, żeby odebrać podarunki. Lord Thiaz pokazuje je lordowi Beelowi, a sir Garvaon i sir Svon przekażą je wam. Zapakujcie je i strzeżcie ich dobrze. Z wyjątkiem lady Lynnet i jej córki nikomu nie wolno stąd odchodzić bez pozwolenia. Zrozumiano?

Skinęli głowami.

- Etelo, obie z matką będziecie spały w pokoju Touga razem z Manim. Jeśli was tam nie zastaniemy w chwili wyjazdu, to możecie zostać. Jasne?

Etela kiwnęła głową z powagą.

- Jeśli twoja matka będzie nalegała, by wyjść...

- Nie będę - przerwała mi Lynnet.

- Dobrze. Dziękuję ci, pani. Etelo, chciałem powiedzieć, że gdyby mama wyszła - gdyby ktoś przyszedł i zabrał ją gdzieś, na przykład - masz mnie natychmiast zawiadomić, bez względu na porę.

- Tak, sir, sir Able. Tak zrobię.

- Vil? Czy jest tu Vil?

- Jestem, sir Able - odpowiedział Vil, podnosząc rękę.

- Dobrze. Gdybyś nie mogła znaleźć mnie, Etelo, zawiadom giermka Touga albo Vila. Czy jest ktoś, kto nie wie, co ma robić?

Nikt się nie odezwał.

- To dobrze. Królowa Idnn ma diadem, który podarował jej mąż. Myślę, że podarunki króla Schildstarra będą równie okazałe albo jeszcze lepsze. Tak więc ktoś może zechcieć je ukraść. Jeśli tak się stanie, biada wam - i biada

złodziejowi.

- Wyjeżdżamy rano, sir Able? - zapytał Mistrz Egr.

- O tym musimy porozmawiać - odpowiedziałem i odprowadziłem go na bok.

\* \* \*

Teraz muszę napisać o rzeczach, których sam nie widziałem. Opowiedzieli mi o wszystkim Woddet i Hela.

O świcie ludzie Mardera siedzieli już w siodłach. Przed nimi rozpościerał się Trakt Wojenny, szeroki, prawie prosty i roziskrzony szronem. Jakąś milę przed nimi wiódł między głazami i usypanymi w stos kamieniami, przez co miejsce to wyglądało, jakby wyrównano jakieś skaliste wzgórze. Za tym płytkim wąwozem widzieli już wieże Utgardu, wieże tak ogromne, że można by pomyśleć, iż są niższe niż w rzeczywistości, gdyby nie fakt, że ich wierzchołki znajdowały się tak blisko Skai.

- Następny posiłek zjemy w zamku - powiedział Marder do Woddeta, ten zaś odpowiedział:

- Tak, Wasza Miłość, jeśli tylko jego mieszkańcy nie zamienią nas w swój posiłek.

Hela, która biegła obok, pokazała przed siebie krótką dzidą, którą zrobiła ze złamanej kopii.

- Patrząc na to, musicie przyznać, że lud mojego ojca nie jest aż tak podły.

- Nigdy tak nie myślałem - odpowiedział jej Woddet. - Wprawdzie nigdy jeszcze nie walczyłem z Synami Angr, lecz chętnie się z nimi zmierzę. Mówiono mi, że nie ma bardziej walecznych przeciwników w całym Mythgarthcie.

- Pomimo ran, drogi lordzie?

- Pomimo ran - odparł Woddet zdecydowanym tonem.

- Twoje życzenie się spełniło. - Hela jeszcze raz pokazała dzidą. - Widzicie tamte kamienie? Widzisz, książę? A ty, sir Leortcie?

Rycerz herbu Lamparty odpowiedział zdecydowanym tonem:

- Przecież widać je wyraźnie.

- A właśnie, że nie. - Hela uśmiechnęła się, szczerząc ogromne, żółte zęby podobne do ostrzy noży. - Nie tak wyraźnie, panie rycerzu. Tam nie

znajdziesz ani jednego kamienia. Wiem, bo byłam tak blisko Utgardu, a nawet bliżej. To, co widzicie, to Synowie Angr, którzy siedzą albo przykucnęli z głowami przykrytymi płaszczami przyprószonymi kurzem z drogi.

Marder ściągnął cugle swojego konia i uniósł dłoń, zatrzymując pozostałych.

- Czekaają na nas?

Hela skłoniła głowę.

- Na to wygląda. Wasza Miłość.

Rycerz herbu Lamparty powiedział:

- Pojadę do przodu i wybadam, jak sprawy stoją, Wasza Miłość.

- I zginesz, jeśli Hela mówi prawdę. - Marder pokręcił głową. - Helo, słyszysz sir Able'owi czy sir Woddetowi?

- Wcześniej sir Able'owi - odpowiedziała Hela - obecnie sir Woddetowi, za pozwoleniem sir Able'a.

- Sir Woddecie. Czy można jej zaufać?

Woddet uśmiechnął się do Heli.

- Powierzyłbym w jej ręce swoje życie.

- W takim razie nie próbujmy okazywać jej nieufności kosztem życia sir Leorta. - Marder obrócił konia i zaczął wydawać rozkazy; a kiedy ich łucznicy ukryli się w odległości strzału z łuku od kamieni, pozostali rozproszyli się na polu po obu stronach Traktu Wojennego, zsiadli z koni i wypuścili strzały.

Angroniu wstali, rycząc. Wtedy my, ich niedoszłe ofiary, które za moją namową opuściły Utgard przed świtem, usłyszeliśmy odgłosy bitwy i popędziliśmy przed siebie, by zaatakować ich od tyłu.

\* \* \*

Od czasu gdy opuściłem Skai, nie walczyłem tak jak tam, pędząc w dół powietrznych stoków i atakując kopią albo mieczem skierowane ku górze twarze synów Gigantów Zimy i Starej Nocy. Gdybym chciał opisać całą bitwę, zajęłoby to ze sto stron. Powiem tylko, że raz Eterne rozplątał czaszkę Giganta Mrozu aż po szczękę i choć próbowałem jednym cięciem ściąć głowy Orgalmira i Bergalmira, to mi się nie udało, więc olbrzym, przedtem

dwugłowy, walczył dalej z jedną głową, bluzgając obficie krwią z drugiej szyi, jakby chciał ufarbować cały Mythgarthr.

Ta krew, jak i krew innych, stała się uczną ponurych duchów, które sprowadził Eterne; w blasku poziomych promieni wschodzącego słońca nie różnili się od ludzi, a ostrza ich upiornych mieczy zadawały prawdziwe rany, na widok których na ustach ich właścicieli pojawiał się uśmiech, jakim uśmiechają się czaszki, podczas gdy oni sami zadawali już kolejne cięcie.

Za dużo pisałem dotąd o sobie. Pozwól więc, że napiszę teraz o innych. Po pierwsze, o Marderze. Nikt z tych, którzy go wtedy widzieli, nie zgadłby, że pod tym hełmem kryje się siwy włos i siwa broda. Nie widziałem nikogo, kto by lepiej radził sobie z kopią i koniem.

Beel także walczył dzielnie; a kiedy myśleliśmy, że poległ, znaleźliśmy go przygniecione gołębem zabitego Thryma i zaczęliśmy wiwatować, śmiać się i krzyczeć, kiedy zamrugnął i zaczerpnął gwałtownie powietrza.

Toug, który wcześniej zarzekał się, że nigdy już nie stanie do walki, walczył i został pokonany, i poległby pewnie, gdyby nie Gylf - większy i bardziej zażarty niż największy lew - który stał nad nim, dopóki Wistan nie odciągnął go na bezpieczną odległość.

Jeśli chodzi o rycerza herbu Lamparty, to wydawało się, że ożyła jedna z bestii z jego tarczy. Mimo iż złamał kopię i stracił hełm walczył dalej; rzadko widywałem, by miecz śmigał tak szybko i ciął równie głęboko.

Woddet, ranny poważniej nawet niż Toug, walczył, mając po lewej Heimira i Helę po prawej. Położyli trzech Angronitów, co oznaczało jednego na każdego z nich, ale ktoś, kto przysięga, że widział wszystko (i pewnie tak było, bo patrzył z mojej torby przy siodle) powiedział, że jeden padł z ręki Woddeta, a dwóch pozostałych pokonała Hela.

Mogę w to uwierzyć. Pani jest panną tarczy dla Valfathera i nie mogę porównywać z nią Heli. Ale pomyśl o bogini pochodzącej z podlegszego narodu, bogini o masywnych członkach, wysokiej niczym stojąca dęba klacz, z żarłocznymi ustami, rozwianymi włosami i ociekającą krwią dzidą. Gdybym zobaczył Helę podczas bitwy, pewnie bym się jej usunął z drogi.

Marder i rycerz herbu Lamparty zaskoczyli mnie. Mam nadzieję, że jasno to wyraziłem. Także Idnn, gdyż strzelała jak najlepsza łuczniczka, celując z zimną krwią podczas bitewnej zawieruchy. Najbardziej jednak zaskoczył mnie Garvaon. Wiedziałem, że jest znakomitym szermierzem. Widziałem w nim roztropnego, uważnego i może trochę zbyt ostrożnego rycerza. Walczył

równie zaciekle jak Hela, nawet wtedy gdy stracił hełm, kiedy obaj ze Svonem walczyli z wojownikami króla Gillinga. Pieszko bił się jeszcze dzielniej, a potem przytrzymał konia, który stracił jeźdźca, i dosiadłszy go, rzucił się w wir walki.

Tak więc nasi wojownicy walczyli dzielnie; i ja byłem wśród nich. Mieliśmy też trudniejsze chwile. Angronici zabiliby Idnn i rozpędzili łuczników, gdyby nie Svon i jego oddział służących i powiem szczerze, że wątpię, by Toug włączył się do walki, gdyby nie przykład Svona.

Krótko mówiąc, była to jedna z tych nielicznych bitew, w której walczyli prawie wszyscy (z wyjątkiem Bertolda i Gerdy, a także niewidomych niewolników, Eteli, Lynnet i niewolnic) i w której wszyscy spisali się dzielnie. Wydaje mi się, że bez Garvaona i rycerza herbu Lamparty byśmy nie wygrali, a ostateczne zwycięstwo możemy przypisać łasce Valfathera.

\* \* \*

Po bitwie stanąłem na czele tylnej straży - był w niej rycerz herbu Lamparty ze swoimi ludźmi i dziesięciu ludzi Mardera - tak więc nie miałem okazji porozmawiać z pozostałymi do czasu rozbicia obozu. Była późna noc, ciemna, ponieważ odjechaliśmy daleko z obawy przed pościgiem. Pouk pomógł mi zdjąć zbroję i zabrał się do jej czyszczenia, podczas gdy Uns (Idnn oddała go zgodnie z obietnicą) zaczął przygotowywać posiłek dla wszystkich. Idąc za namową Bertolda i Gerdy, położyłem się i pogrążony w półśnie, słyszałem szepty cięciwy mojego łuku: opowieści o życiu i śmierci wielu mężczyzn, kobiet i dzieci - o życiu wypełnionym przeważnie mozolnym trudem, biedą i głodem. Może nawet zamknąłem oczy. A może stało się to dużo wcześniej. Tak czy inaczej, obudził mnie służący Beela, który potrząsnął moim ramieniem, wołając:

- Sir Able? Sir Able?

Usiadłem i zapytałem, czego chce.

- Jego Lordowska Mość, sir Able. On... Jego Lordowska Mość chce z tobą mówić. Nie czuje się najlepiej.

Wstałem wciąż zamroczony snem.

- Umiera?

- Och, nie, sir! Mam nadzieję, że nie, sir. Tylko... nie może chodzić

daleko, sir Able. To znaczy, on by chciał, ale mu nie pozwalamy. Oni, sir. Chciał tu przyjść, sir. Chciał, żebym mu pomógł, żeby się nie przewrócił. Ale nie pozwolili, sir Able. Królowa, sir Able, i Jego Miłość. Więc musiałem się zgodzić. No i przyszedłem. - Zamilkł i chrząknął zmieszany. - Jeśli czujesz się obrażony, sir, to biorę winę na siebie.

Uns podsunął mi miskę z gulaszem i łyżkę. Gulasz pachniał wyśmienicie, tak więc, żeby go uspokoić, wziąłem od niego naczynie i zacząłem jeść.

- Gdybyś mógł przyjść, sir Able... Wiem... że nic mi nie zawdzięczasz, ale...

- Nonsens. Stałeś dzielnie w mojej obronie, Swert. Myślisz, że zapomniałem?

- Pamiętasz moje imię, sir Able? To... No cóż, sir, muszę przyznać...

- Jadłeś coś?

- Ja? No, raczej nie, sir Able. Nie od chwili, gdy opuściliśmy ten straszny zamek, sir. Nie było czasu, bo opiekuję się Jego Lordowską Mością.

Oddałem mu łyżkę i miskę trochę więcej niż w połowie wypełnioną jedzeniem, po czym zabrałem się za kromkę prostego chleba, którą dał mi Uns. Tak więc obaj ze Swertem (jedząc szybko po drodze) ruszyliśmy przez chaotycznie rozbity obóz do pawilonu Beela.

Liczyłem na to, że będzie spał, ale nie, siedział podparty poduszką na składanym łóżku w towarzystwie Idnn, siedzącej na stołku przy łóżku, i Mardera usadowionego na krześle i jedzącego owsiankę.

- Sir Able. - Beel wysilił się na uśmiech, choć widziałem, że bardzo cierpi. - Usiądź, proszę. Musisz być zmęczony, jak wszyscy.

Zerknąłem na Idnn, a ona odpowiedziała skinieniem głowy, któremu towarzyszył błysk diademu. Marder także kiwnął głową. Usiadłem na składanym krześle, które przyniósł Swert.

- Panie, widok ciebie siedzącego z uśmiechem na ustach jest wart wielu godzin odpoczynku. Myślę, że jej Królewska Mość i Jego Miłość zgodzą się ze mną.

- Zabiłem Thryma, kapitana straży królewskiej.

- Tak też słyszałem. Gratulacje, panie.

- A ja się aż tak nie cieszę. - Beel zamilkł na chwilę, a gdy spróbował poprawić się na łóżku, na jego ustach pojawił się grymas bólu. - Nie było cię tam, kiedy zatrzymał nas za murami Utgardu, sir Able. Jego Miłość też był nieobecny, ale pewnie o tym słyszałeś. Ktoś powiedział królowi Gillingowi -

choć nie mam pojęcia, kto to mógł być - o kocie Jej Królewskiej Mości. Ty, zdaje się, podarowałaś jej tego kota.

- Poprosiliśmy go o niego, ojcze - powiedziała Idnn - i wtedy nam go dał.

- Tak właśnie było. Chciał zobaczyć kota i kazał nam czekać na zewnątrz. Stałem tam na drodze zziębnięty i rozmawiałem z Thrymem chyba z godzinę. Rozumiesz, próbowałem go nakłonić, żeby nas wpuścił. Był jak potwór, największy z nich. Znasz mnie, Wasza Królewska Mość. Strasznie się go bałem, ale starałem się tego nie okazywać.

- Ależ nie mogłeś się bać, ojcze! - powiedziała Idnn.

- Bałem się. Trząsałem się jak galareta. - Uśmiechnął się. - Gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że będę z nim walczyć, to bym sobie podciął żyły. A gdyby mi powiedział, że wygram, odpowiedziałbym mu, że wszelkie przepowiednie to duby smalone, nawet moje. Znasz mnie. Wasza Królewska Mość. Huśtałem cię na kolanach i bawiłem się z tobą w chowanego. Czy ja jestem wojownikiem? Rycerzem lub kimś takim?

Idnn pokręciła głową.

- A teraz zabiłem kapitana straży króla Schildstarra. Ale nie o tym chcieliśmy z tobą rozmawiać, sir Able, choć może to mieć jakieś znaczenie. W każdym razie zrobiłem to i nie mogę przestać o tym mówić. Dla ciebie niewiele znaczy zabicie jednego giganta, choćby i kapitana straży. Ilu zabiłeś tego ranka? Dziesięciu?

Pokręciłem głową.

- Nie wiem, panie. Nie liczyłem, ale nie tyłu.

- Jechałeś w powietrzu - powiedział Marder. - Już wcześniej słyszałem o tym od moich ludzi, ale nie wierzyłem. Dzisiaj zobaczyłem to na własne oczy. Galopowałeś w powietrzu, jakbyś przemierzał wzgórza. I te twoje strzały - nie widziałem jeszcze tak silnego łuku. Nigdy.

- To zasługa cięciwy. Wasza Miłość. Dostałem ją, gdy byłem jeszcze chłopcem, i mam nadzieję, że nie będzie szybko potrzebna.

Nikt się nie odezwał, więc dodałem:

- A jeśli chodzi o galopowanie w powietrzu, to nie wyobrażaj sobie, proszę, że to potrafię. To mój wierzchowiec jedzie w powietrzu. Mam dobrego rumaka.

Mani wskoczył Idnn na kolana, a ona uśmiechnęła się do niego.

- I dobrego kota.

- Bardzo dobrego wtedy, gdy nie jest kotem Waszej Królewskiej Mości.



Marder wrzucił łyżkę do pustej miski.

- Potrzeba mi snu. Sir Able też jest pewnie śpiący - jak wszyscy tutaj. Tak więc, sir Able, chcieliśmy przede wszystkim powiedzieć, że po tym, co się dziś stało, Celidon i Jotunland tą w stanie wojny. Przygraniczne wypadki mogą być sprawą niesfornych wasali. Tego natomiast nie da się w ten sposób wytłumaczyć.

Przytaknąłem mu.

- Chcieliśmy cię też zapytać - odezwała się Idnn - dlaczego król Schildstarr przygotował zasadzkę na ludzi Jego Miłości - Posłała mi figlarny uśmiech, jak zwykła dawniej to robić. - Ponoć rycerze nie wiedzą zbyt dużo. Oni mają walczyć, a myślenie nam zostawić. Droczyliśmy się trochę w tej kwestii z sir Svonem.

- Mądrość Waszej Królewskiej Mości dorównuje jej urodzie.

- Dziękuję, sir. - Pochyliła lekko głowę, udając ukłon. - Jesteśmy królową Jotunlandu. (Jakiś odgłos na zewnątrz podpowiedział mi, że jesteśmy podsłuchiwani.) - Obawiamy się tylko, że królowa bez władzy jest królową pozbawioną mądrości, lecz na tyle mądrą, by wiedzieć, kto ją ma. Dlaczego król Schildstarr chciał zabić Jego Miłość i jego rycerzy?

- Myślę, że nie chciał, Wasza Wysokość - powiedziałem. - To nie oni mieli wpaść w tę zasadzkę. Natknęli się na nią od tyłu i roztropnie ją wypatrzyli.

- Dzięki olbrzymce sir Woddeta - rzekł Marder. - Ja bym się dał nabrać.

- Hela?

Skinął głową.

- Nie mieliśmy straży przedniej. Teraz widzę, że to było nierozsądne.

Idnn nie odrywała wzroku od mojej twarzy.

- W takim razie kto miał wpaść w tę zasadzkę, skoro nie Jego Miłość ze swoimi ludźmi? My?

- Mogę się tylko domyślać. Ale tak, myślę, że chodziło o nas.

- Przecież my nie... my wieźliśmy podarunki Schildstarr dla króla Arathora. Dlaczego miałyby...

- Przede wszystkim, żeby je odzyskać. - Zerknąłem na Mardera i Beela. - Czy mam mówić dalej? Bo jeśli wolicie odpocząć, to mogę porozmawiać z Jej Królewską Mością na osobności.

- Ja posłucham - rzucił Beel. - Jak najbardziej - dodał, zaś Marder wyraził swoją gotowość skinieniem głowy.

- Proszę bardzo. Po drugie, nie jesteśmy mile widziani w Jotunlandzie. Zanim Schildstarr włożył na głowę koronę, byliśmy dla niego kimś cennym, wojownikami, na utratę których nie mógł sobie pozwolić. Dlatego pomógł uratować sir Svona i jego ludzi, gdy zostali zaatakowani na targowisku. Za to kiedy już został królem, staliśmy się dla niego ciężarem. Jego lud gardzi nami, a jego kojarzono z nami.

Beel przytaknął mi.

- Między innymi z tego właśnie powodu chciałem jak najszybciej wyjechać.

- Ja także i miałem nadzieję, że jeśli wyjedziemy możliwie szybko, to nie będą mieli czasu na zorganizowanie czegoś takiego, co napotkaliśmy dzisiaj. Myliłem się oczywiście. Najpierw zorganizowali zasadzkę, a dopiero potem przekazali nam podarunki dla króla Arnthora.

Mani podniósł się i jakby polizał Idnn w ucho, ona zaś powiedziała:

- Czy nie byłoby dla nich lepiej zaatakować nas kolejno, kiedy jeszcze byliśmy w Utgardzie? Tam nie mielibyśmy koni, a niektórzy z nas byliby pozbawieni broni.

Pokręciłem głową.

- W ten sposób złamaliby prawo gościnności...

- My to rozumiemy, ale Giganci Mrozu?

- Tak sędzę. Wasza Królewska Mość. Kiedy nie tak dawno temu podróżowałem z pewnym przyjacielem, zostaliśmy zaatakowani w drodze do zamku gigantów. Odparliśmy atak i dotarliśmy do zamku, gdzie poprosiliśmy o gościnę. Udzielili nam jej i nakarmili nas, a nawet dostarczyli rozrywki. Przebywając tam, zorientowaliśmy się, że to nasi gospodarze zaatakowali nas wcześniej. Wymknęliśmy się z ich domu niepostrzeżenie i uniknęliśmy drugiego ataku, który planowali.

- Rozumiemy. - Idnn skinęła powoli głową.

- Przyniosłoby to Schildstarrowi złą sławę wśród jego własnych ludzi, na co nie mógł sobie pozwolić. I tak próbował zatrzeć to, że łączono go z nami.

- Z tego co powiedziałaś - dodał Marder - wynika, że wolał przeprowadzić atak w miejscu publicznym. Zabić was tak, żeby wszyscy widzieli.

- Zgadza się, Wasza Miłość. Chociaż bardzo ryzykował, czekając, aż zasadzka będzie gotowa, bo przecież mogliście przybyć i potroić nasze siły. Ryzykował i omal mu się nie udało.

Idnn westchnęła.

- Żeby odzyskać kilka świecidełek.

- Niezupenie, Wasza Królewska Mość. By upokorzyć małych ludzi, którzy nie raz go pokonali, karzełków, którzy według nich powinni być martwi albo zostać ich niewolnikami. A także by odzyskać diadem, który nosisz. Dla ciebie złote talerze, puchary i bursztyn to świecidełka, choć jest wielu odważnych mężów i wiele cnotliwych kobiet, którzy nie posiadają nawet połowy tak wspaniałego dobytku. Za to nie ma króla w Mythgarthricie, który nazwałby świecidełkiem diadem podarowany ci przez króla Gillinga.

- On ma rację, Wasza Królewska Mość - mruknął Beel. - Musisz na niego bardzo uważać.

- On nas kochał, prawda?

Przytaknąłem jej, a Marder powiedział:

- Zapewne.

- My go nie kochałyśmy. My... starałyśmy się wypełniać nasze obowiązki... - Wyjęła z rękawa chusteczkę i otarła łzy. - Być dobrym władcą dla naszego ludu. I wierzymy, że byliśmy przez ten krótki, bardzo krótki czas.

- On wiedział, że nie możesz go pokochać - powiedziałem łagodnym tonem. - To, co dostał od ciebie, było na tyle bliskie miłości, na ile mógł jej doświadczyć Angronita. Kochał cię więc na swój sposób i próbował ci to okazać.

Marder chrząknął.

- Ty, sir Able, sam nie należysz do grona tych odważnych mężów, którzy by mieli choćby złoty talerz czy bursztynowy naszyjnik. Masz dobrego konia, jak mówisz, i dobry miecz. Też bym się tak pochwalił, gdybym nie zobaczył twojego rumaka dzisiejszego ranka.

- I jego cięciwa - wyszeptała Idnn.

- Tak, Wasza Królewska Mość - powiedziałem. - Moja cięciwa, jak zauważyłaś, i mój łuk, którego inni nie uznaliby może za specjalnie wartościowy, a który sam zrobiłem, przez co bardzo go sobie cenie. Mam też królową mieczy siedmiu światów i najlepszego psa.

Mani wydał pogardliwy odgłos, który zlekceważyłem.

- Za to nie masz giermka - mówił dalej Marder - bo przecież Svon został rycerzem. Ani żadnej ziemi.

- Nie, Wasza Miłość.

- Kiedy lord Beel chciał cię tu wezwać, zastanawialiśmy się, czy poprosić

cię, byś przyszedł, pozbawiając cię snu - jak i siebie samych. Wysłuchałeś pytań lorda Beela i Jej Królewskiej Mości. Ja sam nie miałem żadnych aż tak pilnych, by usprawiedliwiały sprowadzenie cię tutaj.

- Jestem zawsze do twojej dyspozycji, Wasza Miłość.

- Tak, zauważyłem to. Hm! Nie mogę dać ci nowego giermka. Nie tutaj i nie teraz. Nie ma ze mną innych chłopców poza moim giermkim. A jeśli chodzi o ziemię, to stosowny akt czeka w domu, zamknięty w mojej szufladzie. Majątek już teraz należy do ciebie, a akt przekażę ci, jak tylko to będzie możliwe. Czerwony Dwór to jedno z najlepszych dóbr lennych w moim księstwie. Całkiem żyzna ziemia, dobrze położony przy drodze do Kingsdoom. Zdaje się, że słyszałeś o nim.

- Ten... - Nie potrafiłem wydusić z siebie słowa.

- To był dwór sir Ravda. Przekazany mi po jego śmierci, ma się rozumieć. Jest tam teraz mój zarządca. Możesz go zatrzymać. Albo nie. Zrobisz, jak zechcesz.

Chyba nawet nie skinąłem głową.

- Zawiadomię go, że przyjedziesz, i dam ci list do niego.

- Wasza Miłość jest niezwykle szczodry - powiedziała za mnie Idnn, być może za namową Maniego.

- Wcale nie. - Przez chwilę Marder wydawał się zażenowany. - Chciałbym zrobić dla ciebie coś więcej. Nie, zrobię więcej. Ale nie teraz, nie na tym pustkowiu. Później. Zobaczysz.

Potem już wyszedłem i to na tyle szybko, by zobaczyć ciemną postać, która znika w cieniu.

Następnego dnia ustaliliśmy, że rycerz herbu Lamparty obejmie dowództwo tylnej warty. Zgodziliśmy się wszyscy, że jest to najbardziej niebezpieczny posterunek. Wszyscy chcieli tam dowodzić: Garvaon, Svon i on sam, jednak Garvaon stał na czele straży przedniej, a Svon był ranny. Tamtego dnia pojechałem ze strażą przednią, a towarzyszył mi sir Woddet.

Równina Jotunlandzka to dziwne i niepokojące miejsce, co wcześniej próbowałem powiedzieć. Widuje się tam widma o świcie, a jeszcze częściej o zmroku. Słysząc dziwne odgłosy i można spotkać trudne do wyjaśnienia rzeczy - wiodące do nikąd ścieżki albo skorupy potłuczonych naczyń kiedyś prymitywnie pięknych.

Hela znalazła jedno z takich naczyń około południa; oddaliła się nieco od Traktu Wojennego i przyniosła je, by pokazać mi, a także sir Woddetowi. Z

glinianego garnka brakowało u góry kawałka wielkości mojej dłoni. Poza tym był cały.

- Czyż nie jest piękny, sir Able?

Przyznałem jej rację, lecz wyjaśniłem, że nie chcę już bardziej obciążać Chmury.

Heimir stwierdził, że naczynie przypomina Idnn, co mnie zdziwiło.

- Jest czerwony i... jakby niebieski. - Woddet wziął od niego garnek i obrócił w dłoniach, tak że promienie bladego zimowego słońca rozjaśniły ozdobny pasek koloru nieba, akwamaryny, monarchini. - Powiedziałbym raczej, że barwy Jej Królewskiej Mości to biel i czerń, z wyjątkiem diamentów.

- Chyba też tak myślę - wtrąciłem. Szczerze mówiąc, całą swoją uwagę skupiłem na drodze przed nami i nie patrzyłem na znalezisko Heli.

- Czerwone usta oczywiście - dokończył Woddet nieporadnie - ale oczy ma ciemne, a nie niebieskie.

- Jesteś jej przyjacielem? - zapytała go Hela.

Uśmiechnął się.

- Nie lubię jej tak, jak lubię ciebie. Sir Svon żywi do niej gorętsze uczucie.

- A czy on cię obchodzi, najdroższy panie?

Woddet spojrział na mnie skonfundowany, wtedy powiedziałem:

- Z pewnością, ale nie w tym sensie, jaki miałaś na myśli.

- Miałam na myśli to, co powiedziałam. Ani mniej, ani więcej. - Hela odrzuciła gliniane naczynie. - Czy uważasz go za swojego przyjaciela, najdroższy panie?

- Więcej nawet - odpowiedział Woddet i chrząknął. - Wyrzuciłem mu krzywdę, Helo. Tak myślę.

- I ja - dodałem.

- Ludzie mówili różne rzeczy, a ja uwierzyłem plotkom, ponieważ go nie lubiłem.

Ogromne, surowe oblicze Heli pozostało niewzruszone, nawet jeśli zrozumiała, co ma na myśli.

- Tak mi było łatwiej i wygodniej. A tak nie wolno. Rycerz tak nie postępuje. Honor człowieka jest świętością, nawet jeśli nie jest on rycerzem. Trzeba wierzyć w te dobre rzeczy, które opowiadają o człowieku i samemu się przekonać, czy są prawdziwe.

Tamtego ranka, w dzień po tym jak opuściliśmy Utgard, ta nasza rozmowa

nie miała większego znaczenia niż potłuczony garnek Heli. Ale odtworzyłem ją najlepiej jak potrafiłem, i gdy przeczytałem to jeszcze raz, uzmysłowiłem sobie, że powinienem był się zorientować, iż Hela zamierza wyświadczyć Idnn i Svonowi pewną przysługę - wcale nie taką małą.

## ROZDZIAŁ 24

### PODRÓŻ PO KOLACJI

Jechaliśmy przez cały dzień, zdecydowanie najcieplejszy od jakiegoś czasu. Nie widzieliśmy ani śladu pościgu, ale nie mieliśmy wątpliwości, że Angronici podążają za nami; wojenna banda utworzona z tych, którzy przeżyli bitwę, wzmocniona innymi z Utgardu i uzupełniana Angronitami z kolejnych rozrzuconych po okolicy gospodarstw, które mijaliśmy.

Przypuszczaliśmy, że Angronici będą nas tropić jak psy, aż dotrzemy na pogranicze Jotunlandu, i wtedy zaatakują. Gdybyśmy zaczęli uciekać, tylko ci na najlepszych wierzchowcach mieliby szansę - a pewnie nawet i oni nie. Gdybyśmy stanęli do walki, może i byśmy przeżyli, lecz należało się liczyć raczej ze sromotną porażką. Gdybyśmy się rozdzielili, wyłapałiby nas kolejno, a ci, którym by się udało uciec, i tak wpadliby w ręce angronickich wyrzutków zwanych Myszami.

Oczywiście postanowiliśmy walczyć, skoro nie mogliśmy zostawić ich bezpiecznie z tyłu. Ja jednak, nie mówiąc o tym nikomu, postanowiłem się wrócić nocą - nie żeby sprawdzić, czy Angronici nas ścigają, lecz by opóźnić ich marsz, jeśli to było możliwe.

Dzień stawał się coraz cieplejszy i przypominał jeden z tych zimowych dni w Celidonie, kiedy to wydaje się, że wiosna jest już blisko, mimo iż do jej nadejścia pozostały jeszcze długie miesiące. Śnieg na Trakcie Wojennym roztopił się w błoto, które oblepiło końskie nogi po kolana. Gylf dyszał, biegnąc przy mnie.

- To im utrudni drogę, miły panie - powiedziała Hela. - Mnie już jest coraz trudniej. Po jej twarzy ciekły strużki potu.

Woddet zatrzymał konia.

- Jeśli nie możesz nadążyć...

- Ale gdzie tam, dam radę, drogi sir Woddecie. Nie opuszczę cię. - W jej głosie zabrzmiała żelazna stanowczość.

Spojrzał na nią nieco zaskoczony.

- Nie to chciałem powiedzieć. Zamierzałem zaproponować, abyśmy oboje, a także twój brat, zwolnili i dołączyli do sir Leorta.

- Nie jestem zmęczona - upierała się Hela, mimo iż widać było wyraźnie, że jest.

Powiedziałem, że taka pogoda nie wytrzyma długo.

- Podobnie jak ja, sir Able?

Nic jej nie odpowiedziałem zbity z tropu.

- Wiesz, dlaczego... - Hela dyszała trochę jak Gylf z wywieszonym językiem. - Dlaczego lud mojego pana nazywany jest Gigantami Mrozu?

- Pewnie - odparłem. - Ponieważ ich najazdy zaczynają się w porze pierwszych przymrozków.

- Czy nie powinni raczej... Prowadzić wojny... podczas lata...?

Starłem się jej wyjaśnić, że giganci nie mogli opuścić swoich ziem przed zbiorami.

- Myślałam... Mogłabym was nauczyć...

Ściągnąłem trochę cugle Chmury, wyjaśniając Woddetowi, że za bardzo wyprzedziliśmy Garvaona. Zgodził się ze mną, choć pewnie się domyślił, że jest to tylko pretekst.

- Oni się duszą...

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem. Stara Noc, ciemność poza słońcem, to kraina Gigantów Zimy i Starej Nocy, gdzie panuje wieczna zima, jak mówi nazwa. Zima, mało światła - dla nich słońce to jeszcze jedna gwiazda, tyle tylko, że jaśniejsza. Mają ogromne oczy, dzięki którym widzą w ciemności jak sowy, i ogromne ciało, pokryte grubą skórą i owłosione, co ich chroni przed zimnem.

Poleciwszy Woddetowi, żeby zwolnił, podjechałem do Mardera, by z nim porozmawiać.

- W taką pogodę Angronici raczej nie będą nas ścigać, Wasza Miłość. Hela i Heimir ledwo za nami nadążają, mimo że w ich żyłach płynie nasza krew. Prędzej dokuczą nam zmęczone konie. Wczoraj mocno je przegoniliśmy.

- Też o tym myślałem. Jeśli nas dościgną, a nasze konie będą zmęczone, wtedy zatłuką nas jak króliki.

- Zgadzam się, Wasza Miłość. Całkowicie.

- W takim razie zarządzmy postój, gdy tylko znajdziemy trawę, i wodę - powiedział.



Zatrzymaliśmy się, i to niebawem, a było to możliwe tylko dzięki Heli, która wskazała nam odpowiednie miejsce. Trochę z boku od Traktu Wojennego - i bardzo dobrze, bo tylko ogar potrafi tropić w nocy, istniała więc szansa, że nasi prześladowcy pójdą dalej, jeśli nas nie wypatrzą. Gdyby tak się stało, moglibyśmy zaatakować ich od tyłu następnego dnia, kiedy nasze konie już odpoczną. Uns i Pouk rozbili obóz, a ja zająłem się Chmurą. Mani zaproponował, że wejdzie na drzewo - w Jotunlandzie rzadko rosną wysokie drzewa, choć czasem można takie spotkać - i będzie pełnił wartę; bo koty, jak powiedział, widzą w ciemności prawie tak dobrze jak Angronici.

Woddet i jego ludzie rozbili własny obóz, podczas gdy Heimir i Hela rozciągnęli się spoceni na czystej, miękkiej trawie. Zatrzymaliśmy się na postój tak wcześnie, że wszystkie pawilony stały już pewnie, gdy słońce wisiało jeszcze na szerokość dłoni nad horyzontem.

Uns udał się po ogień do ogniska Svona, ponieważ Vil okazał się mistrzem w rozniecaniu ognia, za co bardzo podziwiałem tego ślepcę.

- To nic wielkiego, panie - wyjaśnił Uns. - Po prostu szukasz dymu. Tyż bym tak zrobił. Ten Vil niucha go, dmucha, a potem wymacuje.

Przyszła Idnn i Bertold z jej krzesłem. Nauczyłem Unsa i Pouka przyklękać na kolano, jak jest w zwyczaju witać królową, a także odpowiednio skłaniać głowę. Gylf uklonił się na swój sposób, który zbyt pochopnie nazywamy płaszczaniem, podczas gdy jest to wyraz psiej kurtuazji.

- Wstańcie, dobrzy ludzie. - Idnn uśmiechnęła się do nas. - Czy zjesz z nami kolację, sir Able? Jego Miłość będzie nieobecny, podobnie jak sir Woddet i sir Leort. Być może nasz szlachetny ojciec zaszczyca nas swoją obecnością, ale spróbujemy go zniechęcić, jeśli się uda.

Planowałem odjechać zaraz po posiłku, mruknąłem więc coś głupiego o honorze i zobowiązaniach wobec Mardera.

- To właśnie spodziewaliśmy się od ciebie usłyszeć - zamiast tego zjemy razem. Uns, czy otrzymujesz sowite wynagrodzenie? Tylko odpowiedz uczciwie.

Uns znowu się uklonił.

- Znasz mnie, pani. Robię, co trza, i dostaję tyle, że mi starczy.

- Nie dostaje - powiedziałem. - Jak wszyscy inni.

- W takim razie nie będzie nic wstydliwego w tym, że poczęstujesz królową tym, co masz. Zjemy to, co sam byś jadł. Uwierz mi, jesteśmy tak

głodni, że zjemy nietoperze z Utgardu.

Spojrzała na Bertolda.

- Możesz odejść. Wracaj do naszego pawilonu, zjedz coś i odpocznij.

Bertold uklonił się i odwrócił, macając kijem drogę przed sobą.

- Sir Able, czy Uns będzie nam usługiwał?

- Zwykle to robi, Wasza Królewska Mość, lecz dzisiaj proszę, bym sam mógł dostąpić tego zaszczytu.

- Czy aby nie pozbawisz się w ten sposób możliwości spożycia posiłku? Jesteś trzy razy większy niż my - skoro my odczuwamy łaknienie, to ty pewnie umierasz z głodu.

- Jeśli będzie mi wolno obsłużyć siebie samego, to chętnie zjem.

- Dobrze. Prosimy więc, aby Uns i Pouk, choć wierzymy, że zacni z nich ludzie, pozostali poza zasięgiem słuchu.

Poleciłem im, aby pozostali po drugiej stronie ogniska i w odpowiedniej odległości od niego (jako że wieczór był dość ciepły), poza momentami, kiedy Uns musiał doglądać jedzenia. Potem przyniosłem dwie drewniane tace i dwa antałki wina, które Uns zmieszał z wodą.

- Powiedzą ci, kiedy mięso będzie gotowe?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- Mamy ochotę na chleb. Tylko nie mów, że jest twardy - wiemy to.

Przyniosłem jej połowę wypieczonego bochenka, który Svon schował dla nas jeszcze zanim wybuchła bitwa na targowisku.

- Trzeba by mieć zęby Gigantów Mrozu, żeby go ugryźć - powiedziała Idnn i odłupała kawałek chleba sztyletem. - Mają potężne szczęki. Jak jeden. Zauważyłeś to?

Skinąłem głową i powiedziałem, że zauważyłem.

- Pytałyśmy o to naszego męża. Mówiłyśmy mu, jaki jest przystojny. Rozumiesz zapewne. A on powiedział, że najbardziej lubią kości, i szkoda, że my ich nie jemy. Wyjaśniłyśmy mu, że jemy kości słowików i drozdów, a on się tylko uśmiechnął. Tak bardzo mu współczułyśmy! Powinnyśmy zapytać go, czy córki Angr mają równie silne szczęki, ale jakoś się wtedy nie złożyło. I może nawet nie byłoby to zbyt rozsądne. A ty wiesz, sir Able? Pewnie widziałeś kilka, od czasu gdy ci o nich opowiadałyśmy.

- Nie, ale spotkałem olbrzymki Zimy i Starej Nocy, Wasza Królewska Mość.

- Naprawdę? Jakie one były?

- Masz na myśli wygląd? Chętnie go zmieniają, Wasza Królewska Mość, podobnie jak mężczyźni.

- Masz na myśli mężczyzn Gigantów Zimy i Starej Nocy? Zapewne są to bajeczne stworzenia.

Uns zawołał, że zupa jest już gotowa, więc ją przyniosłem.

- Rzeczywiście - powiedziałem, podając jej zupę.

- Mówiłeś, że je widziałeś, te olbrzymki.

- Mężczyzn też widziałem, Wasza Królewska Mość. Kilku nawet zabiłem. Jeśli chodzi o kobiety, to Skathi jest piękna i miła, choć tak ogromna w swojej naturalnej postaci, że na jej brzuchu odbywają się uczty.

Idnn roześmiała się.

- Ustawiacie na niej stół?

- I to nie jeden, Wasza Królewska Mość, a kiedy śpiewamy, ona śpiewa z nami i otwiera usta, kiedy jemy, a my wrzucamy w nie smakołyki. Kiedy indziej przybiera postać wysokiej kobiety o silnych ramionach i złocistych włosach zaplecionych w wiele warkoczów, a jej mąż nosi tarczę.

- Wydajesz nam się szalony, choć być może w tym, co mówisz, jest więcej mądrości niż w trzeźwości wielu innych. A pozostałe?

- Angrboda jest córką Angr, Wasza Królewska Mość, choć została wypędzona ze Skai jak wielu innych z rodu Angr. Często ją widywałem, ale tylko z daleka.

Idnn uśmiechnęła się,

- Boisz się jej?

- Tak, ponieważ jej mężem jest Lothur, najmłodszy i najgorszy z synów Valfathera. Gdyby mnie zaatakowała - ponoć atakuje tych, którzy podchodzą zbyt blisko - musiałbym się bronić albo zginąć.

- Rozumiemy.

- Jest szkaradna, a dziecko, jak mówią, nosi w brzuchu przez tysiąc lat. Gdy już nadejdzie jej czas, wydaje na świat potwora i znowu łączy się ze swoim panem. Może to nie jest prawda.

- Ale ty uważasz, że może być. Długo byłeś w Skai?

- Dwadzieścia lat, Wasza Królewska Mość, mniej więcej.

- I widziałeś tylko je dwie?

- Jeszcze jedną, Wasza Królewska Mość. - Tamto wspomnienie zaciemniło moją pamięć nawet teraz. - Modgud strzeże Mostu Mieczy. Gdyby uległ zniszczeniu, duchy nie mogłyby nas odwiedzać, a są tacy,

którzy chcieliby go zniszczyć. Tak więc Modgud, olbrzymka, strzeże go w dzień i w nocy. Dzięki temu duchy mogą przechodzić, kiedy Helgate jest otwarte.

Idnn spróbowała zupy.

- Zakładamy, że jest dzika i dobrze uzbrojona.

- Nie wiem, jaką może mieć broń. Wasza Wysokość. Nie miała żadnej, kiedy ją widziałem.

- Czy jest ogromna?

Zorientowałem się, że Idnn nie przestanie mnie wypytywać, póki nie powiem jej wszystkiego; miałem tylko nadzieję, że gdy zdradzę jej dużo, nie będę musiał opowiadać wszystkiego. - Trudno ocenić naturalne rozmiary któregośkolwiek Giganta Mrozu i Starej Nocy - powiedziałem - jeśli widziało się go tylko raz. Kiedy widziałem Modgud, nie była większa niż wielu Angronitów.

- A jej postać...

- Panna, jasnowłosa o smuklejszych członkach niż Angronici, których dotąd widywałem, szczupła w talii i niezbyt szeroka w biodrach, ale wystarczająco kobieca w kształcie. Była bosa i biednie ubrana.

- A mimo to przestraszyła cię.

- Powiedzmy raczej, że wywarła na mnie wrażenie. Wasza Królewska Mość. Żeby oddać jej sprawiedliwość, muszę dodać, że nie sprzeciwiła się, byśmy weszli, a potem wyszli. Thunor pobłogosławił ją i pochwalił za opiekę nad mostem, a ona przyjęła z wdzięcznością jego błogosławieństwo i pochwały i wydawała się zadowolona. Thunor nam przewodził. - Chrząknąłem. - Wielu uważa, że Overcyni są nieustannie w stanie wojny z gigantami, ale to nieprawda. Czasem panuje między nimi pokój, kiedy indziej waśnią się.

Idnn kiwnęła głową z powagą.

- Wiemy. Nie powiesz nam tego, co chcemy usłyszeć? Zatrzymasz to dla siebie?

- Twarz Modgud to oblicze śmierci. Naga kość poza kobiecymi oczami. Może to tylko maska. Mam nadzieję.

Idnn pomieszała zupę i zjadła trochę.

- Cieszymy się, że to ty ją oglądałeś, sir Able, a nie my.

- Też ją zobaczysz, Wasza Królewska Mość, kiedy przejdiesz przez Most Mieczy.

- Mamy nadzieję usłyszeć coś więcej. - Idnn zjadła zupy, wylewając trochę z łyżki. - Nie wypytywałyśmy cię po to tylko, żeby zabić czas.

- Nigdy tak nie myślałem, Wasza Królewska Mość.

- Zniesiesz jeszcze kilka moich pytań? Co myślisz o Heli? Była twoją służącą?

- Tylko krótko. - Moja zupa stygła; spróbowałem jej, zastanawiając się. - Ona jest wyrzutkiem i wie, że zawsze tak będzie. Podobnie jak jej brat, tyle tylko, że on nie jest tego świadomy. Hela ma tego świadomość i z tego względu jest w niej jakieś piękno i smutek. To flejtuch, ale wierzę, że naprawdę kocha sir Woddeta.

Idnn skinęła głową; spojrzenie jej ciemnych oczu skierowało się na żar naszego małego ogniska, a może na Unsa i Pouka, którzy siedzieli z jego drugiej strony zajęci jedzeniem i rozmową.

- Mów dalej.

- On nie kocha jej tak, jak ja kocham królową Disiri. Mimo to jego czułość jest prawdziwa...

- A ona grzeje sobie dłonie w jego ciepłe.

- Rzeczywiście, Wasza Królewska Mość. Każdy poeta jest mądrym kłamcą, lecz zbyt mądrym, by kłamać zbyt często lub za bardzo. Nie zaufałbym jej tak jak ufam Poukowi czy Unsowi. Ale może jestem dla niej zbyt surowy.

- Możliwe, że i my także. Przyszła do nas dziś w nocy, nazywając nas królową, i zapytała, co wiemy o swoich poddanych.

- Miała na myśli Angronitów, Wasza Królewska Mość?

- Tak myślałyśmy. Powiedziałyśmy jej, że nie mamy żadnych poddanych, że Angronici są poddanymi Schildstarra i że nie sprawujemy rządów, choć jesteśmy królową. Chcesz już stąd odejść i pogalopować na swoim cudownym rumaku pośród gwiazd. Też byśmy tego pragnęły na twoim miejscu.

Przejrzała mnie na wylot. Udałem, że nie jestem zdziwiony i powiedziałem:

- Gwiazdy wiszą zbyt daleko dla mnie i dla Chmury, Wasza Wysokość. I wcale już mi się tak nie spieszy.

- Jeszcze trochę. Gdzie są kobiety Angronitów, sir Able? Te, które nazwały nas królową podczas ceremonii ślubnej?

- Wasza Królewska mość wie pewnie lepiej niż ja.

Idnn pokręciła głową.

- Zatrzymaliśmy się w gospodarstwie w drodze do Utgardu. Nasz sługa Bertold był tam niewolnikiem. Pamiętasz zapewne.

- Owszem, Wasza Królewska Mość, choć wydaje mi się, że miało to miejsce bardzo dawno temu.

- Wcale nie. Były tam też niewolnice, tak jak Gerda w innym gospodarstwie. Ale żadnych kobiet angronicznych. Ani żony, ani siostry czy matki. Hela twierdzi, że kobiety Angronitów pozostają naszymi poddanymi.

Zapytałem Idnn, czy spodziewa się, że wyjawię jej coś więcej ponad to, co sama wie na ten temat; kiedy nic nie odpowiedziała, zapewniłem ją, że nie powiem jej nic więcej.

- Powiedziała, że przyprowdzi tu niektóre z naszych poddanych, a potem znikła w ciemności nocy. Czy myślisz, że jesteśmy w niebezpieczeństwie?

- Masz na myśli swoje poddane, Wasza Królewska Mość? Nie wiem. Wszyscy obawiamy się Angronitów.

- Oczywiście. Kiedy Hela wyszła, przywołałyśmy Gerdę. Żyła wśród nich długo i dużo widziała. Zapytałyśmy ją, gdzie są kobiety, żony Angronitów. Nie powiemy ci wszystkiego, co od niej usłyszałyśmy - bo w większości mówiła bzdury. Mówiła, że widziała je z daleka, i że się ich bała - mają własne terytorium gdzieś bardzo daleko.

Popatrzyłem na nią z powątpiewaniem, jak sędzę.

- Wasza Królewska Mość mówiła już to kiedyś, tak mi się wydaje.

- Nie, bo oni nam tego nie powiedzieli. Nasz rasa wyginęłaby, gdybyśmy my kobiety mieszkały gdzie indziej, a wy mężczyźni gdzie indziej. Nie znam innych istot, które by tak żyły. A poza tym, gdyby kobiety mieszkały gdzieś tam daleko, jak Gerda mogłaby je zobaczyć? Tak więc przycisnęłyśmy ją - wiesz, co mam na myśli - nie wypuściłyśmy jej, dopóki nie powiedziała nam wszystkiego. Można je zobaczyć wczesnym rankiem. Bardzo wczesnie, przed wschodem słońca. Albo zanim wzejdzie księżyc. Dłużej niż trwa całe nasze życie Gerda musiała wstawać i ubierać się przy blasku ognia, doić krowy i wyprowadzać je na pastwisko. Czy wiesz, czego się bałyśmy? Podczas pobytu w Utgardzie?

- Samego tego miejsca i Angronitów.

- Tylko niektórych z nich, tych z dwoma głowami i czterema ramionami. Nie potrafimy powiedzieć dlaczego, bo nie byli gorsi od innych.

Przez dłuższą chwilę Idnn skupiła się na swojej zupie, a potem

powiedziała:

- Kto zabił naszego męża, sir Able?

Odpowiedziałem, że nie wiem.

- Nam się wydaje, że zrobił to jeden z tych potworów. Był tam taki z wieloma nogami. Widziałeś go? Przypominał pająka. Miał jedno duże oko i dwa mniejsze. - Idnn wzdrygnęła się.

- Inny miał całe ciało pokryte sierścią.

- Nienawidziliśmy go - to znaczy jego widoku. Może nawet był dobrym poddanym i należał do straży naszego męża. Ale kiedy jechałeś nad nimi na tym swoim cudownym rumaku i kładłeś kolejnych, pewnie z tuzin...

- Nie aż tylu, Wasza Królewska Mość.

- Z pewnością położyłeś tyłu z łuku, a my też strzelałyśmy, bo nauczyłyśmy się władać łukiem z innymi kobietami - a przynajmniej z tymi, które miały dość ikry - i miałyśmy nadzieję, że trafimy także i tego, że wypatrzymy go i pošlemy mu strzałę w oko. Niestety, tak się nie stało, ale liczyłyśmy na to.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedziałem. - Angronici zostali wypędzeni ze Skai, ponieważ byli gorsi. Nie dlatego, że byli źli - wielu Gigantów Zimy i Starej Nocy było równie złych, a nawet gorszych. W pewnym sensie nie dorównywali pozostałym. Być może wypędzono ich z tego powodu, że zatracili umiejętność zmieniania rozmiarów i postaci, którą to umiejętność posiadali Giganci Zimy i Starej Nocy. Wtedy może uznano, że nie są dość dobrzy, by mieszkać w Skai.

- Byłeś tam.

Pełen przeczuc nie przytaknąłem jej.

- A ty potrafiłeś to robić wtedy? Zamienić się w orła albo byka? Czy też stać się mniejszym niż Mani?

Uśmiechnąłem się.

- Który by mnie wtedy złapał i zjadł, i dostałbym za swoje. Nie widzisz, Wasza Królewska Mość, jakie to dziecinne?

- Byłeś marnym kłamcą, zanim udałeś się do Skai. Teraz wcale nie jesteś lepszy w tym względzie.

Wyjaśniłem jej, że nie skłamałem w niczym, co jej dotąd powiedziałem, że naprawdę nie byłoby mądrze stać się mniejszym niż Mani.

- Potrafisz to zrobić?

Pokręciłem głową.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Nie potrafię. Czy i teraz kłamię? - Postawiłem sobie miskę z zupą na kolanach i uniosłem dłonie ku Skai. - Valfather jest mi świadkiem. Nie potrafię robić takich rzeczy.

- Nie kłamiesz, ale nie powiedziałaś mi też wszystkiego.

Westchnąłem zapewne.

- Kiedy tu wróciłem, musiałem złożyć przysięgę Valfatherowi, której nie ośmieliłbym się złamać. Musiałem przysiąc, że nie użyję zdolności, jakie tam otrzymałem. Obiecałem. Czy twoim zdaniem on postąpił okrutnie?

- Naszym zdaniem on nigdy nie jest okrutny - powiedziała Idnn - ale ty zapewne tak czujesz.

- Nie. On jest mądrzejszy niż zwykły człowiek, mądrzejszy nawet niż Pani, której mądrość jest przecież niezrównana. On wie, ile zła mogą tu wyrządzić takie zdolności. Pamiętasz Touga?

- Oczywiście.

- W jego wiosce ludzie wielbią Aelfy. To fałszywy kult, który przynosi wiele złego im i ich sąsiadom. Czyż Najwyższy Bóg nie stoi równie wysoko jak Valfather?

- Zawsze sądziliśmy, że wyżej - powiedziała Idnn.

- Zgadza się. Ale niektórzy twierdzą, że tak nie jest, upokarzając w ten sposób niewyobrażalnie Valfathera. Gdybym posłużył się mocami, którymi mnie obdarował, mogłoby to dać początek kultowi, który by z nim rywalizował, a którego wyznawcy powiedzieliby, że jestem większy niż on. Zostałby upokorzony, choć byłoby to równie nieprawdziwe jak zachowanie mieszkańców Glennidam. A on przecież okazał mi niewyobrażalną dobroć. Pozwolił mi zabrać Chmurę.

Odstawiłem miskę i wstałem.

- Wystarczy tych rozmów, Wasza Królewska Mość. Czy wolno mi odejść?

- Zjedz swoje mięso i pozwól nam zjeść nasze, a potem możesz odejść z naszym błogosławieństwem, jeśli i nam będzie wolno z tobą odjechać.

W tym momencie wybałuszyłem chyba gały jak jakiś idiota.

- Czy jesteśmy aż tak ciężcy? Twoje ramiona i cała zbroja wazą z pewnością więcej niż my, a twoje siodło dorównuje wielkością dwom innym. Przecież jechaliśmy już na Chmurze.

Szukałem odpowiednich słów i wreszcie wydusiłem z siebie:

- Wasza Królewska Mość będzie narażona na niebezpieczeństwo.

Odpowiedziała mi uśmiechem, a Idnn zawsze miała czarujący uśmiech



zabarwiony zwykle nutką ironii.

- Nasza Królewska Mość tutaj jest w niebezpieczeństwie, sir Able. Nasza Królewska Mość będzie bezpieczniejsza na grzbiecie twego cudownego konia, gdzie będziesz nas strzegł, niż gdyby została tutaj bez ciebie.

- Sir Svon by się nie ucieszył, gdyby to usłyszał.

- Ale nie usłyszysz, jeśli mu nie powiesz. A poza tym, sir Able, on jest ranny i wcale nie jest głupcem, żeby się przyrównywać do ciebie, nawet gdyby nie był ranny. Czy myślisz, że on rozmawiał z Valfatherem, tak jak rycerz rozmawia ze swoim panem lennym? Czy...

- Mam nadzieję, że tak - odpowiedziałem jej. - Powinien był. Nieświadomie zaniedbałem jego wyszkolenie, kiedy był moim giermkim. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo, ale ufam, że sir Ravd nie zaniedbał tego całkowicie. Sir Svon rozmawiał z Valfatherem jako jego rycerz.

Idnn wstała. Choć nie jest wysoka, to w tym momencie taka mi się wydała.

- Należało nam się to upomnienie, ale nawet złajane wciąż pozostajemy królową. Zabierz nas ze sobą. Prosimy o przysługę.

Przyklęknałem.

- Ta przysługa ta jest dla mnie zaszczytem, zbyt wielkim, Wasza Królewska Mość. Ja... Zdumiewa mnie twoja wola znizenia się.

- Tak jak mnie raduje twoje przyzwolenie. Może dobrze będzie, - bym najpierw dosiadła konia, a potem zwolnię strzemię. Ach, jest i nasze mięso...

\* \* \*

Oczywiście nie było to takie łatwe. Musiałem przywołać Chmurę, a potem osiodłać ją i założyć jej uzdę przy pomocy Pouka.

- Zmęczy się - powiedziała Idnn; miałem wrażenie, że trochę żałuje swojej decyzji.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Podczas walki mogę na niej jeździć przez cały dzień i nie odczuwa specjalnie zmęczenia. - Chmura potwierdziła moje słowa myślą, zanim je wypowiedziałem.

- Czy wolno nam ją poklepać?

Skinąłem głową, wtedy Idnn pogłaskała delikatnie pysk Chmury, tak jak zachowują się ci, którzy znają się na koniach.

Uns przyniósł juki, lecz ja powiedziałem, że zostawię je, bo przecież wrócimy za godzinę lub dwie. Z pewnością wszystko to nie ważyło tyle co Idnn, ale chyba niewiele mniej, tak więc zostawiłem też Unsowi kopię.

- Jeśli Wasza Królewska Mość wyświadczy mi ten zaszczyt... - Przyklęknałem ze złączonymi dłońmi. Wyświadczyła mi ten zaszczyt, lecz wspięła się z taką lekkością, żeby zwątpiłem, czy w ogóle potrzebowała pomocy.

Dosiadłszy konia pierwsza, siedziała przede mną. Tak chyba to zaplanowała, pragnąc, bym jechał za nią owiany zapachem jej włosów, obejmując ją w pasie, kiedy Chmura wspinała się podniebnym stokiem, który tylko ona widziała.

Czy mogłem ją mieć? Niewielu mężczyzn wie mniej o ludzkich kobietach niż ja, więc myślę, że może tylko chciała, bym tego pragnął. Odezwała się dopiero, gdy Chmura wjechała na wierzchołek i pogalopowała przez równinę, a przed nią Gylf biegnący ku lasom.

- Och, to jest wspaniałe! - powiedziała i wzięła głęboki oddech, co wyczułem pod ręką, w której zwykle trzymam miecz.

Spośród wszystkich moich podróży konnych nad Mythgarthem tamtą pamiętam najlepiej: owiewał mnie nienaturalnie ciepły wiatr, a od zachodu widziałem posępne wieże śnieżnych chmur. Mniejsze chmury zasłaniały księżyc, którego srebrzysty blask rozlewał się po Skai. Patrzyłem na królową, która siedziała przede mną, i na zamek Valfathera płynący między gwiazdami. Królową w czarnej, aksamitnej sukni, w diademie na głowie, z rozwianymi, pachnącymi włosami. Miękką podatność jej talii wywołała we mnie tak gwałtowne pożądanie, że cofnąłem rękę.

- Dlaczego jedziesz do Utgardu, sir Able?

- Wcale nie, Wasza Królewska Mość, chyba że to będzie konieczne. Wracamy wzdłuż Traktu Wojennego w poszukiwaniu naszych prześladowców.

- Czy nie powinniśmy już ich zobaczyć? - Pokazała ręką. - Tam, na horyzoncie... to przecież blanki Utgardu.

Zgodziłem się z nią i pospieszyłem Chmurę.

Wiatr wiał coraz chłodniejszy. Idnn otuliła się szczelnie płaszczem, a Gylf zatrzymał się, dysząc ciężko. Okrążyliśmy Utgard dwukrotnie; paliło się kilka samotnych świateł, lecz my jechaliśmy tak wysoko, że nikt nie mógł nas zobaczyć. Zaczął prószyć śnieg, wtedy Idnn zadrżała i poprosiła, abym

znowu ją objął. Opasałem ją ramieniem i okryłem nas oboje swoim płaszczem.

- Przez cały dzień nasza aksamitna szata wydawała nam się za ciepła, nawet w nocy, ale nie zdjęliśmy jej ze względu na jej żałobny kolor. Dlaczego twój pies się oddała?

Zimne powietrze przyniosło niskie ujadanie Gylfa.

- Coś wywęszył - odpowiedziałem i skierowałem Chmurę w tamtą stronę.

- Z tak wysoka? - zapytał Idnn z niedowierzaniem. - Przecież nie może wywęszyć stąd niczego na ziemi!

- Nie wiem, co dla niego jest możliwe, Wasza Królewska Mość, ale z pewnością sama polowałaś na jelenie i tym podobne. Nie widziałaś nigdy swoich ogarów biegnących z podniesionymi wysoko łbami?

- Na świeżym tropie? Owszem, nieraz.

- Wtedy zapach unosi się w powietrzu. Ale to nie ludzka noga zostawia trop. Gdyby tak było, nawet najlepsze psy w Mythgarthrcie nie potrafiłyby wytropić człowieka w nowych butach. Zapach pochodzi głównie z krocza i spod pach. Część opada, lecz część unosi się z powietrzem, dlatego nawet najlepsze psy wężą przy ziemi na słabym tropie.

- Jest niżej niż my, ale tylko trochę.

- Bo nie musi schodzić dużo niżej, żeby złapać trop. Raczej nie tropi jednego mężczyzny, ani nawet dwóch czy trzech.

- Nie szli Traktem Wojennym.

- Nie - odparłem i pokazałem jej. - Widzisz ten jaśniejszy szlak? Tamtędy szli, jak mi się zdaje.

- W takim razie nie mają z nami nic wspólnego.

Wzruszyłem ramionami; może nie widziała, a tylko wyczuła.

- Nie obozujemy przy Trakcie Wojennym, Wasza Królewska Mość.

- Nie. W miejscu wskazanym przez Helę. - Idnn zamilkła na moment. - Rozumiemy, co masz na myśli.

- Tylko to, co powiedziałem.

- Są! Spójrz tam pod drzewami.

Wysunięty daleko do przodu Gylf zatrzymał się i chyba na mnie patrzył. Potrząsnąłem głową, licząc na to, że mnie widzi.

- Wracamy?

- Jak tylko lepiej się przyjrzę.

- Chciałbyś walczyć, prawda? Gdyby nie my, zaskoczyłbyś ich podczas

snu.

Miała rację, ale zaprzeczyłem.

- Ale my... cieszymy się, że tu jesteśmy. Oni właściwie nie są naszymi poddanymi. Nie będą nam posłuszni. Lecz byli jego poddanymi, a my...

- Jesteś ich królową, bez względu na to, czy będą ci posłuszni, czy nie.

- Tak. - W jej głosie zabrzmiała nuta wdzięczności.

- Możemy obudzić kilku i im to powiedzieć, Wasza Królewska Mość. To będzie niebezpieczne, ale zrobię tak, jeśli chcesz.

Westchnęła.

- Powiedzą mi, że służą królowi Schildstarrowi. Nie.

- Mądrze postępujesz. Może kiedyś, ale to nie jest jeszcze ten moment. - Zagwizdałem na Gylfa i zawróciliśmy.

- Policzyłeś ich?

Przypomniałem sobie sir Ravda i potrząsnąłem głową.

- My tak. Ponad czterdziestu. A pewnie nie widziałyśmy wszystkich pośród drzew.

- Będziemy walczyć z nimi tylko w ostateczności - powiedziałem.

- Ty, sir Svon i sir Garvaon.

- Tak. A także twój ojciec i Jego Miłość. I jeszcze sir Woddet i sir Leort ze swoimi łucznikami i zbrojnymi. No i Heimir, Hela i służba.

- Przeciwno osiemdziesięciu Angronitom?

- Przeciwno tylu, ilu ich będzie. Także Gylf. On jest wart stu dobrych wojów, Wasza Królewska Mość.

- Chcemy, żebyś nam coś obiecał, sir Able. Obiecuj nam, że najpierw pozwolisz nam z nimi porozmawiać? Zgoda?

- Dobrze, Wasza Królewska Mość. - Serce we mnie zamarło, choć wiedziałem, że ma rację.

- Pomożemy ci, jako że ty nam pomogłeś. Nie jesteś jedynym, który złożył przysięgę Wędrowcowi. Pamiętasz, co ci mówiliśmy o Heli?

- Że nakłoni twoje poddane, by złożyły ci hołd. Tak, Wasza Królewska Mość, nie zapomniałem o tym.

- Że kobiety są wciąż moimi poddanymi. To, co opowiedziałeś mi o gigantach ze Skai, ani trochę nie rozwiało moich obaw.

Wiedziałem, że mogłem powiedzieć jej więcej i bardziej ją przestraszyć.

- Czy Hela zrobiłaby to, gdyby myślała, że grozi mi z ich strony jakieś niebezpieczeństwo?

Roześmiałem się, widząc, że spodziewa się, iż potrafię zgłębić serce kobiety.

- Nie wiem. Wstrzymam się, jeśli chcesz.

Pokręciła głową.

- Jeśli one są nasze, to my należymy do nich i musimy im ufać.

Żałowałem, że siedzimy na komu, bo zapragnąłem przykłęknąć przed nią.

## ROZDZIAŁ 25

### ZAGUBIENI

Nienaturalne ciepło ustąpiło i teraz otaczała nas tak gęsta i zimna mgła, że nie widziałem wyciągniętej przed siebie ręki. Przyszedł Vil, nazbierał drewna i znowu rozpałił ogień. Pouk zapytał, czy ma osiodłać Chmurę, a ja odpowiedziałem, żeby zaczekał, aż opadnie mgła.

Przyszli Marder i Beel. Powtórzyłem swoją radę, a oni zgodzili się ze mną. Beel stwierdził, że mgła nie jest całkiem naturalna, na co nic nie odpowiedziałem.

- Ty tak nie uważasz, sir Able - powiedział Marder. - Powiedz nam.

- Dla mnie to tylko zwykła mgła.

Beel pokręcił głową.

- Wiesz więcej o czarach...

- Nie, panie,

- ...niż ja, ale nie mogę się zgodzić. Ta mgła to sprawa czarów Thiaziego. Próbowałem jej przeciwdziałać, ale muszę się przyznać do porażki.

Marder pociągnął się za brodę.

- Nie znam cię tak dobrze, jak bym sobie tego życzył, ale na tyle, by wiedzieć, że masz powód, aby tak mówić. O co chodzi?

- Wczoraj w nocy pojechałem z powrotem do Utgardu, Wasza Miłość.

Skinął głową.

- Jej Królewska Mość powiedziała nam o tym.

- Nie było mgły, ale świeciło się kilka świateł wysoko w wieży i jedno trochę niżej. Panowało tam przyjemne ciepło. - Przypomniawszy sobie o Heimirze i Heli, dodałem: - Przyjemne dla większości z nas. Zbyt przyjemne, byśmy mogli uznać, że jest naturalne. Kiedy już wróciliśmy z Jej Królewską Mością, Thiazii zaprzestał swoich działań i zima znowu wyszczerzyła na nas swoje kły.

- Ochładzając powietrze - powiedział Marder i skinął głową. - To by się zgadzało.

Beel także kiwnął głową, jakby przytakiwał samemu sobie.

- Nic dziwnego, że nie mogłem niczego działać. On nic nie robił.

- Czy potrafisz wzbudzić wiatr? - zapytał Marder.

- Oczywiście, że tak.

- To powinno rozpędzić mgłę. - Marder wstał. - Zaczekamy, aż mgła ustąpi, ale powinniśmy być gotowi do drogi, gdy tylko poprawi się widoczność.

Obaj znikli w otaczającej nas szarości.

- Zostanę tu na zawsze, jeśli taka jest ich wola - wyszeptał Vil.

Spytałem o Touga.

- Czuje się lepiej. Myślisz, mistrzu, że te damy, które sprowadzi Hela, mogą mu pomóc? Niektóre znają takie zioła, co ich nie znają mężczyźni.

- Zgadza się. Może i mogą pomóc. Tylko, Vil, skąd ty wiesz o tym, co ma zrobić Hela? Powiedziała ci?

- Nie, sir. - Jego puste oczodoły wpatrywały się w ciemność, której nie potrafiła usunąć żadna magia. - Nie podsłuchiwałem, przysięgam.

- Mam nadzieję, że nigdy byś się do tego nie posunął.

- No cóż, mógłbym, ale tego nie zrobiłem. Opiekowałem się mistrzem Tougiem. Poprawia mu się, tak jak mówiłem, tylko się wstydzi, mistrzu. Wstydzi się porozmawiać z tobą. Chciałby tu przyjść, ale się wstydzi. Nawet z sir Svonem nie chce za bardzo gadać.

Pouk chrząknął i splunął.

- Sam żem był zaskoczony, Vilu. Bo kto nie był? Moglibyśmy mu ciupkę podokuczać, znaczy się ja i Uns moglibyśmy, żebyśmy tylko, wiedzieli, o co chodzi, ale ja nie wiem. Ale nic złego byśmy nie chcieli mu zrobić. Co nie, Uns?

- Ja nie. Nie, sar! Toż to giermek Toug.

- Skoro on nie chce przyjść do nas - powiedziałem - my pójdziemy do niego. Ale wydaje mi się, że on nie żartów się obawia. Ukradłeś coś od czasu, kiedy jesteś tu z nami, Prawdomówny Vilu?

- Nie, sir! - Vil uniósł dłonie. - Zupełnie nic, sir. Tobie bym nic nie ukradł, mistrzu. Przenigdy. Możesz mnie przeszukać albo każ to zrobić swoim ludziom. Zrób jak chcesz.

Uśmiechnąłem się.

- Akurat. Na wiele by się to zdało. Jeśli coś ukradłeś i gryzie cię sumienie, to wystarczy, że oddasz, a nie zostaniesz ukarany.

- Tobie nic bym nie ukradł, sir Able. Masz moje słowo.

- W takim razie idź już - powiedziałem.

Po odejściu Vila Uns zapytał, co Vil zabrał.

- Nie wiem, ale widziałem, że Gylf mu nie ufa, no i wiedział o Heli.

- A co z Helą?

- Poszła przyprowadzić kobiety, jak powiedział - wyjaśnił mu Pouk.

By ukrócić plotki, które zaczęli sobie opowiadać, stwierdziłem, że oczekuję czystej zbroi i wyczyszczonej uprzęży. Kiedy zabrali się do pracy, wziąłem Gylfa na bok i zapytałem, co Vil zabrał, on zaś odpowiedział mi tylko:

- Nie wiem. - I zaraz dodał: - Nie widzę. - Chyba chodziło mu o to, że polega głównie na odgłosach i zapachach. Nie powiedział: „Uszy do góry” - jak zwykł mawiać, ale tak jakby to miał na myśli.:

Przyszedł Svon i zapytał, czy możemy porozmawiać na osobności.

- Tu nie ma jak porozmawiać na osobności - odpowiedziałem mu. - Jeszcze gorzej jak w nocy. Trudno powiedzieć, czy ktoś nie podsłuchuje.

- W takim razie obiecaj, że nie powtórzysz tego, co ci powiem.

Nie obiecałem.

- Jesteś... - Urwał, jakby trudno mu było wydusić z siebie to, co zamierzał mi oznajmić. - Jesteś... największym rycerzem spośród nas wszystkich.

- Wątpię, ale co z tego?

- Wszyscy tak mówią. Sir Garvaon i lord Beel, sir Woddet i Jego Miłość - księżę. Nawet królowa Idnn.

- Dziękuję łaskawym Overcynom za sir Leorta.

- On też tak twierdzi. Zapomniałem o nim. Byłem twoim giermkim. Wiem, niezbyt długo.

- Wystarczyło na podróż, która nam wydała się długa.

- Pamiętam. - Przez chwilę wydawało się, że już nic więcej nie powie. - Ja nie lubiłem ciebie, a ty nie lubiłeś mnie.

Zgodziłem się z nim.

- Powiedziałaś kiedyś, że byłeś tym chłopcem, który wyrzucił w krzaki mój miecz. Nie mogłeś nim być, ale tak powiedziałaś.

- I tak jest.

- Przecież jesteś największym z rycerzy. Za miesiąc noga mi się wygoi. Czy wtedy będziesz ze mną walczył? Zamierzam cię wyzwąć. Wołałbym, żebyś przystał na to ochoczo - żebyśmy walczyli ze sobą jako przyjaciele.



- Przyjmę twoje wyzwanie - obiecałem mu. - Ale nie tutaj, w Jotunlandzie. Svon, który rzadko się uśmiechał, teraz to zrobił.

- A zatem umowa stoi! Podasz mi teraz rękę?

Uścisnęliśmy sobie dłonie, jak przystało na przyjaciół.

- Dlaczego nie chciałeś obiecać, że nikomu nie powiesz.

- Bo nie wiedziałem, o co chodzi. Mógłbyś zechcieć mi oznajmić, że zamierzasz nas zdradzić.

- Albo że zdradziłem sir Ravda, jak mówią inni. - Uśmiech na jego twarzy zgasł.

- To by mnie tak bardzo nie niepokoiło. Ale gdybym dał ci słowo, że nie zdradzę twojej tajemnicy, to by tak było. Gdybyś zamierzał zdradzić nas przed Angronitami, walczyłbym z tobą tu i teraz i zabiłbym cię, gdybym potrafił. Lecz nigdy bym nie ujawnił tego, co mi powiedziałaś.

Svon skinął powoli głową.

- Rozumiem. Ty naprawdę myślałeś, że chodzi o coś takiego.

- Obawiałem się, że tak. Co nie znaczy, że twoje wyznanie, czy też kogokolwiek innego, dotrze do wszystkich jak jedzenie przy kolacji. Jednak nie masz mojego słowa, że tego nie zdradzę, ani ci tego nie obiecuję.

Przez chwilę wydawało się, że się dusi, a potem wreszcie Svon powiedział:

- Kocham Idnn. Jej Królewską Mość.

- Czy to kolejne wyznanie? To już wiedziałem podobnie jak chyba wszyscy inni.

- Myślę, że ona... że...

- Tak. Bez wątpienia.

- Tylko że ona jest królową, a ja... mój ojciec był baronem.

- Ale ty nie jesteś, a przynajmniej nie teraz. Dlatego chcesz ze mną walczyć, prawda?

- Między innymi. Tak.

- Chciałbyś, żebym przegrał? Żebym się poddał. Oczywiście po zaciętej walce.

- Nie ma mowy!

- Co będzie, jeśli wygram?

Svon wyprostował się.

- Przeżyję albo zginę, tak jak inni pokonani rycerze. - Jeśli umrę - w pewnym sensie liczę na to - to polegnę z chustą jej Królewskiej Mości na

hełmie.

Pogratulowałem mu.

- Mimo iż wyzywam na pojedynek najznamienitszego rycerza w całym Mythgarthricie, nie będę jej godzien. Ale przybliżę się do tego. Sir Woddet walczył z tobą. Podobnie jak sir Leort i Jego Miłość.

- Podałeś mi niektóre z powodów - powiedziałem. - Czy ujawnisz pozostałe?

- Ponieważ zabrałeś mój miecz. Upokorzyłeś mnie i uznałeś za tchórza, jeśli to rzeczywiście byłeś ty.

- Byłem.

Jego surowe, przystojne oblicze (bardziej ludzkie przez złamany nos) wyrażało śmiertelną powagę.

- W takim razie muszę się sprawdzić.

- Już to zrobiłeś - odpowiedziałem mu.

Pokręcił głową i zaraz powiedział, jakby chciał mówić o czymś innym:

- Ta mgła... czy ona się nigdy nie podniesie?

Kiedy wyraziłem swoją troskę o Touga, Svon wzruszył tylko ramionami.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś wymyślił coś, żeby musiał tu przyjść.

- Oczywiście. Jak tylko tam wrócę. On wciąż rozpacza.

Svon spodziewał się chyba, że coś dodam, więc powiedziałem:

- Wiem.

- Etela jest mu bardziej pomocna niż ja.

- To normalne.

- Także jej matka, Lynnet. A i Vil bardzo się stara; pokazuje mu różne sztuczki, a potem każe Tougowi opisywać, co widział i pokazuje jeszcze raz - czasem - żeby Toug zobaczył, jak to zrobił. Wylizę się. Jak każdy chłopak.

Przytaknąłem mu, mimo iż nie miałem pewności, czy mogę się z nim zgodzić.

Svon odwrócił się, by odejść.

- Tak sobie pomyślałem... - Znowu spojrział na mnie. - Powiem ci. Przez całe życie wciąż słyszę od innych mężczyzn, jak to ten czy tamten im pomagał. Mnie nikt nigdy nie pomógł.

- Sir Ravd próbował.

- Tak. I teraz też ktoś to zrobił. Ty mnie pasowałeś - wyniosłeś do godności rycerza. Czy naprawdę ktoś dał ci do tego prawo? Jakiś władca?

- Dał mi je i wciąż je mam.

- Królowa, która, jak mówisz, pasowała cię na rycerza? Królowa Aelfów Mchu?

Pokręciłem głową.

- Nie będę więcej pytał. Jego Miłość zdziwił się, kiedy się dowiedział, że jestem rycerzem. Początkowo myślał, że to lord Beel dał mi pasy rycerskie. Powiedziałem, że ty mnie pasowałeś, spodziewając się jego sprzeciwu, ale się myliłem, bo on mi pogratulował. Wtedy zapytał mnie, czy ślubowałem ci wierność. Odpowiedziałem mu, że nie, bo już wcześniej złożyłem przysięgę lordowi Beelowi. Byłeś tam.

Przytaknąłem mu.

- Cała ceremonia była bardzo nieformalna. Chyba ją powtórzymy, kiedy wrócimy do domu. Jeśli wrócimy.

Zapewniłem go, że wrócimy, ale ceremonii nie powtórzymy.

- Nie dlatego, że Jego Lordowska Mość odmówi, ale z tego powodu, że poprosisz o zwolnienie z przysięgi. Bo będziesz wasalem kogoś innego.

- Idnn. Jej Królewskiej Mości.

Skinąłem głową.

- Myślałem o tym. Ja... Ona nic nie ma, nikogo, a ja mam ziemię, którą dostałem od jej ojca. Swiftbrook. Pewnie, że to nic wielkiego, ale mogę zdobyć więcej.

- I zdobędziesz.

- Dziękuję. Dziękuję ci za wszystko. Nauczyłeś mnie więcej, niż zdajesz sobie sprawę. - Znowu się odwrócił i zniknął we mgle już po kilku krokach. A potem usłyszałem już tylko jego głos: - Będziemy walczyć w domu. Zgodziłeś się. Może potem ona mnie przyjmie. - Z siły jego głosu wywnioskowałem, że nie odszedł daleko.

Upłynęła godzina, a przynajmniej tak mi się wydawało, trudno jest się zorientować w czasie, kiedy nie widać słońca. Mani przyszedł, do mnie i zapytał:

- Podoba ci się?

- Co, nasze ognisko? - Wiedziałem, że nie to miał na myśli. - Nie za bardzo. Drewno jest mokre.

- Mgła.

- Nie. Też jest mokra.

- Mnie też się nie podoba. - Wskoczył mi na kolana i ułożył się wygodnie.

- Wiesz co, mój drogi właścicielu, szkoda, że mnie nie zabrałeś na

przejażdżkę z królową.

- Pewnie schowałeś się w jednym z juków. Powinienem był się domyślić.

- Jakbyś się nie domyślił! Ale gdybym was słyszał, może mógłbym podsunąć jakąś radę. Tylko mi nie mów, że to ty jesteś Able, ja to wiem.

- Ja tak nie żartuję.

- Och, wcale! Nie, ani trochę. Twoje żarty są lepsze, tylko często wydaje ci się, że nikt ich nie rozumie.

- Tak jak i tobie - powiedziałem i pogładziłem go po grzbiecie.

- Nie powiedziałaś nic nikomu o... o tamtym pokoju? O pokoju lorda Thiaziego?

- Masz na myśli swoje przeżycia stamtąd? Nie.

- Dziękuję. Wciąż o tym myślę. Dużo myślę. Co rzadko mi się zdarza.

- Że niby jesteś taki więcej introspekcyjny? Ani trochę.

- Czy naprawdę będę wolny, kiedy kot zdechnie? Mówiłeś coś na ten temat - albo ktoś inny. Muld też mówi. Że znowu stanę się elementarną istotą.

Nie miałem pewności, czy chce, żebym mu odpowiedział, lecz on nalegał, więc to zrobiłem:

- Nie - odpowiedziałem mu. - Nie staniesz się.

- Ona mówi, że istoty elementarne tak naprawdę nie żyją i tylko im się tak wydaje, że żyją, więc nie mogą umrzeć.

Powiedziałem mu, że ona ma rację.

- W takim razie będę wolny. Ona tak twierdzi.

- Istota elementarna będzie wolna, ponieważ nie będzie już z nikim dzieliła życia. Ty nie jesteś ani nią, ani kotem. Jesteś jednym i drugim, a kot zdechnie tak jak wszystkie inne koty.

- Chciałbym myśleć, że jestem... Tym drugim. Tym, co mówi.

- W takim razie obetnę ci ucho i przekonamy się, czy to boli.

- Obciąłbyś, co? - Głos Maniego, zawsze podobny do miauczenia i mruczenia domowego kota, teraz przypominał je jeszcze bardziej, ale wciąż go rozumiałem.

- Nie. - Sięgnąłem po sztylet, a wtedy on zniknął w ciemności nocy.

Svon obiecał, że przyśle Touga, tak więc czekałem jakiś czas, grzejąc dłonie nad ogniem i rozmyślając o Disiri i o tym wszystkim, co będę musiał zrobić, zanim zacznę jej szukać. Obiecałem walczyć ze Svonem - w tych okolicznościach nie mogłem mu odmówić - mógł mnie zranić poważnie, a

wtedy znowu musiałbym odłożyć poszukiwania. Istniała też możliwość, że go zabiję, by nie dać się zranić.

Wreszcie uznałem, że Svon nie wysłał do mnie Touga albo też Toug był niedostępny, i przypomniałem sobie, co powiedział Uns, że pójdzie do Touga, jeśli ten nie przyjdzie do nas.

Dałem znak Gylfowi i wstałem. Pamiętając, w którą stronę poszedł Vil, zacząłem iść we mgle jak ślepiec. Kierowałem się we właściwą stronę, jak mi się wydawało, macając grunt pod nogami mieczem w pochwie i zatrzymując się co kilka kroków.

W pewnej chwili usłyszałem głosy, a zaraz potem głucho zgrzyty albo skrzypienie, które nie od razu rozpoznałem. Ktoś (byłem prawie pewny, że to Svon) coś powiedział. I zaraz ktoś inny się odezwał, a mógł to być głos samego Touga. A potem znowu usłyszałem zgrzytanie, odgłos kamienia przesuwającego się na innym kamieniu, który zwykle poprzedza lawinę.

Zrobiłem krok do przodu i znowu usłyszałem głos: teraz nie miałem wątpliwości, że to Toug, który powiedział:

- Skoro twierdzisz, że go zabiłeś, to niech tak będzie.

Nigdy wcześniej nie czułem tak dużej pokusy, żeby podsłuchać czyjąś rozmowę. Zawołałem:

- Toug? Czy to ty? - Niemal udławiłem się swoimi słowami.

- Panie! - To był kamień na kamieniu. Wiedziałem, do kogo należy ten głos.

- Tak - odpowiedziałem. - Tu jestem, Org.

Nie był najbardziej przerażającą istotą, jaką widziałem, ponieważ widziałem smoki, ale wyglądał strasznie, szczególnie w ten ponury mglisty ranek. Ledwo się powstrzymałem, by nie wyciągnąć Eterne.

Przyklęknął i skłonił głowę, powtarzając:

- Panie.

Położyłem dłoń na jego głowie, która była bardzo gorąca, zupełnie jak kamienie do ogrzewania łóżka.

- Sir Able? - To był głos Svona.

- Tak - zawołałem, a trochę ciszej zwróciłem się do klęczącego potwora: - Byłeś niegrzeczny, Org?

- Dużo. - Kiedy to mówił, podniósł wzrok; w szparkach jego oczu czaiło się niewypowiedziane okrucieństwo, ale i cierpienie.

- Zabiłeś króla Gillinga? Powiedz prawdę. Nie będę cię winił i nie ukarzę.

- Nie, panie.

Skinąłem głową.

- Tak myślałem, Org.

Z mgły wyłonił się Svon.

- Z powodzeniem mógł to zrobić. Zgodzisz się ze mną?

- Albo ja - odpowiedziałem. - Tak samo jak ty i kilku innych. Ale to nie jest teraz ważne. On ma złą naturę. Wiemy o tym i on też. Przyznaj się, że zdradziłeś sir Ravda!

Svon cofnął się o krok.

- Nie! Nie zdradziłem go!

Wzruszyłem ramionami.

- Widzisz?

- Chcesz powiedzieć, że też mam złą naturę.

- Ja także. Czyż nie walczymy po to, by oczyścić się ze zła? Boimy się umrzeć i boimy się żyć - boimy się tego, co możemy zrobić. Tak więc wyzywamy kogoś na pojedynek. Gdybyśmy byli dobrzy...

Wistan podszedł na tyle blisko, że go rozpoznałem.

- Gdzie jest Toug? - zapytałem go.

- Myślałem, że z tobą - powiedział Svon.

- Wysłałeś go do mnie?

- Tak. Razem z Etelą, jej matką i Vilem. Nalegała.

Kiedy nic nie odpowiedziałem, dodał:

- Myślałem, że ich odesłałeś, żeby porozmawiać z Tougiem na osobności.

Gylf zaskomlał, przyciskając łopatkę do mojego biodra. Dopiero teraz zorientowałem się, że poszedł za mną.

- Miejmy nadzieję, że się znajdą, gdy mgła ustąpi - powiedziałem. - Czy Org dobrze ci służył?

- Podśluchiwałeś nas.

- Słyszałem tylko głosy, ale nic z tego, co powiedziałeś.

Wistan chciał coś powiedzieć, lecz Svon powstrzymał go gestem dłoni.

- Chcesz go z powrotem?

- Tak - odpowiedział sam Org.

- Powinienem był ci podziękować za niego. To znaczy, kiedy...

- Kiedy podzieliłeś się swoim wyznaniem.

Svon skinął głową.

- Tak. Wtedy. Tak się przyzwyczailem do tego, że ukrywam fakt, iż

jestem jego stróżem...

- Pewnie bardzo ci ciąży ten obowiązek.

Jeszcze raz skinął głową.

- Starłem się, żeby i on był zadowolony i pozostali. Chroniłem go przed nami i nas przed nim. A przynajmniej próbowałem.

- Nie wątpię w to.

- To moja wina, sir Able - odezwał się Wistan.

- Co takiego? - Domyśliłem się, ale uznałem, że lepiej będzie, kiedy mi to sam powie.

- Sir Svon był sam, nie licząc tej szalonej kobiety.

- Lady Lynnet.

- Jej właśnie, ale myślałem, że ona nie ma znaczenia. Jej córka mi powiedziała. W każdym razie opowiedziała mi wystarczająco dużo. Wtedy ja powiedziałem, że jestem przyjacielem Touga i wydaje mi się, że Etela myślała, że Toug powiedział mi o Orgu. Widziałem go raz czy dwa, kiedy byliśmy w Utgardzie.

- Jak pewnie większość z nas - rzucił Svon.

Skinąłem głową, a przez cały czas czułem, jak Gylf przyciska się do mojej nogi.

- Pomyślałem więc, że to pomoże Tougowi, jeśli Org powie - nie wszystkim, a tylko tym najważniejszym - że to on zabił króla.

Jego słowa zaskoczyły mnie.

- Ty myślisz, że Toug go zabił i teraz czuje się winny - powiedziałem. - Zapewniam cię, że tego nie zrobił.

- Nie. Oczywiście, że nie.

Svon chrząknął.

- Był z Wistanem podczas pierwszego ataku na króla Gillinga. Zgadza się, Wistanie?

Wistan przytaknął mu.

- A kiedy król został zabity, walczył u mego boku, więc jest to niemożliwe. Tylko że zdaniem Wistana inni uważają go za winnego.

- Jej Królewska Mość.

- I Jego Lordowska Mość. Jej ojciec - dodał Wistan. - Nie powiedział tego, ale tak myśli i nie ufa sir Svonowi ani mnie, ponieważ jesteśmy jego przyjaciółmi. To znaczy ja jestem - jego przyjacielem. A zatem tak jest. Gdybym myślał, że on to zrobił, skłamałbym, żeby go uratować.

- A ja nie - rzucił Svon. - Dlaczego się tak rozglądasz?

- Powietrze się poruszyło. Dotąd stało nieruchomo z mgłą. - Gylf próbował mi coś powiedzieć i myślę, że chyba o to mu chodziło. Trzymałem dłoń na jego łbie i poczułem, jak nim kiwnął. - To nie był podmuch wiatru. Na statku, czasem, kiedy ten stoi z braku wiatru, żagiel porusza się, a wtedy wszyscy spoglądają w górę i uśmiechają się. Przy odrobinie szczęścia wkrótce znowu się poruszy. To jeszcze nie jest wiatr, a tylko powietrze poruszone gdzieś daleko przez wiatr. Kiedy tak bardzo wyczekujesz wiatru, wiesz, że to poruszenie zwiastuje go.

- Oby twoje słowa dotarły do uszu Overcynów - powiedział Svon.

Nie uważałem go za religijną osobę i teraz wyznałem mu to.

- Uznałem, że zdradzili sir Ravda i mnie. Zapytasz pewnie, czy spodziewałem się, że będą walczyć u mego boku. Chyba tak. Ale już się wyzbyłem podobnych oczekiwań, a przynajmniej tak mi się wydaje. - Spojrzał na Wistana. - Człowiek się zmienia, gdy otrzymuje pasy rycerskie. I rany w walce.

- On próbuje mnie bronić, sir Able - powiedział Wistan - więc lepiej już sam powiem. Giermek też ma swój honor.

- Oczywiście.

- Myślałem, że ten Ogr... czy mógłbyś go teraz odesłać?

- Niepokoi cię?

- Tak, sir. Możesz go odesłać, sir Able?

Pokręciłem głową.

- Prędzej ciebie odeślę, Wistanie. Powiedz, co masz do powiedzenia, i odejdz.

- Myślałem, że to Org zabił króla, lecz on twierdzi, że tego nie zrobił.

Zmęczony już tym czekaniem na stojąco, oparłem się na Eterne.

- Mów dalej.

- W każdym razie myślałem, że to on, a Etela powiedziała mi, że on należy do sir Svona. Tak więc udałem się do sir Svona i powiedziałem, że gdyby Org przyznał się przed królową Idnn i jej ojcem, i Jego Miłością, oczywiście, to pewnie by go nie ukarali, a Toug przestałby myśleć, że uważają go za winnego.

- Powinieneś mówić „Jej Królewska Mość”, a nie królowa Idnn.

- Dobrze, sir Able. Zapomniałem. W każdym razie sir Svon odpowiedział mi, że jego zdaniem to nie Ogr zabił króla, ale że go poszukamy i zapytamy.



No i poszliśmy do lasu, wiesz, wtedy i przywołaliśmy go, a on...

- Przyszedł.

- Tak, sir. - Wistan przełknął ślinę. - To znaczy, sir Able. Nigdy wcześniej nie widziałem go z bliska. Nie chciał się przyznać, że to on, nawet wtedy, gdy sir Svon mu wszystko wyjaśnił. Chciałem, żeby to powiedział, żeby się przyznał, nawet jeśli tego nie zrobił. I wtedy przyszedłeś.

- Rozumiem. Szkoda tylko, że nie obchodzi cię równie mocno bezpieczeństwo Touga jak stan jego uczuć. Teraz zgubił się z lady Lynnet, Etelą i Vilem, jak się zdaje, i mogą napotkać coś gorszego niż Orga - na przykład zgrabny, głęboki dół.

- Mam nadzieję, że nie, sir Able.

- Albo niedźwiedzia czy też tysiąc innych rzeczy. Chciałbyś się natknąć na Orga, błędząc w takiej mgle?

Wistan potrząsnął głową i cofnął się o krok.

- W takim razie wracaj prosto do obozu. Sir Svon i ja odeślemy go, tak jak prosiłeś.

Wistan odwrócił się i pobiegł w mgłę.

Svon uśmiechnął się przez ściśnięte usta.

- Musi się jeszcze zahartować.

- Właśnie mu w tym pomagam. Za to Toug potrzebuje ratunku, a nikt nie spieszy mu na pomoc. - Dotknąłem myślą Chmury, lecz nie była osiodłana. - Czy wyślesz Orga, żeby poszukał jego, a także Lynnet i pozostałych?

Svon skinął głową i polecił Orgowi wstać. Kiedy Org podniósł się, wydał mi się większy niż przedtem. Uns mówił, że Org był jeszcze młody, kiedy go złapał, lecz był już tak straszny, kiedy z nim walczyłem, że nie przyszło mi do głowy, iż nie jest jeszcze dorosły.

- Org - powiedział Svon. - Wiem, że nas słuchałeś. Nie wolno ci skrzywdzić nikogo z naszych. Skinij głową, jeśli mnie zrozumiałeś.

Org kiwnął głową.

- Chcę, żebyś poszukał w lesie Touga, Eteli, Lynnet i Vila. Jeśli ich znajdziesz, sprowadź ich tutaj całych i zdrowych. Rozumiesz?

Org odpowiedział skinieniem głowy. Dotąd był ciemny, zapewne dlatego, że Svon kazał mu, by stał się widoczny, teraz zaś zrobił się blady jak mgła.

- Ruszaj.

Org zniknął we mgle szybciej niż wcześniej Wistan.

- Nie robi im krzywdy - powiedział Svon. - Tak mi się wydaje. To zależy

od tego, jak bardzo jest głodny.

Przypomniałem mu, że Org uratował Touga i Etełę w mieście za murami Utgardu.

- Dobrze się tam objadł - odpowiedział mi Svon. - Wciąż kogoś tam zabijano, a on sam zabił kilku Angronitów, kiedy obaj z sir Garvaonem walczyliśmy z ich wojownikami. Przyjaciele pochowali ich, lecz on rozkopał groby. Mówi... chcesz to usłyszeć?

Poleciłem mu, żeby mówił dalej.

- Mówi, że nic tak nie smakuje jak trup, który leżał kilka dni w zimnie. Chcesz go z powrotem?

Potrząsnąłem głową.

- Przydaje się, lecz...

Powiedziałem, że go rozumiem, po czym przywołałem Gylfa i poprosiłem go, żeby powęszył za tropem Touga.

- Sam powinienem ich poszukać - powiedział Svon. - Ten twój pies jest niezwykły. Przedtem irytował mnie prawie tam samo jak Pouk, ale chciałem go mieć albo takiego samego.

- Mam nadzieję, że kiedyś będziesz miał - powiedziałem.

- Wątpię, ale miło jest tak myśleć. - Na chwilę jego przystojną twarz rozjaśnił skryty uśmiech. - Czy odpowiesz na jedno pytanie, zanim przyprowadzę konia? Przez wzgląd na dawne czasy.

Odpowiedziałem, że jeśli mu na jakieś nie odpowiem, to z powodu własnej ignorancji, na inne zaś może nie pozwoli mi odpowiedzieć honor, ale z pewnością go nie okłamię.

- Czy myślisz, że zabiłem Jego Królewską Mość?

- Oczywiście, że nie.

- Walczyłem. Za pierwszym i drugim razem. Walczyłem, kiedy go zaatakowano pierwszy raz jak i potem. Myślałeś o tym?

Pokręciłem głową.

- A ja tak. - Svon wyglądał na zakłopotanego. - Dużo o tym myślałem, a nawet rozmawiałem z Jej Królewską Mością. Z łatwością mógłbym to zrobić.

- Tak - odparłem. - Chyba tak.

- Szczególnie za pierwszym razem, kiedy walczyliśmy z ich wojownikami. Miałem miecz w ręku. Było ciemno. Ogromny hałas i zamieszanie. Pandemonium. Wiem, że Idnn wszystko ci opisała.

Przytaknąłem mu i dodałem, że Toug i inni też mi opowiadali. W tym

momencie usłyszałem Gylfa, co oznaczało, że znalazł trop. Nasłuchiwałem przez chwilę (podobnie jak Svon), a potem powiedziałem, że jeśli mi się dobrze wydaje, to oddalił się już dość daleko.

- Przeprowadzę konia - rzekł Svon i zniknął. W duchu miałem nadzieję, że on też się nie zgubi.

Jakąś godzinę podążałem za głosem Gylfa, który brzmiał nisko, gdy trop był wyraźny, albo urywał się, kiedy nierówności terenu utrudniały tropienie. Zanim go dogoniłem, usłyszałem srebrzysty dźwięk trąbki, słaby i dobiegający z oddali przez wirującą i rzednącą mgłę, którą teraz rozpraszał wiatr; sygnał wzywał ludzi Mardera do wygaszenia ognisk i osiodłania koni. Gdy wreszcie dogoniłem Gylfa, ostrzegłem go, że być może trudno nam będzie dołączyć do pozostałych, nawet jeśli znajdziemy Touga.

- Nie sam - powiedział Gylf wyraźniej niż zwykle.

- Toug? Jasne. Przecież jest z nim Lynnet, Etela i Vil, a przynajmniej mam taką nadzieję.

- Więcej. - Gylf powąchał ziemię i warknął. Nie potrafię powiedzieć, czy był to wyraz strachu, ale zaraz potem zrobił się większy i pociemniał, a kiedy odwrócił się do mnie, żeby mi powiedzieć, że Toug i jego towarzysze nie są sami, jego łeb przybrał rozmiary wielkości mojego bojowego siodła, a kły były większe niż moje dłonie.

- Ty też nie jesteś sam - usłyszałem głos za swoimi plecami.

## ROZDZIAŁ 26

### MORSKIE SMOKI

Zbocze opadało w dół całe mile - tak przynajmniej mi się wydawało. A jeśli nie, jeśli się mylę, to dlatego, że oceniłem odległość na krótszą niż była.

Jak daleko do Aelfrice? Nikt o to nie pyta, ponieważ wszyscy, którzy znają Aelfrice, choćby tylko ze słyszenia, wiedzą, że nie znaleziono takiej miary, którą dałoby się zmierzyć tę odległość. Jak daleko do lata, sir? Ile kroków? Jak daleko do snu mojej matki?

Drzewa stawały się coraz większe, aż te w lesie, który właśnie opuściliśmy w Mythgarthcie, przypominały zaledwie krzaki w porównaniu z nimi. Rzednąca już od jakiegoś czasu mgła przybrała żółty kolor. Gylf powąchał powietrze, a ja poszedłem w jego ślady i powiedziałem:

- Morze.

- Cieszysz się z tego, panie? - Uri uśmiechnęła się do mnie, a ja przypomniałem sobie wszystkie te ogniska, które razem rozpaliliśmy tę latającą szkaradę, jaką była, i jęczącą pannę Aelfów, która leżała drżąc w bujnej trawie pod drzewem duriana, czerwona jak zachodzące słońce i zbyt słaba, by wstać.

Zorientowałem się, że też się uśmiecham.

- Cieszyłbym się, gdybym nie był potrzebny w Mythgarthcie. Ile czasu włóczyłem się tu, w Aelfrice? Rok?

- Nawet nie godzinę, panie. Przeszedłeś zaledwie kilka kroków.

- Ale przejdę pewnie dużo więcej, zanim odnajdę przyjaciół.

- Wcale nie. Chcesz ich zobaczyć? Chodź ze mną.

Poprowadziła nas między drzewami, nie stąpając po żadnej ścieżce, i wyszliśmy na nagi skalny występ spowity wirującą mgłą. Stwierdziłem, że nic nie widzę, a Gylf wycofał się między drzewa.

- Zaraz zobaczysz, panie. Jak tylko mgła się podniesie. - Uri wsunęła rękę pod moje ramię, może dlatego żebym się nie bał wysokości, a ja zobaczyłem, że nie jest panną Aelfów, lecz ludzką kobietą, smukłą i nagą z rozwianymi

włosami podobnymi do przydymionego ognia. Ulewa obmyła nas i zaraz ustała.

Mgła rozstąpiła się, a ja zobaczyłem w dole kamienistą plażę, na którą w rytm mego serca nacierały białogrzywe fale, a za nimi (gdzie woda nie była już tak czysta i zielona, a ciemnoniebieska) zobaczyłem łeb, ramiona, szpony i skrzydła śnieżnobiałego smoka większego niż Grengarm. Nie potrafię wyrazić słowami tego, co poczułem w tamtej chwili; bo co by to miało dla ciebie za znaczenie, gdybym powiedział, że serce we mnie zamarło albo że struchlałem jak jeleni? A i tak nie byłaby to prawda, ponieważ czułem się jeszcze gorzej. Po mojej twarzy płynął zimny pot, a ja sam oparłem się o miecz, z obawy by nie ugięły się pode mną kolana. Uri coś powiedziała, lecz jej nie odpowiedziałem. I nie potrafię powtórzyć jej słów - jej głos brzmiał cudownie, lecz był dla mnie równie niezrozumiały jak śpiew ptaków, a może jeszcze bardziej.

Powróciła mgła i zasłoniła mi widok białego smoka.

- Zły! Zły! Zły! - To był Gylf wołający spomiędzy drzew.

- Twój pan tak nie myśli - zwróciła się do niego Uri. - Bo on wsławił się uśmiercaniem podobnych istot. Pomyśl o tym, jaka radość zapanuje w Żłocistej Komnacie! - Ścisnęła mocniej moje ramię. Nie zamierzałam pokazywać ci Kulili, panie. Ale...

- Cieszysz się, że ją zobaczyłem, a ty mogłaś zobaczyć mój strach i wstyd.  
- Chciałem się odwrócić i odejść, lecz ona przytrzymała moje ramię, a ja nie chciałem się z nią szarpać na skalnej krawędzi.

- Nie cieszę się. Jestem raczej rozbawiona. Kulili stawiała czoła całym armiom.

- Przestraszyłabyś mnie bardziej, gdybyś tylko wiedziała jak.

- Jesteś moim panem. - Spojrzała mi w oczy; jej oblicze było piękniejsze niż twarz najpiękniejszej śmiertelnej kobiety, mimo iż w jej oczach płonął żółty ogień. - Skoro się jej boisz, nie będziesz z nią walczył, a jeśli nie będziesz z nią walczył, to przeżyjesz. Nie raz się z tobą przekomarzałam, panie.

- Zbyt często. - Wpatrywałem się w wirującą mgłę, licząc na to, że znowu się rozstąpi. Gdybym zobaczył białego smoka wtedy, kiedy się rozstąpiła, mogłem zepchnąć Uri w dół i uciec.

- Niech tak będzie. Ale teraz się nie przekomarzam. Twoja druga śmierć, tutaj, mogłaby oznaczać zapomnienie. Zamierzasz wspiąć się wyżej niż

Valfather?

Potrząsnąłem głową.

- I tak się nie stanie, panie. Jeśli znowu umrzesz - tutaj albo w Mythgarthcie - możesz zginąć bezpowrotnie. Bo to jest, jak sądzę, częśćka Able'a, która przetrwała.

- Sir Able'a - poprawiłem ją.

- Umniejszasz sam siebie!

Wpatrywałem się we mgłę w milczeniu.

- Garvaon i Svon są rycerzami. „Sir Garvaon”, mówią, i „sir Svon”, i pławią się w twojej odbitej chwale.

- Tak samo jak ci, którzy przyjdą po nas, będą pławić się w naszej.

- Ty i tak zamierzasz walczyć z Kulili, prawda? Chcesz z nią walczyć w pojedynkę i zejść z tego świata.

Nic nie powiedziałem, lecz w moim umyśle Gawain ponownie przyklęknął i obnażył szyję.

- Widziałeś Garsecga i innych?

- Nie - odpowiedziałem.

- A Wyspę Glas?

Zaskoczyła mnie. Wyznałem, że nie, że widziałem tylko białego smoka. Nic więcej.

- W takim razie musimy zostać. Garsecg i Aelfy Morza czekają na plaży, lecz my musimy tu poczekać, aż zobaczysz wyspę, żebyś mógł się przekonać, że Garsecg mówił prawdę.

- On jest demonem z Muspelu - powiedziałem.

- Był twoim przyjacielem i znowu nim będzie, jeśli na to pozwolisz.

- Baki chciała, żebym tu przyszedł i go zabił.

- Dopilnowałam, panie, by tak się nie stało.

Nie uwierzyłem jej wtedy i teraz też nie wierzę, że Uri miała moc nad mgłą, która zaczęła się przerzedzać, kiedy rozmawialiśmy. Mgła rozstąpiła się nieco, za sprawą Uri, czy też bez jej pomocy. Biały smok zniknął już wcześniej pod falami. W oddali majaczyła Wieża Glas, a jej wierzchołek (który ginął w chmurach, kiedy oglądałem go w towarzystwie Garsecga) majaczył ledwo widoczny tam wysoko, gdzie wnikał do Mythgarthru. Widok ten pozwolił mi zrozumieć jak nigdy wcześniej, że ląd, po którym tam stąpamy, i morze, po którym teraz żeglujemy, stanowią tak naprawdę niebiosy Aelfrice. Zobaczyłem wyspę, wierzchołki kilku drzew i jej plażę. A

na niej pięć malutkich postaci; i choć były bardzo małe, wiedziałem, że są to Vil, Toug, Etela, Lynnet i ktoś jeszcze, jedna z nich pomachała do mnie.

\* \* \*

Może powinienem wspomnieć o tym, jak zeszliśmy z klifu na plażę. Jednak tego nie uczynię, bo niewiele pamiętam. W moim umyśle pojawili się: Disiri, Gawain i Bertold, a także Valfather i wielu innych, a wśród nich chłopiec, który leżał w trawie pośród wzgórz i który oglądał chmury przybierające setki najróżniejszych kształtów, a wśród nich latający zamek.

Garsecg przywitał nas pod postacią szacownego starca Aelfów Morza; takim go zobaczyłem po raz pierwszy i w tej postaci najczęściej występował. Uściskał mnie jak ojciec, a ja jego.

- Oczerniły mnie w twoich oczach - powiedział - dlatego nie ośmieliłem się przyjść do ciebie. Bałem się, że mnie zabijesz.

Przysiągłem, że bym tego nie zrobił.

- Uri i Baki powiedziały ci, że ja to Setr, a ty im uwierzyłeś.

- Są twoimi niewolnicami - odparłem - choć udawały, że do mnie należą. Jakże więc miałem im nie uwierzyć?

Zbliżył się inny Aelf (jak się okazało).

- Uwierzyłybyś mu, gdyby temu zaprzeczył? - W jego oczach czaiła się bezdenna noc, a za język miał płomień.

- Jeśli jest Setrem - powiedziałem - to Setr nie jest taki, jak mi opowiadano.

Garsecg skinął głową.

- Jestem Setrem. Usiądźmy z boku na chwilę, a wszystko ci wyjaśnię.

Zostawiliśmy pozostałych i przeszliśmy jakieś sto kroków po plażę. Kiedy już usiedliśmy na kamieniach, zagwizdałem na Gylfa.

- Byłoby lepiej - powiedział Garsecg - gdybyśmy zostali sami, tylko we dwóch.

- Setr nie boi się chyba psa.

Wzruszył ramionami.

- Setr boi się, że będą mu przeszkadzać, jak każdy kto zamierza ujawnić skomplikowane tajemnice. To ja nauczyłem cię o mocy morza. Potwierdzisz to?

- Owszem. Nigdy temu nie zaprzeczałem.

- Nawet przed Valfatherem?

- Szczególnie przed nim. - Bardzo wtedy zapragnąłem, aby stanął u mego boku. Nie dlatego, że tęskniłem za jego włóczęgą, lecz że tęskniłem za jego mądrością, która przewyższa mądrość wszystkich innych.

- Powiedziałaś, że jesteś moim przyjacielem, sir Able, co zawsze będę sobie bardzo cenił. - Garsecg zamilkł wpatrzony w morze, gdzie mgiełka mieszała się z białą pianą. - Opowiem ci, co tu się wydarzyło. Wiele złego, i to z mojej winy. Miałem plany. Plany, które się nie powiodły. Tobie, mam nadzieję, się to nie przydarza.

- Nazbyt często. - Moje spojrzenie podążyło za jego spojrzeniem i spoczęło na Wyspie Glas; rzeczywiście wydawała się bardzo oddalona i już nie widziałem jej wierzchołka.

- Pochodzę z Muspelu. Podobnie jak Grengarm, którego zabiłeś.

Czekałem.

- Ty pochodzisz z Mythgarthru i jesteś dobrym człowiekiem. Czy wszyscy w Mythgarthru są dobrzy? Nie pytam, czy są tak dobrzy jak ty, bo wiem, że to niemożliwe. Ale czy tak w ogóle są dobrzy.

- Chciałbym myśleć, że jest coś dobrego nawet w tym, co w nich najgorsze.

- Ale biorąc wszystko pod uwagę?

Przypomniał mi się wtedy mistrz Thope. Próbował mnie ratować, kiedy rycerze księcia chcieli mnie zabić. Za to, że ratował honor księcia, dostał nóż w plecy.

- Biorąc wszystko pod uwagę - powiedziałem - to wielu tych, którzy uważają siebie za dobrych, nie jest dobrymi.

- Właśnie. Byłeś w Skai. Ja nie. Nie mówmy o Gigantach Zimy i Starej Nocy. Z tego, co wiem, są źli w znacznej mierze, a niektórzy twierdzą nawet, że są źli do szpiku kości. Pomówimy jeszcze o nich. A Overcyni. Czy są wśród nich tacy, których zło przewyższa dobro?

Wyjaśniłem mu, że mówi się, iż jest przynajmniej jeden i że pozostali - choć go ukarali - nie odebrali mu życia dla dobra jego brata.

- Tutaj w Aelfrice?

- Aelfy są gorsze niż my.

- Podobnie jest w Muspelu. Jest tam wielu, którzy są silni i bardzo mądrzy, ale nie dobrzy. Grengarm nie był ani najsilniejszy, ani najgorszy.



Uknuli spisek, by zawładnąć tym dobrym światem i sprofanować go. Próbowałem odwieść ich od tego, bo przecież Aelfy powinny być przez nas czczone, tak jak wy czcicie Overcynów. Próbowałem, jak mówię, lecz bez powodzenia. - Westchnął, by przyciągnąć do siebie moje serce.

- Kiedy wreszcie przekonałem się, że to na nic, postanowiłem pokrzyżować im plany. I przybyłem tutaj. - Rozłożył ręce i uśmiechnął się, drwiąc z samego siebie. - Zwróciłem się pokornie do Aelfów i ostrzegłem ich przed niebezpieczeństwem. Niektórzy mi uwierzyli, lecz większość nie. Są podzieleni na wiele klanów, o czym zapewne wiesz. Ostrzegłem ich, że jeśli się nie zjednoczą przeciwko nam, to polegną klan po klanie. Ci, którzy nie uwierzyli mi wcześniej, także i tym razem nie zaufali, natomiast część z tych, którzy dali wiarę moim słowom, nie chcieli się łączyć z innymi. Była wśród nich twoja królowa Disiri. Widzisz, że jestem z tobą całkowicie szczery.

- Okazałeś mi przyjaźń - odpowiedziałem mu - kiedy byłem ranny i potrzebowałem przyjaciela. A teraz muszę zapytać o innych przyjaciół, tych na Wyspie Glas. Jak się tam znaleźli?

Garsecg wzruszył ramionami.

- Zawędrowali do Aelfrice. Podobnie jak ty, jako chłopiec, nie tak dawno temu.

Skinąłem głową.

- Ja i moi przyjaciele wysłalibyśmy ich do domu, lecz biały smok - może go widziałeś - porwał ich i zaniósł na Wyspę Glas.

- Chcesz, żebym z nim walczył.

- Ależ nie! Czy ja tak powiedziałem? Zginąłbyś.

Posłałem mu groźne spojrzenie.

- Pytałeś mnie, jak się tam dostali. - Garsecg położył dłoń na moim ramieniu; zdecydowany, lecz przyjazny gest. - Powinieneś był raczej zapytać, w jaki sposób ty się tam znalazłeś. Wysłałem Uri, żeby cię sprowadziła, ponieważ uznałem, że będziesz chciał poznać ich los. Zamierzam odzyskać moją wieżę, jeśli się da. A jeśli tak, to wejść na sam szczyt i zatroszczyć się o nich. Lecz tutaj wszystko toczy się powoli w przeciwieństwie do twojego Mythgarthru, gdzie czas płynie szybko.

- I gdzie oni przebywają.

- Właśnie. Dla nich mogą upłynąć całe dekady, kiedy będę zbierał armię. Masz wpływy w Mythgarthrcie. Mógłbyś zebrać siły i pożegłować na ich ratunek. Taki był mój plan. Jeśli jednak wolisz dołączyć do nas tutaj, z chęcią

cię przyjmujemy.

Zastanawiałem się nad całą sprawą tak długo, jak długo człowiekowi zajęłaby modlitwa, obserwując najdalsze grzywacze, by uniknąć spojrzenia Garsecga. Wydawało mi się, że zależy od tego całe moje życie - moje rycerstwo, Valfather i Pani, a nawet Disiri. Wreszcie powiedziałem:

- Ty jesteś smokiem z Muspelu. Czy nie jest to twoja prawdziwa postać? Garsecg skinął głową.

- To prawda, choć moim przodkiem był król z Mythgarthru.

- A twoi przyjaciele? Czyż i oni nie są smokami z Muspelu?

- Niektórzy. Inni są Aelfami Morza, tak jak ich widzisz.

- Czy kilkanaście smoków nie potrafi pokonać jednego?

- Spróbujemy, mając za sobą armię Aelfów. Widziałeś mnie pod postacią smoka. Czy byłem aż tak ogromny jak biały smok?

- Raczej nie. To była twoja prawdziwa postać? - Zdjąłem hełm i położyłem go na kamieniach.

- Tak.

Ściągnąłem kolczugę przez głowę; zrobiona była z tak drobnych kółek, że mogłem ją złożyć całą w hełmie, i tak też zrobiłem; podziwiałem ją być może po raz ostatni i zastanawiałem się, czy to, że nosiłem ją lub choćby miałem, przyniosło mi szczęście. W końcu wcześniej należała do Grengarma.

- Zamierzasz tam popłynąć? - zapytał Garsecg.

- Wiesz, że tak. Przysiągłem, że będę walczył z Kulili. - Rozebrałem się i wyjaśniłem Gylfowi, że ma popilnować mojej zbroi i ubrania, i żeby nikomu nie ufał. Oczywiście nic nie odpowiedział, lecz by pokazać, że zrozumiał, wyszczerzył zęby na Garsecga.

Aelfrice w równym stopniu nie przypomina Skai, co Mythgarthru. Starłem się pokazać ci, jak bardzo jest inne, choć wiem, że mi się to nie udało. W tym momencie mojej opowieści, Ben, muszę wyznać, że nawet ja nie wiedziałem, jak bardzo jest inne, do momentu gdy wyciągnąłem Eterne.

Odgłos stali ocierającej się o pochwę zamienił się w szum wiatru (nie potrafisz sobie tego wyobrazić). A wiatr ten rozwiął resztki mgły, która jeszcze się unosiła. W Aelfrice nigdy nie widać słońca, lecz jest światło; tak więc gdy mgła ustąpiła, światło to pojaśniało, aż cały ocean błysnął niczym lustro.

Płynęły po nim statki z dawnych czasów, długie statki z wieloma wiosłami podobnymi do skrzydeł, z haftowanymi żaglami czerwono-czarnymi i

zielono-złotymi, statki o wysokich dziobach i wysokich rufach z malowanego drewna. Na ich dziobach i rufach stali rycerze Eterne, tak samo prawdziwi jak ja byłem prawdziwy. Ich zbroje, brzeszczoty mieczy, które trzymali (także Eterne), a nawet ich uśmiechy lśniły i błyskały w tym świetle.

Z Eterne w dłoni skoczyłem do wody.

\* \* \*

Nie jest łatwo płynąć z ciężkim mieczem w ręku. Płynąłem przeważnie pod wodą, zagarniając ją nogami i lewą ręką. Moją zaletą (ogromną zaletą) było to, że woda nie chciała mnie pochłoniąć, lecz przyjęła ochoczo. Nie mogę powiedzieć, że oddychałem nią tak, jak oddychałem powietrzem na plaży, ponieważ w ogóle nie byłem świadomy tego, że oddycham. Może oddychałem przez skórę albo w ogóle nie potrzebowałem oddychać tak długo, jak długo pozostawałem w wodzie.

Przypłynęły rekiny, szybkie i nieme cienie. Najpierw jeden, potem drugi i trzeci, ogromny. Wiedziałem, że dam radę zabić jednego, ale nie wszystkie trzy, gdyby zaatakowały mnie jednocześnie. Zdesperowany zaatakowałem tego, który znajdował się najbliżej mnie. Słynny brzeszczot Eterne z łatwością odciął łeb od tułowia, wyzwalając wulkan ciemnej krwi i wnętrzości. Pozostałe rekiny rzuciły się na trupa niczym sępy, a ja popłynąłem ku powierzchni niczym tonący, który płynie do Skai.

Wszędzie wokół mnie płynęły statki Rycerzy Miecza, a jeden z nich w odległości połowy strzału z łuku. Wcześniej nie myślałem, że są prawdziwe i nie przypuszczałem, że mogę wejść na pokład któregoś z nich. Ale to właśnie zrobiłem i poczułem się cudownie, gdy stanąłem, ociekając wodą, na pokładzie takiego statku, statku, na którym wiosłowali nie skazańcy, lecz brodaci wojownicy ubrani w skórzane kolczugi nabijane miedzianymi ćwiekami, wojownicy o potężnych barach i oczach lśniących jak lód.

- Jestem sir Hunbalt - zwrócił się do mnie rycerz. - Witam cię w naszej drużynie. - Podaliśmy sobie ręce i uściskaliśmy się.

Niedługo potem biały smok wynurzył się na powierzchnię. Zaatakowaliśmy go strzałami i włóczniami, lecz ja nie mogłem nic zrobić, dopóki się z nim nie zwarliśmy. Na dziobie statku tkwił zamontowany taran; stałem na nim, trzymając się wolną ręką figury dziobowej, a za mną wiosła

poruszały się niczym skrzydła białego gryfa, młóćąc wodę.

- Za Disiri!

Chyba po tym okrzyku poznał mnie biały smok. Statek, na którego kadłubie zacisnął właśnie szczęki, wypadł mu z pyska. Gdy nasze spojrzenia spotkały się, zobaczyłem, że bitewna gorączka przygasa w jego oczach i poczułem, że podobnie jest ze mną. Smok zanurzył się w morską głębię, a ja wiedziałem, że muszę podążyć za nim.

W Skai oglądałem widoki, jakich nie zobaczysz w Mythgarthricie czy Aelfrice, ale nic takiego, co zobaczyłem teraz. Smok na moich oczach roztopił się, tak że można było pomyśleć, że rozpuścił się w morskiej wodzie. Wcześniej był wielki i straszny, teraz zaś przybrał postać chmury, białej, migocącej i wciąż zmieniającej swój kształt. I wreszcie ujrzałem oblicze Kulili.

„Oszczędzisz mnie?”

Nie mogłem mówić tak jak na powierzchni, lecz uformowałem myśl tak samo jak dawno temu, kiedy byłem młody.

- Oszczędzę cię, jeśli się poddasz.

„Jeszcze nie walczyliśmy. Najpierw udaj się za mną i zobacz to, co ci chcę pokazać”.

Zgodziłem się, a potem w ciemnej otchłani, jak my, ludzie nazywamy morskie dno, ujrzałem coś, o czym nie chcę teraz mówić, a o czym opowiem w swoim czasie, mam nadzieję, komuś potężniejszemu nawet niż Valfather.

\* \* \*

Toug, młoda Etela, Lynnet i Vil czekali na mnie na plaży u stóp Wieży Glas. Temblak, na którym Toug wciąż nosił lewe ramię, lśnił od krwi, podobnie jak brzeszczot Łamimiecza. Nie wiem, z kim walczył, kiedy zeszedł z wieży, bo nigdy go o to nie pytałem, ale Etela wspomniała czasem to i owo, jak mają w zwyczaju kobiety. Nie ma to większego znaczenia dla mojej opowieści, a mimo to nigdy nie zapomnę widoku twarzy Touga, jego wybałuszonych oczu i zaciśniętych szczęk.

- Nadchodzą! - zawołała Etela i pokazała ręką. - Lepiej się ukryjmy! - Siedem smoków - czarny, szary, turkusowy, zielony, niebieski, złocisty i czerwony - wzleciało i krążyło na tle rozświetlonego nieba.

Potrząsnąłem głową i przywołałem do brzegu statek znajdujący się najbliżej nas. Kiedy jego kil otarł się o piasek plaży, podszedłem do pokład, a potem także Lynnet i Vila. Razem z sir Hunbaltem podeszliśmy do Touga, który stał jak zaczarowany, gotowy walczyć ze smokami. Kiedy nie pomogły nasze namowy, dźwignęliśmy go po prostu i zanieśliśmy na pokład. Smoki to wlatywały, to zniżały się nurkując, ale nie atakowały nas bezpośrednio. Wydaje mi się, że pokonałyby nas wszystkich, gdyby mogły, lecz coś je powstrzymywało, a jeśli był to tylko strach, to okazał się skuteczną barierą.

- Chciały nas zabić już wcześniej - wyjaśniła Etela - tylko ten biały je wystraszył. Boisz się tego białego?

Potrząsnąłem głową.

- My się baliśmy. Ja się strasznie przestraszyłam, i Toug, a i Vil też by się bardziej bał, gdyby go widział, rozumiesz. Wziął nas i zaniósł wysoko, tam gdzie tamte nie mogły nas dostać. Zamknęłam oczy, ale wtedy on odleciał.

- Zamknął mnie w swoje szpony - powiedział Vil - i chyba lepiej, że nic wtedy nie widziałem. Mała Etela bardzo się wystraszyła i myśleliśmy z jej mamą, że umrze. Przysięgam, chyba z godzinę płakała.

- Ty też się bałeś - powiedziała Etela i przysunęła się do mnie, podczas gdy załoga spychała okręt do wody. - Wciąż się boję. Chciały nas zabić, te złe smoki tam w górze, i mało co nie zabiły Touga. Ale biały je przegonił i powiedział, żeby się nie bać...

Zawahała się, wtedy ja powiedziałem:

- Nie mogłaś tego słyszeć, prawda, Etelo?

- Nie, sir. Ale tak powiedział. A potem wziął mnie w szpony, mnie pierwszą. I poleciał ze mną wysoko w górę, a ja się bałam, że mnie upuści, no i upuścił, ale nie za mocno, kiedy już tam dolecieliśmy na górę, a potem Toug powiedział, że musimy zejść na dół do ciebie, i były ogromne węże, których Vil nie widział, i coś jeszcze... sama nie wiem...

Znowu zaniósł się płaczem. Toug pocieszył ją.

- No i ten dobry odleciał, a tamte wciąż tu są. - Przytuliła się do Touga, drżąc.

- Zabierzesz ją w jakieś bezpieczne miejsce, prawda, mistrzu? - powiedział Vil.

- Spróbuję - odpowiedziałem mu.

Nasz statek wykonywał zwrot, tak więc wioślarze z jednej strony ciągnęli

wiosła, ci z drugiej zaś je odpychali. Sir Hunbalt dotknął mojego ramienia i pokazał ręką. Smoki, które tak bardzo wystraszyły Etełę, lądowały na ziemi, a trzy z nich ponownie przybrały postać Aelfów. Skinąłem głową.

- Zabiję je - powiedział Toug. Odezwał się po raz pierwszy od bardzo dawna, co mnie ucieszyło. Gylf, który wciąż pilnował mojego ubrania na plaży, najwyraźniej podzielał moje odczucia, bo wstał i pomachał ogonem.

Wzięłem głęboki oddech.

- Ze mną u twego boku? Razem z sir Hunbaltem i jego rycerzami?

Toug pokręcił głową.

- Szkoda, że nie mam swojego dużego miecza.

- Sam?

- Nieważne.

Sir Hunbalt wyraził swoją aprobatę skinieniem głowy, lecz ja powiedziałem:

- Zginiesz, Toug. Sam Setr cię zabije.

Toug zacisnął tylko mocniej dłoń na rękojeści Łamimiecza i odsunąwszy Etełę, przeszedł na dziób wpatrzony gdzieś poza figurę dziobową.

- Jest rycerzem - wyszeptał sir Hunbalt.

Odpowiedziałem mu, że sam Toug tego nie wie.

- Młody, ale rycerz. - Sir Hunbalt zamilkł, a gdy znowu się odezwał, jego głos zdawał się płynąć z grobu. - Nie ma większego znaczenia, co człowiek wie. Liczą się czyny.

Potem odwrócił się i już się więcej nie odezwał.

- Chory jest, nie? - wyszeptał Vil.

- Martwy - odpowiedziałem mu. - Tak jak ja.

- Ty nie jesteś tak jak on sir, nie.

Etela przywarła do Lynnet, pozbawiona towarzystwa Touga, a Lynnet pogłaskała ją, starając się ją uspokoić.

Ktoś z załogi przyniósł kawałek starego żagla, z brązowego płótna, z wyszytym na nim białą nicią czymś, co mogło być kiedyś piórem. Zawiązałem go sobie wokół pasa.

Z lasu na brzegu wyjechało dwóch jeźdźców; jeden z nich prowadził rumaka, którego od razu rozpoznałem. Gylf zaszczekał na powitanie.

Garsecg zawołał przez wodę.

- Czy to twoi przyjaciele?

Etela otarła oczy.

- To sir Svon, prawda? I sir Garvaon.

Miała rację. Kiedy przybliżyliśmy się do lądu, zeskoczyłem z nadburcia, przywitałem się z nimi i wysłuchałem krótkiej relacji o tym, jak mnie długo szukali, po czym założyłem ubranie i zbroję.

- Będziesz chciał zabrać swoich przyjaciół z powrotem do Mythgarthru - powiedział Garsecg. - Uri może was tu sprowadzić w późniejszym czasie. Wtedy porozmawiamy o koronach, które zamierzam wam dać.

Pokręciłem głową i zwróciłem się do sir Svona i Garvaona:

- Przybyliście zbyt późno i nie mam czasu wyjaśniać wam wszystkiego, co się wydarzyło. Widzieliście smoki?

- Jednego - powiedział Svon. - Niebieskiego, bardzo dużego. Ale zniknął. Nie wiem, co się z nim stało.

- Jest tu! - zawołała Etela, kiedy razem z Lynnet i Vilem poszli za Tougiem i Gylfem na brzeg. - To on!

- Rzeczywiście - powiedziałem do Svona i Garvaona. - Ale innych rzeczy - statków i rycerzy, które widzicie - tu nie ma. - Wsunąłem Eterne do pochwy; i w jednej chwili stało się jasne, że Rycerze Miecza i statki, które ich niosły, są złudzeniem zrodzonym ze światła migocącego na falach. - Sir Svonie.

Wyglądał na zdenerwowanego i trochę przestraszonego, niemniej jednak skinął głową, by pokazać, że mnie usłyszał.

- Chcesz się sprawdzić. Nie tak dawno obiecałem, że będę walczył z tobą. Nie ma tu królowej Idnn, by mogła się przyglądać. Czy pragniesz się sprawdzić tylko przed nią? Czy też przed samym sobą?

- Także przed samym sobą. - Svon wyprostował się, a jego dłoń przesunęła się nieznacznie w stronę rękojeści miecza.

Garsecg odwrócił się do swoich sprzymierzeńców:

- To nie ma z wami nic wspólnego. Możecie odejść.

Jeden z Aelfów zanurkował w morze, dwaj inni odlecieli, pozostali zaś odeszli, mrużąc pod nosem, wciąż pod postacią Aelfów.

- Odważny jesteś - powiedziałem do Garsecga.

- I głodny. - Jego oczy przypominały pustkę, w której mogły zniknąć całe światy.

Powiedziałem do Svona, że jego rany jeszcze się całkiem nie zagoiły, a on mi odpowiedział, że to bez znaczenia.

- Jak chcesz. Sir Garvaonie, szukałeś śmierci, kiedy walczyliśmy z

Angronitami za murami Utgardu. Nie musisz tego potwierdzać ani temu zaprzeczać. Ty wiesz, co zrobiłeś, a ja wiem, co widziałem.

Garvaon milczał, za to Etela powiedziała:

- Był bardzo dzielny. Toug tak mówił.

- Tak jak sir Toug. Pomówimy o nim za chwilę, Etelo. - Spojrzałem na Garvaona i powiedziałem:

- W pewnym sensie już nadeszła ta chwila. Wyznał mi, że gdy wyprowadziłeś swoich zbrojnych do walki w bitwie na targowisku, byli bardzo przestraszeni. Jego zdaniem bali się, ponieważ wyszli poza chroniące je mury, by walczyć z Angronitami. Mimo wszystko to dzielni ludzie i dowodził nimi wielki rycerz, do tego walczyli już wcześniej z Angronitami i ich pokonali. Myślę, że wyglądali na przestraszonych, ponieważ zobaczyli coś chwilę wcześniej.

Garvaon wciąż nic nie mówił.

- Nie wypytywałem ich - zwróciłem się do niego - i nie będę pytał. Nie jest zbrodnią to, co zrobiłeś. Ani wtedy, ani teraz.

Garvaon nic nie powiedział, lecz w jego spojrzeniu pojawiła się iskra nadziei.

- Czy kiedy pozostawiłeś lorda Beela, zaproponowałeś sir Svonowi pomoc w odnalezieniu jego giermka i niewolników giermka? - zapytałem.

- Tak. Udaliśmy się na poszukiwanie, znaleźliśmy wasz obóz, i uznaliśmy, że zabierzemy ze sobą twojego konia, na wypadek gdybyśmy i ciebie spotkali. Twoi słudzy pakowali wasze rzeczy i nie protestowali.

- Dziękuję ci - powiedziałem. - Wiele ci zawdzięczam. I jeszcze jedno. - Wziętem głębszy oddech, ponieważ nie podobało mi się to, co zamierzałem powiedzieć. - Musisz wiedzieć, że ten niebieski mężczyzna, który rozmawia z nami, to Garsecg. Śniłem o nim, jak i ty kiedyś. W moim śnie zabił cię. Tak to wyglądało.

- Mów dalej - powiedział Garvaon.

- Jak sobie życzysz. Jeśli sir Svon wyzwie smoka, a tym smokiem będzie Garsecg, czy staniesz u boku sir Svona? Ja ci nie pomogę.

- Stanę - odpowiedział mi Garvaon.

- Nie widzieli ich - wyszeptała Etela.

- Widzieli - odpowiedziałem jej. - Widzieli Setra, kiedy tu jechali, a to z nim muszą się zmierzyć. A ty, Toug?

Chyba nie spodziewał się, że go o coś zapytam, bo wyglądał na



zaskoczonego.

- Według prawa jesteś tylko giermkiem Svona. Nie masz obowiązku walczyć, a jedynie ratować sir Svona, jeśli zostanie pokonany. Jesteś ranny, a kość z pewnością jeszcze się nie zrosła. Będziesz walczył?

Spojrzenie Touga dotknęło spojrzenia Garsecga, na krótko, tyle co oddech.

- Nie będę walczył - powiedział Toug. - Już nigdy, jeśli to możliwe.

- Jak sobie życzysz. - Odwróciłem się do niego tyłem i wskazałem na Garsecga. - Oto smok, sir Garvaonie, sir Svonie. Okazał mi przyjaźń, więc nie...

Garsecg przerwał mi; teraz myślę, że odezwał się wtedy, żeby mieć więcej czasu na przemianę, ale nie jestem tego pewny.

- Czy walczyłeś z Kulili? Z białym smokiem? Przysiękłeś, że to uczynisz.

- Walczyłem.

- I zabiłeś go?

Potrząsnąłem głową.

- Nie przysiękałem, że go zabiję, a nawet gdybym chciał, nie zdołałbym. Poddałem się, a on mnie oszczędził.

W tym momencie Etela zawołała:

- Uważaj!

Garsecg już od jakiegoś czasu zaczął się zmieniać; jego głowa wydłużyła się i powiększyła. Teraz opierał się na nogach i rękach, z których wyrosły szpony. Kiedy zasyczał, z jego ust buchnął ogień i dym, a z jego pleców wyrosły ogromne, skórzaste skrzydła. Zaatakował tak szybko, że Svon w ostatniej chwili zdążył zasłonić się tarczą. Kły Setra rozerwały ją, a jego oddech przypalił ją i posypały się strzępy skóry, kawałki drewna i żelaza.

Przytrzymałem Gylfa, który by się rzucił do walki, gdybym tego nie zrobił. Jak we śnie usłyszałem głos Vila, który domagał się, by Etela powiedziała mu, co się dzieje, ona zaś posłusznie opisywała wszystko drżącym głosem.

Gdyby rycerze mieli dość czasu, by dosiąść koni, być może wszystko potoczyłoby się inaczej. Tymczasem Setr ruszył prosto na Svona. Svon cofnął się, broniąc się mieczem.

Wtedy Garvaon zaatakował lewy bok Setra, zasłaniając się tarczą. Dwukrotnie jego miecz zadźwięczał na smoczycich łuskach. A potem Garvaon znalazł bardziej miękkie miejsce na skórze i wepchnął ostrze. Z rany trysnęło

coś, co przypominało wrzącą smołę.

Wtedy i Svon zaatakował Setra. Byłem z niego dumny, mimo iż wiedziałem, że na nic jego wysiłki. Wycelował w oko Setra, lecz chybił o pół dłoni i brzeszczot jego miecza ześliznął się po kostnej płycie, która wcześniej była twarzą Garsecga, Svon zaś runął na ziemię.

Garvaon walczył jak mało kto, odważny i przebiegły. Setr przyciskał Svona do ziemi przednią łapą, ten zaś próbował się wyswobodzić, dźgając łuski krótkim mieczem. Setr nie był na tyle ciężki, by zmiażdżyć Svona, którego przed szponami chroniła dodatkowo (choć nie całkiem) kolczuga.

A potem Setr chwycił w paszczę Garvaona. I tę chwilę chciałbym zapomnieć. W jednym momencie rycerz tak dzielny, jakiego tylko mogła zrodzić kobieta, skoczył do przodu, by zadać pchnięcie i cięcie, i zaraz się wycofał, zanim smok zdążył zaatakować, a w następnym te straszne szczęki uniosły go wysoko w górę.

I zaraz się otworzyły, tak że opadł na ziemię bez życia.

Jakaś monstrualna postać, której nie potrafiłem nazwać, znalazła się na grzbiecie Setra, Po chwili postać rozpadła się i teraz była to Etela, która wyrwała się z uścisku ogromnych dłoni Vila, i sam Vil z tysiącem rąk zaciskających się na szyi Setra. Żaden artysta nie potrafiłby tego namalować; gdyby jednak któryś spróbował, przedstawiłby łańcuch dłoni i ramion, żywych i silnych, które zaciskały się tak długo, aż wreszcie pokryta łuskami szyja pękła niczym rozerwane drzewo.

Z pyska Setra popłynął agonálny ryk, a wtedy Svon wysunął się spod jego łapy. Setr zadrzał i padł martwy.

I to był koniec. Pełen zachwytu poczułem jednocześnie smutek, który jęknął gdzieś głęboko we mnie, zbyt głęboko, by wyraziły to słowa.

Ale nie łzy. Zorientowałem się, że płacząc dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, jak moje łzy opadają na zwróconą ku górze twarz Garvaona.

- Wiedziałeś - powiedziałem, - Powiedz jej, że ją kochałem.

Toug, a także Svon i Etela, pochyłili się nad Garvaonem. Podeszła też Chmura, a to, co czuła, pojawiło się w moim umyśle - że odszedł wielki i szlachetny jeździec, ze stratą dla wszystkich rumaków.

Powietrze stało nieruchome, a mimo to usłyszałem świszczący wiatr. Garvaon też go słyszał. Zobaczyłem, jak spogląda w górę. Uśmiechnął się, srogi, stary rycerz. Uśmiechnął się i ujął białą dłoń, a potem wstał, pozostawiając na piasku swoje sztywniejące ciało.

Alvit pomogła mu dosiąść konia, ponieważ jeszcze nie pocałowała Garvaona i jego rany wciąż mu dokuczały. Życzyłem im szczęśliwej drogi. Alvit uśmiechnęła się, a Garvaon pomachał mi na pożegnanie. Alvit usiadła za nim i biały rumak wzbił się w powietrze, a chwilę później znikli w jasnej mgiele naszego Mythgarthru.

- On nie żyje, sir. - Vil klęczał przy ciele Garvaona, przyciskając palce do jego nadgarstka.

Etela roześmiała się histerycznie, a ja popchnąłem Touga, żeby ją pocieszył.

- Vil, sir Garvaon nie żyje - powiedział Svon. - Tak samo jak smok.

Vil nic nie odpowiedział.

- Ruszyłeś do walki z tym dzieckiem na plecach. Jesteś odważniejszym rycerzem niż ja kiedykolwiek będę. Ona też. Nie odważyłbym się na to, co zrobiła, nie w tym wieku ani w innym.

- Powiedziała mi, że on może cię zabić, sir. Musieliśmy coś zrobić.

- Bez mieczy i bez zbroi.

- Miałem coś lepszego. - Vil wyciągnął przed siebie jedną rękę. Była pusta, lecz gdy otworzył drugą dłoń, ujrzałem na niej zwiniętą moją cięciwę.

- Proszę, sir Able. Na pewno się zorientowałeś. Zwędziłem ci ją. Wiesz, kiedy. Chcesz mnie ukarać, to porozmawiaj z mistrzem Tougiem. Masz prawo zrobić co zechcesz, a ja mu przekażę.

Wziąłem od niego cięciwę i przeciągnąłem po niej palce, dotykając żyć wielu, tak wielu tych, którzy mieszkają w Ameryce. Wcześniej przeszedłem poza nich, wyżej i niżej, a kiedy orali swoją ziemię, hodowali i handlowali, zamiatali podłogę i zajmowali się dziećmi, pożegnaliśmy się. Przez krótką chwilę moje dłonie objęły ich wszystkich, a oni objęli moje dłonie.

Być może Vil wyczuł to w jakiś niewyobrażalny sposób, a może tak tylko się wydawało. Tak czy inaczej, powiedział:

- Ze struną można przedstawić wiele sztuczek, sir Able. Pokazać rzeczy, które się naprawdę nie dzieją; rozumiesz, przesuwasz dłonią i jakbyś ją przeciął, ale ona tak naprawdę wcale nie jest przecięta. Ale z tą jest inaczej. - Zadrżał, mimo iż powietrze było ciepłe.

- Nie - powiedziałem. - Daj rękę, Prawdomówny Vilu.

Podsunał dłoń, a ja położyłem na niej swoją cięciwę.

- Dostałem ją na samym początku, od wielkiej damy. Nazywają ją Parka i mieszka tam, gdzie my.

- Skoro tak mówisz.

- Tylko że ona mieszka w świecie nad Skai, w drugim świecie. Jest więc wyżej niż Valfather, który jej służy. Rozumiesz?

- Mam nadzieję.

- Ale ja nic z tego nie rozumiem - krzyknęła Etela. Stała obok Touga, obejmując go ramieniem. Gdy na nią spojrzałem, uzmysłowiłem sobie, że nie jest już Małą Etelą i nigdy nią nie była, przynajmniej w tym czasie, w jakim ją znałem.

- Vil ci to wyjaśni - powiedziałem.

Przerzuciliśmy ciało Garvaona przez jego siodło, a potem Uri (milcząca i chyba przestraszona) poprowadziła nas do naszego świata.

## ROZDZIAŁ 27

### REDHALL

Nie byliśmy w stanie zawieźć ciała Garvaona do Finefield, choć bardzo tego pragnęliśmy, nie mogliśmy też pogodzić się z myślą, że pochowamy go w Jotunlandzie. Ostatecznie uznaliśmy, że będziemy wieźć jego ciało na południe tak długo, jak długo pozwoli na to chłód, i pochowamy go na tyle blisko domu, na ile pozwoli Parka.

Jotunlandzka Armia zastąpił nam drogę, jak to zwykle bywa. Niewielu wie, że pochowaliśmy Garvaona jeszcze przed bitwą z obawy, że potem nie będzie miał go kto pogrzebać. Wykopaliśmy grób i złożyliśmy w nim ciało, a potem złożyliśmy ofiary w miarę możliwości i odśpiewaliśmy pieśni. Usłyszawszy nasze śpiewy, Angronici wysłali flagę rozjemczą.

- Sir Garvaon poległ - wyjaśnił Beel Angronicie, który ją przyniósł. - Był najdzielniejszym i najlepszym spośród moich rycerzy. Śpiewamy na pociechę jego ducha, ponieważ my nie jesteśmy tacy jak wy. Usypaliśmy kurhan na jego grobie, jak widzisz.

Poszukał go wzrokiem, lecz nie znalazł, aż dopiero Marder pokazał mu go, ponieważ nasz kurhan był wyższy niż niejedno wzgórze.

- Ty go usypałeś?

- Ja sam? - Marder pokręcił głową. - Nie byłbym w stanie. Ani lord Beel, czy sir Able albo sir Woddet. Wszyscy pracowaliśmy. To nasze wspólne dzieło.

Gigant Mrozu oparł się na swoim mieczu.

- Muszę porozmawiać z tymi, którzy mnie tu przysłali.

Odpowiedzieliśmy, że rozumiemy go.

- Zabijemy was i rozszarpiemy. Nie zostanie kamień na kamieniu, kiedy tu przyjdziemy.

- Najpierw musicie nas pokonać - odpowiedział Svon i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Znasz mnie?

Svon pokazał na zabandażowaną rękę giganta.

- Jesteś Bitergarm i byłeś jednym z wojowników, których król Gilling wystawił do walki.

- Tak się nazywam - odpowiedział Bitergarm. - Walczyłem z nimi. Z nim i z Garvaonem. Ty też tam byłeś.

Beel milczał, za to Idnn powiedziała do Bitergarma:

- Ja też.

- Sam chciałem go zabić. - Głos Bitergarma przypominał głos góry. - Był twardy, jak przystało na starszego ciepłoluda.

Przytaknęliśmy mu obaj ze Svonem.

- Szkoda, że zginął. Tyle ode mnie. Stratuję go z pozostałymi, tylko... - Spojrzał na jedną z poddanych Idnn.

Idnn podeszła szybko i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Jestem ich królową. Twoją też, Bitergarm.

- Schildstarr jest moim królem.

- Królem, który każe ci walczyć z twoją królową, twoją matką, żoną i twoją siostrą. Ja nie każę ci walczyć z królem Schildstarrem. Za to pytam cię, co to za król, który każe prawej ręce uderzyć lewą? Was, Gigantów Mrozu, nikt nigdy nie kocha. Nawet wasze matki. Wiem to i żal mi was. Ale czy to prawda? Czy prawdą jest, że wy sami nigdy nie kochacie?

Odwrócił się i odszedł bez słowa.

\* \* \*

Zaatakowali nocą, tak jak się obawialiśmy, lecz Aelfy ostrzegły nas, i zanim dotarli do naszego obozu, ogniste strzały skutecznie ich powstrzymały, kładąc wielu, bo przecież Aelfy widzą w ciemności równie dobrze jak Mani. Kiedy się wycofali, wysłaliśmy za nimi Orga, nakazując mu zabić każdego, kogo dopadnie, i nękać ich tyły, gdyby zdecydowali się zaatakować nas ponownie.

Następnego dnia zastąpili nam drogę na przełęczy; sześciu najbardziej zawziętych utworzyło mur z tarcz na Trakcie Wojennym, mając za sobą tysiąc innych. W tej samej przełęczy, gdzie zatrzymałem Czarnego Rycerza, którym okazał się Marder, Myszy, których wypędzili od siebie, zasypywały ich kamieniami i włóczniami aż do wschodu słońca.

Trzykrotnie atakowaliśmy ich kopiami i za każdym razem odpierali nasz atak i chowali swoich zmarłych. O zachodzie słońca uklęknąłem, by przyjąć błogosławieństwo Idnn, a potem poprowadziłem ich własne kobiety przeciwko nim. Eterne raczył się krwią do syta, podobnie jak Rycerze Miecza; jedni prowadzili za sobą dwóch lub albo trzech towarzyszy, inni setkę.

Po godzinie zaczął padać śnieg, a wtedy lud Baki, uzbrojony w łuki i nowe ogniste strzały, wspomógł Myszy. Synowie Angr ulegli i wycofali się na południe w góry, gdzie padli wszyscy ci, którzy nie zostali pokonani wcześniej.

My zaś obcieliśmy głowy wszystkim zabitym i obłożyliśmy nimi kurhan na grobie Garvaona, jedna obok drugiej, aż całkiem go przykryły. Obaj z Beelem zapłakaliśmy, wspominając jak to kiedyś w młodości po kolejnym zwycięstwie ciągnął głowę za dwoma końmi.

Tamtej nocy Idnn posłała po mnie Helę. Siedziałem z nią w pawilonie, który wcześniej należał do Mardera (bo przyjęła mnie wygodnie), i wspólnie ze Svonem i Helą raczyliśmy się odrobiną wina.

- Jesteś szlachetnym rycerzem - powiedziała do mnie. - Sir Svon jest, jak wierzymy, najszlachetniejszym rycerzem, jakiego znamy. Lecz kiedy mu to mówimy, on twierdzi, że jest w tym jedynie twoim odbiciem.

Nie wiedziałem, jak jej odpowiedzieć, lecz wyręczył mnie Mani.

- Wobec Skai ten Mythgarthr, tak przez nas kochany, jest tylko podobieństwem i czczym gadaniem. Lecz kochać podobieństwo to już coś. - Pomyślałem, że jego mrużący głosik mógłby wywabić ptaka z gniazda, ale wyczułem, że mówi poważnie.

- Ta tu Hela i jej brat bardzo nam się przysłużyli - mówiła dalej Idnn.

- Jak i nam wszystkim, Wasza Królewska Mość.

- Ty również. Nie ma mężczyzny ani kobiety, którzy by się nam bardziej przysłużyli.

- Klęknij - wyszeptał Mani. Nie klęknąłem.

- Jesteśmy królową. - Idnn dotknęła diademu, który nosiła na głowie. - Poprowadziłeś naszych poddanych przeciwko wrogowi.

Nic nie odpowiedziałem i żałowałem, że nie mogę porozmawiać z Gylfem. Umysł Chmury dotknął mojego, lecz mimo iż emanował miłością, nie podsunął mi żadnej rady.

- Nie widziałeś ziem, nad którymi panujemy - mówiła dalej Idnn. - My też

nie. Lecz one istnieją i zostały nam opisane.

- Udamy się tam, gdy tylko opuścimy dwór - powiedział Svon. - Jej Królewska Mość, mój pan lenny Beel i ja.

- Jako królowa mamy prawo nadawać majątki. Mamy też moc nadawania godności, którą byśmy dysponowały nawet wtedy, gdybyśmy nie miały ziemi do ofiarowania. Nadamy ci godność earla, sir Able, jeśli ją przyjmiesz.

Hela mruknęła:

- Weź tytuł, a odmów przyjęcia ziemi.

- Nic nie wezmę - odpowiedziałem Idnn. - Wiem, że nie mogę odmówić, nie obrażając cię i nie narażając się na twoją pogardę. Ale muszę to zrobić.

- Twój pan lenny przyzwala.

- Masz na myśli mojego pana w Mythgarthcie, Wasza Królewska Mość. Najlepszego z panów. Ale nie. Ośmielam się obrazić cię, bo nie mogę postąpić inaczej. Sir Svon musi być twoim rycerzem. Obiecałem mu, że się z nim zmierzę, kiedy wrócimy na dwór. Pomści cię.

Idnn zerknęła na Svona i pokręciła głową.

- Pragniemy uhonorować cię, a nie wadzić się z tobą, sir Able.

- Wasza Królewska Mość, i ja zawsze żywiłem wobec ciebie podobne uczucia.

Uśmiechnęła się nieoczekiwanie.

- Pamiętasz, jak zjawiłeś się u mojego ojca, żeby pożyczyć konia, razem z Gylfem i Manim?

- To było dawno temu - odpowiedziałem - i zapomniałem o tym - raz. Ale nigdy już nie zapomnę.

- To się wydarzyło w tym roku - odpowiedziała mi Idnn. - Naszym zdaniem nie upłynęły nawet dwa księżyce. Na pewno nie trzy. Chcemy powiedzieć, że od tamtej pory podarowałeś nam Maniego, a to coś, o czym nawet nie marzyliśmy. Zamierzaliśmy dzisiaj odwdzińczyć ci się za to i wszelką dobroć, za to że jesteś armią na dwóch nogach. Tymczasem musimy cię prosić o więcej. Wiesz, co Hela i Hetmir uczynili dla nas wszystkich. Pozwoliłeś sir Woddetowi zatrzymać Helę, ona zaś pragnie zostać z nim. Ty masz zatrzymać jej brata. Tak twierdzi.

Powiedziałem, że nie zatrzymam go wbrew jego woli i że mało go widziałem od czasu, gdy Hela poszła do sir Woddeteta.

- Chcielibyśmy nagrodzić Helę, ona zaś prosi, abyśmy jej oddali brata.

- Jest moim bratem - wtrąciła Hela - ukochanym bratem, sir Able. Boję



się, że będzie mu źle beze mnie.

- Zatrzymaj go, jeśli ci się przysłuży - odpowiedziałem jej. - Jeśli zostanie z tobą, będzie też należał do sir Woddeta. Jest marnym mówcą, za to wojownikiem pierwszej klasy.

Podziękowała mi, a kiedy skończyła, odezwała się Idnn:

- A zatem nie zostawisz dla nas swojego pana lennego - bo nie zostawisz? Nawet dla godności earla? Jeszcze raz ci ją proponujemy.

- A ja jeszcze raz muszę odmówić. I proszę, byś nie składała mi swej propozycji po raz trzeci.

- Dobrze. W takim razie przyjmiemy twojego pana tutaj. Przyprowadzisz go tutaj, Hela?

- I sir Woddeta, Wasza Królewska Mość? Wiesz, że muszę mówić mu wszystko, co słyszę, a on mnie pyta. Czy odeślesz mnie, kiedy sprowadzę księcia?

- Jestem z Helą, Wasza Królewska Mość - powiedział cicho Svon.

- Także sir Woddeta - zgodziła się Idnn - najszybciej jak to możliwe.

Po wyjściu Heli Idnn powiedziała:

- Zamierzamy poddać cię egzaminowi. Hela przyspieszyła naszą decyzję. Umysł siostry jest w równym stopniu ostry jak tępą jest umysł jej brata. Ona jest ostrzem miecza - on jego odwrotną krawędzią. Oddaliśmy też Woddetowi jej matkę, on zaś nam ją wypożyczył.

Uśmiechnąłem się, na co odpowiedziała łaskawie uśmiechem.

- Sir Svon opowiadał nam o Aelfrice. O tym, jak udał się tam razem z sir Garvaonem i znalazł cię na pokładzie okrętu floty, która potem znikła. I o swoim giermku - o tym, jak giermek Toug zszedł po schodach między światami w nawiedzonej wieży, gdzie trzymano piękne kobiety, by wabiły żeglarzy na jej szczyt.

- Sir Svon wie dużo o Aelfrice - powiedziałem.

Svon zakasłał.

- Zastanawiasz się pewnie, skąd tyle wiem.

- Od Touga?

Potrząsnął powoli głową.

- Toug mało mówi. Kiedy przyjdzie Jego Miłość, zapytamy o sprawę, o której rozmawialiśmy w lesie. Powiem ci teraz, o co chodzi. Bo nie byłoby w porządku, gdybyśmy cię zaskoczyli.

Odpowiedziałem mu, że się domyślam.

- Mieliśmy nadzieję wypytać cię jako wasala - powiedziała Idnn. - Wtedy honor być może nie pozwoliłby ci uniknąć odpowiedzi.

- Tak by było, Wasza Królewska Mość, w przypadku pytań, które twój honor pozwoliłby ci zadać.

- I ja mam pytanie - powiedział Svon. - Dotyczące Aelfrice. Powiedziałeś, że na rycerza pasowała cię Królowa Aelfów. Pamiętasz?

Wzruszyłem ramionami.

- Tak było, choć w Sheerwall wyśmiali mnie.

- Kiedy obozowaliśmy nad rzeką.

- Udałeś się do gospody. Mieszkaliśmy tam z Poukiem.

Zarumienił się. Widać było, że wciąż ma w sobie dużo z chłopca, czym zjednął sobie moją sympatię.

- Chcesz powiedzieć, że damy cię wyśmiały? - wtrąciła Idnn. - Po prostu chciały zwrócić na siebie twoją uwagę. Wierz mi, że tak było.

Pokręciłem głową.

- Nie one. One co najwyżej mi współczuły. To mężczyźni ze mnie drwili, z wyjątkiem sir Woddeta.

- Który jest tu ze mną - powiedział Marder. - Czy ja z ciebie drwiłem? Jeśli tak, to musiałem być pijany. Stanę do pojedynku jeszcze raz, jeśli tego zażadasz.

- Ty nie, Wasza Miłość.

Svon zwolnił krzesło, a Hela przyniosła ławkę.

- Nie chce nam odpowiedzieć, Wasza Miłość - powiedziała Idnn. - Sam musisz go zapytać o to, kto zabił naszego męża. Wiemy, że on wie.

Marder zmarszczył czoło.

- Wiesz, sir Able? Odpowiedz tak lub nie.

- Tak, Wasza Miłość.

Marder milczał, aż wreszcie Idnn zwróciła się do niego:

- Nie zapytasz go?

- Może nie. Skoro nie chce powiedzieć, to pewnie ma powód. Ale zadam ci inne pytanie. Masz mój szacunek, sir Able, ale pytam cię jako twój pan lenny. Odpowiedz mi, jak przystało na prawdziwego rycerza. Dlaczego milczysz w tej sprawie?

- Bo nic dobrego z tego nie wyniknie, Wasza Miłość - odpowiedziałem. - A tylko smutek i niedola.

Po dłuższej chwili milczenia Marder powiedział:

- Moglibyśmy go ukarać, prawda? Albo ją. Winowajcę.

- Nie, Wasza Miłość.

- Nie moglibyśmy?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, Wasza Miłość. Nie mógłbyś.

- Czyż nie zrobiono tego z miłości? - Mani powiedział to cichutko, jakby chciał, żebym tylko ja go usłyszał.

Przytaknąłem mu.

Idnn wydała jakiś odgłos, lecz nic nie powiedziała, i dopiero Svon przerwał ciszę:

- Bardzo chciałem zadać ci pewne pytanie. Mam nadzieję, że odpowiesz na nie. Nie dość często pytałem cię o różne rzeczy jako twój giermek i mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Z sir Ravdem też nie rozmawiałem tak jak należało. Nienawidziłem go za to, że próbował mnie czegoś nauczyć, i nigdy sobie tego nie wybaczę. Nie chciałem żywić wobec ciebie podobnych odczuć jak wobec niego. Mówiłem ci, że Toug rzadko się odzywa. Tak było, zanim mgła nie ustąpiła.

Powiedziałem mu, że się powtarza.

- Być może. Tak samo jak ty o królowej Aelfów. To prawda, dlatego więc nie miałbym tego powtórzyć? Chociaż - nie jest to całkowita prawda. Powiedział, że kiedy umarł sir Garvaon, widziałeś coś, czego my nie widzieliśmy. On myślał, że i ja to widziałem, skoro też jestem rycerzem. - Powiedział - powiedział...

Uratował go Marder.

- Właśnie sobie przypomniałem. Ojciec Jej Królewskiej Mości pragnie z tobą pomówić. Chodzi o młodego Wistana, zbroję sir Garvaona i tym podobne sprawy. Prosił, bym o tym wspomniał.

Odpowiedziałem, że zaczekam, jeśli się jeszcze nie położył, albo spotkam się z nim rano.

Woddet zakasłał znacząco.

- Ja też jestem rycerzem. Na Panią. Wszyscy Overcyni w Skai są mi świadkami, że żałuję, iż mnie tam nie było.

- Wtedy sir Garvaon żyłby jeszcze z pewnością - powiedziała Idnn.

- Nie chcesz mnie zapytać, dlaczego nie walczyłem z Setrem? - powiedziałem. - Wszyscy pewnie chcecie wiedzieć. Śmiało.

- W takim razie zapytam - powiedziała Hela. - Wiem, że nie ze strachu.

- Był twoim przyjacielem, jak powiedziałeś - mruknął Svon.

- Rzeczywiście. Lecz istniał też inny powód. Nie walczyłem, ponieważ wiedziałem, że Setr musi umrzeć. - Żeby zmienić temat dodałem: - Kiedy heros umiera zostaje odprowadzony do Skai, gdzie służy Valfatherowi. A przynajmniej czasem tak się dzieje. I to właśnie widziałem, sir Svonie - a Toug widział, że ja widziałem to, czego on nie widział ani ty. Widziałem, jak przybyła panna tarczy, a sir Garvaon wstał i odjechał z nią. My ludzie - my rycerze, bez względu na to, czy jesteśmy nazywani rycerzami, czy też nie - odwiedzamy czasem Skai. Przypuśćmy, że jeden z nas, najlepszy spośród nas, spróbowałby zdobyć koronę.

Nie wiedzieli, co mam na myśli, więc machnąłem ręką, dając do zrozumienia, że odkładamy na bok Skai i jego koronę.

- Setr musiał umrzeć. A żeby on umarł, musiał też umrzeć mój przyjaciel Garsecg, ponieważ Garsecg i Setr to jedno. Setr bał się mnie. Mógł się przyłączyć tu do mnie w każdej chwili, ale wcześniej to on mnie ukształtował, tak jak Disiri, i wiedział, że mogę go zabić.

- Czy to jest ta królowa Aelfów, która pasowała cię na rycerza? - zapytała Idnn. - O czym ty mówisz?

Roześmiałem się i odpowiedziałem jej, że nie znam samego siebie. Jakiś duch z mojego umysłu powrócił i go nawiedza.

- To mnie niepokoi - powiedziała Hela.

- Kim jest ta królowa? - zapytała Idnn.

- To królowa Aelfów Mchu, Wasza Królewska Mość. Ona to obdarowała mnie wiedzą i podniosła do stanu rycerskiego. Uczyniła to w dobrej wierze, choć nie wiem, jaki miała w tym cel. Garsecg, który jednocześnie był Setrem, także mnie ukształtował i sądził pewnie, że i jego cel jest słuszny. Miałem walczyć z Kulili - co też uczyniłem niedługo przed jego śmiercią.

Hela i Woddet chcieli zapytać o nią, ale ich uprzedziłem.

- A ponieważ ukształtował mnie w równym stopniu, jak Kulili ukształtowała Aelfy, wiedział, że go zabiję, jeśli będziemy walczyli. Nie chciał walczyć, ponieważ był tego świadomy. Uciekłby zapewne i żadna Chmura by go nie dogoniła, zanim by wrócił do Muspelu. Grengarm próbował dostać się do Aelfrice, kiedy go dopadliśmy z Tougiem, lecz nie miałem żadnego gryfa, na którym mógłbym ścigać Setra. Powiedziałem więc, że nie będę z nim walczył, i wystawiłem przeciwko niemu sir Garvaona i Svona. Liczyłem na to, że tylu wystarczy.

- Nie wystarczyło - powiedział Svon.

Wstałem.

- Powinienem być włączyć się do walki, żeby ratować sir Garvaona. Myślałem, że on cię uratuje. Zanim zdążyłem wyjąć miecz, był już w szczękach smoka - tego samego, któremu powiedziałem, że nie będę z nim walczył. Zasługuję na potępienie. Odkupię winę, gdy to będzie możliwe. Czy mogę odejść, Wasza Królewska Mość?

- Od nas nie usłyszysz słów potępienia, sir Able.

Ukloniłem się.

- Czy wolno mi odejść?

\* \* \*

Wyszedłem z pawilonu i szedłem sam, rozmyślając o śmierci, której mogłem zapobiec, i zapomniałem, że miałem się spotkać z Beelem. Ostatecznie zaszedłem do ognisk Córek Angr, spodziewając się, że kobiety będą równie pozbawione sumienia i gwałtowne jak ich mężowie. Podjudziłbym je, one stanęłyby do walki, a ja nie musiałbym sięgać po Eterne, jeszcze większe niż ich mężczyźni, przekomarzały się jak wszystkie inne dziewczęta i kobiety. Usłyszawszy, jak podczas bitwy wykrzykiwałem imię Disiri, chciały wiedzieć, czy ją pocałowałem i wypytywały o tysiąc innych rzeczy. Posiliłem się przy ich ognisku i uraczyłem mocnym piwem, które zaprawiają wierzbową korą.

Marder przysiadł się tam do mnie i opowiadał o wojnach, które toczyły się, zanim się jeszcze urodziłem, i o rycerzach, którzy służyli u jego ojca. W którymś momencie powiedział:

- Chcieli cię wpytać w sprawie, którą obaj rozumiemy. A ja zapytam cię o coś innego, choć ma to związek z pierwszą sprawą. Niej musisz nic przysięgać. Wiem, że byś mnie nie okłamał.

Potwierdziłem, że bym tego nie zrobił.

- Znasz Aelfy lepiej niż jakikolwiek inny człowiek - tyle wiem, Czy dziś wieczorem jeden z nich był obecny, kiedy rozmawialiśmy z tą miłą damą, która przewodzi tym wielkim paniom?

- Możliwe, że tak, Wasza Miłość - odpowiedziałem - ale jeśli nawet, to nie byłem tego świadom.

Siedzieliśmy popijając piwo, wpatrzeni w ogień, ogień zbyt duży, by człowiek mógł upiec na nim mięso, aż wreszcie Marder powiedział:

- A wracając do tamtej sprawy, ktoś wspomniał, że zrobiono to z miłości. Do ciebie, jak mi się wydaje, skierował ten ktoś swoje słowa. Czy królowa to powiedziała?

Zaprzeczyłem i poprosiłem, aby już przestał mnie wypytywać, bo odpowiadając mu, musiałbym zdradzić przyjaciela.

- W takim razie już nie będę, sir Able. Zadam tylko jeszcze jedno pytanie. Nie wiedziałem o istnieniu tej osoby. A czy Jej Królewska Mość, w której pawilonie siedzieliśmy, wiedziała o tym?

- A jakże, Wasza Miłość. Była tego świadoma od samego początku, co do tego możesz być pewny.

W tym momencie Borda, urodziwa kobieta wysoka jak grotmaszt karaweli powiedziała:

- Rycerz zostawi sprawy królowej samej królowej. Niewiele wiem o rycerzach, a już nic o książętach, ale wydaje mi się, że rycerze są mądrzejsi.

Gdy wróciłem do naszego ogniska, Pouk i Uns już spali; przy ogniu grzała ręce jakaś kobieta, a Gylf drzemał przy niej. Zapytałem, czy potrzebuje czegoś, a ona odwróciła się do mnie i w pierwszej chwili wydało mi się, że to Lynnet.

- Usiądź przy mnie - powiedziała i wtedy zorientowałem się, że to nie jest głos Lynnet. - Nie. Jesteś zmęczony i zamroczony piwem. Połóż się i oprzyj głowę na moich kolanach, a ja ci opowiem różne rzeczy.

Położyłem się, a ona opowiedziała mi wiele rzeczy: o moim dzieciństwie w Ameryce, o tym, jak poznała mojego ojca i jak się pobrali.

\* \* \*

Wracaliśmy na południe powoli, tak więc któregoś dnia poprosiłem, by pozwolono mi pojechać do przodu, tłumacząc, że chcę zobaczyć Czerwony Dwór. Pogalopowałem Traktem Wojennym, a wcześniej przekazałem Wistanowi, Poukowi i Unsowi, żeby dołączyli do mnie jak najszybciej. Gdy tylko znikliśmy z pola widzenia, Chmura zaczęła się wspinać po podniebnym stoku i jechała coraz wyżej i wyżej, aż wreszcie cała ziemia przypominała mapę rozłożoną na stole, a Trakt Wojenny nitkę, po której pełzał robak - cała

nasza grupa - Beel i Marder ze swoimi ludźmi oraz Córki Angr, które Idnn prowadziła na południe. Glennidam Ulfy było tylko kropką przy srebrzystym strumieniu, a na skraju rzeki Gryf widniały pozostałości po Griffinsford. A potem rzeka Iring i zniszczone Irringsmouth, gdzie rzeka wpadała do morza. Za nami wznosiły się góry podobne do potężnego muru z parapetami ze śniegu i lodu, lecz Gylf i Chmura - i ja na jej grzbiecie - wznieśliśmy się jeszcze wyżej.

Aż wreszcie ujrzałem zamek podobny do gwiazdy. Na blankach stał Valfather, malutka, lecz wyraźnie widoczna postać. Jedną dłoń trzymał zanurzoną w brodzie, w drugiej ścisnął włócznię, a na głowie, zamiast szerokiego kapelusza, który ubierał, gdy przemierzał marne drogi Mythgarthru, miał teraz rogaty hełm będący jego koroną.

Gdy nasze spojrzenia się spotkały, Chmura obróciła się, tak że jej kopyta skierowały się ku Skai a grzbiet w stronę naszego świata, tak więc Valfather i jego zamek znaleźli się daleko pod nami.

Gdyby tylko dał znak, że chce, byśmy zeszli do niego, natychmiast byśmy to zrobili. Tymczasem wznieśliśmy się, mimo iż czułem, że on pragnie - a przynajmniej zaprasza mnie - bym wrócił do jego sali. Długo jeszcze się wspinaliśmy, zanim znowu ujrzeliliśmy Mythgarthr.

Ten fragment miałem ochotę pominąć: otóż wzięliśmy inny majątek za Czerwony Dwór. Tak więc pomyliłem się i zjawiliśmy się u jego drzwi: Chmura, Gylf i ja. Długo stukałem w nie ogromnym żelaznym pierścieniem, jako że pora była późna. Wreszcie zjawił się służący. Zapytałem go, czy to jest Czerwony Dwór (który znajdował się przy drodze do Kingsdoom), on zaś zapewnił mnie, że nie i wyjaśnił, że Czerwony Dwór znajduje się bardziej na południe. Opisał mi szczegółowo tamten dwór i zaproponował nocleg. Podziękowałem mu i wyjaśniłem, że mam zamiar spędzić noc w Czerwonym Dworze. Już wtedy wiedziałem, że nie zabawię tam długo, dlatego chciałem się tam znaleźć jak najszybciej.

Pogalopowaliśmy dalej, a przed nami pędził Gylf, jakby biegł świeżym tropem, aż wreszcie (każdy inny koń już dawno by ustał wyczerpany) skręciłem, by zasięgnąć języka, ponieważ pokonaliśmy długi odcinek drogi i bałem się, że w ciemności minąłem Czerwony Dwór.

Brama była mocno zniszczona, a dom za nią jeszcze bardziej. Miałem już odjechać bez pukania, gdy oto zorientowałem się, że kamienna postać przy wejściu to mantykora. Wtedy zapukałem, a potem krzyczałem i biłem

rękojeścią sztyletu w zniszczone deski.

Wreszcie pojawiła się kobietą ze świecą, stara, zgarbiona i prawie bez zębów. Domyślałem się, że jest pewnie przestraszona widokiem uzbrojonego mężczyzny na progu domu o tak późnej porze, dlatego szybko się przedstawiłem i zapewniłem ją, że jestem tylko podróżnym, który zgubił drogę i który nie żywi złych zamiarów.

- A to szkoda, bo miałam nadzieję, że przybyłeś, żeby mnie zabić.

- Tylko żeby spytać o drogę - powiedziałem - i zostawić dobre wieści. Czy to jest Goldenlawn?

Skinęła głową.

- A gdzie jest Czerwony Dwór?

- Półtorej mili stąd. - Pokazała na południe. - Nie ma pana. Mogą cię w ogóle nie wpuścić, a my tu niewiele mamy.

- Czerwony Dwór znowu ma pana - odpowiedziałem jej. - Ja nim jestem, ale jeszcze nie widziałem swojej posiadłości.

Na te słowa staruszka wyprostowała się i jakby się uśmiechnęła, prawie.

- Giganci Mrozu przyszedli tu przed laty z pierwszymi przymrozkami.

- Tak - powiedziałem. - Domyślałem się.

- Nie było go tu wtedy. Sir Ravda. - Possała wargę. - Pojechał na wojnę. Pomógłby nam. A ty zostaniesz?

- W Czerwonym Dworze? Może na kilka dni.

- A tutaj?

- Nie. Dziś położę się we własnym łóżku, choć go jeszcze nie widziałem. Wiem, że przedstawiłem się jako sir Able Wielkie Serce. Jest to prawdą, ponieważ przez lata nosiłem to imię. Teraz jednak powinienem się przedstawiać jako sir Able z Czerwonego Dworu.

- Życzę ci dobrego odpoczynku, sir Able - odparła staruszka i zaczęła zamykać drzwi.

- Zaczekaj - powiedziałem. - Nie słyszałaś dobrej nowiny.

- Myślałam, że już wszystko powiedziałaś. A nie?

- Wraca twoja pani, lady Lynnet.

Staruszka otworzyła szeroko oczy i zastygła w bezruchu, aż wreszcie cofnąłem się, a wtedy ona powiedziała:

- Jesteś Aelfem?

- Nie, ale czasem chciałbym być.

- Przyszedeś, żeby mnie dręczyć!



- Nigdy bym tego nie zrobił. Lady Lynnet wraca na swoje włości, razem z panią Etelą. Posprzątaj dom i przygotuj wszystko w miarę możliwości.

- To mój dom - odpowiedziała mu staruszka. - Jestem Lady Lis. - Po tych słowach zamknęła drzwi; jeszcze długo słyszałem jej płacz.

Angronici wcale nie napadli Czerwonego Dworu, a nawet jeśli, to został odbudowany. Kamienne kolumny zwieńczone lwami znaczyły wjazd długi na pół mili, wąski, ale w dobrym stanie. Droga prowadziła do szerokiej bramy z wieżami w murze po obu stronach, całkiem okazałymi. Brama była zamknięta, ale gdy zadałem w róg zawieszony na niej, pojawiło się czterech zaspanych zbrojnych. Najstarszy z nich zwrócił się do mnie:

- Przyjechałeś za późno, panie rycerzu. Czy raczej zbyt wcześnie. Bramę tę zamyka się, gdy wstaje gwiazda wieczorna, a otwieramy ją dopiero wtedy, gdy łucznik może wypuścić strzałę. Przyjdź później.

- Tę bramę otwiera się wtedy, kiedy ja tego chcę. - Odepchnąłem go na bok.

Szeroki dziedziniec z ubitej ziemi wychodził na dwór na tyle okazały, że nie musiał się wstydzić przez zamkiem. Mastify, które go strzegły, niewiele ustępowały wielkością Gylfowi, imponujące psy o szerokie piersi i wielkim łbie. Nie wiem, w jaki sposób mnie rozpoznały, ale tak było: oparte o moją pierś przednimi łapami, patrzyły mi w oczy, łasząc się.

- Kim jesteś? - zapytał najstarszy spośród zbrojnych. - Jaki jest twój herb? Muszę znać twoje imię.

Odwrociłem się do niego.

- Najpierw ty mi podasz swoje. Mów albo wyciągaj miecz i giń.

Ku memu zaskoczeniu obnażył miecz. Stał zbyt blisko, by walczyć, tak więc wykręciłem mu ramię z mieczem i rzuciłem go na ziemię, tak że koniec jego własnego miecza znalazł się przy jego gardle. W ten sposób ponaglony wyrzucił z siebie:

- Qut. Jestem Qut.

- Z południa?

- Moja matka - wzięta w niewolę. Ożeniła się i została.

Pozostali zbrojni stali z otwartymi ustami. Powiedziałem im, że muszą się nauczyć walczyć, jeśli mają u mnie służyć, i oznajmiłem, że stanę do walki z najlepszym z nich i będę walczył mieczem Quta. Tymczasem oni przyklękli, trzej durnie pozbawieni przywódcy.

Zdjąłem stopę z gardła Quta i powiedziałem:

- Jestem nowym właścicielem. Sir Able z Czerwonego Dworu.

Wszyscy trzech skinęli głowami, a Out dźwignął się na jedno kolano.

- Ty - pokazałem na jednego z nich. - Zaprowadź Chmurę do stajni i obudź stajennych. Przebyła długą drogę. Niech ją rozsiodłają i wyprowadzą na pastwisko. Powiedz im, że dowiem się o każdym zaniedbaniu, nawet najmniejszych, i ukazę ich srogo, aż popłynie krew.

Chwycił lejce Chmury i odprowadził ją szybko.

- Jest tam zarządca?

Qut powiedział, że tak i że nazywa się Halweard.

- To dobrze. Obudźcie go. I kucharzy.

- Drzwi są zamknięte, sir. Musiałbym obudzić kogoś...

Odszedł szybko ponaglony moim spojrzeniem i gestem. Po tej szarpaninie, choć krótkiej, odeszła mi ochota na spanie. Postanowiłem, że coś zjem - przez cały czas nie dojadaliśmy i byłem potwornie głodny - i posiedzę dłużej, a następnego wieczora położę się wcześniej.

I tak też zrobiłem. Zwiedziłem cały Czerwony Dwór i stwierdziłem, że stajnie, pola i spiżarnie pozostają w dobrym stanie, za to zbrojni i łucznicy są mało wyćwiczeni i niechlujni.

Następnego dnia zarządziłem zawody w strzelaniu z łuku, a zwycięzcy podarowałem szynkę. (Wcześniej obiecałem sztukę złota Mardera łucznikowi, który mnie pokona, lecz żadnemu się to nie udało.) Ten, który osiągnął prawie najgorszy wynik, miał trzepnąć ostatniego łukiem w tyłek. Uderzył lekko, więc kazałem następnemu przyłożyć mu za to. Śmignął mieczem tak, że się zakurzyło ze spodni tamtego.

Moi zbrojni przyglądali się wszystkiemu i mieli ubaw. Przypomniawszy sobie Angronitów, postanowiłem sprawdzić, czy czegoś się nauczyli. W zbrojowni znalazłem mnóstwo łuków i strzał. Każdemu zbrojnemu dałem łuk i strzałę i kazałem im strzelać z niezbyt dużej odległości.

Potem przeprowadziliśmy zawody (przy salwach śmiechu i żartach łuczników) z tymi samymi nagrodami i karami.

Wieczorem Qut wyznał mi, że ci, którym nie poszło dobrze, narzekali. Tłumaczyli się, że ich bronią jest miecz - miecz, partyzana i halabarda. Tak więc trzeciego dnia nacięliśmy młodych drzewek, które miały nam posłużyć jako miecze ćwiczebne, tak jak kiedyś Garvaonowi i mnie, i ćwiczyłem ich przez cały ranek, a potem walczyłem kolejno z każdym, mocno ich obijając.

Czwartego dnia przygotowaliśmy drągi, a ja wytłumaczyłem im, że ktoś,

kto potrafi posługiwać się drągiem, będzie znakomicie władał partyzana czy halabardą. Położyłem ich z tuzin, aż wreszcie jeden z nich grzmotnął mnie tak mocno, rozkładając na ziemi, że mógł mi wyrządzić krzywdę, gdyby nie hełm. Nagrodziłem go obiecany złotem, a potem zmierzyłem się z nim jeszcze raz. W tym pojedynku znowu poczułem w sobie moc burzowej fali i wydawało mi się niemal, że Garsecg płynie obok mnie. Złamałem jego drąg i rzuciłem go na kolana, kiedy próbował się bronić połówkami. Potem poleciłem mu poćwiczyć pozostałych, którzy później mieli walczyć między sobą, a my ich obserwowaliśmy. Balye się nazywał.

Tamtej nocy zjadłem kolację z Gylfem. Halweard przyniósł chleb, zupę i piwo i siedział ze mną długo, aż go w końcu zwolniłem.

- Zima dmucha, sir Able - powiedział. - Na północy na pewno było zimno. Odpowiedziałem mu, że bywało.

- Tutaj nie, tylko przymrozki, żeby jabłka szybciej dojrzały. Ale dzisiaj zmrozi. Słyszysz wiatr w kominie?

Zerwałem się z miejsca w jednej chwili, a w drugiej już stałem w butach. Wybiegłem przez bramę wypadową, którą mieliśmy zamkniętą, choć niestrzeżoną, i pogałem dalej przez trzy łąki. Znalazłem ją w lesie i nasze uściski były słodsze niż wino, a pocałunki jeszcze bardziej upojne. Zaprowadziła mnie do altany utkanej przez jej straż z roślin i położyliśmy się tam na mchu i całowaliśmy bez końca, obejmując się czule; okryłem ją moim futrem, ona zaś otuliła nas oboje swoim płaszczem z liści i rozmawialiśmy o miłości tak długo, że starczyłoby na książkę grubszą niż ta. A z drugiej strony powiedzieliśmy sobie tylko tyle: że ja kocham ją, a ona mnie, i że czekaliśmy tak długo i już się nie rozstaniemy.

Wreszcie powiedziała mi:

- Wykorzystałam cię i włożyłam w twoje usta słowa, które chciałabym, żebyś powiedział do Arnthora i do każdego innego ludzkiego króla i uczyniłam z ciebie człowieka, który mógł rozmawiać z królami. Wydawało mi się, że dobrze uczyniłam. Ale to wszystko głupota, bo istnieje tylko miłość. Będę twoją żoną.

Gdy to powiedziała, jej skóra z zielonego przybrała kolor biały.

- Nie - odpowiedziałem i poruszyłem się, jakbym zamierzał wstać.

- Będę twoją poślubioną żoną - albo tak przynajmniej powiemy innym - i zamieszkamy w ocienionych pokojach, a ja będę czesać włosy w ciszy nocy i perfumować się dla ciebie.

- Nie - powtórzyłem. - Będę cię kochał pod każdą postacią, jaką wybierzesz, ale najbardziej taką, jaką byłaś tutaj.

- Nie rozmawiaj z królem. Obiecuj mi to.

Roześmiałem się.

- Walczyłem z armią Angronitów. Czy w Thortower czeka mnie coś gorszego?

- Ciebie? Tak.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, a potem powiedziałem:

- A ty? Boisz się o mnie? Będziesz tam bezpieczna?

Zapłakała.

\* \* \*

Wróciłem do Czerwonego Dworu z włosami oblepionymi śniegiem. Halweard, który czekał na mnie, przyniósł mi dzban gorącego piwa, za co byłem mu wdzięczny. Oznajmiłem mu, że rano wyruszę do Thortower.

- Znasz dobrze to miejsce?

Usiadłem.

- W ogóle nie znam. Nigdy tam nie byłem.

- Dobrze by było, gdybyś znalazł jakiegoś przyjaciela, który by cię tam przedstawił, kogoś, kto bywa na dworze.

Odpowiedziałem mu, że dopóki nie wróci Beel, nie mam nikogo takiego, po czym kazałem mu iść spać.

Powinienem być pójść w jego ślady, ale tego nie zrobiłem. Siedziałem, popijając syczące z gorąca piwo, wpatrzony w ogień i rozmyślałem o tym, co mi powiedziała Disiri. Ona nie ukształtowała mnie tak samo jak Kulili swój lud; moi rodzice dokonali tego. Choć w jakimś sensie mnie stworzyła, nauczyła mnie przede wszystkim tego, co mam powiedzieć w Thortower. Zamknąłem oczy i usłyszałem krzyk mew przed jaskinią Parki, trzepot ich skrzydeł i szum fal. A co miałem powiedzieć?

Bez wątpienia nie była to zwykła wiadomość, jako że nie byłem zwykłym człowiekiem. Wcześniej pragnąłem sławy i umiejętności w wojaczce i nie wiedziałem, że pragnę tego tak bardzo, aż usłyszy o mnie król. Toug spotkał wcześniej Disiri podobnie jak ja; lecz dla niego nie miała żadnej wiadomości, on zaś pragnął jedynie pługą - powolnego koła pór roku i życia, jakie wiódł

jego ojciec, życia, w którym nowa krowa stanowiła spełnienie ambicji.

Mógłbym przeżyć długie lata w Czerwonym Dworze, doglądając pól i mleczarni. Stawiłbym się zawsze, gdyby mnie wezwał Marder. Jeśli nie, zostałbym tam, odwiedzając Forcetti każdego miesiąca i Sheerwall trzy razy do roku. Disiri by mnie odwiedzała, a gdyby moim pokojówkom wydało się, że widują na korytarzu kobietę nie całkiem ludzką, no cóż, niechby sobie plotkowały. Jak nazwała mnie Ulfa? Rycerz czarnoksiężnik, chociaż już Gylf i Chmura byli wystarczająco nie z tego świata dla innych...

Najciemniejszy kąt pokoju, ten najdalej oddalony od ognia, jeszcze bardziej pociemniał. Początkowo pomyślałem, że to z powodu przygasającego ognia, do którego nie zamierzałem dokładać więcej drewna; uznałem, że pójde spać, a żar wytrzyma do rana.

Było coraz ciemniej. Chodnik przed paleniskiem, poroże na ścianie i dzban z piwem wciąż jeszcze były oświetlone, lecz noc już nadeszła i czekała w kącie.

Przywołałem Uri i Baki, podejrzewając, że to może jakaś ich sztuczka, a potem wezwałem wszystkie Aefly. Kilka klanów miało ten kolor, powiedział mi to kiedyś Mani, i często płatali figle Bertoldowi Śmiałemu. Nawet jeśli te strzepy ciemności były Aelfami, to żaden z nich nie odpowiedział.

Wreszcie zawołałem na Orga, choć przypuszczałem raczej, że został z tyłu ze Svonem i innymi. Odezwał się zza mojego krzesła.

- Dobry Boże! - wykrzyknąłem, a wtedy z kąta popłynął śmiech, śmiech który przywiódł mi na myśl lód w północnych pieczarach i sople, które śpiewały (o czym Borda opowiedziała mnie i Marderowi), jeśli w ciemności dotknął je grot włóczni.

## ROZDZIAŁ 28

### MORCAINE I WIĘCEJ MAGII

Wynurzyła się z ciemności, tak jak ktoś, kto wyszedłby z ciemnego pokoju do oświetlonego. Jeszcze chwilę wcześniej gotów byłem powiedzieć, że w całym Czerwonym Dworze nie było kobiety, która by mi dorównywała wzrostem, może poza Helą i Córkami Angr, które przewyższały wzrostem swoich synów.

Ta kobieta była o wiele wyższa, co jeszcze podkreślał diadem na jej głowie. Smukła i gibka jak wierzba, miała długą szyję i długie nogi. Jej kruczoczarne włosy były tak gładkie i lśniące, że przez chwilę pomyślałem, iż nosi pod diademem aksamitny kaptur.

- Nie znasz mnie? - Ponownie się roześmiała, lecz jej śmiech pozbawiony był radości, wtedy jak i później. - Spotkaliśmy się, choć w innym przebraniu.

Skłoniłem głowę.

- Nigdy bym nie zapomniał takiej kobiety.

- Która wyszła z kąta twojego pokoju? A jednak zapomniałeś. - Znowu usłyszałem jej śmiech. - Miałaś na sobie zbroję, ja byłem naga. Oto przychodzę, by spełnić twoje życzenie, choć całkiem ubrana. Czy uznajesz Najwyższego Boga?

Zaskoczyła mnie swoim pytaniem.

- No cóż, oczywiście - wybąkałem jak speszony chłopak, którym starałem się nie być.

- A ja i tak, i nie. - Uśmiechnęła się, a jej uśmiech przeszedł w śmiech. Śmiech podobny do muzyki, której wcale nie pragnąłem więcej usłyszeć w przeciwieństwie do śmiechu Disiri. Nawet wtedy wyczuwałem w niej nie całkiem ludzką istotę, w czym utwierdzał mnie jej śmiech.

- A ja i nie, i tak. - Przechyliła głowę jak ptak.

Jeszcze raz skłoniłem głowę.

- No właśnie, pani. Możemy myśleć tylko o istotach, o rzeczach, które są Jego dziełem. Bo istoty są wszystkim, co znamy, i mogą być wszystkim, co

znamy, dopóki nie poznamy Jego. Kiedy myślimy o Nim w taki sposób, wtedy odkrywamy, że nie wierzymy. On nie może być istotą bardziej niż stolarz stołem.

Przytaknęła mi.

- Mądre słowa. Kiedy patrzę na ten świat, wiem, że nie ma Najwyższego Boga. A jednak ten szatański humor! Poznałeś mnie?

- Nie, pani.

- Biedaku. Gdybym zdjęła szatę i koronę, od razu byś mnie poznał. Wspominałeś coś o stołach.

Przeszła do końca długiego stołu, na którym stał dzban z moim piwem; nie widać było strachu na jej gładkim owalnym obliczu, lecz wyczułem, że nie chce zbliżyć się do Orga.

- A gdybym tak położyła się tu naga? - Jej długa biała dłoń musnęła drewniany blat.

- To ciebie złożono w ofierze Grengarmowi.

- Tak, a ty mnie uratowałeś. Czy miałeś nadzieję nacieszyć się mną?

Potrząsnąłem głową.

- Tam na jego ołtarzu albo na jakiejś uroczej polance? Wtedy nie byłam w nastroju do zaspokajania czyichś uciech. Myślałam, że nas pożre.

Wyjaśniłem, że wcale jej za to nie winię, podczas gdy Org przez cały czas szeptał mi do ucha o podkradaniu i łamaniu karków. Jakiś czas wcześniej w drzwiach ukazał się Gylf, który obserwował nas czujnie.

- Znam twoje imię, sir Able. I wiem dużo o tobie. Że ugodziłeś nożem króla Gillinga...

Musiałem wyglądać na bardzo zdziwionego.

- A nie zrobiłeś tego? Czy też jesteś zaskoczony, że to odkryłam?

- Nie zabiłem go.

- Dobrze. Też bym tak mówiła na twoim miejscu. Królowie bardzo się cenią. Przypomniałeś sobie moje imię?

Pokręciłem głową.

- Ach, taka - taka! - jest sława. A gdybym powiedziała wcześniej, że nasz król, mój brat, ceni swoją krew bardziej niż krew pospolitych ludzi? Czy wtedy byś mnie rozpoznał?

- Sięgnąłem w głąb pamięci, pani, lecz nic nie znalazłem.

- Szkoda. Dobrze. Od czego by tu zacząć? - Zdjęła koronę, roześmiała się i położyła ją na stołku. - Widzisz, ma takie ostre zakończenia. Żeby nikt na

niej nie usiadł i jej nie zgniótł.

- Pani...

Roześmiała się.

- Ja nie jestem, no wiesz, - niczyją damą. Jestem księżniczką. Nie słyszałeś, jak mówiłam? Król Arnthor jest moim bratem. Jestem księżniczka Morcaine, jedyna w naszym królestwie - i chyba tak już zostanie, jako że królowa mocno ściska uda. - Morcaine potrząsnęła włosami, roztaczając woń piżmowych perfum. - Uwolnisz mnie od tej szaty? Jest za ciasna.

- Wasza Wysokość, kocham pewną królową. Ale nie królową króla Arnthora. Także nie królową Idnn z Jotunlandu. Inną.

Morcaine znowu się roześmiała.

- Jest ich wszędzie pełno, jak wody w rowach - mam na myśli te królowe.

- Wcale nie, Wasza Wysokość. Nie ma drugiej takiej jak moja królowa.

- Ponieważ ją kochasz. Czy nie zastanawiałeś się, co noszę pod spodem? Przysięgłabym, że to wyczułam.

Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zachowałem milczenie.

- Jeśli nie pozwolisz, żebym ci pokazała, to ci powiem. To założone tam niżej pozostaje niewidoczne, pajęcza sieć rozsnuta tam przed laty. Wciąż spełnia swoją funkcję - a przynajmniej tak myślę, bo trudno coś powiedzieć o tych niewidzialnych rzeczach.

- Zapominam o manierach. Moi słudzy już śpią...

- Poza tymi dwoma. - Morcaine roześmiała się.

- Tak, Wasza Wysokość. Pozostali śpią, ale znajdę trochę dobrego wina, jeśli chcesz. A także trochę ciasteczek i suszonych owoców.

- Napiję się odrobinę twojego piwa. Mogę?

Podsunałem jej dzban, który przyniósł Halweard, ona zaś osuszyła go do dna i cisnęła na bok.

- No to wypełniłeś swój obowiązek pana Czerwonego Dworu. Rozmawialiśmy o mojej bieliźnie, czy nie tak? - Roześmiała się, beknęła i znowu się zaśmiała. - Nie chciałbyś sprawdzić, na czym się te tu trzymają?

Pokręciłem głową.

- Mam tam takie koronkowe tasiemki. Podtrzymują je tak jak gigant, który podtrzymuje świat na mapie, i podsuną ci je niczym jabłka. - Zamilkła na chwilę, obracając w dłoniach prawdziwe jabłka. - Nie, są większe. Kule. Tak. Kule koloru kości słoniowej, gładkie, solidne i zakończone rubinem. Jabłko monarsze jest złote, lecz ja wolę moje. Tobie też się spodobają.



- Nie, Wasza Wysokość.

- Oczywiście, że tak. Jeśli nie teraz to kiedy indziej. To za smoka. Mam u ciebie dług wdzięczności. - Jej oblicze spoważniało. - Ja zwracam swoje długi. Mój ojciec był królem w Mythgarthrcie, a matka smokiem w Muspelu. Niańczyły mnie Aelfy. Wierzysz w to wszystko?

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedziałem. - Wiem, że tak jest.

- Jestem dobrą przyjaciółką za to straszny wrogiem. O tym też się przekonasz. Obserwowałam cię, gdy tylko miałam na to czas. Czy tamte kobiety są tak duże jak wyglądają?

- Jeszcze większe, Wasza Wysokość. Kiedy dowiedziałem się, że ich kobiety żyją w odosobnieniu, zastanawiałem się, dlaczego Giganci Mrozu na to pozwalają. Zrozumiałem, kiedy je zobaczyłem.

- Nie bałeś się ich?

Wzruszyłem ramionami.

- Jesteś największym rycerzem w Mythgarthrcie. Nie mogłam cię zobaczyć w Skai, ale wiem, że się tam udałeś. I wróciłeś. Będziesz potrzebował przyjaciela w Thortower. Tak powiedziałeś i po to tu przyszedłem. Tak jest, bez względu na to, co myślisz.

- Po rozmowie z jednym z mieszkańców dworu jestem skłonny ci uwierzyć, Wasza Wysokość.

- Jeśli myślisz, że oferuję swoje wdzięki wszystkim naokoło, to się grubo mylisz.

Chciałem jej wyjaśnić, że nic takiego nie myślę, ale musiałem pozostać w zgodzie z Disiri.

- Czy ona jest dla ciebie prawdziwa? Nie musisz odpowiadać - twoje oblicze wszystko mówi. - Morcaine zamilkła i na krótką chwilę przygryzła śnieżnobiałymi zębami pełną wargę. - Wybacz. Nie sądziłam, że kiedyś powiem to mężczyźnie, ale się stało.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. Jesteś zbyt łaskawa.

- O wiele słabostek mnie oskarżano, ale nigdy o to. To już się nie powtórzy, jak sądzę.

Org poruszył się, wyczuwając, że Morcaine zamierza odejść.

- Jesteś pewny, sir Able? Nie musimy tego robić na stole. Pomyślałam tylko, że moglibyśmy udawać, że to ołtarz. Możemy też pójść do twojego łóżka.

- Odczuwam przemożną pokusę, ale nie mogę. Nie.

Roześmiała się jak już tyle razy wcześniej i wycofała, aż ciemność objęła skraj jej szaty, jej korona uniosła się i popłynęła, jakby była kawałkiem drewna unoszonym na wodzie, po czym opadła na jej głowę.

- Widzę, że wywarło to na tobie wrażenie. - Zaśmiała się. - W nagrodę za swoje zdziwienie masz gości. Lepiej obudź służącego, jeśli nie chcesz im sam otwierać drzwi.

Gdy skończyła mówić, rozległo się stukanie kołatki. Kiedy ucichło, powiedziałem:

- Halweard z pewnością już się obudził, jeśli w ogóle zasnął.

Uśmiechnęła się i zrobiła kolejny krok w tył, wtedy ogień znowu zapłonął jaśniej, a ja poczułem, że odgłos kołatki przerwał czyjś sen. Usłyszawszy skrzypienie otwieranych drzwi, a potem stąpanie obutych stóp, zapowiedziałem Orgowi, że nie wolno mu bez pozwolenia zabijać ludzi ani bydła, za to może zabijać dziką zwierzynę w parku, po czym go odesłałem.

Gylf usiadł przy mnie, a ja pogłaskałem go po łbie.

- Widziałeś ją, Gylf? Widziałeś jej oczy? Disiri ma w oczach żółty ogień jak wszystkie Aelfy, jej, choć czarne, płonęły niewiarygodnym blaskiem.

- Uszy do góry.

- O, tak. Jest niebezpieczna. Zdaję sobie z tego sprawę.

Usłyszałem dobiegający z korytarza głos Halwearda.

- Sir Albe zapewne już się położył. Znajdziemy wam miejsce do spania i...

- Tutaj! - zawołałem - i zaraz wszyscy weszli do pokoju: Halweard, Qut, Wistan, Pouk i Uns.

- Czy to twój giermek, sir Able? Bo tak mówi.

- Pomyślałem, żeby ich wpuścić, sir - dodał Qut - i przyprowadziłem tutaj, żeby się upewnić. Możemy ich wyprowadzić, jeśli chcesz.

- Jesteśmy jego ludzie - zaczął Uns, a Pouk dodał:

- Pierwszy się zgłosiłem i nie jest dobrze...

Uciszyłem ich i potwierdziłem, że Wistan jest moim giermkiem, po czym kazałem mu zdać relację.

- Pojechaliśmy za tobą, sir Able. I tyle. - Chrząknął. - Wiem, że musiałeś nas zostawić, że nie było sposobu, żebyś nas zabrał ze sobą, ale to zrobiłeś. No to pomyślałem, że pojedziemy przodem i może cię dogonimy. Lord Beel chciał, żebyśmy zostali, ale królowa Idnn - to znaczy - Jej Królewska Mość - powiedziała, że powinniśmy jechać, a Jego Miłość się zgodził, także Jego Lordowska Mość nie miał nic przeciwko temu. Ja chciałem, żeby oni zostali,

ale nie chcieli, to ich zabrałem ze sobą.

Pouk uderzył się kłykiem w czoło.

- Mamy swoje obowiązki sir, powiedziałem, tylko sir Able...

- Musisz nakazać im, żeby mnie słuchali - skończył Wistan.

Wyjaśniłem mu, że będzie musiał zapracować sobie na ich szacunek.

- Następnym razem zapracuję na niego mieczem. - Oblicze Wistana sposepniało. - Uparli się, że pojedą ze mną i zabiorą dwa muły.

Widziałem, że obaj chcą mówić, lecz powstrzymałem ich ruchem głowy.

- Przez to jechaliśmy wolniej, ale cały czas ich popędzałem. Miałem ochotę pojechać do przodu. Wczoraj już prawie to zrobiłem, tylko że wtedy nikt by ich nie obronił, gdyby napadli ich jacyś bandyci.

Pouk prychnął.

- Tak więc zostałem, sir Able. Z powodu mułów. Mam kilka rzeczy. Należą do ciebie?

- Nie, sir. Może kilka. Ja...

- Tylko przędza - przerwał mu Uns. - Na tych mułach. Łupy, ser.

- Po Armii Jotunlandu, sir. - Wistan posłał mi przepaszające spojrzenie. - Kiedy odjeżdżałeś, jeszcze nic nie było podzielone, ale zrobiliśmy to następnego ranka zgodnie z regułami.

Poprosiłem go, żeby przedstawił mi reguły, jako że ich nie znałem.

- Mogę, sir. Jedna czwarta dla korony. Z reszty udział dla każdej obecnej osoby, plus dodatkowy udział dla każdej szlachetnie urodzonej osoby, która nie jest rycerzem. - Pokazał na siebie, - Pięć udziałów dla rycerza plus jeden dla każdego jego zbrojnego i łucznika, tyle tylko, że przechowuje je rycerz. Dziesięć dla każdej szlachetnie urodzonej osoby plus pięć dla każdego rycerza, którego przyprowadziła. Wyszło więc piętnaście dla Jego Miłości, sir, ale oni w ogóle nie chcieli o tym słyszeć, ponieważ tak naprawdę to ty jesteś rycerzem Jego Miłości, a nie tylko sir Woddet, do tego ty zrobiłeś więcej niż ktokolwiek inny, tak więc dali mu dwadzieścia. A potem...

- Wystarczy - powiedziałem. - Rozumiem, że dostałem pięć udziałów, ty oczywiście dwa, a Pouk i Uns po jednym.

- Ty dostałeś więcej, sir - oświadczył Pouk z dumą. - Kiedy dzielili, sir Woddet powiedział, że powinieneś dostać więcej.

Uns przerwał mu:

- Sir Leort też, sar. On i królowa. Wszyscy jak jeden.

Wistan skinął głową.

- Jego Miłość powiedział, żeby każdy kto się chce dołączyć, ustawił się w szeregu, wtedy my położyliśmy nasze na kocu, a inni przechodzili i dokładali wedle uznania. Jej Królewska Mość była pierwsza i położyła duży złoty puchar pełen złota, a i inni też dużo dokładali.

- Nie ty, mam nadzieję.

Wistan spojrział na mnie zażenowany.

- Dla mnie to było dużo, sir Able. Ale to nic w porównaniu z darem Jej Królewskiej Mości.

- Rozumiem i dziękuję ci. Cieszę się, że znowu cię widzę, a także Unsa i Pouka. A w szczególności Pouka. Dostałeś pozwolenie, żeby pojechać przodem, i pewnie szybko jechaliście, skoro pokonaliście tę odległość tak prędko. O której wyruszyliście?

- Nim kogut zapiał.

Skinąłem głową.

- Jest już pewnie północ. Mam złe wieści. Za dzień lub dwa wyruszymy do Thortower. Zamierzałem jechać już jutro, ale przecież musicie odpocząć, a także wasze konie. Muły z bagażami mogą zostać tutaj.

Posłałem ich do łóżka i obudziłem stajennych. Torby niesione przez muły zaniósłem do mojej sypialni, i zanim się położyłem, przejrzałem z wierzchu ich zawartość. Prawie już zasnąłem, gdy ktoś wyszeptał:

- Tam jest magia, panie. Wyczuwam ją.

Gdybym nie spał, to bym ją wypytywał o wszystko, a także o Morcaine - w szczególności o nią. A tak to kazałem jej odejść, żebym mógł wypocząć.

\* \* \*

Czytając powtórnie ten długi list, Ben, widzę, że dużo opuściłem. Przede wszystkim nie napisałem, w jaki sposób powstał. Teraz już nie powiem na ten temat zbyt wiele, może tylko tyle, że mam dużo czasu (więcej niżbym chciał, ponieważ Disiri jest tak bardzo nieobecna) i że czasem spaceruję po plaży cały ranek, zastanawiając się nad tym, co mam napisać, co powiedzieli inni, a co ja powiedziałem. Towarzyszy mi głos Maniego, miłe mruczenie w jednej chwili, a w drugiej głośne miauczenie, przelotne spojrzenie Garsecga, miękkie ciepło uszu Gylfa i wielka miłość, jaką obdarzyła mnie Chmura. Kiedyś, gdy rozsiadłem ją w jakimś samotnym obozowisku, pogłaskałem ją

i powiedziałem, że wyrasta jej róg i że w związku z tym musimy znaleźć opaskę z otworem na róg, tak by inni uwierzyli, że jest on tylko dekoracją. Zrobiliśmy to, gdy tylko dotarliśmy do Kingsdoom - ale wyprzedzam fakty.

W nocy napadało śniegu na szerokość dłoni, tak więc moi zbrojni i łucznicy zaczęli narzekać, kiedy ich zebrałem na zewnątrz. Odpowiedziałem im, że w Jotunlandzie spaliśmy pod gołym niebem w gorszych warunkach, a kiedy dołączył do nas Wistan, opowiedział o swoich przeżyciach. A potem kazałem mu strzelać razem z łucznikami, wiedząc, że będzie opowiadał o naszych walkach z Angronitami.

Ja sam podjąłem próbę nauczania zbrojnych, jak posługiwać się kopią. Starsi mieli o tym jakieś pojęcie, jako że przeszli dobrą szkołę sir Ravda. Z kolei młodzi nie wiedzieli nawet, jak trzymać kopię, i choć orientowali się, że hełm i pierś stanowią najlepsze cele, to najczęściej trafiali w konia.

Tak więc trzeba było przerwać pojedynki i wrócić do ćwiczenia z pierścieniem. Kiedy każdy odbył po dwie próby (najczęściej bez powodzenia), wezwałem Wistana i kazałem mu dosiąść Chmury za jej zgodą i poleciłem, aby zaatakował pierścień. Mimo iż gnał na grzbiecie Chmury jak wiatr, to zdjął pierścień za pierwszym i drugim razem. Głośno go pochwaliłem.

Zapadał już zmierzch, lecz ja postanowiłem wykorzystać czas i zarządziłem ćwiczenia z mieczem na śniegu; walczyli tak długo, dopóki widzieli okorowane drewno. Potem zjedliśmy posiłek, nie oni u siebie i ja u siebie, lecz razem w przestronnej sali, gdzie zasiadłem u góry stołu z Wistanem po mojej prawej stronie. Pouk i Uns siedzieli w przeciwległym końcu, lecz służba obsługiwała ich tak samo jak moich zbrojnych. Mieliśmy piwo, chleb, sery i dużo mięsa, a potem jabłka i orzechy. Kiedy zabraliśmy się do rozłupywania orzechów, Wistan zapytał, czy weźmiemy ludzi do Thortower. Odpowiedziałem, że nie (co okazało się błędem), bo przecież przybyliśmy w pokoju, tak więc skoro ich nikt nie napadł na drodze, to z pewnością okaże się bezpieczna dla rycerza, jego giermka i dwóch służących.

Dopiero gdy już zdecydowałem się położyć, przypomniałem sobie o szepcie, jaki usłyszałem poprzedniego wieczora. Rozpakowałem więc bagaże i przejrzałem dokładnie każdy przedmiot. Bez wątpienia Eterne był takim przedmiotem, z drugiej strony wyglądał tylko jak wspaniały miecz, dopóki nie opuścił swojej pochwy.

Znalazłem tam też dużo złotych monet, które chciałem pominąć, lecz się

powstrzymałem. Sprawdziałem każdą, lecz mimo iż pochodziły z pięciu królestw, żadna nie wzbudziła mojego zainteresowania. Wrzucałem je kolejno do mojej sakiewki i wyjmowałem, lecz bez większego zainteresowania.

A potem głowiłem się nad kolejnymi przedmiotami, oglądając każdy z osobna, i jakże żałowałem, że nie ma ze mną Maniego, żeby mi coś doradził. Ostatecznie, dręczony wieloma wątpliwościami, skupiłem uwagę na trzech przedmiotach.

Pierwszym z nich był puchar tak wielki, że można by wykąpać w nim niemowlę. Domyślałem się, że to ten, który Idnn podarowała mi wypełniony złotem. Przypuszczałem, że dostała go od Gillinga. A ponieważ nie było w nim nic niezwykłego, poza tym, że wykonano go z czerwonego złota i pięknie ozdobiono, uznałem, że być może posiada on jakąś ukrytą zaletę - że może przeciwdziała truciznom lub tym podobnym. Napilem się z niego wody i trochę wina, lecz nic nie poczułem.

Potem obejrzałem hełm, stary i w nie najlepszym stanie. Z żelaza tak jak inne hełmy, podbity skórą zniszczoną i popękaną. Przyglądałem mu się podejrzliwie, ponieważ nie sprawiał wrażenia bogatego podarunku; ale przecież mógł być noszony przez jakiegoś herosa i w ten sposób przynieść chwałę jego właścicielowi. Nie miał grzebienia i pozbawiony był wszelkich upiększeń poza znakami nad otworami na oczy. Założyłem go i rozejrzałem się, spoglądając na ogień, a potem przez okno, lecz nie zobaczyłem niczego niezwykłego. Wyczyściłem go i naoliwiłem, natarłem też olejem wysuszoną skórę.

Trzecim z wybranym podarunków było złote koło w postaci węża. Pomyślałem, że jest to pierścień któregoś z poległych Gigantów Mrozu, choć można by go wsunąć na ramię niejednej kobiety. Na moje palce by za duży a za mały, by wsunąć na ramię. Popatrzyłem przez niego i rzuciłem go w górę, bez rezultatu.

Potem straciłem trochę czasu, wołając Uri i Baki, i wreszcie położyłem się zupełnie zdezorientowany; śniłem o Wieży Glas, a potem obudziłem się, rozmyślając o kobiecie, którą widziałem tam z Lynnet i Etelą. Dołożyłem do ognia i znowu się położyłem; śnili mi się najeźdźcy, z którymi miałem do czynienia dawno temu - przejeźliśmy ich statek, w którego ładowni znajdowało się coś, na co nie odważyliśmy się spojrzeć.

Ćwiczyliśmy jeszcze jeden dzień, a następnego wyruszyliśmy: Gylf,

Wistan, Pouk, Uns i ja. Nigdzie nie widziałem Orga, ale słyszałem go w lesie, choć równie dobrze mógł to być trzask gałęzi złamanej pod ciężarem śniegu. Jechaliśmy powoli, zatrzymywaliśmy się w gospodach, tak więc do Kingsdoom dotarliśmy po tygodniu, pokonawszy odległość, którą z Gylfem i Chmurą przebylibyśmy w godzinę.

Zamku Sheerwall nie zbudowano w samym Forcetti, lecz w lepszym miejscu oddalonym od miasta o milę. Thortower natomiast jest otoczone ze wszystkich stron przez miasto Kingsdoom, podobnie jak zamek Gillinga - Utgard - stał otoczony przez miasto o tej samej nazwie. Lecz podczas gdy miasto Utgard tworzyła zbieranina lichych domów, Kingsdoom mogło się poszczycić wieloma imponującymi budowlami. Ponieważ przybyliśmy dość późną porą, zatrzymaliśmy się w gospodzie w pobliżu Thortower i wykorzystaliśmy ostatnie godziny światła dnia na zwiedzanie portu i terenu wzdłuż traktu prowadzącego z nabrzeża do zamku.

Muszę cofnąć się do przedmiotów, które wcześniej opisywałem. Zabrałem je ze sobą. Kiedy już usiedliśmy wygodnie w pokoju w gospodzie, pokazałem je kolejno Gylfowi, a potem przywołałem Wistana. Pouka i Unsa. Nie potrafili powiedzieć nic więcej niż ja sam.

Po ich wyjściu przywołałem Baki, a ona zjawiła się. Uściskałem ją, a nie powinienem był. Wzięła głęboki oddech, kiedy ją puściłem i powiedziała:

- Panie, przybyłam tu, aby ci obwieścić, że już więcej nie przyjdę. Ale teraz... kto to może wiedzieć. Kochasz mnie?

Powiedziałem, że tak i że bardzo za nią tęskniłem.

- A ja za tobą, panie. Zawsze gdy byłam daleko i często, będąc u twego boku. Uwolniłeś nas - mnie i Uri. Nie jesteśmy już twoimi niewolnicami.

- Nigdy nimi nie byłyście. Uwolniłem was nie raz.

- Tak. Ale wzywałeś nas, gdy nas potrzebowałeś, i odsyłałeś, jeśli ci tak było wygodnie, rzadko kiedy wyrażając podziękowanie. Czy mogę usiąść?

- Oczywiście.

Zajęła miejsce na środku mojego niewielkiego kominka.

- Byłyśmy twoje, ponieważ należałyśmy do Setra. Setr skrupował nas, tak więc nie mogłyśmy się uwolnić.

- Setr nie żyje. Jesteście wolne i nie ma w tym mojej zasługi. Vil go zabił, choć nie dałby rady bez pomocy Svona i sir Garvaona, którzy przyciągnęli jego uwagę, podczas gdy Vil owinął jego szyję moją cięciwą. Im więc powinnaś dziękować, a nie mnie. Niemniej jednak cieszę się, że jesteście

wolne i mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi.

- Ładnie powiedziane. - Baki spojrzała na mnie spod oka. - Dobrze wypadniesz na dworze.

- Muszę wypaść lepiej - odpowiedziałem jej. - Jeśli dobrze mi życzysz, to życz mi powodzenia. Naprawdę przysłaś się pożegnać?

- Tak! Odejdę niebawem, drogi panie, i już mnie więcej nie zobaczysz. Ani ja ciebie. Nadszedł czas rozłąki ostatecznej.

Mówiła tak dramatycznym głosem, że wiedziałem, iż kłamie, lecz udałem, że wierzę, bojąc się, by nie była to prawda.

- Nie przyjmiesz mnie do łóżka, panie? Nie ogrzejesz samotnej dziewczyny Aelfów, która służyła ci tak długo w tym zimnym świecie? Mimo iż jestem wychłodzona, w łóżku będziemy jak ogień i płomień. Przekonasz się.

Potrząsnąłem głową.

- W takim razie pocałuj mnie - powiedziała i wyszła z ognia.

Pocałowałem ją, przytuliłem i znowu pocałowałem, a kiedy odsunęliśmy się od siebie, powiedziałem:

- Nie zamierzam cię zatrzymywać, Baki. Zanim jednak odejdiesz, zadam ci pytanie i poproszę o drobną przysługę. Jedno i drugie zajmie ci mniej czasu, niż mnie wyjaśnienie, o co mi chodzi.

- Zrobię to za jeszcze jeden pocałunek.

- Dobrze. Przed kilkoma dniami ktoś szepnął mi do ucha, że jest magia wśród podarunków Wistana. Czy to byłaś ty?

Pokręciła głową.

- Nie, panie.

- A wiesz, kto?

- Dwa pytania, zarobiłam więc dwa pocałunki. To musiała być Uri, panie. Bardzo się ciebie boi i robi wszystko, by złagodzić twój gniew.

Zapewniłem ją, że nie zamierzam skrzywdzić Uri.

- Wiem, panie. Ona wciąż myśli o swojej zdradzie. Ja - przetrącili mi kark, a ty mnie uleczyłeś. Nie zapomnę tego.

- To nie ja, Baki. Toug to zrobił.

- Nie zrobiłby tego, panie, gdybyś go nie wezwał i nie kazał mu działać, mówiąc, co ma robić. - Baki przyklęknęła tak niespodziewanie, że aż cofnąłem się o krok. - Panie, wybacz mi! Kocham cię i zdobyłabym cię, gdybym tylko mogła. Zdobyłabym cię nawet wtedy, gdybym musiała dzielić



się tobą z tysiącem Disiri.

Postawiłem ją na nogi.

- Nie mam ci czego wybaczać - a jeśli mam, to ci wybaczam. Baki, pokażę ci teraz trzy przedmioty. Powiesz mi, jeśli w jednym będzie tkwiło zaklęcie?

Skinęła głową.

- Tak, panie, jeśli tylko to wyczuję.

Najpierw pokazałem jej złotego węża. Wzięła go ode mnie, chuchnęła w jego rubinowe oczy, po czym mi go oddała, wzruszając ramionami.

- Nic? Żadnej magii?

- Może być dla mnie zbyt subtelna, panie. Ale jeśli tak jest, to i dla Uri będzie zbyt słaba. Tak mi się wydaje.

Podsunałem jej stary hełm.

Otworzyła szeroko usta. Stała przez chwilę niczym posąg z jasnej miedzi, a potem znikła.

Wiedząc, że nie mam co próbować wołać za nią, przywołałem Uri, a potem Disiri, błagając, żeby przyszła. Żadna z nich nie odpowiedziała, tak więc wróciłem do łóżka, rozmyślając o starym hełmie, a także o królu Arnthorze i jego dworze.

## ROZDZIAŁ 29

### LORD ESCAN

Następnego dnia pojechałem z Wistanem na zamek. Gdybym chciał opisać wszystkich ludzi, którzy nas przepytawali - niektórzy w ramach obowiązku, inni z ciekawości - zajęłoby mi to więcej czasu, niż zamierzam na to poświęcić. Co najmniej kilkanaście osób.

Wreszcie posłano nas na dwór, który nazwałbym dworem króla Arnthora, gdyby nie powiedziano mi inaczej. Był to dwór lorda marszałka, szlachcica o wielu tytułach, który zasiadał na tronie, tylko trochę mniejszym niż tron Gillinga, ustawionym na podwyższeniu w asyście jakichś stu ludzi, głównie suplikantów, lecz także służących i ludzi z jego świty.

W chwili naszego przybycia zajmował się sprawą królewskiej stajni; chodziło o wypożyczenie ogiera od księcia, który nie był Marderem, pożyczanie w zamian jednego z wierzchowców króla, przekazanie księciu żrebaka królewskiej klaczy, a królowi żrebaka książęcej klaczy i tak dalej. Gdy przybyliśmy, ustalono już, który ogier zostanie wypożyczony, ale wciąż dyskutowano o tym, którego pożyczyć w zamian. Ten i ten był najlepszy, lecz ludziom księcia niej podobała się maść. Inny, biały, był wspaniały, za to dziki; należało się z nim dobrze obchodzić, choć trochę wierzgał. I nie powinien, być siodłany do walk turniejowych. Ludzie księcia nie mogli zagwarantować w jego imieniu, że tak będzie - nie wzięli tego pod uwagę. Ale dobrze, jeśli tylko...

I tak przez godzinę. Początkowo bardzo się niecierpliwiłem, lecz szybko uznałem za bardzo interesujące pytania, uwagi i sugestie lorda marszałka. Okazał się niezwykle wymagającym negocjatorem, który gdyby nie był szlachcicem, zbiłby z pewnością fortunę jako kupiec - subtelny, cierpliwy i pomysłowy. Będąc mężczyzną słusznej postawy, wykorzystywał swoją posturę, a w szczególności okazały podbródek, wydatne blade czoło, a także oczy, najbystrzejsze jakie kiedykolwiek widziałem.

W końcu zakończono sprawę ogierów. Przez chwilę spoczęło na mnie

spojrzenie tych bystrych oczu, a ja pomyślałem, że zaraz przemówi do mnie albo poleci to zrobić jednemu z rzeszy swoich uwijających się urzędników. Tymczasem przyprowadzono przed tron staruszkę. Widząc, jak jest niedołączna, zapytał, czy nie wolałaby usiąść, i zaraz przyniesiono krzesło.

Jej pierwszy mąż, jak się okazało, był rycerzem; oznaczało to, że formalnie zwracano się do niej „dame”. Mąż zmarł dawno temu w potyczce, a kobieta wyszła ponownie za mąż za właściciela sklepu tekstylnego. Teraz i on zmarł, a wdowa zapragnęła odzyskać swój tytuł, na co nie zgadzali się jej sąsiedzi.

- Nie ma wątpliwości - oświadczył lord marszałek - że domagasz się tego, co ci przysługuje wedle prawa. Tylko król może unieważnić podobne tytuły, a ja nie pamiętam sprawy, w której osobą pozbawioną tytułu byłaby kobieta. Bez wątpienia miało to miejsce, lecz w czasach, kiedy ani mnie, ani ciebie nie było jeszcze na tym świecie. Jeśli domagasz się poświadczenia swoich praw, niniejszym to czynię - i to publicznie. Jeśli chcesz mieć to na piśmie, urzędnik sporządzi stosowny dokument, a ja go podpiszę.

Kobieta odezwała się pokornym tonem:

- Panie, oni wiedzą, że mnie krzywdzą. Lubują się w tym.

- A ty - zapytał lord marszałek - czy ty sama manifestujesz swój szacunek wobec sir Owana?

- W sercu, panie. Każdego dnia.

Marszałek chrząknął głośno i przewrócił oczami.

- Serca zostawiam Skai, dame Eluned. Nie mogę do nich zajrzeć. Jesteś osobą zamożną - o czym świadczy twój strój. Czy na twoim domu widnieje herb sir Owana?

Odpowiedziała tak cicho, że lord marszałek poprosił ją, aby powtórzyła.

- Nie, panie.

- A na liberii twoich służących - kamerdynerów chociaż, jeśli nie kobiet?

Nic nie powiedziała.

- Korzystne rozstrzygnięcie, którego oczekujesz ode mnie, leży w twojej mocy, dame Eluned. - Lord marszałek dał znak, że zakończył sprawę, i zaraz słudzy pomogli wstać kobiecie i zabrali jej krzesło.

- Teraz przyjmę rycerza - powiedział marszałek i pokazał na mnie.

Tłum rozstał się, a ja podszedłem bliżej.

- Czy twoja kolczuga jest mi znana, czy też jest to imitacja tamtej?

- Jest ci znana, panie - odpowiedziałem.

- Mówiono, że już jej nie ma na tym świecie.

Nic nie odpowiedziałem, ponieważ to nie było pytanie.

- Czy zdobyłeś ją w Mythgarthrcie?

- Nie, panie.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał on sam głośnym chrumknięciem.

- Hem! Zbyt szybko się rozpędziłem nie bez powodu. Jak cię zwa?

- Sir Able z Czerwonego Dworu.

- Ślubowałeś wierność Jego Miłości księciu Marderowi?

- Tak, panie.

- Ale nie pojechałeś do Jego Miłości po sprawiedliwość? - Lord marszałek uniósł dłoń. - Spokój. Dojdziemy do tego po kolei. Jeździsz na pięknym koniu berberyjskim, sir Able. Jeden z moich urzędników przywołał mnie do okna, żebym go zobaczył. Przyjrzę mu się dokładniej w wolnej chwili.

- Będę zaszczycony, mogąc ci ją pokazać, panie.

Oczy lorda marszałka otworzyły się trochę szerzej.

- Czy ja dobrze słyszałem? Powiedziałaś „ją”?

- Tak, panie, to klacz, choć często biorą ją za ogiera.

- Chciałbym zobaczyć ogiera z jej linii.

- Nie mogę ci takiego pokazać, panie.

- Była już kryta?

- Nie, panie. Jest jeszcze młoda, a i sam akt byłby trudny.

- Nie osiągnęła jeszcze dojrzałości? - W głosie marszałka dało się słyszeć nutę sceptycyzmu.

Przesunął dłoń po twarzy.

- Chciałbym ją zobaczyć już w pełni dojrzałą. Bardzo. Jeszcze o tym pomówimy.

- Jestem na twoje rozkazy, panie.

- Jesteś jednym z rycerzy Jego Miłości. Kazał ci pilnować przełęczy przez jakiś czas. Wtedy po raz ostatni słyszałem o tobie, sir Able. Podarował ci Czerwony Dwór, a to znaczy, że bardzo cię ceni. Utrzymałeś przełęcz?

- Tak, panie.

- Ilu zatrzymałeś?

- Trzech, panie.

- Godne podziwu. W jaki sposób możemy ci pomóc?

- Proszę o audiencję u Jego Królewskiej Mości, panie.

- Nie masz przyjaciół na dworze. Rozumiem. Chcesz, żeby cię

przedstawić?

- Musimy porozmawiać, panie. Mam dla niego wiadomość.

- Rozumiem. Od kogo?

- Przemilczę to teraz, panie.

- Ro-rozumiem. - Marszałek skinął na jednego z urzędników. - Zaprowadź sir Able'a do Czerwonej Sali.

Wistan przyłączył się szybko do mnie.

- Albo do biblioteki. Chcesz, żeby twój giermek dotrzymał ci towarzystwa, sir Able? Bo jeśli nie, to znajdziemy mu jakąś rozrywkę gdzie indziej.

- Wolałbym, żeby został, jeśli nie sprawi to kłopotu.

- Dobrze. Zapewne zechcecie się posilić. Zawiadomcie Payna.

Biblioteka marszałka okazała się przytulnym pokojem z kominkiem i mnóstwem książek, stu albo i więcej, poukładanych na stołach i półkach. Payn (łysy młodzieniec o oczach niemal równie bystrych jak oczy jego pana) nakazał nam usiąść i pouczył:

- Wszystkie są bezcenne. Rozumiecie, mam nadzieję.

Wistan zapewnił go, że rozumiemy.

Spojrzałem na nie i zdjąłem jedną z półki.

- Potrafisz czytać, sir Able?

- Nie - powiedziałem.

- Ja tej też nie potrafię. Pochodzi z Aelfrice, a litery ich pisma bardzo różnią się od naszych.

Wistan zapytał, w jaki sposób lord marszałek wszedł w posiadanie książki z Aelfrice. Historia była bardzo skomplikowana, lecz Payn wyjaśnił ją długim wywodem, a na koniec dodał:

- Jest tu historia całego miejsca i opis ich praw.

Czytałem, kiedy to mówił.

- Nie mają żadnych. W większości to kronika królów Aelfów Kamienia. Ale tutaj - pokazałem mu miejsce - jest zaklęcie, które czyni duchy widzialnymi. - „Na Mannananai i Midera, na Bragiego, Boe'a i Llyra, na wszystko, czego oczekujecie od Mostu Mieczy, nakazuję wam się ukazać!”

Wiedźma przy kominku roześmiała się, a ja wywnioskowałem z jej śmiechu, że była tam przez cały czas. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi, ale myślałem, że tylko Payn uciekł.

- Witaj, matko - powiedziałem. - Właściwie to nie chciałem cię

wyczarować. Wybacz moją nieostrożność.

- Nie przepadasz za moim towarzystwem. - Zachichotała. - Coś zrobił z moim kotem?

Po tych słowach zorientowałem się, kim jest, i powiedziałem:

- Zostawiłem go z kimś innym, matko, i bardzo mi go brakuje. A ty okazałaś mi raz gościnność, kiedy tego potrzebowałem. Chętnie cię ugoszczę, kiedy tylko zechcesz.

Zebrała w ręce węgielki z ognia, potrząsnęła nim i rozsypała je w palenisku. Potem pochyliła się i podmuchała na nie, aż się rozjarzyły.

- Strzeż się brata.

- Garsecga? On nie żyje.

Roześmiała się i znikła, a w tym samym momencie drzwi znowu trzasnęły i do pokoju wszedł lord marszałek, za nim zaś podążał niechętnie Wistan.

- Powiedziano mi, że jest tu duch. - Lord marszałek uśmiechnął się.

Skłoniłem głowę.

- Jeśli nawet, panie, to jej nie widzimy.

- No właśnie. - Wysunął największe z krzesel. - Nie spoczniesz, sir Able? To nie jest oficjalna rozmowa.

Podziękowałem mu, usiadłem i skinąłem na Wistana, aby też zajął miejsce.

- Payn przybiegł do mnie z tym młodzianem. Powiedzieli, żeś obudził ducha. Przyszedłem, bo obawiałem się o swoje książki.

Zapewniłem go, że nie zabrała żadnej.

- Naprawdę przywołałeś ducha, sir Able?

- Niechący, panie. - Zamknąłem książkę i odłożyłem na półkę.

- Mógłbyś to zrobić jeszcze raz?

- To by nie było rozsądne, panie - odpowiedziałem i wróciłem na swoje miejsce.

- Pewnie masz rację - jeśli zrobiłeś tak, jak mówiłeś.

- Wolałbym, panie, abyś uznał mnie za kłamliwą osobę. Oszczędzi to wielu trudności.

- Potrafisz przeczytać książkę, którą oglądałeś?

- Nie, panie.

- Ten tu młodzian, twój giermek - lord marszałek wskazał na Wistana ledwo dostrzegalnym ruchem masywnej głowy - powiedział, że znalazłeś zaklęcie w jednej z moich książek.

- Ten młodzieniec nie jest już moim giermkim, panie.

Marszałek westchnął.

- Rozumiem twoje trudności. Nie odprawię Payna, choć powinienem. Powiedziałeś, że nie potrafisz przeczytać tej książki.

- Tak, panie.

- Twoje „tak” odnosi się do „powiedziałem” czy do „przeczytałem”? Zdaje się, że zaplątaliśmy się w gąszcz łamigłówek.

- Jedno i drugie, panie.

- Okłamałbyś mnie, sir Able? Mam na myśli inne sprawy, a nie tę z duchem, w której jesteśmy skłonni nazwać cię kłamliwą osobą.

- Nie, panie.

- A zatem czytałeś ją, ale już nie potrafisz? Dlaczego?

- Bo jest zamknięta, panie. Nie widzę słów.

- Tam do licha. - Uniósł ogromną wilgotną od potu dłoń. - Potrafisz czytać pismo Aelfrice. Wiem, że tak jest, nie musisz mi mówić. Nic dziwnego, że Jego Miłość tak cię poważa.

Wistan zakasłał.

- Pozwolisz, panie? Skoro nie jestem już giermkim sir Able’a, to mogę zaproponować inne usługi i nie będzie w tym żadnego dyshonoru. Tak mi się wydaje.

- I mnie, młodzieńcze. - Na ustach lorda marszałka pojawił się cień uśmiechu.

- Tobie mogę je zaproponować, panie. Uwierz mi, kiedy mówię, że nie zdradziłbym sekretów sir Able’a. Nie powiedział mi niczego w zaufaniu, lecz wiem o nim więcej niż inni. Oświecę cię w tej kwestii, jeśli mi na to pozwolisz.

Lord marszałek zachichotał.

- Będziesz potrzebował doradcy, panie. Przez lata służyłem jako zwykły rycerz. I służyłem tak, jak może służyć rycerz, o czym zaświadczy sir Able. Ale mimo wszystko byłem tylko pospolitym rycerzem. Sir Able jest rycerzem innego pokroju.

- Nie musisz mi tego wszystkiego mówić, młodzieńcze. A tak przy okazji, jak się nazywasz?

- Wistan, panie.

- Możesz mi poradzić w tej sprawie, Wistanie, jeśli chcesz.

- Dziękuję, panie. Czuję się zaszczycony.

Lord marszałek złączył dłonie czubkami palców i spojrzał na Wistana zamyślony.

- Jeśli twoja rada okaże się przydatna, przyjmę cię do siebie na służbę zgodnie z twoim życzeniem. Jeśli nie, to cię nie przyjmę. Jeśli cię przyjmę, to musisz sprawować się lepiej niż na służbie u sir Able'a. Bo jeśli się nie sprawdzisz, to cię odeślę tak jak on.

Lord marszałek spojrzał na mnie.

- Dobry ma charakter, sir Able?

- Niezgorszy, panie, choć starałem się go poprawić.

- Nie wątpię. - Lord marszałek ponownie zwrócił się do Wistana: - Jesteś moim doradcą, Wistanie. Ten tu rycerz oznajmił nam, że ma wiadomość dla Jego Królewskiej Mości, ważną wiadomość, sir Able?

- Tak sędzę, panie.

- Nie chce ujawnić od kogo pochodzi ta wiadomość. Wiesz coś na ten temat?

Wistan pokręcił głową.

- Czy wiem? Nie, panie.

- A potrafisz odgadnąć?

- Mogę spróbować, panie. Byliśmy na północy, kiedy nas opuścił i pojechał szybko do Czerwonego Dworu. Potem dołączyłem do niego ze służbą i skarbami. Królowa Idnn dała mu...

Lord marszałek zmrużył oczy.

- To znaczy, większość ona mu podarowała, panie. Bo sama dostała dużo, więc i mogła dać dużo. Skoro jechał z wiadomością, to pewnie na jej polecenie.

Marszałek spojrzał na mnie.

- Czy jesteśmy dla siebie przeciwnikami, sir Able? Mam nadzieję, że nie.

- Nie żywię do ciebie wrogich uczuć, panie.

- Aż do tej chwili, mogłem się pochwalić, że znam wszystkie osobistości rangi królewskiej w promieniu tysiąca mil. - Splótł dłonie na swoim wydatnym brzuchu. - I wciąż mam ochotę tak powiedzieć. Czy ten młokos ma na myśli prawdziwą królową? Musisz ją znać, skoro obdarzyła cię takimi względami.

- Owszem, panie. To królowa Skjaldmeyjar, Córek Angr.

- Masz na myśli żony Gigantów Mrozu?

- A także ich córki, panie.



- Sir Able, żaden mężczyzna ich nie widział.
- Ja widziałem, panie - rzucił Wistan.
- I ja - dodałem. - A także Jego Miłość i wielu innych, którzy byli z nami.
- Ta Idnn jest ich królową?
- Tak, panie. Dobrą królową i dzielną kobietą.

Wistan zaczął coś mówić, lecz marszałek uciszył go, po czym wstał, podszedł do półki z książkami i zdjął z niej tę, którą wcześniej oglądałem. Przez chwilę kartkował książkę i zaraz wrócił na swoje miejsce.

- Minionego lata Jego Królewska Mość wysłał do Jotunlandu mojego starego przyjaciela, lorda Beela w charakterze swojego ambasadora. Odradzałem mu to, jako że wyprawa ta wydawała mi się zbyt niebezpieczna dla kogokolwiek. Lord Beel ma córkę, młodą i piękną kobietę. Nosłem ją na tych rękach, kiedy była jeszcze w pieluchach. Zapytam wprost, czy to tę królową Idnn masz na myśli? Odpowiedz tak lub nie.

- Tak, panie.
- Jeździłeś z lordem Beelem do Jotunlandu?

- Obaj tam byliśmy - wtrącił pospiesznie Wistan. - On był wasalem sir Garvaona, a ja giermkim sir Svona.

- Czy Jego Miłość także towarzyszył lordowi Beelowi? Przed chwilą było powiedziane, że widział kobiety Gigantów Mrozu.

- Tak, panie. Sir Able go przyprowadził, kiedy byliśmy w Utgardzie.

- Zanim lady Idnn została królową angronickich kobiet?

- Później, panie. Tyle tylko, że wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle są jakieś, zanim Hela ich nie sprowadziła.

- Hem!

- Hela to służąca sir Woddeta, panie. Wcześniej usługiwała sir Able'owi. Podarował ją i jej brata sir Woddetowi, ponieważ się zaprzyjaźnili i sir Woddet chciał ich mieć. Sir Garvaon ostrzegł mnie, żeby im nie ufać, więc próbowałem trzymać się od nich z daleka. Ale angronickie kobiety są gorsze. Są większe i nie podobało mi się, jak na mnie patrzyły, jednak pomogły nam podczas bitwy.

- A zatem doszło do bitwy.

Te słowa skierował do mnie, więc mu odpowiedziałem:

- Tak, panie. Armia króla Schildstarra próbowała uniemożliwić nam powrót na południe.

- Mówiąc nam, masz na myśli Jego Miłość i jego Lordowską Mość? A

także królową Idnn?

- Tak, panie.

- Która ma się rozumieć, wezwała do walki swoje poddane. Czy one walczyły mieszadłami i tłuczkami? Taką bronią?

- Nie, panie. Włóczyniami i mieczami.

- Są tak duże jak Angronici?

- Większe, panie. Trochę.

- Lady Idnn jest ich królową. Córka lorda Beela.

- Zgadza się, panie. Lady Idnn poślubiła króla Gillinga. Jako królowa Jotunlandu, jest też królową Skjaldmeyjar.

- Dopiero co wspomniałeś o jakimś królu Schildstarrze.

- To jest następca króla Gillinga, panie.

- Rozumiem. Czy król Gilling poległ w bitwie?

- Nie, panie. Został zamordowany.

- To są złe wieści. - Lord marszałek odchylił się do tyłu i zacisnął usta. - Przez jakiegoś zwolennika tego Schildstarra?

- Tak myślę, panie - wtrącił Wistan. - Niektórzy twierdzili, że to Toug go zabił, ale ja wiem, że tego nie zrobił.

Lord marszałek zamrugał i zapytał mnie, kim jest Toug.

- Jest giermkim sir Svona. Wistan ma rację. Toug jest niewinny.

- Czy sir Svon to ten Svon, którego znam?

- Tak sądzę, panie.

- Walczył ze smokiem w Aelfrice, panie - wtrącił Wistan - i przeżył, ale sir Garvaon zginął. Nie widziałem tego. To znaczy, widziałem tylko jego ciało. Smok przegryzł go prawie na pół.

Lord marszałek wstał.

- Obiecałeś, sir Able, że pokażesz mi tę swoją, hm, klacz. Chodźmy rzucić na nią okiem.

Przemierzyliśmy z tuzin korytarzy i minęliśmy cztery dziedzińce. Pomyślałem wtedy, że pomimo wysokich murów, jeszcze wyższych wież i kolejnych warstw fortyfikacji, do obrony zamku potrzeba by całej armii. Był zbyt duży, by dało się go bronić setką ludzi - a i tysiąc by nie dał rady, jeśli już o tym mówimy.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do stajni, udając, że chcę uspokoić Chmurę, tak by lord marszałek mógł ją obejrzeć, zamaskowałem jasne miejsce na jej czole, z którego wyrastał róg. Marszałek pogłaskał ją po pysku, na co mu

pozwoliła, po czym poprosił, bym mu pozwolił jej dosiąść; musiałem mu odmówić, tłumacząc, że koń nie pozwoli na to.

- Z czasem bym ją chyba ujeździł - powiedział.

- Nie, panie.

- Tylko ty, co?

- Ja na niej jechałem - powiedział Wistan. - Ale sir Able ma rację. Nie ma co próbować, jeśli ona tego nie chce.

- Pewnie jestem za ciężki. No cóż, piękne zwierzę, sir Able. Nawet nie będę pytał, czy ją sprzedasz, bo znam odpowiedź. Nie byłoby uczciwe o tym wspominać w chwili, gdy zabiegasz o audiencję u króla.

- Pragnę tego, panie. Bardzo.

- Rozumiem. Zobaczymy. Nie masz na dworze żadnych przyjaciół? Żadnych? Ach, twoje oblicze mówi mi coś innego. Kim on jest?

- Ona, panie. To księżniczka Morcaine. Mam nadzieję, że jest mi przyjazna, lecz nie chcę jej zawracać głowy, jeśli nie będę musiał.

Lord marszałek otarł twarz dłonią, a potem wytarł rękę w płaszcz.

- Powinienem był się tego domyślić już dawno temu. To nie jest mój najlepszy dzień. A co do przyjaźni, kto to wie? Jest jak wiatr. Ja sam... no cóż, mam nadzieję, że jej przyjaźń nie okaże się gorsza niż jej wrogość.

Uznałem, że lepiej będzie zachować milczenie w tym momencie.

- Powtórzę swoje pytanie. Kto przesyła tę wiadomość królowi? Jeśli chcesz, to odeślemy chłopaka.

- Lepiej będzie, jak zaniechamy rozmowy na ten temat, panie.

- Jak sobie życzysz. - Lord marszałek klepnął Chmurę i odwrócił się od niej. - Podobasz mi się, sir Able. Zrobię, co w mojej mocy, ale nie mogę przekraczać pewnych granic.

- Mówiłem ci już, panie, że on nie jest zwykłym rycerzem. - W tym momencie Wistan wydał mi się starszy niż był w rzeczywistości. - Mądrze postępujesz, zachowując ostrożność, ale wykażesz jeszcze większą mądrość, zabiegając o jego przyjaźń w miarę możliwości.

Lord marszałek skinął głową, jakby przytakiwał samemu sobie.

- Niebawem spróbuję. Problem w tym, sir Able, że nie mogę zabiegać o audiencję, podczas której przekazesz wiadomość, której treści nie znam. A może wyjawisz mi chociaż imię osoby, która ją przesyła? To twoja ostatnia szansa.

- Nie wyjawię, panie. - Nie było tam aż tak zimno jak w Jotunlandzie, lecz

w pozbawionych ogrzewania stajniach wiele drzwi było otwartych, tak więc otuliłem się szczelniej płaszczem. - Treści samej wiadomości też nie ujawnię. Nie ode mnie to zależy.

- Jesteś związany przysięgą?

- Nie, panie. Nie wiem, co to jest.

- Ale dostarczyłbyś to królowi?

- Tak, panie. Będę to wiedział, kiedy się spotkamy.

- Tylko w jeden sposób można się tego dowiedzieć, panie - powiedział Wistan. - Nikt nie będzie cię winił, jeśli padną niemiłe słowa.

- Mało wiesz o świecie. - Lord marszałek spojrział na mnie. - Nie mogę ryzykować i prosić o audiencję nawet w najlepszej wierze. Chyba mnie rozumiesz.

- Jestem wdzięczny za twą dobrą wolę, panie.

- Mam dwie sugestie. Pierwsza dotyczy mnie, druga ciebie. Oto pierwsza z nich, jeśli zechcesz jej wysłuchać. W odpowiednim czasie poinformuję króla, że z północy przybył z wiadomością dziwny rycerz, który opowiadał o śmierci króla Gillinga i o nowym królu w Utgardzie - jak i o wielu innych cudach. Nie jest wykluczone, że król poprosi cię do siebie. Mam to zrobić? Wybór należy do ciebie.

- Tak, proszę. Będę ci wdzięczny, panie.

- Druga sugestia. Jesteś niezłomnym rycerzem i pokonałeś wszystkich, którzy cię wyzwalali na północy. Za trzy dni, jak zwykle na przełomie roku, odbędzie się turniej. Mógłbyś stanąć w szrankach. Ci, którzy wykażą się najlepiej, są zwykle zapraszani przez króla i królową.

Obiecałem, że wezmę udział w turnieju, a potem Lord marszałek mnie odprawił.

## ROZDZIAŁ 30

### **WEZWANIE MORCAINE**

Zaraz potem udałem się na poszukiwanie urzędnika heraldycznego Nykra Króla Herbowego, jak nazywano herolda króla Arnthora, który miał sporządzić listę ochotników gotowych stanąć w szrankach. Okazało się, że jest gdzieś w mieście; poczekałem do końca dnia, a potem wróciłem do naszej gospody. Byłem nie w sosie, nie mam co zaprzeczać. Unsa i Pouka potraktowałem dość obcesowo, choć trochę złagodniałem, gdy uzmysłowiłem sobie, że zbliżyłem się znacznie do lorda marszałka, najbardziej wpływowego urzędnika na dworze, który miał się za mną wstawić, oraz że miałem szansę wygrać w turnieju audiencji.

Szykowałem się już do snu, gdy zjawił się Wistan. Ukłonił się, przeprosił za swoje zachowanie i oznajmił, że mogę go zbić, jeśli chcę. Oczywiście odpowiedziałem mu, że skoro nie jest już moim giermkim, to nie mam interesu w tym, żeby go obić - giermka bije się zwykle po to, by zrobić z niego lepszego rycerza, a to już nie jest moją sprawą.

- Zastanów się, proszę, sir Able. Źle się zachowałem, przyznaję. Sir Svon opowiadał mi, że też się źle zachowywał, kiedy był twoim giermkim. Jego jednak nie odesłałeś, a zanim nas opuściłeś, pasowałeś go na rycerza.

- Sir Svon walczył ze smokiem, Wistanie. - Mówiłem tak oschłym tonem, na jaki tylko potrafiłem się zdobyć.

Jego spojrzenie przypomniało mi, że ja nie walczyłem.

- Honor i rozsądek mnie przed tym powstrzymał. Wiesz, że noszę smoka na tarczy, i wiesz pewnie dlaczego.

Skinął głową.

- Toug mi powiedział. Czy to prawda?

- Nie mogę potwierdzić, bo nie wiem, co ci powiedział. - Ziewnąłem. - Przyszedłeś, żebym cię obił. Nie zrobię tego. Idź już.

Potrząsnął głową.

- Przyszedłem prosić, żebyś przyjął mnie na powrót.

- Tego też nie uczynię.

- Stawiasz mnie w bardzo trudnej sytuacji, sir Able. - Wyglądał na przestraszonego. - Chcesz, żeby mnie związali i wychłostali?

Wzruszyłem ramionami.

- Moja matka umrze, jak się dowie. Jest dumna z nas wszystkich - mam dwie siostry - ale mną szczyli się najbardziej. Powiedzą, że to przez króla. To nie będzie prawda, ale tak powiedzą, a to ją zabije.

Odpowiedziałem, że wątpię, by ktokolwiek tak powiedział.

- Boisz się, Wistanie, że powiadomię lorda marszałka, że powinieneś zostać wychłostany? Nie zrobię tego. Masz moje słowo.

- Przyjmie mnie na służbę. Tak powiedział.

- Gratuluję.

- Wtedy... nosiłbym ładne ubranie, tak jak Payn. I zacząłbym wygodne życie. Miałbym co jeść i pieniądze. I ciepłe łóżko.

- W takim razie bierz to.

- Chcę być rycerzem. Tak jak sir Garvaon. Tak jak ty.

Na moment rozdzieliła nas chwila milczenia, a potem go uścisnąłem. Kiedy go uwolniłem z uścisku, wziął głęboki oddech, niczym Baki.

- Ja... czy to znaczy, że znowu jestem twoim giermkim?

- Tak. Jeśli chcesz tego.

- Chcę.

Przywołałem Orga, który natychmiast pojawił się u mego boku.

- Czy zamierzałeś mnie przestraszyć w ten sposób? Widziałem go już wcześniej, w lesie z sir Svonem.

- Wiem - odparłem. - Wtedy byłeś tak samo przestraszony jak teraz.

- Rzeczywiście, jestem przestraszony.

- W takim razie widzisz, że możesz się przestraszyć, nie opuszczając tego pokoju.

Skinął głową.

- Rycerz postępuje zgodnie z wymogami honoru - powiedziałem - a nie strachu.

- Już wcześniej mówiłeś coś takiego.

- I będę to powtarzał bez końca na wiele sposobów. Bo wiem, że nigdy dość. Ta wiedza musi stać się częścią ciebie. Dlaczego bałeś się, że cię wychłostczą?

- Teraz już tego nie zrobią. Powiem ci, ale najpierw wyznam ci coś

jeszcze. Opowiedziałem lordowi marszałkowi o naszej podróży do Jotunlandu. O tym, jak wyruszyliśmy i jak do nas dołączyłeś. Jak sir Garvaon zjechał z przełęczy, żeby walczyć, kiedy olbrzymi zaatakowali, i o Utgardzie. Wszystko, co wiedziałem.

- Czy powiedziałeś mu, kto zabił króla Gillinga?

Wistan pokręcił głową.

- Nie, bo nie wiem. Napomknąłem, że moim zdaniem zrobił to Schildstarr albo jeden z jego gigantów, ponieważ tak uważam. Ale nie mam pewności. Ważne jest to, że mu o tym powiedziałem. I o tym, że Toug widział, jak umierasz, a potem wróciłeś, żeby nam pomóc. Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, a on kazał mi przysiąc na różne rzeczy. To była pierwsza przysięga, a potem jeszcze musiałem przysiąc, że królowa Idnn przyprowadziła sto olbrzymek. Z mieczem skierowanym ku Skai przysiągłem, tak jak chciał, wtedy on powiedział, że kobiety będą sprawdzianem - że kiedy przybędą, on upewni się, że mówiłem prawdę, i mnie przyjmie. Tak więc wie o wszystkim. O wszystkim, co sam wiem na temat Jotunlandu.

Skinąłem głową.

- Dowiedział się o tym, jak Toug, Etela i lady Lynnet zgubili się w Aelfrice, i o tym, jak tam przybyłeś, a także sir Garvaon i sir Svon. Wie też, że potrafisz przeczytać tamtą książkę. - Wistan przełknął ślinę.

- Oczywiście, że wie. Ale czy on sam potrafi ją przeczytać? To ciekawe.

- Tak myślę. Nie trzymałby jej, gdyby nie potrafił, nie sądzisz?

- Trzymałby. Książki są bardzo cenne. Kopista przepisuje taką książkę przez rok, a kto wie, ile błędów popełnił? Każda książka jest cenna, a im starsza kopia, tym cenniejsza. Nawet jeśli lord marszałek nie potrafił jej przeczytać, to pewnie miał nadzieję, że znajdzie kogoś, kto to robi.

- Dowiem się - powiedział Wistan, kiwając głową.

Zaproponował inny test, tak więc wezwałem Uri. Wyszła z ognia, smukła i naga. Wistan zachował się lepiej niż się spodziewałem, starając się bardzo nie patrzeć na nią - nawet na jej twarz, kiedy mówiła. Uri, która zawsze była piękna, tej nocy wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek, smukła jak wierzba, pełna wdzięku, rozjarzona; szybko zrozumiałem, że gdy zorientowała się, iż nie może mnie uwieść, próbuje skusić Wistana. Powiedziałem mu, że musi wyjść.

Zawahał się, gdy już stał w drzwiach.

- Jest coś jeszcze. Powiem ci o tym, kiedy wrócę, dobrze?

- Wtedy będę już spał. Powiedz mi teraz.

- Kazałem im zgłosić cię do wielu zawodów w turnieju, sir Able. Wiedziałem, że tak chcesz, odszukałem więc członka kolegium heraldycznego i powiedziałem mu, że jestem twoim giermkim, więc cię zapisał. Dlatego powiedziałem, że mnie wychłoscza, jeśli nie przyjmiesz mnie z powrotem.

- Co by z pewnością uczynili. Ale dobrze zrobiłeś. W czym mam wziąć udział?

- Łuk, halabarda, walka na kopie i turniej.

- Mówiłeś, że zgłosiłeś mnie do wielu. Tylko cztery?

- Dwa razy łuk, konno i pieszo.

Kiwnąłem głową przyzwalająco i dałem mu znak, żeby sobie poszedł.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Uri ukazała się w pokornej postawie, prosząc o przebaczenie. Kazałem jej wstać i zaraz dodałem, że jeszcze nie postanowiłem, czy daruję jej życie. Skłamałem oczywiście, bo nie miałem zamiaru pozbawiać jej życia, uznałem jednak że może dobrze jej zrobi, jak ją potrzymam w niepewności.

- Zawsze cię kochałam, panie. Bardziej niż Baki. Bardziej niż ktokolwiek inny.

- Bardziej niż królowa Disiri, królowa Aelfów Mchu.

- T-tak, panie. Bardziej niż o-ona.

- Która nigdy mnie nie zdradziła.

- Nigdy nie była niewolnicą Setra, tak jak ja.

- Baki też była niewolnicą Setra.

- T-tak - odpowiedziała, unikając mojego spojrzenia.

- Kiedy Baki miała przetrącony kark, nie sprowadziłaś mnie, żebym jej pomógł.

Uri wyprostowała się trochę.

- Ktoś inny cię przyprowadził, panie, ale i tak jej nie wyleczyłeś. Zrobił to chłopak. Nie tamten chłopak. Inny.

- Toug. Zwrócę się do ciebie z trzema sprawami, Uri. Jeśli zrobisz to, o co proszę, daruję ci życie. Ale tylko wtedy. Zrozumiałaś? Dwie sprawy to pytania, do tego niezbyt trudne.

- Jestem twoją niewolnicą - odpowiedziała i pochyliła głowę.

- Po pierwsze. Dlaczego tu przysłałaś, skoro wiedziałaś, że mogę cię zabić?



Mogłaś zostać w Aelfrice.

- Ponieważ nie będziesz tu zawsze, panie. W Aelfrice byś mnie wytropił z tym swoim psem - pokazała na Gylfa - albo znalazłaby mnie królowa ze swoją sforą. Miałam nadzieję, że okazując posłuszeństwo i skruchę, uratuję życie.

- Mówisz odważnie - odpowiedziałem jej - choć twoje wargi drżą.

- Ze strachu przed tym, którego wo-wolałabym po-pocałować.

- Przemilczę to. A zatem przysłaś. Doceniam to. Bez wątpienia przemawia to na twoją korzyść.

Org przysunął się trochę bliżej, a ja wyczułem, że zamierza ją złapać, gdyby spróbowała uciec.

- Druga sprawa. Lord marszałek ma książkę napisaną w języku Aelfrice. Zobaczyłem, że jest zaskoczona.

- Chcę, żebyś się zorientowała, czy potrafi ją przeczytać i jaki może mieć związek z Aelfrice.

- Spróbuję, panie, dowiedzieć się jak najwięcej.

- Dobrze. Ostatnia sprawa i drugie pytanie. Składa się z dwóch części. Kiedy szykowałem się do snu, ktoś ostrzegł mnie, że pośród podarunków, które przyniósł mi Wistan, jeden jest magiczny.

Skinęła głową.

- Zawsze będę ci służyła, panie.

- Dlaczego nie zostałaś, żeby mi powiedzieć coś więcej.

- Bałam się. To... to się nie zmieniło, panie.

- Bałaś się magii?

Potrząsnęła głową.

- Ciebie, panie.

- Wszystkie podarunki są nasycone magią, czy tylko jeden?

- Pytasz o coś, co już wiesz, panie.

- W takim razie masz łatwą odpowiedź, która uratuje ci życie.

- Jeden, panie. Hełm. Wiesz o tym.

- Ale nie wiem, kto mi go podarował. A ty?

- Wiem, panie. Borda. Byłam przy tym.

- Wiesz, dlaczego mi go dała?

- Nie, panie.

Obserwowałem uważnie twarz Uri, mimo iż rzadko potrafiłem dostrzec na niej udawane uczucia.

- Nic ci nie przychodzi do głowy?

- Nic, panie. Czy mam spróbować się dowiedzieć?

- Nie teraz. Przymierzyłem hełm, ale nic się nie wydarzyło. Znasz jego tajemnicę?

Uri pokręciła głową.

- Nie, panie. Ale powiem ci, jak się tylko dowiem.

- Boisz się go?

- Tak, panie. Tak jak i ciebie.

Zerknąłem na Orga, usiłując powiedzieć mu wzrokiem, żeby jej nie krzywdził. Kiedy wydało mi się że mnie zrozumiał, wyjąłem hełm. Wyprostowałem się, a Uri zaczęła się rzucać w uścisku Orga. Kazałem jej się uspokoić i włożyłem hełm.

Org trzymał w rękach istotę uformowaną z płomienia i odpadków, z gnoju, z płonącej słomy i z takich flaków, jakie można wyciągnąć z kozy zabitej przed tygodniem. Gylf warczał, jakby widział ją taką, jaką ja ją widziałem, a był psem ze złota o oczach koloru krwawnika.

\* \* \*

Kilka dni upłynęło od wieczoru, w którym widziałem Uri wijącą się w uścisku potwora z kłębiącego się robactwa, nim nastąpiło otwarcie turnieju. Niewiele się działo w tym czasie. Puściłem wolno Uri, gdy tylko zdjąłem hełm. Nie założyłem go już potem drugi raz ani jej nie przyzywałem. Jeśli będę potrzebował wspomnieć o którymś z tamtych dni, to go opiszę.

Pierwszego dnia prostytutki walczyli drągami. Mogłem się włączyć i kusiło mnie, żeby to zrobić. Tylko że wtedy pod znakiem zapytania stanąłby mój udział w turnieju. Obserwowałem więc walki z zainteresowaniem, tak jak inni rycerze. Zwyczajowo dobierano w pary zawodnika, który miał największe szanse na wygraną z najsłabszym, potem numer dwa (według szacunku urzędnika heraldycznego) z początkującym i tak dalej.

Pierwsza runda, w której walczyli wszyscy, szybko dobiegła końca, jako że nikt nie walczył w zbroi, tylko w kaftanie i skórzanej czapce. W drugiej rundzie każda z par walczyła osobno, a walczących dobierano zgodnie z kolejnością wygranych w poprzednim pojedynku: ten, który wygrał pierwszy, walczył z tym, który wygrał ostatni, i tak dalej. W walce drągiem

liczyła się szybkość i zwinność, a więc żaden z pojedynków nie trwał długo, choć niektóre trwały dłużej niż potrzeba by czasu na osiodłanie narowistego konia. W dwóch walczący nie kwapili się do ataku, tak więc otoczono ich liną, którą stopniowo ściągnano, aż wreszcie jeden z nich został pokonany.

Potem strzelaliśmy z łuku na stojąco. Wygrałbym z łatwością, gdybym miał cięciwę podarowaną przez Parkę. Nie miałem jej, a choć osiągnąłem niezły wynik, kilku innych zawodników spisało się lepiej. Jeden z nich zasiadł przy stole z królem Arnthorem i królową Gaynor, ale nie ja.

Trzeciego dnia strzelaliśmy z konia. Mieliśmy sztuczny cel z plecionej słomy, który dobrze trzymał strzały, nie niszcząc ich grotów. Środek tarczy stanowił pozłacany umb i wygrywał ten, który trafił w złoto (tak powiedzieli). Każdy z zawodników jechał jak najszybciej i strzelał do sztucznego celu w dowolnym momencie. Ci, którzy nie poganiali swojego konia, zostali ukarani, lecz wielu wybrało powolne wierzchowce. Ja jechałem na Chmurze, która prześcignęłaby jaskółkę śmigającą na dziedzińcu. Mimo iż jechałem szybko, moja pierwsza strzała trafiła w złoto, co przyjęto owacją. Kiedy wracałem powoli na linię startową, słyszałem, jak niektórzy pytają o rycerza ze smokiem na tarczy, na co Wistan odpowiedział:

- To jest rycerz Jego Miłości księcia Mardera, sir Able z Czerwonego Dworu, a ja jestem jego giermkim.

Przy drugiej próbie pojechałem równie szybko i też trafiłem w złoto. Tym razem nie usłyszałem żadnego głosu, a jedynie ciszę głośniejszą niż najgłośniejszy aplauz.

Byłem pewny trzeciego strzału. Za pierwszym i drugim razem trafiłem w złoto. Miałem już wyczucie, podobnie jak Chmura, tak więc trzeci środek wydawał się pewny. Wiedziałem też, że jeszcze tego wieczora zasiadę przy stole Arnthora, dostarczę mu wiadomość od Disiri, pożegniam się z nią (które to pożegnanie będzie trwało długie lata pełne pocałunków), a potem udam się do Valfathera i będę go błagał o okazję, bym mógł do niej wrócić, wiedząc, że nawet gdyby moja nieobecność trwała cały wiek, dla niej w Aelfrice byłby to dzień lub dwa. Pojechałem - i zerwała się cięciwa mojego łuku.

Wcześniej dałem Vilowi cięciwę, którą mi ukradł, on zaś uprosił inną od jednego z łuczników jego Miłości. Pominę wszystkie te wyrzuty, jakie sobie poczyniłem tamtego dnia. Wciąż powtarzałem sobie, że przecież mogłem zdobyć nową cięciwę na turniej, że nie powinienem był się rozstawać z cięciwą Parki i tak dalej, i tak dalej. Nic to nie pomogło. Żaden z

zawodników nie trafił trzykrotnie w złoto, ale dwóch trafiło w środek dwukrotnie i raz w czarny krąg. Obaj zasiedli do stołu z królem i królową, lecz nie ja.

Następnego dnia ścigali się, wspinali po natłuszczonym słupie i chwyтали posmarowane sadłem świnie. Nie mogąc znaleźć sobie miejsca, obserwowałem zawody. Zbieraliśmy się już do odejścia, gdy zatrzymał nas paź, który uklonił się z wdziękiem i oznajmił, że pragnie z nami rozmawiać hrabina Chaus. Odpowiedziałem, że jestem na jej rozkazy i poszliśmy za paziem labiryntem korytarzy, wchodząc i schodząc po licznych schodach, aż znaleźliśmy się w niedużym prywatnym ogrodzie, w którym w przykrytej śniegiem altanie czekała na nas dziewczyna o włosach przypominających bukiet żółtych róż. Przyklęknałem, a ona poprosiła, abym usiadł naprzeciwko niej.

Wprawdzie tylko z dalszej odległości, ale widziałem wcześniej królową i teraz wydało mi się, że ta młoda, szlachetnie urodzona kobieta, której zarumienione oblicze wyrażało zarazem śmiałość i nieśmiałość, bardzo ją przypomina. Szczerze mówiąc, pomyślałem, że jest jej siostrą albo kuzynką królowej.

- To ty jesteś sir Able Wielkie Serce? - Powiedziała słodziutkim głosem, co powinno było mnie zirytować, a zabrzmiało czarująco. - Obserwowałam cię wczoraj, jesteś wybornym łucznikiem.

- Beztroskim łucznikiem, pani. Zaufałem starej cięciwie i straciłem szansę wygranej.

- Ale nie mój podziw. - Uśmiechnęła się. - Czy przyjmiesz moją chustę na pozostałą część turnieju? - Gdy to mówiła, pokazała mi białą chustę z najcieńszego jedwabiu.

- Noszę smoka na tarczy - odpowiedziałem jej - a smoki zwykle spoczywają na skarbach. Mój spocznie na tym.

Kiedy już pozwoliła nam odejść i wracaliśmy obaj z Wistanem, ten wyszeptał do mnie:

- To jest królowa. Wiedziałeś o tym?

Wybałuszyłem oczy.

- Hrabina Chaus to pewnie jeden z jej tytułów. Robią tak, kiedy nie chcą się zachowywać zbyt oficjalnie.

Po raz kolejny, wściekły na samego siebie, pokręciłem głową.

- Poprosiłbym ją o audiencję u króla, gdybym wiedział.

- Tak się nie da. Bo jej zachowanie to właśnie znaczyło. Musisz udawać, że ona jest tą, za którą się podaje. Wściekłyby się, a jej rycerze mogliby cię zabić.

- Nie wiedziałem, że ma swoich rycerzy.

- No cóż, ma. A także tytuły i całą tę ziemię.

- Ilu? - Wciąż próbowałem oswoić się z tym, co usłyszałem.

- Pewnie z dziesięciu albo dwudziestu.

Kiedy przejechaliśmy przez fosę, zapytałem go:

- Skoro ma swoich rycerzy, to czy nie powinna obdarować swoją chustą kóregoś z nich?

- One dają ją temu, który ich zdaniem wygra - odpowiedział Wistan znudzonym głosem obytego dworzanina.

Gdy wróciłem do pokoju, porozmawiałem z Gylfem. Najpierw opowiedziałem mu, co zaszło między mną i królową. Na koniec oznajmiłem:

- Może powinienem był powiedzieć Wistanowi, choć wątpię, by wsparł mnie przydatną radą. Pamiętasz, jak zwróciła się do mnie królowa? Powiedziała: „Wielkie Serce”. Ja przedstawiam się tutaj jako sir Able z Czerwonego Dworu. Możliwe, że powiedziałem „Wielkie Serce” raz albo dwa, na pewno nie więcej.

- Rolls?

- On by napisał z Czerwonego Dworu, jestem pewny - westchnął Wistan.

- A jakby inaczej? - wtrącił Gylf.

- Co masz na myśli?

Gylf tylko powtórzył swoje pytanie, jak to zwykle robił, kiedy uważał mnie za tępaka.

- To Wistan zapisał moje imię, więc jakie ma to znaczenie, kto mnie nazwał sir Able Wielkie Serce.

Gylf westchnął, zamknął ślepią i położył masywny łeb na przednich łapach.

Leżąc już w łóżku, zastanawiałem się nad pytaniem Gylfa. Był małomównym psem, za to kiedy już się odzywał, dobrze było go wysłuchać. Gaynor zwróciła się do mnie „sir Able Wielkie Serce”, a zatem musiała rozmawiać z kimś, kto nazwał mnie tak samo. Morcaine nie mogła tego zrobić, choć przecież odwiedziła mnie w Czerwonym Dworze. Księżna, żona Jego Miłości, mogłaby wspomnieć o mnie; lecz gdyby w ogóle dowiedziała się o moim istnieniu, to musiałoby to być w Sheerwall, gdzie zwracano się do

mnie po prostu sir Able. W zasadzie nie miałem powodów, aby przypuszczać, że Jej Miłość odwiedziła Thortower, bo mogła się tu zjawić i odjechać podczas mojego pobytu na północy.

Rano dopiero przyszło mi na myśl, że królowa nie rozmawiała osobiście z nikim, kto zwraca się do mnie „sir Able Wielkie Serce”, że może po prostu dostała informację od kogoś, kto rozmawiał z kimś takim. Natychmiast przywołałem Pouka i Unsa i dowiedziałem się, że gdy obserwowali wyścigi piesze, wypytywał ich jakiś dobrze ubrany obcy.

- Pytał, czy pracujemy dla tego, co mu się zerwała cięciwa - wyjaśnił Uns - a my podzieli, że tak, sar, dla sar Able'a Wielkie Serce.

- Powiedziałem mu, że nie ma tu rycerza, który by ci dorównał, sir - dodał Pouk. - Na to on mówi: Able Wielkie Serce, co? A my mu sir Able i wtedy się zmył.

Powiedziałem im, że tego dnia będę walczył halabardą i zapytałem, czy chcą popatrzeć. Obaj zarzekali się, że sam Muspel by ich nie odciągnął, tak więc wyruszyliśmy całą trójką razem z Wistanem. Na łęku mojego siodła wisiał zielony hełm, a na nim powiewała biała chusta królowej.

Spodziewałem się, że wszyscy będziemy walczyć jednocześnie, a przynajmniej w pierwszej rundzie. Do halabard zgłosiło się znacznie więcej prostaków niż rycerzy, a każda para walczyła osobno. Upłynęły długie godziny, zanim Nykr Króla Herbowego wywołał mnie. Tak jak ja musiałem czekać, tak też musi poczekać ten list, gdyż chcę opisać walki, jakie widziałem.

Halabarda, jak mówią, doskonale nadaje się do obrony zamku. Z tego też powodu na każdym zamku mają ich duży zapas, tych bardziej ozdobnych i tych prostych, przeznaczonych dla chłopów i służby. Tymi właśnie walczyliśmy, ponieważ halabarda używana podczas turnieju musi mieć przytępione ostrze siekiery, przytępiony grot oraz hak. Walczy się w hełmie i w kolczudze i bez tarczy, ponieważ halabardę trzyma się w obu rękach.

Podobnie jak drąg halabardę trzymasz jedną ręką na środku drzewca, a drugą w połowie jego dolnej części, choć niektórzy eksperci wolą inne chwyt. Drzewce długością dorównuje wysokości Wistana albo jakoś tak. Cała broń, od szpica do żelaznego oparcia, ma długość walczącego albo jest nawet trochę dłuższa. Jest jednocześnie jego tarczą i to tarczą, która nie zasłania mu oczu. Silny mężczyzna, który potrafi szybko odparowywać ciosy, nie da się trafić, ale musi mieć krzepę i szybko odbijać, tak by ostrze

przeciwnika nie przecięło jego drzewca, choć jest to raczej niemożliwe przy stępionym ostrzu.

Większość pojedynków przede mną trwała długo i nie trzeba było posługiwać się liną. Niektórzy zamieniali słowo z sąsiadem między atakami, a tamci odpowiadali, inni natomiast walczyli szybko i zaciekle. Jako nowy rycerz w Thortower zostałem postawiony naprzeciw Brannego z Broadflood, który zwyciężył w turnieju przed rokiem. Był potężnym rycerzem, wysokim, o masywnej piersi, ale zadawał zbyt głębokie pchnięcia. Odtrąciłem jego grot i przysunąwszy się, uderzyłem przód jego hełmu swoim drzewcem, podcinając go jednocześnie lewą nogą. Przewrócił się, a ja zwyciężyłem, zanim widownia zdążyła się lepiej przyjrzeć.

W drugiej rundzie wystąpiłem w parze z jednym z rycerzy królowej, Lamweilem z Chaus. Był niższy ode mnie za to bardzo szybki i nieźle mnie poobijał, zanim go położyłem.

W trzeciej rundzie zostało ośmiu rycerzy razem ze mną. Czułem ból pod ramieniem i miałem wgnieciony hełm; to obudziło we mnie burzę, tak więc natarłem z furją, pragnąc zabić przeciwnika, jeśli to będzie możliwe, i rozłożyłem go, zanim zdołał mnie uderzyć. Był szlachetnie urodzony tak jak Svon, a nawet był jego krewnym.

Zostało czterech. Zaatakowałem przeciwnika tak samo jak tego trzeciego i szybko go pokonałem, ponieważ złamałem mu drzewce pierwszym uderzeniem. To był Robert z Greenglory, dobry, dzielny rycerz, który miał walczyć ze mną w Bitwie nad Rzeką.

Wreszcie zostało nas tylko dwóch. Przyniesiono dobre wino, tak byśmy mogli obaj wznieść toast. Nie widziałem wcześniej większego rycerza, nawet Woddet mu nie dorównywał. Nazywał się Gerrune. Nie miał swojego dworu, dlatego podróżował z miejsca do miejsca i walczył dla nagrody, taki wolny rycerz, jak ich nazywają. Spodziewałem się, że będzie niebezpieczny przede wszystkim ze względu na swój wzrost, bo jego halabarda była o połowę krótsza od mojej i miała grubsze drzewce. Szybko jednak przekonałem się, że jego dodatkową bronią jest przebiegłość; w całym Skai nie było rycerza, który by znał tyle podstępnych uderzeń. Ostrze jego siekiery odbijało jasno światło, którym próbował mnie oślepić. Wyprowadzał jakieś uderzenie, a kończył je w inny sposób, zadając ciosy często jeden za drugim. Wydawało się, że nigdy nie osłabnie, ponieważ nie musiał wcale używać całej swojej siły.

Złamał mi halabardę, tak więc dalej walczyłem tak jak ten, któremu wcześniej złamałem drąg, odparowując ciosy drzewcem i uderzając końcem, jakby to była siekiera, aż wreszcie zadałem pchnięcie końcem w jego kolano i go okulałem. Potem chwyciłem go w obie ręce, uniosłem w górę i cisnąłem o ziemię.

Stałem z boku, podczas gdy on odsłonił przyłbicę i oznajmił głośno, że ma nadzieję, iż nigdy więcej nie będziemy walczyć ze sobą, co przyjąłem z radością.

A gdy już ucichły wiwaty, zagrała trąbka i on - sir Gerrune - został ogłoszony zwycięzcą.

- Przekupił ich! - powiedział Wistan. Potrząsnąłem głową, ponieważ widziałem zdziwienie rycerza.

Tamtej nocy Pouk zastukał do drzwi naszego pokoju. Wistan wpuścił go, a on dotknął czoła wierzchem dłoni i powiedział:

- Jakichś dwóch tam na dole chce się z tobą zobaczyć, sir. Nie wiem, z jakiej są łajby, ale dali mi to - pokazał złotą monetę - żebym ci powiedział. Mogę ją zatrzymać?

- Pewnie. Czy powiedzieli, jak się nazywają?

- Jeden, sir. Powiedział, że jest Belos.

- Wojowniczy - przetłumaczył Wistan (choć wcale nie mam pewności, że zrobił to poprawnie). - To mogą być zamachowcy, sir Able.

Odpowiedziałem mu, że to możliwe, albo że to tylko kupcy, którzy chcą nam sprzedać pióra lub coś innego. Nie znałem nikogo, kto by pragnął mojej śmierci, ponadto dwóch wydawało się trochę mało na rycerza i jego giermka, nie wspominając o Gylfie, Orgu, Unsie i samym Pouku.

Obaj mężczyźni, szczupli, w długich płaszczach z kapturami przesiąkniętymi zapachem morza, wydawali się młodzi. Żaden z nich nie ściągnął kaptura z głowy i nie spojrzał mi w oczy.

- Służymy wielkiej pani Thortower - przemówił jeden z nich. - Chętnie ujawnimy jej tożsamość, jeśli tylko odeślesz swoje służki.

Wistan od razu się najeżył, a ja musiałem wyjaśnić, że giermek, mimo iż służy rycerzowi, nie jest służącym.

- Ona pragnie mówić tylko z tobą, dla twojego dobra. Zaprowadzimy cię do niej, ale tylko ciebie.

- Zaprowadzicie mnie do niej - powiedziałem - lecz nie samego. Możemy spotkać złodziei - a wtedy miałbym do obrony tylko was.



Zacząli konferować między sobą, a Wistan i Pouk wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

Wreszcie odwrócili się do mnie.

- Będziemy cię bronić i wybierzemy bezpieczną drogę. To nie jest daleko. Chodź z nami. Przyprawimy cię tu z powrotem przed wschodem słońca.

- Muszę się wyspać przed wschodem słońca - odpowiedziałem. - Jestem zmęczony, a jutro jest turniej.

Obiecali, że wrócimy, nim wzejdzie księżyc.

Pokazałem na Gylfa.

- Czy wolno mi zabrać psa? Zawsze to jakaś obrona dla mnie.

Jeden powiedział tak, drugi nie. Po krótkiej dyskusji, ten drugi zapytał:

- Jeśli pozwolimy ci go zabrać, to czy pójdziesz z nami?

Skinąłem głową.

- Pójdę z Gylfem, Wistanem i Poukiem. Pójdziemy wszyscy obecni w tym pokoju.

Pierwszy z mężczyzn odpowiedział:

- W takim razie wrócimy do tej, która nas tu przysłała, i zawiadomimy ją, że nie chcesz przyjść.

Pokręciłem głową.

- Musicie jej powiedzieć, że gotowy byłem przyjść, ale wy nie przyjęliście moich warunków. I macie też powiedzieć Jej Wysokości, że od razu się zorientowałem, iż jesteście Aelfami. Przypomnijcie jej, że byłem przyjacielem jej brata i nie przyłączyłem się do moich przyjaciół, kiedy z nim walczyli.

Zacząli się cofać, gdy to mówiłem.

- Dla waszego bezpieczeństwa ostrzegam was, że sam opowiem jej o wszystkim, kiedy ją spotkam i że kazałem wam to przekazać.

Znikli, zanim skończyłem mówić.

- Wrócą w nocy - zwróciłem się do Pouka. - Jeśli cię obudzą i będą chcieli, żebyś ich znowu do mnie przyprowadził, odmów.

Pouk dotknął dłonią czoła, a ja dałem mu znak, żeby sobie poszedł. Wistan zapytał, czy smok, którego zabił Vil, naprawdę był bratem księżniczki Morcaine, a ja mu odpowiedziałem, żeby nie był taki sprytny i że jego uszy napytają mu kiedyś biedy.

- Przecież muszę wiedzieć to wszystko! Powiedziałeś, że mnie ze sobą zabierzesz.

- Ponieważ moim obowiązkiem jest cię uczyć. Jak dotąd nie za wiele zdziałałem.

- Czy ja kiedyś narzekałem?

Ziewnąłem i odpowiedziałem mu, że na pewno to robił.

- Wcale nie! Pewnie tylko byłem zamyślony i zmarszczyłem czoło czy coś takiego.

- W porządku. Księżniczka jest siostrą smoka. Jest ludzką kobietą, człowiekiem, tak jak jej ojciec, choć nie całkiem, bo jej matką był smok z Muspelu. Smoki potrafią się wcielać w ludzi lepiej niż Aelfy. Czy muszę ci to wyjaśnić?

- Proszę! Proszę, sir Able!

- Dobra. Jest siedem światów - powinieneś to wiedzieć, jeśli w ogóle wiesz cokolwiek. Ten jest czwarty, środkowy. Jest on jednocześnie najbardziej trwałe. Żyją tu istoty, które potrafią zmieniać swoją postać bardziej niż ty czy ja, ale jest ich niewiele i potrafią się zmieniać tylko w niewielkim stopniu. W miarę jak idziesz wyżej, wszystko staje się coraz mniej trwałe. Aelfy są bardzo podobne do ludzi, a mogą jeszcze bardziej upodobnić się do nas. Potrafią przybrać postać zwierzęcia lub człowieka, ale niewiele więcej, i nie potrafią specjalnie zmniejszać się albo powiększać. Zdradzają je ich oczy. Aelfy blakną w słońcu, dlatego unikają jego blasku.

- Pamiętam, jak walczyli dla nas.

- To byli ludzie Uri. Widziałeś ją?

Skinął głową.

- To są Aelfy Ognia, które zostały zniewolone przez Setra. Setr był smokiem. Jest też inny brat, jak zapewne się domyślasz. Ale nie będziemy o nim rozmawiać.

## ROZDZIAŁ 31

### **PRZEKĄSKA Z LORDEM ESCANEM**

Ten pojedynek na kopie różnił się od naszych ćwiczebnych potyczek w Sheerwall głównie okazałością zbroi i czapraków. Kopie dostarczył członek świty królewskiej, co miało zagwarantować, że są identyczne i że każda zostanie zakończona taką samą metalową koroną. Walczący nie ubierali ciężkiej zbroi, za to wielu posługiwało się tarczą mocniejszą niż ta, którą zabraliby ze sobą na wojnę.

Walczących rozdzielały szranki, dzięki czemu nie mogli się zderzyć ze sobą. Można było trafić w głowę lub w pierś przeciwnika w miarę możliwości, lecz nasze kopie były skierowane głównie w tarczę. Każda kolejna para walczyła do momentu, gdy któryś z walczących został wyrzucony z konia albo też odrzucił kopię w geście poddania. Pierwszego dnia stanąłem tylko do jednego pojedynku przeciwko Kefemu, rycerzowi, który wygrał turniej w poprzednim roku. Nie bawiliśmy się w jakieś tam kruszenie kopii. Każdy z nas od samego początku próbował wysadzić z siodła przeciwnika, ale i tak zniszczyliśmy sześć kopii, zanim wierzchowiec Kefego padł na ziemię.

Gdy już było po wszystkim, pozwolono nam obu z Wistanem zająć nasłonecznione miejsce blisko tronu; okazując przezorność większą niż zwykle, powiedziałem mu, że dołączymy do Pouka i Unsa wśród pospólstwa.

Nie minęła godzina, gdy tamci znowu się zjawili, niezbyt zadowoleni, że muszą załatwiać sprawy w ciągu dnia. Pani, o której wspominali, ustąpiła. Była gotowa pominąć moją poprzednią odmowę i zgodziła się spotkać ze mną. Podziękowałem im, że byli tak uprzejmi przekazać moją wiadomość, po czym kazałem Wistanowi odszukać Pouka i Unsa i udać się za mną. Gylf zwiedzał Thortower, jako że pojedynki na kopie nie bardzo go interesowały, ale dołączył do nas, gdy uszliśmy kawałek. Aelfy Morza nie zaprotestowały.

Miała własną wieżę, podobnie jak pani Jego Miłości w Sheerwall, i przyjęła nas w dużej sali, której ściany zdobił czarny aksamit i w której

wisiały palące się kadzidła o dziwnym kształcie. Nie podobało mi się to, podobnie jak Gylfowi, który węszył uważnie za kolejnymi arrasami podczas naszej rozmowy.

- Znowu się spotykamy, sir Able. - Podała mi rękę.

Odpowiedziałem jej, że czuję się po trzykroć zaszczycony.

- Dlaczego nie chciałeś przyjść sam? - zapytała jakby trochę nadąsana.

- Jesteś tak piękna, Wasza Wysokość, że nie miałem pewności, czy będę potrafił zapanować nad sobą.

- Kłamca. Byłabym raczej twoją przyjaciółką, sir Able, gdybym tylko mogła. Ty nie boisz się magii.

- To nie prawda, Wasza Wysokość.

- Nie baw się ze mną. - Oboje wiemy to... co wiemy. Jeśli umarli wstają na moje polecenie, to czym to jest dla ciebie?

- Czymś ważnym, Wasza Wysokość. Nie zawsze można rozkazywać zmarłym. Boję się o ciebie.

- Tak jak ja. - Jej krzesło przypominało tron, a efekt ten uwydatniał jeszcze podest, na którym je ustawiono. Wstała, zeszła z podwyższenia i stanęła przede mną, kołysząc się, wyższa ode mnie co najmniej o głowę. - Nie sądzisz, sir Able, że jestem sługą Najniższego Boga?

Pokręciłem głową.

- On nie jest żadnym bogiem, Wasza Wysokość. A ty mu nie służysz.

- Masz rację, choć się nad tym zastanawiałam. Staram się czynić dobro swoimi czarami. Nie musisz mi wierzyć. Udowodnię to, gdy nadarzy się sposobność. Klęknąłeś przede mną.

- Jesteś członkiem rodziny królewskiej, Wasza Wysokość.

- Zasługuję na to. Nie ze względu na przynależność do rodziny królewskiej... - Roześmiała się. - Ale dlatego, że jestem dobra. Chcesz audiencji u mojego brata?

- Tak, Wasza Wysokość. Czy możesz mi w tym pomóc?

- Mogłabym, ale tego nie zrobię. Jedno mnie zastanawia - dlaczego to sir Gerrune jest zwycięzcą, a nie ty?

Wzruszyłem ramionami.

- Ogłoszono go nim, Wasza Wysokość. Choć nie mam pojęcia dlaczego.

Jej śmiech, pozbawiony radości, zabrzmiał pięknie.

- Tak chciał mój brat. Nosisz chustę królowej, sir Able. Czy myślisz, że jego królowa podsuwa się każdemu łotrowi w pomywalni?

- Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość. Zabiłbym każdego, kto by ją oskarżył o coś takiego.

- W takim razie będziesz musiał zabić wielu. Opowiadają mojemu bratu podobne rzeczy, a nawet gorsze. Nie całkiem im wierzy. Myślisz, że on przyjmie rycerza, który nosi jej chustę?

- Niekoniecznie, ale spróbuję, Wasza Wysokość.

Ujęła moją dłoń.

- Dobrze powiedziane. Niewielu tu na dworze darzy mnie miłością, a nikt zaufaniem, sir Able. Gdybym powiedziała bratu, że powinien cię przyjąć, zaszkodziłoby to twojej sprawie. Ponadto podczas jego wielkiego turnieju nosił chustę jego królowej. Czy Valfather ci pomoże?

- Wątpię, Wasza Wysokość. Ale nie straciłem nadziei.

- Ja również, jest ci potrzebna. Póki co, ja ci pomogę, w miarę możliwości.

- Mówiła coraz ciszej. - A także lord marszałek, jeśli nie skrewi. Traktuj nas jak wysłanników Skai. Może ci to przyniesie jakąś pociechę. - Po chwili zwróciła się do Wistana: - Szybko się uczysz.

Wistan przyklęknął.

- O tak, Wasza Wysokość.

- Można dźgnąć kogoś sztylcikiem, giermku, albo nim rzucić. Rzućmy nim. Zmarli chodzą na moje polecenie. Tak powiedziałam twojemu panu i tak jest. Ostrzegł mnie przed niebezpieczeństwem, ale w końcu do rycerza należy ochrona niewiasty. - Odwróciła głowę, tak by Wistan mógł zobaczyć jej profil. - Czy twoim zdaniem jestem urodziwa?

- Nie widziałem piękniejszej damy, Wasza Wysokość.

Roześmiała się.

- W takim razie sir Able obroni mnie. - Po tych słowach odwróciła się plecami, mrużąc coś pod nosem, po czym wróciła na swoje miejsce.

Gdzieś pod podłogą rozległ się odgłos zamykanych dużych drzwi, ona zaś uśmiechnęła się.

- Może słyszałeś coś o naszym zeszłorocznym turnieju, giermku?

- Byłem tutaj, Wasza Wysokość. Służyłem u sir Garvaona. Strzelał z łuku, walczył halabardą i pojedynkował się na kopie.

- A turniej? Taki znamienity rycerz z pewnością chciał wziąć w nim udział.

- Oczywiście, Wasza Wysokość. Niestety, nie mogliśmy. W drużynie jest czterdziestu, a lista już była pełna.

- Sir Able ma większe szczęście.

- Tak, Wasza Wysokość.

- Wiesz dlaczego?

Głos Wistana zniżył się do szeptu.

- Ponieważ podpisałem listę. Za niego. Tylko nie chcę, żeby zginął. Wiem, co myślisz, ale nie chcę. Nie widziałaś, jak walczy.

Morcaine spojrzała na mnie.

- To twój pierwszy turniej?

Przyznałem, że tak.

- Niektórzy rycerze, sir Able, wiedzą, że nie mają szans we wcześniejszych konkurencjach. Czy ten sir Garvaon był dobrym łucznikiem?

- Bardzo dobrym. Wasza Wysokość.

- Wielu innych nie myśli tak o sobie i nie chce przeżyć upokorzenia. Wiesz coś o upokorzeniu, kiedy pękła cięciwa twojego łuku.

- Tak, Wasza Wysokość. - Za plecami Morcaine, zza zasłony z czarnego aksamitu wyłoniła się twarz Baki. Wyraźnie przybita.

- Przypuśćmy, że wszyscy trzej nie trafiliby w cel. Wielu nie miałoby szans z sir Gerrune z berdyszem, a jeszcze mniejsze szanse mieliby z sir Kefem w walce na kopie. Z drugiej strony czuliby się zawstydzeni, gdyby w niczym nie wystąpili. Dlatego walczą w turnieju. To najbardziej niebezpieczna konkurencja, ale duże znaczenie ma w niej szczęście.

- Rozumiem, Wasza Wysokość. - W tym momencie usłyszałem kroki, ciężkie i powolne. Gylf zawarczał.

- Walczy się tępą bronią i nie wolno używać buzdyganu. Mimo to co roku ginie jeden lub dwóch rycerzy. Może nie wiedziałeś.

Powiedziałem, że nie, ale to nie ma znaczenia.

- Tak, jeśli wybrałam właściwy moment na naszą rozmowę... - Roześmiała się. - Sir Lich poległ w turnieju, lecz jego imię - ach, oto i on.

Kłapa w podłodze podniosła się. Rycerz, który ją podniósł i wyszedł, bez wątpienia nie żył już od jakiegoś czasu, a jego ciało złożono w suchym miejscu. Zaczął je już toczyć czerw, lecz niezbyt mocno.

- Walczyłbyś z nim? Żeby obronić tę piękną niewiastę?

- Oczywiście - odparłem. Gdzieś z tyłu usłyszałem niewyraźny odgłos i poczułem, jak Wistan szarpie mnie za rękaw.

- Pamiętaj, że nie mógłbyś go zabić.

- Jeśli jest dla ciebie zagrożeniem, to zrobię, co w mojej mocy.

- Nie jest. Niech spoczywa.

Być może powiedziała coś cicho, ale nie usłyszałem. Martwy rycerz padł, uderzając twarzą o kamienną podłogę z taką siłą, że aż wyrzuciło z niej robaka.

- Służący sir Able'a uciekli - a ty, giermku? Czy twoja edukacja przygotowała cię na ten dzień?

Wistan odpowiedział drżącym głosem, że tak. Chłopiec, który uciekł przed duchem Muld, teraz się opanował.

- Co pomyślałeś o moich posłańcach, których posłałam do ciebie i do twojego pana? Czy nie trzęsłeś się także na ich widok?

- Nie, Wasza wysokość. To były Aelfy Morza, jak powiedział mój pan. Widzieliśmy Aelfy w górach, Wasza Wysokość. Pomogły nam w walce z Angronitami. I były doskonałymi łucznikami. Wasza Wysokość - dokończył dzielnie.

- Nie bałeś się?

- Nie... to znaczy na początku. Wasza Wysokość. Trochę.

- Ale robak sir Licha cię przestraszył. Widziałam. Kiedy następnym razem spotkasz się z moimi posłańcami, pamiętaj, że zostali uczynieni przez robaki. Sir Able, poprosiłam cię tutaj, byśmy się naradzili; musimy pamiętać, że mój brat nienawidzi cię za to, że nosisz chustę królowej, i raczej nie polubi cię bardziej, jeśli przyjdiesz do niego pod moimi auspicjami. Jeśli Valfather darzy cię jakimiś względami, to czy wyprosisz u niego coś dla mojego brata?

Nagła zmiana tematu wprowadziła mnie w zakłopotanie, niemniej jednak powiedziałem, że to uczynię.

- Proś też królową. Masz jej względy. - Do tej pory Morcaine siedziała sztywna jak kij, a teraz nagle skuliła się prawie tak samo gwałtownie jak rycerz. - On uważa królową za ładacznicę, mnie zaś za morderczynię gotową zabić brata, żeby zdobyć tron. Ale ona taka nie jest, sir Able. Ani ja.

- Wierzę ci, Wasza Wysokość - odpowiedziałem.

- Dziękuję. Może mnie zabić, tłumacząc się, że broni swojego życia. Ją też może zabić, by zdobyć królową, która urodzi mu synów. Ona nie jest moją przyjaciółką. - Morcaine wyprostowała się, a w jej oczach pojawił się błysk. - Mój brat jest moim bratem, towarzyszem zabaw z dzieciństwa. Niewielu ludzi kocham, ale jego tak. Rozumiesz?

- Tak, Wasza Wysokość. Lepiej niż ci się wydaje.

- I nie zamierzasz go skrzywdzić?

- Chcę tylko dostarczyć mu wiadomość od tego, który mnie z nią wysłał.  
Wasza Wysokość.

- A który jest...?

- W Aelfrice, Wasza Wysokość.

Milczała długą chwilę wpatrzona we mnie. Wreszcie powiedziała:

- Czy przekażesz mu swoją wiadomość w mojej obecności?

- Kiedy stanę twarzą w twarz z Jego Wysokością, wiadomość wypełni mój umysł i wtedy ją przekażę, cokolwiek by to było. Nie sądzę, by obecność osób trzecich - nawet twojej osoby, Wasza Wysokość - miała jakiegokolwiek znaczenie.

- W takim razie muszę być przy tym obecna. To ci mogę zaoferować, i tylko to. Jeśli pragniesz tego, poproszę cię o przysługę.

- Pragnę, Wasza Wysokość.

Pokręciła głową.

- Nie chodzi mi o to, że zostaniesz do niego zaprowadzony. Wysłuchaj mnie. Poproszę, by pozwolono mi wybrać jednego z naszych jutrzejszych gości przy kolacji. Zrobię to w obecności królowej. O ile ją znam, także o to poprosi. Jeśli mój brat spełni moją prośbę, to będzie mu niezręcznie jej odmówić. Zapewne wymieni twoje imię, jako że nosisz w szrankach jej chustę. Wtedy mój brat będzie musiał cię przyjąć i być dla ciebie miły, choć jego słowa będą fałszywe. Mam to zrobić?

- Proszę cię, Wasza Wysokość. Zyskasz moją dozgonną wdzięczność.

- Odium spadnie na królową. - Morcaine roześmiała się. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Skieruję je na siebie, jeśli to będzie możliwe.

\* \* \*

Następnego dnia stoczyłem trzy pojedynki i wszystkie wygrałem. Po ostatnim obaj z Wistanem czekaliśmy na zaproszenie do królewskiego stołu, lecz się go nie doczekaliśmy. Długo po zachodzie słońca posłałem Wistana do lorda marszałka, by poprosił o spotkanie. Przyjął mnie, a ja wyznałem mu, że rozmawiałem z Morcaine, która obiecała wstawić się za mną u króla.

- Wiem. - Lord marszałek złączył palce dłoni w wieże. - Rozumiesz, mam nadzieję, że jego siostra nie jest jego faworytą.



- Tak, panie.

- Kiedy rozmawialiśmy poprzednim razem, powiedziałeś, że wahasz się, czy wykorzystać przyjaźń Jej Wysokości. Uznałem twoje słowa za rozważne.

- Ścisnął palcami nos. - Hem! Wciąż chcesz audiencji?

- Bardzo, panie.

- Wykazałeś się w turnieju zgodnie z moją radą, choć nie dość skutecznie, jak widać.

- Będę się starał lepiej, panie.

- Życzę ci powodzenia. Dwukrotnie wspominałem twoje imię Jego Wysokości. A chyba zobowiązałem się raz to uczynić? Okazałem hojność. Nie poprosił, by cię zaproszono. Czy to dla twojego dobra Jej Wysokość poprosiła o przysługę?

- Możliwe, panie.

Marszałek westchnął.

- Kazałem ci stać tak długo, sir Able, a pewnie jesteś zmęczony. Myślałem, że nasza rozmowa potrwa krótko. Siadaj. Napijesz się wina?

Przyjąłem jego poczęstunek i dałem znak Wistanowi, żeby też usiadł.

Lord marszałek zadzwonił dzwonkiem.

- Nie spełniono jej prośby, sir Able. Wiedziałeś o tym?

Pokręciłem głową mocno przybity.

- Mówi się o tym na dworze. Jej wysokość, delikatnie i uprzejmie, poprosiła brata o przysługę. Spodziewaliśmy się, ja jak i wszyscy tam obecni, że chodzi o jakąś drobnostkę. Odmówił jej, a ona wyszła. Wątpię, by chciała ci o tym powiedzieć. Rozumiesz, została upokorzona.

- Rozumiem, panie.

- On także został zawstydzony. Nie myśl sobie, sir Able, że on o tym nie wie. Nasza królowa - czy Idnn naprawdę jest teraz królową? Tak powiedziałeś podczas naszej poprzedniej rozmowy.

Zacząłem mu wyjaśniać, lecz zjawił się Payn.

- Wino - zwrócił się do niego lord marszałek. - Tylko nie te pomyje, a nasze z Brighthills. Białe czy czerwone, sir Able?

- Sam wybierz, panie.

- A zatem białe. I ciepła wędzona ryba. Jesiotr i co tam jeszcze znajdziesz. Tost i masło ziołowe. Twoja królowa Idnn jest przyjaciółką Jej Wysokości, sir Able. Wiedziałeś o tym? Obie w tym samym wieku, obie od dawna na dworze. Choć może w to wątpisz, lecz te ramiona kołysały Jej Wysokość,

gdy była jeszcze w pieluchach.

Po chwili lord marszałek mówił dalej nieco ściszym głosem:

- Miedzy innymi dlatego pojechał lord Beel, jak sądzę. Król wysłał go, żeby pozbawić biedną Gaynor przyjaciółki, tak bym to ujął. Tak bym powiedział, lecz ty tego nie powtarzaj. Beel zaś wziął tę robotę po części dlatego, żeby zabrać Idnn z dworu. Dzisiaj nie jest bezpiecznie być przyjacielem naszej królowej. Coś wiem na ten temat, ponieważ jestem jednym z nich. Tego też nie powtarzaj.

Obaj z Wistanem zapewniliśmy go, że tak będzie.

- Rozumiesz, cieszę się też zaufaniem króla. Gdybym tylko potrafił, zbliżyłbym ich do siebie. I z czasem do tego doprowadzę...

- Masz jakiś pomysł, panie?

Pokręcił głową, trzęsąc tłustym podbródkiem.

- Przelotna fantazja, sir Able. Nic więcej.

Następne słowa skierował do Wistana:

- To wielka przypadłość inteligencji, młodzieńcze. Głupota jest co najmniej równie cenna. Inteligencja każe nam sięgać zbyt daleko, zbyt często i rozprasza naszą uwagę - hem! - fantazyjnymi pomysłami. Czy sir Able uczy cię szermierki?

- Tak, panie. I mówi, że mam do tego dryg.

- To dobrze - bardzo dobrze. Przykładaj się do ćwiczeń z mieczem. Ale ucz się też głupoty. Najlepsi rycerze są dobrymi szermierzami, ale i są głupi.

- Tak jak i ten tutaj - oświadczyłem, ponieważ wyczułem, że lord marszałek ma coś na myśli, choć nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

- Właśnie. Przynosisz wiadomość, ale nie wiesz jaką. Może dobrą. Dlaczego królowa...?

Wrócił Payn z ogromną srebrną tacą, na której przyniósł puchary, talerze, przykryte potrawy i karafkę.

- Wybornie! Zatrzymałeś się w karczmie, sir Able?

- Tak, panie.

- Dobrze tam dają jeść?

- Znośnie - odpowiedział mu Wistan.

- Coś na to zaradzimy, mam nadzieję. Nie dzisiaj, ale niebawem. Po turnieju. - Payn ustawił przed każdym z nas talerz, puchar i ręcznik zamoczony w gorącej wodzie. - Nie chciałbyś być gościem tutaj, na zamku? To się da zrobić, choć tak samo wygodnie byłoby ci w mieście u mojego

przyjaciela. Równie wygodnie, a o wiele bezpieczniej.

Odpowiedziałem mu, że raczej wyjadę, jak tylko porozmawiam z królem.

- W takim razie niech twoje plany się spełnią. Choć mamy zimę, a plany się zmieniają. Payn, porozmawiam z Jej Wysokością i z Jej Miłością po śniadaniu, jeśli mnie umówisz. Z każdą osobno, ma się rozumieć. Przekaż im dziś wieczorem moją pokorną prośbę o rozmowę. Wizyta będzie krótka, a sprawa jest ważna, nic więcej nie wiesz.

- Dobrze, Wasza Lordowska Mość. Mam już iść?

Marszałek skinął głową.

- Natychmiast. Wróć, jak już porozmawiasz z jedną i z drugą. Najwcześniej jak to możliwe, ale z każdą z osobna, zrozumiałeś? A teraz idź już. Skosztuj tego wina, sir Able. To, cośmy przedtem pili, to obrzydlistwo dla mojego podniebienia, choć Payn uważa, że nie jest aż takie złe.

Upiłem łyk.

- Doskonałe, panie.

- Czy w Aelfrice piją lepsze?

Znowu się napiłem.

- Byłoby to niemożliwością, panie.

Zaśmiał się energicznie, aż zatrzęsł się jego brzuch.

- Ze mną nie tak łatwo. No, dobrze. Czy przynosisz wiadomość od królowej, sir Able? Trafiłem, co?!

- Wolałbym o tym nie mówić, panie.

- Twoje oblicze mówi za ciebie. Któregoś dnia ten chłopak powiedział, że jego zdaniem wiadomość pochodzi od królowej Idnn. Widzisz, zastanawiałem się nad tym. Jaką to wiadomość Idnn mogła przesłać królowi, wiadomość tak tajemniczą, że jej treści nie zna nawet posłaniec. Posłaniec, który najwyraźniej odwiedził Aelfrice i to nie raz według słów chłopca. Te kobiety! Wciąż wysyłają wiadomości i prowokują kłopoty. Zgodzisz się ze mną, mam nadzieję?

- Raczej nie, panie.

- Jak będziesz w moim wieku to mi przyznasz rację. Jej Wysokość jest przeważnie pijana. Wiedziałeś o tym?

- Nie, panie. Nie wiedziałem.

- Dobrze to ukrywa. A teraz poważnie, co myślisz o moim winie?

- Wistan lepiej je oceni niż ja, panie.

- Wyśmienite, panie - rzekł Wistan. - Nie piłem lepszego.

- Wybornie. Mamy tu grzanki - odkrył półmisek - i chyba dorsz, mój ulubiony. Mogę ci nałożyć jednego i drugiego?

Wistan skinął energicznie głową.

- Z przyjemnością, panie.

- Najpierw powinien być obsłużony twój pan, giermku, nawet jeśli podaje ktoś tak szlachetnie urodzony. - Lord marszałek nałożył na mój talerz cztery rodzaje wędzonej ryby i kromki chleba nadziane wcześniej na widelec i upieczone na ogniu. Podobnie przyrządzano chleb w Thortower.

- No dobrze - powiedział, gdy już nas obsłużono. - Dobijemy targu, sir Able, ty i ja. Kiedy przyszedłeś do mnie za pierwszym razem, udzieliłem ci dobrej rady, całkiem za darmo. Potem dwukrotnie wspomniałem o tobie królowi, sugerując, jak dużo wiesz o niedawnych wydarzeniach - niewiarygodnych po części wydarzeniach - na północy. Uczyniłem tak, ponieważ cię lubię i ponieważ uważałem to za swój obowiązek.

Chciałem mu odpowiedzieć, lecz on powstrzymał mnie, unosząc dłoń.

- Myślisz pewnie, że przymawiam się o łapówkę. I tak jest. Ale nie chodzi o złoto. Masz Czerwony Dwór, jeden z najlepszych dworów na północy. Ja mam cztery równie dobre albo i lepsze, a także rycerzy, którzy służą w nich dla mnie, a także zamek. Nie mówię ci tego, żeby się chwalić, tylko byś wiedział, że nie jestem specjalnie biedniejszy niż twój książę Marder. Może nawet bogatszy. Rozumiesz?

- Tak, panie.

- Mnie interesuje wiedza. Informacje. - Ściszył głos. - Służę jego Królewskiej Mości, sir Able. Nie jest to łatwa służba, lecz starałem się ją wypełniać najlepiej jak potrafię, przez wszystkie te lata. Nie pokonałbym cię mieczem.

Nic nie odpowiedziałem.

- Ani nawet twojego giermka, jeśli go dobrze wyćwiczyłeś, ja służę królowi myślą. Refleksją i wiedzą. - Napił się wina. - Ty zaś posiadasz wiedzę, której ci zazdrozczę. Dostanę ją od ciebie. Rozumiesz? Ja się wzbogacę, a ty nie zbiedniejesz. Zaplanowałem na jutro niezwykle przedsięwzięcia, dzięki którym na pewno staniesz przed królem. Czy w zamian za tę przysługę, którą jestem gotów ci wyświadczyć, ryzykując życie, odpowiesz na kilka moich pytań? I odpowiesz szczerze, przysięgając na swój honor?

Nie powiedział wprawdzie, że więcej mi nie pomoże, jeśli odmówię, ale

spodziewałem się tego.

- Istnieje wiele pytań, na które nie mogę odpowiedzieć, panie - odparłem.

- Na te możesz. Przysięgnij na honor.

- Przysięgam, panie. Powiem wszystko, co wiem.

- Wybornie. - Rozsiadł się wygodniej uśmiechnięty i zjadł kawałek ryby na grzance. Obaj z Wistanem poszliśmy w jego ślady. Chleb i ryba były bardzo smaczne.

- Moje pierwsze pytanie, sir Able. Ile razy byłeś w Aelfrice?

Próbowałem sobie przypomnieć, licząc na palcach.

- Chyba pięć, panie. Nie, sześć.

Otworzył szeroko oczy.

- Na tyle często, by zgubić rachunek?

- Owszem, panie.

- Czas tam płynie wolniej?

- Tak, panie.

- Czy wiesz, na jakiej zasadzie się to opiera? - Widząc, że go nie rozumiem, dodał: - Założmy, że udalibyśmy się do Aelfrice na jeden dzień. Są tam dni?

- A jakże, panie.

- Ile czasu by upłynęło po naszym powrocie?

- Tego nie potrafię powiedzieć, panie. Nie ma jednej zasady. Tydzień może. Albo i rok.

- Rozumiem. - Pogłaskał się po podbródku. - Nie zamierzałem się zbytnio rozpędzać, sir Able, ale już o to zapytam. Powiedz mi, jeśli pozwala ci na to twój honor, czy siostra Jego Królewskiej Mości jest tam znana?

- Tego nie wiem na pewno, panie, ale tak sądzę.

- Nigdy jej tam nie spotkałeś?

W tym momencie chyba się zawahałem.

- Nie, panie.

- Nie spotkałeś?

- Nie, panie.

- Ale byłeś tego bliski, jak sądzę. Mam rację?

- Wciąż jestem chłopcem, panie. Cokolwiek myślisz, tylko chłopcem. A ty jesteś mężczyzną dojrzałym w latach i w mądrości.

- Powiedz mi.

Opowiedziałem mu o Grengarmie, nie wspominając o Eterne.

- Przyprowadziły ją Aelfy, o których mówiłeś?
- Tak się wydawało, panie. Nie mam powodów, by w to wątpić.
- Uratowałeś ją? Smok by ją pożarł?
- Tak myślę, panie.
- Hmm... - Przetarł twarz ogromną dłonią. - Jeśli po czymś takim nie okazała ci przyjaźni, to jest niewdzięczną sekutnicą.
- Nie mam powodu, by tak uważać, ale mam inny, by sądzić inaczej.
- Rozmawialiśmy z nią wczoraj, panie - wtrącił Wistan - a ona starała się nam pomóc. Ona... boję się jej. Nie lubię o tym mówić, ale tak jest.
- Na ustach lorda marszałka pojawił się uśmiech.
- Wierzę ci.
- Nawet jeśli jest naszą przyjaciółką. Przyjaciółką sir Able'a i moją, ponieważ on jest moim panem. Gdyby była naszym wrogiem, bałbym się śmiertelnie.
- Nie mogę cię winić, giermku. Zatrzymajmy jej względy, wszyscy trzej. Nasz król kocha ją i boi się jej jednocześnie, co już jest wystarczającym powodem. - Marszałek ponownie spojrzał na mnie. - Nie wiesz, jaką wiadomość przyniosłeś, sir Able?
- Tak jak już mówiłem, panie.
- Owszem, mówiłeś i uznałeś, że nie będzie rozsądnie wyjawić imienia nadawcy. Spytałem teraz. Jeszcze tylko to pytanie i dwa inne, a dam ci spokój. Czy przysięgałeś nie zdradzić imienia tej osoby?
- Nie, panie. Wątpię, byś mi uwierzył. Uwierzyłeś w Grengarma - oczywiście, wszystko to była prawda. Posiadasz wiedzę o innych światach.
- Owszem. - Lord marszałek poprawił się na swoim miejscu i sięgnął po kawałek szczupaka. - Nigdy ich nie odwiedziłem. W przeciwieństwie do ciebie, jak widzę. Ale rozmawiałem z Aelfami, nieraz. Wyświadczałem im drobne przysługi, a oni mnie. Czy przysłała cię królowa Disiri?

## ROZDZIAŁ 32

### PRÓBA SIŁ

Nie potrafiłem ukryć zdziwienia.

- Kiedy spotkaliśmy się poprzednim razem - mówił dalej lord marszałek - ten tu młodzieniec zasugerował, że to królowa Idnn przysłała wiadomość. Drgnąłeś na słowo królowa, lecz zaraz się opanowałeś. Królowych nie sieją jak zboże.

- Nie, panie.

- I mnie się wydawało prawdopodobne, że to nasza królowa przysłała wiadomość. Ale ona nie potrzebowałaby smoka. - Ugryzł kawałek grzanki, przeżuł go i połknął. - Aelfy mają wiele klanów - a na czele każdego stoi przeważnie król. Wyjątek stanowią Driady, Aelfy Mchu. Ty znasz pewnie inne.

Przyznałem, że nie. Rozłożył dłonie.

- W takim razie przynosisz wiadomość od królowej Disiri. Widzisz, jakie to proste.

Przytaknąłem mu, powoli i z niechęcią.

- Dobrze. Jeśli ktoś cię spyta, możesz uczciwie odpowiedzieć, że nie wyjawileś mi imienia nadawcy. Może to nie jest ważne, lecz jeśli jest, to niech tak zostanie.

- Doceniam to, panie.

- Doceń też - hem! - że nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Mam nadzieję, że odpowiesz na dwa pozostałe.

- Jeśli tylko będę potrafił, panie. Pytaj.

- Pierwsze. Dlaczego królowa Gaynor dała ci swoją chustę, byś nosił ją w szrankach?

- Nie wiem, panie. - Napilem się wina.

- Chcesz powiedzieć, że nie powiedziała ci tego? Brałeś udział w zawodach łuczników. W obu konkurencjach.

- Tak, panie. I rozczarowałem samego siebie, że się tak wyrażę.

- Przekonasz się, że te grzanki są całkiem niezłe, ale tylko wtedy, gdy są jeszcze ciepłe.

- Nie pozwolę im ostygnąć, panie. - Ułamałem kawałek.

- Zdobyłeś czwarte miejsce, jak mi się zdaje, w strzelaniu na stojąco. Z konia trafiłeś dwukrotnie w złoto. Pękła ci cięciwa przy ostatniej próbie. Przyglądałem ci się, podobnie jak prawie wszyscy inni. A potem jej Królewska Mość dała ci swoją chustę.

- Zgadza się, panie - mówiłem, jedząc grzankę.

- Nie pytałeś Jej Królewskiej Mości. Może ten chłopak? Wcale bym się nie dziwił, gdyby to zrobił. Ale ty? Ani ja. W końcu nie poddaje się przesłuchaniu członków rodziny królewskiej.

- Ja o nic jej nie pytałem, panie - wtrącił Wistan.

Marszałek uniósł brew.

- Ale pewnie snułeś różne domysły. Tylko głupek by nie spekulował. A ty głupkiem nie jesteś. Nie byłeś w Aelfrice ze swoim panem?

- Nie, panie. Dziękuję, panie. Nie byłem, ale chciałbym tam się udać. Toug mi opowiadał, jak tam jest. I Etela.

- Powstrzymam się na razie przed wypytaniem cię o nią. Wróćmy do naszej królowej. Na pewno snułeś jakieś domysły. Wyjaw mi je.

Wistan chrząknął, a był to cichutki, przepaszający odgłos w porównaniu z trąbieniem lorda marszałka.

- Wydało mi się to całkiem oczywiste, panie.

- A mnie nie, giermku.

- Jest przystojny, panie. I tajemniczy, jak dla mnie bardzo tajemniczy, ponieważ wiem o nim tak dużo. Trochę ci już opowiadałem.

Marszałek skinął głową, przeżuując grzankę.

- Jej też by się wydał tajemniczy, ponieważ nigdy nie był na dworze. Któregoś dnia wspomniałeś o jego kolczudze.

Uśmiechnął się.

- Tak.

- Na pewno nie tylko ty to zauważyłeś. Kobiety uwielbiają tajemnice, panie.

- Wiem coś na ten temat.

- Zerwała mu się cięciwa, jak powiedziałeś, ale pierwsze dwa strzały miały dobre. Zaliczają złoto bez względu na to, w którą część środka trafi strzała, lecz jego weszły w sam środek. Nikt inny nie powtórzył dwóch równie



dobrych strzałów.

- Nie przyglądałem się wtedy - powiedział powoli lord marszałek. - Zaniebawiłem swoje obowiązki, giermku. Dobrze, że ty zachowałeś czujność.

- I ma najlepszego konia, panie, Chmurę. Widziałeś ją. Opiekuję się nią, panie, a raz nawet jechałem na niej. To nawet nie chodzi o to, że jest najlepszym koniem. Ja... to zabrzmiało głupio.

- Jesteś w wieku, w którym jeszcze takie rzeczy uchodzą. Wysłuchamy cię.

- Gdyby wszyscy walczyli kijami, panie, a pojawiłby się rycerz z mieczem, pozostali powiedzieliby, że ma najlepszy kij.

Lord marszałek uśmiechnął się.

- To wcale nie jest głupie.

- Damy pragną, aby rycerz wygrał, panie, kiedy dają mu swoją chustę. Dobry koń odgrywa dużą rolę.

- Udał ci się ten giermek, sir Able.

- Sir Garvaon go wybrał, panie. Był rycerzem wielkiego rozsądku i wielkiej odwagi.

- Ty sam jesteś człowiekiem wielkiego rozumu, sir Able...

Pokręciłem głową, wiedząc, jak bardzo się myli.

- Z pewnością zastanawiałeś się nad chustą królowej, tak jak twój giermek. Pewnie nawet więcej, ponieważ ty sam bardziej się tym martwisz. Czy doszedłeś do podobnych wniosków?

- Nie wyciągałem żadnych wniosków. Wydawało mi się, że stoi za tym Jej Wysokość, ponieważ spotkaliśmy się, zanim tu przybyłem. Mogła ją do tego nakłonić, licząc, że będzie to dla mnie z pożytkiem. Albo... albo wspomniała o mnie mimochodem.

- Sam tego nie powiesz. - Lord marszałek przyglądał mi się spod gęstych brwi. - Ja to zrobię. Być może Jej Królewska Mość dowiedziała się, że Jej Wysokość zamierza obdarować cię chustą, i postanowiła cię odizolować. To wyjaśnienie wydaje mi się najbardziej prawdopodobne. Ale muszę oddać sprawiedliwość, że żadnego z tych, które podał twój giermek, nie można całkiem pominąć. Każde z nich mogło zawierać ziarno prawdy albo i całą prawdę. Nie wypytywałam cię tak tylko z ciekawości, z czego zdajesz sobie sprawę, mam nadzieję. Mam pewien plan, ale nic ci nie powiem, zanim go nie wypróbuję. Nie odkryję go też, jeśli się nie powiedzie.

- Tak czy inaczej, masz moją wdzięczność.

Uśmiechnął się.

- Żywię pewne nadzieje, sir Able. Muszę przekonać nasze damy z rodziny królewskiej. A potrafię przekonywać, bo inaczej nie piastowałbym tego urzędu. Damy lubią, by ich rycerze wygrywali, jak podpowiada nam młodsza głowa niż nasze, a nawet damy z rodziny królewskiej lubią intrygę. Nie, nasze damy bardzo lubią intrygę. Taką przynajmniej żywimy nadzieję. Moje ostatnie pytanie. W jaki sposób mogę odwiedzić Aelfrice?

Bardzo mnie zaskoczył.

- Chcesz tam iść, panie?

- To marzenie mojego życia. Nie zamierzam się tam przeprowadzać, chociaż czasami... Czy to niebezpieczna sfera?

- Tak, panie. Piękna i niebezpieczna. Tak jak ta.

- Dobrze powiedziane. Jak mam się tam udać?

- Może będę mógł to zorganizować, panie.

- Kiedy dostarczysz swoją wiadomość.

- Tak, panie. Najpierw to - nie inaczej. Z całym szacunkiem.

- W końcu jest królową. Rozumiem. Weźmiesz udział w turnieju jutro rano?

- Tak, panie.

- Dobrze by było mieć zdatną kopię.

Nie uzyskałem już od niego żadnych innych informacji, mimo iż próbowałem go jeszcze wypytywać. Potem jedliśmy, piliśmy i rozmawialiśmy, głównie o koniach, aż wreszcie obaj z Wistanem wróciliśmy do naszej gospody, gdzie Pouk i Uns spali już smacznie.

\* \* \*

Następnego dnia zatrzymał nas paź, który oznajmił, że królowa pilnie mnie potrzebuje. Poszedłem za nim z Wistanem, a gdy kluczyliśmy między wieżami i umocnieniami, usłyszeliśmy ryk tłumu. Chwyciłem pazia za ramię i zapytałem, co się dzieje.

- Nykr Król Herbowy oznajmił im, jak myślę jakieś nowiny.

- Jakie nowiny?

- Nie wiem!

Puściłem go.

- Czy te nowiny dotyczą mnie?

Skinął głową i z trudem się powstrzymał przed wytarciem nosa w rękaw.

- Gadaj!

- Nie wiem, sir Able, naprawdę. Ona ci powie.

Wistan zaproponował, że wróci i się dowie. Powiedziałem, żeby tak zrobił, gdyż liczyłem na to, że może dowiem się czegoś więcej, gdy zostaniemy sami.

- Nie powiem nikomu - zwróciłem się do pazia, kiedy Wistan oddalił się - ale muszę wiedzieć, zanim porozmawiam z królową. O co chodzi?

- Pokłóciły się - wyszeptał paź. - Królowa i Jej Wysokość. Wszyscy się jej boją. Księżniczki.

- Nic dziwnego.

- I teraz będą walczyć. Ale nie tak naprawdę. Ich rycerze będą za nie walczyć.

Królowa czekała w swoim ośnieżonym ogrodzie. Przyklęknąłem i wyraziłem nadzieję, że nie kazałem jej czekać na zimnie zbyt długo.

- Och, jestem ciepło ubrana. - Uśmiechnęła się i pokazała na swoje gronostaje. - Często muszę tak robić. Nie wolno mi przyjmować mężczyzn w moich komnatach, nawet podstarzałych krewnych, Jego Królewska Mość nie pozwala mi na to.

Miałem powiedzieć coś o ciepłych pokojach i ogniu gdzie indziej, lecz ona uprzedziła mnie i zapytała, czy chciałbym się rozebrać.

- Nigdy i nigdzie nie naraziłbym na szwank honoru Waszej Królewskiej Mości.

Roześmiała się pogodnie.

- Jesteś dla mnie rycerzem. Albo nim będziesz, mam nadzieję. Mogłabym ci rozkazać, ale tego nie zrobię.

- Nie musisz - odpowiedziałem jej. - Przedstaw swoje życzenie, a zostanie spełnione.

- Z wyjątkiem rozebrania się. - Przypominało to gruchanie zawiedzionej gołębicy.

- Tak. Z wyjątkiem tego.

- Wiesz, to zabawne. - Jej uśmiech trochę mnie rozbroił. - Kiedy powiedziałam lordowi Escanowi, że to zrobię, nie sądziłam, że do tego dojdzie. A jednak tak będzie, ze względu na mnie. Możesz zginąć. Jestem okropna.

- Wasza Wysokość jest jedyną osobą w całym Celidonie, która tak uważa. Jesteś naszą chwałą, pani.

Znowu się uśmiechnęła.

- Będiesz mój, sir Able! Wiem to! Będziesz walczył z rycerzem Morcaine, prawda? W obronie mojego honoru? Tak naprawdę robimy to dla ciebie.

- Wołałbym raczej zrobić to dla ciebie. Nawet gdyby Morcaine wystawiła kilka tuzinów rycerzy, walczyłbym z nimi dla dobra Waszej Królewskiej Mości.

- Cicho! Cicho! - Królowa przyłożyła palec do ust. - Ona może słuchać. Jest straszna w tym względzie.

- Nie powiedziałem niczego, czego bym nie powtórzył w jej towarzystwie.

- Och, wy Overcyni! Wstań, proszę. Niepotrzebnie klęczysz tak na śniegu. Wstań.

Wstałem, wtedy jej delikatna dłoń znalazła moją.

- Czuję, że jesteś moim przyjacielem. Że naprawdę nim jesteś. Mam czterdziestu rycerzy, ale żaden z nich nie jest moim przyjacielem. Czy przysłał cię Valfather?

- Tak, Wasza Królewska Mość. A przynajmniej pozwolił mi tu przybyć.

Otworzyła szeroko oczy.

- Ty mówisz poważnie...

- Jak najbardziej, Wasza Królewska Mość. W rozmowie z innymi staram się to ukryć, lecz przed tobą ani przed królem nie będę kłamał czy też posługiwał się półprawdami, co mi się zdarza nader często.

- Ty... nie mogę ci na to pozwolić. Zginiesz.

- Musisz mi pozwolić, Wasza Królewska Mość. Jeździłem w szrankach z twoją chustą. Jestem twoim rycerzem.

- Och, Pani! Droga Pani ze Skai! To jest...

- Zrządzenie? - podsunąłem jej.

W oczach Gaynor zaśniły łzy.

- Jak i dla mnie. Król też tak to zobaczy - że nie jestem tym za kogo mnie bierze. Valfather sprawi, że słuszne zwycięży, czy nie tak?

- Tak ludzie wierzą. Może to prawda.

- Ona powiedziała mi coś strasznego. Że jestem suką, czy jakoś tak. Dokładnie nie ustaliliśmy jak to było, ale pewnie nie będziemy musieli. Tak więc wyzwałam ją i stanie się to w południe, a ty musisz umrzeć dla mnie. -

Zaszlochała, a po jej policzkach, czerwonych z zimna, popłynęły łzy. - Tylko że jeśli zginiesz, mój mąż uzna, że to on ma rację, a...

- Nie zginę, Wasza Królewska Mość. Zostaniesz zrehabilitowana.

- Ona zamierza cię zabić. - Królowa rozejrzała się nerwowo, jakby podejrzewała, że Morcaine ukrywa się za przykrytym śnieżną czapą krzakiem róży. - Ona cię lubi, ale i tak będzie próbowała cię zabić. Nie znasz jej.

- Jasne, że wybierze takiego rycerza, którego umiejętności i odwaga nie przyniosą jej wstydu, Wasza Królewska Mość. Nie muszę czytać w jej myślach, żeby to wiedzieć. Na jej miejscu postąpiłbym tak samo. Czy będziemy walczyć na śmierć i życie?

- Nie. - Chwilę wcześniej Gaynor wyjęta z rękawa chustkę niemal tak dużą jak męska chustka. - Tak nigdy się nie walczy.

- W takim razie podda się, kiedy już nie będzie mógł się dłużej bronić i nikt nie zginie.

- To nie turniej, gdzie walczy się przytępionym mieczem i kopią z koronką. Nie rozumiesz? To jest prawdziwa walka, toczona prawdziwą bronią.

- Dobrze. Miałem kiepską cięciwę, ale mam dobry miecz.

Wstała, a jej śliczna twarz znalazła się zaledwie na wysokości smoka na mojej piersi.

- Wysłuchaj mnie, sir Able. Nikt nie oczekuje, że dziewczęta w moim wieku będą specjalnie poważne póki nie urodzą dziecka. Tylko że ja może nigdy go nie urodzę. Wciąż jestem dziewicą i mówię poważnie jak nigdy przedtem. Powiedziałam, że to jest zabawne, bo wtedy było. Ale już nie jest, ponieważ cię lubię, a ty umrzesz.

- Jak wszyscy mężczyźni, Wasza Królewska Mość.

- I wszystkie kobiety. Wiem. Mimo to posłuchaj. Ona chce, żeby król mnie odtrącił i ponownie się ożenił. Jeśli wygra, on otrzyma okazję, by tak zrobić. Będzie mógł powiedzieć, że tak chcieli Overcyni. - Gaynor wzięła głęboki oddech, który zabrzmiał głośno w ciszy ogrodu. - A ja bym tego chciała. Lecz mam obowiązek i go kocham. I nie jestem bezpłodna. Chodzi tylko o to...

Znowu zaszlochała. Objąłem ją i starałem się pocieszyć jak umiałem.

Wreszcie powiedziała:

- Zrobisz to? Dla mnie? Staniesz przed królem w obronie mojej cnoty?

- Choćby i sto razy, Wasza Królewska Mość. - Mówiłem prawdę, jak i

prawdą było, że zrobiłbym to i tysiąc razy, byleby tylko móc rozmawiać z królem, byleby tylko wysłuchał wiadomości od Disiri.

\* \* \*

Wistan czekał na mnie, gdy wróciłem od królowej.

- To ma być Próba Sił, sir Able. Księżniczka znieważyla królową, ta zaś domaga się satysfakcji. Nikt nie wie, kto będzie walczył w ich imieniu. - Spojrzał na mnie pytająco. - Wszyscy chcą bronić królowej, wszyscy rycerze. Mówią, że może sir Gerrune.

Czekał, aż coś powiem, lecz ja milczałem.

- Wielu innych twierdzi, że to ty staniesz do walki z powodu chusty. Wszyscy wiedzą, do kogo należy. Uns chwali się tobą wszędzie i razem z Poukiem stawiają zakłady.

Chyba się uśmiechnąłem.

- Będą bogaci, jeśli wygrasz. Bogaci jak na takich prostaków.

- A ty, Wistanie? Nie wzbogacisz się?

- Ja się nie zakładałem. Czy będzie w porządku, jeśli to zrobię?

- Pewnie.

- W takim razie postawię na ciebie. Dostałem trochę złota tam, na północy, jak my wszyscy. Pouk i Uns postawili, że będziesz jej rycerzem. Dwa do jednego. Tak więc inni będą im płacić dwa do jednego, jeśli tak się stanie.

\* \* \*

Są takie chwile, które tkwią w mojej pamięci, w pewnym sensie są wiecznie obecne. Ze wszystkich moich walk tę pamiętam najlepiej. Mogę zamknąć oczy i od razu widzę wewnętrzny dziedziniec w tamtym momencie - skąpany w blasku zimowego słońca, owiany zimnym wiatrem i roziskrzony śniegiem, trzepocące na wietrze sztandary i proporce, a na nich tańczące wściekle niedźwiedzie i słonie, sokoły, byki, bazyliuszki i żyrafy, czerwone, niebieskie, zielone, żółte, czarne i białe. Wciąż słyszę ogłuszające trzepotanie ogromnej flagi Celidonu, w kolorze morskiego błękitu, z wyhaftowanym złotą nicią królewskim Nykrem.

Po mojej prawej ręce zasiadał dwór, król i królowa na podwyższeniu i Morcaine po lewej ręce króla, ale niżej. Wokół nich zebrali się szlachcice i ich damy, dumni mężowie i wytworne damy w futrach i aksamitach. Dalej z lewej i prawej strony stali rycerze okutani w grube płaszcze, spod których czasem błyskała zbroja. Naprzeciw nich zebrało się pospólstwo, połowa mieszkańców Kingsdoom, którzy przybyli zadowoleni, że będą mogli obejrzyć w to zimowe popołudnie prawdziwą walkę, walkę, w której jeden z rycerzy albo i obaj mogą zginąć.

Na taką chwilę przygotowywałem się każdego dnia w złotych komnatach i na przestronnych dziedzińcach zamku Valfathera. Nie żeby walczyć z Gigantami Zimy i Starej Nocy czy z Angronitami, posyłając strzałę za strzałą w ich zwrócone ku górze twarze, kiedy Chmura galopowała nad ich głowami.

Wreszcie nadeszła próba, decydująca bitwa, ku której zmierzało moje życie, a ja poczułem radość, na którą zapracowałem potem, fortem i ciężkimi razami. Służyłem Valfatherowi, a służba u niego napełniała mnie błogością i uniesieniem. Trzymałem w ręku kopię, którą sam wyciąłem z kolczastej pomarańczy, a u mego boku wisiał Eterne. Przy siodle zawiesiłem topór o podwójnym ostrzu, który zakupiłem, spodziewając się turnieju, tak ostry, że już lekkie cięcie rozłupałoby kość.

Chmura czytała moje myśli, jak zwykle, i pogrzebała kopytem w ziemi, prężąc kark. Nie oddzielała nas barierka jak przy pojedynku na kopie, bo to już nie był pojedynek, ale wojna.

Mój przeciwnik czekał po drugiej stronie dziedzińca na rumaku wyższym niż mój o dwie dłonie - jej przeciwnik, a nie mój - przykrytym czarnym czaprakiem ozdobionym po bokach srebrnym herbem Morcaine, fantastycznym wizerunkiem syreny, który łączył herby jej matki, Setra i króla.

Nykr Król Herbowy wyjechał na środek dziedzińca, a z nim członek świty, który powtarzał jego słowa, tak by wszyscy je usłyszeli. Panowała jednak głucha cisza i jego powtórki nie były konieczne. Tak więc pominę i przekażę tylko słowa Nykra Króla Herbowego.

- W dniu dzisiejszym spotkają się w Próbie Sił szlachetni rycerze Jej Wielce Królewskiej Mości Królowej Gaynor i Jej Wysokości Księżniczki Morcaine.

Szum cichych rozmów, jaki dał się słyszeć, szybko ucichł, gdy zaraz młody urzędnik powtórzył słowa Nykra Króla Herbowego.

- Jej Królewska Mość Królowa Gaynor występuje jako strona

pokrzywdzona. Jej rycerzem jest sir Able z Czerwonego Dworu, rycerz z Sheerwall.

Tak jak poprzednio młody urzędnik powtórzył głośno jego słowa.

- Jej wysokość Księżniczka Morcaine jest stroną krzywdzącą.

Nykr Król Herbowy zamilkł na moment i spojrzał na wierzchowca bez jeźdźca.

- Jej rycerzem - który się tu zjawi - będzie sir Loth z Narrowhouse.

Z prawej strony usłyszałem, jak jeden rycerz mówi do drugiego: „Loth? On nie żyje”. Ktoś inny powiedział: „To był Loth of Noriholding”.

Dopiero wtedy zrozumiałem, kim ma być mój przeciwnik.

Zjawił się niebawem: jego martwą twarz zasłaniała przyłbica, a na jego tarczy widniał czarny łos na białym polu. Wtedy i ja założyłem swój hełm z białą chustą królowej powiewającą z czarnego smoka, który stanowił mój grzebień.

- Na dźwięk trąbki zawodnicy się przygotowują. Na drugi wszyscy poza walczącymi i ich giermkami mają opuścić pole.

Poszukałem wzrokiem giermka sir Lotha i ujrzałem chłopaka tylko trochę starszego niż Wistan. Oparty plecami o barierę wydawał się ogromnie przerażony.

- Na trzeci sygnał walczący rozpoczną pojedynek. Do walki nie wolno się mieszać ani ich giermkom, ani nikomu innemu. Giermek może przyjść w sukurs swojemu rycerzowi dopiero wtedy, gdy ten się podda. Obowiązuje prawo łaski. Kiedy któryś z walczących poprosi o nie, jego giermek może pomóc mu wstać i podać mu broń. Nic więcej. Niech rycerze podniosą kopie na znak, że aprobuja warunki.

Wykonaliśmy jego polecenie.

- Niech giermkowie podniosą prawe dłonie.

Mimo iż dzieliła nas odległość długiego strzału z łuku, zobaczyłem, jak bardzo trzęsie się dłoń giermka Lotha.

Młody urzędnik, który powtarzał słowa Nykra Króla Herbowego, przyłożył trąbkę do ust i zagrał. Usadoviłem się w siodle i ścisnąłem mocniej kopię. Czy powinniśmy najechać na siebie prawą stroną na prawą? A może lewą na lewą (tak jak w walce na kopie)? Albo natrzeć koniem na konia? Wszystkie te pytania, które pojawiły się w moim umyśle, pochodziły od Chmury. Odpowiedziałem jej: „lewą na lewą”.

Trąbka zabrzmiała po raz drugi. Stojący przy mnie Wistan powiedział



cicho:

- Niech cię Thunor prowadzi, sir Able.

Może wypowiedział to w złym momencie, ponieważ w chwili gdy skończył mówić, słońce zasłoniła chmura tak ciemna, że wydawało się, iż obaj z czarnym rycerzem walczyliśmy w nocy. Jego biała tarcza i biała opończa unosiły się upiornie nad prawie niewidocznym rumakiem.

Trąbka zabrzmiała po raz trzeci. Nawet nie zdążyłem dotknąć piętami boków Chmury.

Loth złamał kopię na mojej tarczy. Moja przeszła jego pierś i wysadziła go z siodła. Wyciągnąłem ją, nie zatrzymując się, dlatego większość z patrzących jakby się nie zorientowała, co się stało.

Powinien był działać powoli, ale tak nie zrobił. Dosiadł swojego konia, kiedy Chmura zawróciła, i dobył miecza. Czubek mojej włóczni ześliznął się po jego hełmie, a nasze konie natarły na siebie. Runął na ziemię. Zawróciłem konia i zaatakowałem po raz trzeci. Stał jak duch, a z jego rany sączył się trupi wysięk, ja zaś spróbowałem przebić go po raz trzeci i wbić mu kopię między żebra, by go zablokować, a potem dobić mieczem, zanim zdąży się uwolnić. Plan był dobry, ale się nie udał. Loth odbił moją kopię tarczą, a potem jego miecz dokonał tego, co wydawało mi się, że tylko Eterne może zrobić: przeciął moją kopię z taką samą łatwością, z jaką drwal kładzie młode drzewko.

Zadrzałem o los Chmury. Podczas turnieju żaden prawdziwy rycerz nie atakuje konia, w bitwie natomiast jest inaczej, tak więc ujrawszy wzniesiony miecz, domyśliłem się jego zamiaru. Chmura gotowa była go stratować i wyraźnie mi to oznajmiła, a ja prawie się zgodziłem.

- Zaatakuję przednie kopyto - ostrzegłem ją - i będzie po tobie.

Zsunąłem się z jej grzbietu i stanąłem naprzeciw niego.

Jego miecz rozłupał moją tarczę tak mocno, że jego ostrze zatrzymało się dopiero na kolczudze na moim ramieniu. Wykonując obrót tak szybko jak tylko potrafiłem, wyrwałem mu miecz z martwej ręki. Mój topór uderzył w jego hełm i wtedy on się przewrócił.

Wydał głośny jęk. Był to odgłos nabrzmiały śmiercią, odgłos płynący zimą z pustych grobów, wycie wiatru, który pozostawia ciała żebraków na ulicach Kingsdoom, i wycie wilków, których zęby rozrywają ich ofiary.

Odwróciłem się i odszedłem, a gdy zobaczyłem Nykra Króla Herbowego, któremu wciąż asystował młody urzędnik, oznajmiłem im, że mój przeciwnik

prosił o łaskę, a ja przystałem na jego prośbę.

Wistan przyniósł mi nową tarczę, którą przywieźliśmy z Czerwonego Dworu, wciąż obitą materiałem, który zasłaniał złotego lwa Ravda. Wziąłem od niego tarczę i widząc, że giermek Lotha za nic w świecie nie ruszy się z miejsca, by podać broń swojemu rycerzowi, poleciłem Wistanowi, aby pomógł mu wstać i dał mu jakąś broń.

- Nie mam nic, sir Able, poza własnym mieczem.

- Daj mu go - odpowiedziałem. Kiedy Wistan pospieszył wykonać moje polecenie, razem z młodym urzędnikiem wyciągnęliśmy z mojej tarczy miecz Lotha, którego ostrze utkwilo ciasno w wierzbowych warstwach.

Wistan pomógł wstać Lothowi i podał mu miecz. Kiedy wrócił do mnie blady i drżący, podałem mu miecz Lotha, oręż z hartowanej stali, i powiedziałem:

- Jest twój. Sprawdź, czy zmieści się w twojej pochwie.

Potem wróciłem do Lotha gotowy do dalszej walki. Martwy rycerz cofnął się, uniósł miecz, który dostał od Wistana, i znowu zawołał. Kiedyś wcześniej słyszałem, jak rybacy płynący w łodziach nawoływali się, i choć ten okrzyk zabrzmiał smutno, a tamten nie, to domyśliłem się, że wyrażał to samo, że wzywa innych na pomoc.

Niewiele o tym myślałem, raczej tylko, że muszę szybko zaatakować i pozbyć się go, zanim nadejdzie jego pomoc. Spróbowałem i przekonałem się, że mój topór wyłupał mu oko, tak więc przycisnąłem go, przesuwając się na prawo. Lecz on walczył równie zręcznie jak żywy rycerz i przyjmował ciosy, które powaliłyby żywego mężczyznę; walczył w padającym śniegu i w ciemności, a potem gdy stracił rękę, w której trzymał miecz, odrzucił tarczę i przełożył miecz do drugiej ręki, podczas gdy jego odcięte ramie pełzło w moją stronę, by złapać mnie za kostkę.

Przybyli zmarli, których wezwał, choć nie wiem, czy z grobu, czy z grobowca nad ziemią, jedni dopiero co zabici, inni martwi od tak dawna, że Morcaine z trudem potrafiła ich ożywić. Wszyscy gapie uciekli, na co nie zwracałem większej uwagi.

Ponieważ odrzuciłem topór i wyciągnąłem Eterne, zaraz nadeszła i moja pomoc; zjechali galopem z ośnieżonego nieba. Obłok przesunął się i znowu zaświeciło słońce, roziskrzając świeży śnieg, i zmarli zwarli się ze zmarłymi w walce o honor żyjącej królowej. Wistan, Pouk i Uns walczyli u mego boku, a Chmura wierzyła i tratowała moich wrogów, a pewnie by ich i bodła,

gdyby jej róg był większy; także Gylf większy i straszniejszy niż najogromniejszy lew szalał pośród moich wrogów.

Słońce stało jeszcze wysoko, kiedy walka dobiegła końca. Wytarłem klingę Eterne w co się dało i wyrzuciłem materiał, gdyż cuchnął grobem, i dopiero wtedy schowałem miecz do pochwy. Zobaczyłem, że Arnthor siedzi na swoim tronie nieporuszony, trzymając w ramionach omdlewającą Gaynor, a obok niego uśmiechała się Morcaine. Przed nimi stało pięciu rycerzy z obnażonymi mieczami; rozpoznałem w nich pięciu najznamienitszych, jakimi szczylił się Thortower, co potwierdzili tamtego dnia, a byli to: Marc, Lamwell, Gerrune, Rober i Oriel.

- Wygrałeś, sir Able - zawołała Morcaine - a wraz z tobą moja szwagierka. Cofam swoje słowa. - Jej usta uśmiechały się, a w jej oczach czała się mroczna żądza.

- Przyłączysz się do nas przy stole dziś wieczorem? - dodał Arnthor. - Chętnie porozmawiam z tobą. - Także i w jego oczach czała się burzowa ciemność smoków.

Przyklęknałem na kolano i odpowiedziałem:

- Chętnie, Wasza Królewska Mość.

## ROZDZIAŁ 33

### **W PODZIEMIACH THORTOWER**

Uns został ranny; wyglądał na słabego, bo jego rana wsysała powietrze, zanim ją opatrzyliśmy.

- Widzę dobrze, sar. Widzę dobrze, sar. - Tylko tyle powiedział, zanim zamknął oczy. Nie mogłem go uleczyć, nie zdradzając Valfathera, ponieważ przysiągłem tego nie robić. Jednak czułem dużą pokusę i przykucnąłem przy Unsie, kładąc dłoń na jego głowie; być może wtedy wyszło ze mnie trochę uleczej mocy. Mam nadzieję, że tak.

Zanieśliśmy go do gospody i zostawiliśmy Pouka, żeby się nim opiekował, po czym obaj z Wistanem przygotowaliśmy się na spotkanie z Arnthorem i Gaynor, to znaczy wykąпалиśmy się w wodzie zagrzanej na ogniu i włożyliśmy najlepsze ubranie.

Wistan długo oglądał swój nowy miecz, a potem jeszcze raz wytarł i naoliwił jego brzeszczot; podziwiając rękojeść wysadzaną drogimi kamieniami, podsuwał ją pod światło, najpierw blasku słońca, a potem światło ognia i świec. Gdy już siedzieliśmy w siodłach, czyści i słodko pachnący, powiedział:

- Kiedy już zostanę rycerzem, opowiem swojemu giermkowi, jak walczyłem ze zmarłymi na Wielkim Dziedzińcu.

Skinąłem głową i ruszyłem kłusem.

- I o tym, jak walczyłem z Angronitami w Jotunlandzie ramię w ramię z Aelfami, dzięki czemu bardzo się wzbogaciłem.

- Bardziej chyba dzięki zakładom - powiedziałem. - Ci, którzy dzisiaj uciekli, wrócą jutro i będziesz mógł odebrać swoje pieniądze.

Przytaknął mi zamyślony.

- Pouk, mam nadzieję, zbierze pieniądze w imieniu Unsa, gdy tylko Uns poczuje się na tyle dobrze, że będzie go można zostawić samego na kilka godzin.

- Opowiem mu o tym wszystkim, a on uzna mnie pewnie za największego

kłamcę pod Skai. - Wistan roześmiał się.

- On szybko dojrzeje i zmądrzeje. A ty ile masz lat?

- Prawie osiemnaście. Niedługo zostanę rycerzem, a przynajmniej mam taką nadzieję.

- Już jesteś rycerzem. Tylko jeszcze nikt nie zwraca się do ciebie „sir Wistanie”.

- Powiedziałeś też coś takiego do Touga.

- Tak. Toug jest rycerzem, choć nie chce nim być. Ale to nie jest kwestia wyboru.

Wistan przytaknął mi, lecz nic nie powiedział.

- Nie rozumiałem, że kiedy byłem młody, pragnąłem zostać rycerzem i nim zostałem - nie dlatego, że tak chciałem, ale ze względu na to, co zrobiłem i jak myślałem. Dobro i zło także wybiera się przez myśli i decyzje.

- Tak jak księżniczka?

Nie pomyślałem o tym wcześniej.

- Nie tak jak księżniczka - odpowiedziałem. - Ona wybrała dobro, ale zło, jak się wydaje wybrało ją.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę, zanim opuścili nam most, a także później, lecz jedyną istotną uwagę poczynił Gylf, kiedy wprowadzono nas do sali:

- Zachowajcie czujność!

Oczywiście miał rację; jeśli w ogóle kiedykolwiek powinniśmy zachować czujność to właśnie wtedy; równie ważne było to, że zdecydował się przemówić w obecności Wistana. Nie chodziło tylko o to, że nazwałem Wistana rycerzem albo że walczyli razem, raczej jedno i drugie, i coś jeszcze. Gylf umiał trafnie ocenić charakter człowieka.

Widziałem wcześniej wielką salę Gillinga w Utgardzie; sala Arnthora wydawała się mniejsza, za to była lepiej umeblowana, a goście siedzieli na krzesłach i ławach z oparciami, a nie na stołkach. Na ścianach wisiały tarcze: te z wymalowanym herbem należały do sprawdzonych rycerzy, te z konturem herbu do mniej zasłużonych rycerzy, a tarcze bez herbu należały do tych jeszcze niesprawdzonych. Wcześniej postąpiłem zgodnie ze zwyczajem, wybierając pustą zieloną tarczę, choć nie byłem tego świadomy.

Arnthor i Gaynor mieli zasiąść przy ustawionym na podwyższeniu stole, królowa po jego prawej ręce, ja miałem zająć miejsce po jego lewicy, jak mi zapowiedział giermek, który nas tam zaprowadził, Morcaine zaś z mojej lewej. Wystarczyło popatrzeć na krzesła, by domyślić się takiego porządku;

krzesło Arnthora było całe pozłacane i wysadzone drogimi kamieniami, siedzenie Gaynor było mniejsze i bardziej delikatne, a krzesło księżniczki ozdobiono złoceniami tylko na samej górze, choć też było pięknie rzeźbione i wyściełane aksamitną poduszką. Moje było prostsze niż tamte, ale wcale nie pospolite, całkiem duże i ozdobione z tyłu oparcia podobizną Nykra. Wistana poprowadzono do niższego stołu, za to Gylf usiadł przy moim krześle.

- Trąby obwieszczają nadejście Jego Królewskiej Mości - mruknął paź. - Wszyscy stoją i czekają, aż on oznajmi, że można usiąść. Usiądź, jak tylko da znak.

Zasugerowałem, że mógłby udzielić mi kilku wskazówek, w jaki sposób jeść.

- Dobrze. Każdy z siedzących przy stole będzie miał swojego paza. Ja będę stał za tobą. Wystarczy, że zegniesz palec, jeśli będziesz chciał mi coś powiedzieć. Pomogę ci przy jedzeniu albo zaniosę wiadomość.

Kiedy rozmawialiśmy, zaczęli wchodzić inni goście, chyba ze sto osób. Zapytałem paza, jak mam się zachowywać.

- Nie odzywaj się, dopóki pierwsi nie zwrócą się do ciebie - mam na myśli członków rodziny królewskiej. Najpierw obsłużą Jego Królewską Mość, potem Jej Królewską Mość i Jej Wysokość, a na końcu ciebie. Nie jedz i nie pij zbyt dużo. I nie śmieję się, zanim nie zrobi tego Jego Królewska Mość.

Zacząłem żałować, że nie ma przy mnie lorda marszałka. Chciałem go zapytać, dlaczego Morcaine stoi w hierarchii za królową, skoro mogłaby domagać się korony po śmierci króla. Marszałek siedział przy niższym stole oddzielony ode mnie dwiema osobami.

Siedzący bliżej mnie, sądząc, że patrzę na niego, pogratulował mi zwycięstwa.

Podziękowałem mu, tytułując go „panem”, w tedy paź podpowiedział mi szeptem: „Wasza Miłość”.

Księżę zignorował paza i moją pomyłkę, ponownie zwracając się do mnie:

- Chciałbym wiedzieć, sir Able, w jaki sposób Jej Królewska Mość znalazła rycerza na tyle śmiałego, że odważył się stawić czoła tym, z którymi walczyłeś.

- Nie wątpię, że macie takich wielu w Celidonie, Wasza Miłość - odparłem.

- Jestem zaskoczony, że znalazła jednego. Przydasz nam się, kiedy

zaatakuję Caan.

Uniosłem brwi.

- Spodziewasz się wojny, Wasza Miłość?

- Tak, w ten sposób zdobywa się reputację proroka. Trzeba przybrać mądrą minę, przepowiedzieć wojnę, a zawsze będziesz miał rację. Jesteś jednym z rycerzy Mardera?

- Tak, Wasza Miłość. Mam ten zaszczyt.

- Zapytam o ciebie, kiedy się z nim spotkam. Ja...

Zagrały trąby. Wstaliśmy, a ci, którzy nie stali przodem do drzwi, odwrócili się w tamtą stronę. Pierwszy wszedł Arnthor, wysoki, wyprostowany, szedł szybko, podczas gdy młodszy urzędnik, który wcześniej asystował Nykrowi Królowi Herbowemu, przedstawił go z imienia i z tytułów: „Jego Wielce Królewska Mość Król Arnthor Obrońca Zachodu” i tak dalej. Za nim szła Gaynor. Oczywiście była o wiele niższa, lecz śliczna w aksamitnej szacie i w wysadzanej diamentami koronie z czerwonego złota. Dwóch paziów niosło za nią tren.

- Jej Wielce Królewska Mość Królowa Gaynor, księżna Daunte, hrabina Chaus, hrabina...- Zapomniałem nazwy tego miejsca z dwunastoma baroniami.

W porównaniu z bogactwem stroju Gaynor Morcaine bardziej przypominała mężczyznę; równie wysoka jak jej brat, ubrana była w czarno-szkarłatny strój, a jej tren niósł tylko jeden paź.

- Jej Wysokość księżniczka Morcaine, córka Uthor, księżna Ringwood...

Uśmiechnęła się do mnie, tylko ona, a ja odpowiedziałem jej uśmiechem, mimo iż nie wiedziałem, jakie żywi zamiary.

Przez cały czas szukałem w umyśle wiadomości, którą miałem przekazać. Wcześniej Arnthor rozmawiał ze mną na dziedzińcu, lecz nie pojawiła się. Tutaj, w jego wielkiej sali, zobaczyłem go, a on mnie, ale nie znalazłem w sobie niczego poza czułymi myślami Chmury, która czekała cierpliwie w stajni i zapewniła mnie, że jest traktowana po królewsku i bardzo podziwiana przez stajennych.

Arnthor zajął swoje miejsce i od razu usiadł. Gaynor stała z jego prawej strony, zdenerwowana i niespokojna, jak mi się zdawało. Z mojej lewej strony podeszła do stołu Morcaine, ziejąca brandy, jakby należał do niej nie tylko Thortower, ale i cały Mythgarthr, i stanęła, chwiejąc się i uśmiechając, jakby spodziewała się oklasków. On był rzeczywiście królem, lecz i w żyłach

Morcaine płynęła królewska krew. I zaraz pomyślałem o czymś innym - że skoro w niej bardziej niż w nim widać królewskie pochodzenie, to krew, którą w nim widać, jest krwią smoka Muspelu.

Garsecg, brat obojga, posiadał królewskie maniere, lecz pozostał smokiem. Jeśli w sali Arnthora znajdował się ktoś, kto potrafił ziać ogniem, to z pewnością był to sam Arnthor.

Staliśmy jakąś minutę, a może trochę więcej. Wreszcie Arnthor wykonał ledwo dostrzegalny znak i usiedliśmy.

Natychmiast wniesiono jedzenie, a nastąpiło to tak szybko, że nie miałem wątpliwości, iż służący czekali przy bocznych wejściach. Szef kuchni postawił na naszym stole pieczonego łabędzia, a potem na znak Arnthora rozkroił go nożem niewiele mniejszym niż miecz. Gdy już łabędź został rozplątany, okazało się, że w jego wnętrzu umieszczono gęś, by upiekła się razem z nim, w gęsi zaś siewkę, a w niej kaczkę wypchaną trzema mniejszymi ptakami - wszystkie poza łabędziem były pozbawione kości.

Kucharz podsunął dwa najmniejsze (powiedziałbym, że była to przepiórka i drozd) w kierunku Arnthora, który odpowiedział skinieniem głowy. Wtedy kucharz natychmiast odkroił! po kawałku z każdego i zjadł oba. Arnthor ponownie skinął głową, a wtedy podano mu oba ptaki.

Potem była kolej Gaynor, której kucharz pokazał ptaka schowanego w kaczce. Kiedy pokręciła głową przecząco, dostała kaczą pierś. Morcaine nic nie chciała zjeść. Ja pokazałem na ptaka, którego odrzuciła Gaynor, chcąc się przekonać, co to takiego, a także pokazać, że jeśli ona boi się trucizny, to ja jestem gotów zaryzykować dla jej dobra. Okazało się, że jest to kuropatwa, przepyszna i zupełnie niewinna.

Gdy już kucharz poszedł sobie, Arnthor odciął nogę łabędzia własnym sztyletem i podniósł ją do góry.

- Mamy w zwyczaju obiadować w towarzystwie swoich psów - zwrócił się do mnie. - Co jest ci zapewne wiadome, skoro przyprowadziłeś swojego.

Skinąłem głową.

- Powiedziano mi, że nie obrażę nikogo, zabierając go ze sobą, Wasza Królewska Mość. Mam nadzieję, że nie zostałem źle poinformowany.

- Ależ nie. - Uśmiechnął się. - Zobaczysz moje ogary.

- Już je widziałem, Wasza Królewska Mość. Imponujące zwierzęta.

- Rzeczywiście. - Zagwizdał i natychmiast przybiegło do niego kilka czarnych brytanów, które najeżyły sierść, nie przestając warczeć na Gylfa. -



Imponujące nie tylko jeśli chodzi o wygląd, ale także w akcji. Poluję na odyńce, sir Able, albo i na większą zwierzynę, jeśli się trafi. Tych, którzy zostają z tyłu, karzę topić.

- Myślistwo to szlachetna rozrywka, Wasza Królewska Mość - powiedziałem.

- Ja bym powiedział, że wojna, a wielu tutaj, że turniej. W tym względzie każdy mężczyzna ma prawo mieć własne zdanie.

Gaynor, która przez cały czas wyglądała na przestraszoną, zbladła jak ściana. Bardzo chciałem się przekonać, czy Morcaine wciąż się uśmiecha, lecz nie odważyłem się spojrzeć w jej stronę.

- Czy twój pies odczuwa głód, sir Able?

- Tak myślę. Wasza Królewska Mość. Doświadczenie mówi mi, że zwykle jest głodny.

Arnthor ponownie podniósł łabędzie udo.

- Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli mu to podsunę? Wiem, że niektórzy nie lubią, gdy się karmi ich psy.

- Byłby to zaszczyt dla niego i dla mnie.

- Skoro tak mówisz. - Uśmiechając się, Arnthor rzucił Gylfowi udo, a ten chwycił je wprawnie w pysk. Pozostałe psy otoczyły go warcząc i klapiąc zębami. Wtedy Gylf opuścił udo na ziemię, przycisnął je łapą i ryknął tak, że aż się zatrzęsała powała. Ogary Arnthora podkuliły ogony i uciekły. W ciszy jaka zapadła, słychać było tylko chrzest miażdżonych kości łabędzia.

Zabrałem się za jedzenie i zdążyłem zjeść do połowy swoją kuropatwę, gdy usłyszałem śmiech Morcaine.

- Hodują je w surowym warunkach w Jotunlandii, czy nie tak? - W tym momencie pozostali goście zajęli się jedzeniem i rozmową.

- Być może, Wasza Królewska Mość - powiedziałem.

- Czy nie tam go dostałeś?

- Nie, Wasza Królewska Mość. W lasach naszego Celidonu. To dar od Bodachanów.

Teraz jej oblicze przypominało twarz jej brata, choć nie potrafię tego opisać. Kiedy znowu się odezwałem, zwróciłem się do niego, choć zrobiłem to zupełnie nieświadomie:

- Bo widzisz, przynoszę wieści od Królowej Disiri, królowej Aelfów Mchu, króla Ycera, króla Aelfów Lodu i króla Brunmana, króla Bodachanów. To właśnie Bodachanowie podarowali mi go, by mi

towarzyszył w mojej misji.

- Pierwszy raz słyszę o jakiejś wiadomości - rzekł Arnthor.

- Właśnie ją przynoszę, Wasza Królewska Mość. Wypełniała znaczną część mojego życia, choć w Mythgarthrcie nie trwało ono zbyt długo. Miałem dotrzeć do ciebie, co więcej, miałem zostać przyjęty jako ten, kogo chętnie wysłuchasz, jest siedem światów, Wasza Królewska Mość, a tak są one usytuowane, że ten najwyższy, w którym panuje Najwyższy Bóg i w którym nie istnieje nic nieczystego, jest większy niż pozostałe. Świat pod nim...

- Co? Przybyłeś tu, żeby udzielać mi lekcji na tematy metafizyczne?

- Jest mniejszy, a jednocześnie większy niż suma wszystkich pozostałych. Zamieszkujące je skrzydlate istoty nie są idealnie czyste, ale tak bliskie tego stanu, że wolno im służyć Najwyższemu Bogu, podobnie jak szlachetnie urodzeni w twoim królestwie służą tobie.

- Lepiej, mam nadzieję.

- Niżej znajduje się świat zwany Skai. My, z Mythgarthru, którzy myślimy, że świat ten jest wielki, uważamy go za przepastny świat, gdyż rozciąga się dalej niż cztery inne poniżej niego ustawione obok siebie. Zawiera on wiele rzeczy i wiele ludów, lecz jego prawowitymi właścicielami są Overcyni - Valfather i jego królowa, ich synowie, córki oraz ich rodziny. Im oddaliśmy swoje serca. Im oddajemy cześć, kiedy czynimy to z głębi serca.

- Miałem zamiar wypytać cię o twoje zwycięstwo - powiedział Arnthor.

- Pod nimi znajduje się nasz ludzki świat. Jesteśmy jego prawowitymi mieszkańcami. Pod nami leży mniejszy świat Aelfrice, mniejszy niż nasz, lecz piękny. Tam mieszka królowa Disiri i królowie, których wymieniłem, monarchowie, których jestem posłańcem. W ich to królestwie Najwyższy Bóg umieścił liczny lud zwany Kulili. Tak jak my czcimy Overcynów, tak Kulili miała czcić nas, i to robiła, sama zaś była czczona przez smoki Muspelu. Lecz Kulili zapragnęła mieć bliższych poddanych i uczyniła ich na nasze podobieństwo, przedmiot swojego uwielbienia, tak by była kochana przez tych będących odbiciem istot, które kochała. Tak więc uczyniła ich i domagała się od nich wdzięczności. Wtedy oni odmówili i wypędzili ją do morza.

Do tego czasu ucichły już wszystkie rozmowy. Tylko Arnthor wyrażał chęć przerwania mi.

- W ten sposób zostali mieszkańcami Aelfrice, roszcząc sobie do niego prawo na mocy zawładnięcia ziemi. Najmądrzejsi spośród nich czczą nas, wiedząc, że było to życzenie Tego, Który Uczynił Siedem Światów, Najwyższego Boga. Głupcy zaś, widząc naszą próżność i chciwość, a także okrutność, odwrócili się od nas i zaczęli czcić smoki, co przyniosło wiele szkody, ponieważ nawet najlepsze z nich wciąż pragną więcej władzy.

- Masz smoka w swoim herbie - zauważył Arnthor. - Czyś zapomniał, że i ja pochodzę od innego?

- Nie, Wasza wysokość. Nie zapomniałem też, że dzieciństwo spędziłeś wśród Aelfów Morza, i że nosisz w herbie Nykra, by w ten sposób ich uhonorować. Także królowie i królowe, o których wspomniałem nie zapomnieli tego, dlatego ośmielają się przemówić do ciebie, prosząc, byś ponownie nadał postać naszemu ludowi. Kulili ich uformowała. Wasza Królewska Mość. Wiedzą, że możesz ich odmienić, czyniąc ich silnymi, ale litościwymi, lecz mimo to sprawiedliwymi. Czy wolno mi mówić za siebie, Wasza Miłość?

Skinął głową.

- Jak najbardziej po tym, co usłyszałem.

- Mieszkałem w północnych lasach, Wasza Królewska Mość, niedaleko Irringsmouth. Teraz to już tylko ruiny.

Jeszcze raz mi przytaknął.

- W tamtejszych lasach grasowali rozbójnicy, którzy nazywali siebie Wolnymi Drużynami. Są równie okrutni i rządni łupu jak smoki, mimo to wielu wiwatuje na ich cześć, ponieważ napadają na twoich poborców podatkowych i czasem próbują bronić ludzi przed Angronitami. Wasza Królewska Mość, pozwól tym ludziom utworzyć drużyny naprawdę wolne, a nie drużyny rozbójników. Naucz ich, jak mają się uzbroić i jak wybrać rycerzy spomiędzy siebie. Twoi poborcy podatkowi rzadko tam przybywają, lecz gdy już się zjawiają, to zabierają wszystko, bo twój lud tam jest biedny i nieliczny. Nałóż na nich podatek, ale niech będzie stały, taki, który ich nie zrujnuje. Pomóż im i chroń ich, a przekonasz się, że będą się bogacić i rozmnażać każdego roku, i staną się silnymi przyjaciółmi tronu. Królowa Disiri i królowie, którzy mnie tu przysłali...

- Nie mają żadnego prawa do twego posłuszeństwa - powiedział Arnthor. - W przeciwieństwie do mnie. Czy zdrada i bunt to reformy, do jakich mnie namawiasz?

- Nie, nigdy. - Jego spojrzenie mówiło, że poniosłem porażkę, mimo to podjąłem jeszcze jedną próbę. - Król Skai sprawuje rządy jak ojciec, Wasza Królewska Mość, dlatego też nazywamy go Valfatherem i poczytamy sobie za honor mu służyć, nawet jeśli wiąże się to z nieuchronną porażką. Aelfy proszą cię, byś był jak on.

Arnthor uniósł dłoń.

- Zdejmij pas, sir Able. Oddaj swojemu królowi pas, miecz i całą broń.

Usłyszałem głośny oddech Gaynor, ale wykonałem polecenie.

- Możesz zatrzymać ostrogi. - Przywołał dwóch rycerzy i powiedział im, gdzie mają mnie odprowadzić. Prowadzili mnie, trzymając przed sobą obnażone miecze, niepotrzebnie.

\* \* \*

- Tu już królewska uczta się skończyła - powiedział jeden z rycerzy, którzy odprowadzili mnie do lochów. Schował miecz do pochwy i podał mi dłoń. - Jestem sir Manasen.

Drugi także uścisnął mi rękę.

Rozmawialiśmy chwilę, a potem zjawił się dozorca więzienny i Manasen oznajmił mu, że na rozkaz króla mam zostać wtrącony do celi, ale że ma mnie dobrze traktować, i zaraz dodał, że przyśle służącego z jedzeniem, kocami i świeżą słomą.

Potem zostałem zamknięty w celi o ścianach wykutych w skale, śmierdzącej, ciasnej i bardzo ciemnej. Siedziałem tam sam przez jakieś osiem godzin. Przez cały ten czas powtarzałem sobie to wszystko, co udało mi się przekazać z mojej wiadomości, i zastanawiałem się nad tym, czego nie powiedziałem, usiłując wyobrazić sobie, w jaki sposób mogłem przemówić lepiej.

Na szczęście moje rozmyślania przerwało przybycie służącego Manasena, który przyniósł jedzenie, ogromną wiązkę świeżej słomy i dzban wina. Kiedy już wszystko dostarczył, zaczął się wyklócać z dozorcą więziennym, domagając się dla mnie celi z oknem. Ten jednak zdecydowanie odmówił, twierdząc, że taka cela należy się więźniom szlachetnie urodzonym.

Słuchałem ich rozmowy niezbyt uważnie, lecz zorientowałem się w sytuacji i postanowiłem, że zdobędę taką celę, gdy tylko nadarzy się okazja.

Nie zdążyłem zjeść zbyt dużo i teraz umierałem z głodu. Jedzenie, które przysłał mi Manasen, było proste - pieczona wołowina, chleb, kawał sera i jabłko - ale dobre i stanowiło obfity posiłek, tak więc zjadłem wszystko.

Ogryzałem jabłko, gdy zjawił się dozorca więzienny. Był krzepkim mężczyzną uzbrojonym w żelazny klucz długością dorównujący mojej goleni, ale wiedziałem, że bym go pokonał, gdybym chciał. Usiadł bez zaproszenia, położył klucz przy mnie na podłodze, a obok niego postawił latarnię i zapytał, czy może napić się wina. Nalałem mu do dużego kubka.

- Chwalą cię tam na górze.

- Przynajmniej sir Manasen i sir Erac byli dla mnie mili.

- Dobrze jest mieć przyjaciół, kiedy się siedzi tu na dole. - Powiedział to dobitnym głosem.

Przytaknąłem mu.

- Wszędzie dobrze jest mieć przyjaciół. Miałem wielu przyjaciół w Jotunlandzie, a jeszcze więcej w Skai.

Przemilczał wspomnienie Skai.

- W lodowej krainie? Naprawdę tam byłeś?

- Tej zimy. Ale wierz mi, ucieszyłem się, gdy opuściłem tamto miejsce.

- Czy tam wszystko jest duże? Duże krowy i tak dalej?

- Nie - odpowiedziałem - tylko ludzie, i to nie wszyscy, ponieważ Angronici mają niewolników ludzi. Utgard też ma swoje lochy. Nie byłem w nich więziony, ale zszedłem, żeby je zobaczyć. Nie wiem, jak duże są wasze lochy, ale przypuszczam, że tamte były większe, ponieważ więziono w nich Angronitów. Z pewnością wyglądały gorzej niż to, czego dotąd tutaj doświadczyłem.

Napił się mojego wina.

- Chciałbym je zobaczyć.

- Może kiedyś zobaczysz. Jak już mówiłem, to było straszne miejsce, ale niewielu więźniów tam widziałem. Dowiedziałem się, że król Gilling zwykle skazywał na śmierć tych, którzy mu się przeciwstawiali.

Dozorca więzienny pokręcił głową.

- Tu jest inaczej, ale też nie jest pełno.

- Niektóre z twoich cel mają okna. Chciałbym taką.

Dozorca wyprostował się.

- To niemożliwe, sir. Tylko dla szlachetnie urodzonych.

- Jestem rycerzem.

- Wiem, ale to nie wystarczy.

- Mógłbym trochę zapłacić.

- Mieliśmy o tym porozmawiać, kiedy skończę pić wino. - Opróżnił kubek.

Dolałem mu resztę z dzbana.

- Widzisz, jednych traktuje się tak, innych inaczej. Rozumiesz, co mam na myśli. Ale masz przyjaciół. Kiedy przyniósł słomę i żarcie, nie protestowałem, musisz to przyznać. Wpuściłem go bez żadnych obiekcji, zgadza się?

- Oczywiście, i bardzo to doceniam.

- Wiem. Jesteś rycerzem i dżentelmenem, co każdy może zauważyć. Ale ja nie musiałem. Mogłem go pogonić. Mogłem powiedzieć, żeby zdobył pozwolenie lorda marszałka, a wtedy zobaczymy. Jego pan zdobyłby nakaz w dzień lub dwa, ale gdyby zlecił to lokajowi, nigdy by go nie dostał.

Przytaknąłem mu.

- Nie mam nic przeciwko tobie, ale jestem biedny. A biedak, sir, nie może być miły za nic.

Jego latarnia, co powinienem był powiedzieć wcześniej, oświetlała otwarte wejście do mojej celi, rzucając żółte światło na ścianę. Przez chwilę coś ogromnego, ciemnego i cichego zasłoniło ścianę i znikło.

Zapytałem, ile kosztuje jego uprzejmość.

- Za ledwie tarczyną na miesiąc, sir. To chyba nie dużo, co, sir? Za jednego tarczyna - w srebrze, ma się rozumieć - przy każdej pełni księżyca, sir, będę miły i pomocny. Ale celi z oknem nie mogę ci dać. Za żadną cenę, sir. To jest sprawa lorda marszałka. On nie pozwoli.

- Pozwoli. Często tu schodzi?

- Co dwa tygodnie, sir, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

- Wystarczy. Mamy pełnię księżyca, prawda? Chyba dobrze zauważyłem poprzedniej nocy?

Dozorca więzienia oblizał się.

- Tak, sir. Mamy pełnię.

- A zatem czas mojej pierwszej zapłaty.

- Tak, sir. Jak zawsze. Liczę od nowiu, sir, czasem od kwadry albo jak wypadnie.

- Rozumiem. - Skinąłem głową. - W berle są dwadzieścia cztery tarczyny, zgadza się?

- Jasne. - Dozorca więzienia oblizał się.

- Potrafisz dotrzymać słowa? Słowa honoru?

- A jakże, sir. Staram się, sir.

- Tyle wiemy. Jestem sir Able - wiesz to. A jak brzmi twoje prawdziwe imię?

- Fiach, sir. Do usług.

Wyjąłem jedną z dużych monet Jotunlandzkich.

- Ta moneta ma w sobie więcej złota niż tarczyn. Nie wiem, ile, ale powiedziałbym, że ma wartość dwudziestu czterech tarczynów. Zgodzisz się ze mną?

- Muszę ją najpierw obejrzeć, sir.

Podąłem mu monetę. Wytarł ją o rękaw, a potem przybliżył do latarni, aż złoto zaświeciło, po czym sprawdził monetę zębami i dopiero wtedy mi ją oddał.

- Wygląda na dobrą, sir. Spróbuję coś zrobić.

Potrząsnąłem głową.

- Zaproponuje ci umowę. Jesteś miły za tarczyna na miesiąc, a zatem ta moneta jest warta dwóch lat. Albo i więcej, ale my zgodziliśmy się na dwa lata. Dam ci ją w zamian za twoją uprzejmość podczas mojego pobytu tutaj. Trzy lata albo pięć. Ale jeśli uwolnią mnie za tydzień, nie będziesz mi nic winien. Złoto będzie twoje i rozstaniemy się jak przyjaciele.

Pokręcił głową przecząco.

- Dlaczego nie?

- My tu tak nie robimy.

Westchnąłem.

- Ty i inni dozorczy?

Wstał i podniósł swój klucz i latarnię.

- Nie rozumiesz, jak to jest. Daj mi tarczyna.

- Nie mam go przy sobie. Zostawiłem pewną sumę mojemu giermkowi.

Da ci monetę, jeśli pozwolisz mu tu przyjść,

Dozorca chrząknął, ruszył do drzwi, ale zaraz się odwrócił.

- Daj mi monetę a ja przyniosę ci tarczyny, tak jak powiedziałem.

Potrząsnąłem głową.

- Myślisz, że przyjaciele cię popierają. Wiem, jak to jest. Przez jakiś czas będą tu przychodzić. A potem przestaną, i już. - Swoim kluczem pokazał na sakiewkę zawieszoną u mojego pasa.

Miałem ochotę powiedzieć mu, że ucieknę, zanim to się stanie. Może powinienem był mu to powiedzieć.

- Lepiej wyliz te naczynia, bo to ostatnie dobre żarcie, jakie zobaczysz przez najbliższe lata.

Nic mu nie odpowiedziałem.

- Daj mi tę monetę, a ja zaniosę ją do handlarza. Jeśli potwierdzi, że jest dobra, dostaniesz dwadzieścia z powrotem. I moją przychylność.

Zamilkł, lecz ja nic nie odpowiedziałem, tak więc po chwili odezwał się znowu:

- Będzie nasza, nim minie rok, i już więcej nie zamierzam strzepić sobie języka.

Zamknął za sobą drzwi i przekręcił ogromny klucz. Nie mogłem się zdecydować, czy zawołać na Orga, żeby go oszczędził, czy też żeby się nim zajął; ostatecznie nic nie powiedziałem.

Słyszałem, jak Fiach odchodzi, przeszedł sześć, może siedem kroków; a potem słyszałem już tylko chrzęst jego kości.

Kiedy już Org posilił się, kazałem mu otworzyć drzwi i schować klucz, po czym wyszedłem, żeby zbadać lochy.



## ROZDZIAŁ 34

### **MÓJ NOWY MIECZ**

Tamtą noc przespałem w celi i żałowałem (szczerze mówiąc), że nie mogę się w niej zamknąć. Śniło mi się, że jestem na pokładzie Zachodniego Kupca. (Sen ten powracał nie pierwszy raz od momentu mojego powrotu ze Skai). Ujrzałem bezwzględne, wychudzone twarze Osterlingów i wiedziałem, że zamierzają wylądować na Wyspie Glas i że jest tam moja mama. Udałem się do kapitana i rozkazałem mu zmienić kurs; nie widział mnie i nie słyszał, a kiedy zrzuciłem klepsydrę ze stołu, wróciła na swoje miejsce.

Obudziłem się cały roztrzęsiony i zobaczyłem, że jestem w lochu. Ponieważ nie chciałem, żeby sen znowu wziął mnie w swoje posiadanie, zacząłem rozglądać się za kocami.

W Sheerwall trudno było zejść do lochów, nie wychodząc na dziedziniec. W Thortower było inaczej; wcześniej odkryłem schody prowadzące do zamkniętych drzwi dębowych. Teraz wszedłem po nich, odsunąłem zasuwę i wyszedłem do zamkowej kuchni, gdzie kucharze i podkuchenni chrapali na paletach. Najwyraźniej tutaj przygotowywano racje dla więźniów, by później znieść je na dół. Zgasilem latarnię, postawiłem ją na stopniu i zamknąłem drzwi, najciszej jak potrafiłem, jeden z podkuchennych obudził się i spojrzał na mnie. Przyłożyłem palec do ust i kazałem mu się położyć; skinął głową i zaraz zasnął albo tylko udawał. Nie wiem, co sobie pomyślał o rycerzu, który grasuje po kuchni w środku nocy.

Wyszedłem z kuchni na przestronny korytarz, który prowadził do ogromnej sali balowej, w której siedziałem z Arnthorem, Gaynor i Morcaine. Zaciekawilo mnie wejście, którego używali; zobaczyłem, że jest przy nim lustro, największe jakie widziałem w Mythgarthricie. Tutaj (jak sądzę) król, królowa i księżniczka przeglądali się, zanim weszli do sali.

Przyszło mi coś do głowy, tak więc wziąłem z kuchni kawałek twardego mydła, zestrugałem je jak ołówek i napisałem na lustrze „Wasze myśli - nasze życia”, najpierw alfabetem Aelfrice, a potem u góry i u dołu pismem

Skai. Powróciłem do celi z ukradzionymi kocami i położyłem się spać; nawet jeśli coś mi się śniło, to był to zbawienny sen.

Przebywając tak głęboko pod ziemią, nie mogłem sprawdzać wschodu słońca, ale słyszałem, jak przyszli inni dozorczy więzienni i wołali Fiacha, uznałem więc, że jest rano. Wstałem i poprosiłem jednego z nich o ciepłą wodę i ręcznik. Wahał się przez chwilę, lecz ostatecznie mi odmówił.

- W takim razie sam sobie przyniosę - powiedziałem.

Roześmiał się i dołączył do pozostałych, którzy szukali swojego towarzysza. Kiedy się oddalił na bezpieczną odległość, udałem się do pokoju dozorców, nabrałem wody z cysterny, zagrzałem ją i zaniósłem do jednej z cel przeznaczonych dla szlachetnie urodzonych. W pokoju dozorców znalazłem czystą tunikę; umyłem się przy pomocy mydła, którego użyłem jako ołówka, i wytarłem tunikę, po czym wróciłem do mojej poprzedniej celi, zebrałem świeżą słomę i zaniósłem do nowej.

Okno w niej było małe i umieszczone wysoko, mimo to różnica była kolosalna! Dochodził do mnie blask słońca i zimowe powietrze było chłodne, ale w lochu panował chyba jeszcze większy ziąb. Owinięty w koc poczułem się całkiem wygodnie.

Co więcej, stojąc na misce, mogłem wyrzeć na zewnątrz. Widziałem głównie ziemię pokrytą zmarzniętym błotem i śniegiem i czasem jakąś świnię, mimo to przyglądałem się z zaciekawieniem.

Nie licząc sługi Manasena, moim pierwszym gościem była Uri. Zawołałem, a ona zjawiała się natychmiast, wyprostowana i spoglądająca na mnie lękliwie.

- Mógłbyś być teraz z królową Disiri, panie. Czy mam cię poprowadzić?

Wzruszyłem ramionami.

- Równie dobrze królowa Disiri mogłaby być ze mną.

- Jest królową, panie.

- A ja zwykłym dzieciakiem z Ameryki.

Spojrzała na mnie jeszcze bardziej przestraszona.

- Jesteś rycerzem, panie. Rycerzem z Mythgarthru.

- A nawet kimś więcej. Jestem jednym z rycerzy Valfathera.

- Ja n-nic o tym nie wiem, panie. Skoro tak mówisz.

- Myślałem, że gdy przekażę jej wiadomość królowi Arnthorowi, Disiri przyjdzie po mnie. Leżałem w celi, czekając na nią, i miałem nadzieję, że zobaczą ją dziś rano. Umyłem się i ubrałem, licząc, że przyjdzie.

- T-tak, panie.

- Czy w Aelfrice dzieje się coś, co mogłoby ją zatrzymać? Powstanie kogoś innego takiego jak Setr?

- Nic mi o tym nie wiadomo, panie.

- Objąłem ją, kiedy byłem w Czerwonym Dworze. W czasie Aelfrice to nie trwało długo, dzień lub dwa.

- Krócej, panie. Chodź ze mną do Aelfrice i zobaczmy. Boję się królowej, ale wiem, że mnie obronisz.

Pokręciłem głową.

- Wiesz, Uri, bawiliśmy się razem w dzieciństwie. Ja i Disiri. Teraz sobie przypominałem.

- Naprawdę, panie? - Jej głos zabrzmiał łagodnie.

- Tak. - Aż do tamtej chwili nie wiedziałem, że to pamiętam. - Myślałem, Uri, że odebrali mi wszystkie wspomnienia, tymczasem oni ukryli je pod tą wiadomością. Miała pałac, a jego wiezami były ogromne drzewa. Wokół rozciągał się ogród, ogród pełen polnych kwiatów, mchu i strumyków. Byłem od niej silniejszy, ale uważałem, żeby nigdy tego nie wykorzystywać, a ona karała mnie, kiedy była niezadowolona, i biła mnie małą rączką. - Roześmiałem się na to wspomnienie. - Czułem się, jakby mnie kopnął królik, ale jeśli zachichotałem, to straszyla mnie swoimi strażnikami, Mszakami, którzy mieli miecze i nas obserwowali. Mówiła, że mogliby mnie zabić, gdyby im kazała, ale nigdy tego nie zrobiła.

- Nie pošlesz mnie do niej z wiadomością, co, panie? Baki mogłaby to zrobić. Jej nie skrzywdzą.

- Kiedyś napiłem się krwi Baki.

- Pa-pamiętam, panie.

- Powiedziała, że to mnie uleczy, Uri, i tak było. Jak wyglądałoby moje życie, gdybym nie napił się krwi Baki?

- Tego nie wiem, panie. Te pytania... jesteś mądrzejszy niż ja. Jeśli wezwałeś mnie tu, żeby mnie nękać pytaniami, to zniosę je, ale czy nie mogę ci się przysłużyć w żaden inny sposób?

Powiedziałem jej, że martwię się o los Chmury i Gylfa. Poprosiłem, by ich odnalazła i uwolniła, gdyby to było konieczne, a potem zdała mi relację.

Mój następny gość przybył tak szybko po odejściu Uri, że zastanawiałem się nawet, czy to nie ona go przyprowadziła. Morcaine tym razem nie wyłoniła się z cienia jak w Czerwonym Dworze; przyszła tak jak każdy inny

mógłby przyjść, tyle tylko, że w asyście zbrojnych. I nie byli to martwi wojownicy, lecz woje o surowych obliczach, ubrani w kolczugi i hełmy, którzy bali się jej tak samo jak dozorczy więzienni bali się ich.

Wysłała po pięciu w przeciwległe końce korytarza, tak więc ani dozorczy, ani oni nie słyszeli naszej rozmowy.

- Nie miałam z tym nic wspólnego, sir Able. Nie chciałam zemsty.

Odpowiedziałem jej, że nawet tak nie myślałem.

- Odrząciłeś mnie w Czerwonym Dworze. Niewielu mężczyznom ofiarowałam miłość. Tylko dwóch mi odmówiło. - Roześmiała się, a był to piękny i pusty śmiech. - Zgadniesz, kim był ten drugi? Odpowiedz!

- Nie, Wasza Wysokość.

- Jesteś nędznym kłamcą. On był lepszy. Wyobrażasz sobie, że niechęć tli się w tym pięknym łonie? - Przycisnęła dłonią swój brzuch.

Jej oddech i zarumienione policzki mówiły raczej, że to efekt brandy.

- Wasza Wysokość jest zbyt dobrą kobietą na coś takiego - powiedziałem.

- Ty nic nie wiesz. - Zamilkła na chwilę. - Mógłbyś na mnie napaść, zgwałcić i uciec w moim ubraniu. Jesteśmy podobnego wzrostu.

- Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił, Wasza Wysokość.

- Ale wiejską dziewczynę byś zgwałcił - wszyscy to robicie. Co za różnica? Uratowałbyś życie.

- Nie, Wasza Wysokość.

- Musiałabym związać ci ręce z tyłu, ale zrobiłabym to, gdybyś się dobrze sprawował. Ponoć wielu mężczyzn lubi fantazjować, że jest w łóżku z kobietą z rodu królewskiego.

- Tak jak i ja, Wasza Wysokość, mimo iż nie jesteś kobietą.

Morcaine roześmiała się.

- Ona też nie. Przekonasz się.

Skłoniłem głowę, nie chcąc się z nią sprzeczać.

- Jeszcze cię będę miała. Zobaczysz. Kiedy skończymy, będziesz się czołgał, błagając, żebym cię przyjęła z powrotem. - Jej oczy roziskrzyły się. - Wtedy ci to przypomnę. Każę ci przynieść głowę Człowieka na Księżycu, a gdy to zrobisz, nie przyjmę jej i cię wyszydę.

Ujęła mój podbródek w prawą dłoń.

- Chyba że Aelfy spróbują nakarmić mną innego smoka, te małe robaczysy. Wtedy będę krzyczeć, och, jak głośno, a ty zabijesz go dla mnie i znowu umrzesz. Bo ty nie żyjesz, wiesz o tym.

Przytaknąłem jej, mimo iż wciąż trzymała mój podbródek.

- Stało się to dzięki pocałunkowi Walkirii. Wiedziałaś o tym? To akt łaski. Nie wezmą cię, jeśli nie jesteś zbyt mocno ranny, by żyć dłużej. A teraz... - Zupełnie niespodziewanie pocałowała mnie, oplatając swoimi długimi ramionami i wsuwając swój język głęboko w moje usta. Opadłem na słomę, a ona powiedziała: - Teraz wiesz, co czujemy.

Zdołałem wydusić z siebie, że chyba nie jestem w stanie sprawić, by jakakolwiek kobieta poczuła, to, co ja poczułem.

- Wstań! - Skinęła na mnie władczym ruchem. - Poproszę brata, by cię uwolnił. To między innymi chciałam ci powiedzieć. Choć wątpię, by to zrobił. On nie lubi, gdy mu się mówi, jakim jest małym, pokręconym kundlem, szczególnie gdy to słyszy z ust Aelfów. Aelfy nas niańczyły - wiesz o tym.

Chciałem wstać, a ona przykucnęła przy mnie, zaskakując mnie po raz kolejny.

- Łapał rybki i zabijał jej w paskudny sposób. Czasem mu w tym pomagałam. Karali nas za to, czego im nigdy nie wybaczył. Wy, zmarli, słuchacie mnie, Able. Potrafię wszystkich was zmusić do posłuszeństwa, nawet te trudne przypadki.

- Masz moje posłuszeństwo, Wasza Wysokość.

- Wątpię, żeby cię uwolnił, nawet dla mnie. - Ujęła moją dłoń między swoje, zachęcając mnie, bym wsunął ją między jej piersi, lecz się oparłem. - Może chcesz zaczekać, aż zostanę królową? Wtedy będziesz miły. Bardzo miły, bo to jest straszne miejsce, a ja wezmę cię sobie i będziemy razem tak długo, aż najmniejsza częśćka twojego ciała nie będzie zdolna się podnieść, a potem cię wypędzę i pošlę po jajo feniksa. Przyniesiesz mi je, błagając i pełzając. - Beknęła. - Będziesz pełzał i błagał, aż w końcu znowu cię przyjmę i udamy się gdzieś, gdzie nikt nas nie zna, młodzi kochankowie na zawsze.

- Masz dobre serce, Wasza Wysokość - powiedziałem. - Zawsze o tym wiedziałem.

Przytaknęła mi z poważną miną.

- Jestem dobrą kobietą, sir Able. Na szczęście wszyscy inni są źli, więc traktuję ich, jak tylko mi się podoba. Tak jest zabawniej. Pomóż mi.

Wstałem i pomogłem jej się podnieść; bez mojej pomocy chyba nie byłaby w stanie.

- Pomyślałam, że chciałabym wiedzieć, jak to wszystko ma wyglądać -

powiedziała - więc teraz wiesz. Otrzep mi siedzenie, bo pewnie przyczepiła mi się słoma.

Udałem, że to robię.

- Mocniej, i powiedz, że jestem niegrzeczną dziewczyną.

Zaraz potem wyszła, idąc tak równym krokiem, że mógłbym pomyśleć, iż jest trzeźwa, gdybym nie wiedział, jak bardzo się stara, by tak wyglądała.

Zjawił się jeden z dozorców więziennych z miską, ciepłą wodą, mydłem i ręcznikiem. Roześmiałem się i kazałem mu wszystko zabrać. Wykonał moje polecenie, po czym zamknął drzwi na klucz.

Mijały kolejne godziny. Wszystko, o czym wtedy myślałem, wypełniło tę książkę i starczyłoby na kilka następnych.

Wreszcie przyszło dwóch dozorców. Tytułując mnie przez kraty „panem”, zapytali, czy wiem, co się stało z Fiachem. Znaleźli buty, a także podarte i zakrwawione ubranie; nie mieli pewności, czy należały do niego, ale tak przypuszczali.

- Fiach nie pozwolił mi zająć tej celi - odpowiedziałem. - Więcej nie musicie wiedzieć. A teraz zostawcie mnie w spokoju i zajmijcie się swoją robotą. - Kiedy się zjawili, miałem właśnie przywołać Uri.

Błagali mnie, przymilali się, a potem straszili. Powinienem był spróbować załagodzić sprawy, ale bezczynność doprowadzała mnie do szału, tak więc powiedziałem im, co o nich myślę.

Odeszli, lecz niedługo potem wrócili z trzecim dozorcą. Otworzyli drzwi mojej celi i ruszyli na mnie ze swoimi kluczami. Usłyszałem w głowie ryk fal. Pchnąłem pierwszego na dwóch pozostałych, zanim zdążył zaatakować, wyrwałem mu klucz z ręki, a potem złamałem rękę drugiemu i rozbiłem głowę trzeciemu dwoma uderzeniami.

Wszystko skończyło się prawie zanim się zaczęło. (Spodziewali się pewnie porażki, zanim jeszcze zaczęli walczyć.) Ci dwaj, którzy zachowali przytomność, leżeli twarzą w dół. Przycisnąwszy każdemu kark nogą, kazałem im obiecać, że zostaną moimi niewolnikami na zawsze. W tym momencie ukazała się Uri i ze śmiechem przypomniała mi, że obie z Baki musiały przysięgać w podobny sposób. Nie miała na sobie żadnego przebrania i wystąpiła w czystej postaci Aelfa Ognia z włosami jak płomień, które błyskały też w jej żółtych oczach, a jej skóra miała barwę miedzi roztopionej w tyglu. Dozorcy chyba nawet nie usłyszeli, co powiedziała, lecz jej pojawienie się, ze smukłym mieczem w jednej ręce i

wysadzaną kamieniami pochwą w drugiej, sprawiło, że skulili się, mamrocząc coś bez sensu.

- Trzymam ten klucz - zwróciłem się do nich. - Jako że nasz król uznał za stosowne uwięzić mnie, zostanę w tej celi, gdyż nie mam powodu, by ją opuszczać. Oczekuję, że będziecie mi służyć wiernie i lojalnie i obiecuję, że wasze pierwsze uchybienie będzie ostatnim. A teraz podnieście go - pokazałem kluczem na nieruchomą postać - i zabierzcie stąd.

Mnie przyszło łatwo to powiedzieć, lecz im trudniej to wykonać. Ich towarzysz był dużym i ciężkim mężczyzną, do tego ten, któremu złamałem rękę, nie mógł za bardzo pomóc swojemu koledze. Chciałem porozmawiać z Uri, tak więc widząc, jak strażnik, któremu zabrałem klucz, szamocze się z nieprzytomnym, podniosłem go i zaniósłem do pokoju dozorców.

- Przyniosłam ci nowy miecz - powiedziała Uri, kiedy wracaliśmy do mojej celi - a ty nawet na niego nie spojrzałeś.

Wyjaśniłem jej, że jestem więźniem i nie powinienem mieć broni.

- Możesz go ukryć pod łóżkiem.

- Nie mam łóżka. Śpię na słomie, na podłodze.

- Mogą ci przynieść. Ci, których obieś, przyniosą ci łóżko, jeśli im tylko każesz. Moglibyśmy się w nim przespać, a ty miałbyś na czym siedzieć.

Wygiąłem mocno brzeszczot miecza między palcami; odskoczył i pozostał równie prosty jak przedtem.

- Nie skalecz się.

- Uważam. Czy to twoje dzieło?

- Moje osobiście? Nie. I co z tym łóżkiem?

- Zastanowię się nad tym, ale nie będziesz w nim mile widziana. Wiem, jak by się to skończyło.

Uri zachichotała, a ja nagłe zatęskniłem za Aelfrice, za jego krystalicznym morzem i przepelnionymi ciszą lasami, po których biegaliśmy razem z Disiri i oswajaliśmy młode wiewiórki.

Moja cela była za mała, bym mógł zamachnąć się takim mieczem. Zatrzymałem się za drzwiami, tnąc powietrze i wykonując cięcia między prętami. Rękojeść miecza, wykonana ze srebra i śnieżnobiałej skóry, była prosta, czysta, a jego wąski brzeszczot pokrywało pismo Aelfów, zbyt małe, bym mógł je odczytać.

- Myślę, że to dzieło Aelfów Lodu - powiedziała Uri. - Jest stary, bez względu na to, kto go zrobił, i nie ja go tu przyniosłam.

- Ukradłaś go?

Posłała mi niewinne spojrzenie.

- Nie muszę kraść wszystkiego. Widziałeś przecież. - Owiał ją dym, a po kilku sekundach była już mniejsza i nie tak smukła, a jej rozjarzona miedziana skóra przybrała bladobrzoskwiniowy odcień, choć jej sutki pozostały rozjarzone i wydawały się zbyt gorące, by je dotknąć.

- Owszem, widziałem - odpowiedziałem - i oparłem się pokusie. Chcesz powiedzieć, że sprzedałaś się za niego? Nie wierzę.

- No, dobrze, ukradłam go. - Podsunęła mi wysadzaną drogimi kamieniami pochwę. - Ale nie powiem komu, bo kazałbyś mi go oddać.

- Gdybym potrafił zmusić cię, żebyś go oddała, potrafiłbym też wydusić z ciebie to, skąd go masz.

- Nie rób tego, proszę, panie. Posłuchaj. Ten, do kogo należał miecz, nigdy się nie dowie, że go nie ma. Zamknął go w żelaznej skrzyni zamkniętej siedmioma łańcuchami i siedmioma kłódkami. Wierzysz mi?

- Nie - odpowiedziałem.

- W takim razie nie uwierzysz też, że wrzucił klucz do morza, jak powiedziała przyjaciółka. Sięgnęłam z Aelfrice - wiesz, jak to robimy - i wyciągnęłam go. Będzie myślał, że zostanie tam aż do jego śmierci.

Wziąłem od niej pochwę miecza i przyjrzałem się jej. Spodziewałem się, że jest wykonana z turkusu, bursztynu i tym podobnych, tymczasem zobaczyłem piękne rubiny, a niebieskie kamienie okazały się szafirami.

- Miękkie drewno, panie, powleczone złotem.

Przytaknąłem jej i dodałem:

- I gardło z białego złota. Złoto zmieszane ze srebrem, jak sądzę. To jedyna część, która pasuje do miecza. - Wsunąłem miecz do pochwy. - Ale dobrze leży w pochwie.

- Pochwa to dzieło człowieka, na pewno. Ty masz lepszy smak niż ja.

Odwróciłem się do niej.

- Nigdy tak nie myślałem.

- Ani ja, panie, ale jesteś nad nami.

- Nie mam pasa na miecz - powiedziałem, właściwie do siebie. - Król mi go zabrał.

- Możesz go przepchnąć przez pas, który nosisz. Nie jest ciężki.

- Chyba tak.

- Myślałam, że schowasz go w naszym łóżku, kiedy nie będziecie go



używali z Jej Wysokością.

- Szpiegowalaś mnie.

Uri wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Odrobinę. Nie jest brzydka jak na tak ogromną kobietę, co? Do tego wielka czarodziejka. Nie raz by cię zaskoczyła.

Wróciłem do swojej celi i zamknąłem za sobą drzwi, zanim Uri zdążyła wejść za mną; bez trudu prześliznęła się między prętami w swojej naturalnej postaci.

- Potrafią też być nieprzyjemne. Niektóre czarodziejki mają zęby tam na dole. Wsuwasz go, a one ci go odgryzają. Mani mi tak mówił.

Wsunąłem miecz w słomę pod ścianą.

- Nic nie wiesz na ten temat.

- O czarodziejkach? No, nie, panie. Bardzo mało, chociaż rozmawiałam kiedyś o nich z Manim.

Usiadłem i dałem jej znak, żeby uczyniła to samo.

- Morcaine razem z braćmi była wychowywana w Aelfrice, kiedy porzuciła ich matka. Myślałem, że wiesz.

- Nie. Czy mam ci powiedzieć, co wiem, panie? Nie będę kłamała ani żartowała z ciebie, dopóki mi nie przerwiesz.

Skinąłem głową.

- Oszukał cię ten, kto ci to powiedział. Wprawdzie byłam Khimairą, ale słyszałam to i owo i rozumiem, co ma sens, a co nie. Ich matka nie porzuciła całej trójki. Setr był smokiem, dlaczego więc miałyby go porzucić? Zatrzymała go przy sobie w Muspelu, w Aelfrice, i tutaj w Mythgarthcie. Był jej pierworodnym, a zatem prawowitym królem tej części Mythgarthru, choć chyba nie ubiegał się o ten tytuł.

- Morcaine jest pewnie najmłodsza, jak przypuszczam - powiedziałem.

Uri pokręciła głową.

- Najmłodszy jest Arnthor, lecz tu, w Celidonie, mężczyźni potomkowie mają prawo pierwszeństwa do tronu. Przestań mi przeszkadzać.

Wzięła głęboki oddech.

- Po drugie, Morcaine i Arnthor spędzili pewnie tutaj większość swojego dzieciństwa. Inaczej wciąż byliby jeszcze dziećmi. I po trzecie, wychowały ich Aelfy Morza, a nie mój klan. Byliśmy niewolnikami Setra, pamiętasz? Lojalnymi niewolnikami, ponieważ bardzo się baliśmy. Oni nam sprzyjali, a przynajmniej byli bliżej nas niż kiedykolwiek.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Tak. Nie uwierzysz mi, ale i tak to powiem. Czy król Arnthor boi się swojej siostry?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie zwierza mi się. Widziałaś, jak walczyłem z martwymi rycerzami Morcaine?

- Nie. Żałuję, że tego nie widziałam, panie.

- Prawie wszyscy uciekli. Mam na myśli widzów. Ale król Arnthor pozostał, a także królowa, pewnie dlatego, że król trzymał ją za rękę. No i Morcaine oczywiście.

- Czy wyglądał na przestraszonego?

Powróciłem myślami wstecz.

- Nie. Raczej na stanowczego.

- Uhu. Tego też pewnie nie wiesz, panie, ale spróbuję. Czy ona się go boi?

- Tak. Bardzo. - Zamilkłem na chwilę, przypominając sobie przeszłość. - Może dlatego pije. Kocha go, ale strasznie się go boi.

- W takim razie on jest czarnoksiężnikiem, panie, i to bardzo niebezpiecznym. Możesz mi w tym względzie zaufać, choć pewnie tego nie zrobisz. Starsza siostra posługująca się magią? Ustawiałaby go jak kukiełkę, gdyby nie był czarnoksiężnikiem. Setr posługiwał się magią, często gęsto.

Przytaknąłem jej.

- Tak jak i Morcaine, z tego co słyszałam, a co potwierdziłeś. Dlaczego uważasz, że najmłodsze rodzeństwo nie posługuje się magią?

- Wcale tak nie myślę. Nie o to chodzi. Ukradłaś ten miecz dla mnie. Dobry, wykonany przez Aelfy dawno temu. Czy równie łatwo potrafiłabyś zdobyć mój Eterne?

Uri pokręciła głową.

- Nie mogłam go znaleźć.

- Król go ma.

- Wiem. Gylf mi powiedział. Król musiał go gdzieś ukryć. - Przesiała słomę przez palce.

- Nie mogłaś go znaleźć?

- Nie, panie.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej kolana, nie wiedzieć dlaczego.

- Kłamiesz, Uri. Znalazłaś go, ale bałaś się go wziąć. Cieszę się, że tak się zachowałaś. Arnthor się myli, ale jest moim królem. Rozmawiałaś z Gylfem.

Gdzie on jest?

- Nie wiem, panie, ale chyba potrafię go znaleźć bez trudu. Uwiązali go na łańcuchu, a ja go uwolniłam, tak jak kazałeś.

- Pewnie gdzieś biega. A Chmura?

- Jest w stajni, panie, i ma się dobrze. Powiedziałam jej, że być może wkrótce odzyskasz wolność. Czeka na ciebie.

- Próbowali jeździć na niej?

- Tak, panie. Kilku stajennych, bez powodzenia.

- Chyba nie jest bezpieczna.

- Interesuje się nią taki stary, gruby szlachcic, panie. Stajenni boją się go, dlatego dbają o nią.

- Widziałaś Baki?

- Ostatnio? Nie, panie.

Wypytywałem ją jeszcze o różne rzeczy, ale nie dowiedziałem się już niczego więcej. Nawet jeśli Chmura albo Gylf widzieli ją, to nie wspomnieli mi o tym.

## ROZDZIAŁ 35

### W DÓŁ

Czas płynął, aż nadszedł dzień, kiedy pod moim małym oknem coś się zaczęło dziać; usłyszałem krzyki i przekleństwa, dyszenie mułów i tętent kopyt.

A potem zapadła cisza.

Zapytałem dozorców, co się dzieje, a ten, którego nazywali Ged, odpowiedział mi, że Arnthor miał poprowadzić armię przeciwko Osterlingom. Król zabrał ze sobą pozostałych dozorców, by pilnowali więźniów, tak więc lochów miał doglądać sam Ged.

- Nie spodziewam się, że mi pomożesz, panie, ale to kupa roboty.

- Zgadza się - odpowiedziałem. - Ja ci nie pomogę, ale może uda się znaleźć jakąś pomoc.

Zaczęliśmy od dwóch baronów, których cele znajdowały się w tym samym korytarzu co moja. Przedstawiłem im się, dopiero teraz, po czym wyjaśniłem, że nie oczekuję, iż będą wykonywać jakieś służebne prace i zaproponowałem, że ich uwolnię, jeśli obiecują pilnować pozostałych więźniów i nie uciekną. Obaj się zgodzili.

Potem wybraliśmy dziesięciu pospolitych więźniów, najzdrowszych i najsilniejszych. Obiecaliśmy im świeżą słomę, koce i lepsze jedzenie, lecz gdy zorientowałem się, w jakich lichych warunkach przebywają pozostali, im także daliśmy to wszystko. Starą słomę, pełną wszy, spaliliśmy w nocy na dziedzińcu. Jeden z nich był golibrodą; ukradłem dla niego brzytwę, nożyczki i inne przybory. Ostrzygł i ogolił pozostałych, a ich włosy też spaliliśmy.

Przyszedł Wistan z moim hełmem i kolczugą.

- Wybacz, sir Able. Wcześniej nie pozwolili mi tu przyjść i dopiero dzisiaj wpuścił mnie lord Colle. Czy on naprawdę jest lordem?

Powiedziałem, że tak, i wyjaśniłem mu wszystko.

- Pouk i Uns pracują, bo inaczej też by przyszli. Bardzo się martwią o

ciebie. Tak jak ja. Ja... my tak naprawdę nie musimy pracować. Mamy pieniądze.

Zapytałem, co porabiają, a Wistan odpowiedział, że on pomaga urzędnikom lorda marszałka, a Pouk i Uns pracują przy budowie muru wznoszonego wokół miasta.

Potem odwiedziło mnie dwóch zbrojnych, jeśli można ich tak nazwać. Przyszli, jak mi oznajmili, „żeby mnie zaprowadzić do królowych”, z czego wywnioskowałem, że Gaynor i Morcaine wspólnie sprawują władzę w Kingsdoom. Poprawili mnie i powiedzieli, że w mieście są Giganci Mrozu, olbrzymie kobiety, które sieją postrach wśród spokojnych mieszczan.

Gaynor i Idnn przyjęły mnie w sali tronowej. Przyklęknąłem i zaraz obie pozwoliły mi wstać. Pierwsza przemówiła Gaynor:

- Walczyłeś dla mnie, sir Able. Czy wciąż jesteś moim rycerzem?

Odpowiedziałem, że byłbym nim, gdybym mógł.

- Myślisz pewnie, że cię opuściłam. Tak było, ponieważ mąż mi kazał. Ale rozkazał mi też cię uwolnić podczas swojej nieobecności.

- Rozumiem, Wasza Królewska Mość.

- Czy rozumiesz też, dlaczego wydał taki rozkaz?

- Myślę, że tak, Wasza Królewska Mość.

- Dlatego cię tu przyjmuję. - Ruchem dłoni pokazała na dworzan: kobiety i starych mężczyzn. - To są moi świadkowie. Znasz chyba lorda Escana?

- Miałem przyjemność poznać.

- Będzie przemawiał w moim imieniu, a moja królewska siostra sama zabierze głos. Przez cały czas pozostaniesz pod strażą i zginiesz, jeśli spróbujesz uciec. - Wykonała ledwo dostrzegalny, zbyteczny gest i dodała słodkim głosem: - Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne. Naprawdę.

- Nie ucieknę, jeśli moja ucieczka miałaby stać się powodem twojego niezadowolenia, Wasza Królewska Mość - powiedziałem.

Idnn wstała.

- W takim razie chodź ze mną. Lordzie Escanie?

Rozmawialiśmy w Czerwonej Sali, w której zwykle prowadzono interesy, gdzie ustawiono sekretarzyk, stolik do robótek ręcznych i kilka innych biurków na dokumenty. Dla Idnn przyniesiono fotel z podnóżkiem, pięknie wykonany. Lord marszałek zasiadł na dużym dębowym krześle ustawionym przed sekretarzykiem, a ja na stołku urzędnika.

- Powinieneś być już wolny - oznajmiła Idnn. - Wobec zaistniałej sytuacji

tylko tyle mogłam zrobić, by nakłonić moją siostrę królową, żeby kazała cię tu sprowadzić. To... to bardzo niefortunne, że jesteś więźniem.

- Dla niego - wtrącił marszałek - dla nas to zrządzenie losu. Dziękuję za nie Skai.

- Widziałam, jak on walczy, panie, a ty nie.

- Uciekłem przed tym widokiem, Wasza Królewska Mość. Teraz może nam pomóc dzięki temu, że pozostaje więźniem. Gdyby nie został uwięziony, jechałby teraz z królem i nie byłoby go z nami.

- Uwolnię cię - obiecała Idnn. - Coś wymyślę. Moja siostra królowa nie sprzeciwia się.

- Ale się boi - dodał lord marszałek. - Lecz w tym momencie potrzebny nam jest twój umysł, a nie miecz. Obecnie panująca Jej Królewska Mość przekonała królową Gaynor - a i mnie - że powinniśmy zasięgnąć twojej rady. Wywarłeś na niej wrażenie w Jotunlandzie.

Odpowiedziałem, że czuję się zaszczycony, i nie kłamałem.

- Głodny jesteś? Jeśli chcesz, to lord Escan zamówi dla ciebie coś do jedzenia.

Podziękowałem jej i powiedziałem, że nic mi nie trzeba.

- Dobrze go karmią, Wasza Królewska Mość. Jest królem lochów i dostaje wszystko, czego tylko zapragnie. Musiałem rzec się swoich rutynowych inspekcji, ale mogę powiedzieć, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Może Wasza Królewska Mość zechce zjeść coś małego, kiedy będziemy konferować?

Zadzwoił na Payna, powiedział mu, czego chce, i odwrócił się do mnie.

- Nie wiem, jak dalece orientujesz się w naszej sytuacji, sir Able. Jego Królewska Mość udał się z armią na wschód. Wiedziałeś o tym?

Odpowiedziałem, że wiem, iż wymaszerował, ale nic poza tym.

- Najechaliśmy ich tej jesieni, wybiliśmy ich Caanów i mocno splądrowaliśmy. Teraz Czarny Caan chce się mścić, na ile będzie w stanie. - Marszałek uśmiechnął się. - Wszyscy zdadni do walki rycerze pojechali z królem, jak i większość szlachty. Jego Królewska Mość przekazał rządy tytularnie Jej Królewskiej Mości. Pełnię funkcję jej głównego doradcy. Jestem odpowiedzialny za zmianę koni w jego armii i świeże oddziały, jeśli da się je zaciągnąć, a także za wiele innych rzeczy. Do moich obowiązków należy też zabezpieczenie miasta.

- Od wieków - powiedziała Idnn - Kingsdoom szczyliło się tym, że tarcze

jego rycerzy chronią je niczym mury. Teraz jednak wschód jest silny jak jeszcze nigdy dotąd i rządny zdobyczy. Król wysłał mego ojca, by ułagodził Angronitów, tak by sam mógł pociągnąć na wschód z całą siłą. Zaskoczenie i druzgocąca porażka zburzyłyby plany starego Caana - tak przynajmniej wierzyliśmy.

Lord marszałek przytaknął jej.

- Udało nam się ich zaskoczyć, zgodnie z planem - mówiła dalej Idnn - i zadaliśmy im druzgocącą kieskę. Stary Caan nie żyje. Ale wygląda na to, że zwycięstwo Celidonu zjednoczyło Osterlingów wokół jego najstarszego syna, Czarnego Caana, i przyspieszyło ich atak.

- Pochopny atak może obrócić się w klęskę - powiedziałem.

- Taką mamy nadzieję. Zajęli przełęcz, co nie wróży dobrze. Mój ojciec dołączył do króla, jak i księżę Marder.

- Wspomagają nas też siły setki Córek Angr - dodał lord marszałek. Straż przyboczna Jej Królewskiej Mości Idnn.

- To całkiem znaczna siła, tak długo jak długo mamy chłodną pogodę.

- Lord Escan zatrudnił ludzi wykształconych w tej dziedzinie, by opracować plany fortyfikacji. - Idnn westchnęła. - Przedstawili plan mojej drogiej siostrze królowej. Plan jest wspaniały, nie wątpię, lecz jego realizacja zajmie całe lata. Ty nie jesteś budowniczym, zdaję sobie z tego sprawę. Wiesz cokolwiek na temat prowadzenia oblężenia?

Wzruszyłem ramionami.

- Brałem udział w oblężeniu Nastrond.

Lord marszałek pochylił się do przodu, mrużąc oczy.

- Gdzie to jest? Nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

Idnn zignorowała jego pytanie i zaczęła mówić dalej:

- Potrzeba nam czegoś, co da się wykonać w ciągu miesiąca albo jeszcze szybciej. Z radością przyjmemy zwycięstwo króla. Ale bitwa rozpocznie się jeszcze przed nowym księżycem, a jeśli wróci pokonany, będzie miał na głowie Osterlingów. Co proponujesz?

- Nic - odpowiedziałem. - Muszę najpierw zobaczyć to miejsce.

Lord marszałek pokiwał głową.

- Mam mapy.

- Nic mi nie powiedzą. A pewnie by mnie tylko zmyliły. Muszę objechać miasto. Potrzebuję dnia, a jeszcze lepiej dwóch.

Lord marszałek otarł dłonią twarz i łusą głowę, ale nic nie powiedział.

W pokoju zapadła cisza, której najwyraźniej nikt nie chciał przerwać. Wstałem i zacząłem oglądać szkarłatne zasłony i sekretarzyki z wywoskowanego drewna w kolorze dzikiej róży z emaliowanymi okuciami.

Wreszcie odezwała się Idnn:

- Chcę ci coś powiedzieć o lady Lynnet i jej córce. Pozwolisz? Może już nie będę miała okazji.

Powiedziałem, że jak najbardziej. Kiedy rozmawialiśmy, wrócił Payn z tacą, na której przyniósł smakołyki, kielichy i butelkę wina. Nalał nam, tak więc rozmawialiśmy pojadając i popijając.

- Odzyskała Goldenlawn - powiedziała Idnn. - Oczywiście zwróciła się do nas jeszcze w drodze na południe, tak więc zostaliśmy tam z nią przez kilka dni, by jej pomóc, wszyscy. Oboje z Vilem zamierzają odbudować posiadłość. Pobrali się. Oni... przykro mi. Zdobędziesz ją.

Przytaknąłem Idnn i poprosiłem, aby mówiła dalej.

- On nie jest szlachetnie urodzony, ale który szlachcic chciałby ją teraz, jest też ojcem Eteli - a przynajmniej tak mówią - i ją kocha. - Gdy nic nie odpowiedziałem, Idnn dodała: - Lynnet jest wciąż szalona, ale już nie tak bardzo jak przedtem. Przynajmniej mówi więcej.

- To dobrze.

- Myśli, że jest z nią inna kobieta, kobieta o imieniu Mag.

Starłem się zachować obojętność, choć nie wiem, na ile mi się to udało.

- Kobieta, której nikt inny nie widzi. - Uśmiechając się litościwie, zwróciła się do lorda marszałka: - Jej mąż, który jest niewidomy, także potwierdza jej istnienie.

- Czy Bertold i jego żona są wciąż z tobą, Wasza Królewska Mość? - zapytałem. - Nie widziałem ich w sali tronowej.

- Nie. Pozwoliłam im odwiedzić ich wioskę.

- Została zniszczona.

Idnn wzruszyła ramionami.

- Nie wiedziałam. W takim razie pewnie szybko wróca.

- Może ją odbudowano. Szkoda, że sam nie mogę zobaczyć. Czy Bertold Śmiały uwierzył w przyjaciółkę lady Lynnet?

- Ach, już wiem. - Idnn ponownie zwróciła się do lorda marszałka: - Bertold jest moim służącym. Też jest ślepy.

- Ale czy powiedział, że ta kobieta istnieje?

- Nie wiem. Nigdy go o to nie pytałam. Może moja siostra królowa



mogłaby - mogłaby przyjąć twoje zwolnienie warunkowe. Poproszę ją o to.

Lord marszałek pokręcił głową.

- Nie ośmieli się.

Uciekłem tamtej nocy, choć osobiście nie traktowałem tego jako ucieczkę. Chmura poprowadziła mnie do siebie myślą i poinformowała mnie, zanim jeszcze do niej dotarłem, że jest z nią Uns. Obudziłem go, znaleźliśmy dla niego dorodnego kuca, osiodłaliśmy go i pojechaliśmy. Kiedy już objechaliśmy miasto przy blasku księżyca - co zajęło nam dobre trzy godziny - udaliśmy się do gospody, gdzie zjedliśmy śniadanie z Poukiem.

Potem obaj udali się do swojej pracy, a ja poszedłem z nimi.

Od strony miasta kopano duży dół na fundamenty pod mur. Pouk i Uns kopali razem z innymi i do tej pory wykopano już dół szeroki na dziesięć kroków i na tyle głęboki, że twardą czerwoną glinę wynoszono po drabinach. Przywiązaliśmy kuca Unsa, tak by Uns mógł wrócić po pracy do stajni, a ja ruszyłem wokół miasta po raz kolejny, przyglądając się uważnie w świetle dziennym wszystkiemu, co przedtem zdołałem obejrzeć w ciągu zaledwie kilku godzin. Pokonałem jakąś jedną trzecią drogi, gdy napotkałem patrol.

Uciekliśmy, oboje z Chmurą. Kiedy strzała ugodziła ją w kark, Chmura zawróciła na nich, równie straszna jak Gylf. Dwóch zginęło. Próbowałem zapanować nad nią, ale w którymś momencie zostałem wyrzucony z siodła.

Zabrali mnie na wartownię w Thortower, trzymali tam związanego przez trzy dni, obrabowali i skopali, kiedy próbowałem się sprzeciwić. Potem zaprowadzono mnie do Gaynor. Bała się bardzo Arnthora, tak więc kazała zakuć mnie w kajdany w celi na najniższym poziomie lochów.

Jednak nie wykonano jej rozkazu. Ani Ged, ani żaden ze zbrojnych nie odważył się zejść poniżej dwunastego poziomu; nikt też nie wiedział, ile ich tam jest, ponieważ Thortower zbudowano na ruinach dawnej budowli, a dwunasty poziom był równie rozległy jak całe Forcetti. Sprowadzono kowala, milczącego mężczyznę o surowym obliczu, który nie wyrządził mi żadnej umyślnej krzywdy, ale też nie odezwał się do mnie ani słowem. Rozdmuchał swój węgiel drzewny, nałożył mi okowy na nadgarstki i kostki u nóg, i zamknął je na gorąco. I wtedy zaczęło się moje prawdziwe uwięzienie, ponieważ przysięgłem, że nie będę próbował się uwolnić, dopóki Thortower padnie albo król Arnthor zwycięży, jeśli taka będzie wola Valfathera.

Jeśli o niego chodzi, to wciąż miałem nadzieję, że się ukaże i uwolni mnie od danej przysięgi. Początkowo wierzyłem, że tak się stanie i rozmyślałem o

tym, co razem zrobimy, zanim wrócimy do Skai - jak naprawimy cały świat.

Mijały kolejne dni, a ja siedziałem, trzęsąc się z zimna, zagrzebany w słomę Collea, aż wreszcie zaprosiłem do siebie Orga, dzikiego i milczącego, by się ogrzać w ciepłe jego ciało; ponieważ doskwierał mu coraz większy głód, pozwoliłem mu zapolować na jakiegoś człowieka, którego imię było mu obce.

Wychodził od czasu do czasu i czasem wracał z zakrwawionym pyskiem i siadał przy mnie, by mnie ogrzać. I wreszcie nadszedł dzień, w którym nie przyniesiono mi jedzenia.

Czekałem, wmawiając sobie, że przyniosą następnego dnia, a jeśli nie, to wezwę Baki i każę jej mnie uwolnić. Nie przynieśli. Przywołałem ją, a potem jeszcze kilkanaście razy, ale nie przyszła. Aż wreszcie uzmysłowiłem sobie, że teraz, kiedy jestem skuty łańcuchami, ona się mnie nie boi. Służba, którą podjęła na schodach Wieży Ghs, dobiegła końca, i oto ta, której miłość tylekroć odrzuciłem, jest wreszcie wolna. Teraz, pomyślałem, będzie żyła życiem Aelfa Ognia i zapomni o mnie, i umrę w lochach Thortower.

Nie potrafię powiedzieć, co bym wtedy zrobił. Może złamałbym przysięgę i się uwolnił. Chciałbym móc pomyśleć, że w końcu by do tego doszło. Mógłbym umrzeć tak jak postanowiłem; pragnienie nie doskwierało mi tak bardzo w chłodzie celi, a i głód przestał mi już tak bardzo dokuczać.

Mógłbym też poprosić Orga, żeby przyniósł mi takie mięso, jakie uda mu się zdobyć, przez co upodobałbym się do Osterlingów, którzy jedzą mięso swoich wrogów, i byłbym trawiony szaleństwem.

\* \* \*

W spowijającej mnie całkowitej ciemności pojawiły się światła i rozległ się szcęk broni. Poleciałem Orgowi, żeby się ukrył, lecz było już za późno. Otworzyły się drzwi mojej celi i oślepił mnie blask pochodni.

Usłyszałem znajomy głos:

- Na krocze Pani...

I zaraz głos króla:

- Co tam jest przy nim?

Położyłem dłoń na ramieniu Orga.

- Coś, czego lepiej żebyś nie oglądał, Wasza Królewska Mość. -

Zakrzusiałem się, ponieważ miałem wyschnięte usta. - Wejdz z powrotem po schodach, a potem wróc, i już go nie zobaczysz.

Rozmawiali przez chwilę ożywni, lecz ja prawie ich nie słuchałem. Potem wyszli, a ja powiedziałem Orgowi, że potrzebuję wody. Przyniósł mi trochę, zagranej w jego złożonych dłoniach; wypłem ją i go odesłałem.

Powróciły pochodnie i rycerze, którzy je nieśli. Wstałem, przewróciłem się i znowu wstałem podtrzymywany przez Beela.

Król spojrział mi prosto w oczy, jako że byliśmy tego samego wzrostu i powiedział:

- Kocham moją królową.

Uśmiechnąłem się.

- A ja nie. Wasza Królewska Mość. Nie proszę, byś pozwolił mi mówić. Ci, którzy cię o to proszą, boją się twojego niezadowolenia albo czegoś gorszego. Twoje niezadowolenie nic dla mnie nie znaczy, a tortury, jakim mógłbyś mnie poddać, stanowiłyby dla mnie ulgę. Przemawiam w imieniu Aelfrice i swoim, jesteś tyranem.

- Kocham ją - powtórzył Arnthor. - Ale bardziej kocham Celidon.

- Traktujesz je tak samo. Opuściłeś Aelfrice i nauczyłeś swój lud, by postąpił podobnie. Bez wątpienia królowa Gaynor pragnie, abyś ją opuścił, a Celidon cieszy się każdą chwilą, w której ją zaniedbujesz. W twoich żyłach płynie królewska krew. Królowa Gaynor jest szlachetnie urodzona, podobnie jak twoi rycerze. Ja jestem zwykłym Amerykaninem, ale powiem to nawet za cenę śmierci. Rozbójnicy, Angronicy i Osterlingowie, grabią twoje wioski, ponieważ i one zostały opuszczone. Najwyższy Bóg uczynił tutejszych ludzi jako wzór dla Aelfrice. Uczymy ich przemocy, zdrady i innych rzeczy, a ty jesteś naszym przywódcą.

Przytaknął mi, co mnie zaskoczyło.

- Mówisz, żeś niskiego stanu? Nie jesteś rycerzem? Pozwoliłem ci zatrzymać ostrogi.

Skinąłem głową.

- Jestem.

Rycerze, którzy mu towarzyszyli, stali w milczeniu, lecz ja wiedziałem, że są gotowi mnie zabić, jeśli tylko nadarzy się okazja. Czulem zapach ich pochodni i w odbiciu na wychudzonej twarzy Arnthora widziałem zimną i cuchnącą celę, w której tak długo dygotałem z zimna i w której wciąż przebywałem zziębnięty.

- Miałem nadzieję cię uwolnić, sir Able - powiedział Beel.
  - Arnthor, nawet jeśli usłyszał jego słowa, to nie zareagował na nie.
  - Jesteś rycerzem. Rycerzem z mojego królestwa?
  - Tak.
  - W Jotunlandzic działałeś cuda, a teraz tylko cuda mogą nas uratować.
  - Rozerwijcie te łańcuchy - zwróciłem się do niego - a spróbuję coś zrobić.
- Przemówił, a wtedy okowy opadły z brzękiem na podłogę.

\* \* \*

Moja opowieść dobiega końca. Zanim ją zakończę, chcę powiedzieć, że gdyby nie Org, którego Arnthor dostrzegł w mojej celi i którego widok wzbudzał takie przerażenie, że nawet Arnthor się wycofał, to chyba nie odzyskałbym wolności.

Wykąpano mnie, ubrano i nakarmiono.

- Mam cię odesłać do Jego Królewskiej Mości, gdy tylko będziesz w stanie dosiąść konia - oznajmił lord marszałek. - A przedtem mam cię uzbroić. Co być chciał dostać?

- Daruj sobie. Mam hełm i kolczugę, które król pozwolił mi zatrzymać. Zgubił mój miecz, próbując odzyskać panowanie nad przełęczami, kiedy to armia została pokonana.

- Zaczekaj - rzucił lord marszałek i wyszedł szybko.

Podczas jego nieobecności zacząłem knuć spisek przeciwko niemu - a także przeciwko Gaynor i Idnn. Spiskowałem w myślach, kpiąc z siebie jednocześnie, ponieważ byłem zbyt słaby, by wstać.

Minęły dni, w których usługiwali mi chłopcy, paziowie, którzy ledwo byli w stanie dźwignąć łuk. Raz zapytali mnie, czy Osterlingowie nas pokonają i co się z nimi stanie, jeśli to nastąpi. Odpowiedziałem im, że bez wątplenia tak będzie, lecz jeśli zamierzają uciec, to ich zabiorę do lochu, gdzie od razu zostaną pożarci.

- Byłoby lepiej dla Celidonu - powiedziałem im - gdyby to zostawić drzewom. Jest taka wyspa o nazwie Glas. Na niej to wielki smok Setr więził piękne kobiety, by zwabiały na brzeg żeglarzy. Kobiety wymarły, uśmiercone przez siebie nawzajem albo przez żeglarzy, których tam zwabiły. Ostatnia z nich połknęła truciznę, a jest to piękne miejsce, przepełnione ciszą

i jasnym światłem. Macie truciznę?

Paziowie zarzekli się, że nie mają, i uciekli.

Wrócił lord marszałek z mieczem, który znalazła dla mnie Baki. Lord Marszałek był tak samo gruby jak przedtem, a w jego przebiegłym spojrzeniu czaił się strach.

- To dla mnie zaszczyt - powiedział - móc ci to przekazać. - Skłonił głowę i wyciągnął przed siebie ręce.

Przyjąłem miecz i przypiąłem go do pasa.

- W dowód wdzięczności udamy się do Aelfrice.

Nie często bywał zaskoczony, lecz wtedy wyraźnie to okazał.

- Nie potrwa to długo - obiecałem mu - choć czas biegnie tu powoli. Chodź ze mną.

Kłócił się ze mną z godzinę. Obnażyłem miecz, który mi przyniósł, i dźgnąłem go nim; mimo iż wołał na strażników, żaden się nie zjawił.

- Król zagonił wszystkich z zamku i z miasta do obrony - powiedziałem. - Wszystkich poza tobą.

- Ktoś musi dowodzić - odpowiedział.

- Niezupełnie. Gdzie jest królowa Gaynor, która wydała na mnie ten wyrok? Chłopcy twierdzą, że odjechała, ale nie wiedzą dokąd.

- Jest z królem - odpowiedział lord marszałek drżącym głosem. - Tutaj nie miałby jej kto bronić.

- A poza tym - popchnąłem go mieczem - znowu jestem wolny, a on boi się, że pójdę z nią do łóżka. Ruszaj!

- Dokąd idziemy?

- Do Aelfrice, tak jak chciałeś - powiedziałem. - Do Aelfrice, zgodnie z moją obietnicą. Trzeba zejść po tych schodach, a będziesz schodził szybciej, niż pozwala ci na to twój wiek i waga, bo inaczej poczujesz mój miecz.

Zaprowadziłem go do lochu i zorientowałem się, że boję się bardziej niż on. Miałem wrażenie, że jestem w grobie. Jeśli nawet oblicze lorda marszałka było blade, to moje było jeszcze bledsze; kazałem mu iść, więc nie widział mojej twarzy.

Dandun odszedł wcześniej, lecz Colle pozostał, zamknięty w celi. Uwolniłem go, a przy jego pomocy wypuściłem innych więźniów, których napotkaliśmy, zanim dotarliśmy na dwunasty poziom.

- Nikt tam nie schodzi - powiedział Colle, gdy obaj z lordem marszałkiem ruszyliśmy w dół. - Tam nikogo nie ma.

- To nie to samo - powiedziałem i dźgnąłem marszałka mieczem.

- Proszę - powiedział. - Jestem dwukrotnie starszy od ciebie, do tego tu nie ma poręczy.

- Jesteś cztery razy starszy ode mnie - odpowiedziałem mu - i rzeczywiście nie ma tu poręczy.

- Wierz mi, gdybym tylko wiedział, w jakich warunkach cię tu trzymają, wy dostałbym cię.

- Pewnie. Ale nie kwapiłeś się, żeby się dowiedzieć.

Dotarliśmy do czternastego poziomu, a potem do piętnastego. Potem już nie liczyłem, w każdym razie niebawem wyszliśmy na skalista równinę, gdzie poczułem bryzę od morza.

- Wyczuwam przeciąg - rzekł lord marszałek. - Pewnie lochy są połączone z jeszcze większymi jaskiniami.

- To wiatr - odpowiedziałem mu.

- Czy lord Colle nie zszedł z nami? - Lord marszałek obejrzał się do tyłu. - Myślałem, że nam towarzyszy.

- Szedł do dwunastego poziomu. Idź tędy.

- Skończyły się schody. - Sprawiał wrażenie zadowolonego. Wcześniej był wyraźnie nieszczęśliwy, kiedy tak schodziliśmy w nieskończoność, i pewnie myślał, że gdy już dotrzemy na sam dół, to potem zaczniemy wchodzić do góry.

- Musi być więcej schodów. - Powiedziałem to bardziej do siebie i dźgnąłem go końcem miecza.

- Nie ma?

- To jest Aelfrice - wyjaśniłem mu. - A zatem muszą być niższe światy, Muspel i Niflheim.

- Królestwa ognia i lodu. - W jego głosie zabrzmiała nuta strachu.

- Chcieliśmy pójść do Aelfrice - powiedziałem. - Jesteś tutaj. Wkrótce wstanie dzień.

Szliśmy przez jakiś czas, aż usłyszeliśmy plusk fal.

- Rzadko tu wieje - wyjaśniłem mu - ale o świcie i o zmierzchu blisko morza dmucha bryza.

- I właśnie tego powietrza chciałem bardzo zaczerpnąć w płuca - powiedział lord marszałek; miałem wrażenie, że zwraca jeszcze mniejszą uwagę na mnie niż ja na niego.

Spowici szarą nocą zeszliśmy nad wodę kamienistą plażą. Schowałem

miecz do pochwy, ponieważ nie musiałem już popędzać lorda marszałka.

- Gdzie wzejdzie słońce? - zapytał.

Wiedziałem, że myślał o zachodzie słońca ginącego w morzu w Mythgarthrcie, co zapewne nieraz widział.

- Nie wzejdzie. My jesteśmy ich światłem. Zobacysz. - Jego milczenie odpowiedziało mi, że mnie nie rozumie. - W miarę jak schodzisz, światy są coraz mniejsze. Aelfrice nie jest tak duże jak nasz świat, choć pewnie jest większe niż Celidon.

- Istnieje coś takiego jak postęp geometryczny - zwrócił się do mnie lord marszałek, po czym zrobił mi wykład na temat postępu geometrycznego, a jest to coś, czego w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, i nie sądzę, by komukolwiek się to udało. - Najwyższy świat, świat Najwyższego Boga, jest nieskończony. Świat pod nim stanowi jego jedną setną, jeśli chodzi o wielkość. Niemniej jednak jedna setna nieskończoności pozostaje nieskończonością, choć o wiele mniejszą. Świat, który leży jeszcze niżej...

- Skai.

- Tak, Skai jest światem wielkości jednej setnej tego i odpowiednio dziesięciu tysięcznych Elysionu. Wciąż pozostaje nieskończony. Czy wolno mi usiąść na tym kamieniu?

- Oczywiście, panie.

- Miło z twojej strony, sir Able. Hem! Uprzejmość okazana więźniowi! Bardzo rycerskie. Sam masz niewiele.

- Odsiedziałem pierwszy raz, panie, ale nie drugi. Uciekłem wcześniej - tak więc Jej Królewska Mość dokonała wyboru.

- Zostaliśmy pokonani. - Lord marszałek otarł twarz dłonią. - Jesteśmy pokonani, powinienem raczej powiedzieć. Oni nie są do końca ludźmi, ci Osterlingowie.

- Walczyłem z nimi na morzu, panie, rzeczywiście nie są. Angronici często przypominają ludzi. Król Gilling był bardzo ludzki w swojej miłości do Idnn. Ale nie są ludźmi. A Osterlingowie nie przypominają aż tak bardzo ludzi jak król Gilling, lecz są istotami, jakimi i my możemy się stać.

Powietrze rozjaśniło się. Nigdzie indziej nie ma takiego powietrza jak w Aelfrice. W Skai powietrze jest czystsze niż najczystsze w Mythgarthrcie, tak czyste, że żadna odległość nie mąci mgiełką jego krystalicznej przejrzystości; lecz w Aelfrice powietrze jest świetliste, jakby się oddychało jednym ogromnym klejnotem. Kiedy wstał dzień, ujrzeliśmy przed sobą morze

niepodobne do żadnego innego, niebieskie jak szafir i równie roziskrzane, ciągnące się do tajemniczego wyspiarskiego królestwa. Milę nad naszymi głowami ciągnął się Mytgarthr niczym gwiazdy na bezchmurnym niebie, Jotunland na północy, zasypany śniegiem. Bezpośrednio nad nami Celidon, gdzie na polach i drzewach zieleniały wiosenne liście. A wokół nas Aelfrice, biały tam, gdzie nie był zielony, pławiący się z srebrzystym światłem, dumny tajemniczymi lasami i marmurowymi klifami.

- Mógłbym tu zostać na zawsze - powiedział cicho lord marszałek. - Oddałbym całą fortunę, zamek, konie - wszystko. I tak wszystko przepadnie, jeśli Osterlingowie zdobędą przewagę.

- Może i zostaniesz - odpowiedziałem mu, jako że zastanawiałem się nad tym, czy go tam nie zostawić, ale zaraz dodałem: - Idź za mną. - Zauważyłem właśnie szczelinę u podstawy klifu na lewo od nas.

Podążył za mną posłusznie.

- Dokąd idziemy?

- Żeby sprawdzić to miejsce i pójść dalej, jeśli się da. Ja - nie rozumiesz mojej natury. Ja też nie, mimo iż rozumiem dużo więcej niż ty. Nie mogę użyć mocy, jakie daje mi moja natura. Przysięgłem, że tego nie zrobię. Ale nie mogę zmienić tej natury, której żaden z nas nie rozumie. Co czujesz?

Pociągnął nosem.

- Zapach morza i chyba jeszcze polne kwiaty.

- Ja czuję siarkę i żałuję, że nie ma z nami Gylfa.

Zeszliśmy w rozpadlinę, ja żwawym krokiem, on zaś podążał za mną powoli. Od czasu do czasu spowijały nas opary, tak że ledwo dało się oddychać, a kiedy znikwały, powietrze przypominało powietrze znad pustyni, nieruchome, pełne kurzu i gorące.

Lord marszałek chwycił mnie za ramię.

- To jest niebezpieczne. Zbliżamy się pewnie do Muspelu.

- Już w nim jesteśmy - odpowiedziałem mu. Chwilę wcześniej dostrzegłem w ciemności smoka.

Wydawało się, że usłyszał, jak wyciągam miecz, bo zaraz zaatakował, najpierw w milczeniu, a potem wydał ryk. Lord marszałek próbował uciekać, lecz się przewrócił i potoczył w ciemność po kamiennym stoku. Smok zaatakował mnie, a ja wsadziłem mu miecz w oko.

Nie potrafię powiedzieć, jak długo szukałem lorda marszałka. Wydawało się, że minutę albo dwie, ale może i dłużej. Gdziekolwiek się nie ruszyłem,



ziemia usuwała mi się spod nóg. Zrobiło się chłodniej, wręcz zimno, a powietrze, zbite jak flegma, rozciągało żałosne białe światło, które pozwalało zobaczyć kolory drogich kamieni na pochwie mojego miecza i skórę moich dłoni.

- Able! Sir Able! - Lord marszałek nadszedł szybko po osuwającej się ziemi, tak szybko, że wiedziałem, iż pobiegłby, gdyby tylko był w stanie. - Tam jest... olbrzym... potwór - Pokazał za siebie. - My... idziemy. Musimy! On...

Powiedziałem, że chcę go zobaczyć, gdyż myślałem, że może jest to Org.

- Nie! Sir Able, sir Able, posłuchaj! Ja.. ja.. go widziałem. - Zamilkł, z trudem łapiąc powietrze.

- Tak, widziałeś go, panie. Ja też chcę go zobaczyć. - Zaraził mnie swoim strachem, tak więc dodałem zaraz: - I wtedy pójdziemy.

- Ja pójdę już teraz.

- I sam stawisz czoła smokom? Jeśli nie pójdiesz ze mną, ja pójdę z tobą i uratuję ci życie, jeśli dam radę.

Ruszyliśmy w górę stoku bez większych trudności. Po pewnym czasie zorientowałem się, że wcale nie idziemy w górę, lecz w dół. Zmieniłem kierunek. Dotarliśmy na grzbiet i mieliśmy do wyboru zacząć schodzić albo zawrócić. Z ciemnego nieba zwisały ogromne płachty lodu, a ziemia była twarda jak lód i śliska od szronu.

- To nie może być Muspel - wysapał lord marszałek.

Odpowiedział mu głos, który rozbrzmiał za nami, przed nami i dookoła nas.

- Wy nazywacie ten świat Niflheim. - Wydawał się zmęczony, lecz jednocześnie rozbrzmiewał taką mocą, jakiej nie posiada żaden Overcyn, nawet Valfather.

Lord marszałek, drżąc, opadł na kolana.

- Chciałeś mnie zobaczyć, Able. Musisz tylko spojrzeć.

Otaczał mnie ze wszystkich stron. Nie potrafię opisać tego w taki sposób, byś zrozumiał, jeśli tego nie widziałeś. Znajdowałem się w jego wnętrzu, a on badał mnie zarówno z góry jak i z dołu, ogromny i mocniejszy niż żelazo. Ohydny w swej złości. Spróbowałem zamknąć oczy przepęnlony wrazeniem, że chodzę w koszmarze, ale i tam był.

- Nazywaj mnie Bogiem, Able.

Poczułem, jak budzi się we mnie duma, która wprawdzie nie uśmierzyła

mojego strachu, ale odsunęła go na bok jako coś słabego. Powiedziałem:

- Nazywaj mnie sir Able, boże.

- Zbliżyłeś się do tajemnicy, która leży w sercu wszystkiego, Able. Oddaj mi cześć, a ci ją wyjawię.

Lord marszałek oddał mu cześć, lecz ja nie.

- Naucz się tego, a zdobędziesz władzę, o jakiej rzadko marzą ludzie i bogowie, łatwo ją zdobędziesz.

- Ten tu lord oddał ci cześć - powiedziałem. - Jemu powiedz.

- Zobacz mnie takim, jakim jestem, Able. Choć może nie zniesiesz tego widoku. - Gdy to powiedział, już mnie nie otaczał. Ujrzałem postać na lodowym tronie, ohydnie wielką. Była w niej ropucha i smok. A także lord marszałek i ja. - Teraz oddaj mi cześć, a wyjawię ci tajemnicę.

- Nie chcę poznać tajemnicy - odpowiedziałem mu - za to pragnę wrócić do Muspelu, a stamtąd do Aelfrice.

- Oddaj mi cześć!

- Lord Escan cię uwielbił - powtórzyłem. - Skoro jesteś gotów mnie to powiedzieć, dlaczego nie powiesz i jemu?

Zanim skończyłem, podniósł lorda marszałka, przysunął go do siebie i szepnął mu coś; cały Niflheim zadrżał od tego szeptu, a lodowa płachta, długa na mile, opadła z ogłuszającym hukiem.

- Teraz mnie znasz - powiedział do lorda marszałka, który nie ośmielił się otworzyć oczu.

- Ja też cię znam - odezwałem się. - To jest siódmy, najniższy świat, ostatni, a ty jesteś najniższym bogiem.

- Powiem ci, a ty mnie uwielbisz, widząc, że jest to słuszne i dobre. Zbliź się.

Sam nie podszedłem, a jednak odległość między nami zmniejszyła się.

Głos istoty przycichł do szeptu, a szept ten był najbardziej przykrym odgłosem, jaki kiedykolwiek słyszałem. Przy nim głos Grengarma brzmiał czysto jak powiew wiatru.

- Poznaj wielką tajemnicę, która to mówi, że ostatni ze światów jest pierwszym...

Niflheim znowu zadrżał. Jego skuta lodem ziemia jęknęła.

- Stoisz w Niflheim i Elysion.

Wstrząsy stawały się coraz gwałtowniejsze. Ogromny słup lodu runął na ziemię, posyłając w powietrze lodowe drzazgi i tuman roziskrzonych

kryształków podobnych do płatków śniegu. Istota, która mówiła, spojrzała w tamtą stronę, a ja dostrzegłem przez chwilę strach.

- Oglądasz moją twarz - wyszeptała i zaraz dodała, jakby czytając moje myśli: - a gdybyś zobaczył moje plecy, ujrzałbyś Najwyższego Boga...

Gdy to mówiła, Niflheim pękło. Pojawiła się szczelina między miejscem, gdzie siedział, a tym, gdzie stałem. Pomogłem wstać lordowi marszałkowi; nie potrafię powiedzieć, dlaczego to zrobiłem.

Być może on nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego wstał.

- Bo On jest mną...

Wokół mówiącej istoty leciały bryły lodu i kamienie. Kamień wielkości wołu ugodził ją.

- A ja jestem Nim!

Mówiąc to, uciekł, a zmarznięta ziemia kotłowała się pod jego stopami niczym morze, podczas gdy kamienie, lód i ogień Muspelu niemal go pogrzebały. I wtedy zobaczyłem jego plecy oraz tył głowy, całe pokryte guzami i otwartymi ranami.

\* \* \*

Gdy już wróciliśmy do Aelfrice, usiedliśmy otoczeni jego pięknem, tylko my dwaj, a potem zjawily się Aelfy, te z lasu i te z morza, przyniosły jedzenie i podarunki. Gdy już się najedliśmy, sędziwy Aelf z brodą z jesiennych liści upstrzonych jeszcze smugami zieleni, odciągnął mnie na bok i wyszeptał:

- Nasza królowa czeka na ciebie.

- Wiem - odpowiedziałem. - Powiedz jej, że przyjdę, jak tylko przedstawię wiadomość, tak jak życzyła sobie ona i królowie.

Wróciłem do lorda marszałka i usiadłem przy nim, a potem zjadłem jabłko i kawałek sera.

- Jesteś mądry - odezwał się lord marszałek. - A ja, który od tak dawna uważałem się za mądrego, jestem głupcem.

- W żadnym razie.

- Nie potrafiłem dostać się do świata Aelfrice. Hem! Przez trzydzieści lat. A ty dokonałeś tego z dziecinną łatwością, a nawet przeszedłeś przez pozostałe światy aż do końca.

Przytaknąłem mu.

- Nie słyszałem, by ktokolwiek dokonał tego. Nikt poza tobą. I mną, ponieważ poszedłem z tobą.

Powiedziałem, że chciałbym kiedyś udać się do Kleos, świata nad Skai, lecz miną długie lata, zanim spróbuję.

- A ja chciałbym tu siedzieć w nieskończoność - odpowiedział mi poważnym głosem - i podziwiać fale i niebo, pożywiając się tutejszym jedzeniem.

Niezbyt uważnie słuchałem, gdy to mówił, lecz gdy wstaliśmy, by wrócić do Mythgarthru, obejrzałem się za siebie. Ujrzałem go, jak siedzi z jedzeniem przed sobą, wpatrzony z zachwytem w morze. Pokazałem ręką, a on powiedział:

- Wiem. - Są rzeczy w Aelfrice, których wciąż nie rozumiem.

## ROZDZIAŁ 36

### **WALKA PRZED BRAMĄ**

Czas w Aelfrice płynie wolniej niż w Mythgarthricie, zaś czas w Muspelu płynie wolniej niż w Aelfrice, a czas w Niflheim jeszcze wolniej. Nie było nas pół dnia. Kiedy wróciliśmy, Kingsdoom leżało w gruzach, a nad Thortower powiewała czerwona szmata i była pełnia lata.

Spotkaliśmy kobietę, która żebrała o jedzenie. Nie mieliśmy jej co dać, a nasze pieniądze były bezwartościowe, bo nie było gdzie kupić chleba.

- Król nie żyje - powiedziała nam - i teraz w Celidonie rządzą Osterlingowie, którzy zjadają tych, których nie wzięli do niewoli. Ja mam kryjówkę.

Nie chciała nam jej pokazać, twierdząc, że jest tam miejsce tylko na jedną osobę. Marszałek zapytał o swój zamek Sevengates, lecz ona nie potrafiła mu nic powiedzieć.

- Chciałbym pójść do Thortower - zwrócił się do mnie. - Payn jest moim bękartem. Domyśliłeś się tego? - Znał tajemną drogę. Zgodziłem się pójść z nim, licząc na to, że znajdę tam Wistana. - Potrzebny mi miecz - powiedział. - Nie pomacham już zbyt szybko, a poza tym nigdy nie byłem dobrym szermierzem. Ale spróbuję, bo muszę.

- Tak postępują wszyscy szermierze, panie - powiedziałem.

Podziękowaliśmy żebraczce za wiadomości i obiecaliśmy, że przyniesiemy jej jedzenie, jeśli jakieś zdobędziemy, po czym udaliśmy się do gospody. Pomimo słonecznej, letniej pogody, widok nie był ciekawy: brukowane ulice tonące w gruzie, spalone sklepy, ani śladu ludzi. Na rynku Osterlingowie rozpalili ognisko i posilali się przy nim ludzkim mięsem. Na kamiennych chodnikach wały się kości, poogryzane i na wpół spalone.

- Nie znam gorszego okropieństwa - rzekł lord marszałek.

- Miałem służącego - powiedziałem - który robił to samo, tyle tylko, że nie piekł swojego mięsa. Tak więc jestem uodporniony. Czy to coś gorszego zabić dziecko albo je zjeść, zanim zrobią to robaki?

Gospoda jeszcze stała, ale w oknach nie było szyb i powyrywano drzwi. Zawołałem na Pouka i Unsa. Moje krzyki spowodowały, że w oknie na czwartym piętrze ukazał się Uns, ale sprowadziły też patrol Osterlingów. Uns zrzucił gruz z góry, a lord marszałek porwał miecz dowódcy patrolu, kiedy wysłałem go na tamten świat, tak więc mieliśmy czym walczyć.

Gdy już było po walce, udaliśmy się na górę i spotkaliśmy na schodach Unsa. (Na schodach też poczułem dotknięcie myśli Chmury. Samotna i zdziwała, ucieszyła się dotknięciem mojego umysłu, lecz jednocześnie była lękliwa.) Uns oznajmił, że ma moją tarczę, łuk i kołczan, po czym zaprowadził nas do rupieciarni, w której ukrył wszystko.

- I jeszcze to, sar. Tyn stary kapeusz. Zapumniałeś, sar?

To był hełm, stary, jak powiedział, i znowu zardzewiały. Założyłem go i ujrzałem Unsa krzepkiego i wyprostowanego, a lorda marszałka starszego i przepędnionego wiedzą, ale i przestraszonego, ponieważ wiedział.

- Pouk poszedł do domu, odwiedzić żonkę - powiedział Uns. - Un też ma trochę twoich rzeczy. Trzymie je dla ciebie.

Zapytałem o Wistana, lecz Uns nic o nim nie wiedział; nie potrafił też powiedzieć nic więcej o wojnie ponad to, czego dowiedzieliśmy się od żebraczki. Odbyliśmy naradę i zabieraliśmy kolejno głos jak równi. Ostatecznie ustaliliśmy, że ja i lord marszałek udamy się do Thortower, tak jak planowaliśmy, podczas gdy Uns miał sprowadzić żebraczkę, której obiecaliśmy pomoc, nakarmić ją (ponieważ miał trochę jedzenia) i spakować wszystkie te rzeczy, które mogliśmy zabrać ze sobą. Umówiliśmy się, że spotkamy się w gospodzie, a potem spróbujemy dotrzeć do Sevengates, ponieważ liczyliśmy na to, że dwór nie został jeszcze zdobyty.

Gdy już wszystko ustaliliśmy, dałem lordowi marszałkowi kilka lekcji, jak walczyć jego nową bronią. Była to szabla z ostrą wewnętrzną krawędzią. Początkowo walczył nią dość nieporadnie, ale szybko ją polubił. Dla mnie była zbyt krótka i zbyt ciężka na końcu, ale klingę miała sztywną i ostrą, a to jest najważniejsze.

Potem poszliśmy spać, wstaliśmy, gdy tylko wzeszedł księżyc, i udaliśmy się na wschód od miasta przez zniszczone ziemie. W gęstwinie zarośli odszukaliśmy żelazne drzwi osadzone w ścianie klifu nie wyższe niż kopia. Lord marszałek wyjął klucz i przeszliśmy na drugą stronę, a ja obawiałem się, że znajdziemy się w Aelfrice.

Niewiele się pomyliłem. Gdy tylko zamknęliśmy za sobą drzwi,

poczuliśmy, jak czyjeś dłonie czepiają się naszych ubrań, a cienkie aelfickie głosy zaczęły szydzić z nas i nas prowokować. Kiedy już widzieliśmy koniec długiego, wąskiego tunelu, złapałem jedną z nich za nadgarstek, a gdy marszałek otworzył kolejne drzwi i wprowadził nas do piwniczki na wino, wciągnąłem ją za sobą w ciemniejszy kąt i zażądałem, żeby się przedstawiła.

Zadrżała i odpowiedział mi:

- Twoja niewolnica, Baki, panie.

- Która myślała, że może sobie ze mnie pozartować w tym tunelu. -  
Obnażyłem miecz.

- Ch-chciałam zabrać cię do Aelfrice, gdzie b-byłbyś bezpieczny.

- Która zostawiła mnie skutego łańcuchami w lochach. - Nie byłem na nią wściekły i nie pałałem rządzą zemsty; powodowała mną jedynie zimna sprawiedliwość, która już wydała wyrok.

Nic nie powiedziała.

Lord marszałek zapytał, czy znam „tego Aelfa”.

- Po tyśiąckroć przedstawiała się jako moja niewolnica - odpowiedziałem mu - a ja wciąż ją uwalniałem, choć żadne z nas nie ufało drugiemu. Czy chciałbyś mieć aelficką niewolnicę?

- Bardzo.

- Jeśli ją oszczędzę, przysięgnie ci wierność. I zdradzi przy pierwszej okazji. Mam racje, Baki?

- Byłam twoją niewolnicą, bo tak chciał Garsecg, panie. Będę jemu służyła, jeśli taka jest twoja wola.

- Idziemy do góry, prawda? - zwróciłem się do lorda marszałka. - Przecież nie mogą być tu na dole.

- Na lewo od ciebie są schody - powiedziała Baki.

- Dzięki. Mógłbym cię tu zabić, Baki. Podciąć ci to twoje zgniłe gardło. Ale zabiorę cię tam, gdzie będę mógł zadać ci czyste pchnięcie. Chcesz porozmawiać o krwi, której się napiłem, kiedy byłem ranny? Słucham.

Może i potrząsnęła głową - było zbyt ciemno, bym mógł coś zobaczyć.

Schody zaprowadziły nas do spiżarni, a spiżarnia do ogromnej sali, pełnej tarcz i mieczy zawieszonych na ścianach. Kiedy szliśmy w tunelu, zapadła noc, lecz w obu końcach sali paliły się świece, dając dość światła, by wprowadzić dobre pchnięcie.

- Czy wolno mi coś powiedzieć, panie? Wiem, że mnie zabijesz, więc nie ma sensu się bronić. Chciałabym jednak powiedzieć dwie rzeczy, zanim

umrę, tak byś zrozumiał, kiedy już mnie tu nie będzie.

Być może jej przytaknąłem - raczej na pewno. Patrzyłem na nią spojrzeniem starego hełmu i widziałem istotę podobną do kobiety, ulepioną z ziemi, żaru i ciał zwierząt.

- Odrzącałeś mnie setki razy. Byłam odważna, a ty mnie odrzącałeś. Okazałam nieśmiałość i też mnie odrzącałeś. Wciąż ci pomagałam, lecz kiedy miałam przetrącony kark, sam nie chciałeś mnie uleczyć, lecz sprowadziłeś chłopaka, by to zrobił. Wiedziałam, że jeśli przyjdę do twojej celi i cię uwolnię, to i tak znowu mnie odrzącisz. Uznałam więc, że może jeśli cię tam zostawię i poczekam, aż będziesz bliski śmierci, to może poczujesz wdzięczność. Nie pozwoliłabym ci umrzeć i przysłałabym. Domagałabym się przysięgi, zanim bym cię nakarmiła i uwolniła. To po pierwsze.

- Nie wiem, czy powinienem ci zazdrościć, czy się roześmiać, sir Able - powiedział lord marszałek.

Puściłem Baki i zdjąłem hełm; nie mogłem na nią patrzeć, ponieważ w hełmie na głowie widziałem ją zbyt dobrze.

- Czy by ci to pomogło, panie, gdybym ci powiedział, że jestem chłopcem, który odgrywa rycerza. Widziałem cię takim, jakim jesteś, i widziałem Baki taką, jaką jest, a gdybyś ty mnie w ten sposób zobaczył, wiedziałbyś to. Mężczyźni nie kpią z chłopców - ani im nie zazdroszczą.

- W takim razie nie jestem mężczyzną - odpowiedział mi lord marszałek - bo ja zazdrościłem tysiącom.

- Dlaczego nie uciekasz? - zwróciłem się do Baki. - Może byś uratowała życie.

- Ponieważ chcę powiedzieć coś jeszcze. Szarpaliśmy cię i szczyпалиśmy w tunelu. Ilu z nas mogłeś złapać?

Wtedy słyszałem ciche odgłosy licznych stóp, ale teraz nic nie odpowiedziałem.

- Tylko mnie, ponieważ próbowałam odciągnąć cię do Aelfrice, gdzie byłbyś bezpieczny, podczas gdy inni droczyli się tylko z tobą.

Chyba bym ją dźgnął mieczem, gdybym otrzymał jeszcze sekundę; niestety nie miałem czasu, bo wpadli Osterlingowie. Baki zdjęła miecz ze ściany i walczyła razem z nami, Aelf, panna, a potem żywy płomień. Miecz, który wcześniej ukradła Uri, przesiewał wrogów i prowadził mnie do przodu, lecz Baki zawsze była przede mną i cięła przeciwników niczym żniwiarz zboże.



Kiedy ostatni z nich uciekł, stanęła przede mną z mieczem w dłoni i zapytała:

- Kto zwyciężył, panie? Ty?

- Nie. - Miałem na głowie hełm, lecz nie patrzyłem na nią.

- Zmierzysz się ze mną? Na miecze?

- Nie - odpowiedziałem. - Zabiłbym cię, a nie chcę tego. Odejdź w pokoju.

Jej miecz opadł na podłogę, a ona sama znikła.

- Lepiej się stąd wynośmy - powiedział lord marszałek. Zgodziłem się z nim, on zaś pokazał mi wąskie schody ukryte za arrasem.

Opisanie naszych przeszukiwań zamku Thortower byłoby nużącym zajęciem - bo takie było. Co i rusz zatrzymywaliśmy się na odpoczynek, a potem sam szukałem i wróciłem do niego (czekającego w ukryciu w swojej bibliotece), gdy już się upewniłem, że nie ma nigdzie ani Payna, ani Wistana.

- Pewnie nie żyją. - Wstał sztywno. - Ćwiczyłem szermierkę jako chłopiec. Minęło ze dwadzieścia lat albo i więcej, od czasu gdy trzymałem miecz w ręku. - Wyciągnął miecz w moją stronę, mimo iż widziałem go wcześniej. - Czy wiesz, ilu ludzi zabiłem czymś takim wcześniej?

Pokręciłem głową i wyczerpany opadłem na krzesło.

- Ani jednego, za to dzisiaj zabiłem czterech. Cztery włócznie Osterlingów, przy czym jednego ubiliśmy razem z Aelfem. Jak długo może nam dopisywać takie szczęście?

- Aż dotrzemy do Sevengates, panie. Na wschód?

- Pięć dni konno.

- W takim razie trzy albo nawet nie tyle, jeśli trochę przyspieszymy. - Liczyłem na to, że Chmura dołączy do mnie niebawem.

- Będziemy jechać prosto w paszczę armii, którą Caan wysłał, by odzyskać Córe Ognia. - Lord marszałek otarł dłonią twarz i wbił wzrok w sufit. - To znaczy, jeśli pojedziemy prostą drogą. Znasz północ?

- Mniej więcej.

- Tak jak ja. Może byłoby lepiej, gdybyśmy najpierw skręcili na północ, a potem na wschód i na południe.

Tak, więc wyruszyliśmy z Kingsdoom przez nikogo nie zatrzymywani, choć w Thortower wrzało, gdy wychodziliśmy. Pierwszej nocy kiedy lord marszałek, Uns i żebraczka Galene zasnęły, ja leżałem wpatrzony w kierunku Skai; w pewnym momencie wydało mi się nawet, że dostrzegłem Chmurę pośród gwiazd i natychmiast posłałem jej myśli, by jej powiedzieć, że jestem

tu, w dole. Nie dotarły do niej, ponieważ nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Następnego dnia wciąż napotykał się Osterlingów. Dwukrotnie walczyli z nimi. Musieli zejść z drogi, a potem gdy wrócili na nią, znowu trzeba było się schować. Osterlingowie ogołocili całą okolicę, paląc wioski i zagrody, a także pożerając ludzi i żywy inwentarz. Tamtej nocy skończył nam się chleb i boczek; kiedy odeszli, długo podsycaliśmy ogień, choć wolelibyśmy zaspokoić głód.

- Dobrze jadałem w swoim długim życiu - zauważył lord marszałek - a teraz umrę z pustym brzuchem. Wstyd. Czy dobrze się je w Krainie Umarłych? Królowa Idnn mówiła, że spędziłeś tam jakiś czas.

- Tylko jako gość. Nie, panie.

- W takim razie postaram się tam nie pójść.

Galene spojrzała na Unsa, lecz on tylko wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Byś nakarmił te Osterlingi, nawet jak byś umarł, sar. Nie, sar, ty i tak byś miał pusty brzuch, a one nie.

- Sir Able, czy mogę mówić otwarcie o ostatnim miejscu, w którym dobrze nas karmiono?

Skinąłem głową.

- Czy nie moglibyśmy wrócić do Aelfrice? Wszyscy?

- Chodzi ci o to, czy mógłbym zabrać aż tylu? Myślę, że tak. Ale nie mam pewności co do jedzenia i moglibyśmy stracić z rok, pożywiając się tam.

- Lepiej stracić rok niż życie.

- Życie też moglibyśmy stracić. Nie widziałeś, jak tam bywa niebezpiecznie. Często przybywają tam smoki i nie tylko, a najbardziej niebezpieczne mogłyby się okazać same Aelfy. Czyż nie przebywasz tam?

Odpowiedział skinieniem głowy.

- Niech to wystarczy.

- Nic nie wiecie o trudach - mruknęła Galene.

- Sar Able wie - poprawił ją Uns.

- Rycerz, ze służącymi? Nie sądzę.

Lord marszałek kazał jej uważać na to, co mówi, a ja odpowiedziałem, że skoro potrafię stawić czoło mieczom i włóczniom naszych wrogów, to z pewnością zniosę też gadanie kobiety - pod warunkiem, że nie będzie powtarzała tego samego zbyt często.

- Nie wiem, co takiego mogłeś wycierpieć. Te rany i tak dalej. Walka to rycerska praca, ale pozostali nie powinni się zachowywać, jakby to był tylko

zawód, jak praca rzeźnika. Całe życie byłam biedna, do tego zabrano mi jeszcze to, co miałam, ponieważ wy rycerze nie walczyliście jak należy. Miałam swojego mężczyznę. Mieliśmy dziecko...

- Wielu spośród tych rycerzy zapłaciło swoim życiem - mruknął lord marszałek.

Uns objął Galene i ujął jej dłoń w swoją, co wydawało się bardziej sensowne. Patrząc w ogień, ujrzałem twarz Baki. Wypowiedziała niemo słowo, którego nie zrozumiałem, a potem pokazała na lewo i znikła. Przeprosiłem pozostałych i wstałem.

W głębokim cieniu kobieta o oczach pełnych żółtego ognia przyłgnęła do mnie tak, jak tylko nieliczni mężczyźni mogli tego doświadczyć. Poznałem ją po tym, jak mnie pocałowała, a całowaliśmy się długo, bardzo długo. Gdy wreszcie odsunęliśmy się od siebie, roześmiała się cicho i powiedziała:

- Wiatr wieje w kominie.

Zgodziłem się z nią.

- Lepiej już pójdę, zanim ogień rozpali się zbyt mocno. - Cofnąłem się, wtedy ona zniknęła, choć jej głos pozostał. - Nowina czy obietnica - co wolisz usłyszeć najpierw?

- Obietnicę oczywiście.

- Niemądry. Oto moja nowina. Baki mówi, że szukałeś swojego giermka i urzędnika grubasa. Jeśli wciąż ich szukasz, to bronią niedużego dworu zwanego Czerwonym Dworem. Poprzednim razem spotkaliśmy się w tamtej okolicy.

Zaniemówiłem i tylko skinąłem głową.

- Atakuje ich dwustu napastników, a nadciągają kolejni. Schroniły się tam kobiety i dzieci, które uciekły przed nimi. Znasz pewnie niektóre z tych kobiet.

Zapytałem, kim są.

- Nie zwracałam na nie uwagi i nie rozpoznałabym urzędnika grubasa, gdybym nie zaczęła tamtego chłopaka. Toug się nazywa?

- Wistan - poprawiłem ją. - Toug jest giermkiem sir Svona. Był przynajmniej.

- To chyba nie ma znaczenia. Czy duże kobiety obchodzą cię bardziej niż ja?

- Nie ma droższej mi osoby niż ty.

Roześmiała się zadowolona.

- Zafascynowałam cię. Cudownie! Moja reputacja pozostaje nienaruszona. Idziesz tam?

- Nie! Idę z tobą do Aelfrice, na zawsze.

Wyszła w światło księżyca, naga, zdecydowanie budząca pożądanie.

- A zatem chodź. - Wzięła mnie za rękę. - Zostaw tamtych. I tak umrą.

Dopiero w tym momencie zorientowałem się, że stoimy na szczycie wzgórza; jego zbocze opadało łagodnie, a powietrze migotało roziskrzone daleko przed nami.

- Nie mogę - powiedziałem.

Disiri westchnęła.

- A ja nie mogę cię pokochać tak, jak ty ich kochasz. Czy pójdziesz, jeśli obiecuję, że spróbuję? Bardzo spróbuję?

- Nie mogę - powtórzyłem. - Nie teraz.

- Znudzę się tobą. Wiem, że wiesz. Ale wrócę do ciebie, a kiedy wrócę, doświadczymy takiej radości, jakiej nie doświadczyl jeszcze nikt w żadnym ze światów.

Pewnie dostrzegła odpowiedź w moich oczach, bo znikła, gdy jeszcze to mówiła. Wzgórze znikło razem z nią, a ja stałem na płaskim terenie.

Uns i Galene spali, kiedy wróciłem do ogniska.

- Wistan i Payn są w moim dworze - powiedziałem do lorda marszałka. - Jest oblegany. Mam zamiar im pomóc.

Stary hełm leżał przy ognisku, tam gdzie przedtem siedziałem. Usiadłem przy nim, założyłem go i zaraz zdjąłem.

- Skąd wiesz? - zapytał lord marszałek.

- Disiri mi powiedziała.

Powiedział coś jeszcze, lecz ja mu nie odpowiedziałem i nie pamiętam, co to było. Poklepałem stary hełm.

- Nie miałem go na sobie.

Marszałek spojrzał na mnie zdziwiony.

- Pewnie, że nie.

- I dobrze. Bardzo dobrze. Idziesz?

- Do Czerwonego Dworu, z tobą? Czy królowa powiedziała jednoznacznie, że jest tam Payn?

Skinąłem głową.

- W takim razie idę. Muszę.

Liczyłem, że pójdzie, i już wcześniej zaplanowałem, że wyślę z nim Unsa

i Galene. Dałem mu do zrozumienia, że poza zapewnieniem Disiri nie mam powodu, by wierzyć, że Payn i Wistan są tam, i ostrzegłem go, że Aelfom nie można ufać.

- Kochałem jego matkę - powiedział lord marszałek. - Bardzo ją kochałem. Nie mogłem jej poślubić. Pochodziła z ludu, była jedną z pokojówek mojej matki. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

Powiedziałem, że mnie też nie musi mówić.

- Ale chcę. Chcę, żebyś wiedział, jeśli zginę, a ty odnajdziesz Payna. Kiedy zaszła w ciążę, skryła się w lesie, pół dnia drogi z Sevingates. Dałem jej pieniądze i przekupiłem leśniczego mojego ojca, żeby zaniósł jej jedzenie. Czasem ją odwiedzałem. - Wykrzywił twarz. - Nie aż tak często.

Gdy znowu włożyłem stary hełm, ujrzałem ogromne cierpienie, jakiego nie chciałem więcej zobaczyć.

- Poród trwał cztery dni. Nie mogła urodzić. Leśniczy sprowadził swoją żonę, a kiedy ona przestała oddychać, Amabel otworzyła ją i wyjęła mojego syna.

Zdjąłem hełm.

- Torturujesz samego siebie. To już przeszłość i nawet Overcyni nie mogą jej zmienić.

- Adoptowali Payna, leśniczy i jego żona. Hrolfr i Amabel, prości, ale poczciwi ludzie. Payn miał trzynaście lat, kiedy mój ojciec objął urząd, i dopiero wtedy mogłem dopilnować, żeby otrzymał wykształcenie. Kiedy Jego Królewska Mość mianował mnie na to stanowisko, uczyniłem go jednym z moich urzędników; dałbym mu jakieś gospodarstwo, ale chciałem, żeby był blisko mnie. Chciałem go mieć przy sobie i rozmawiać z nim codziennie. Żeby go pokierować.

Stary hełm fascynował mnie. Kiedy go miałem na sobie, nasz ogień był tylko ogniem, za to gwiazdy!

- Moja żona nie urodziła dziecka, sir Able, a ja nie miałem kochanki poza Wiligą. Rozumiesz, dlaczego, tego jestem pewny. Nie powiedziałem Paynowi, że jestem jego ojcem, ale chyba domyślił się już dawno temu.

\* \* \*

Gdy dotarliśmy do Czerwonego Dworu, ukryliśmy się w lesie, snując

bezowocne plany i licząc na to, że uda nam się w jakiś sposób przerwać linię oblężenia i przejść przez mur do środka. Uns uplótł sidła z gałązek pnączy i wierzby. Złapał w nie kilka królików i jeża, a Galene znalazła jagody, jadalne choć kwaśne. Umarlibyśmy z głodu bez tego jedzenia.

Osterlingowie stanowili sami dla siebie prowiant. Kiedy nie mieli co jeść, atakowali; wtedy ci, którzy zginęli lub odnieśli poważne rany, stawali się posiłkiem dla pozostałych. Posługiwali się drabinami oblężniczymi, po których i my mieliśmy nadzieję przedostać się na drugą stronę muru.

- Naszymi sprzymierzeńcami będą ciemność i deszcz - powiedział lord marszałek nie pierwszy już raz. - Wprawdzie o tej porze rzadko pada, za to ubywa księżyc.

- Nas też - rzucił ponurym tonem Uns.

- Możecie mnie zjeść, jak już umrę - oznajmiła Galene bardzo poważnym tonem - tylko że ja nie umrę, więc nie będziecie mogli mnie zjeść.

W tym momencie podjąłem decyzję. Owszem, złożyłem przysięgę przed Valfatherem; ale teraz złamię ją, tylko trochę, i przyjmę karę, jaką mi nałoży. Kiedy pozostali mnie nie słyszeli, przemówiłem do Skai. Na mój rozkaz chmury zasłoniły księżyc, a z Jotunlandu przyplął podmuch jesiennego chłodu.

- Tu jesteś! - Galene chwyciła mnie za rękę. - Wszędzie cię szukamy. Nadeszła odpowiednia chwila.

Wyszliśmy ostrożnie z lasu, lord marszałek za mną, za nim Galene, a na końcu Uns uzbrojony w solidny kij. Deszcz, który siekł oślepiającą ciemność, bardzo nas ucieszył.

Mieliśmy właśnie ukraść drabinę, gdy nieoczekiwanie brama Czerwonego Dworu otworzyła się, a jego obrońcy zaatakowali wroga. Ogromne jak drzewa kobiety przewróciły wieżę na kołach prosto na chaty zbudowane przez Osterlingów. Poprzecinano liny katapult, a topory wgryzły się w ich drewniane części. Atakujących prowadził wielki złocisty rycerz, bohater z legendy, nieustraszony i szybki jak lew.

Zawołałem:

- Disiri! - I zaraz rzuciłem się do walki. Dostrzegłem moment, w którym rycerz usłyszał mój okrzyk i zrozumiał, co on oznacza; jego oblicze rozjaśniło się i od razu natarł z wściekłością na Osterlingów. Jego miecz udawał błyskawicę, a jego okrzyk „Idnn!” przypominał grzmot. Mój miecz unosił się i opadał, ciął i wychodził do przodu pchnięciem obok jego miecza,

i podobnie jak w Thortower, zdawał się czegoś szukać, próbując krew każdego, który padł na ziemię, i odskakiwał z niezadowoleniem. Początkowo walczyłem w naszej awangardzie, a potem przed nią, ponieważ mój miecz ciągnął mnie do przodu spragniony i wciąż szukał, tnąc z pogardą kolejnych przeciwników, odskakiwał.

Rozległ się nowy grzmot, czarna burza rozszalała się na polu, mocząc je krwawą ulewą. Rozpoznałem ten głos i zaraz przywołałem do siebie Gylfa, który teraz dorównywał w kłębie czarnemu bykowi, a jego ślepie przypominały dwa słońca, kły zaś noże.

Powiedziałbym, że byłem osłabiony z powodu głodu, dlatego morze, które kiedyś obudził we mnie Garsecg, długo nie dodawało mi sił. Wreszcie jednak poczułem jego moc, gdy drogę zastąpił mi przywódca Osterlingów. Miał na sobie zbroję najeżoną ćwiekami, a w ręku trzymał buzdygan z trzema gwiazdami na łańcuchach. Dosięgnął mnie nimi ponad moją tarczę, tak jak ktoś sięga ponad żywopłotem, i położył mnie plackiem w błocie. Podniosłem się, tak jak wzbiera morze, spojrzałem na jego szkaradną postać i wepchnąłem ukradziony miecz prosto w jego gardło; w taki sam sposób Toug zwykł rozprawiać się z wieprzem. Ilu jeszcze potem zginęło, nie potrafię powiedzieć, w każdym razie pozostali uciekli, tak że to, co zaczęło się jako wypad, skończyło się jako zwycięstwo, pierwsze, jakie Celidon odniósł w tamtej wojnie.

Nastał świt, lecz trudno było to zobaczyć, jako że ciemna burza wciąż szalała. Każdy rycerz, który to czyta, powie zapewne, że powinniśmy byli dosiąść koni i puścić się w pościg za naszymi wrogami. Tak jednak nie zrobiliśmy, ponieważ mieliśmy zbyt mało koni, te zaś, którymi dysponowaliśmy, były wychudzone i osłabione, a i my śłaniailiśmy się na nogach z wyczerpania. Zdjąłem stary hełm, ponieważ pot lał się ze mnie strużkami, gdy tak stałem na zimnie i deszczu i w słabym świetle zobaczyłem pole bitwy przed bramą Czerwonego Dworu: błoto i woda, liście i patyki ze zburzonych chat, drewniane drzazgi i okaleczone belki, żałosne ciała zabitych. Deszcz siekł ich twarze, a także twarze rannych, kobiet i mężczyzn, którzy krzyczeli i jęczeli, usiłując się podnieść. Niektórzy poszli między rannych Osterlingów i ich dobijali, lecz ja się do tego nie mieszałem.

Zamiast tego udałem się na poszukiwanie złocistego rycerza, który nas poprowadził. Zdążył się skurczyć do rozmiarów Svona - Svona, który wciąż trzymał na ramieniu połowę swojej tarczy, na której pozostała połowa

łabędzia, a drugi łabędź, z połączanego drewna i z utraconym w walce skrzydłem, widniał na jego hełmie. Objęliśmy się, czego nigdy wcześniej nie robiliśmy, a potem pomógł mi zanieść lorda marszałka do dworu; przez cały czas Gylf kręcił się wokół nas, machając radośnie ogonem.

W pokoju zebrało się ze dwudziestu albo i trzydziestu ludzi, których sprowadziła tam wieść, że oto dołączył do nich ktoś szlachetnie urodzony. Liczyli zapewne na to, że przybysz przyprowadził ze sobą znaczne posiłki, ale nie okazali niezadowolenia, gdy okazało się, że całe siły to Gylf, Uns i ja. (Niektórzy może nawet odetchnęli z ulgą, gdyż nie mieli zbyt dużo zapasów.) Nakazaliśmy im cofnąć się i zachować ciszę, a potem odszukawszy między nimi Payna, pozwoliliśmy mu zaopiekować się ojcem. Wniesiono też pozostałych rannych. Zajęły się nimi obecne tam kobiety, podczas gdy ja, Svon i inni wróciliśmy na pole, by sprawdzić, czy nie został tam jeszcze ktoś żywy, a także by zebrać z zabitych łupy.

Gdy już znaleźliśmy się na zewnątrz, zapytałem Svona, kto dowodzi.

- Ty, sir Able, skoro już tu jesteś.

Pokręciłem głową.

- Widziałem Jej Królewską Mość pośród jej straży.

- Moja żona ustąpi ci, nie wątpię. To jest Czerwony Dwór, twój dwór. Nie ma tu twojego księcia, a ty nie jesteś naszym poddanym.

Pogratulowałem mu małżeństwa, a on, strasznie utrudzony, odpowiedział mi uśmiechem.

- Pamiętasz zapewne, że marzyłem o tym, miałem nadzieję, że kiedyś wzniosę się do stanu szlacheckiego.

- Że wrócisz do niego. Twój ojciec był szlachetnie urodzony.

- Dziękuję ci. Że wrócę. - Usta mojego giermka wykrzywił gorzki uśmiech, którego szczerze nienawidziłem. - Byłbym już szczęśliwy, mogąc umrzeć jako baronet. Tymczasem jestem księciem.

Jeszcze raz mu pogratulowałem, zwracając się do niego Wasza Wysokość.

- Walczący księżę, który znalazł się daleko od ziem swojej żony, który przekonał się, jak niezastąpione jest rycerskie doświadczenie. Chcesz usłyszeć naszą historię?

Chciałem oczywiście. Idąc, jak się dowiedziałem, wracając na południe, zabrała ze sobą sto młodych Skjaldmeyjar. Zaskoczyły całe Kingsdoom, gdy się zjawily na ślubie swojej królowej, który stanowił potwierdzenie jej królewskiego statusu - statusu ochoczo potwierdzonego przez Arnthora, który



widział w niej sprzymierzeńca w koalicji przeciwko Schildstarrowi. Kiedy odmówił uwolnienia mnie, poszły walczyć z Osterlingami, jego najbardziej niebezpiecznymi wojskiem, licząc na to, że w rewanżu wyświadczy Idnn przysługę.

Niestety, już pierwsze ciepłe dni pokazały, że budzące grozę Córki Angr nie mogą dalej walczyć. Wcześniej Idnn pomaszerowała na północ ze Svonem, Manim i kilkoma innymi, lecz została zatrzymana u podnóża gór przez armię północną Caana, która zdążyła już napaść na Irringsmouth i plądrowała okolice w poszukiwaniu żywności, jaka miała zostać wysłana na południe. Zmuszeni zawrócili i połączyli się z innymi, którzy uciekli albo walczyli, chroniąc się w dworach i zamkach, które szybko zostały zajęte przez Osterlingów, aż dotarli do Czerwonego Dworu. Z setki Skjaldmeyjar pozostało dwadzieścia osiem przed naszą bitwą i dwadzieścia siedem po niej. Niespotykany jak na tę porę chłód umożliwił im walkę, a Svon nakazał przeprowadzenie akcji wypadowej; było jednak jasne, że do walki przystąpią znowu dopiero z nastaniem pierwszych przymrozków.

- Czy chciałbyś poznać przywódcę tych, którzy przyłączyli się do nas podczas odwrotu? - zapytał Svon. - Jest tam. - Wyciągnął rękę, a po jego kolczudze popłyną deszcz (teraz cieplejszy).

Odpowiedziałem, że chętnie go poznam. Muszę tutaj dodać w swojej obronie, że wciąż było ciemno, a mężczyzna wskazany przez Svona ubrany był w płaszcz z kapturem naciągniętym na głowę.

- Sir Tougu! Sir Able chciałby z tobą porozmawiać i dziwi mnie, że nie palisz się do rozmowy tak jak on.

Toug zmusił się do uśmiechu i podał mi rękę. Zapytałem, jak tam jego ramię, a on odpowiedział, że już wygojone. Niezupełnie powiedział prawdę, jak się niebawem dowiedziałem, ale już mu tak nie dokuczało.

- Powiedziałem, że nie chcę być rycerzem, a ty odpowiedziałeś mi, że i tak nim jestem i nic na to nie poradzę - odpowiedział mi. - Obaj mieliśmy rację. Zjawili się Osterlingowie i nie znalazł się nikt, kto by potrafił poprowadzić ludzi z wioski, musiałem więc to zrobić. Najpierw mnie nie chcieli, dlatego po prostu stanąłem w pierwszym szeregu. Odparliśmy kilka ataków, a potem przyłączyła się do nas Wolna Drużyna. Nie mieliśmy żadnych zwierząt, jęczmień na polach leżał podeptany, no to udaliśmy się na południe. Dotarliśmy do miejsca, w którym była Etela, ale oni zaczęli dopiero wszystko odnawiać. Ona jest tutaj, razem z matką i ojcem.

Zapytałem, czy Vil jest jej ojcem, a Toug potwierdził to.

- Nie mówili o tym, sir Able, ponieważ nie byli małżeństwem. Ale teraz już są. Tylko że on nie pozwala mówić na siebie „panie”. Pozostał Vilem.

- Słusznie - mruknął Svon,

- Ja jestem sir Toug, a sir Svon jest księciem Svonem. - On pasował mnie na rycerza - na północy byłem jego giermkim. Za twoją sprawą.

Przytaknąłem.

- Tak więc mnie pasował. A w przyszłym roku, jeśli dożyjemy, Etela i ja chcemy się pobrać.

Gylf wspiął się na tylne łapy i oparł przednimi o pierś Touga, liząc mu twarz. Zdumiało mnie to i rozbawiło, jak mało co. Nawet teraz śmieję się, gdy sobie to przypomnę.

- Jest tu jeszcze ktoś, o kim powinienem ci opowiedzieć - rzekł Toug. - Zawsze ich lubiłeś. - To para staruszków z Jotunlandu, ślepiec, który był niewolnikiem w gospodarstwie.

W tej chwili przez mój umysł przetoczyły się tysiące szczegółów - zniszczenie ziemi, oczy Arnthora, pijacki uśmiech jego siostry i śliczna twarz o pustym spojrzeniu jego królowej. Wypełnione mrokiem dni spędzone w lochach, zimno będące oddechem śmierci, chata Bertolda Śmiałego, wiatr szumiący w koronach drzew - pocałunek Disiri, jej długie nogi i smukłe ramiona, zielone palce dłuższe niż moja dłoń. Gerda w młodości, taka jaką pamiętał ją Bertold, dziewczyna o płowych włosach i roześmianych oczach. Mag w Pokoju Zagubionej Miłości Thiaziego.

Sala Pani pośród kwitnących łąk, gdzie kwiatami są gwiazdy, i och, tysiące innych szczegółów. I wtedy ja, który jeszcze chwilę wcześniej śmiałem się, zapłakałem. Toug objął mnie, tak jak się pociesza dziecko, i przemówił do mnie, jak pewnie matka mawiała do niego:

- Już dobrze, dobrze... Nieważne, to nieważne.

\* \* \*

Przybył jeździec, ten sam Lamwell z Chaus, który zabawiał się ze mną halabardami podczas turnieju, tak utrudzony, że ledwo trzymał się w siodle, tak bliski śmierci, że przewrócił się, gdy dotknął stopami ziemi. Król nie umarł - przebywa na południu i potrzebuje każdego, kto zechce się

przyłączyć. Odbyliśmy naradę, podczas której oznajmiłem, że pojedę, a pozostali uczynią, jak zechcą, ale król, który mnie uwolnił, potrzebuje mnie. Pouk i Uns stanęli przy mnie, a przy nich ich żony; z pewnością zawstydzili wielu. Idnn powiedziała, że nie może pojechać, a Córki Angr nie mogą walczyć w lecie, ledwo są w stanie maszerować - musiałyby iść nocą, zatrzymując się często na postój. Dodała, że oboje ze Svonem udadzą się teraz na północ, skoro wróg w tej części Celidonu został pokonany, z nadzieją na chłodniejszą pogodę pośród wzgórz. Trzy czwarte z nich zginęło w służbie u obcego króla, przypomniała nam, do tego przewróciły wieżę oblężniczą. Przyznaliśmy jej rację, niektórzy trochę niechętnie.

Potem odbyłem rozmowę z Idnn na osobności; opowiedziała mi o wizycie Uri i swojej rozmowie z Valfatherem. Kiedy już powiedzieliśmy, co mieliśmy do powiedzenia, poprosiłem ją o przysługę.

- Wszystko, co w mojej mocy - odparła. - Zostaniemy nawet, jeśli w tym rzecz. Tylko że bez mojego męża ja sama na niewiele ci się przydam.

- Możesz mi być bardzo pomocna, Wasza Królewska Mość, niewielkim kosztem. Na północy oddałem ci na służbę Bertolda i Gerdę. Czy oddasz mi ich teraz?

Ochoczo się zgodziła.

Zrobiła nawet więcej, nadając Paynowi tytuł barona swojego królestwa - został zaprzysiężony przy świadkach. Potem lord marszałek oznajmił, że jeśli umrze, spadkobiercą jego zamku, ziem i wszelkiego dobytku zostanie lord Payn z Jotunhome.

Chciałem wyjechać już rankiem następnego dnia, ale nie mogłem. Przez dwa dni zbieraliśmy wszystko, co się dało. Chodziło o coś jeszcze innego. Miałem nadzieję, że dołączy do mnie Chmura. Gdyby tak było, zostawiłbym pozostałych i udał się prosto do króla, niestety, nie zjawiała się, choć wołałem ją co noc. Była ostatnim podarunkiem, jaki otrzymałem od Valfathera, i wydawało mi się, że wie, iż złamałem daną mu przysięgę, i teraz jej nieobecność stanowi łagodny wyrok. Przestałem ją przywoływać, gdy opuściliśmy Czerwony Dwór.

## ROZDZIAŁ 37

### **PIĘĆ LOSÓW I TRZY ŻYCZENIA**

Mieliśmy dwa konie, które nadawały się do walki. Wzięliśmy po jednym z Lamwellem, ale na niewiele się to zdało, ponieważ nie mogliśmy jechać szybciej niż pozostali, a większość z nich poruszała się pieszo, choć mieliśmy lekkiego wierzchowca dla Lynnet i szarego młodego osia, który nadawał się dla dziecka, dla Eteli.

Ciężko rannych zostawiliśmy w Czerwonym Dworze pod opieką Payna, a także te kobiety, które zgodziły się zostać. Potrzebowałem rady Bertolda Śmiałego, dlatego poprosiłem Idnn, żeby mi go oddała; Gerda nie chciała się z nim rozstać. Podobnie rzecz się miała z Ulfą i Galene - Pouk i Uns jechali na wojnę, a one i tak by szły za nami z tyłu, gdybyśmy nie zabrali ich ze sobą.

Lynnet też nie chciała zostać.

- Pochodzę z wojowniczej rodziny - powiedziała. Gdy spojrzałem jej w oczy, poczułem się jak syn, który nie potrafi odmówić niczego matce. A tam dokąd ona się udawała, tam też musieli jechać Vil i Etela; tak więc Vil szedł przy jej koniu, z jedną dłonią na jej strzemieniu, w drugiej zaś dzierżył swój kij.

Udaliśmy się do Irringsmouth, licząc na to, że znajdziemy jakiś statek; miasto wciąż było w opłakanym stanie, tak więc ani prośbą, ani groźbą nie byliśmy w stanie wyczarować statku. Stamtąd pomaszerowaliśmy w dół wybrzeża wyboistymi drogami i bezdrożami. Nasze siły stanowiło trzech rycerzy, siedmiu zbrojnych i czterech łuczników, moich z Czerwonego Dworu; mieliśmy też pięćdziesięciu pięciu uzbrojonych prostaków, w tym dwudziestu rozbójników, na których nie można było polegać. Reszta to wieśniacy, bardzo słabo obeznani z bronią.

Do tego szło z nami dwóch ślepców i zbyt wiele kobiet, spośród których część poszłaby do walki, gdyby je poprowadzić. Mając w pamięci Idnn i jej służące, rozdałem łuki tym kobietom, które wykazywały jakieś zdolności.

Pozostałe miały kije albo włócznie. Lynnet, wciąż nie całkiem zdrowa, miała miecz, który według słów Eteli należał do jej dziadka; i nikt w całym Mythgarthcie nie przyniósł miecza szybszego czy bardziej dzikiego. Miałem też ze sobą Pouka i Unsa; mimo iż żaden z nich nie był wybitnym szermierzem, wiedzieli, do czego służy broń, i można było na nich liczyć podczas walki. Lamwell był moim zastępcą, a jego zastępcą był Toug. Pod nimi byli Wistan (który podążył za Idnn i prawie można go było uznać za rycerza), Pouk i Uns.

Mieliśmy ze sobą jeszcze jednego towarzysza, którego imię ledwo wspominano, a który jednak wzbudzał respekt pozostałych. To był Gylf, a ja, jako ten, który widział go, jak uśmierca ludzi niczym szczury, wiedziałem, że jest wart stu włóchni. Od czasu do czasu towarzyszyły nam Aelfy. Przynosiły jedzenie albo mówiły, gdzie możemy je znaleźć lub gdzie zdobyć konie.

Bo choć bardzo brakowało nam żywności, to jeszcze bardziej potrzebowaliśmy koni, jeszcze w Irringsmouth udało nam się kupić dwa i muła. Potem próbowaliśmy je zdobyć wszędzie, gdzie tylko się dało, płacąc za nie, jeśli to było możliwe, a jeśli nie było, zdobywaliśmy je walką.

Skutkiem tego straciliśmy kilku naszych, co było nieuniknione, lecz w miarę jak się posuwaliśmy, werbowaliśmy następnych: zrujnowanych chłopów, głodnych, lecz jeszcze bardziej spragnionych przywództwa i zemsty. Wyrażałem się z podziwem o ich sile i odwadze i przysięgałem im, że uwolnimy Celidon od Osterlingów; Uns uczył ich walki drągiem, a Pouk walki nożem.

W pobliżu Forcetti napotkaliśmy pierwszy pokaźny oddział wroga, dwustu może. Spodziewając się, że uciekniemy na sam widok czerwonej szmaty, byli nieprzygotowani, kiedy ich zaatakowaliśmy - nie było nas więcej niż stu, za to walczyliśmy, jakbyśmy mieli za sobą tysięczną armię. Powietrze było czyste, gorące i nieruchome, niebo błękitne, niemal bezchmurne, a cięciwy naszych łuków śpiewały głośno, kiedy tamci wzięli nogi za pas. Straciliśmy strzały, a strzały były dla nas cenniejsze niż złoto; na szczęście pozbieraliśmy inne i zdobyliśmy nowe łuki, a także miecze, zakrzywione i proste, włócznie dwojakiego rodzaju, tarcze i inne łupy. Tam też dołączył do nas Duns; Nukara zginęła z ręki Osterlingów, którzy splądrowali i spalili ich zagrodę. W naszym towarzystwie Duns szybko się nauczył, że nie może dłużej rozkazywać młodszemu bratu.

Walczyliśmy z grupami wypadowymi wroga i od ich rannych

dowiedzieliśmy się tego, co już wydawało się jasne - że Caan jest na południu, gdzie stawiał mu czoło Arnthor. Niektórzy mówili, że Góra Ognia pozostaje w rękach Arnthora, inni, że została zdobyta, a jeden, powiedział, że Celidon z powrotem ją odzyskał. Zapytałem Uri, a ta udała się tam i potwierdziła tę wiadomość. Powiedziała też, że kiedy góra pozostawała w rękach Osterlingów, ci wrzucali do jej krateru starców i dzieci, swoich i naszych, w zamian za co ich siły zasiły trzy smoki z Muspelu. Nie chcieliśmy w to wierzyć, gdyż wydawało się, że armia Arnthora nie dałaby rady pokonać Osterlingów i trzech smoków. Vil zasugerował, że może Caan upłócił smoki z wikliny, żeby nas nimi postraszyć, lecz Uri upierała się, że niemożliwe, aby dała się aż tak bardzo nabrać.

Kingsdoom zastaliśmy opustoszałe. Weszliśmy do Thortower, chociaż musieliśmy zasypać fosę przed Wielką Bramą, ponieważ most zwodzony został spalony. W Gawroniej Wieży zastaliśmy Osterlingów, którzy zabarykadowali się i pozywiali jednym ze swoich. Zburzyliśmy ich barykady, a potem ja i Lamwell zaatakowaliśmy ich wspomagani przez Wistana, Pouka, Unsa i Quta. Jeden z nich wyjawiał, że Caan zostawił ich w Thortower, żeby bronili zamku do jego powrotu. Po jego odjeździe niemal każdej nocy odwiedzał ich niewidzialny potwór. Po każdej wizycie zabierał ze sobą jednego z nich albo dwóch. Kiedy próbowali z nim walczyć, łamał ich włócznie jak zapalki.

Odesłałem pozostałych, wróciłem do lochu i przywołałem Orga. Urósł tak bardzo, że trudno mi było uwierzyć, iż wszedł do wieży; wydawało się, że wszystkie drzwi są za wąskie, by mógł przejść przez nie. Przy pomocy kilku słów i wielu gestów wyjaśnił mi, że wdrapał się i wszedł do wieży w miejscu, gdzie katapulta wybiła wyrwę w dziurze.

- Możesz trzymać zamek dla króla Arnthora - zwróciłem się do niego. - Wtedy Osterlingowie, których zabiliśmy, będą twoi, a także wszyscy ci, którzy się tu pojawią. Albo możesz pójść z nami. Czeka nas nie jedna bitwa, więc nie braknie ci pozywienia i pewnie byś nam pomógł.

- Na północ?

- Nie, na południe. Na pustynię.

- Ruiny? Leort mówi, że ruiny.

Zapomniałem o tym.

- Tak - powiedziałem. - Możliwe, że znajdziesz tam podobnych do siebie, ale nie mogę ci tego obiecać.

Obarczyłem Unsa tym samym obowiązkiem co dawniej, on zaś, nie zwierzając się Dunsowi, wyznaczył sobie do pomocy Galene. Kiedy już przebyliśmy część drogi na południe, ujrzałem ją jakby unoszącą się nad równiną; jechała na barkach powłóczącego nogami potwora, którego widziałem bardziej oczyma wyobraźni niż naprawdę.

Minął tydzień, a potem następny; gdybym chciał opisać wszystko, co się w tym czasie wydarzyło, nigdy bym nie skończył. Walczyliśmy dwukrotnie. Pokonani za dnia, wróciliśmy nocą z setką Khimair i czterdziestką Aelfów Ognia. Org zaatakował naszych przeciwników od tyłu. Kilka dni później zobaczyliśmy słup czarnego dymu, a po kolejnych trzech naszym oczom ukazał się ośnieżony szczyt Góry Ognia.

Dołączyliśmy do armii króla. Gdy posłał po mnie, zobaczyłem, że jest ranny i opiekuje się nim Beel.

- Uwolnił cię, żebyś walczył dla nas - powiedział - lecz byłeś na to zbyt słaby.

Zgodziłem się z nim.

- Ale nie zbyt słaby, żeby zniknąć. Żeby zniknąć i zabrać ze sobą lorda Escana. Co z nim zrobiłeś?

- Dopilnowałem, aby opatrzone mu rany i je obandażowano - odpowiedziałem. - Został przy nim lord Payn, jego syn.

- On nie ma syna.

- W takim razie to nie może być ten lord Escan, o którym mówię, Wasza Królewska Mość, gdyż człowiek, którego mam na myśli ma nieślubnego syna, barona Jotunhome. Najwyraźniej wziąłem kogoś innego za twojego marszałka.

Arnthor spojrział znacząco na Beela, a ten powiedział:

- To mi pachnie plotką, ciekawą, lecz nieistotną. Przyprowadziłeś posiłki?

- Nawet nie setkę.

- Ilu konkretnie?

- Sześćdziesięciu siedmiu zdolnych do walki, do tego dwadzieścia dwie kobiety, które są w stanie zgiąć łuk.

- A mają łuki?

Skinąłem głową i dodałem, że potrzebujemy strzał.

- Ty zgiąłeś słynny łuk na północy. Opowiadałem o tym Jego Królewskiej Mości. Lecz twoje wyczyny strzeleckie podczas turnieju, mimo iż niezłe, rozczarowały go.

- Mnie także - odpowiedziałem mu. - Może i tu postrzelamy? Liczę, że pójdzie mi lepiej.

- To szaleństwo - rzekł Arnthor.

- Zgadzam się. Wasza Królewska Mość, ale to nie ja zacząłem mówić o turniejach. Jeśli chcesz, bym dowodził twoimi siłami, to obejmę dowództwo i zrobię, co w mojej mocy. A jeśli chcesz, żebym walczył razem z innymi rycerzami, to też tak uczynię.

- Dowodzimy całym Celidonem. Myślisz, że nie damy rady podnieść się z tego łóżka?

- Życzę ci więcej sił, Wasza Wysokość.

- Będziemy mieć dość sił, gdy przyjdzie czas - żeby wstać i dosiąść rumaka. Uczynilibyśmy cię naszym zastępcą, gdybyśmy mogli, sir Able.

- Wasza Królewska Mość, to dla mnie zbyt wielki zaszczyt.

Uśmiechnął się gorzko.

- Jest, jak mówisz. Nie można ci ufać. Wiemy o tym. Jesteś z Aelfrice, bez względu na wygląd i twoje słowa. Tak jak i my, dlatego znamy swoich. - Myślę, że normalnie roześmiałyby się, tak jak się śmieją Aelfy, lecz nie pozwoliła mu na to rana. - Urodziłem się w Aelfrice. Podobnie jak moja siostra. Znasz tę historię?

Przytaknąłem mu.

- Twój brat opowiedział mi trochę, Wasza Królewska Mość.

- On nie żyje. Próbowaliśmy wezwać go na pomoc, ale już go nie ma. Ty go zabiłeś, sir Able?

- Nie, Wasza Królewska Mość.

- A powiedziałbyś prawdę, sir Able, gdybyś to zrobił?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

Na jego usta powrócił gorzki uśmiech.

- Powiedziałaś, lordzie Beel?

- Myślę, że tak, Wasza Królewska Mość.

Arnthor zamknął oczy.

- Modlę się do Skai, aby ten, który go zabił, dołączył do nas i to jak najszybciej. Może nam być potrzebny.

- Overcyni uśmiechnęli się do ciebie, Wasza Królewska Mość - powiedziałem.

Otworzył oczy.

- Jest z tobą?



- Ślepiec? - rzucił Beel. - Zięc mi opowiedział.

Skinąłem głową.

- Setr był naszym bratem. - Głos Arnthora zniżył się do szeptu. - Zwykliśmy... Teraz to już nie ma znaczenia. Nie będziemy się też mścić za śmierć brata na człowieku, który nie widzi.

Przyklęknałem.

- Mówię w imieniu Valfathera i jego synów, Wasza Królewska Mość, poznawszy ich wszystkich. Dobrze jest triumfować nad wrogiem, ale jeszcze lepiej zasłużyć na triumf nad nimi. Nie bardziej niż każdy inny potrafię przewidzieć, czy wygrasz, ale dzisiaj dokonałeś czegoś więcej.

- Dziękuję ci. - Król znowu zamknął oczy na chwilę i zaraz otworzył je jeszcze szerzej. - Mówisz, że on nie widzi. My widzimy. Czy my znamy twój hełm?

Wyciągnąłem przed siebie rękę z hełmem.

- Jest twój. Wasza Królewska Mość, jeśli chcesz.

- Nie chcemy. Mówimy tylko to: nie wolno ci go nosić w naszej obecności.

Przyrzekłem, że go nie założę.

- Musimy zbierać siły. Powiedz mu, Beel.

Beel chrząknął.

- Będę się streszczał. Jeszcze dwa dni temu ksiązę Coth był drugi po Jego Królewskiej Mości. Po jego śmierci stanowisko to przypada twojemu panu lennemu. Po naradzie z Jego Królewską Mością postanowiłem wezwać go i nakłonić, by posłuchał twojej rady. W oficjalnym zawiadomieniu nie padnie twoje imię, rozumiesz? Czy zgodzisz się na to?

Zgodziłem się i tak też się stało; Marder przekazał swój miecz Arnthorowi (ten siedział na krześle udrapowanym szkarłatnym aksamitem, które zastąpiło tron) i odebrał go od niego, mając za świadków szlachetnie urodzonych, którzy jeszcze pozostali.

Gdy już zostaliśmy sami, zapytałem Mardera o nasze wojska, choć trochę już widziałem, niestety niewiele dobrego.

Wzruszył ramionami.

- Przepędziłeś Osterlingów z Płonącej Góry.

- Rzeczywiście tego dokonaliśmy, choć z dużymi stratami. Walczyliśmy pieszo. To przypominało atak na dziesięć zamków. Gdyby król posłuchał mojej rady, w ogóle byśmy nie walczyli.

Czekałem.

- Jesteśmy między młotem a kowadłem, sir Able. Nasi ludzie nie mają co jeść, tak więc musimy walczyć wtedy, kiedy jeszcze trzymają się na nogach. To młot. Jesteśmy też wyczerpani. To nasze kowadło. Szkoda, że nie widziałeś nas w bitwie Pięciu Losów... - Ponownie wzruszył ramionami.

Wyglądał teraz na człowieka starego i zmęczonego. Brodę miał zawsze siwą, lecz teraz jeszcze zmęczoną i wychudzoną twarz. Czekałem dłuższą chwilę, spodziewając się, że powie coś więcej, a gdy wciąż milczał, zapytałem:

- Czy aż tak bardzo się spieszymy, że nie możesz mi o tym powiedzieć? Byłem w Jotunlandzie.

- Bo cię tam posłałem. Użyłem całych swoich wpływów, żeby cię wyciągnąć z jego lochów. Był nieprzejednany.

- Sam król mnie uwolnił. Dlaczego ta bitwa została nazwana bitwą Pięciu Losów? Czy to nazwa miejsca?

Marder pokręcił głową.

- To opowieść dla dzieci.

- W sam raz dla mnie.

- Jak chcesz. Stary Caan, ojciec obecnego Caana nie miał prawowitego potomka. Wszyscy jego synowie byli bękartami, w którym to względzie różnił się od naszego króla. Nie miał żadnych prawowitych synów ani córek, ponieważ jego królowa była bezpłodna. Było jasne dla jego doradców, że gdy umrze, jego bękartcy rozerwą jego królestwo na dwadzieścia części.

Chyba się uśmiechnąłem.

- Gdyby tak było! Wezwał sławnego czarnoksiężnika i podarował mu skrzynię złota. Może mu też groził, różnie podają relacje. Czarnoksiężnik zapewnił go, że królowa urodzi mu synów i zrobił, co do niego należało. Królowa poczęła, zaszła w ciążę i zmarła, dając mu nie jednego, nie dwóch i nie trzech synów.

- Pięciu? - zapytałem, chyba z niedowierzaniem.

Marder pokręcił głową przecząco.

- Sześciu. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby kobieta urodziła sześcioro dzieci, a jednak tak się stało; jak sześć ziaren grochu. Nie było wątpliwości co do prawa sukcesji, ponieważ położne zaznaczyły wszystkie według kolejności narodzin. Zawiązały czerwoną wstążkę na kostce nogi pierwszego, brązową na kostce drugiego, białą na nodze trzeciego, połączoną u

czwartego, niebieską u piątego i czarną u szóstego. Wstążki trzech pierwszych kolorów zostały dostarczone celowo przez Wazira. Pozostałe oddarto od ubrań dzieci.

- Czy to prawdziwa opowieść?

- Prawdziwa. Nasz król ma wiele sposobów, by dowiedzieć się, co się dzieje w kraju Osterlingów, i wszystkie źródła ją potwierdziły. A poza tym, młodzi Tijanamirowie otrzymali stroje w odpowiednich barwach, tak by rozpoznawano porządek ich narodzin i by oni sami znali swoje miejsce. Najstarszego nazwano Czerwonym Tijanamirem i tak dalej.

- A pięć losów?

- To losy pięciu tijanamirów. Jak zapewne się domyślasz, pojawienie się sześciu dziedziców dało powód do komentarzy. Radzono się jasnowidzów i jedną przepowiednie zaczęto powtarzać w całym królestwie, mimo iż Caan zakazał tego. Otóż zapytano wieszczka - może nawet uczynił to sam Wazir - który ze spadkobierców obejmie rządy i czy będzie je sprawował długo. On uchylił zasłony i przepowiedział, że wszyscy będą rządzić i wszyscy umrą młodo.

- To bardzo dobre wieści, jeśli można im wierzyć - powiedziałem.

Marder wzruszył ramionami.

- Chcesz usłyszeć całą historię?

- Jeśli ma to znaczenie dla bitwy.

- Ma - choćby tylko ze względu na nazwę, jaką jej nadaliśmy. Jasnowidz przepowiedział też, w jaki sposób każdy z nich umrze. Czerwonego Tijanamira, powiedział, zmiążdży kamień. Brązowy zostanie wdeptany w błoto. Biały zginie z rąk swoich wyznawców. Żółcisty umrze w złotej fortecy, Niebieski utonie, a Czarny będzie wciąż przebijany mieczem, który Caan nosił w dniu przepowiedni. Co cię trapi?

Machnąłem ręką i poprosiłem, żeby mówił dalej.

- Jak sobie życzysz. Przepowiednia ta jest znana jako przepowiednia Sześciu Losów, jako że jasnowidz przepowiedział losy wszystkich sześciu. Czerwony Tijanamir objął rządy po ojcu, kiedy go zabiliśmy. Byłeś wtedy na północy, lecz ja brałem udział w kampanii, także sir Woddet, który wielce się wtedy zasłużył.

- Chciałbym się z nim zobaczyć. W jaki sposób umarli Tijanamirowie?

- Dokładnie tak, jak przepowiedział każdemu wieszcz. Czerwony Caan, który był Czerwonym Tijanamirem, zdjął hełm, by otrzeć czoło. Kamień

wyrzucony z procy ugodził go i zabił, pierwsze przeznaczenie. Nowy Caan, Brązowy Tijanamir, zginął pod kopytami naszych wierzchowców. Drugie. Biały Tijanamir został Caanem po śmierci brata. Nie minęła godzina, jak został przebity kopią. Wiedząc, że umrze, próbował skończyć swoje życie, lecz nie miał dość sił, tak więc błagał przyjaciół, by mu pomogli, co też uczynili. A zatem trzeci los.

- Rozumiem.

- Czwartym, jak zapewne pamiętasz, był Złocisty Tijanamir. Nosił złoty hełm, tak jak jego bracia nosili odpowiednio czerwony, brązowy, biały, niebieski i czarny. Sir Woddet ugodził go kopią w oko i Złocisty Caan zmarł w złotej fortecy. Sowiec wynagrodziłem sir Woddeta za to pchnięcie, o czym zapewne słyszałeś. Król obdarował go jeszcze hojniej.

- Domyślam się, że Niebieski Tijanamir utonął - powiedziałem, Marder przytaknął mi.

- Zbrojny przeszył mu nożem płuca, a ten utonął we własnej krwi, piąty los. Szósty tijanamir, czarny, jest obecnym Caanem. A to dlatego, że stary Caan, znając przepowiednię, przekazał synowi miecz, który nosił tamtego dnia. Ponoć leży zamknięty w skarbcu; zdaje się, że dopóki tam pozostaje, czarny Caan jest bezpieczny.

Przytaknąłem mu, choć myślałem inaczej.

- Wydaje się, że jasnowidz pomylił się. Powiedział, że wszyscy będą rządzić krótko.

- Wieszczę często się mylą - odparł Marder - ale przypuśćmy, że pokonamy Osterlingów w ciągu miesiąca lub dwóch. Czy nie moglibyśmy zająć ich stolicy, otworzyć skarbiec i zabrać z niego miecz?

- Moglibyśmy - powiedziałem - o ile jeszcze tam jest.

\* \* \*

Dokonawszy przeglądu naszych wojsk, nie miałem wątpliwości, że nie może być mowy o zwycięstwie, jedyne, co mogliśmy zrobić, to pomaszerować na północ, zebrać więcej ludzi, w miarę możliwości, i zgromadzić żywność. Gdyby można było liczyć na godziwe warunki, doradziłbym Marderowi i Arnthorowi, żeby się poddali. Niestety, nie było takiej szansy; opuściliśmy Płonącą Górę, zdobytą ogromnym kosztem, mimo

iż zniszczyło to resztki morale, jakie zachowali jeszcze nasi ludzie.

Potem nadeszły takie dni, że żałowałem, iż nie mogę wrócić do celi. Pomaszerowaliśmy na północ. Czarny Caan, który musiał się dowiedzieć o naszych poczynaniach, zastąpił nam drogę i zmusił do walki. Wycofaliśmy się w dół wybrzeża, łowiąc włóczniami ryby na płycznach i żywiąc się małżami. Kiedy zaczęły zdychać nasze konie, jeden po drugim, od razu zostały zjedzone.

Objąłem tylną straż, razem z Woddetem, Roberem, Lamwellem i innymi. Nie było dnia, żeby nie trzeba było wyciągnąć z pochwy miecza, ponieważ grupy wypadowe Caana były bardzo szybkie i śmiało nas atakowały, starając się odciągnąć nas od naszych zmarłych. Ich łucznicy, podobnie jak nasi, potrzebowali strzał, które musieli znaleźć lub zrobić, ale mieli też wielu procarzy, którzy zgromadzili dość kamieni, żeby wybić cały Mythgarthr. Lawina kamieni, potem kilka oszczepów i atak - zawsze w tym samym porządku, jak się zorientowaliśmy. Potrzebowaliśmy szerokich tarcz, żeby się osłonić przed kamieniami, tak więc niebawem nawet ci najlżej uzbrojeni je posiadali, uplecione z palmowych liści, jeśli nie było innej możliwości. My rycerze tworzyliśmy pierwszy szereg i braliśmy na siebie główne uderzenie, czasem odrzucając tarcze, by móc trzymać kopie w obu rękach, choć częściej walczyliśmy z tarczą i mieczem, rano i wieczorem, kiedy to byliśmy zamroczeni głodem.

Często naszym wybawcą był Gylf, który znajdował zwierzynę tam, gdzie sami byśmy jej nie wypatrzyli, albo też prowadził nas do niej. Marder powiedział mi, po sześciu piekielnych dniach, podczas których pracowaliśmy, by połączyć mostem brzegi rzeki Greenflood, że nasza tylna straż prezentuje się lepiej niż inne. Sprawdziłem i przekonałem się, że miał rację.

Zanim zatrzymał nas Caan, maszerowaliśmy na północ od Płonącej Góry. Tamtej nocy (jak dobrze to pamiętam!) znowu ujrzelśmy jej ponurą łunę: światło koloru starej krwi rozlane plamą na niebie. Przyszedł po mnie paż, przestraszony chłopiec; zanim jednak o tym opowiem, muszę wyjawić, że Gylf, który walczył za kilkudziesięciu zbrojnych i znajdował jedzenie w beznadziejnych sytuacjach, uratował mnie tamtego dnia. Przewróciłem się i zginąłbym niechybnie, gdyby Gylf mnie nie osłonił, zabijając każdego Osterlinga, który się zbliżył. Gdy Marder o tym usłyszał, wezwał mnie do siebie na rozmowę. Dlatego właśnie wróciłem, a Gylf ze mną, i zobaczyliśmy

wychudzone twarze i puste spojrzenia tysiąca ludzi, którzy kiedyś byli silni.

- Sir Able?

Wcześniej nie wiedziałem, że w armii Arnthora są chłopcy, nie licząc giermków, którzy byli już prawie dorośli; lecz ten nie miał więcej jak dziesięć lat. Miałem na sobie stary hełm z braku innego, choć nie bardzo chciałem ujrzeć prawdę, jaką przedstawiał; dlatego być może widziałem jego przerażenie wyraźniej, niż wskazywałoby na to jego oblicze.

- Jej Wysokość musi z tobą porozmawiać, sir Able.

Poczułem gniew, gdy zobaczyłem, w jakim stanie są nasi ludzie, i ucieszyłem się, że będę mógł dać mu upust.

- Morcaine rozmawiała już ze mną wcześniej - odpowiedziałem mu. - Mówię ci to, co jej powiedziałem. Pozwoliła mi gnić w lochach, z których uwolnił mnie jej brat, którego boi się tak bardzo. On ma moją lojalność, nie ona. Jeśli pragnie mojej przyjaźni, niech na nią zapracuje.

Poszedł sobie, lecz wrócił niebawem jeszcze bardziej przestraszony.

- Jej Wysokość mówi, że nie rozumiesz, że to nie ona sama chce z tobą rozmawiać. Jest z nią ktoś jeszcze... - Głos mu się załamał i dopiero po chwili spróbował mówić dalej: - Ona też chce z tobą mówić, sir Able, ale coś - ktoś...

Usłyszałem szczęknięcie jego zębów. Kiedy on wciąż próbował się opanować, zapytałem:

- Królowa?

- Ni-nie. Nie, sir.

- W takim razie król. Czemu tak nie powiedziała?

Biedaczyna potrząsnął gwałtownie głową.

- W porządku, w takim razie Czarny Caan!

Po twarzy chłopca popłynęły łzy.

- Muszę cię przyprowadzić, bo... bo mnie zabije.

- W takim razie mnie przyprowadzisz - odpowiedziałem mu. - Chodź. Jestem zmęczony i chcę to mieć już za sobą.

Ta Morcaine, która przywitała mnie i Gylfa, była kobietą do rąbka swojej sukni, niżej jej zaś miała ciało węża, ogromne, wijące się i ładnie ozdobione runami degeneracji i zniszczenia.

- Przypuśćmy, że byłbyś królem - powiedziała.

Odpowiedziałem jej, że jej słowa pachną zdradą.

- Ani trochę. Ktoś bardzo ważny pragnie się z tobą zobaczyć. - Pokazał na

tył pawilonu, gdzie powiewała czarna kurtyna. - Ale może mamy jeszcze chwilę dla siebie. Mój brat jest ciężko ranny. Uparł się, by wziąć udział w kolejnej bitwie - wie, co się dzieje z królem, który nie walczy. Nikt nie opłakiwałby bardziej jego śmierci niż ja, ale przypuśćmy, że umrze. Kto obejmie rządy?

- Królowa Gaynor, jak mi się wydaje - odpowiedziałem, mimo iż domyślałem się czegoś innego.

- Z tobą w roli swojego miecza?

Pokręciłem głową przecząco.

- Nie winię cię. Posłała cię do lochu i pozwoliła, byś tam gnił. Ciebie, swojego rycerza. Ona nie pochodzi z rodu królewskiego. Może zdradzi mojego brata, a może nie. Słusznie, a może i bez powodu, mój brat jej nie ufa, o czym powiedział twojemu panu lennemu i innym. W sytuacji pokoju mogliby ją zaakceptować, ale nie teraz i nie tutaj. Nie stanęłoby przy niej nawet trzech lordów.

- W takim razie ty - powiedziałem.

- Tak już lepiej, ponieważ jestem z rodu królewskiego. Ale wciąż kiepsko, ponieważ nie jestem wojownikiem i żaden z nich by mi nie zaufał. Książę Marder?

- Wspomógłbym go swoim mieczem.

- Starzec pozbawiony syna. - Roześmiała się, lecz był to słaby i drżący śmiech; usłyszawszy go, domyśliłem się, że jest coś, co napełnia ją strachem i każe zachować trzeźwość. - Kto dowodzi tą armią? Kto wydaje rozkazy?

Nie odpowiedziałem.

- Miałbyś okazję zasmakować zemsty.

Nie mogłem mówić, więc tylko pokręciłem głową.

- Jak mógłbyś się lepiej zemścić niż żeniąc się ze mną? Mógłbyś mnie gwałcić każdej nocy. Dwa albo i trzy razy. Wyglądasz na takiego, co by dał radę. Mógłbyś mieć tuzin kochanek i w ogóle się z nimi nie kryć. Mógłbyś okładać mnie pogrzebaczem, a cały Celidon okrzyczałby mnie nieojalną, gdybym rzekła choć słowo przeciwko tobie.

Przysunęła moją dłoń do swojego policzka.

- Ależ jesteś silny! W jaki sposób się zemścisz, jeśli mnie nie poślubisz? Pomyśl o tym. Dostaniesz głowę Gaynor nadzianą na dzidę. Jestem z rodziny królewskiej, ale będę na drugim brzegu twojego łóżka, zawsze w zasięgu twojej ręki.

- Nie. - Odsunąłem dłoń.

- Posłuchaj! Mamy mało czasu. Mój brat umrze w przeciągu miesiąca. Nikt nie będzie chciał Gaynor. Wielu stanie przy mnie dla dobra mojego ojca. Mądrzy ludzie, tacy jak Jego Miłość, będą się obawiać kolejnej wojny, w której brat stanie przeciwko bratu, a potem obaj zostaną pokonani przez Osterlingów. Zbierzemy tych, którzy nam sprzyjają, i oznajmimy chęć zawarcia związku.

Zamilkła; nie widząc mojej twarzy schowanej w głębi hełmu, obserwowała moje oczy. A potem niespodziewanie uśmiechnęła się.

- Kurtyna! Tak mówią kuglarze. Boisz się tam wejść?

Potrząsnąłem głową.

- A powinienes. - Znowu zaśmiała się nieporadnie. - Ja bym się bała. Przyprowadziłam go. Zastanów się nad tym, co powiedziałam, ukochany, jeśli wyjdiesz stamtąd o zdrowych zmysłach.

Być może skinąłem głową albo coś powiedziałem, lecz jeśli nawet to nie pamiętam co. Ona czy też ja albo on, któreś z nas odsunęło kurtynę. Nie potrafię opisać pustego piekła po tamtej stronie - żadne słowa by tego nie wyraziły.

- Zdejmij go - zwrócił się do mnie, a ja nie potrafiłem go nie posłuchać, tak samo jak nie potrafiłbym podnieść samego siebie za pasek.

Pozbawiony starego hełmu od razu go rozpoznałem, silny o ostrych rysach jak każdy lis i okolony ogniem - niepłynącymi włosami Aelfów Ognia, które są tylko podobne do płomieni, lecz prawdziwymi płomieniami, czerwonymi, żółtymi i niebieskimi, strzelającymi i trzaskającymi.

- Znasz mnie - powiedział - a ja znam ciebie. Nie tak dawno temu nazwałeś mnie najmłodszym i najgorszym spośród synów mego ojca i obraziłeś moją żonę.

- Nie miałem takich intencji - odpowiedziałem. - Czy odważyłbym się obrazić dwoje ludzi, których boję się najbardziej?

- Chełpisz się, że nic nie jest ci straszne. - Spojrzał spod zmarszczonych brwi na Gylfa. - I ukradłeś jednego z psów mojego ojca. To mu się nie spodoba.

- Nie - warknął Gylf. - On wie.

- W takim razie mnie się to nie podoba. - Uśmiechnął się. - Ale przemilczę to. Potrzebujesz mnie. A ja nie potrzebuję ciebie, ani trochę, chyba że dla zabawy. Wiesz, że mam miękkie serce.



- Wiem, że tak mówisz - wydusiłem z siebie.

- Jestem kłamcą, oczywiście. W tym względzie wrodziłem się do rodziców. Nie kłamiąc - nigdy nie kłamię - proponuję pomoc. Dla zabawy. Bo mnie to bawi. Ale moja oferta jest prawdziwa.

Ze wszystkich sił starałem się opanować strach.

- Wy, ludzie, narzekacie na nas - tak samo jak Aelfy narzekają na was. My się nie przejmujemy i nie obchodzi nas, czy żyjecie, czy umieracie. Jaki jest sens zostać druidem? Po co się modlić, skoro nikt nie słucha? W porządku, oto jestem. Czy zaprzeczysz, że jestem Overcynem?

Gylf przemówił w moim imieniu:

- Nie. Jesteś nim.

- Dobrze. I nie jestem najmniejszym spośród nas. Czy usłyszę twoją modlitwę, stojąc tu, przed tobą? Z pewnością bym ją usłyszał, nawet gdybym zatkał sobie uszy. Klęknij.

Klęknąłem, a Gylf położył się przy mnie.

- Wspaniale. Czy gdybym kazał ci dotknąć nosem dywanu, tak bym mógł postawić stopę na twojej głowie, to byś to zrobił?

- Tak - odparłem. - Musiałbym.

- W takim razie darujemy sobie. Módl się.

- Wielki księżę światła - zacząłem. - Księżę ognia...

- Nieważne. Nie potrzebujemy tego. Powiedzmy, że spełnię twoje trzy życzenia. Wiem, o co poprosisz, ale sam musisz to powiedzieć. Czego chcesz? Nie dwa i nie cztery życzenia.

- Jedzenia. Tyle, by starczyło do końca wojny.

- W porządku. Co jeszcze?

- Więcej ludzi.

- A konkretnie? Jednego? dwóch?

- Dziesięć tysięcy.

Jego śmiech zabrzmiał koszmarnie.

- Nie mogę tego zrobić, bo nie dałbyś rady nimi dowodzić. Pięciuset. To moja najlepsza propozycja.

- Przyjmuję ją. - Odzyskałem już trochę panowanie nad sobą. - I dziękuję ci z całego serca.

- To nie koniec. Trzecie życzenie?

- Chmura. Twój ojciec mi ją podarował, lecz straciłem ją, kiedy uwięziła mnie królowa. Myślę, że mnie szuka, a ja szukałem jej.

- Zmieniście się, oboje - powiedział. - Poznałeś większość niższych bogów.

- Tak - potwierdziłem.

- On także spełnia życzenia, lecz spełnia je w taki sposób, że żałujesz, iż to zrobił. Ja nigdy się do tego nie niżę.

Odpowiedziałem, że miło mi to słyszeć.

- Jednak być może odniesiesz wrażenie, że zniżyłem się do czegoś takiego po tym, jak złapię Chmurę dla ciebie. Odeślij ją, jak już skończysz. Ona nie przylgnie do ciebie jak przekleństwo, uwierz mi. Tak czy inaczej ona kosztuje jedno życzenie. Chcesz ją?

- Tak - odpowiedziałem.

- W porządku. Kiedy chcesz swoich ludzi?

- Teraz.

- Nie mogę tak szybko. Potrzebuję czasu.

- W takim razie najszybciej jak to możliwe.

- Tak już lepiej. Możesz wstać.

Wstałem. Dorównywał mi wzrostem, kiedy klęczałem, ale urósł, zanim się podniosłem, i teraz był tak wysoki, że bałem się, iż przebije koroną dach pawilonu.

- Zapłata będzie łatwa i prosta, ale zabawna. Właściwie to już to zrobiłeś, o czym obaj wiemy. Złam obietnicę, którą złożyłeś mojemu ojcu. Jeszcze raz.

Nie byłem w stanie wydusić z siebie słowa.

- Niska cena, czy nie to chciałeś powiedzieć? Ale mnie wystarczy. On ci ufa, a ja lubię od czasu do czasu posolić jego głupie marzenia szczyptą rzeczywistości. Zrobisz to?

Spoglądając w górę na niego (bo teraz wydawał się o wiele wyżej, niż kiedy klęczałem), nie mogłem nie zauważyć, jaki jest przystojny i przebiegły.

- Zrobię to - powiedziałem - ale najpierw musisz mi dać to, o co prosiłem.

- Co?! - Był to udawany gniew. - Nie ufasz mi?

- Nie będę się sprzeczał. Rób, jak mówię, albo rób co potrafisz najgorszego.

- Co by zabiło ciebie i wszystkich twoich przyjaciół.

Podrapałem Gylfa za uchem.

- Myślisz, że ojciec nie przebaczyłby mi, że zabiłem psa? Gorsze rzeczy mi przebaczał.

Odwróciłem się, gotów odejść.

- Zaczekaj! Nie będę się targował i chcę, żeby wszystko było jasne. Oto, co zrobię. Dam ci jedzenie i ludzi - pół tysiąca twardych wojów - najszybciej jak to możliwe. Powiedzmy, że zajmie mi to... - Pogładził podbródek. - Dziesięć dni. Wtedy spełnią się twoje dwa życzenia. Zgodą?

Skinąłem głową.

- I w tym momencie musisz złamać słowo dane mojemu ojcu. Nie jakieś tam techniczne subtelności, trzy razy i wielki pokaz.

- A gdybym powiedział, że trzy razy to za mało? - powiedziałem.

Prawda jest taka, Ben, że podjąłem decyzję, zanim wszedłem do pawilonu. Gdybym potrafił wyczarować chleb z powietrza, to bym to już wcześniej zrobił. Nie umiałem jednak. Wielu rzeczy nie potrafiłem zrobić, wskrzeszać umarłych i tym podobnych. Ale inne rzeczy potrafiłem i na nich się skupiłem, choć gdyby nie Lothur, to może zmieniłbym zdanie.

Czy on wiedział o tym? I czy dlatego wyznaczył taką zapłatę, ponieważ wiedział? Możliwe, że wiedział, choć w to nie wierzę. Jest równie przebiegły i okrutny jak stado lisów i zna więcej sztuczek niż dziesięciu Vilów, ale jego ojciec widzi daleko.

I bardzo głęboko.

## ROZDZIAŁ 38

### ŻOŁNIERZE SMOKA

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tamtego wieczora wezwała mnie też królowa; wiedziałem, że sprzyja Morcaine i że można by przesłać tysiąc głupich kobiet i nie znaleźć wśród nich nawet jednej na tyle głupiej, by zaufała Morcaine. Królowa pragnęła zapewne, mając swoją wersję, usłyszeć moją relację z tego, co się wydarzyło tamtej nocy.

Mimo wszystko zdziwiłem się, gdyż to królowa przysłała do mnie i przykucnęła przy mnie, kiedy spałem, podczas gdy Lamwell stał na warcie. Dotknęła mojego ramienia. Usiadłem i zobaczyłem go - niedużą pustać z grzebieniem z białych piór i obnażonym mieczem.

- Jestem, sir Able. - Jakby przemówiła gołębica.

Odwróciłem się. Ubrana była w ciemną szatę, lecz jej złociste włosy jarzyły się w blasku księżyca, a jej blada twarz świeciła.

- Złożyłeś obietnicę mojej szwagierce - powiedziała. - Dobrze. Ona jest już zbyt długo - dlaczego to robisz?

Chwilę wcześniej podniosłem swój stary hełm i teraz go zakładałem.

- Może będę musiał cię chronić przed ludźmi króla jeśli nie przed Osterlingami. - Skąpana w blasku księżyca kobieta skurczyła się, a jej twarz wydała się jeszcze młodsza. - Oboje jesteśmy dziećmi, Wasza Królewska Mość, a my dzieci musimy trzymać się razem, bo inaczej wilki rozerwą nas na strzępy.

- Musisz mnie nienawidzić. Ona tak powiedziała.

- Jakże mógłbym cię nienawidzić, skoro król cię kocha?

- Zgrabnie powiedziane. Czy wolno mi pogłaskać twojego psa?

- Nie mógłbym równać się z tobą mądrością, Wasza Królewska Mość. Wręcz nie przystałoby mi próbować.

Roześmiała się cicho, a był to cudowny odgłos w porównaniu ze śmiechem Morcaine i Lothura.

- Nie sądziłam, że to zrozumiesz. Jest w tobie więcej, niż widać gołym

okiem, sir Able.

- Mniej, Wasza Królewska Mość.

- Nie zdejmiesz hełmu? Bym mogła zobaczyć twą twarz?

- Sir Lamwell jest moim przyjacielem, Wasza Królewska Mość. Niewielu znałem prawdziwszych rycerzy. Gdybyś jednak kazała mu mnie zabić, zrobiłby to - a przynajmniej spróbowałby.

- Ale nie każę!

- Tego nie wiesz, Wasza Królewska Mość, ani ja.

- Mój mąż wie więcej o czarnej magii niż jego siostra, sir Able. - Cichy śmiech Gaynor zabrzmiał jeszcze łagodniej.

Odpowiedziałem jej, że jestem tego świadom.

- Niewielu wie o tym. Ludziom nie podoba się władca uprawiający magię. Ona to pokazuje, popisuje się, wywołując niezadowolenie ludzi. On to ukrywa. Jeśli rzeczywiście wiesz to wszystko, to powinieneś też wiedzieć, że ja nie posiadam takich mocy. Ani trochę. A ty?

- Tak, Wasza Królewska Mość.

- Nie wiesz, co przeżywam. - Jej dłoń znalazła moją i zacisnęła się na niej. - Mężowie są... są wystarczająco źli bez takich umiejętności. Jego ataki gniewu są straszne, do tego potrafił mnie szpiegować, gdy tylko przyszła mu na to ochota. Byłam królową. Jestem. Królową w szklanym zamku. Bardzo ryzykowałam dla ciebie, kiedy pozwoliłam ci konferować z królową Idnn i z lordem Escanem. Rozumiesz to? Wiesz, jaką okazję wykorzystałam? Strażnicy więzienni wiedzieli, podobnie jak wszyscy tamci ludzie, lecz ja musiałam im pokazać, że między nami nic nie było. Nie wtedy. - Ponownie ścisnęła moją rękę. Jej dłoń była mała i tak biała, że aż świeciła w blasku księżyca.

- Nie zabrało ci to dużo czasu, Wasza Królewska Mość.

- Nie. Zrobiłeś po swojemu i cię złapali. Powiedzieli mu, gdy wrócił. Musieli, a ja nie mogłam ich powstrzymać. Czasem szpieguje, a czasem nie, ale...

- Przypuśćmy, że widzi nas teraz? - powiedziałem.

- Nie. Rozmawiałam z nim, zanim się z tobą spotkałam. On nie widzi nas. Za to widział przyszłość. Umrze.

- Jak my wszyscy.

- Jeszcze przed nowym księżycem. On zabija Caana, a Caan jego. Czy to możliwe?

Skinąłem głową.

- Będę wdową. Będę twoją królową i pierwszą z nowej dynastii. Będę potrzebować ministra, silnego mężczyznę, który potrafi zachować porządek. Będę rządziła mądrze i dobrze, ale tylko wtedy, jeśli mi pozwolą rządzić. A ty... Czy potrafisz być równie łagodny, jak jesteś silny? Nigdy nie miałam przy sobie nikogo łagodnego, nigdy nie byłam z nikim oprócz niego.

Domyślasz się, Ben, co miałem ochotę powiedzieć. Lecz się powstrzymałem i powiedziałem tylko, że jej mąż jeszcze nie zmarł, a ja potrzebuję czasu na zastanowienie się. Gdybym jej wtedy odmówił, kazałaby Lamwellowi mnie zabić, wtedy ja musiałbym zabić jego. Lubiłem go, a poza tym nie mogliśmy sobie pozwolić na utratę choćby jednego rycerza.

Dziesięć dni, powiedział wcześniej Lothur. Wiedząc, że nie da się inaczej, nie próbowałem przyspieszać naszego marszu na południe. Po drodze zbieraliśmy żywność, ja zaś musiałem zaplanować działania, którymi miałem złamać złożoną przysięgę.

Spotkaliśmy ich na drodze przy klifie, z którego roztaczał się widok na morze; nie widziałem dziwniejszych wojowników, ciemnoskórzy, o srogich twarzach i małych oczach. W zbroi przypominali robaki, a ich kudłate kuce bażanty. Kiedy wyzwali nas do walki, zorientowałem się, że poza mną nikt inny nie rozumie ich mowy. Było ich może trzystu, a za nimi, wzdłuż wybrzeża, ciągnęły się w nieskończoność tabory z bagażami.

Podjechaliśmy z Wistanem z białą flagą. Ich książę miał na sobie złocistą zbroję; nie spotkałem silniejszego uścisku dłoni, ani człowieka, który by się przez cały czas uśmiechał. Gdy się spotkaliśmy, myślałem, że w ten sposób chce mnie zapewnić, że dobrze nas potraktują, jeśli się poddamy. Potem dowiedziałem się, że jego ludzie nazywają go Ten-który-się-uśmiecha. Obaj z Wistanem nazwaliśmy go Śmieszkiem.

Towarzyszyło mu trzech ministrów, mężczyźni jego rasy w średnim wieku. Jeden miał rozwidlony kij, drugi bat, a trzeci miecz z brzeszczotem w kształcie smoka. Co i rusz zwracał się do któregoś ze swoich ministrów i mówił coś do niego szeptem. Potem minister naradzał się z pozostałymi dwoma i odpowiadał mu. Całe spotkanie stawało się coraz bardziej nużące, tak więc będę się streszczał.

- Macie się poddać - oznajmił minister z mieczem. - Oddajcie broń.

Wistan pociągnął mnie za rękaw.

- Dłaczego on tak mówi?

- Pewnie myśli, że możemy to zrobić.

- Co zrobić? Co on powiedział?

- Nie poddamy się - odpowiedziałem ministrowi. - Jeśli podzielicie się z nami swoją żywnością, zostaniemy waszymi przyjaciółmi i poprowadzimy was do wielkiego zwycięstwa. Jeśli nie, to ją wam odbierzemy.

Książę, który nie przestawał się uśmiechać, pokazał na ministra z batem.

- Syn Smoka obawia się, że źle zrozumieliście sytuację. On przysięgał, że zwycięży albo zginie. Tak więc i my jesteśmy z nim zaprzysiężeni. Zwycięzimy lub zginie!

- W takim razie zginiecie - powiedziałem.

Uśmiechnięty książę rozmawiał przez chwilę z trzecim ministrem, tym z rozwidlonym kijem.

- Jesteś barbarzyńcą - zwrócił się do mnie minister. Przemawiał ojcowiskim tonem. - Nie znasz nas ani obyczajów cywilizowanych ludzi. Chciałbyś poznać?

Zapewniłem go, że jak najbardziej.

- W takim razie nie jesteś już barbarzyńcą. Jesteśmy dziećmi Smoka, Sirable. Głównie przez adopcję. W przypadku Syna Smoka na mocy więzów krwi. Krew Smoka jest jego ojcem. - Zamilkł i skłonił głowę. Po chwili zaczął mówić dalej: - Jego Synowie są Synami Smoka. Krew Smoka napełnia go za każdym razem, gdy płodzi synów ze swoimi żonami.

Odpowiedziałem mu, że rozumiem.

- Każdy będzie władcą. Czyż nie jest on Synem Smoka?

Wistan znowu pociągnął mnie za rękaw. Kazałem mu przestać.

- Syn może się pokłonić przed swoim bratem, i zostać trafionym. On zostaje. Jeśli nie, walczą magią. Nasz książę wybrał walkę.

Mając w pamięci Arnthora i jego siostrę, powiedziałem:

- Magii u nas nie brak. Jeśli zechce zmierzyć się z nami, znowu przegra.

Minister zachichotał.

- Nie, nie! On wygrał. Zwycięzca zostawia bratu Domowy Tron. Nie rozumiesz?

Wyznałem, że nie.

- Zasłuży sobie na chwałę, powiększając Królestwo Smoka. Wolno mu mieć pięciuset wojowników. Jest dla niego zaszczytem móc wyruszyć. Szuka się rady u Mówiącego Stołu. A Mówiący Stół mówi zawsze „Idź na północ! Idź na zachód!” albo „Idź na Południe!” Tradycyjnie tak mówi. Na

wschodzie jest dużo wody.

Minister z rozwidlonym kijem wycofał się, a jego miejsce zajął minister z biczem.

- Wasz kraj leży na wschodzie. Będziecie posłuszni Synowi Smoka to skorzystacie. Sprzeciwiacie się... - Uderzył w dłoń zwojami biczyska.

- Jesteście w naszym kraju - powiedziałem do niego, mimo iż wiedziałem, że znajdujemy się daleko na południe od Celidonu. - To wy musicie okazać posłuszeństwo naszemu królowi. Jest nim król Arnthor, dobry i mądry władca. W jego to imieniu przemawiam teraz.

Do przodu ponownie wysunął się minister z mieczem.

- Będziemy walczyć tutaj, na tej wąskiej drodze?

- Tak - odpadem. - Zmierzysz się ze mną teraz? - Wiedziałem, że go nakłuję, zanim zdąży ułożyć ten swój ogromny miecz.

Potrząsnął głową,

- Nasi rycerze będą walczyć. Tak musi się to odbyć w takim miejscu. - Po chwili dodał ściszym głosem. - Synu, nie znasz naszego prawa. Wyjaśnię ci to. Kiedy walczą jeden na jednego, wystarczą trzy zwycięstwa. Czy to jasne?

Przyznałem, że nie.

- Walczą pierwsi dwaj. My wygrywamy. To jest zwycięstwo.

Skinąłem głową.

- Nasz zwycięzca walczy z waszym następnym. To także jest zwycięstwo, drugie.

Ponownie mu przytaknąłem.

- Nasz pierwszy rycerz walczy z waszym trzecim. Kolejne zwycięstwo, trzecie. Musicie przyjąć zbawienną zasadę Syna Smoka.

- Nie przyjmujemy - odpowiedziałem.

- Jeśli nie, wszyscy pójdziecie pod miecz.

Gdy już się z nimi rozstaliśmy, wyjaśniłem wszystko Wistanowi, który zareagował bardzo poważnie.

- Będę walczył, sir Able, choć nie jestem wystawionym rycerzem.

Roześmiałem się i poklepałem go po plecach.

Ja miałem być naszym pierwszym, mimo iż nie było mi łatwo zabezpieczyć naszą pozycję. Arnthor chciał dalej negocjować i posłał ze mną Beela, by tłumaczył. Dowiedzieliśmy się więcej o żołnierzach Smoka i ich księciu; szybko jednak odkryliśmy, że nie ma nadziei, by uczynić z nich



naszych sprzymierzeńców, na co liczyliśmy. Nie chcieli też podzielić się żywnością (mimo iż chętni się, że mają jej pod dostatkiem) ani nawet jej sprzedać.

Za namową Mardera i moją, Woddet został wybrany na naszego drugiego rycerza. Trzecim był Kei. Wierzyliśmy, że trzech nam wystarczy. Osobiście byłem zdania, że ani Woddet, ani Kei nie będą mieli co robić tamtego popołudnia. Wyglądali bardzo imponująco i to wystarczyło. Obaj z Wistanem prezentowali się o wiele gorzej, choć potem dowiedziałem się, że Syn Smoka podziwiał złote pierścienie w mojej kolczudze i nie mógł się nadziwić, że znam język jego kraju.

Nykr Król Herbowy towarzyszył nam, by dopilnować, że wszystko odbywa się zgodnie z zasadami, natomiast po drugiej stronie podobną funkcję pełnił minister z mieczem. Kiedy wyraził wątpliwości, co do Wistana, wyjaśniliśmy mu, że on tylko przyniósł kopię z moim proporcem, jak i hełm i miecz, a potem pomoże mi zejść z pola, gdybym został ranny albo pomoże wynieść moje ciało. Zgodzili się, że może zostać, ale sto kroków z tyłu, kiedy zaczniemy walczyć.

Każdy z nas cofnął się o dziesięć kroków. Nykr Król Herbowy uniósł swój kij, z którym stanął na drodze, a minister opuścił miecz. Nie widziałem naszego urzędnika na grzbiecie klifu, lecz bez wątpienia uniósł on trąbkę. W tym momencie zawył Gylf. Czułem się zobowiązany do uwiązania go na łańcuchu, gdyż wcześniej zaprzysiągł, że nie będzie stał i się przyglądał, jak mnie zabijają: wyczuwał pewnie, że walka ma się zacząć. On nie był jak zwyczajny pies, co zrobiło wrażenie na moim przeciwniku.

Gdy tylko założyłem stary hełm, od razu ujrzałem więcej. Dostrzegłem, że pomimo wymyślnej zbroi i twarzy pozbawionej wyrazu mój przeciwnik jest dzielnym rycerzem, który bardzo by wzmocnił nasze siły, gdybyśmy wspólnie stawili czoła Osterlingom - wiedziałem, że zabijając go, utraciłbym dzielnego wojownika. Odebrałem włócznię od Wistana.

Mój przeciwnik, Ironmouth od razu ją przeciął; nie widziałem wielu równie dobrych wojowników. Wytrąciłem mu z ręki oręż końcem kopii, podstawiłem mu nogę i już prawie przygwoździłem go do ziemi, tymczasem chwilę później to on miał mnie niemal na ziemi, ponieważ okazał się doskonałym zapaśnikiem. Gdy walczyliśmy, kątem oka dostrzegłem piekło Lothura na klifie.

Rozdzieliliśmy się i znowu natarliśmy na siebie; wykorzystując chwilę

mojej nieuwagi, Ironmouth, przewrócił mnie tuż przy krawędzi stromego urwiska. Znalazłem oparcie dla stóp lecz nie dość szybko.

Zagarnąłem dłońmi powietrze i złapałem się czegoś grubego, szorstkiego i białego - nie wiedziałem, co to takiego - z całych sił.

Mój umysł wypełniła wspaniała myśl, miła, ciepła i cudowna, wypierając strach: Nie potrafisz biec po tym tak jak Gylf czy ja?

Mogłem. Oznaczałoby to złamanie przysięgi, którą i tak zamierzałem złamać.

Nie zrobiłem tego wtedy, lecz wspiąłem się na grzbiet Chmury, grzbiet już nie siwy; teraz poproszony lodowymi kryształkami, bo jeszcze chwilę wcześniej galopowała nad chmurami.

Rodzimy się czarne, wyjaśniła mi. Z wiekiem nabieramy prawdziwego umaszczenia, jestem już prawie dojrzała.

Niczym obłok wspięła się na niebo, niosąc mnie na swoim grzbiecie. Caan miał słońce, lecz przy niej były niczym. Rozmawialiśmy. Opowiedziałem jej o tym, czego doświadczyłem od momentu naszego rozstania, ona zaś opowiedziała mi o swoich dziwnych przygodach na wschodzie, o tym, jak wróciła do Skai i co powiedziała Pani (która wzięła ją do swojej stajni) oraz czego nauczyła ją Pani. W dole powiewała na wietrze błękitna flaga Celidonu z nykrem wystawionym przeciwko smokowi, nowemu przeciwnikowi Celidonu, a był to czerwono-czarny smok na pszenicznym polu. Woddet stanął do walki i przegrał, po czym został odniesiony przez Helę.

- Lothur obiecał nam zwycięstwo - powiedziałem do Chmury - musimy więc wygrać.

Na koniu i z solidną kopią mógłbym razem z Kei'em stawić czoła setce wojowników, lecz w walce mieczem nie dorównywał Ironmouthowi. Przegrał, a ja patrzyłem, jak umiera. Wtedy Żołnierze Smoka wydali głośny okrzyk i zaczęli uderzać w tarcze, a ja zobaczyłem, jak minister z mieczem i Nykr Król Herbowy podchodzą do siebie, a ten drugi skłania głowę. Nie rozumieli się nawzajem, ale nie musieli, ponieważ ja już galopowałem w dół.

Jedną ręką trzymałem się grzywy, drugą zaś chwyciłem Śmieszka i wciągnąłem go na grzbiet Chmury.

- Jedziemy do Skai - wyjaśniłem mu - gdzie czas biegnie szybko. Odnajdziemy Lothura albo Angrbodę i spotkamy się z nią razem.

To nie było konieczne, ponieważ Lothur sam nas znalazł.

\* \* \*

Tak jak powiedziałem, przeszliśmy na drugi brzeg Greenflood, maszerując na południe. Gdy ponownie zawróciliśmy na północ, wiedzieliśmy, że czeka nas kolejna przeprawa. Wcześniej spaliliśmy zbudowany przez nas most, który i tak by długo nie wytrzymał. Co ważniejsze, oczyściliśmy z żywności nadbrzeżne terytoria, kupując jedzenie albo plądrując wioski rybackie.

Minister z mieczem (nazywał się Stonebowl) wyjawiał nam, że w głębi łądu znaleźli więcej jedzenia; splądrowali pięć mniejszych miast dobrze zaopatrzonych i opanowali drogę na wybrzeżu, po tym jak zdobyli dość żywności, by zanieść ją do następnego źródła. Beel zgodził się i zauważył, że Osterlingowie często nękali wybrzeże, zapuszczając się aż do Irringsmouth albo i dalej na północ. W tych okolicach często ich widywano.

Wiedząc, że Greenflood będzie bliżej swych źródeł, niechętni uszczuplenia zapasów naszych sprzymierzeńców bardziej niż wymagała konieczność, skręciliśmy na południe, gdy tylko znaleźliśmy nadającą się do marszu drogę, i wynajęliśmy miejscowych, by nas poprowadzili. Niektórzy z nich wzbudzali zaufanie, inni nie tak bardzo. Często okazywało się, że maszerujemy na południe czy też na południowy wschód zamiast na północ.

Po jakimś czasie zyskaliśmy posiłki w postaci jednego rycerza i sześciu zbrojnych i choć przybyło nam niewiele, to ja bardzo się podniosłem na duchu, gdyż był to rycerz herbu Lamparty. Sandhill wytrzymało najazd Osterlingów, którzy nie zdołali wziąć dworu szturmem, a potem zrezygnowali z oblężenia z powodu braku wody. Pasterze, od których kupowaliśmy owce, poinformowali ich, że król jest na południu, dwa dni drogi poniżej rzeki, tak więc rycerz herbu Lamparty z garstką ludzi dołączył do nas za zgodą ojca.

- Teraz wiem, że zwyciężymy - powiedziałem do niego. - W wojnie nadchodzi taka fala, której nie oprą się nawet Overcyni. Ona już... Czuję ją w mojej krwi.

Spojrzał na Chmurę.

- Jeśli to wspaniałe zwierzę słucha cię, to się nie martwię. Nic go nie powstrzyma.

- Nie poznajesz jej? - powiedziałem. - To Chmura, wierzchowiec, na którym jeździłem w Jotunlandzie.

- To nie jest koń!

- No, nie. Nigdy nim nie była. I chyba nigdy nie twierdziłem, że ona jest koniem, a jeśli tak, to kłamałem.

Wistan nie potrafił już powstrzymać milczenia.

- Można nim jeździć w powietrzu. Nie wiesz, jakie to wspaniałe, sir Leortcie. Poniosła na grzbiecie Syna Smoka, ponieważ sir Able wziął go do niewoli, ale wcale jej się to nie podobało. On nie mógł jechać na niej samodzielnie tak jak my.

Leort zaczął wypytywać o Syna Smoka, więc mu wyjaśniłem.

- Zamierza utworzyć królestwo dla siebie tutaj, na południu? Nie będzie łatwo.

- Zrobi to - odparłem - ale z pomocą Cełidonu. Obiecał mu to Jego Królewska Mość. Pewny przyjaciel tutaj to jak rękojmia Valfathera. - Nie wspominałem nic o przepowiedni Arnthora, choć wciąż o niej myślałem i próbowałem uspokoić swoje sumienie, wmawiając sobie, że przecież nie wiem nic więcej poza raportem Gaynor; przepowiednia mogła być fałszywa albo niejasna, jak często bywało. Możliwe nawet - bardzo prawdopodobne - że w ogóle nie istniała.

Domyślasz się zapewne, że coś innego trapiło mnie o wiele bardziej. Wcześniej Lothur obiecał pomoc w ludziach i żywności w zamian za to, że złamię przysięgę. Miałem też odzyskać Chmurę po wypełnieniu swojej części umowy. Zachował się wspaniałomyślnie i przysłał ją nawet wcześniej. Otrzymaliśmy posiłki zgodnie z jego obietnicą, i to całkiem okazałe. Mieliśmy dość żywności i perspektywy na dalsze zdobycze, gdy już uporaliśmy się z Czarnym Caanem. Mieliśmy to wszystko, a ja wciąż nie wypełniłem obietnicy.

I nie zamierzałem jej wypełnić.

Valfather jest najzyczliwszym, najmądrzejszym i najdzielniejszym władcą. Jego syn Thunor jest wzorem wojownika, jak się często mówi. Valfather zaś jest po stokroć bardziej wzorem króla. Wtedy, gdy często o nim myślałem, uzmysłowiłem sobie nagle, że stanowi też wzór ojca. Wcześniej powiedziałem sobie, że nigdy nie miałem ojca. Bardziej niż ty, Ben. Ale to nie była prawda. On był moim ojcem i wiedział to, a ja nie.

Zdradzając go, utraciłbym honor. Utraciłbym go, nawet gdybym tego nie uczynił. Lothur jest wzorem złodziei i morderców; zabiłby nas albo pomógł Caanowi nas zgładzić, a wtedy nie udałoby mi się dokonać tego, co

zamierzałem zrobić uzbrojony w moc otrzymaną w Skai.

Usadowieni na potężnym grzbiecie Chmury obaj z Wistanem wyjechaliśmy daleko przed przednią straż. Nie maszerowaliśmy szybko ze względu na tabor z bagażami jak i na samą armię; ludzie, wyczerpani, odpoczywali w powolnym marszu i podczas długich postojów.

Arnthor także nabierał sił, mimo iż odniósł niemal śmiertelną ranę. Gdy mu któregoś razu towarzyszyłem, ktoś zaczął narzekać na trudy kampanii i nazwał ją (w pewnym sensie sprawiedliwie) najgorszą, w jakiej brał udział.

- Ach - rzucił wtedy Beel. - Szkoda, że cię nie było z sir Able'em i ze mną w Jotunlandzie, gdzie naszymi bystrookimi łuczniczkami zostały pokojówki mojej córki, a razem ze zbrojnymi walczył kucharz uzbrojony w nóż rzeźniczy.

Marder roześmiał się.

- Dobrze powiedziane. Nie zapominaj, że przybyłem tam, zanim wszystko się skończyło, a także brałem udział w Leśnej Bitwie. - Po twarzy Arnthora przeniknął cień niezadowolenia, na krótko, niczym cień nietoperza. Nie rozumiałem jego reakcji, ale mnie zaniepokoiła. Arnthor rzadko ujawniał swoją smoczą stronę, lecz wtedy uczynił to wyraźnie. Mogłem sobie tylko wyobrazić, co jeszcze bym dostrzegł, gdybym wtedy miał na głowie stary hełm; cieszę się, że go nie założyłem.

Tamtego wieczora odszukałem Woddeta wśród rannych i opowiedziałem o tym, co się wydarzyło, a potem zapytałem, czy brał udział w tej drugiej bitwie, o której wspomniał Marder.

- Owszem - odpowiedział mi. - To nie były łatwe chwile. Weszliśmy do lasu - wbiegliśmy do niego przekonani, że Osterlingowie rozniosą nas na strzępy. Drzewo rosły tam tak gęsto, że nie dało się walczyć mieczem. Nie używałem buzdyganu od... nie ważne. W każdym razie wtedy znowu wziąłem go do ręki, ale upuściłem, mocując się z dwoma wojownikami, których na szczęście zdzielił po łbach Heimir. Nie miałem czasu szukać buzdyganu, więc walczyłem dalej krótkim mieczem. Wcześniej uważałem, że jest równie przydatny co nóż myśliwski, lecz szybko poznałem jego zalety. Trzymałem go nisko, osłaniając się od góry tarczą. Niektórzy z przeciwników nosili kolczugi, ale nogi mieli gołe. Tak więc ciąłem w udo, a potem go dobijałem i szedłem dalej.

Zapytałem go, czy zwyciężyliśmy, a on odpowiedział, że musieliśmy się wycofać, ale wcześniej zdobyliśmy ich obóz i spaliliśmy go.

- Czarny Caan chciał nas zgnieść i wygrać wojnę - powiedział - lecz tamtej nocy musiał spać na gołej ziemi.

Zjawiała się Etela i oznajmiła, że Lynnet dziwnie mówi, dlatego prosi mnie o pomoc - poszedłem więc z nią. Wistan, który powiedział jej, gdzie mnie może znaleźć, też poszedł z nami.

Bertold Śmiały siedział u stóp Lynnet, a blisko przy nich Gerda. Za nią stał Toug i obserwował uważnie. Kiedy nadeszliśmy, Lynnet powiedziała:

- Twój ojciec był wspaniałym, silnym mężczyzną. Niewysoki, lecz wyglądał na silnego. Pewnie ze sto razy widziałam go stojącego w towarzystwie innego mężczyzny, zanim zauważyłam, tak jak to człowiek nagle widzi coś, co powinien był zauważyć dawno temu, że wcale nie jest wyższy od tego drugiego. Lecz kiedy ich posłuchałeś, wiedziałeś, że jest o wiele większy. Tak było, choć nie dało się tego zobaczyć okiem. Tamten spojrział na niego, lecz by to zrobić, musiał podnieść głowę. Pozostali także patrzyli na niego z podziwem, a wszystkie kobiety zazdrościły mi. Bertoldzie, czy pamiętasz imię ojca? Nie będę cię winiła, jeśli zapomniałeś po tylu latach. Ani trochę.

- Czarny Bertold - rzekł Bertold.

- Zgadza się, miał na imię Bertold i był wspaniałym, silnym mężczyzną. Najsilniejszy w naszej wiosce. Kiedyś widziałam, jak mocował się z bykiem. Byk dwukrotnie rzucał go na ziemię, lecz on za każdym razem zdążył się pozbierać, zanim zwierzę przebiło go rogiem. Wreszcie przewrócił byka i przytrzymał na ziemi. Byk walczył jak szczeniak, ale Bertold nie pozwolił mu już się podnieść. Tak się wtedy przestraszyłam, że kazałem mu obiecać, iż nigdy więcej tego nie zrobi, i tak też było. Nie słyszałam, żeby kiedykolwiek złamał raz dane słowo.

- Przeprowadziłam sir Able'a, mamó - powiedziała Etela.

Lynnet spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

- Dobry wieczór, sir Able. Miałam syna o tym imieniu. Wiem, ty nie jesteś moim synem, ale chciałabym myśleć, że tak jest. Wolno mi?

Wcześniej nie zauważyłem Vila, gdyż stał dalej od ognia niż pozostali; teraz, gdy to powiedziała, przybliżył się. Ślepotą sprawiła, że nie kontrolował wyrazu swojej twarzy, która w tym momencie wyrażała taką nadzieję i strach, jakie rzadko oglądałem na ludzkim obliczu. Domyślałem się, co chce, żebym powiedział, a ja uczyniłem to ochoczo:

- Byłbym dumny, mogąc nazywać siebie twoim synem, lady Lynnet, a

ciebie swoją matką.

- Mam na imię Mag. - Uśmiechnęła się. - Ale możesz mnie nazywać matką czy jak tam chcesz, sir Able. Zawsze byłeś moim chłopcem, ponieważ uwielbiałam tego chłopca, którym byłeś, zanim cię poznałam.

Usiadłem u jej stóp obok Bertolda Śmiałego.

- Coś mi nie daje spokoju, mamó. Może ty mi to wyjaśnisz. Czy pamiętasz Pokój Utraconej Miłości?

Pokręciła głową.

- Nie słyszałam o takim miejscu.

- A Wyspa Glas?

- Ach - powiedziała.

- Przypominasz sobie. - Spojrzałem na nią. - Czy pamiętasz, w jaki sposób tam przybyłem? Jak się poznaliśmy i co mi powiedziałaś?

Jej uśmiech posmutniał.

- To mój syn Able przyszedł do mnie w tamtym pięknym i strasznym miejscu, sir Able, a nie ty. Siedziałam tam spętana łańcuchami i choć bardzo - och, jak bardzo - pragnęłam z nim odejść, nie mogłam.

\* \* \*

Wprawdzie często miewam dziwne sny, lecz staram się zbytnio nie zawracać ci nimi głowy, Ben. W tym momencie jednak uczynię wyjątek, i nie dlatego, że jest to szczególnie ważny sen, lecz dlatego, że zapamiętałem go tak dobrze. Opuść tę część, jeśli nie masz cierpliwości.

Brałem udział w Leśnej Bitwie razem z Woddetem i innymi. Nie miałem miecza albo nie mogłem go użyć. Może miałem sztylet albo Łamimiecz. Nie mam pewności. Wszędzie dookoła rosły zielone krzaki i rachityczne drzewa. Usiłowałem się przez nie przedrzeć, bojąc się, że król mnie tam zostawi. Zdesperowany rzuciłem się do przodu, kładąc młode drzewka, które stały mi na drodze, aż fruwały liście. Gdy posunąłem się dalej, zorientowałem się, że wcale nie stąпам po ziemi i nie brnę przez zarośla. Znajdowałem się w koronach drzew, pięćdziesiąt stóp wyżej. Gdyby gałązki i grubsze gałęzie nie były tak solidne - tworząc niemal nieprzenikniony gąszcz - spadłbym na ziemię. W chwili gdy sobie to uświadomiłem, stanąłem na krawędzi korony ogromnego drzewa i spojrzałem na okolicę.

Na łące stał rozstawiony pawilon z czarnego jedwabiu. Wiedziałem, że jest w nim Eterne. Wiedziałem też, że Eterne jest moim prawdziwym mieczem. Zanim go otrzymałem, nie miałem innego i nie powinienem był nosić innego, zanim go nie odzyskałem. Ale wziąłem inny miecz i czułem się bardzo winny.

Za czarnym pawilonem biegła autostrada. Samochody osobowe, ciężarówki, dzipy, minivany - najprzeróżniejsze pojazdy - mknęły po niej tak szybko, że wydawało się pewne, iż się rozbiją. Był też szkolny autobus, czerwony wóz straży pożarnej, biało-czarny samochód policyjny i biała karetka pogotowia. Te widzę wyraźnie nawet teraz. Karetka przejechała rozkołysana, wyjąc syreną i błyskając światłem na dachu. Zszedłem z drzewa i poszedłem na autostradę. Kierowcy nie zwracali na mnie uwagi, a ja krzychałem na ich samochody, myśląc o tym, jak bardzo wyprzedziła mnie karetka. Able - prawdziwy Able - był w niej. Wiedziałem o tym i chciałem mu pomóc.

Obudziłem się.

- Baki? - Poczułem, że ktoś mnie głaszcze.

- Zgadnij jeszcze raz.

Uznałem, że jest to lepszy sen niż mój sen o drzewie i zatłoczonej autostradzie, mój sen o Leśnej Bitwie.



## ROZDZIAŁ 39

### JEST SPRAGNIONA

Co jakiś czas obaj z Wistanem spotykaliśmy na drodze ludzi, często uciekających przed Osterlingami. Zagadywaliśmy ich uprzejmie i chętnie słuchaliśmy, co mają do powiedzenia, mimo iż trudno było polegać na ich relacjach. Tamtego ranka napotkaliśmy młodzieńca, szczupłego i ciemnowłosego, który padł na kolana.

- Sir! Sir! Czy podzielisz się choćby okruchem? Nie jadłem od dwóch dni i trzech nocy.

Chmura obniżyła się, bym mógł zsiąść na ziemię.

- Powiedz mi coś cennego, a dostaniesz godziwy posiłek. Jesteś z Celidonu?

Odpowiedział mi niechętnie:

- To jest mój kraj.

- W takim razie twoi ziomkowie powinni cię nakarmić. Nie możesz pracować?

Spuścił głowę zmieszany.

- Jestem pasterzem. Tylko... tylko...

Suche zarośla poruszyły się, a ja od razu się domyśliłem, że ktoś nas obserwuje.

- Tylko nigdy jeszcze nie widziałem podobnego zwierzęcia, sir.

- I nie zobaczysz.

- Skąd masz tę bliznę? - zapytał go Wistan, pokazując palcem.

- Od strzały. Czasem ludzie kradną nasze bydło albo przynajmniej próbują.

- Ty zapewne nigdy nie przechodzisz na drugi brzeg rzeki do Celidonu, żeby kraść bydło.

- Zabiłbyś mnie za to? Teraz?

Potrząsnąłem głową.

- Mam dzieci, sir, i żonę. Nie mają co włożyć do ust. Dzisiaj nic jeszcze

nie jedli, ani wczoraj. Daj nam coś do jedzenia, cokolwiek, i powiedz, które twoje stado, a więcej go nie tknę. - Spojrzał na mnie z nadzieją.

- Kto jest właścicielem twojego stada?

- Ci zza gór. Nigdy już nie tknę twojego zwierzęcia i nie będę walczył z twoimi pasterzami. Przysięgam na wiatr i trawę!

- Jeśli dam ci coś teraz. Coś do jedzenia.

Znowu opadł na kolana i wyciągnął przed siebie ręce. Wątpię, by zebrał wcześniej; najwyraźniej słabe miał o tym pojęcie.

Kazałem mu wstać.

- Każ wyjść na drogę żonie i dzieciom. Nie skrzywdzę ich, ale chcę ich zobaczyć.

Była wysoka i poruszała się z wdziękiem, ciemniejsza niż on; jej oczy miały kolor nieba o wschodzie księżyca. Chłopcy mogli mieć cztery, pięć lat.

- Nie mam jedzenia - wyjaśniłem mu - ale mogę sprawić, że nie braknie ci go, jeśli na nie zapracujesz. Tam za mną jedzie rycerz. Wiesz, kto to jest rycerz?

Przytaknął mi choć z pewnym wahaniem.

- Ktoś taki jak ja, z wymalowaną tarczą. On ma na swojej lamparty. Powiedz mu, że rozmawiałeś ze mną, z sir Able'em.

- Z sir Able'em - powtórzyła kobieta.

- Zgadza się. Obiecay mu to samo co mnie. Powiedz, że będziesz walczył razem z nami przeciwko ludziom zza gór, jeśli nakarmi ciebie i twoją rodzinę i da ci broń.

Młodzian wyszczerzył zęby w uśmiechu i zatarł dłonie.

- Są niedaleko za nami, sir Able - powiedziała jego żona.

Obiecałem jej, że będzie bezpieczna z dziećmi, jeśli jej mąż przyłączy się do nas.

\* \* \*

Spotkaliśmy ich w południe; nieduża grupa, patrol, jak sądziłem. Chmura zaatakowała, a ja zrobiłem dobry użytek z nowej cięciwy, żałując, że nie mam cięciwy Parki. Kiedy się rozpierzchli, wjechaliśmy na górski grzbiet i ujrzeliśmy straż przednią Armii Osterlandu stu konnych, horda wygłodzonych włóczników i dwa słonie. Chmura nadziała na róg jednego ze

słoni i odrzuciła go na bok, rozrzucając ludzi i broń, tak jak pstrąg rozbryzguje wodę. Wtedy pozostali uciekli, a my wróciliśmy do naszej przedniej straży i posłaliśmy człowieka z wiadomością do Arnthora, że wróg jest w pobliżu.

Tamtego popołudnia doszło do energicznej potyczki. Otwarty jałowy teren pustyni jest idealny dla kawalerii, lecz obaj z rycerzem herbu Lamparty mieliśmy niewiele koni, a i te, którymi dysponowaliśmy, były w kiepskiej formie, jeźdźcy Caana zaatakowali nas skrzydłami, usiłując przebić się przez nasz mur z tarcz, co im się prawie udało, i rozpierzchli się dopiero, gdy opuściłem nasze szeregi i zaatakowałem ich, po czym ponownie uformowali szyki schowani za swoją piechotę. Nasi łucznicy mieli okazję dobrze sobie poćwiczyć, tak więc każdy atak przeciwnika kosztował go kolejnych ludzi i konie. Kiedy odparliśmy ostatnią szarżę, ich piechota zasypała nas gradem kamieni wyrzuconych z proc. Posunęliśmy się do przodu i od razu spotkaliśmy się ze wściekłym atakiem, do czego już przywykliśmy.

Obaj z rycerzem herbu Lamparty walczyliśmy na pieszo przed murem z tarcz i choć wyrywający się do przodu miecz, który znalazła dla mnie Baki, nie dorównywał Eterne, to pił krew aż po rękojeść, prowadząc mnie krok po kroku w pogodni za życiem, które pragnął zakończyć zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

- Staralem się dotrzymać ci kroku - powiedział do mnie później rycerz herbu Lamparty - podobnie jak inni. Zdołali dotrzymać kroku mnie, ale nie tobie.

- A ja ledwo dotrzymałem kroku mojemu mieczowi.

Roześmiał się.

- Ale byłeś Able'em. Jak się ma Gylf?

- Przeżyje, wierzę, jeśli powstrzymamy go od walki, zanim nie wydobrzeje. Teraz jest z nim Wistan, a ja pójdę do niego na noc.

- Myślałeś, że jego nie imają się rany. - Powiedział to poważnym tonem, raczej stwierdził niż zapytał.

- Tak - odparłem. - Chyba tak.

- Każdy może zostać ranny - każdy. Nawet ty.

- Dowiedziałem się, że mogę nawet zginąć.

\* \* \*

Tak po prawdzie - a od samego początku mojej opowieści próbuję mówić ci prawdę, Ben, na ile ją znałem w danej chwili - spodziewałem się ataku tamtej nocy. Osterlingowie, pomyślałem wtedy, zechcą pewnie wciągnąć nas do walki. W tym względzie dałem się niewłaściwie pokierować własnej ignorancji dotyczącej początkowych etapów wojny i bitwy na zalesionych stokach Gór Słońca, która miała miejsce później. Nie doświadczyłem tego wszystkiego tak jak Caan.

Wcześniej Osterland został pokonany przez Celidon (ostatecznie, jak się wydawało) w bitwie Pięciu Losów, w bitwie, która kosztowała go życie ojca i braci i po której został Caanem. Potem przegrupował się, pokonał Celidon na przełęczach i parł dalej armią żywioną ciałami zabitych i gotową stoczyć bitwę na każdych warunkach - bitwę, która w jego mniemaniu miała być zapewne ostatnią.

Tak więc doszło do Leśnej Bitwy, w której ani on, ani Arnthor nie potrafili utrzymać kontroli. Ostatecznie wygrał, lecz jego obóz został splądrowany, a wojna, której koniec wydawał się już tak blisko, przerodziła się w długą walkę. Okpił Arnthora, zajął Kingsdoom i Thortower, złupił oba miasta i wyrznął tysiące ludzi, odzyskawszy w ten sposób prestiż, jaki utracił w Leśnej Bitwie; mimo to Arnthor wciąż nie chciał przystąpić do bitwy. Odepchnięty na południe, a potem na zachód i znowu na południe, Arnthor oddał Górę Ognia, odzyskał ją, a potem znowu ją oddał za moją namowę, po czym wycofał się i teraz powrócił z nowymi siłami, wykazując, że jest niebezpiecznym i wytrwałym przeciwnikiem. Nocny atak mógłby okazać się pozbawioną kontroli potyczką podobną do Leśnej Bitwy, a nawet gdyby Osterland zdobył przewagę, taki atak przyniósłby raczej nasze rozproszenie niż klęskę.

Tylko że ja tego wszystkiego nie wiedziałem wsłuchany w ciężki oddech Gylfa, zastanawiając się, czy dobrze oczyściłem jego ranę. Wiedząc, że nawet jeśli dobrze to zrobiłem, on i tak może zdechnąć.

- Able?

- Tak - odpowiedziałem. - jestem tu.

- Zachowaj czujność.

- Czy oni nadchodzą? - zapytałem go. Uns poruszył się we śnie.

- Panie - mruknął Gylf. - On idzie.

Owad przestał syczeć, a strażnicy zamilkli. Wiatr nie szarpał suchymi zaroślami i nie zawodził pośród nagich skał; i w tej nienaturalnej ciszy

zrozumiałem nagle, że Gylf ma rację. Ktoś o wiele większy niż Heimir - znacznie większy niż Schildstarr - opuścił miejsce, z którego swoim jednym okiem oglądał Skai i Mythgarthr. Przed nim leciały kruki, których wszechwidzące oczy były jego oczyma. Przy jego nogach biegły wilki, idąc tropem krwi, która jeszcze nie zabarwiła wód Greenflood. Zadrzałem ze strachu i otuliłem się szczelniej płaszczem. Gylf już spał, lecz ja zasnąłem dużo później.

Śnili mi się piraci Caana; pełno ich było w moim umyśle, kiedy się obudziłem. Odważna krew płynie pierwsza, mawiamy, co znaczy, że ten, kto odniósł ranę, potem już jest bardziej ostrożny. Bez wątpienia powiedzenie to wyraża prawdę, podobnie jak wiele innych, dla mnie jednak nigdy nie było dobrym przewodnikiem. Im starszy jest człowiek, tym staje się ostrożniejszy, i tak jest bez względu na to, czy ktoś odniósł ranę, czy nie; a Woddeta otrzeźwiły nie rany, lecz fakt, że wyróżnął tylu wrogów.

Jak się czuje mężczyzna tak duży i silny jak on, leżąc w łóżku z kobietą o połowę większą od siebie, która potrafił łamać drzewce dzidy? A właściwie jak to w ogóle jest leżeć w łóżku z jakąkolwiek kobietą? Disiri była dla mnie ludzką kobietą - czy też podobną do ludzkiej kobiety - tak dawno temu.

Pragnąc się czymś zająć, wstałem i założyłem stary hełm. Gylf, pogrążony we śnie, okazał się mocniejszy niż się wydawało, choć wciąż ranny; póki co, siły opuściły te szczęki, które trzęsły ludźmi jak szczurami.

\* \* \*

Następnego dnia poszliśmy dalej w idealnym porządku i późnym rankiem dotarliśmy do rzeki. Armia Osterlanda zebrała się na jej północnym brzegu. Wysłałem posłańca z raportem, który wrócił (tak jak się spodziewałem) z wezwaniem do Arnthora.

Zanim tam dotarłem, zdążyli postawić królewski pawilon; siedział w nim Beel i wszyscy trzej książęta, a także Stonebowl, Gaynor, Morcaine i Śmieszek. Spotkaniu przewodniczył sam Arnthor owinięty w swój purpurowy płaszcz. Obecność kobiet mnie zaskoczyła, co starałem się ukryć, gdy przyklęknąłem, lecz poproszono mnie, bym wstał i zajął miejsce.

Beel chrząknął.

- Konferowaliśmy pod twoją nieobecność. Jego Królewska Mość i Jego

Wysokość są zdania, że najlepiej będzie zapytać cię o zdanie, zanim usłyszysz naszą opinię. Tak jak to widzimy, mamy przed sobą trzy pytania. Pierwsze, czy powinniśmy od razu atakować? Drugie, jeśli nie, to czy powinniśmy czekać z atakiem na lepszą chwilę, czy też się wycofać? Trzecie, jeśli zdecydujemy się zaatakować, to w jakim szyku i według jakiego planu?

Zbierałem myśli i jeszcze nic nie powiedziałem.

- Oczywiście nasuwa się wiele innych pytań. Na przykład, czy powinniśmy pertraktować? Czy powinniśmy iść w górę, czy w dół rzeki i próbować przejść na drugi brzeg w innym miejscu? Ale Jego Królewska Mość i Jego Wysokość - właściwie wszyscy - zgodzili się, że te trzy wymienione przeze mnie są najistotniejsze. Zgodzisz się?

Spojrzałem na Arnthora.

- Nie, Wasza Królewska Mość. Przed nami jeszcze prawie cały dzień. Czy Wasza Królewska Mość i Jego Wysokość zechcecie czekać do zachodu słońca? Jeśli będziecie czekać, to moja odpowiedź brzmi: powinniśmy atakować. Lecz jeśli nie, to powinniśmy się wycofać.

Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem Stonebowl i Śmieszek zaczęli szeptać coś do siebie. Kiedy skończyli się naradzać, Arnthor dał znak Beelowi skinieniem głowy, znak który zdawał się dawać mu pozwolenie na wyrażenie opinii, jaką uzna za słuszną.

- Dlatego właśnie dopuściłem cię do naszych opinii - to znaczy do opinii, które wyraziliśmy, zanim się tu zjawiał. Jego Królewska Mość zachował swoją dla siebie. Jego Wysokość i jego minister nalegali, by cię sprowadzić. Jego Królewska Mość wyraziła zdanie, że powinniśmy się wycofać. Jej Wysokość nalegała, byśmy zaczekali, a...

- Ja mówiłam, żeby zostać tutaj - przerwała mu Morcaine. - Jeśli zaatakują, dobrze, niech próbują. Uważam, że damy im radę, a poza tym chciałam wypróbować trochę czarnej magii, a na to potrzeba czasu.

- Oni też spróbują się nią posłużyć, siostrze. - Arnthor dał znak Beelowi.

- Jaśnie Oświecony książę i księżna postawili na natychmiastowy atak. Podobnie jak ja. Wydaje się nam, że nasza sytuacja raczej się pogorszy niż polepszy. Nie zgadzasz się. Chcielibyśmy wiedzieć dlaczego.

- Syn Krwi Smoka Skai zgadza się z twoją czcigodną osobą, Sirable - odezwał się Stonebowl. - On chce, żebyś wiedział, iż poprze twoją decyzję.

Podziękowałem Śmieszkowi w jego ojczystym języku.

- A ja chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób nauczyłeś się ich języka -

mruknął Beel.

Morcaine roześmiała się.

- Nie uczyłem się go - wyjaśniłem. - Rozumiem go, lecz nigdy się go nie uczyłem. To nie jest kwestia studiowania.

Gaynor pochyliła się do przodu, jakby zamierzała mnie dotknąć.

- Rozumiem, że nie chcesz mi wybaczyć, że cię uwięziłam, ale czy mi nie wybaczysz, że pragnę udaremnić bitwę, w której może zginąć mój mąż.

- Nie żywię urazy wobec Waszej Królewskiej Mości ani w tej, ani w jakiegokolwiek innej sprawie.

- Bez względu na wynik naszej narady - przemówił Arnthor - będę chciał potem z tobą porozmawiać.

Skłoniłem głowę nie wstając.

- Jestem na rozkaz.

- W takim razie powiedz, dlaczego twierdzisz, że zwyciężymy.

- Z tego samego powodu z jakiego Ich Miłości i lord Beel obawiają się porażki. Wiedzą, że Caan sprowadzi więcej wojaka z północy. Lord Beel nie wspomniał o tym, ale z pewnością to mieli na myśli wszyscy ci, którzy doradzali, by Wasza Królewska Mość zaatakowała.

Spodziewałam się jakiegoś sprzeciwu, lecz nikt się nie odezwał.

- Wasza Królewska Mość, byłoby nierozsądnie atakować, nie sprawdzwszy wcześniej stanu rzeki. Mam dwóch młodych ludzi, giermka Wistana i giermka Yonda, którzy badają, tę sprawę - wydałem im rozkazy, zanim tu przyszedłem. Musimy wiedzieć, jak głębokie jest koryto i jak wartki prąd. Trzeba znaleźć płycizny, jeśli są tu gdzieś. Będziemy mieli czas zbadać to wszystko, jeśli zaczekamy do zmierzchu, Powinniśmy też sprowadzić tu nasze tabory, a także kobiety i rannych i dać im straż. Zdążymy z tym wszystkim, jeśli zaczekamy do zmierzchu.

Wziąłem głęboki oddech gotowy skłamać i sprawić, by moje kłamstwo się ziściło.

- Ale przede wszystkim - powiedziałem - mogę wam obiecać tysiąc łuczników o zmierzchu.

Bahart, najmłodszy z książąt, powiedział:

- Wyczarujesz ich z powietrza na tym pustkowiu? Rzeczywiście jesteś czarnoksiężnikiem, sir Able, jeśli potrafisz tego dokonać.

- Czy nie byłoby lepiej rozbić obóz i pozwolić im się trochę przespać? - mruknął Marder. - Możemy zaatakować jutro o wschodzie słońca.

- Jeśli to łucznicy, to ich łuki na nic nam się nie przydadzą po zmroku - dodał Thoas.

Kiwnąłem głową.

- A ja uznałem, że ich łuki posieją śmierć nocą, Wasza Miłość. Bez wątpienia ty wiesz więcej o Aelfrice niż ja.

Arnthor otworzył szerzej oczy.

- Tysiąc Aelfów, sir Able?

- Co najmniej tysiąc, Wasza Królewska Mość. Liczę na więcej.

Beel zakasłał.

- Mieliśmy łuczników z Aelfrice, kiedy pokonaliśmy Schildstarra z Jotunlandu na przełęczy. Wasza Królewska Mość. Opowiadałem ci chyba o tym. Ze czterdziestu ich było.

Ponownie mu przytaknąłem.

- To były Aelfy Ognia. Słaby klan uszczuplony niewolniczą służbą u...

- U tego, którego imienia nie trzeba wymieniać - dokończył Arnthor.

- Wasza Królewska Mość jest mądry, Tutaj przybyły Aelfy Mchu. Ignoranci nazywają ich Aelfami Lasu, uczeni zaś mówią na nich Skogsalfar. - Zwróciłem się do książąt. - To najsilniejszy klan. Możemy też dostać pomoc od Aelfów Ziemi. Bodachanów. Nie jest to wojowniczy klan, lecz ich pomoc może okazać się bardzo użyteczna.

W ciszy jaka zapadła, słyhać było tylko szept Stonebowla i Śmieszka. Kiedy skończyli, powtórzyłem im to wszystko, co wcześniej powiedziałem pozostałym.

- Ty, Rozproszycielu Smoczej Krwi, jesteś moim ostatecznym przodkiem - rzekł Śmieszek - lecz zdobądźmy błogosławieństwo Lisa.

Podziękowałem mu za komplement i zgodziłem się z nim.

- Postaram się ją zdobyć.

Wstałem, kiedy inni wstali, by wyjść, lecz zostałem w pawilonie z Arnthorem. Odesłał służących i zapowiedział, że mają wrócić dopiero wtedy, gdy przyślę ich do niego.

- Twój posłaniec powiedział, że pragniesz mówić z nami. Uważasz nas za tchórza, sir Able?

Potrząsnąłem głową.

- Nigdy, Wasza Królewska Mość,

- A jednak jesteśmy tchórzem, ślepiec, o którym nam opowiadałeś, zabił naszego brata. Kto nas zabije?



- Mam nadzieję, że będzie to Czas, Wasza Królewska Mość. Spodziewam się, że umrzesz, kiedy będziesz musiał umrzeć, bardzo stary i bardzo mądry,

- Wiemy lepiej, Ale nie chcemy też szczeznąć tak jak mówisz. Tysiąc cudownych dziewczec czeka u Valfathera.

Nic nie powiedziałem,

- Wiemy, kim i czym jesteś. Nie udawaj ignoranta. Nie boimy się śmierci. Boimy się, że żadna z tego tysiąca nie pochyli się nad nami - że zostaniemy poprowadzeni przez most zwany Mieczami.

- Gdybym mógł obiecać Walkirię, to bym to zrobił - odpowiedziałem mu.  
- Ale nie mogę.

- Nie liczyliśmy na to. - Spojrzał na mnie uważnie. Jakiś instynkt podpowiedział mi, że lepiej nie wystawiać się na jego spojrzenie. Uniknąłem go, lecz ono i tak zbadało mnie głęboko. - Nie spałeś z naszą królową.

- I nawet nie próbowałem, Wasza Królewska Mość, wiedząc, że próżne by to były zachody.

- Też mi! Mógłbyś pójść do niej choćby i dzisiejszej nocy. Przyjęłaby cię z otwartymi ramionami. I nogami. Pójdiesz?

- Nie, Wasza Królewska Mość, nie pójdę.

Znowu zamilkł i badał mnie spojrzeniem. Wreszcie powiedział:

- Nie wystarczy odważnie umrzeć, sir Able. Trzeba umrzeć z honorem. A skoro mamy umrzeć i wiemy o tym, pomyśleliśmy o naszym honorze. Nie jest niesplamiony.

- Tak jak mój, Wasza Królewska Mość. - Wprawdzie przychodziły mi do głowy kolejne myśli, lecz nie potrafiłem sobie wyobrazić, do czego zmierza.

- Kazaliśmy cię uwięzić bez powodu, ale potem cię uwolniliśmy i przywróciliśmy ci honor. Co jeszcze możemy zrobić?

- Nie prosiłem o rozmowę, żeby prosić cię o przysługę, Wasza Królewska Mość, lecz by ofiarować ci podarunek. Bałem się, że go nie przyjmiesz. Wciąż nie mam pewności. Dlatego postanowiłem dać ci go, gdy będziemy sami.

- Podarunek śmierci? - Rozchylił płaszcz i rozłożył ramiona. - Uderz!

- Nigdy, Wasza Królewska Mość.

- Nie mógłbyś, nawet gdybyś chciał, bo my nie zginiemy z twojej ręki. Nie mamy na sobie zbroi, jak zauważyłeś.

Zdziwiłem się jak nigdy wcześniej.

- Nosimy pas na miecz. Być może i to zauważyłeś. Nie skłamaliśmy,

mówiąc ci, że zgubiliśmy twój miecz. Był wśród naszych bagaży, które zostały przechwycone.

Nie potrafię opisać nadziei, jaka we mnie wstąpiła w tym momencie, ani wdzięczności wobec Valfathera, który sprawia, że takie rzeczy się dzieją.

- Twój miecz został odzyskany w Leśnej Bitwie i zwrócony nam. - Arnthor wstał, chwiejąc się lekko, i odpiął swój pas.

- Mówisz, że przynosisz podarunek. My nic nie mamy dla ciebie. Zwracamy tylko co twoje i prosimy, byś zwrócił nam honor. - Uśmiechnął się niespodziewanie. - Pochwa jest ładnie ozdobiona. Rękojeść, choć prymitywna, też piękna. Nie możemy nic powiedzieć o klindze, jako że nie byliśmy w stanie wyjąć miecza z pochwy. Nie zastanawiałeś się, dlaczego nikt nie opisał duchów ludzi dawno zmarłych, którzy walczą u naszego boku?

Nawet gdybym chciał coś powiedzieć, nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa. Podał mi Eterne, a ja poczułem, że odzyskałem jakąś część siebie dawno zagubioną. Moje dłonie same się poruszały.

A potem - och, a potem! Ben, Ben, jak bardzo chciałbym, żebyś usłyszał to, co ja usłyszałem: okrzyki wojenne jakich nie zna nikt z żyjących i tętent rumaków sprzed tysiąca lat. Cały pawilon, mimo iż tak duży wypełnił się ludźmi z przeszłości w dawnych zbrojach, rycerze o rozpromienionych twarzach, których spojrzenie zatrwożyłoby lwa. Przyklęknięli przez Arnthorem, a jeden z nich powiedział:

- O, Królu, czy w tej godzinie wiesz, dlaczego most, po którym przechodzimy, nazywamy się Mostem Mieczy?

- Wiemy. - Na moment Arnthor, nawet on, zawahał się. - Nie wolno wam zdradzać tajemnic Hel.

Skinęli głowami.

- Mimo to chcemy zapytać. Mamy nadzieję, że odpowiedź nie będzie jedną z nich. Choć nie mogliśmy obnażyć miecza, lecz też go nosiliśmy. Czy jest możliwe, bym do was dołączył?

Upiorne głosy wyszeptały:

- Możliwe - możliwe.

- Schowaj go - zwrócił się do mnie Arnthor.

Wsunąłem miecz do pochwy, a rycerze rozplłynęli się w powietrzu i tylko ich niskie głosy powtarzały coraz cichszym szeptem:

- Możliwe...

- Nie jesteś mi winien żadnej przysługi - powiedział Arnthor - za to my jesteśmy ci winni nie jedną. Mimo to prosimy cię o przysługę, bo taki jest przywilej króla. Wieki temu jeden z naszych przodków pragnął uhonorować pewnego rycerza bardziej niż innych, już wcześniej podniósł go do stanu szlacheckiego, nadał mu ziemie i obdarował bogactwami - tak sownie, że ten nie chciał już nic więcej. Wymienili się mieczami i odtąd król zawsze już nosił miecz, który wcześniej należał do rycerza, rycerz zaś nosił miecz króla. Nie daliśmy ci naszego miecza. To był twój miecz, miecz, który ci zabraliśmy, miecz, który odebrałeś smokowi, jeśli mówią prawdziwie. Mimo wszystko jest to miecz, który nosiliśmy od chwili odzyskania go w Leśnej Bitwie, a który ci teraz daję. Czy dasz mi miecz, który teraz nosisz?

Zrozumiałem, w jaki sposób Parka plecie nasze losy, i zdjąłem pas, a z nim miecz, który znalazła dla mnie Baki.

- To jest podarunek, który zamierzałem ci ofiarować, Wasza Królewska Mość. Chętnie ci go dam. Noś go dzisiaj, a będę zaszczycony.

Wziął pas ode mnie i założył go.

- Czy wolno mi go wyjąć?

- Tak.

Obnażył miecz, który załśnił w jego ręku jak nigdy w moim, wypełniając pawilon szarym światłem.

- Jest spragniony. - Jego głos zniżył się do szeptu. - Słyszeliśmy o takich rzeczach, ale nigdy nie myśleliśmy, że są prawdziwe.

- Przeważnie nie są, Wasza Królewska Mość.

- Tak, jest spragniony - powiedział. (Chyba mnie nie słyszał.) - Idzie przez pustynię i śni o jeziorze pełnym krwi.

## ROZDZIAŁ 40

### **BITWA NAD RZEKĄ**

Wistan i Yond znaleźli, choć nie bez trudu, dwa miejsca, w których była możliwa przeprawa przez rzekę. Bród od strony zachodniej był lepszy; skierowałem do niego Arnthora i najlepszych wojowników - szlachciców i prawie wszystkich rycerzy, a także Śmieszka i jego Żołnierzy Smoka. Ja miałem przeprowić się wschodnim brodem na Chmurze (która ledwo zmoczyłaby sobie brzuch). Toug i Rober mieli jechać za nami. Za nimi ci ranni zbrojni, którzy byli w stanie utrzymać w ręku miecz, wieśniacy, Wolne Drużyny i wszystkie dostępne Aelfy. Mieliśmy zaatakować pierwsi i ściągnąć na siebie siły Caana.

Był to rozsądny plan. Arnthor zgodził się, że zaczeka z atakiem, aż my zaatakujemy, zostanie z tyłu, schowany, i da nam dodatkowe piętnaście minut. Powiedziałem mu, że w żadnym razie nie zaczniemy walczyć przed zachodem słońca. W rzeczywistości zamierzałem zaatakować wcześniej, przekonany, że im większej presji się poddam, tym większą szansę będę miał na zwycięstwo. Nauczyłem się, że zawsze dobrze jest mieć plan przed bitwą; tylko że gdy już ona się rozpocznie, plan często znika jak poranna mgła. I tak też było podczas Bitwy nad Rzeką.

Mimo iż siły Arnthora miały czekać w ukryciu, uznałem, że rozsądnie będzie wystawić strażę wzdłuż rzeki, a w szczególności przy brodach, na wypadek gdyby wróg próbował przeprowić się na drugi brzeg; dowodził nimi sir Marc. Przeprowadzał inspekcję swoich ludzi, gdy jakiś kapitan Osterlingów rzucił mu obraźliwą zaczepkę. Zamiast puścić słowa mimo uszu, Marc odpowiedział własną zniewagą. Kapitan wszedł do rzeki i rzucił wyzwanie Marcowi. Marc przyjął wyzwanie, ludzie kapitana zaatakowali go, kiedy ich kapitan został pokonany, strażnicy Marca ruszyli mu na pomoc i zaczęła się regularna walka.

O tym wszystkim dowiedziałem się później. Wtedy słyszałem tylko krzyki i szczęk mieczy; przybiegła Etela, by mi powiedzieć, że Osterlingowie

przeszli na południowy brzeg i starli się z Arnthorem i jego rycerzami.

- Idziemy na drugi brzeg - powiedziałem do niej - i zaatakujemy ich od tyłu. Schowaj się w bezpiecznym miejscu.

Nie posłuchała mnie, o czym także dowiedziałem się dopiero po jakimś czasie.

Poprosiłem Chmurę, by się obniżyła, tak bym mógł jej dosiąść.

Tymczasem ona spojrzała ku Skai i postawiła uszy, by usłyszeć głos, który toczył się przez Mythgarthr. Ja też go usłyszałem, a kiedy skoczyła w górę i pogalopowała grzbietem lekkiego wiatru, już żadna moja myśl nie mogła na nią wpłynąć. Mogłem starać się ją zawrócić, ale wiedziałem, że to na nic, i nawet nie próbowałem.

Powinienem był pojechać na koniu, lecz tak nie zrobiłem i poszedłem sam przez rzekę. Strzały uderzały w moją kolczugę, inne przelatywały ze świstem przy mojej głowie. Wyjąłem z pochwy Eterne i trzymałem go nad wodą.

Przyszli ze wszystkich stron, a przynajmniej tak mi się wydawało, słabo widoczni za to głośni. Ich miecze nie mogły zabić - walczyliśmy w pełnym słońcu, choć słońce stało nisko. Lecz nie było czym było poczuć ukłucie tych mieczy, nie było to łaskotanie zjawy. Słyszałem krzyki i widziałem ludzi, którzy upuszczają włócznie i przyciskają dłonie do ran, które nie krwawią.

A potem nadeszła bardziej cielesna pomoc: nadjechał Toug i Rober, a wraz z nimi ranni zbrojni. Za nim przybyli rozbójnicy i chłopci; ci przybiegli z okrzykami na ustach. Wcześniej obawiałem się, że obie te grupy będą się ociągały, dlatego starałem się wesprzeć ich przywódców, którzy wykazywali chęć walki; wszyscy walczyli lepiej, niż się spodziewałem.

Obaj z Wistanem stanęliśmy na ich czele dumni ze swoich ludzi. Mężczyzn i kobiet, powinienem zaznaczyć, bo choć kobiet, które przybyły tam ze swoimi mężczyznami, było niewiele, to walczyły dzielnie. Wrócę do tego później, Ben, a przynajmniej, postaram się.

Ostatni z naszych jeźdźców minął mnie, zanim wyszedłem z rzeki, przemoczony do pasa, z butami pełnymi wody. Wcześniej zamierzałem poprowadzić ich szerokim półkolem i zaatakować przeciwnika od tyłu, tak jak powiedziałem Eteli. Teraz prowadzili ich Toug i Rober. Obaj dzielnie się spisywali, a Toug, pomimo młodego wieku, wykazał pewną wiedzę dotyczącą taktyki. Istniała szansa, że postąpią zgodnie z moim planem, a jeśli nie, to i tak nic nie mogłem na to poradzić.

Tymczasem ja miałem za sobą tę obszarpaną piechotę i musiałem robić co

w mojej mocy, żeby dać zwycięstwo Celidonowi jak najmniejszym kosztem. W naszym przypadku nie było mowy o marszu półkolem. Skręciliśmy na lewo i poszliśmy wzdłuż rzeki, rozprawiając się z Osterlingami, których spotykaliśmy po drodze, a potem uderzyliśmy na skrzydło ich oddziału przepływającego się przez wodę.

Przeszliśmy, nie napotykając większego oporu, tyle tylko, że coraz bardziej przypominaliśmy bezładny tłum, tak więc kazałem się im zatrzymać i utworzyć szeregi, tak jak ich uczono. Łucznicy, oczywiście, trzymali łuki wysoko nad wodą, dbając, by cięciwy były suche. Ustawiłem ich na naszym skrzydle, tak by mogli odpierać ataki procarzy i łuczników. Wystarczyłyby atak kilkunastu jeźdźców, żeby ich rozpędzić jak stado szpaków, ale nic takiego nie nastąpiło. Jeźdźcy mieli dość własnej roboty.

Z przodu ustawiłem tych z najlepszymi strzałami, a za nimi ludzi z włóczyniami, którzy mogli zadawać pchnięcia między tarczami. Reszta została za ludźmi z włóczyniami, a porządku wśród nich pilnował Wista, dbając o to, by podniesiono włócznię albo tarczę, gdy upuścił ją zabity kolega. Ja szedłem sześć kroków z przodu i maszerując dzielnie, odwracałem się co kilka kroków do tyłu i wydawałem rozkazy albo dodawałem im otuchy. Potrzebne nam były flagi. A także trąbki i bębny. Nie mieliśmy niczego, ale ktoś (domyślam się kto) zachęcił idące z tyłu kobiety, które zaczęły śpiewać, krzyczeć i klaskać, i może było to lepsze niż trąbki i bębny.

- Maszerujcie! - zawołałem do nich. - Żwawo!

I maszerowaliśmy żwawo.

- Disiri! Disiri! Disiri!

Niektórzy z Osterlingów zdążyli już poznać ten okrzyk, ale bez względu na to, czy go znali, czy nie, było nas wielu. Nawet gdybyśmy byli w połowie tak wyćwiczeni i gorzej uzbrojeni, nie zauważyliby tego ci, którzy uciekli przed nami.

Doszliśmy zadziwiająco daleko na zachód wzdłuż rzekł, gdy wreszcie napotkaliśmy jakiś oddział wroga, może ze stu, którzy zdecydowani byli stawić nam czoła. Ich kapitan miał taki buzdygan na drzewcu, jakie cieszyły się powodzeniem wśród Osterlingów. Eterne przeciął żelazne uchwyty pod głowicą, tak że tamtemu został w ręku kij. Rzucił nim we mnie i chciał wyciągnąć miecz, lecz odrąbałem mu ramię w łokciu, zanim rozłupałem mu hełm.

Jego ludzie obskoczyli mnie jak sfora terierów. Pamiętam, że przeciąłem

dwie włócznie i wpackowałem grot w brzuch wysokiego mężczyzny, który wyglądał tak, jakby przez ostatni miesiąc jadł tylko trawę. Przypominam sobie też, że zastanawiałem się, czy Wistan okaże się na tyle roztropny i zadba o to, by broń zabitych przeze mnie ludzi trafiła do tych, którzy jej potrzebują. Poza tym niewiele pamiętam. Dobrze jest uderzyć mocno, ale jeszcze lepiej - o wiele lepiej - uderzyć szybko. Garvaon mnie tego nauczył, tak więc natarłem najszybciej jak potrafiłem, nie myśląc o Garvaonie ani o niczym innym: cięcie, cięcie, cięcie i pchnięcie. Niech podniesie tarczę na wysokość twarzy. Szybko! Szybko, zanim inny przyjdzie mu z pomocą. Zaatakuj pod tarczą. Pchnij mocno, głęboko i szybko, zanim zdąży opuścić tarczę. Wysunął nogę - kopnij go w kolano, szybko i mocno. Tnij, zanim się pozbiera. W pewnym momencie zawadziłem dołem tarczy o jego brudne kły i zauważyłem grot dzidy w jego piersi, zanim ruszyłem dalej.

Biegli, a brzeg rzekł znajdował się zbyt daleko po mojej lewej stronie, przed nami zaś kłębił się ogromny obłok kurzu, w którym pojawiała się i znikła flaga i kilka grzebieni na hełmach, obłok grzmiący tak donośnie, że trąbienie słońca brzmiało cichutko i samotnie niczym płacz dziecka. Moglibyśmy natrzeć na ten obłok - obłok, który był armią - ze skrzydła. Nadszarpnęlibyśmy go i opóźnilibyśmy jego marsz i może by to wystarczyło; ale tak czy inaczej obłok zwróciłby się przeciwko nam i nas zgniótł. Wydałem rozkaz marszu mojej dzielnej, zdesperowanej, niewyćwiczonej i źle uzbrojonej armii, i sam pobiegłem przodem, krzycząc:

- Disiri! - Pazury naszych strzał wczepiły się w obłok. Mógł z tego być jakiś pożytek. Lepiej umrzeć niż nie walczyć, wiedząc, że Rober i Lamwell walczyliby jak herosi, za jakich ich uważano.

I wtedy w górze zaryczał smok, zionąc ogniem, i zatoczył koło (zatrzymałem się, by na niego spojrzeć), po czym ruszył na nas, a właściwie na mnie, lecąc tak nisko, że wiatr z jego skrzydeł wzbijał kurz. Ogień jego oddechu spłynął po mnie, a jego szczęki zacisnęły się na mnie, lecz ostatnie promienie słońca osłabiały jego prawdziwość. Nie był w stanie mnie podnieść ani zgnieść paszczą, a nasze strzały przelatywały przez jego łuski do jego trzewi.

Wzbił się w górę z rykiem, który szybko przeszedł w zwycięski okrzyk. Słońce zachodziło, a jego ognisty oddech, słaby jak płomień świecy w blasku słońca, nabierał mocy z każdą sekundą. Zatoczył koło, płynąc nad armią Osterlingów, którą uczynił swoją. Cienie, jeszcze tak wyraźne gdyśmy

przeprawiali się przez rzekę, teraz znikają, roztapiając się w rozlewającą się ciemność. A smok, Ben, był tak prawdziwy jak ja, tak samo prawdziwy jak prawdziwy był Setr w Aelfrice, potwór, bestia cała z gagatu i jadeitu.

Nie pomyślałem o Garvaonie wcześniej i nie pomyślałem o nim w tamtej chwili - a także o Svonie, który walczył z Setrem i przeżył. Nie było na to czasu. Zdążyłem jedynie krzyknąć coś bezsensownego do moich ludzi i zamachnąć się mieczem nad głową, po czym ruszyłem smokowi na spotkanie.

Wyminęli mnie galopem rycerze w starodawnych zbrojach. Smok zaryczał, by potrząsnąć ziemią, lecz rycerze pędzili niewzruszeni. Poczułem jak smok zadrżał pod gradem uderzeń setek podkutych żelazem końskich kopyt. Kopie kruszyły się w zderzeniu ze smoczymi łuskami; dwie z nich trafiły w ziejący ogniem pysk. I wtedy zrobiłem to, co miałem nadzieję zrobić, kiedy rozmawiałem z Arnthorem, to samo co uczynił Michał przy stawie. Wszystko, co opowiadałem Tougowi, stało się dla mnie prawdą; także Aelfy, a nawet Disiri nie były nawet snem - jedynie myślami, które można było pomyśleć i odgonić według uznania. Przywołałem ich jako bóg, a oni mnie posłuchali.

Osterlingowie przede mną i ludzie za mną zatrzymali się w miejscu, a w ciszy, jaka zapadła, usłyszałem w górze bzyczenie, jakby nadleciał milion pszczół. Gdy spojrzałem do góry, ujrzałem niebo pełne strzał.

Przybyła Disiri, a z nią dwa tysiące: Aelfy Mchu, Aelfy Ognia, Aelfy Lodu, a także mali Bodachanowie, którzy nie znajdując przyjemności w wojnach, walczą jednak (jeśli już tak postanowią), bo muszą, a walcząc są bezlitośni i sami nie proszą o litość.

Wiesz, Ben, śpiewają piosenki i snują opowieści o tej bitwie. Wiem, że ich nie usłyszysz, a ja nie oddam ich wiernie, ale spróbuję opowiedzieć wszystko choćby w zarysie.

Toug i Rober zaatakowali Osterlingów od tyłu zgodnie z moimi oczekiwaniami. My uderzyliśmy na ich skrzydło - Rycerze Miecza, Aelfy i ci, którzy szli za mną. Osterlingowie trzymali się dłużej, niż ich Caan mógł oczekiwać, walcząc w ulewie strzał z najdzielniejszymi rycerzami, jaki świat oglądał. Kiedy przemówił Arnthor, ich smoki zwróciły się przeciwko nim i wtedy uciekli; ci z południowego brzegu rzeki, widząc, że bitwa jest dla nich przegrana, także uciekli. Zostali zdziesiątkowani. Jeszcze większy pogrom nastąpił wśród nich, kiedy zatrzymali się, by bronić północnego brzegu.



Stanowili najlepszą siłę, jaką dysponował Osterland, Spahis i osobiste oddziały Caana i tylko nieliczni z nich przeżyli.

Poza tym potrafię opisać tylko niektóre wydarzenia. Kiedy atakowaliśmy skrzydło wroga i nastąpiło ogólne zamieszanie, zobaczyłem, jakbym patrzył w gorączce, dwóch ślepców wywijających drągami prowadzonych przez nie całkiem wyrosnięte dziecko i kobietę z mieczem. Domyślasz się tożsamości całej czwórki. Ale domyśliłbyś się, że Bertold Śmiały dostał włócznią w brzuch, nim wzeszedł księżyc.

W którymś momencie przewróciłem się, a wojownik, który mnie ogłuszył, stanął nade mną gotów mnie dobić. Wiedział, kim jestem, i liczył na to, że będę go błagał o życie, czym mógłby się potem chwalić. Strach na wróble, który mnie uratował, ulepiony był z mchu, błota, gałązek, kory i świeżych liści. Zorientowałem się i gdy tylko zdjąłem stary hełm ucisnąłem śliczną Disiri tam na polu walki.

Arnthor starł się z Czarnym Caanem nad samą rzeką. Gdy Czarny Caan padł, kolczuga wciągnęła go pod wodę, a prąd poniósł ciało i nigdy go nie odnaleziono. Arnthor pożył na tyle długo, by się dowiedzieć, że zwyciężyliśmy, ale nie dłużej. Marder i Bahat przykryli jego ciało, nie pozwalając nikomu go zobaczyć; jeszcze tej samej nocy spalono je na stosie ułożonym ze złamanych kopii, strzał i zniszczonych tarcz. Gdybym to widział, mógłbym wyjaśnić, dlaczego Gaynor z takim uporem odżegnywała się od niego. Ale nie widziałem, więc nie będę snuł domysłów.

Brakowało mu magnetyzmu i wygórowanych ambicji jego brata, ale radził sobie. Wykazywał skłonności do brutalności i skąpstwa, lecz panował nad nim lepiej niż większość ludzi. Był odważny i pozbawiony litości - prawie, Jego ród dał Celidonowi mądrzejszych królów i lepszych dowódców, ale nie bardziej przebiegłych. Nikt nigdy nie widział go rozluźnionego, a nawet jeśli miał wielu ochoczych sług, to nie miał przyjaciół.

Później wydarzyło się coś jeszcze, ale o tym opowiem później.

Gdy bitwa dobiegła końca i schowałem Eterne do pochwy, zebrałem wszystkich tych, którymi dowodziłem. Dopiero wtedy dowiedziałem się, że Bertold Śmiały został ranny i byłem przekonany, że umrze. Inaczej nie postąpiłbym tak jak postąpiłem.

Byli tam Toug, Rober i stara Gerda, która wytrwale pomagała opatrywać rannych, aż w końcu ledwo stała na nogach. A także Lynnet, Etela i Vil. Pół twarzy Wistana zasłaniały bandaże, które założyła mu Ulfa, a Uns skakał

koło niego tak, jakby uważał, że Wistan zaraz zemdleje albo umrze. Kazałem im usiąść blisko ognia i posłałem Pouka po Gylfa, którego uwiązaliśmy na podwójnym łańcuchu z dala od pola walki, by mu uratować życie. Nie spieszyłem się ze słowami, czekając, aż dołączą do nas.

- Przyjaciele - powiedziałem, starając się objąć spojrzeniem nie tylko osoby siedzące przy samym ogniu, lecz także wyczerpane twarze tych, którzy siedzieli dalej. - Wiele wam zawdzięczam. Nie mogę wynagrodzić was tak, jak na to zasługujecie, i może nigdy nikt was nie nagrodzi za to, że uratowaliście swój kraj. To, co mogę zrobić, to powiedzieć wam prawdę i pozwolić wam zobaczyć to, co zamierzam robić - tak długo, aż zostaną powstrzymani. Co nastąpi niebawem.

Poruszyli się, lecz nikt się nie odezwał.

- Najpierw prawda. Zamierzałem poprowadzić was na Chmurze, ale ją straciłem. Pamiętacie zapewne, że nie miałem jej, gdy maszerowaliśmy na południe, aż do spotkania z Żołnierzami Smoka. Lothur łaskawie mi ją zwrócił. Liczył może na to, że złamię przysięgę daną jego ojcu. To by oznaczało mój koniec, który niebawem nastąpi. Nie złamałem jej, lecz jego ojciec zabrał ją z powrotem w najgorszym momencie. Z dużą szkodą dla nas i jest to moja wina. Wyznaję to przed wami.

Odezwały się nieliczne głosy sprzeciwu, które zaraz uciszyłem.

- Taka jest prawda i ją poznaliście. Lecz to nie wszystko. W Skai, Valfather, największy i najzyczliwszy spośród wszystkich królów pod Najwyższym Bogiem, obdarował mnie mocą. Po wielu latach poprosiłem go, by pozwolił mi tu wrócić. Zgodził się pod warunkiem, że nie posłużę się tutaj swoją mocą, a ja przysiągłem, że tak będzie.

Złamałem przysięgę, kiedy Osterlingowie oblegali Czerwony Dwór. Niektórzy z was byli tam i z pewnością pamiętają burzę, jaką rozpętałem. Dzisiejszej nocy zamierzam złamać dane słowo po raz kolejny, otwarcie, na tak długo na ile to będzie możliwe.

Pomimo wyczerpania wyraźnie się ożywili.

Zawołałem Bertolda Śmiałego. Sam nie był w stanie się podnieść, lecz pomogli mu Pouk i Uns. Zdarłem bandaż z jego rany i uleczyłem go.

- Uklęknij - zwróciłem się do niego - a ty Gerdo przy nim.

Wciąż macał zranione wcześniej miejsce, ale przyklęknął; Ulfa podprowadziła Gerdę i pomogła jej klęknąć. Położyłem dłonie na ich głowach i poczułem, jak płynie ze mnie moc. Nie było łatwo odzyskać to, co

zostawił w stawie tak dawno temu.

Kiedy otworzyłem oczy, wciąż klęczeli. Zdziwiła mnie trochę cisza, ponieważ spodziewałem się raczej okrzyków, lecz pozostali widzieli tylko w blasku ognia ich zgięte plecy. Włosy Bertolda Śmiałego znowu były czarne. Włosy Gerdy miały kolor dojrzałej kukurydzy. Wciąż jednak trzymałem dłonie na ich głowach, tak więc nawet ci najbliżej siedzący nie mieli pewności.

Poleciłem im wstać. Kiedy się podnieśli, Bertold Śmiały zawołał:

- Widzę! Widzę! - Gerda objęła go i oboje zapłakali - teraz znowu była młodą i piękną kobietą o roześmianych oczach.

Etela, która także płakała, pociągnęła mnie za rękaw. Wiedziałem, o co jej chodzi, i poprosiłem Ulfę, by przyprowadziła do mnie Lynnet.

- Nie jesteś moim synem - powiedziała Lynnet - a jednak jesteś. Czy każesz mi odejść?

- Nigdy - odpowiedziałem jej. - Ale nie mogę przywrócić cię do życia. To wykracza poza moje możliwości. Uklęknij. Nie mam dużo czasu.

Uklęknęła. Obłąd mocno spętał jej umysł, tak więc czułem, jakbym rozsypływał węzeł zębami i paznokciami; wreszcie go poluzowałem i kazałem jej wstać. Uśmiechnęła się do mnie, a ja do niej i objęliśmy się.

- Mag jest wciąż ze mną - wyszeptła. - Przybyła na tamtą morską wyspę. Nie każesz jej odejść?

- Nie - odparłem.

Potem przyszła kolej na Gylfa; poszło szybko i sprawnie. A potem już wiedziałem, ponieważ zobaczyłem go; stał za tymi, którzy siedzieli daleko od ogniska. Sądziłem, że przemówi, kiedy przywołałem Unsa. Nie odezwał się jeszcze.

Ja mówiłem już ledwo szeptem. Położyłem dłoń na garbie Unsa, coś, czego wcześniej nie robiłem.

- Wyprostuj się.

Jakże powoli prostował grzbiet! Wydawało mu się, że to sen - widziałem to po jego twarzy. Myślał, że śni, i bał się, że w każdej chwili, gdy stał coraz prościej, może się obudzić. Toug stanął przy nim i się rozpłakał, a ja z nim.

Wistan był prawie ostatni. Zanim go uleczyłem, przypomniałem sobie, jak się pobił z Tougiem w Utgardzie, ale to było dawno, a on służył mi wiernie.

- Byłeś tam na początku - powiedziałem do Pouka. - Nie jest w porządku, abyś był teraz na samym końcu. Mam nadzieję, że starczy mi czasu.

- Ja mam oko, sir. Weź Vila.

Zapomniałem o nim, teraz więc poprosiłem Pouka, żeby go przyprowadził. Przez chwilę wydawało mi się, że już nie mam żadnej mocy. Gdy już było po wszystkim, Vil wziął moją rękę i włożył mi coś do niej, coś, co buczało i śpiewało wieloma głosami.

- Chcę zapłacić, sir Able. Kiepska zapłata, ale nie mam więcej. Jak zdobędę coś więcej, to dostaniesz.

- Moja cięciwa.

- Tak, sir. Znowu twoja.

Byłem już bardzo wyczerpany, ale i bardzo szczęśliwy, Ben. Poprosiłem Pouka, żeby podszedł, i dmuchnąłem w jego niewidzące oko.

- Dzięki, sir! Dzięki! - powiedział, a potem uściskaliśmy się i wiedziałem, że go uleczyłem i że już więcej nie dam rady. Chciałem usiąść, ale nie było to możliwe, gdyż nadchodził wysoki mężczyzna w szerokim kapeluszu.

- Skończyłeś, Drakonritter. - Nie było to pytanie.

Skłoniłem głowę.

- Wstydzisz się. - Jego oczy lśniły w ciemności. - Zakończyłbyś życie, gdybym tak chciał, ale i tak je zakończysz.

- Tak, Valfatherze. - Moja dłoń poszukała sztyletu.

- Zakazałem tego! Ale nie spodziewam się po tobie posłuszeństwa. Umrzesz, gdy ogarnie nas Zima i Stara Noc. Tak jak ja. Jak mój syn Thunor, który w to nie wierzy. Tymczasem dziękuję, że naprawiłeś mojego psa. Mam ci oddać Chmurę?

- Nie - powiedziałem.

- Dam ci innego, młodszego, tej samej rasy.

- Nie - powtórzyłem.

- Myślałeś, że mój syn Lothur jest szczodry i życzliwy. Nie jest. To, co uznałeś za jego szczodrość, stanowiło jedynie podwalinę jego zdrady. Gdybyś znał go tak jak inni, od razu byś się zorientował.

Coś się we mnie ożywiło i podniosłem głowę.

- Nigdy nie prosiłem twojego syna o pomoc, także żaden mój czyn nie zasługiwał na jego wdzięczność. Powiedział Morcaine, by mnie wezwała i zaproponował pomoc. Byliśmy głodni i zbyt słabi, by stawić czoła wrogowi. Za jego sprawą zdobyliśmy jedzenie i ludzi. Nie będę na niego narzekał - już nigdy.

- Inni, których lepiej potraktował, gorzej się o nim wyrażali. - Ton głosu

Valfathera trącił uśmiechem. - Wracasz?

Nic nie odpowiedziałem.

- Nielicznych tylko pytałem - sir Able. Nawet raz.

- Nie jestem Able - odpowiedziałem szeptem.

- Jesteś. Sprowadzę Chmurę. Dosiądziemy jej obaj i pojedziemy do Skai.

Nie mogłem wydobyć z siebie słowa, Ben. Zdarzało mi się tak czasem, a potem zastanawiałem się, w jaki sposób zdołałem powiedzieć cokolwiek. Tym razem nie potrafiłem. Etela wzięła mnie za rękę; jej twarz lśniła od łez, lecz w tym momencie nie płakała.

- Boi się, że ona z nim nie pójdzie - powiedziała do Valfathera.

- I tak by nie poszła, dziecko - powiedział surowszym już głosem i bardziej odległym. - Nie może. - Odwrócił się.

Disiri patrzyła i słuchała przez cały czas. Wyszła z cienia.

Valfather skinął na Wistana.

- Wiernie służyłeś swojemu rycerzowi Usłuż mu raz jeszcze. Przynieś jego hełm i włóż mu na głowę.

Wistan wykonał polecenie.

Śliczna Disiri stała się kukielką z błota i liści. To było straszne, ale spodziewałem się czegoś takiego. I jeszcze dwie inne rzeczy, których się nie spodziewałem i których nie potrafię wyjaśnić. Valfather był jasnym cieniem. Niczym więcej.

A Bertold Śmiały, który siedział obok Gerdy, zniknął. Ona była tą samą śliczną, młodą kobietą, lecz Bertold zniknął, a na jego miejscu siedziałeś ty, Ben. Jak mówiłem, nie potrafię tego wyjaśnić.

- Widzisz, co oddajesz - powiedział do mnie jasny cień - i wiesz do czego idziesz. Co zrobisz?

Sięgnąłem po sztylet, podciągnąłem rękaw kolczugi i naciąłem ramię.

- Pij - zwróciłem się do Disiri, ona zaś pochyliła się i napiła się mojej krwi. Nie kilka kropel, jak często robią Aelfy, lecz piła łapczywie długimi łykami, podczas gdy ja otwierałem i zaciskałem pięść, tak by ludzkie życie mogło płynąć swobodnie, tak długo, aż zobaczyłem, że stoi obok mnie nieduża kobieta o zielonych oczach.

Poszukałem spojrzeniem jasnego cienia, ale zniknął. Niedługo potem także i my odeszliśmy; szedłem, opierając się na Disiri, gdyż straciłem dużo krwi i byłem słaby.

I jeszcze trzecie wydarzenie, o którym obiecałem wspomnieć. Szliśmy

powoli, a ja upadłem dwukrotnie. Zanim dotarliśmy do rzeki, blask słońca zabarwił chmury tysiącem kolorów, mimo iż samo słońce nie było jeszcze schowane za górami na wschodzie. Stałem na skraju wody niepewny, czy dam radę przejść na drugi brzeg. W odbiciu w wodzie ujrzałem piękną, młodą kobietę, która podtrzymuje rycerza; lecz rycerz nie był chłopcem, lecz wojownikiem o srogim obliczu, którego oczy lśniły w wizjerach hełmu.

Zdjąłem hełm i rzuciłem go do wody, a gdy falowanie ustało, zobaczyłem, że oboje z Disiri wyglądamy tak samo.

Żyjemy w Aelfrice i przez długie dni znowu jesteśmy dziećmi, jakimi byliśmy, gdy przybyłem tam po raz pierwszy. Dzieci - biegamy i krzyczymy pośród zagajników i grot niekończącego się lasu piękniejszego niż wszystkie te, które zobaczysz. Dzieci - schodzimy do morza, które uwielbiam, by się poplaskać na płycznach i pobawić z duchami wodnymi. Podarowała mi nowego psa, białego szczeniaka z rudymi uszami. Nazwałem go Farvan. W nocy opowiadamy mu o zabawach z przeszłości i o tych, które jeszcze przed nami, a on snuje swoje szczenięce opowieści.

Ale nie zawsze jesteśmy dziećmi i czasem leżymy na plecach na miękkiej trawie i obserwujemy świat w górze, gdzie czas płynie szybko. Widzieliśmy, jak Marder pasował na rycerza Wistana, a Bertod Śmiały zabił Schildstarra. Niedługo czas dojrzeje i znowu przyjdziemy.

Michał wreszcie mnie odnalazł i dlatego napisałem to dla ciebie, Ben. Opowiada nam o wielkim panu, który potrzebuje rycerza. Odpowiedziałem Michałowi, że będę rycerzem tego pana, jeśli pozwoli mi przyprowadzić swoją damę. Powiedział, że mogę.

Wkrótce wyruszamy.

Zobaczysz to, Ben, bo Michał znalazł sposób. Nie martw się o mnie. U mnie wszystko dobrze.

Wszystkiego najlepszego, Art.

(Arthur Ormsby)

**Koniec**